

ANNA KAŃTOCH

# ŚWIATY DANTEGO



Anna Kańtoch

# ŚWIATY DANTEGO

Wstęp, wprowadzenia do opowiadań i posłowie Jakub Ćwiek



Copyright © by Anna Kańtoch, MMXV

Wstęp, wprowadzenia do opowiadań, posłowie:  
Copyright © by Jakub Ćwiek, MMXV

Wydanie I  
Warszawa

## Wstęp

Ogromnie się cieszę, że mogę pisać ten wstęp, ponieważ dotąd nikt jeszcze nie zadał mi pytania, na które bardzo, bardzo chciałem odpowiedzieć, a mianowicie: skąd w polskiej fantastyce wzięła się Ania Kańtoch? A wzięła się, Szanowni Czytelnicy... spod wieszaka z kurtkami.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy bodaj w marcu dwa tysiące trzeciego w siedzibie Śląskiego Klubu Fantastyki przy ulicy Pocztowej w Katowicach. Klub, najstarsza tego typu instytucja w kraju, zajmował podówczas trzy pokoje i łączący je korytarz na najwyższym piętrze starego biurowca; by do nas dotrzeć, trzeba było pokonać trzy piętra stromymi schodami, mijając po drodze przychodnię, pracownię protetyczną, dwa biura księgowości i jedną siedzibę partii. Te trzy pokoje, o których wspomniałem, to biblioteka, pokój RPG-owy i maleńkie, ale głośno bijące serce ŚKF-u – sekretariat.

Miałem klucze do tego ostatniego, ponieważ w owym czasie – pełen zapału i energii neofity – zadeklarowałem się, że będę pełnił obowiązki nieobecnego chwilowo sekretarza klubu, czyli przyjmował nowych członków, odbierał korespondencję, pobierał składki. Prócz prestiżu dawało mi to jeszcze coś, czego w klubie nie miał prawie nikt – gwarantowane miejsce siedzące w sekretariacie.

Pierwszy mój kontakt z Anią nastąpił, gdy przyszła się zapisać, a ja wystawiałem jej legitymację klubową. Zwróciła mi wtedy uwagę, że błędnie wpisałem jej nazwisko, bo moje „a” wyglądało jak „o” z łącznikiem. Poprawiłem. I tak się zaczęło.

\*\*\*

Wieszak, o którym wspomniałem na początku, znajdował się w kącie sekretariatu i – zwłaszcza jesienią, zimą i wiosną, gdy klubowicze już się zeszli – wyglądał jak małe, kolorowe drzewko. Te wszystkie

ramoneski, puchówki, kurtki wojskowe, dobrze skrojone płaszczyki i pstrokaczny od Alpinusa najpierw elegancko wieszano – dopóki starczało haczyków, a potem po prostu wrzucano jedna na drugą, aż więcej się nie dało. Żeby to wszystko mogło utrzymać się w pionie, wieszak zastawiony był krzesłem, jedynym, na którym nikt nie siadał. Dlaczego? Bo musiałby się cały czas garbić, a i tak kurtki przeszkadzałyby mu w normalnej konwersacji, co chwila rozpychając się łokciami, wsadzając biedakowi rękawy w usta czy zadając przypadkowe ciosy biodrem niczym rozbrykane dzieciaki.

Napisałem „nikt nie siadał”, ale było to prawdą tylko do pewnego momentu, potem zjawiała się bowiem Ania i upodobała sobie tę miejscówkę, idealną dla niej: drobnej, maleńkiej istotki, która nikomu nie chce zawadzać, nikomu robić kłopotu. Siedziała, oderwana od gwaru i krzyków, i czytała książki.

Nikt jej tam specjalnie nie zaczepiał, czasem tylko Ela Gepfert – ówczesna prezes Klubu – przysiadła obok na chwilę i rozmawiała cichutko, ale o czym – nie mieliśmy pojęcia. Później, gdy już z Anią naprawdę się zakumplowaliśmy, dowiedziałem się, że tematem owych pogaduszek była jej pierwsza powieść – *Miasto w zieleni i błękicie*.

Nie licząc Eli, integracja klubowiczów z Anią na tym etapie ograniczała się do kilku „cześć” na powitanie, a potem, gdy przychodził czas odjazdu ostatniego autobusu w kierunku Szopienic, jeszcze jednego słowa pożegnania. I tyle. Słowem, Ania przychodziła do nas poczytać w możliwie najgorszych do czytania warunkach – niech mnie diabli, jeśli to nie było intrygujące!

\*\*\*

Najczęściej zjawiała się jako jedna z pierwszych. Zdarzało się nawet, że wcześniej niż ja, wtedy czekała – czytając, a jakże! – na schodkach, aż przyjdę z kluczami. Z początku od razu siadała pod wieszakiem, ale później zdarzało się jej wybierać miejsce po drugiej stronie biurka i tak zaczęliśmy gadać. O książkach i filmach, co w nich lubimy, a czego nie. Trwało to czasem pół godziny, czasem dwie, póki

w klubie nie zebrało się więcej ludzi. Wtedy ja wracałem do brylowania, popisywania się i rzucania czasem bardziej, czasem mniej udanych żartów zza biurka, a Ania szła pod wieszak poczytać. I tak do następnego tygodnia.

Przegadaliśmy wtedy masę czasu, ale temat własnej twórczości jakoś nie padał. Z tego, co pamiętam, o *Mieście w zieleni i błękicie* dowiedziałem się nie od Ani, ale od Eli Gepfert, która stwierdziła, że książka wprawdzie wymaga poprawek, ale jest naprawdę dobra. Pamiętam zdumienie Ani, gdy powiedziałem, że chciałbym to przeczytać. Nie kokieterię, nie fałszywą skromność – autentyczne zdumienie. „Ale to grube jest – zastrzegła. – I chwilami nudne”.

Mimo to chciałem i ponowiłem prośbę, a wtedy wręczyła mi zbindowany wydruk.

I faktycznie był gruby, choć nie jakoś przerażająco. Miał też nudne momenty, ale nie za wiele. Dla mnie, kogoś, kto już wtedy był na etapie: „Hej, piszę, więc jestem pisarzem”, była to solidna lekcja pokory. Tak, pomyślałem, wygląda wstępnie uformowany, gotowy do debiutu pisarz, człowieku. Jeszcze ci do tego daleko...

\*\*\*

Wybaczcie te szarpane wspominki z naszych początków, ale próbuję poukładać sobie w głowie całą tę historię, byście zobaczyli Anię u progu debiutu tak, jak wtedy widzieliśmy ją my, a jednocześnie byście nie popełnili naszego błędu i nie pomylili jej milczenia i świadomego trzymania się z boku z nieśmiałością. Bo przy spotkaniu łatwo ulec pozorom i kto wie, może uśmiechnąć się z pobłażaniem? A to błąd.

Walczę też ze sobą, by ten i wszystkie pozostałe wstępy, jakie mam przyjemność tu napisać, były choć trochę o tekstach Ani, nie o niej samej, choć, cholera, kusi, by przedstawić Wam tę niezwykłą znajomość, która wpłynęła na mnie na tak wielu poziomach. Dość powiedzieć, że – dosłownie – gdyby nie Ania, nie byłoby mnie jako autora, to ona przekonała bowiem selekcyjera tekstów Fabryki Słów, by przepuścił dalej mój debiut i pokazał go jeszcze komuś. Ale to nie

ma być pean pochwalny, prawda? Nie jestem też pewien, na ile interesuje Was historia niezwyklej przyjaźni podszytej pisaniem, która nie ma finału rodem z komedii romantycznej z Meg Ryan i Tomem Hanksem.

Pozwólcie zatem, że zacznę jeszcze raz, już z jakąś bardziej uczesaną myślą w głowie: Jestem tu i piszę te słowa, bo obserwowałem proces okołotwórczy Ani Kańtoch od *Miasta* w zieleni i błękiecie po drugi tom *Przedksiężycowych*. *Jestem, ponieważ mogę powiedzieć, że uczestniczyłem w powstawaniu niektórych opowiadań na tyle, by mieć o nich jakąś zabawną anegdotę. Ba, jeden z tekstów został poniekąd napisany na moją prośbę, choć jego akurat w tym zbiorze nie ma. Postaram się więc zbudować dla tych opowiadań jakieś tło, wiedząc doskonale, że Ania zdecydowanie woli tworzyć teksty niż o nich mówić. I może ma rację? Z pewnością jej utwory bronią się same, bez poszerzania kontekstu, bez anegdot „z planu” czy „z warsztatu”. Ale, cholera, może się mylę, ale czasem te anegdoty są tak fajne, tak urocze, zabawne, że aż szkoda zmarnować okazję.*

Ot, weźmy historię pierwszego spotkania autorskiego Ani, które prowadziliśmy wraz z Michałem Cholewą. Obaj prowadzący to gaduły, sala pełna, w dużej mierze, znajomych. Pytań przygotowanych tyle, że samo ich zadanie zajmowało czterdzieści pięć minut, spotkanie przewidziane na godzinę – co może pójść źle?

Źle nic, ale zabawnie. Zużyliśmy wszystkie nasze pytania, publika dorzuciła ze cztery swoje, a i tak spotkanie skończyło się przed czasem. Ania bowiem zawsze jakoś znajdowała sposób, by odpowiedzieć tylko: „Tak”, „Nie” albo... „W sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałam”, co w jej przypadku nie było wstępem do wypowiedzi, ale jej końcem. No bo skoro się nie zastanawiała, to przecież nie będzie robić tego teraz. Przemyśli, przeanalizuje i rozwinie w którymś z tekstów.

Albo to: wiecie, co to znaczy „kańtoszyć”? Wymyśliliśmy to określenie z Krzyśkiem Bortelem, jadąc na Polcon do Błażejewka. Znaczy to „odseparować się w podróży od współpodróżnych”. Półkańtoszenie to czytanie książki zamiast uczestniczenia w rozmowie. Kańtoszenie pełne to czytanie i jednoczesne słuchanie

muzyki przez słuchawki, by rozmowa w żaden sposób nie przeszkadzała w lekturze.

Oto czego możecie się spodziewać po moich wstawkach w tym zbiorze. Możecie je swobodnie pomijać i po prostu cieszyć się całą gamą emocji i wrażeń. Dostaniecie oniryczne wariactwa, niepokojące horrory, solidne, przemyślane SF i moje ulubione – opowieści z pogranicza gatunków. Usłyszycie echa dawno opowiedzianych historii dawnych mistrzów, ale przedstawione w zupełnie nowej odświeżeniu, przefiltrowane przez intelekt i wrażliwość znakomitej, świadomej swojej pracy pisarki. Ania nigdy nie była „polskim kimś tam”, nie przyłgnęły do niej podobne etykiety, bo tańcząc na tym balu, świadomie wybierała wpisy do swojego karneciku. I nie miało znaczenia, czy Gaiman, Zelazny, czy Miéville – nikt nie dostawał wyłączności.

Dziś kolejne Nagrody im. Janusza A. Zajdla czy inne wyróżnienia oraz, nade wszystko, zasłużona opinia jednej z najciekawszych polskich pisarek ostatniej dekady świadczą o tym, że wybrała dobrze i że wie, co robi.

Ja jestem tu tylko po to, byście nie przeżyli za dużego szoku, przechodząc zbyt gwałtownie od jednego emocjonalnego rollercoastera do drugiego, a także po to, by anegdotkami pokazać ludzką stronę autorki. Bo w oczach jednego z jej największych fanów, człowieka, który szczycił się przez długi czas – i momentami na wyrost – mianem jej pierwszego czytelnika, a nade wszystko, myślę, przyjaciela, Ania jako osoba jest równie ciekawa i niezwykła jak jej teksty. A nawet bardziej.

Dlatego nie przedłużając zbytnio – jeszcze się wszak w tym tomie spotkamy, pewnie nawet za chwilę – życzę Wam czasu na lekturę. Niekoniecznie miłą, bo przecież nie zawsze o to chodzi. Ale nieodmiennie przemyślaną, stworzoną z rozmysłem i dobrą.

Oto Ania Kańtoch. Przepraszam... Anna.



\*\*\*

Jeszcze raz na szybko przejrzałem wszystkie opowiadania w zbiorze i widzę, że Ania zdecydowała się nie fundować Wam łzawych historyjek o tym, jak ona odchodzi z innym, jak z suchym trzaskiem łamią się serca, a łzy na poduszce wyglądają w świetle nocy jak plamy krwi. I nie wiem, czy odpuściła sobie taką historię celowo, czy też nie, ale jeżeli nawet, to ja jej teraz pokrzyżuję szyki. Oto bowiem opowieść właśnie w tym stylu. Co więcej, oparta na faktach i ściśle związana z genezą tego opowiadania!

Rola betatestera tekstu to oczywiście przywilej i punkty do lansu, ale także, o czym wie każdy, kto to robił i podchodził do swego zadania poważnie, cholernie ciężka i trudna robota. Przede wszystkim dlatego, że twoim zadaniem jest nie tylko wyrażenie opinii, ale też wskazanie nieścisłości czy ewentualnie podzielenie się skojarzeniami, sugestiami etc. Ponadto fajnie, jeżeli znasz się na poruszonym w tekście temacie, możesz służyć pomocą merytoryczną, coś w tekście poprawić. No i, przede wszystkim, trzeba się nauczyć, jak takie opinie wyrażać, by autor przyjął uwagi, ale... no, nie wziął ich do siebie. Ufam, że rozumiecie.

Dopóki Ania pisała teksty z pogranicza horroru, kryminału i fantasy – w całej rozpiętości gatunków – czułem się w swej roli całkiem pewnie. Ale potem koleżanka Kańtoch zdecydowała, że najwyższa pora sięgnąć po science fiction.

Z pozoru niewiele się między nami zmieniło. Byliśmy dla siebie mili, cześć, cześć, słodkie słówka, pogaduszki, ale nagle Ania zaczęła znikać pod byle pretekstem, by przyczaić się gdzieś w kącie z jakimś naszym wspólnym znajomym. Kilka razy przyłapałem ją na tęsknych spojrzaniach rzucanych w stronę drzwi wejściowych, jakby na kogoś czekała.

Milczałem. Znosiłem to mężnie, mając nadzieję, że to przejściowe. W końcu mieliśmy już za sobą parę lat niezwyklej relacji, kilka książek, opowiadań. Mieliśmy, na bogów, wzajemne dedykacje! Ale coś w drżącym z niepokoju serduszku mówiło, że oto świat się zmienił, nic już nie będzie takie samo. Już jej nie wystarczałem.

Niedługo potem Ania i Misiek Cholewa zupełnie przestali się kryć. Siadali razem przy głównym stole, dyskutowali; nie bacząc na to, że są przecież w publicznym miejscu, wymieniali merytoryczne uwagi. Raz czy drugi zapytałem, co tu się wyrabia, ale słyszałem, że nie nic, że właśnie kończą. A potem tylko porozumiewawcze spojrzenia, półsłówka o pancierzach, wysięgnikach, atmosferze i ciśnieniu.

Zrozumiałem. Poddałem się i snułem z miejsca na miejsce. A potem dostałem kawałek tekstu. I zawiść, zazdrość nie pozwoliły mi wówczas docenić go należycie. Powiedziałem, że zaczyna się nudno, że czegoś tam brakuje. Ela Gepfert, która dostała ten sam fragment, powiedziała, żebym puknął się w czoło, bo to jest świetne. Ale mnie w głowie było wtedy tylko to snucie, spiskowanie w kąciakach klubu, pan Michał, wielki matematyk i taki jestem sprytny, bo umiem całki, militaria, kosmos, esefy i... cholera, nawet powyżłościwić się nie było jak, bo Michał rzeczywiście znał się na tym wszystkim, a że i smykałkę do pisania miał, betatesterem był dla tego opowiadania wyśmienitym.

Trzeba oddać Ani sprawiedliwość. To nie tak, że odpuściła mnie sobie zupełnie. Raz czy drugi pytała o coś, jakby sprawdzała, czy mogę cokolwiek wnieść do powstającego tekstu. Ale nie, nie mogłem. Bo wiecie, czasami jest tak, że facet nie może i już. Zwłaszcza pod presją. Wszystkie moje uwagi wiązały się z poszerzaniem elementów horroru i prowadziły nas w odmęty filmu *Ukryty wymiar*, gdzie ta opowieść zdecydowanie nie powinna się znaleźć. Była na to stanowczo za dobra.

A jak, zapytacie, potoczyła się historia zranionych uczuć? Z czasem jakoś sobie to wszystko z Anią i Michałem wytłumaczyliśmy, ale plasterek na pękniętym sercu pozostał i czasem trzeszczy naciągnięty, gdy zerkam na tę w pełni zasłużoną dedykację dla betatestera na jednym z absolutnie najlepszych tekstów Ani.

Nadmienić trzeba, że *Światy Dantego* to pierwszy w karierze autorki Zajdel. W pełni zasłużony i długo przez nas oklaskiwany, a potem, już bez śladu waśni, należycie opity. Serio, jeżeli musicie wybrać do przeczytania jeden tekst z tego zbioru, oto macie go właśnie na następnych kartkach. Fenomenalna rzecz!

# Światy Dantego

*Za pomoc przy pisaniu dziękuję Michałowi Cholewie, który podsunął mi większość pomysłów (a może i wszystkie) na rozwiązania techniczne. Bez jego rad to opowiadanie by nie powstało*

Dante 3 morfował. Czerwona skała i czarny metal bezustannie zmieniały kształty, w spotworniały, groteskowy sposób naśladując formy zwierzęce i roślinne. Szybciej, wolniej, znowu szybciej. Po lewej stronie Sofii metalowy krzew o liściach jak ostrza brzytew płynnie przeszedł w wychudzone, wilkopodobne stworzenie, które niezgrabnie zachwiało się na ośmiu pajęczych nogach. Po prawej uformowały się kolumny podobne do odartych ze skóry kończyn, z pulsującymi czerwienią ścieżkami mięśni i czarnymi żyłami. Kobieta zerknęła na nie przelotnie, nie zwalniając tempa. Czy połączą się, tworząc łuki, a potem jakąś skomplikowaną konstrukcję, czy może będą się stawać coraz cieńsze i wyższe, aż sięgną nieba?

Na myśl o niebie odruchowo spojrzała w górę. Było granatowe, z pasmami czerwieni i żółci, które kapały morfujący świat w nierzeczywistym, niemal baśniowym świetle. Łagodność tego blasku była zdradliwa – aura potrafiła się tu zmienić w ciągu kilku sekund i wtedy nieboskłon zaczynał płonąć niczym jezioro benzyny. Zaraz potem nadciągała ognista burza albo gorące, żółte od siarki deszcze.

Wergiliusz twierdził, że dziś pogoda będzie ładna, co na Dantem 3 oznaczało temperaturę czterdziestu paru stopni, lecz Sofia na wszelki wypadek włożyła termiczny skafander. Na tym skończył się jej rozsądek, bo ciężki, ograniczający pole widzenia hełm z aparatem tlenowym przytoczyła do pasa. Liczyła, że w razie czego zawsze zdąży po niego sięgnąć. Prawdopodobnie zdąży.

Szła ostrożnie, starając się nie rozglądać na boki. Grunt pulsował pod jej stopami, gotowy w każdej chwili wystrzelić w górę albo opaść, a ona czuła się jak w wesołym miasteczku, gdzie jedną

z atrakcji było chodzenie po poruszających się deskach. Dwa kroki w przód, jeden w tył, utrzymać równowagę, w bok i dalej do przodu, piszcząc i śmiejąc się razem z innymi dzieciakami. Tamte deski poruszały się szybciej niż grunt na Świecie Dantego 3, ale i ona była wtedy młodsza. Znacznie, znacznie młodsza. Jeszcze do niedawna Sofia myślała o sobie jako o kobiecie w średnim wieku, a nawet – gdy czuła się wyjątkowo dobrze – jako o kobiecie w kwiecie wieku. Teraz zaczynała przyzwyczajać się do myśli, że jest po prostu stara, a stare kobiety szybko się męczą i mają kruche kości. Gdyby upadła, być może nie zdołałaby już wstać.

Wiatr wzmógł się, ciskając jej w twarz odległe krzyki, a także woń palonych ciał, która mimo maski docierała do nozdrzy i zostawiała w gardle nieprzyjemny, lepki posmak. Spłukała go łykiem ciepłej wody, odetchnęła i zsunęła z czoła gogle. Dzięki nim widziała, choć wokół pociemniało od drobinek popiołu.

Przed nią wznosiła się ażurowa konstrukcja, coś jak metalowa katedra, którą porzucono w połowie budowy. Na wewnętrznej stronie gogli jej obraz wyświecił się w postaci czerwonych pulsujących linii, lecz kobieta wiedziała, że w rzeczywistości budowla jest czarna. Jak węgiel albo piekielna smoła.

Przyspieszyła. Mokre od potu włosy lepiły się do czoła, w płucach brakowało tchu, bolała nadwyreżona kostka. Mimo to Sofia szła coraz szybciej, byle do przodu, byle uciec przed strachem i wątpliwościami, które ścigały ją, odkąd opuściła stację.

Przystanąła tylko na chwilę.

Katedra morfowała w szkielet przedpotopowego stwora, arkadowe łuki przechodziły w żebra, kolumny w piszczele, a fasada wyciągała się w długą, pełną ostrych zębów czaszkę.

Sofia zakłęta cicho i weszła do środka.

Wewnątrz było chłodniej, a także ciemniej, gdyż ognisty blask przegrywał z ruchliwymi cieniami zmieniającej się konstrukcji.

– Terry? – Gogle zepchnęła z powrotem na czoło, zdjęła maskę i zawołała, mając nadzieję, że w jej głosie nie słyhać paniki. – Odezwij się! Nie powinienes tu sam przychodzić! Tu jest niebezpiecznie!

Czarno-biała posadzka pod jej stopami układała się niemal we wzór szachownicy. Niemal, bo brzegi niektórych płytek już zaczynały się rozmywać. Gdy całą grupą byli tu ostatnim razem, na posadźce widniało dwanaście koncentrycznych, na przemian czarnych i białych kręgów, które bardzo Terry'ego zafascynowały.

– Jesteś tu?

Znalazła go w miejscu, które wciąż jeszcze można było nazwać boczną nawą. Oczywiście to nigdy nie była boczna nawa, lecz dzięki oswajaniu obcych, bezustannie morfujących elementów Dante 3 stawał się odrobinę bardziej przyjazny.

Terry siedział odwrócony tyłem i pochylony nad czymś, czego nie mogła dostrzec. Z przerażeniem zauważyła, że jest ubrany tylko w granatowe spodnie i bluzę, jakie naukowcy nosili na stacji. Jego ręce pracowały – nie widziała dłoni, ale świadczył o tym ruch ramion. Może zepsuł się aparat tlenowy, pomyślała, patrząc, jak po czerwonym od oparzenia karku przesuwają się cień morfującej arkady. Może wziął ze sobą choć aparat.

Dziwiła jednak cisza, która spowijała mężczyznę. Żadnego szczęk metalu, żadnych szeptanych przekleństw, które zazwyczaj towarzyszą walce z opornym urządzeniem. Ręce Terry'ego były zajęte, ale raczej nie naprawianiem.

– Wszystko w porządku? Musimy stąd wyjść, zobacz... – zamilkła. Strach wreszcie ją dogonił i chwycił za gardło.

Czarne, połyskujące metalicznie kości wyginały się, zbliżając się do nich z każdą chwilą.

Terry odwrócił się i wyciągnął w jej stronę dłonie, którymi poruszał, pocierając jedną o drugą niczym aktorka ćwicząca rolę Lady Makbet.

– Mam krew na rękach – powiedział bardzo spokojnie, jakby dokładnie sobie wszystko przemyślał i doszedł do wniosku, że te słowa będą najważniejsze.

– Widzę – odparła cicho.

– Tu jest jeszcze więcej krwi.

I rzeczywiście była – szerokie, rozmazane smugi czerwieni szpeciły biel szachownicowych kwadratów i prowadziły dalej, aż do

głębokiego, chłodnego cienia, w którym spoczywało ciało Moany. Jej nogi oplatały metalowe pędy, z których jeden, rozdzierając skafander, uparcie pełził w stronę kroku. Było w tym coś tak obscenicznego, że Sofia z trudem zmusiła się, by nie odwrócić wzroku. Wyciągnęła rękę i dotknęła zimnego czoła – pod strzechą splątanych, zlepionych krwią włosów czaszka dziewczyny przypominała stłuczoną skorupkę jajka.

– Ja ją tam położyłem. – Terry zamilkł, a potem wskazał powiększającą się szczelinę, przez którą wpadał ognisty blask. – W cieniu, bo światło raziło ją w oczy. Dobrze zrobiłem, prawda?

Palec, którym przed chwilą celował w niebo, teraz osobiwie dzieciennym gestem przyłożył do ust. Twarz też miał mocno zaczerwienioną i Sofia pomyślała, że przydałby mu się chłodzący okład. A potem, że oprócz okładu przydałby mu się także dobry psychiatra. Nie teraz, bo było za późno, ale znacznie wcześniej.

– Terry – szepnęła, przymykając oczy.

Skinął głową jak grzeczny uczeń, który rozważa słowa nauczyciela. Nawet zmarszczki na jego twarzy wygładziły się, nadając mu młodzieńczy wygląd. Źrenice miał powiększone, oczy bardzo odległe. Dłonie położył na kolanach i przyglądał im się, jakby widział je po raz pierwszy w życiu.

– To musiało się stać – powiedział po chwili łagodnie. – Od dawna było wiadomo, że komuś z nas wreszcie puszcza nerwy.

Sofia milczała, nie znajdując słów.

Terry powoli podniósł na nią wzrok.

– To już koniec, prawda? – zapytał.

\*\*\*

Dwa dni wcześniej:

*...jest coraz gorzej, tylko patrzeć, jak zaczniemy skakać sobie do gardeł. Z jednej strony dokucza nam brak prywatności, bo najczęściej przebywamy razem na stacji, gdzie jest mało miejsca, z drugiej strony rzadko kiedy znajdujemy w sobie dość odwagi, by pójść gdzieś samotnie –*

nawet gdyby miał to być dystans kilkunastu kroków. I nie chodzi wcale o rozsądek czy o restrykcyjne zalecenia Korporacji, które czasem lekceważymy, lecz właśnie o strach, taki najprostszy i najbardziej prymitywny. Przy silniejszym wietrze słychać tu krzyki z Otchłani, a w powietrzu unosi się popiół i swąd palonych ciał. Wszystko zmienia się bezustannie i już to jest torturą, gdyż nasze umysły potrzebują oprzeć się na czymś stałym, a tu niczego takiego nie ma. Przynajmniej na zewnątrz, bo jest oczywiście stacja, wsparta na amortyzowanych podporach i zaopatrzona w czujniki, które bezustannie monitorują grunt. Jeśli powierzchnia, na której stoimy, zacznie zbyt gwałtownie morfować, sterowane komputerowo silniki uniosą nas i umieszczą w spokojniejszym miejscu. To pochłania mnóstwo energii, ale dzięki temu przynajmniej mamy niejakie poczucie bezpieczeństwa.

Nasz entuzjazm szybko został zastąpiony psychicznym wyczerpaniem. Na początku szczerze wierzyliśmy, że to my właśnie uratujemy ludzkość i zostaniemy bohaterami. Naiwne, prawda? Teraz jesteśmy po prostu zmęczeni. Coraz częściej – kiedy się nie kłócimy – mówimy o powrocie do domu. Brama zostanie otwarta za pięć dni (tak naprawdę tu nie ma dni ani nocy, lecz nadal liczymy czas według ziemskiej rachuby) i to podtrzymuje w nas nadzieję. Nie odstrasza nas nawet fakt, że sytuacja na Ziemi pogarsza się z każdą chwilą. Już kiedy wchodziliśmy do Dantego 3, było źle, a teraz jest jeszcze gorzej. Mimo to chcemy wracać – niech inni zajmą nasze miejsce i niech oni walczą o ocalenie rodzaju ludzkiego. My mamy dość.

Ja radzę sobie całkiem nieźle. Fizycznie czuję się dobrze, zwłaszcza jak na mój wiek. Odradzano mi pobyt na trójce, lecz się uparłam, a ze względu na fakt, że mój zmarły mąż był inicjatorem projektu Bram, nikt się nie ośmielił zakazać mi tego. Nie żałuję mojej decyzji, mimo wszystko nie żałuję. Psychiczenie jestem w lepszym stanie niż inni, ponieważ jako lingwistka nigdy jeszcze nie schodziłam do Otchłani i najczęściej z całej naszej grupy przebywam samotnie na stacji. Mam wtedy chwilę dla siebie i to pomaga mi zachować równowagę.

Nacho Yeung jest spokojny, niemal nienaturalnie, zwłaszcza kiedy wszyscy wokół wrzeszczą. Postarzał się w ciągu ostatnich dni, a gdy patrzę w jego oczy, widzę ogromny ból i jeszcze większe zmęczenie. Mimo

to wciąż potrafi podzielić się z innymi swoim ciepłem. Sama jego obecność działa na nas uspokajająco, Nacho nawet nie musi nic mówić. Czemu nie spotkałam tego faceta przed trzydziestu laty?

Moana Mérida również trzyma się nieźle. Jest bezwzględna i bezgranicznie wierzy w naukę...

Sofia zamilkła, niepewna, czy kontynuować. To nie był oficjalny raport, tylko prywatny dziennik, lecz możliwe, że kiedyś zdecyduje się go opublikować. Co tam, najwyżej wykasuję niewygodne fragmenty, pomyślała.

Moana Mérida to taki doktor Mengele w spódnicy. Rany, jak to brzmi – wszystko na „m”... Chyba zaczynam wariować, że bawią mnie takie rzeczy. A tego skojarzenia nie mogę się pozbyć. Bo jak inaczej można nazwać kogoś, kto nazywa ludzi płonących w Otchłani „ciekawymi przypadkami”?

Jeśli zaś chodzi o kapitana Peñę, to szczerze mówiąc, wciąż nie wiem, co o nim myśleć. Niewątpliwie jest znakomitym żołnierzem, ale w jego zachowaniu „twardego faceta” jest coś odrobinę fałszywego, zupełnie jakby nosił maskę – co prawda taką, w jakiej dobrze się czuje, ale jednak maskę. Próbowалаm kilka razy pod nią zajrzeć, lecz docierałam tylko do kolejnych masek – Szarmanckiego Dżentelmena, Który Z Oddaniem Chroni Kobiety, Kochającego Męża, Który Codziennie Wysyła Żonie Wiadomość, czy w końcu Bogobojnego Chrześcijanina, Który Nawet W Piekło Nie Traci Wiary.

Nie wiem, czy gdzieś pod tymi maskami kryje się prawdziwy Emilio Peña, i szczerze mówiąc, przestało mnie to obchodzić. Najważniejsze, że kapitan utrzymuje swoich podwładnych w dobrej kondycji (mam na myśli przede wszystkim kondycję psychiczną, nie fizyczną). To młodzi ludzie – z mojego punktu widzenia niemal dzieci, które jeszcze nie zaczęły żyć – i żaden z nich nie zasłużył na to, by znaleźć się w takim miejscu. Niewiele o nich wiem, bo najczęściej przebywają w swojej części stacji, we wspólnej sali, gdzie grają w karty albo w kości. Są wystraszeni, ale też bezgranicznie wierni swojemu dowódcy, któremu ufają jak Bogu, i za to chyba czuję do Peñy odrobinę sympatii. Ktoś, kto budzi takie uczucia, musi być porządnym facetem.

I na koniec Terry Kassou, mój brat.



*On jest w najgorszym stanie. Żałuję, że uległam jego prośbom i wstawiłam się za nim. Boże, gdybym dorwała w swoje ręce psychologa, który wystawił mu opinię „emocjonalnie stabilny”, to wyrwałabym mu wszystkie kudły!*

*Lalita zmarła przed pięcioma miesiącami, a on wziął ze sobą Konstrukt Osobowości Tearle'a, tę zabawkę dla bogatych i nieszczęśliwych, którą ludzie nazywają KOT-em. Lalita poddała się skanowaniu, gdy miała dwadzieścia lat, i nigdy później go nie odnawiała, dlatego też razem stanowią osobliwą parę: młodziutka kobieta, niemal jeszcze nastolatka, i siwiejący, pomarszczony mężczyzna, który tłumaczy, że jest jej ukochanym mężem, tym samym, którego ona pamięta jako pełnego życia młodzieńca. Mam wrażenie, że po pięciu miesiącach Lalita wciąż jeszcze nie całkiem w to uwierzyła, a z pewnością tej zmiany nie zaakceptowała. Czasem gdy patrzy na Terry'ego, w jej oczach widzę niepewność, obawę, a nawet wstręt. Pamiętam Lalitę z czasów, gdy miała dwadzieścia lat – to była uparta, zwariowana dziewczyna z gatunku tych, które szczerze wierzą, że świat należy do młodych i lepiej umrzeć przed trzydziestką. KOT co prawda jest tylko hologramowym, bezcielesnym duchem, lecz ma jej osobowość, a ta nigdy nie zaakceptowałaby postarzałego Terry'ego.*

*Podejrzewam, że Terry od początku o tym wiedział i przed uruchomieniem kazał wprowadzić do programu pewne modyfikacje. Dlatego Lalita jest tak bierna, nie płacze, nie krzyczy, nie awanturuje się, tylko uśmiecha się łagodnie, gdy Terry do niej mówi. A on mówi bez przerwy, z wyjątkiem tych nielicznych chwil, gdy przebywa poza stacją, bo wtedy powierza żonę mojej opiece. Noszę bransoletę Tearle'a na rękę, ale rzadko ją uaktywniam – niech osobowość Lality pozostaje w uśpieniu, ja mam dość jej towarzystwa.*

*Tak samo mam dość – wszyscy mamy szczerze dość – emocjonalnego ekshibicjonizmu Terry'ego. On nie dba o to, czy ktoś go słyszy, czy nie, a ponieważ stacja jest niewielka, więc nie mamy gdzie uciec przed potokiem słów, które z siebie wyrzuca. Kochanie to, kochanie tamto, znowu jesteśmy razem i skarbie-mój-wszystko-będzie-dobrze, jakby, cholera, cokolwiek mogło być dobrze, skoro Lalita nie żyje. W innej sytuacji może byśmy mu współczuli, a tak jesteśmy zażenowani, bo zalewa nas swoimi chorymi emocjami i zmusza do uczestniczenia w tej parodii*

*miłości. A zaraz za zażenowaniem przychodzi złość na niego i na ten jego cholerny Konstruktor. Ja również jestem zirytowana, ale też ich żałuję. Lalicy, ponieważ najpierw umarła, a potem okaleczono jej osobowość, i Terry'ego, który rozpaczliwie udaje, że zmodyfikowany KOT jest jego kochającą żoną...*

Sofia umilkła, wyczerpana. Miała świadomość, że w ostatnim fragmencie dała się ponieść emocjom, i postanowiła na przyszłość uważać. Lubiła myśleć o sobie jako o kobiecie chłodnej, rozsądnej i zawsze opanowanej.

– Wergiliuszu?

TAK – komputer wyposażono w miękki, budzący zaufanie głos rasowego psychopaty.

– Zapisz to, a potem pokaż przegląd prasy.

Była jedyną osobą na stacji, która jeszcze sprawdzała napływające z Ziemi wiadomości. Pozostali za bardzo się bali, co usłyszą.

*PONAD DZIESIĘĆ TYSIĘCY ZMARŁYCH W TOKIO, ORLEAN MIASTEM DUCHÓW, ZARAZA PRZEKRACZA ATLANTYK, WOJSKO PACYFIKUJE NOWE DELHI, TRWAJĄ PRACE NAD SZCZEPIONKĄ.*

Sofia uśmiechnęła się gorzko. Trwają prace nad szczepionką! Dokładnie to samo słyszała, gdy pakowała walizkę przed przekroczeniem Bramy. Od tego czasu minęły trzy miesiące i szczepionki nadal nie było.

*ENCARNITA KARĄ ZESŁANĄ NA LUDZKOŚĆ ZA JEJ GRZECHY? MASOWE SAMOBÓJSTWA W...*

– Następna – warknęła. Dość miała słuchania o śmierci.

*NAUKOWCY ZE ŚWIATA DANTEGO 17 DONOSZĄ, ŻE ZNALEŻLI COŚ, CO MOŻE BYĆ LEKARSTWEM NA ENCARNITĘ.*

– Zatrzymaj.

Czym jest Dante 17? Walhalla, przypomniała sobie Sofia. Szesnastka to Avalon, a siedemnastka Walhalla. Co, u licha, może tam być uzdrawiającego? Złote tarcze? Przybite do ściany wilki? Dużo żarcia?

– Dalej.

*NIE SĄ JEDNAK PEWNI, CZY UDA IM SIĘ PRZETRANSPORTOWAĆ LEK PRZEZ BRAMĘ.*

Och, oczywiście, to główny problem ze wszystkimi Światami Dantego, prawda? Można do nich wejść, ale nie można niczego wynieść na zewnątrz. My również mamy tu coś, co być może pomogłoby chorym, i gdybyśmy tylko znaleźli sposób, by wysłać to na Ziemię...

Potrząsnęła głową. Takie gdybanie powodowało, że czuła się bardziej winna, choć jako lingwistka nie miała nic wspólnego z problemami transportu. W fakcie, że epidemia ospy krwotocznej, zwanej potocznie Encarnitą, oraz odkrycie Bram nastąpiły niemal równocześnie, wielu widziało palec boży. Od początku ludzie wierzyli, że na którymś ze Światów Dantego naukowcy odkryją lek na zarazę, a może i na wszystkie choroby, kto wie. Największe nadzieje wiązano rzecz jasna z jedyneką, ale jedyńska zawiodła. Wysłano tam trzy ekipy – pierwsza składała się z miłych i niewątpliwie bogobojnych księży, druga z nieco mniej miłych i bogobojnych naukowców, trzecia zaś z uzbrojonych po zęby marines, którzy jasno deklarowali, że w Boga nie wierzą, a jeśli jednak istnieje, to lepiej, kurwa, niech im schodzi z drogi. Żadna z tych grup nie wróciła.

Na pozostałych światach badacze radzili sobie znacznie lepiej, a na kilkunastu znaleziono coś, co być może mogłoby być lekiem na Encarnitę. Mogłoby, bo żadnej z tych substancji jak dotąd nie udało się przetransportować przez Bramę i wypróbować. Coraz częściej przebąkiwano o ewakuacji zdrowych jeszcze ludzi na te ze światów, które wydawały się najbezpieczniejsze. Był to gigantyczny, bardzo skomplikowany projekt i Sofia wątpiła, czy uda się go w pełni zrealizować. Prawdopodobnie nie, uznała. Jeśli szybko ktoś nie znajdzie sposobu, by przenieść któryś z leków przez Bramę, ludzkość wymrze, a Ziemia stanie się planetą ruin i bielejących w słońcu kości.

Potarła skronie, by odpędzić podobne myśli.

– Pomiń artykuły związane z zarazą i pokaż te dotyczące Bram – poleciła Wergiliuszowi.

Komputer kojącym głosem recytował kolejne wiadomości. Spekulacje dotyczące Bram – czym są i czy naprawdę prowadzą do znanych z legend i religijnych ksiąg światów, czy też może jedynie do równoległych rzeczywistości, gdzie wszelkie podobieństwa są

przypadkowe. Czy ludzie już wcześniej przechodzili przez nieustabilizowane Bramy, a jeśli tak, to jacy. Zabawny artykuł, którego autor zastanawiał się, czy Dante Alighieri był takim właśnie człowiekiem, czy też opierał się na relacjach innych, a może w ogóle zmyślał. Pytania o konsekwencje odkrycia Bram – psychologiczne, ontologiczne i teologiczne. Wywiad z egipskim profesorem, który protestował przeciwko nazwaniu Sehet Jaru Światem Dantego 34. „Ta nazwa wywodzi się z obcej nam kultury i jest kolejnym dowodem, że cywilizacja Zachodu wciąż próbuje nas zdominować i narzucić swój punkt widzenia”, twierdził.

Sofia uśmiechnęła się. Nazwa „Światy Dantego” zbyt mocno wrosła w powszechną świadomość, by dać się wyrugować. Wymyślił ją jej mąż, wielbiciel włoskiego poety. Sofia nie miała miłych wspomnień po zmarłym tragicznie Jacinto Vilchezie, ale uważała, że to akurat był dobry pomysł.

Przełączyła wiadomości na tryb tekstowy, a potem wstała i wykonała kilka prostych ćwiczeń, rozciągając zeszywniałe mięśnie. Przez cały czas patrzyła w ekran, po którym przesuwały się fragmenty artykułów.

*...ZBUDOWAĆ POMNIK POŚWIĘCONY PAMIĘCI JACINTO VILCHEZA, CZŁOWIEKA, KTÓRY ODKRYŁ NATURALNE PORTALE ZWANE BRAMAMI, A PÓŹNIEJ USTABILIZOWAŁ JE, TAK ŻE MOŻEMY BEZPIECZNIE PRZECHODZIĆ...*

*...KOMPLETNE FIASKO W PRÓBACH POROZUMIENIA Z TUBYLCAMI NA...*

*...KOLEJNA EKIPA WRACA Z PUSTYMI RĘKAMI...*

Przegapiła tylko jedną wiadomość. Podczas gdy na próżno starała się dotknąć palcami kostek u nóg, przez ekran przewijał się artykuł dotyczący odkrycia na Dantem 29 mozaiki składającej się z dwunastu czarno-białych kręgów.

Wyprostowała się, odetchnęła.

*...BARDZO OSOBLIWE ZNALEZISKO.*

Przeczytała ostatnie słowa, które nic jej nie mówiły, po czym zwilżyła gardło kilkoma łykami zimnej wody.

Sofia lubiła przebywać samotnie na stacji. Podobał jej się panujący

wtedy spokój i cisza, w której słycać było tylko szum generatora i poskrzypywanie amortyzatorów.

JEDNA ISTOTA NA ZEWNĄTRZ, poinformował głośno Wergiliusz.

Kobieta zamarła, w jednej chwili zabrakło jej tchu, w głowie zawirowało, nogi zrobiły się miękkie jak galareta.

– Człowiek? – szepnęła bezsensownie.

Wergiliusz znał każdego członka ich grupy i nazywał ich po imieniu. Żadnych innych żywych ludzi tu nie było, a martwi przebywali wyłącznie w Otchłani.

OBCA ISTOTA.

Diabeł, na zewnątrz jest diabeł, pomyślała. Przysunęła sobie krzesło, usiadła i odetchnęła, przyciskając dłoń do podbrzusza. Jej żołądek zmienił się w ciasną kulkę; widziała swoje odbicie w metalowej obudowie zbiornika na wodę – blada skóra, bruzdy wokół oczu i ust, nieporządnie związane siwe włosy.

Po prostu stara kobieta. Stara, przerażona kobieta.

Weź się w garść, nakazała sobie. Przecież nie chcesz być płacziwą starowinką, prawda? Nie przeszedłeś przez Bramę po to, żeby teraz chować się po kątach.

– Wciąż... tam jest?

POTWIERDZAM. JEDNA ISTOTA WCIAŻ NA ZEWNĄTRZ.

Przecież rozmawiałaś już z diabłami, tłumaczyła sobie Sofia, i nigdy żaden z nich nie próbował cię atakować.

Tak, ale wtedy obok stali żołnierze, odezwała się rozsądniejsza część jej umysłu. Pociski rozrywające miały poradzić sobie z morfującymi stworami, gdyby zawiodła broń bardziej konwencjonalna. Kapitan Peña wierzył, że w razie potrzeby okażą się skuteczne. Sofia była nieco bardziej sceptyczna – diabły przecież potrafiły się regenerować – ale...

Ale pociski mogłyby przynajmniej je zatrzymać. Choć na krótko, na kilka minut. Tyle wystarczy, by uciec. Teraz nie będę miała nawet tak nikłej szansy.

Z drugiej strony, jeśli nie otworzę drzwi, to do końca życia będę sobą gardzić. Dalej, Sofia, rusz się. Pamiętasz, jak studenci za plecami nazywali cię wredną suką i jeszcze gorzej? Zawsze uważałaś się za

twardą babę – udowodnij, że na to zasługujesz. Raz się żyje, prawda? Bo w obecnej sytuacji życie pośmiertne to nie jest coś, o czym człowiek chciałby myśleć. Więc wykorzystaj okazję, póki jeszcze oddychasz – niech znają cię jako kobietę, która samotnie poszła na spotkanie z diabłem...

Wstawaj.

Wstała, zakręciło jej się w głowie i oparła biodro o stół. Coś upadło na podłogę: zwykły kubek, jakieś próbki, które Terry czasem zostawiał w mesie, zamiast zanieść do laboratorium? Mniejsza z tym. Sofia ruszyła do wyjścia. Wbiła kod aktywujący i włącz otworzył się z cichym sykiem. Stała w progu, tłumacząc sobie, że w razie czego zawsze może się cofnąć, ale w głębi serca wiedziała, że to złudne pocieszenie. Diabły potrafiły być... diabło szybkie.

Stacja stała pół metra nad morfującym gruntem, tak więc kobieta i potężny, bardzo wysoki gość znajdowali się mniej więcej na tym samym poziomie.

Sofia spojrzała.

Diabeł morfował tak gwałtownie, że żołądek podszedł jej do gardła. Czerwone, pełne ostrych zębów paszcze, które pączkowały wewnątrz jeszcze większych paszcz, pazury, rogi i obsypane gorejącymi ślepiami skrzydła – wszystko to rodziło się, umierało i na powrót rodziło w nieustannym akcie chaotycznej kreacji.

Wytrzymała na tyle długo, by udowodnić gościowi – a przede wszystkim samej sobie – że się nie boi. Potem pochyliła głowę w wyrazie pozbawionego uniżoności szacunku. Diabły najlepiej reagowały na taką właśnie postawę i ten nie był wyjątkiem. Elementy jego sylwetki zmieniały się wolniej pośrodku i szybciej na obrzeżach – niewątpliwa oznaka dobrego humoru, którą Sofia dostrzegała kątem oka.

– Przeszedłem rozmawiać – powiedział. Głos miał niemal ludzki, niemal... miły, jednak z osobliwą, wysoką i irytującą nutą, która kojarzyła się z dźwiękiem noża drapiącego o szkło. – O nieumarłej. Widzieć się z Lalitą.

Sofia właściwie już się nie bała. Strach został wyparty przez fale adrenaliny, które wirowały jej w głowie.

– Chcesz zobaczyć się z Lalitą?

– Lalita, tak. Nieumarła.

Przy ostatnim spotkaniu próbowała wytłumaczyć diabłom pojęcie śmierci, a potem technikę tworzenia KOT-ów. Może źle mnie zrozumieli, pomyślała, może oni sądzą, że ludzie umierają, zaś jedyną, której udało się tego uniknąć, jest Lalita. Nic innego nie tłumaczy takiego zainteresowania – to pierwszy raz, gdy któryś z nich prosi o widzenie z konkretną osobą i w dodatku potrafi wymienić jej imię. Nikt z żywych nie dostał takiego zaszczytu.



– Oczywiście.

Sięgnęła do bransolety, którą powierzył jej Terry. Przez chwilę zeszywniałe, niepokorne palce ślizgały się po gładkim metalu, potem odnalazły przycisk aktywujący. Lalita pojawiła się obok Sofii – na wpół przezroczysta postać ładnej, pucołowatej blondyneczki



z zadartym nosem. Jak zawsze po okresie uśpienia wyglądała na lekko oszołomioną, ale szybko odzyskała równowagę. Zmodyfikowany program sprawiał, że nie potrafiła przeżywać silnych uczuć, co niewątpliwie pomagało w takich właśnie sytuacjach.

– Nie umarłaś – powiedział diabeł. – Zmieniłaś się. Jak my.

Pod Sofią ugięły się nogi, świat zawirował, jakby siedziała na karuzeli. Jak my? Jak diabły? Co to ma znaczyć?

– Zmieniłam się – odparła Lalita spokojnie. – Nie mam teraz ciała.

– Czy brakuje ci go?

A może czy jego brak sprawia ci kłopot? Wyrażenie nie było jednoznaczne, a jeśli Sofia miała kłopoty z przekładem, to Lalita prawdopodobnie w ogóle go nie zrozumiała.

Starsza kobieta przetłumaczyła pytanie.

– Tak – odpowiedziała Lalita. Jej beznamietna twarz zmieniła się; wyraz tęsknoty był niesamowicie silny, niemal drapieżny w swojej zachłanności. Trwało to krótką chwilę i zaraz znikło, a Sofia nie była pewna, czy nie uległa złudzeniu.

– Rozmawiałem – zwrócił się diabeł do lingwistki. – Nieumarła może odejść.

– I to by było na tyle – mruknęła Sofia. Nie miała zamiaru zastanawiać się, o co mu chodzi. Przynajmniej nie teraz, gdy wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie. – Pa, Lalita.

Wyłączyła bransoletę.

– Pozwoliłaś mi zobaczyć nieumarłą, co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał, a ona wyobraziła sobie naukowców jako członków prymitywnego plemienia i Lalitę jako ich bożka, którego za odpowiednią opłatą pokazują innym szczepom. Wizja była tak absurdalna, że z trudem powstrzymała chichot. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się na skraju hysterii i powinna jak najszybciej przerwać rozmowę.

Niemniej jednak nie zamierzała przegapić takiej szansy. To było spore ryzyko, Sofia nie miała pojęcia, jak diabeł zareaguje – mógł się zdenerwować i ją skrzywdzić, może nawet zabić. Jednak to uświadomiła sobie znacznie później, wtedy też przyszło spóźnione przerażenie. Teraz była pijana adrenaliną, odważna do granic

szaleństwa.

– Potrzebujemy kawałka twojego ciała – powiedziała.

– Rozmowa to jedno, ciało to drugie – odparł, morfując szybciej. – Rozmowa za ciało nie. Ciało za ciało tak.

– Nie rozumiem...

Z chmury wirujących elementów wysunął się czarny i ostry szpon, który musnął mały palec u jej prawej dłoni.

– To – na ziemię upadł kawałek diabła, wciąż zmieniający kształty – za to.

Sofia odmawiała *Ojcze* nasz, ale słowa nie miały znaczenia, były puste, Bóg nie istniał, a ona modliła się tylko dlatego, że znane z dzieciństwa słowa były liną utrzymującą ją ponad morzem szaleństwa.

On chce, żebym obcięła sobie palec, myślała, i muszę to zrobić.

Diabeł podał jej nóż – niewielki, ale przynajmniej stabilny; gdy trzymała go w śliskiej od potu dłoni, czuła tylko lekkie drżenie, nic więcej.

Oparła palce o próg, przyłożyła ostrze do nasady najmniejszego, tam gdzie cięcie powinno być najczystsze, szybko rozkrawające staw i oddzielające kości.

I zrobiła to. Bez namysłu, bo gdyby zaczęła myśleć, zaczęłaby też krzyczeć, płakać i wyć. Ostry, jasny ból poraził jej rękę aż do ramienia, a potem popłynął wyżej i przez chwilę Sofia myślała, że wreszcie straci przytomność. W jakimś stopniu to rozwiązanie wydawało się... bardzo kojące.

Z rany tryskała krew, więc owinęła dłoń luźną połą bluzy. Stopniowo mrok przed jej oczami rozpraszał się i widziała już odcięty palec, martwy szczątek własnego ciała. Zauważyła, że paznokieć jest odrobinę za długi, i przypomniała sobie, że dziś miała go przyciąć. Na chwilę opanował ją rozdzierający, absurdalny żal.

Ledwo zauważyła, że jej rozmówca odszedł. Palec pozostał tam, gdzie upadł – pod stacją, na morfującym gruncie. Najwyraźniej diabłu zależało na samym akcie obcinania, a nie na jego końcowym efekcie.

Wstała, z trudem pokonując słabość, zeszła na dół, podniosła kawałek diabelskiego ciała i wróciła do stacji. Zamknęła włącz,

a potem znalazła w sobie jeszcze tyle siły, by założyć regenerujący opatrunek. Zawarte w nim środki stępiły ból i w kombinacji z zażytymi doustnie pigułkami sprawiły, że Sofia zapadła w ciężki, nienaturalny sen.

\*\*\*

– To było głupie, mój Boże, to chyba najgłupsza, najbardziej szalona rzecz, jaką ktokolwiek z nas zrobił. Co ci odbiło, Sofio? Dotąd uważałem cię za rozsądną kobietę... Pozwól, niech to obejrzę. – Nacho Yeung wziął jej dłoń w swoje długie, śniade palce.

– Nic mi nie będzie – wymamrotała. Ból pulsował gdzieś w tle, niemal obojętny, niemal nieważny. Bardziej dokuczała jej ciężka jak kamień głowa i wyschnięte usta, w których z trudem mieścił się obrzmiały język. – Mogę dostać coś do picia?

– Jasne.

Z ulgą przełknęła kilka łyków chłodnej wody. Połajankami Yeunga wcale się nie przejęła. Wiedziała, że wysoki Chińczyk szanuje ją i lubi, a poza tym w jego głosie wyczuwała niepokój, nie złość.

– Rzeczywiście, to było kompletnie idiotyczne – dorzuciła Moana, pogardliwie wydymając wargi.

Ona, dla odmiany, wcale Sofii nie lubiła. Była bardzo młoda, bardzo ładna i bardzo zdolna, a wszystkie te czynniki razem wzięte sprawiały też, że była bardzo pewna siebie. Od początku jasno dawała do zrozumienia, że miejsce starszych pań jest w domu, przy wnukach i przy kominku, a nie na stacji badawczej.

– Ale dzięki mnie masz materiał do analizy, prawda? – Sofia obdarzyła ją swoim najbardziej uroczym uśmiechem dobrej babci. Wiedziała, że dziewczyna tego nie cierpi. – Znaleźliście ten kawałek ciała? Położyłam go na stole w laboratorium.

– Owszem, znaleźliśmy, ale na podłodze, nie na stole. Trzeba go było włożyć do terrarium. On wciąż morfuje, i to znacznie szybciej niż skała czy metal.

– Powinnaś odpocząć, zanim wrócą pozostali. – Yeung łagodnie pchnął Sofię z powrotem do pozycji leżącej i otulił kocem. Pozwoliła

mu na to. Chińczyk należał do niewielkiej grupy mężczyzn, których troska nie sprawiała, że czuła się upokorzona.

Zasunął ściankę oddzielającą jej poślanie od głównego pomieszczenia. Była cienka, a w kabinie ledwo starczało miejsca, by się położyć, lecz Sofię cieszyła ta namiastka prywatności. Przynajmniej nie musiała patrzeć na Moanę, której twarz przybrała osobliwy wyraz skupienia i jednocześnie złośliwego triumfu. Starsza kobieta wolała się nie zastanawiać, co to mogło oznaczać.

\*\*\*

Obudziła się nieco później, gdy wszyscy już wrócili na teren stacji. Wszyscy? Tak, chyba tak, zastanawiała się sennie. Słyszała Terry'go i kapitana Peñę, a w tle głosy młodych żołnierzy.

Terry, Emilio Peña, a także Nacho Yeung kłócili się właśnie o nią, o Sofię, a dokładniej o zdrowie jej umysłu.

– Ostrzegano nas przed czymś takim, prawda? – To kapitan, jak zawsze mówiący suchym, rzeczowym tonem. – Moim zdaniem mamy do czynienia z typowym przykładem psychicznego załamania. Powinniśmy zgłosić konieczność wcześniejszego otwarcia Bramy i odesłać Sofię na Ziemię. Ta nieszczęsna kobieta oszalała.

– Bzdura! – głos Terry'ego załamał się niebezpiecznie. – Znam ją od dawna i wiem, że ona nigdy... nigdy...

Kochany Terry. Niedawno wstawiła się za nim i teraz spłacał dług. A przynajmniej próbował. Jej braciszek, którego kiedyś uczyła puszczać na wietrze latawce. Dawno, dawno temu w innym, lepszym świecie. Przed zmarszczkami, przed śmiercią jej męża i jego żony, przed Encarnitą i zanim piekła dodano przy nazwie numerek.

– Doprawdy? A gdyby diabeł dostał się na stację, kiedy ona tak po prostu otworzyła mu drzwi? Gdyby zniszczył nasz generator, nasz system odzyskiwania wody, zapasy, komputer i cały nasz sprzęt, a my nawet nie moglibyśmy wysłać wiadomości na Ziemię? Pomyślałeś, idioto? Pomyślałeś, że możemy przez nią umrzeć? Nie wiedząc nawet, co się, kurwa, z nami stanie po śmierci? Może masz ochotę znaleźć się w Otchłani, co? Jeśli tak, to proszę, droga wolna. Ja nie mam

zamiaru...

– Przestańcie – powiedział Nacho Yeung łagodnie i zarazem stanowczo. – Rozmawiałem z nią i nie dostrzegłem oznak załamania. Sofia nie jest szalona, po prostu usiłowała coś samej sobie udowodnić, a potem działała w warunkach silnego stresu, który nie pozwalał na jasną ocenę sytuacji.

– Odcięła sobie palec – warknął Peña. – Niby o czym to ma świadczyć, jak nie o skłonnościach autodestrukcyjnych?

Sofia niemal ujrzała, jak Chińczyk kręci głową.

– Ona się bała, że jeśli tego nie zrobi, to złamie umowę i zdenerwuje diabła, a ponieważ była przerażona, nawet nie przyszło jej do głowy, żeby spróbować z nim negocjować. Żadnej autodestrukcji, tylko silny stres. Oczywiście Sofia nie powinna rozmawiać z diabłem bez odpowiedniej ochrony, to było niemądre i musimy jej wytłumaczyć, że podobne wybryki narażają nas wszystkich, niemniej jednak jako lekarz nie sędzę, żeby były potrzebne jakieś... bardziej radykalne środki. A poza tym – w głosie Yeunga zabrzmiała nutka rozbawienia – niech pan pamięta, kapitanie, że uruchomienie Bramy pochłania mnóstwo energii i jest bardzo kosztowne. Jeśli Korporacja zabierze Sofię przed wyznaczonym terminem, a potem się okaże, że tak naprawdę nic jej nie dolega, to kto wie, czy nie obciążą nas kosztami dodatkowego otwarcia. Pomyślał pan o tym?

Kapitan milczał i Sofia doskonale potrafiła wyobrazić sobie jego twarz. Szczupłą, spaloną słońcem i nabrzmiałą od tłumionego gniewu.

– Chcę, żeby ktoś jej pilnował – odezwał się po chwili. – Bezustannie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ty albo Kassou, skoro jej bronicie, albo w ostateczności jeden z moich ludzi. Tylko pod tym warunkiem nie wyślę oficjalnego zawiadomienia, że Sofia Vilchez postradała zmysły.

Na krótko zapanowała cisza i starsza kobieta wiedziała, że Terry oraz Nacho Yeung w milczeniu kiwają głowami. Kapitan nigdy nie zmieniał decyzji, gdy raz coś postanowił.

– Muszę wam coś powiedzieć – wtrąciła Moana, sądząc po głosie, wyczerpana, ale też zadowolona. – Porównałam próbki diabelskiego

ciała i te, które zebrałam od ludzi w Otchłani, i wiecie co? Obie składają się z bardzo niestabilnej substancji, którą nazwałam méridionem...

– Tej samej, która jest w metalu i skałach? – zapytał Peña.

– Tu nie ma nic oprócz skał, metalu i cuchnącej, gorącej wody. No i ognia, oczywiście – odezwał się Terry.

Moana zignorowała go i kontynuowała:

– W przypadku metalu i skał méridion jest tylko dodatkiem. Dlatego krajobraz zmienia się stosunkowo wolno. Diabły potrafią morfować błyskawicznie, bo składają się wyłącznie z tej substancji. A teraz uwaga: dokładnie tak samo zbudowane są ciała w Otchłani. To dlatego wciąż płoną i wciąż się odradzają. Ogień powstrzymuje proces morfowania i cała energia méridionu skupiona jest tylko i wyłącznie na regeneracji...

– Moment – przerwał jej kapitan Peña. – Twierdzisz, że gdybyśmy wyciągnęli którąś z tych nieszczęsnych dusz poza zasięg płomieni, to potrafiłaby się zmieniać jak diabeł?

– Owszem. Podejrzewałam to już wcześniej, bo próbki pobrane od ludzi z Otchłani zaczynały morfować, gdy tylko ogień przestawał na nie działać. Nie wiedziałam jednak, że diabły i dusze składają się dokładnie z tej samej materii.

– Więc gównu mamy, a nie lekarstwo na Encarnite! – wrzasnął Terry z rozpaczą i złością. – Gdyby chodziło tylko o regenerację, to byłoby coś, ale przecież nie zmienimy chorych w zmiennokształtne potwory!

– Nie, ale myślę, że w odpowiednich warunkach i przy odpowiednim sprzęcie méridion dałoby się ustabilizować, tak żeby odpowiadał tylko za odbudowę tkanek.

– Ale w tym celu musimy wysłać go na Ziemię, a nadal nie mamy pomysłu, jak przenieść cokolwiek z tego świata przez Bramę – parsknął Peña.

– My nie, ale znam kogoś, kto pracował nad tym problemem i był bliski rozwiązania, tyle że umarł.

Sofia gwałtownie usiadła na łóżku.

– Jacinto Vilchez? – głos Terry’ego był wysoki, bardzo

młodzieńczy. – Mówisz o Vilchezie?

– Owszem. Pomyślcie: wszyscy twierdzą, że to był kawał skurwysyna, nie? Nawet własna żona nienawidziła go tak bardzo, że pozwoliła mu wykrwawić się na śmierć. To gdzie mógł się znaleźć, jak nie tutaj?

Sofia usłyszała, jak Terry głośno przełyka ślinę. Sama nie mogła tego zrobić, bo gardło miała ściśnięte niczym w imadle. Jacinto Vilchez, jej mąż. Tutaj. Człowiek, którego niegdyś kochała, potem zaś nienawidziła. A kiedy umierał, poddała się słabości i zrobiła coś, co do dzisiaj napawało ją wstydem.

– I chcesz go odszukać? Moana, to wariactwo, tam są miliony dusz...

– Ja go widziałam i wiem dokładnie, gdzie jest. Możemy go wyciągnąć.

– Po tych wszystkich torturach pewnie będzie kompletnym wariatem, żaden umysł by czegoś takiego nie wytrzymał – wtrącił Peña.

– Może tak, a może nie. Skoro ciało się regeneruje, to może umysł też? To ma sens, bo po co dręczyć kogoś, kto jest tylko wyjącem kawałkiem mięsa? W każdym razie uważam, że warto spróbować. Kto jest za?

Teraz rozumiem, czemu miała taki wyraz twarzy, pomyślała Sofia.

– W porządku. – Nie trzeba było być psychologiem, by z zadowolonego głosu Moany wywnioskować, że projekt zyskał poparcie. – Ktoś jeszcze musi przekonać Sofię. Jacyś chętni?

Starsza kobieta wstała i energicznie odsunęła ściankę.

– Do czego chcecie mnie przekonać? – zapytała. – Że trzeba wyciągnąć Jacinta z Otchłani? Ależ ja się z wami zgadzam: oczywiście, że powinniśmy to zrobić.

Rozczarowana mina Moany niemal wynagrodziła Sofii szok ostatnich kilkunastu minut.

– Nie bałam się Jacinta, kiedy był żywy – dodała z uśmiechem – i tym bardziej nie boję się teraz, kiedy jest martwy.

W oczach Moany błysnęło coś bardzo nieprzyjemnego.

– Och, ale jest pewien problem. Ty nigdy nie byłaś w Otchłani i nie

wiesz, jak to wygląda. Ludzie płoną, regenerują się i znowu płoną. W całym cyklu jest tylko jeden krótki moment, kiedy można zobaczyć rysy takiego człowieka – zaraz potem twarz czernieje i skóra odchodzi od kości. A ja wcale nie jestem pewna, że rozpoznałam Jacinta Vilcheza. Dlatego najlepiej będzie, jeśli zajmiesz moje miejsce w Belzebubie i zejdiesz do Otchłani. Masz znacznie większe szanse zidentyfikować Vilcheza. Podam wam współrzędne...

– Daj spokój, Moana, chcesz zostać na stacji? – z niedowierzaniem zapytał Nacho Yeung. – A my mamy wziąć ze sobą Sofię? To nie ma sensu, skoro raz widziałaś Vilcheza i wiesz mniej więcej, gdzie jest...

– Zejdę do Otchłani – przerwała mu starsza kobieta. – Zresztą i tak chciałam choć raz to zrobić.

\*\*\*

– Ta dziewczyna tobą manipuluje – powiedział Nacho Yeung w porze, którą wszyscy na stacji zgodnie nazywali późnym wieczorem. Siedzieli w laboratorium w przyćmionym świetle, które wydobywało z mroku zarysy aparatury oraz terrarium z wciąż morfującym kawałkiem diabła. Z mesy dobiegały głosy Terry’ego, Moany oraz kapitana Peñy. Znow się kłócili, a Sofii nawet nie chciało się przysłuchiwać, żeby się dowiedzieć o co. Najważniejsze, że dopóki tamci byli zajęci wrzeszczeniem na siebie, ona i Yeung mogli w miarę spokojnie porozmawiać.

– Podpuściła cię, jakbyś miała dziesięć lat. Naprawdę nie sądziłem, że możesz być tak... głupio dziecinna. – Chińczyk zniżył głos do szeptu. – A gdyby Moana uznała cię za tchórza, to co z tego? Przejmujesz się opinią stukniętej siksy, która lubi patrzeć na płonące ciała, bo jej się wydaje... no, nie wiem, że brak ludzkich uczuć czyni z niej idealnego biologa? Naprawdę musisz jej udowodnić, że nie boisz się zejść do Otchłani?

– Nie jej. – Sofia potrząsnęła głową. – Sobie. Mówiłam prawdę: i tak miałam was prosić, żebyście choć raz mnie tam zabrali.

– Po co?

– Bo w dzieciństwie byłam małą, chudą dziewczynką, która



bezustannie musiała walczyć o akceptację, a za najlepszy sposób uznała właśnie udowodnienie, że jest odważniejsza niż inni. Czy taka popularna psychoanaliza cię przekonuje? – Yeung nie wiedział, czy mówi poważnie, czy może kpi sobie z niego. – A może po prostu taka się urodziłam, z wieczną chęcią sprawdzania samej siebie? Nie mam pojęcia, Nacho, naprawdę nie mam pojęcia. I nie sędzę, żeby to miało znaczenie. Raczej się nie zmienię; jak to ładnie mówią, nie nauczysz starego wróbla nowych sztuczek. – Znów się uśmiechnęła, tym razem szerzej. – A może to był pies? Mniejsza z tym...

– Dlatego właśnie wolałaś Dante 3 zamiast jakiegoś miłego miejsca, w którym elfy płasają przy świetle księżyca? Idę o zakład, że jako żona Vilcheza mogłaś wybrać którykolwiek ze światów.

– Owszem.

Nacho Yeung westchnął.

– Pokaż dłoń.

– Po co? Znakomicie się goi.

– Przyszliśmy tu pod pretekstem, że muszę obejrzeć twoją rękę, i skoro już tu jesteśmy, to równie dobrze mogę to zrobić. Chcesz, żeby zaczęto o nas plotkować?

– Że zamykamy się w laboratorium w celach nieprzyzwoitych? – Sofia zachichotała, a śmiech pogłębił bruzdy wokół jej ust i rozjaśnił oczy. Wyglądała teraz jednocześnie na starszą i bardziej ożywioną. – To byłoby całkiem miłe, ostatni raz plotkowano tak o mnie jakieś piętnaście lat temu. Ale skoro ci zależy...

Yeung skierował snop światła na delikatną, zbliźnowaciałą tkankę. Jeszcze niedawno, pomyślała kobieta, trzeba by naciągać skórę wokół kości, a potem ją zszywać – teraz wystarczy założyć odpowiedni opatrunek. A mimo to natury nie da się oszukać, bo wciąż czuję ból w palcu, którego tak naprawdę już nie ma.

Ból fantomowy, tak to się nazywa.

– A ty? – zapytała.

– Co ja?

– Czemu wybrałaś takie paskudne miejsce jak Dante 3? Nie powinieneś być na przykład na trzydziestce? Trzydziestka to chińska kraina nieśmiertelnych, prawda?

– Owszem, ale tylko na trójce jeszcze było wolne miejsce, a ja nie chciałem czekać. A fakt, że jestem Chińczykiem, nie ma znaczenia. Moi dziadkowie byli przykładnymi chrześcijanami, a rodzice na fali mody powrotu do korzeni czcili bogów błyskawicy, fortuny i całe to tałatajstwo. Ja natomiast zawsze byłem, hmm, powiedzmy, otwarty na różne możliwości.

– No i doczekałeś się. – Sofia wrzuciła wykorzystany opatrunek do kosza. – Teraz wygląda na to, że wszystkie religie w tym samym stopniu są prawdziwe. Albo nieprawdziwe, co kto woli.

– I nie ma już miejsca dla Boga...

– Ależ oczywiście, że jest.

– Jesteśmy w piekle, Sofio, razem z komputerem, sondami i sprzętem do analizy. Gdzie tu miejsce dla Boga? To wiedza, nie wiara.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Nie doceniasz tej drugiej. Wiara przetrwała mnóstwo rzeczy. Teorię ewolucji, dotarcie do jądra Ziemi, odkrycie, że nie jesteśmy we wszechświecie sami. Wszystko to nie eliminowało Boga, tylko... odsuwało go odrobinę dalej. Im więcej wiemy, tym Bóg jest dalej, ale wciąż istnieje, zawsze krok poza tym, co rozumiemy i potrafimy zbadać.

Nacho Yeung spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Nie podejrzewałem cię...

Zamilkł, bo do laboratorium weszła Moana, zarumieniona i ładna niczym walkiria, która właśnie toczy bitwę.

– Mamy problem – powiedziała, odgarniając z czoła jasne włosy. – Terry się upiera, że musimy prosić diabły o pozwolenie na zabranie Vilcheza. Dla mnie i dla kapitana to idiotyzm, diabły wcale się nie interesują tym, co robimy w Otchłani. A poza tym nawet nie wiadomo, gdzie je znaleźć – one odchodzą i przychodzą, jak im się podoba, i jeśli będziemy czekać, aż któryś z nich łaskawie się u nas zjawi, to przegapimy szansę. Do otwarcia Bramy zostało pięć dni i jeśli mamy coś zrobić, to musimy się spieszyć. Co wy na to?

Sofia i Nacho Yeung milczeli. W mesie też zapadła cisza, słychać było tylko Terry'ego, który mówił do Lality: „Już niedługo wrócimy

do domu, zobaczysz, skarbie, pojedziemy razem nad ocean, będziemy spacerować po plaży, zupełnie jak kiedyś, zobaczysz, że będziesz szczęśliwa...”. I jeszcze raz to samo, szybciej i bardziej gorączkowo. Z każdym dniem w jego głosie słychać było coraz mniej wiary, a więcej czegoś, czego Sofia nie potrafiła określić, a co sprawiało, że jej serce ścisnęło się w przeczuciu nadchodzącej tragedii.

Na twarzy Moany pojawił się wyraz obrzydzenia i starsza kobieta z trudem powstrzymała chęć spoliczkowania jej.

– Jak dotąd z Otchłani wynosiliśmy tylko próbki ciał, nigdy całego człowieka – przerwał ciszę Yeung. – Nie wiem, jak diabły na coś takiego zareagują, mogą się zdenerwować...

– Wiem, ale Moana ma rację. – Sofia zmusiła się, aby powiedzieć tych kilka słów, bo to była prawda. – Nie możemy czekać, aż będzie okazja, żeby zapytać o zgodę. Trzeba zaryzykować.

– Trzy na dwa, w porządku. – Dziewczyna skinęła głową i wróciła do mesy.

Przez chwilę Sofia myślała, że Yeung zechce ją przekonać, by zmieniła zdanie, ale Chińczyk wrócił do poprzedniego tematu.

– Zastanawiałas się kiedyś, jak to wszystko funkcjonuje? To znaczy, czy istnieje jakaś wyższa istota, która rozdziela ludzkie dusze na zasadzie: chrześcijanie do trójki, dwójki bądź jedynki, Chińczycy do trzydziestki, muzułmanie do dziewiątki i tak dalej? Jeśli tak, to z oczywistych powodów ową istotę trudno uznać za Boga takiego, jak pojmują go chrześcijanie. A może to jest zależne od psychiki, od przekonania?

– Jeśli ktoś wierzy, że jest grzesznikiem i po śmierci trafi do piekła, to faktycznie tak się dzieje? – Sofia zastanowiła się, a potem potrząsnęła głową. – Nie podoba mi się taka opcja, bo to znaczyłoby, że tam, na dole, smaży się w ogniu mnóstwo przyzwoitych ludzi, którzy zgrzeszyli tylko tym, że żyli bez ślubu albo za bardzo lubili ciastka z kremem.

– Tak czy inaczej, ta... kara, czy jak to nazwać, nie trwa wiecznie. Tak sądzę. To jedno jest pocieszające. Gdyby w Otchłani mieli znajdować się wszyscy potępieni chrześcijanie, musiałoby być ich znacznie, znacznie więcej. Wiesz – uśmiechnął się blado, a starsza

kobieta pomyślała, że przydałby mu się sen, porządny posiłek, nie pakiet żywnościowy, ale przede wszystkim długi, długi urlop – wyobraziłem sobie, że wyciągamy z Otchłani jakieś sto osób, tyle, żeby to stanowiło wiarygodną próbkę statystyczną, a potem wręczamy każdemu z nich ankietę. Czy zostałeś wychowany w wierze chrześcijańskiej – zakreśl tak lub nie; czy przestrzegałeś dziesięciu przykazań – zawsze, często, od czasu do czasu, rzadko i nigdy...

Żart się nie udał, bo pod koniec Yeung skrzywił usta, jakby z trudem opanował płacz, lecz Sofia doceniła dobre chęci i spróbowała odpowiedzieć uśmiechem.

– Teraz poszukiwanie leku na Encarnitę ma priorytet, ale potem, kto wie, może ktoś coś takiego spróbuje zrobić...

Wiedziała, że oboje pomyśleli o tym samym.

O ile w ogóle będzie jakieś potem.

W mesie ktoś krzyczał, Sofia słyszała piskliwy głos Terry'ego i wrzaski Moany. Nie była to pierwsza taka kłótnia, więc starała się ją ignorować.

– Dlaczego nigdy nie zapytałaś diabłów?

– O co?

– Wiesz o co. – Pod jego łagodnym, cierpliwym spojrzeniem poczuła się nieswojo, zupełnie jakby Yeung sięgnął do rejonów jej duszy, o których istnieniu wołała nie pamiętać. – Jeśli to naprawdę zbuntowane anioły, to powinny znać Boga, prawda?

– Brakuje mi odpowiednich słów...

– Poradziłabyś sobie. Dlaczego nie zapytałaś?

Dobiegające z mesy krzyki stawały się coraz głośniejsze i bardziej histeryczne. To już nie była zwyczajna kłótnia, ale dzika awantura.

Sofia wstała.

– Pójdę zobaczyć, co tam się dzieje...

– Odpowiedz, proszę.

Odgarnęła z czoła włosy.

– Bo tak naprawdę to nie miałyby znaczenia. Niezależnie od tego, jaką otrzymałabym odpowiedź, i tak prawdopodobnie uznałabym ją za kłamstwo. To w końcu diabły, nie?

Odwróciła się i otworzyła drzwi do mesy.

Skulony na krześle Terry osłaniał coś, co Moana próbowała mu odebrać. Nawet nie próbował walczyć.

– Mam dość! – wrzeszczała. – Kurwicy dostanę, jak jeszcze raz włączysz to cholerstwo, oszaleć można, dawaj, wypierdolę to na zewnątrz...

Terry jęczał, przyciskając do brzucha bransoletę Tearle'a. Włosy miał poszarpane, paznokcie Moany zostawiły na jego ramieniu długie, spływające krwią rysy.

Nacho Yeung podszedł, złapał ją, obrócił i bez namysłu uderzył w twarz. Zamrugła i przez chwilę wyglądała niemal zabawnie, trochę jak kreskówkowy ludzik, który wytrzeszcza oczy w wyrazie przesadnego zdziwienia.

– Uspokój się – powiedział. – To prywatna rzecz Terry'ego i może robić z nią, co chce. A swoją drogą – zwrócił się do mężczyzny – powinieneś się trochę ograniczać. Uczciwie mówiąc, mnie też wkurza słuchanie twoich osobistych wynurzeń.

Moana parsknęła z pogardą. Była zdyszana i zarumieniona, ale wyglądała na spokojniejszą. Terry nie odpowiedział. Wciąż kulił się na krześle, tak że starsza kobieta nie widziała jego rysów.

– Powinniśmy iść spać, jutro czeka nas ciężki dzień – powiedziała. – Terry, ty zostajesz na stacji?

Powoli uniósł głowę. Sofia spodziewała się, że jej brat będzie roztrzęsiony, może nawet zapłakany, a tymczasem ujrzała bladą, skupioną twarz i osobliwie błyszczące oczy.

– Nie zostanę tu z nią. – Ruchem podbródka wskazał Moanę. – Wolę lecieć z wami.

Nie zostaniesz, bo się boisz, że ona zniszczy twoją bransoletę czy że ty zrobisz jej krzywdę? – zapytała w myślach Sofia i natychmiast uznała tę myśl za tak absurdalną, że aż zabawną.

– Powinniśmy iść spać – powtórzyła.

\*\*\*

Sofii śniły się nagłówki w prasie.

*NA ENCARNITĘ NIE MA LEKARSTWA. LUDZKOŚĆ ZNISZCZONA*

*PRZEZ ZARAŻĘ. OPUSTOSZAŁA ZIEMIA CELEM KOLONIZACJI  
KOSMITÓW.*

Potem ujrzała pustynię. Z piasku sterczały ruiny i kości oświetlone na czerwono przez stare, wygasające słońce. W jego blasku stała Lalita, zupełnie naga; wiatr szarpał jej jasne włosy.

Odwróciła się i spojrzała prosto na Sofię.

– Ludzie umierają – powiedziała. – Ja tylko się zmieniam.

Starsza kobieta obudziła się spocona, z kołaczącym sercem. Sen rozmywał się i po chwili nie pamiętała już niczego poza tym, że miała koszmar.

\*\*\*

Belzebub był srebrzystoszary, pękaty i zaopatrzony w cztery silniki – dwa z przodu i dwa z tyłu. Siedząc w środku, Sofia wspominała los jego poprzednika, Lucyfera, który uległ awarii i teraz rdzewiał opłatany przez morfujące krzewy.

Nie było to miłe wspomnienie.

Poprawiła zbyt ciasno zapięty pas. Belzebub gładko sunął w dół, a ona czuła się trochę tak, jakby zjeżdżała windą. Bardzo szybką windą.

Z sąsiedniego fotela Nacho Yeung posłał jej uspokajające spojrzenie.

– Głębokość osiemset pięćdziesiąt metrów, temperatura na zewnątrz tysiąc czterysta stopni. Broń sprawdzona i przygotowana, tarcze termiczne aktywne – poinformował pilot.

Był bardzo młody – Sofia wciąż nie mogła oprzeć się wrażeniu, że chłopcy kapitana Peñy powinni uczyć się w szkole – ale wyglądało na to, że wie, co robi.

– To można wytrzymać – mamrotał Terry nie wiadomo do kogo. Palcami lewej dłoni bezustannie dotykał bransolety, muskał ją i głaskał. – Wszystko można wytrzymać.

Sofia poczuła znajomy ucisk w sercu. To się źle skończy, pomyślała, nie powinniśmy go ze sobą zabierać. Na stacji mógłby trochę wypocząć...

Jednak było za późno na zmianę decyzji.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Emilio Peña, a Belzebub przestał opadać.

Pilot uruchomił monitor.

– Można wytrzymać – szeptał Terry. – To niemal jak film, prawda?

Na ekranie wiły się i skręcały w mękach ludzkie postacie. Było ich tak dużo, że wpełzały jedna na drugą niczym robaki w daremnej próbie uniknięcia płomieni. Ich skóra czerniała i odpadała, odsłaniając kości, a potem znów się regenerowała i na krótko, może na dwie–trzy sekundy, tam, na rozżarzonej skale, leżał nie na wpół spalony trup, lecz człowiek.

Świadomy swego losu człowiek.

Sofia zrozumiała to w momencie, gdy jeden z nich spojrział w górę. Zobaczyła jego oczy i wiedziała, że on wie, że jeśli tylko zechcą, mogą go ocalić.

– Wszystko... da się... wytrzymać – głos Terry'ego niebezpiecznie przypominał szloch.

– Sofio, widzisz tu gdzieś Vilcheza? – zapytał Peña.

Nie wszystko, myślała, przesuwając wzrokiem po ekranie.

Wtedy, gdy już miała się poddać po raz pierwszy w życiu, dostrzegła zmarłego męża.

– Ten. – Wycelowwała palec w ekran i zamknęła oczy. Ciemność była błogosławieństwem.

– Znakomicie. – Peña skinął głową. – Jorge, mógłbyś zaznaczyć dla nas tego pana?

Sofia uniosła powieki i zdążyła zobaczyć, jak w Vilcheza wbija się mała strzałka. Utkwiła głęboko, w kości, a nie w ciele.

– Powinna wytrzymać kilkanaście minut. Więcej czasu nie potrzebujemy.

Donato – kolejny z bardzo młodych żołnierzy – już zakładał ciężki skafander termiczny.

– Na dole niewiele będziesz widział – poinformował go Peña. – Nie kieruj się wzrokiem, tylko sygnałem radiowym. Złap Vilcheza i załóż mu uprząż, a my wciągniemy was na górę.

Donato wyglądał na wystraszonego, ale panował nad sobą. Oczy

miał szare i bardzo ładne, zlepione potem włosy sterczały mu nad czołem w zabawnych kosmykach.

Założył hełm i przez wizjer posłał im niepewny uśmiech, a potem uniósł kciuk.

– W porządku, otwieramy wewnętrzną gródź.

W głosie kapitana nie słyhać było żadnych szczególnych emocji – ot, kolejne zadanie, które trzeba porządnie wykonać.

– Teraz zewnętrzną.

Donato wysunął się z Belzebuba niczym ciężka, niezgrabna lalka na sznurku. Sofia spoglądała na ekran, koncentrując się na jego postaci i starając się omijać wzrokiem potępieńców.

– Donato?

– Na razie wszystko gra, kapitanie.

Głos młodego żołnierza był stłumiony, w tle słyhać było coś, co Sofia zidentyfikowała dopiero po chwili. Huk płomieni i krzyki.

– Mam go. Spróbuję... podnieść... O kurwa, skóra mu odłazi, kurwa, kurwa...

– Pieprzyć to...

– On się rozpada!

– Wystarczy, że weźmiesz większą część. Słyszysz, Donato? Nie panikuj, powtarzam: wystarczy, że wydostaniesz większą część.

Terry zachłysnął się w dziwacznym ni to jęku, ni to chichocie. Sofia spojrzała w stronę Yeunga.

– Uważaj na mojego brata, proszę. Mam wrażenie, że on zaraz dostanie hysterii.

– Poradzę sobie w razie czego – zapewnił Chińczyk.

– Wyciągnijcie nas! – wrzasnął niemal w tym samym momencie Donato.

– W porządku, zabieramy was stamtąd.

Sofia patrzyła, jak w górę podjeżdża już nie jedno ciało, ale dwa, szczipione ze sobą niczym osobliwa wersja pionowej piety. Jacinto Vilchez zwisał bezwładnie w ramionach żołnierza, głowę miał odchyloną, oczy zamknięte. Kobieta podziękowała Bogu choć za tę łaskę. Nie była pewna, czy jest gotowa na spojrzenie męża.

– Otworzyć zewnętrzną gródź... Teraz wewnętrzną...



Po chwili zmarły Jacinto Vilchez runął na podłogę Belzebuba. Regenerował się w błyskawicznym tempie, odrastały mu nawet włosy. Mimo to wciąż był nieprzytomny. Leżał nieruchomo z lekko podkurczonymi nogami i dłońmi przy twarzy, jakby próbował stłumić krzyk.

Donato zerwał hełm.

– Mam go na sobie! – bełkotał niewyraźnie, błądy, z wytrzeszczonymi oczami. – Mam na sobie kawałki jego ciała!

Rzeczywiście, na skafandrze widniały strzępy bladej skóry. Co gorsza, morfowały, pełzając po srebrzystej powierzchni.

– Spokojnie, już po wszystkim – powiedział kapitan Peña. – Już po wszystkim.

Sofia przez chwilę myślała, że chłopak zwymiotuje albo dostanie hysterii, ale on nagle zapadł się w siebie i zwiesił ramiona, a potem stał biernie, gdy Jorge pomagał mu zdjąć skafander.

– Czemu Vilchez nie morfuje? – cichy szept Terry’ego rozległ się tuż przy uchu Sofii. – Może czeka na odpowiednią okazję i wtedy zamieni się w potwora, który nas wszystkich pożre?

Wzdrygnęła się.

– Przestań, Terry, proszę cię. Pewnie świadoma istota musi być przytomna, żeby morfować...

– Kapitanie, mamy kłopoty... – w głosie pilota zabrzmiało coś tak bliskiego paniki, że wszyscy momentalnie odwrócili się w jego stronę. – Nadlatują diabły. I chyba są na nas wkurzone.

– Ile? – Czy Sofii się wydawało, czy Peña leciutko pobladł?

– Sześć! Nie, siedem... Osiem!

– Zmywamy się stąd, ale już!

Przyspieszenie wcisnęło Sofię w fotel. Z trudem wyciągnęła ciężką rękę i chwyciła dłoń Terry’ego. Trochę aby uspokoić siebie, a przede wszystkim jego. Mężczyzna wyglądał na półprzytomnego, pod przymkniętymi powiekami połyskiwały białka, uniesiona warga odsłaniała zęby w dziwacznym, wilczym grymasie.

– Muszę to jeszcze raz zobaczyć... – wymruczał.

– Co takiego?

Nie usłyszała odpowiedzi. Pilot wrzasnął: „Doganiają nas!”

a chwilę później Belzebub się zakołysał. I jeszcze raz, przy odgłosie głuchego łupnięcia. I jeszcze.

Sofia i Nacho Yeung krzyknęli unisono.

– Chcą nas zepchnąć w Otchłań... – Pilot pobladł; dłonie zaciskał na sterach tak mocno, że pod skórą odznaczały się nabrzmiałe żyły.

– Trzymaj kurs – warknął Peña. Jeśli się bał, to niczego po nim nie było widać.

Zacząli opadać. Sofia nie wiedziała, w jakim tempie, bo wołała nie spoglądać na wysokościomierz, ale niewątpliwie opadali.

– Mamy za duże obciążenie – wymamrotał pilot. – Nie damy rady, kiedy te sukinkoty siedzą nam na dachu.

– No to będziemy do nich strzelać.

– To idiotyzm! – wrzasnęła Sofia. – One się regenerują, tylko je wkurzymy jeszcze bardziej!

Peña spojrział na nią, a potem się odwrócił. Bez słowa, nie poświęciwszy jej nawet lekceważącego wzruszenia ramion. W tej chwili była dla niego czymś w rodzaju przedłużenia pasażerskiego fotela, niczym więcej.

Salwa ciężkich pocisków odepchnęła diabły. Na krótko, może na kilka sekund, co wystarczyło, by Belzebub wzniósł się odrobinę. Potem znowu go opadły i zaczęły spychać w dół. Kabina trzęsła się, a Sofia miała wrażenie, że lada moment żołądek wyskoczy jej przez zaciśnięte zęby. Po ekranie przesuwały się wściekle morfujące skrzydła, kończyny, torsy i paszcze. A potem ciemność, gdy jeden ze stworów zasłonił zewnętrzne kamery.

– Pociski rozrywające – zakomenderował zimno kapitan.

Pierwszy pocisk trafił w sam środek diabła, który zasłaniał kamerę. Ciało rozpadło się na setki wirujących strzępów, a pilot wrzasnął triumfalnie. Przedwcześnie, bo fragmenty szybko zbiegły się i połączyły.

– To bez sensu! – krzyczała Sofia. – Musimy oddać Vilcheza! Muszę z nimi porozmawiać!

– Dajcie jej mikrofon! – poparł ją Yeung.

Kolejny diabeł rozpadł się i zregenerował jeszcze szybciej niż jego poprzednik. Potem trzeci i czwarty. Teraz radziły sobie błyskawicznie,

ledwo można było zauważyć, że pociski w ogóle w nie trafiają.

To już nie robi na nich wrażenia, pomyślała Sofia. Na początku może były oszołomione, ale się przyzwyczyły.

Kapitan także to zauważył i podał jej mikrofon. Również bez słowa, z dokładnie tym samym wyrazem twarzy, z jakim poprzednio się od niej odwrócił. Jakby nie istniała.

Włączyła mikrofon.

– Przestańcie atakować! Oddamy wam... – Cholera, jak określić Vilcheza? Kim on dla nich był? Potępieńcem? Więźniem? Mniejsza z tym, i tak nie znała takich słów. – Oddamy to, co zabraliśmy! Proszę, pozwólcie nam wylądować. Oddamy...

Nacisk zelżał, kabina przestała się trząść i Belzebub się uniósł – najpierw metr, potem dwa i trzy... Kobieta z niedowierzaniem gapiała się na wysokościomierz. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie wierzyła, iż jej słowa cokolwiek zmienią.

Zamknęła oczy i oparła głowę na fotelu, nagle bardzo słaba, bezbronna i szczęśliwa.

Belzebub wciąż się wznosił, a diabły krążyły wokół niego. Nie musiała patrzeć na ekran, by wiedzieć, że tam są niczym obstawa eskortująca prezydencki śmigłowiec. Po prostu wiedziała.

Uniosła powieki i napotkała wzrok Terry'ego.

Jego oczy błyszczały, zupełnie jakby przez cały ten czas, gdy diabły atakowały, rozważał jakiś problem i teraz wreszcie znalazł rozwiązanie.

– Już się domyślam, co to może być – powiedział chytrze i jednocześnie z powagą, niczym dzieciak dzielący się tajemnicą. – Posadzka w Katedrze, pamiętasz? Czarno-biała? Chyba wiem, co to jest, muszę tylko jeszcze raz ją zobaczyć...

– Terry... – jęknęła. – Co ma z tym wspólnego posadzka?

– Zauważyłaś, że to jedyne miejsce w tym przeklętym świecie, gdzie występuje biały kolor? Wszystko inne jest czarne albo czerwone. Moana twierdzi, że to nie ma znaczenia, ale ja myślę...

– Co to jest?

Pokręcił głową, znowu z tym osobliwym, chytrym i dziecinnym uśmiechem na ustach. Gdzieś na obrzeżach świadomości Sofii

pojawiła się myśl, że z Terryem dzieje się coś bardzo, bardzo złego, ale nie miała sił, by się tym przejmować.

Nie teraz, gdy Belzebub lądował.

Włożyli lekkie skafandry i hełmy z aparatami tlenowymi – tutaj, blisko krawędzi, atmosfera była gorąca jak w piekarniku i gęsta od smrodu płonących ciał. Na szczęście wiatr zwiewał popiół na przeciwległą stronę Otchłani.

Albo i na nieszczęście, bo dzięki temu Sofia widziała w drgającym powietrzu wszystkie diabły.

Było ich tysiąc, może nawet więcej. Obsiadły równinę, morfujące krzewy, zwierzo-rośliny, roślino-budowle, kolumny i szkieletowe dziwactwa, które niczego nie przypominały. Czekały w milczeniu niczym gigantyczne stado sępów.

I nie morfowały.

Ten fakt przeraził Sofię bardziej niż cokolwiek innego. Nie wiedziała, o czym to świadczy, ale podejrzewała, że o niczym dobrym.

Ustawili się obok Belzebuba: Sofia, Yeung i Terry pośrodku, a żołnierze po bokach z odbezpieczoną bronią. Jakby to miało w czymkolwiek pomóc, pomyślała z ironią kobieta, ale rozumiała też, że tak zostali wyszkoleni i że dzięki temu przynajmniej nie czują się kompletnie bezradni.

Sofia postąpiła krok w przód, to samo zrobił jeden z diabłów. Potem zaczął morfować, co przywitała z ulgą. Nigdy dotąd nie sądziła, że zatęskni do widoku zmieniających się w szaleńczym tempie paszcz, skrzydeł i innych części ciała, które teraz wydały się tak... uspokajająco normalne. Było to tym ważniejsze, że wcale nie miała zamiaru oddać diabłom Vilcheza. A przynajmniej nie od razu. Najpierw zamierzała negocjować.

– Popelniliśmy błąd i prosimy o wybaczenie. – Przyjęła postawę pełną szacunku, ale bez uniżoności. – Chcemy zawrzeć ugode...

Najważniejsze pytanie brzmiało, czy diabeł jest tym samym, z którym rozmawiała ostatnio, a jeśli nie, to czy przynajmniej wie, czego rozmowa dotyczyła. Do licha, ona ich nawet nie rozróżniała! Prawdopodobnie nie miało to znaczenia – Sofia podejrzewała, że

diabły posiadają rodzaj wspólnej, telepatycznej inteligencji.

Tak czy inaczej, nie zaszkodzi spróbować.

– Chcę zawrzeć ugodę – powtórzyła; jej głos brzmiał głucho wewnątrz hełmu. – To, co zabraliśmy, ta... podobna nam istota za nieumarłą.

Diabeł zamorfował gwałtownie, nie w wyrazie gniewu – ten nauczyła się rozpoznawać – lecz raczej wahania.

– Zgoda – powiedział po chwili.

Tak po prostu, bez żadnych dodatkowych warunków. Przygotowana na długotrwałe negocjacje Sofia przez chwilę nie wiedziała, co robić. Dopiero po chwili odwróciła się w stronę Yeunga i Terry'ego.

– Dadzą nam Jacinta w zamian za bransoletę Tearle'a – oznajmiła.

Chińczyk powoli skinął głową. Tym jednym gestem wyraził wszystko, co mógłby powiedzieć.

Jestem po twojej stronie. Zrobimy to, nawet jeśli trzeba będzie go zmusić. Pomogę ci.

Obok poruszył się Emilio Peña i Sofia, nawet nie patrząc, wiedziała, że jego broń skierowana jest teraz w stronę Terry'ego. Kapitan był gotów zabić, gdyby jej brat odmówił oddania bransolety.

Podeszła i objęła go niezgrabnie. Nawet przez warstwę dwóch skafandrów czuła, jak ciało mężczyzny dygocze.

– Tak trzeba, Terry, pozwól Lalicie odejść, pogódź się z jej śmiercią, dzięki temu uratujemy mnóstwo ludzi, pomyśl...

Łagodnie, monotonnie; słowa tak naprawdę nie były ważne, tylko głos, który miał uspokoić. Uświadomiła sobie, że dokładnie takim samym tonem mówiła do chorego psa. Czym prędzej odsunęła tę myśl.

– Nie... – jęczał Terry. – Nie, nie, nie... Nie zabieraj mi jej, proszę...

Jedną ręką obejmowała jego plecy, a drugą zdradziecko przesuwiała w stronę bransolety. Blisko, coraz bliżej. Mężczyzna szlochał w jej ramionach.

– Nic innego nie mam – powiedział, gdy odpięła pierwszy zatrzask.

– Wiem – odparła, odpinając drugi – ale to się zmieni, zobaczysz, nauczysz się żyć bez Lality, wyjdzie ci to na dobre...

Nie wiedziała, czy mówi prawdę, czy też kłamie, zresztą w tej chwili nie miało to znaczenia. Gdyby życie jej brata było ceną za uratowanie ludzkości, Sofia by się nie zawahała.

Tak samo gdyby ceną były jego zdrowe zmysły.

Zdjęła ciężką, szeroką bransoletę z przedramienia mężczyzny i podeszła do diabła.

– Jeśli naciśniesz ten przycisk, nieumarła się zjawi...

– Wiem. – Brzegi jego sylwetki zamorfowały szybciej, co było diabelskim odpowiednikiem śmiechu. – Widziałem, jak to robiłaś.

Ona nie jest żywą osobą, tłumaczyła sobie Sofia, patrząc, jak bransoleta znika wśród wirujących fragmentów. Jest KOT-em i on nie może zrobić jej krzywdy. Zresztą, do cholery, pewnie od razu tę zabawkę zepsuje i Lalita wróci tam, gdzie jej miejsce – pośród umarłych.

Mimo to wciąż dręczyło ją poczucie winy. Wobec dziewczyny, a zwłaszcza wobec Terry'ego.

Ot, ironia losu, pomyślała. Właśnie przehandlowałam jego ukochaną zmarłą żonę za mojego znienawidzonego zmarłego męża. Mam nadzieję, że przynajmniej okaże się przydatny.

\*\*\*

Coś zbudziło Sofię w środku nocy.

Co to było?

Leżała, jakąś częścią umysłu wciąż przebywając w swoim letnim domku z psem Diukiem, który zdechł przed dwudziestu laty. Poza tym zastanawiała się, co przerwało jej sen.

Jakiś dźwięk, monotony i bardzo irytujący, który zamilkł ni stąd, ni zowąd w połowie długiego piiiip.

Usiadła gwałtownie, jeszcze niezupełnie rozbudzona, przeczekwała zawrót głowy oraz oszołomienie i wreszcie zaczęła myśleć.

Czujnik ruchu miał ich poinformować, gdyby Jacinto Vilchez się obudził. Założyli go wieczorem i poszli spać. A czujnik włączył się, a potem wyłączył. Dla ścisłości: ktoś go wyłączył.

Wstała, odsunęła ściankę i weszła do mesy.

Jacinto Vilchez siedział przy komputerze, który – przestawiony z trybu mówionego na tekstowy – wyświetlał na ekranie długie rzędy zielonych liter. Ich światło podkreślało ostre rysy, uwypuklało czoło i kości policzkowe. Jacinto zawsze wyglądał jak szalony poeta: chudy, ze zmierzwionymi włosami, inteligentną twarzą i błyskiem w oczach. Teraz do tych cech doszło coś jeszcze, coś nieuchwytnego. Już nie poeta, zastanawiała się Sofia, ale raczej... tak, asceta, nawiedzony fakir czy derwisz. Wrażenie pogłębiał dziwaczny strój, podwinięte do połowy łydek spodnie i za duża bluza ze zwisającymi połami. Jacinto był znacznie drobniejszy niż Yeung, który pożyczył mu zapasowy komplet odzieży.

– Myślałem, że wyłączyłem to cholerstwo, zanim ktoś się obudził – powiedział i odwrócił się w stronę kobiety. – I prawie mi się udało. Zbudziłaś się tylko ty. Stare kobiety mają lekki sen, a ty jesteś stara, Sofio.

Patrzyła na niego zafascynowana. Widziała bliznę pod dolną wargą – pamiętała, że zaciął się przy goleniu, a potem szukał opatrunku, wrzeszcząc, klnąc i macając na oślep zakrwawionymi rękami. Dlaczego została mu ta blizna, mimo że miał teraz nowe, zdolne do regeneracji ciało? Podczas ataku diabłów leżał bezwładnie na podłodze i objając się po całej kabinie, rozciął sobie czoło. Po tym skaleczeniu dawno nie było śladu.

Dlaczego był tak podobny do Jacinta, którego znała, a jednocześnie tak inny?

Nie nienawidzę go już, pomyślała, a tym bardziej nie Kocham. Uwolniłam się od niego i nie może mnie skrzywdzić.

– Ale przynajmniej żyję, prawda? – odparła lekko, po czym dodała w myślach: „I nie spędziłam ostatnich dwóch lat w piekle”.

– Ja umarłem i zdaje się, że zawdzięczam to tobie. Tu jest napisane – skinął głową w kierunku ekranu – że oskarżono cię o nieudzielenie mi pomocy. Podobno sama przyznałaś, że patrzyłaś, jak wykrwawiam się na śmierć, i nic nie próbowałaś zrobić. Właśnie tak – dodał, widząc jej minę – przeglądałam notki prasowe z procesu. Nie pamiętam, jak umarłem, a człowiek chciałby mieć o tym niejakie pojęcie, prawda?

Zerwał się z krzesła, błyskawicznie i jednocześnie płynnie, bez śladu niezręczności. To też pamiętała, ten spokój i potem nagły, pełen gracji ruch, obrót głowy, uderzenie palcami w stół, cokolwiek. Nawet jego nerwowe tiki, takie jak pocieranie czubka nosa czy ruszanie lewym ramieniem, miały w sobie odrobinę tej niezwyklej, skoncentrowanej energii.

Podszedł do niej i mogła już widzieć jego oczy, na dnie których błyszczało coś odległego i bardzo złego, niczym ogień w Otchłani.

– Dlaczego to zrobiłaś, Sofio? Czy może raczej: dlaczego tego nie zrobiłaś? Czemu mnie nie uratowałaś?

– Powinieneś wiedzieć – odparła, krzyżując ręce na piersiach. Nie może mnie skrzywdzić, powtarzała sobie jak mantrę.

Odsunął się i z powrotem usiadł przy komputerze. Tym razem nie patrzył w ekran, lecz na własną dłoń, którą położył obok klawiatury. W skupieniu poruszał palcami.

– Nadchodzi burza – oznajmił.

– Masz na myśli burzę ognistą? Wergiliusz ci powiedział?

– Jeśli komputer to właśnie Wergiliusz, to owszem, tak. Twierdzi, że burza będzie tu za kilka minut – zachichotał i szybciej poruszył palcami. Potem, jakby niezadowolony z efektu, zwinął dłoń w pięść i ponownie rozprostował. – Ciekawy pomysł, nazwać go Wergiliuszem. Czy na jedenastce mają Orfeusza?

– Chyba tak.

– Miło wiedzieć, że miłość do literatury ma się dobrze... – wymruczał.

Pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem i nagle rzuciła się w tył, wydając zduszony okrzyk.

– Boisz się mnie – powiedział z satysfakcją. Jego palce były teraz niesamowicie szczupłe i bardzo, bardzo długie, zupełnie jak blade odnóża pająka. – Jednak się mnie boisz.

– Ty stuknięty sukinsynu...

Zmorfował dłoń do normalnego wyglądu i wstał.

– Zdążyłem przeczytać parę waszych notatek i wiem, po co mnie wydostaliście. Ale nic z tego. Nie obchodzą mnie chorzy na Encarnitę i nie mam zamiaru ich ratować. – Spojrzał na nią. – Dalej, Sofio,



spróbuj mnie przekonać, jeśli chcesz, żebym wam pomógł.

Znów założyła ręce na piersi – ten gest pomagał jej i uspokajał. Zastanawiała się, jakim cudem oczy Jacinta jednocześnie płoną i są tak zimne.

– A twoja sława? Nigdy nie pracowałeś dla ludzi, tylko dla sławy. Gdyby udało ci się znaleźć sposób na przeniesienie méridionu przez Bramę, twoje imię byłoby na ustach wszystkich. Byłbyś słynniejszy niż Chrystus...

– Chrystus, tak? Och, sprytnie, bardzo sprytnie. Widać, że mnie znasz i wiesz, jak uderzyć w czuły punkt. Ale to już przeszłość, Sofio – co mi ze sławy, skoro zostanę tu na wieki?

– Twoje ciało też składa się méridionu – przypomniała cicho. – Mógłbyś przejść przez Bramę i znowu żyć.

Spojrzał na nią z zastanowieniem, a ona przez krótką chwilę dostrzegła dawnego Jacinta – tego, który był wrednym, złośliwym sadystą, lecz od czasu do czasu miewał ludzkie odruchy.

– Może – przymknął oczy – podoba mi się moje nowe życie.

Na zewnątrz wzbierała burza; na ekranie Wergiliusza migotał zielony napis: AKTYWUJĘ TARCZE TERMICZNE. PRZEWIDYWANY CZAS ROZPOCZĘCIA OPADU: 75 SEKUND.

Jacinto sięgnął do paska od spodni i rozpiął go. Potem zdjął koszulę i poruszył łopatkami. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Zsunął spodnie i widząc minę Sofii, parsknął śmiechem.

– Och, moja gołąbeczko, moja żono, muzo i lamio, przez piętnaście lat naszego niezbyt szczęśliwego małżeństwa nigdy nie próbowałem cię zgwałcić i nie zamierzam tego robić teraz. Zwłaszcza gdy jesteś tak mało apetyczna.

– Co chcesz zrobić?

– Odejdę stąd, oczywiście. Spróbuj mnie zatrzymać. Możesz obudzić i zawołać do pomocy swoich przyjaciół.

Pokręciła głową. Wiedziała, że on tego właśnie pragnie. Bawiłoby go, gdyby mógł udowodnić im wszystkim, że nie mają nad nim żadnej władzy. Bo oczywiście nie mieli. Gdyby chcieli go zmusić czy choćby ubłagać, Jacinto Vilchez odmówiłby pomocy przez czystą przekorę. Jedyłą szansą było pozwolić mu odejść, a potem liczyć, że wróci

z własnej woli.

Podszedł do włazu.

– Wypuść mnie.

Nie znał kodu aktywującego. Jej drobne zwycięstwo – wiedziała, że będzie źle, jeśli spróbuje go zatrzymać, lecz o to jedno musiał poprosić.

Otworzyła właz.

Fala gorąca uderzyła ją w twarz, niemal odbierając oddech. Niebo płonęło głęboką, rubinową czerwienią, gdzieś tam przechodzącą w żółć i pomarańcz. Jacinto stanął w krwawym blasku i wymorfował skrzydła. Zrobił to kosztem reszty ciała, która gwałtownie schudła, nogi przypominały suche patyki, brzuch i klatka piersiowa zapadły się, ręce w ogóle znikły. A twarz...

– Zamknij drzwi – powiedział ten zupełnie obcy, straszny człowiek.

– Zrób to, póki jeszcze czas.

Potem rozwinął skrzydła i wzbił się w płomieniste niebo, z którego zaczęły spadać pierwsze kule ognia.

\*\*\*

Oczywiście rano wybuchła awantura. Moana wrzeszczała, Terry dostał hysterii, płacząc, że na darmo oddali Lalitę, a kapitan Peña zimno oznajmił, że niczego innego się po Sofii nie spodziewał. Nawet Yeung nie stanął w jej obronie.

Ciekawe, jak wy byście go zatrzymali, myślała starsza kobieta. Ciekawe jak.

A potem, gdy zapanował pełen beznadziei spokój, Terry wymknął się ze stacji.

Domyślali się, dokąd poszedł, i Moana, wkładając skafander, obiecała, że sprowadzi go w ciągu dziesięciu minut.

Minął jednak kwadrans, później pół godziny, a żadne z nich nie wróciło. Emilio Peña upierał się, żeby czekać, lecz Sofii zabrakło cierpliwości. Tak więc gdy Yeung był w laboratorium, a kapitan we wspólnej sali wraz z żołnierzami, ona nic nikomu nie mówiąc, udała się na poszukiwania brata.

Miała bardzo złe przeczucia.

Jak się okazało, słusznie, bo Terry klęczał w morfującej Katedrze, a obok leżało ciało Moany.

– To się musiało stać – powiedział. – Od dawna było wiadomo, że któremuś z nas wreszcie puszcza nerwy. To już koniec, prawda?

– Nie sędzę, żeby to był koniec. Spójrz.

Wgnieciona czaszka Moany prostowała się, rana zarastała skórą. Po chwili dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na nich.

Terry krzyknął cicho. Sofia oparła dłoń na jego ramieniu i zacisnęła palce.

– Ccc...o się stało? – zapytała Moana.

– Umarłaś – odpowiedziała Sofia.

Dziewczyna usiadła niezgrabnie, po czym próbowała wstać. I upadła, przytrzymana przez oplatające nogi pędy. Szarpnęła się raz, drugi, z wytrzeszczonymi oczami i wykrzywioną twarzą.

– Och... – wysapała. – Och, och...

To ciche, pełne zdumienia „och” było tak niepodobne do zwyczajnego zachowania Moany, że Sofia poczuła gwałtowny przypływ współczucia.

Dziewczyna szarpnęła się jeszcze raz i tym razem pędy wniknęły w jej nogi jak w miękkie masło i wyszły z drugiej strony. A ciało po prostu się zasklepiło. Wstała. Skafander zwisał na niej w strzępach, lecz pod spodem widać było zdrową skórę bez żadnego zadrapania.

– Lalita – powiedziała Moana. – Teraz pamiętam... Była tu Lalita i uderzyła mnie... Powiedziała, że to dlatego, iż chciałam zniszczyć bransoletę.

– Lalita nie ma ciała. – Sofia potrząsnęła głową. – Nie może zrobić nikomu krzywdy.

– Teraz już może. – Moana zmrużyła oczy i uniosła górną wargę w drapieźnym grymasie. – Dorwę tę sukę i rozwalę jej za to łeb.

Dopiero w tym momencie Sofia naprawdę uwierzyła, że Lalita jakimś cudem zyskała ludzkie ciało, a później uderzyła Moanę. Zabiła ją, poprawiła się w myślach. Moana jest martwa i należy do tego świata.

Terry wstał i chwycił siostrę za łokieć.

– Ściemnia się – wymruczał.

„Daj spokój”, chciała powiedzieć, lecz przecież miał rację.

Nad Katedrę nadciągały dziesiątki, może nawet setki diabłów. Zasnęły granatowo-czerwone niebo, a potem opadły na morfującą konstrukcję. Cicho, niczym ruchliwe cienie z błyszczącymi ślepiami. Wypełniły luki pomiędzy żebro-arkadami i w Katedrze zapanował mrok.

Sofia odruchowo włączyła latarkę. Jej światło wyłowilo z ciemności wykrzywioną twarz Moany.

– Przybyły po ciebie – powiedziała cicho starsza kobieta. – Przybyły, żeby cię zabrać.

Dziewczyna wydała z siebie krótki, ostry krzyk, który brzmiał trochę jak wołanie o pomoc, a trochę jak bitewny zew. Potem zaczęła morfować. Resztki skafandra opadły, gdy na jej plecach wyrosły niezgrabnie skrzydła, z których lewe było znacznie większe niż prawe. Wrzasnęła jeszcze raz, z rozpaczą i przerażeniem. Ciało, nad którym traciła kontrolę, przybierało coraz bardziej groteskowe formy.

A diabły frunęły w dół.

Sofia szarpnęła brata.

– Nie możemy jej pomóc. – Światło latarki padło na zbliżające się metaliczne kości. – Za chwilę będziemy w pułapce!

Terry odwrócił się i pobiegł tak szybko i zręcznie, jakby miał dwadzieścia lat. Starsza, ubrana w skafander kobieta nie mogła za nim nadążyć. Przewróciła się, upuściła latarkę i zawołała brata, lecz ten nie zawrócił. Wstała z trudem. Ściany i sufit morfowały, ale na szczęście posadzka pod jej stopami, ta cholerna czarno-biała posadzka, która tak fascynowała Terry’ego, była w miarę stabilna.

Tylko dlatego dotarła do wyjścia. Za plecami słyszała coraz głośniejsze, coraz mniej ludzkie krzyki. A potem... potem zapadła cisza. Sofia przymknęła oczy, gdy niebo po raz kolejny upstrzyło się sylwetkami diabłów. Wiedziała, że gdzieś pośród nich, schwyтана w ostre, morfujące pazury, jest teraz Moana.

Brat czekał na nią na zewnątrz.

– Nie mogliśmy jej pomóc – zwróciła się do niego. – Nie rób sobie wyrzutów...

– Wcale nie miałem zamiaru jej pomagać – odparł. – Chcę tylko odnaleźć Lalitę. Nie rozumiesz? – Oczy Terry’ego jaśniały gorączkowym blaskiem. – Ma teraz ciało, znowu jest człowiekiem...

– Nieprawda! – wrzasnęła Sofia z rozpaczą. – Nie masz pojęcia, kim ona... Kim mogła się stać!

– Jest moją żoną, to wszystko, co potrzebuję wiedzieć. – Uśmiechnął się łagodnie. – Znajdę ją i przyprowadzę do domu.

Do domu? Co on, do licha, ma na myśli? Bazę, Ziemię, coś jeszcze innego?

– Terry...

Uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć policzka siostry, lecz zrezygnował w połowie gestu. Odwrócił się i odszedł.

– Terry!

Próbowała go dogonić, ale kiedy przyśpieszył, nie miała szans. Nawet nie musiał biec – był młodszy, zręczniejszy i nie nosił skafandra. A przede wszystkim poruszał się po tym świecie, jakby tu właśnie się urodził, jakby od dziecka przywykł do chodzenia po morfującym gruncie. Jego skóra błyszczała czerwienią i Sofia pomyślała, że jej brat lada moment dostanie udaru.

Chwyciła komunikator.

– Baza? Tu Sofia, słyszycie mnie? Tu Sofia...

– Słyszemy cię. Gdzieś ty znikła? – w głosie Yeunga brzmiał niepokój. – Peña twierdzi, że całkiem zwariowałaś...

– Jestem przy Katedrze i potrzebuję pomocy. Moana nie żyje, a Terry gdzieś poszedł, nie wiem dokąd, jest bez skafandra...

– Spokojnie, nie krzycz. Zaraz tam będziemy i znajdziemy go, ma przecież chip identyfikacyjny. A ty idź w jakieś bezpieczne miejsce i czekaj na nas.

Bezpieczne miejsce, łatwo powiedzieć, pomyślała Sofia. Tu każde takie miejsce w ciągu paru minut może stać się cholernie niebezpieczne...

Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. W głowie jej się kręciło, przed oczami wirowały mroczki, nogi za nic nie chciały stać prosto. I było tak bardzo, bardzo gorąco. Kucnę na chwilę, pomyślała, nawet nie będę siadać. Po prostu kucnę i trochę odetchnę.

Tylko... na... małą... chwilkę...

Powierzchnia wokół niej wymorfowała setki malutkich ptasich czaszek, które wiły się na końcach ciernistych pędów. Ale tego Sofia już nie widziała.

Straciła przytomność.

\*\*\*

– Nie ruszaj się, tylko pogarszasz sprawę. Napij się.

Jęknęła i z ulgą przełknęła odrobinę wody. Potem uniosła powieki.

Jacinto Vilchez odginał pędy, które oploty jej ciało. Ptasie czaszki broniły się, dziobiąc go po rękach, ale nie zwracał na nie uwagi. Rany na skórze zasklepiały się momentalnie.

– Wstań.

Pomógł jej i poprowadził w miejsce, gdzie teren był niemal płaski, tylko lekko falujący i wyglądał...

Bezpiecznie, pomyślała Sofia. Miałam znaleźć bezpieczne miejsce, no i zdaje się, że właśnie znalazłam. Dzięki Jacintowi.

– Tu możesz usiąść, ten kawałek gruntu nie będzie morfował co najmniej przez kilka najbliższych godzin.

– Skąd wiesz?

– Jestem częścią tego świata, nie pamiętasz?

Usiadła i łyknęła jeszcze wody. Czuła się teraz o wiele lepiej.

Jacinto był nagi i wyglądał zwyczajnie: żadnych skrzydeł, żadnej przesadnie wychudzonej sylwetki. Po prostu szczupły i zręczny mężczyzna ze zmierzwionymi włosami. Tylko w jego oczach wciąż płonęło coś bardzo zimnego.

– Jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałam się pomocy – powiedziała Sofia. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Bynajmniej nie z sympatii – parsknął.

– Więc dlaczego?

– Ponieważ przypomniałem sobie, jak umarłem. – Chodził tam i z powrotem, jakby pulsująca w jego ciele energia wciąż szukała ujścia. – Pamiętam, że starałaś się zatamować krwawienie! Dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś tego w sądzie? Czemu zniszczyłaś

zakrwawione opatrunki, zanim przyjechało pogotowie, i powiedziałaś, że nic nie próbowałaś zrobić? Pozwoliłaś, żeby cię oskarżono, i ledwo udało ci się uniknąć skazania!

– A ty chcesz znać odpowiedź i dlatego mi pomogłeś?

– Coś w tym rodzaju. – Spojrzał jej w oczy.

Wytrzymała jego wzrok.

– I tak byś nie zrozumiał. Dalej, próbuj mnie przekonać, może wtedy ci powiem...

Cofnął się i roześmiał.

– Nic z tego. Mogę się bez tego obejść. – Wymorfował skrzydła, jego sylwetka znów gwałtownie schudła, a Sofia z trudem spoglądała na twarz męża. – Jeśli wciąż chcecie wiedzieć, jak przenieść méridion przez Bramę, to wiem, jak to zrobić.

Stwierdzenie było tak niespodziewane, że kobieta w pierwszej chwili straciła głowę.

– Co... Jak? Proszę, powiedz, musisz...

Roześmiał się ponownie. Bawiło go oszołomienie Sofii i jej niezręczne, jękane błagania. Była pewna, że dla tego właśnie widoku wspomniał o swoim odkryciu.

Rozwinął skrzydła i wzniósł się kilka metrów ponad grunt. Od strony stacji nadlatywał Belzebub – jego sylwetka rosła w oczach, a silniki pracowały na najwyższych obrotach.

Nie powie, myślała z rozpaczą Sofia. Może gdybym miała trochę więcej czasu...

Jednak powiedział, na chwilę zanim Belzebub wylądował, a potem uniósł się jeszcze wyżej i odfrunął.

\*\*\*

– To jakaś bzdura – parsknął Peña. – Wam się to naprawdę wydaje sensowne?

– Warto się na tym zastanowić. – Wzruszył ramionami Nacho Yeung.

– Najpierw musimy znaleźć Terry'ego – przypomniała Sofia, zapinając pasy. W kabinie Belzebuba było tak cudownie chłodno

i bezpiecznie. – On nie wytrzyma długo bez skafandra.

– Znajdź tego pajaca – zwrócił się Peña do pilota. – Następny, któremu odbiło. A z panem, doktorze Yeung, jeszcze się policzę. Miał pan pilnować tej wariatki, czy nie tak się umawialiśmy?

Chińczyk milczał i Sofia była mu za to wdzięczna. Mniejsza z tym, czy owo milczenie wynikało z rozsądku, czy też może lekarz uwierzył w jej szaleństwo i teraz dręczyło go poczucie winy. Najważniejsze, że nie próbował się sprzeczać. Starsza kobieta była bardzo zmęczona i nie zniosłaby kolejnej awantury.

– Zlokalizowałem jednego człowieka zmierzającego w stronę Otchłani – poinformował pilot.

Po chwili Belzebub wylądował, a dwóch żołnierzy wciągnęło Terry'ego do kabiny. Nawet się nie bronił, pojękiwał tylko cicho.

– Wszystko będzie dobrze... – mruzczała Sofia uspokajająco, gdy przypinała go pasami do fotela.

Twarz miał czerwoną niczym dojrzały pomidor, a kobieta odniosła wrażenie, że gdyby nie wysuszające wszystko gorąco, ta czerwień byłaby mokra od łez.

\*\*\*

– Moim zdaniem warto spróbować – powtórzył Yeung, gdy pół godziny później siedzieli przy stole w mesie, popijając mrożoną herbatę. – Przecież niewiele mamy do stracenia.

– Ryzykujemy życie mojej żony! – krzyknął Terry.

Z pianką chłodzącą na twarzy wyglądał dziwnie, ale przynajmniej ów niepokojący błysk w jego oczach zniknął. Nie, nie zniknął, poprawiła się w myślach Sofia, po prostu się przyczaił. On wciąż tam jest.

– Sofio, możesz powtórzyć jeszcze raz, co ci powiedział Vilchez? – zwrócił się do niej Yeung.

– Lalita może przejść przez Bramę. Dostała od diabłów ciało, które składa się z méridionu, ale jednocześnie nadal w jakimś sensie jest KOT-em. Jacinto twierdzi, że jest teraz połączeniem ziemskiej techniki i tutejszej magii...



– Magii? Naprawdę użył takiego słowa? – zachichotał jeden z żołnierzy.

– Jacinto zawsze był odrobinę ekscentryczny – mruknęła. – Tak czy inaczej, méridion może się wydostać przez Bramę jako składnik ciała Lality. W ten sposób możemy przetransportować go na Ziemię, a potem ocalić ofiary Encarnity. A przynajmniej spróbować ocalić...

– Czy to jest dla niej bezpieczne? – zapytał Yeung, a w jego oczach Sofia ujrzała coś jeszcze: „Skłamałam – prosiły – nawet jeśli Lalita przypląci to życiem, to musimy zaryzykować. Za daleko zaszliśmy, żeby teraz się cofnąć”.

– Całkowicie bezpieczne – powiedziała, a potem odwróciła wzrok i sięgnęła po herbatę, żeby zwilżyć nagle wyschnięte gardło.

– Terry?

– Zgadzam się pod warunkiem, że pójdę z nią i będę się nią opiekował.

– Ta kobieta to morderczyni – głos kapitana Peñy był cichy, nabrzmiały pogardą i złością. – Nikt o tym nie pamięta? Ona zabiła jedną z nas! Kto wie, co diabły z nią zrobiły, może nie tylko dały jej méridionowe ciało, ale też je zmodyfikowały? Albo jej osobowość? A nawet jeśli niczego takiego nie zrobiły, to i tak nie wiemy, jak méridion się zachowa w ziemskiej atmosferze. Czy ktoś z was w ogóle o tym pomyślał?

Zamilkli i pospuszczali głowy niczym dzieci przyłapanie na zakazanej zabawie. Wszyscy, nawet Terry.

Oczywiście on ma rację, myślała Sofia, ale rację ma też Nacho.

Za daleko zaszliśmy, żeby teraz się wycofać.

– Przebadamy ją w miarę naszych warunków tutaj, na stacji – powiedział Yeung. – A ludziom z Korporacji wyjaśnimy sytuację i ostrzeżemy, że kiedy Lalita przejdzie przez Bramę, potrzebne będą wszelkie środki ostrożności. Do licha, na Ziemi umierają miliony, a my nie chcemy im pomóc, bo kobieta, której ciało zawiera lek, kogoś zabiła? Ja jestem gotów zaryzykować, a wy?

– Jestem za – poparła go Sofia.

– Ja też, jeśli będę mógł z nią iść.

Peña wyraził zgodę skinieniem głowy. Nadal nie wyglądał na

przekonanego, ale nie zamierzał protestować.

Sofia, którą opanował nagły lęk, trochę tego żałowała.

\*\*\*

Ekran komputera rozbłysł złotawo, co oznaczało uruchomienie kanału łączącego ich bezpośrednio z Korporacją.

*DO NAUKOWCÓW PRZEBYWAJĄCYCH NA ŚWIECIE DANTEGO 3: W ZWIĄZKU ZE ZNALEZIENIEM POTENCJALNEGO LEKU UDZIELAMY POZWOLENIA NA PRZEJŚCIE DWÓCH OSÓB PRZEZ BRAMĘ PRZED WYZNACZONYM TERMINEM. RESZTA MUSI CZEKAĆ.*

– I tak mamy szczęście – wymruczał Yeung. – Mogli zgodzić się tylko na Lalitę, a wtedy Terry dostałby szau.

Raz na trzy miesiące Brama osiągała pełną moc, a jej otwarcie wymagało najmniejszego nakładu energii. Wtedy właśnie odbywała się wymiana ekip naukowców. W pozostałych dniach trzeba było mieć naprawdę mocne argumenty, żeby przekonać Korporację.

– Wiesz, ja naprawdę miałam głupią nadzieję, że pozwolą nam wszystkim wrócić do domu... – szepnęła Sofia, a Yeung pocieszającym gestem ucisnął jej ramię.

– Jeszcze tylko trzy dni.

Za jego plecami Wergiliusz wyświetlił napis:

*ZDAJEMY SOBIE SPRAWĘ Z NIEBEZPIECZEŃSTWA. WSZELKIE ŚRODKI OSTROŻNOŚCI ZOSTANĄ ZACHOWANE.*

– Ufasz Terry’emu? – zapytał Yeung. – Szczerze mówiąc, ostatnio jest w kiepskim stanie. Może lepiej będzie, jeśli któreś z nas porozmawia z Lalitą i wszystko jej wytłumaczy?

Starsza kobieta pokręciła głową.

– To wciąż jest jego żona i niezależnie od tego, czym... kim się stała, on zna ją najlepiej. A poza tym... – Zamilkła na chwilę. – Mam wrażenie, że jeśli teraz potraktujemy Terry’ego jak wariata albo dziecko, to załamię się kompletnie. Pozwólmy mu coś zrobić, niech nie ma wrażenia, że odstawiliśmy go na boczny tor...

– A jeśli wszystko zepsuje?

– Nie zepsuje. On bardzo chce wrócić na Ziemię ze swoją ukochaną

i wierzy, że to ich szansa. Przekona ją, zobaczysz.

A jeśli coś pójdzie nie tak albo okaże się, że Jacinto kłamał i ciało Lality wybuchnie w Bramie, to niech Bóg mi wybaczy, dodała w myślach.

Nacho Yeung westchnął.

– W porządku, poprę cię, jeśli Peña będzie robił kłopoty. Ale tak czy inaczej, najpierw trzeba tę dziewczynę znaleźć. Do licha, wysłaliśmy na Ziemię wiadomość i niemal podzieliliśmy skórę na niedźwiedziu, a tymczasem nawet nie mamy pojęcia, gdzie tego niedźwiedzia szukać.

\*\*\*

Sofia przysypiała w chłodnym wnętrzu Belzebuba. Obok z zamkniętymi oczami spoczywał Terry, a przy stanowiskach strzelniczych rozmawiało dwóch żołnierzy. Część ich słów ginęła w szumie silników.

– To prawda – mówił jeden – ...był artykuł... Niemiecki naukowiec ma teorię... Bramy, rozumiesz? Nieustabilizowane, nie tylko...

– ...pomiędzy różnymi światami Dantego?

– Aha. Nikomu się nie udało... Jeszcze.

– ...wiedzą?

– Dzikie... poznać po tym... jest coś dziwnego... nie pasuje do otoczenia, rozumiesz? Jakby... Element innego świata tu i element od nas tam. Razem...

– ...jednej i drugiej stronie?

– Właśnie tak. Dokładnie to samo.

Sofia nie słyszała tej rozmowy. Przegapiła ją, tak samo jak wcześniej pewien ważny artykuł i jak później miała przegapić równie ważne słowa brata. Spała. Zbudziła się dopiero po chwili, zaniepokojona i wcale nie wypoczęta.

Znalezienie Lality było znacznie trudniejsze niż Terry'ego, bo oczywiście dziewczyna nie miała chipu identyfikacyjnego. W głębi duszy starsza kobieta wątpiła, czy w ogóle im się uda.

Niemniej jednak udało się, i to w niespełna dwie godziny. Belzebub

odnalazł Lalitę w odległości mniej więcej sześciu kilometrów od Katedry. Nie robiła nic szczególnego, po prostu stała pośród morfującego krajobrazu. Była naga, czerwony blask omywał jej skórę, a wiatr szarpał jasne włosy.

Odwróciła się, gdy podszedł do niej Terry.

Sofia spoglądała na nich przez iluminator. Nie mogła słyszeć słów, ale widziała całą scenę. Błagalne gesty Terry'ego i skupiony, pełen namysłu wyraz twarzy kobiety. Jego nerwowość i jej spokój.

Przez cały czas Sofia miała przeczucie, że zaraz stanie się coś złego, że Terry jednak spieprzy sprawę, a Lalita – jeśli to w ogóle była jeszcze Lalita – po prostu odwróci się i odejdzie.

Nic takiego się nie stało. W pewnym momencie mężczyzna sięgnął po dłoń kobiety, a ona biernie poszła za nim. Wrócili do Belzebuba, trzymając się za ręce niczym para młodych zakochanych. Na tle piekielnego krajobrazu ten widok był tak absurdalnie sielski, że Sofia zaczęła chichotać – najpierw cicho, a potem coraz głośniej, czując, jak z kolejnymi falami wariackiego śmiechu spływa z niej napięcie dzisiejszego dnia.

\*\*\*

W rzeczach tragicznie zmarłej i porwanej przez diabły Moany Sofia znalazła prostą białą sukienkę, którą dała Lalicie. Dziewczyna włożyła ją bez ociągania, choć starsza kobieta miała wrażenie, że równie chętnie zgodziłaby się nadal chodzić nago. Mało się odzywała, najczęściej do Terry'ego, który skakał wokół niej niczym ogłupiały królik. Młodzi żołnierze gapili się na Lalitę z mieszaniną strachu i niezdrowej fascynacji, a kapitan Peña oraz Nacho Yeung odzywali się do niej tylko wtedy, gdy musieli, a i wtedy używali suchego, bezosobowego tonu, jakby mówili do maszyny, nie do człowieka.

Sofia nie mogła mieć im tego za złe, zwłaszcza że sama zachowywała się podobnie. To był ich sposób radzenia sobie z osobliwą sytuacją: Moany nikt tak naprawdę nie lubił, lecz była jedną z nich, a Lalita zamordowała ją z zimną krwią. Teraz nikt nie wiedział, jak właściwie powinno się dziewczynę traktować – czy jak

kogoś, komu należy się kara, czy może jak nadzieję ludzkości? I czy Lalita w ogóle była jeszcze człowiekiem, który zdaje sobie sprawę ze swoich czynów? Nie znali na te pytania odpowiedzi, a uśmiechnięta i zadziwiająco bierna Lalita pozostawała zagadką.

Milcząco zgodzili się więc, że będą ją w miarę możliwości ignorować, a potem, gdy przekroczy Bramę, niech się o nią martwią ludzie z Korporacji. Jedynie Sofia na chwilę wyłamała się z tego zbiorowego ostracyzmu.

– Dlaczego zaatakowałaś Moanę? – zapytała. Użyła słowa „atakować”, bo „mordować” nie przeszłoby jej przez usta, gdy patrzyła na tę delikatną blondyneczkę.

Lalita namyślała się przez kilka sekund.

– Chciała mnie zabić.

– Więc zrobiłaś to, żeby się zemścić?

– Chyba tak.

– Chyba? Jak można czegoś takiego nie wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– To wydaje się takie odległe – odparła.

Lalita zachowywała się dokładnie tak jak wtedy, gdy była jeszcze zmodyfikowanym KOT-em – posłuszna, łagodna i niezdolna do przeżywania silnych emocji. Kłopot w tym, myślała Sofia, że morderstwo z zemsty niewątpliwie wymaga udziału silnych emocji. Lalita udawała? Jeśli tak, to robiła to doskonale – starsza kobieta nie potrafiła przyłapać jej na żadnym błędzie.

– Pamiętasz mnie, Lalito? – spróbowała jeszcze raz w nadziei, że jednak nawiąże z dziewczyną kontakt. – Wiesz, kim jestem?

– Oczywiście. Jesteś Sofia. Zmieniłaś się. Ja też się zmieniłam.

Starsza kobieta wzdrygnęła się. Jak nazywają to uczucie?

Ach tak, zdaje się, że ktoś właśnie przeszedł po moim grobie.

\*\*\*

Brama otworzyła się tam, gdzie zawsze, czyli w odległości około trzystu metrów od Stacji. Wyglądało to tak, jakby z czarnej skały trysnęło źródło, które po chwili rozlało się pomiędzy czterema

wyznacznikami w kwadratowe jeziorko. Połyskliwy błękit pochłonał morfujące drzewo-szkielety, zakotłował się, a potem wygładził. Wciąż jednak było słycać szum, a po poziomej powierzchni Bramy z trzaskiem przebiegały różowe iskry.

– Już czas. – Nacho Yeung podniósł głos, przekrzykując hałas. – Idźcie.

Terry podszedł do Sofii, objął ją prawą ręką, a lewą sięgnął do jej dłoni – niemal dokładnie tym samym gestem, jakim ona niedawno odebrała mu bransoletę. Rozwarł siostrze palce i wcisnął pomiędzy nie coś gładkiego i chłodnego. Potem pochylił się do jej ucha i wyszeptał kilka słów, które utonęły w szumie i trzaskach.

– Co takiego?! – krzyknęła.

– Pospiesz się, Terry! – ponaglił go w tej samej chwili Yeung.

Mężczyzna odwrócił się, wziął żonę za rękę i razem weszli na błękitną powierzchnię. Sofię zawsze bawił ten widok, ta krótka chwila, gdy przechodzący przez Bramę wyglądali, jakby kroczyli po wodzie. Potem oboje zaczęli się zapadać, najpierw po kostki, potem po kolana i pas, aż w końcu całkiem znikli.

Brama zamknęła się, pozostawiając po sobie wypalony obszar o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych.

– W porządku. – Nacho Yeung uśmiechał się mimo widocznych oznak wyczerpania. – Teraz trzymajmy kciuki, żeby się udało. A kto jest wierzący, niech się jeszcze pomodli. Być może właśnie w tej chwili ocaliliśmy miliony ludzkich istnień!

Sofia odwzajemniła uśmiech, a potem otworzyła zaciśniętą pięść. Na jej dłoni spoczywał biały kawałek mozaiki.

Kawałek, który z całą pewnością nie morfował.

\*\*\*

Wergiliusz przesłał wiadomość, że Terry oraz Lalita Kassou dotarli bezpiecznie, a potem zamilkł.

Przez ponad dwa dni wyświetlał wciąż ten sam napis: BRAK POŁĄCZENIA Z ZIEMIĄ. Do niedawna Sofia sądziła, że sytuacja na Stacji nie może być bardziej napięta. Teraz okazało się, że owszem,

może być. Gdy rankiem trzeciego dnia, kilka godzin przed planowanym powrotem, Wergiliusz nadal milczał, Yeung rozpląkał się, a kapitan Peña po raz pierwszy stracił nad sobą kontrolę i pięścią rozwalił połowę aparatury do analiz, wrzeszcząc, że już on się policzy z tymi sukinkotami z Korporacji. Nikt nie próbował go powstrzymać – żołnierze spoglądali z przerażeniem, jakby nagle runęła ich wiara w Boga, Nacho Yeung szlochał, a Sofia... Sofia po prostu stała z założonymi rękami, zbyt zmęczona nawet na to, aby rozpaczać. Jedynie od czasu do czasu sięgała do kieszeni i dotykała białego kawałka mozaiki. Zachowała go, mimo że nie sądziła, iż przyda się jej do czegokolwiek. To było coś w rodzaju pamiątki, którą dostała od na wpół szalonego brata. Pamiątki na szczęście.

Kilka minut przed południem ekran komputera rozświetlił się złotawo. Zgromadzili się przy nim wszyscy i Nacho Yeung poprosił o przekazanie informacji z Korporacji.

DO NAUKOWCÓW PRZEBYWAJĄCYCH NA ŚWIECIE DANTEGO 3: ŚRODKI OSTROŻNOŚCI ZAWIODŁY, powiedział Wergiliusz.

Ktoś za plecami Sofii jęknął, ale nie obejrzała się, żeby sprawdzić kto. To nie miało znaczenia. Chińczyk objął ją pocieszająco. Nie protestowała – to też nie miało znaczenia.

SUBSTANCJA ZWANA MÉRIDIONEM WYRWAŁA SIĘ SPOD KONTROLI I ROZPRZESTRZENIA SIĘ W BŁYSKAWICZNYM TEMPIE. W CIĄGU CZTERDZIESTU OŚMIU GODZIN SKAŻENIU ULEGŁA NIEMAL POŁOWA KONTYNETU. NIE JESTEŚMY W STANIE TEGO POWSTRZYMAĆ. NIE JESTEŚMY W STANIE NIC ZROBIĆ.

W ATMOSFERZE ZIEMSKIEJ MÉRIDION ŁĄCZY SIĘ Z WSZYSTKIMI PIERWIASTKAMI. MORFUJĄ BUDYNKI, ROŚLINY, ZWIERZĘTA ORAZ LUDZIE.

ZARAŻENI ENCARNITĄ BEZUSTANNIE UMIERAJĄ, ZMARTWYCHSTAJĄ, A POTEM ZNÓW UMIERAJĄ. NIE JESTEŚMY W STANIE PRZERWAĆ ICH CIERPIENIA. SĄ ICH TYSIĄCE, A LICZBA TA WCIAŻ WZRSTA.

LOS LALITY ORAZ TERRY'EGO KASSOU POZOSTAJE NIEZNANY. POSTARAMY SIĘ WAS WYCIĄGNAĆ, ALE TO MOŻE POTRWAĆ. NA ZIEMI ROZPĘTAŁO SIĘ PRAWDZIWE PIEKŁO.

Wergiliusz zamilkł i gdy byli pewni, że nie powie nic więcej, wyrzucił z siebie jeszcze jedno zdanie, a potem ucichł na dobre.

Ostatnie zdanie brzmiało:

**LEPIEJ ZOSTAŃCIE TAM, GDZIE JESTEŚCIE.**



\*\*\*

Zwykle było tak, że Ania przynosiła gotowy tekst do oceny i zaopiniowania, czasem jednak zdarzało się, że – niepewna, czy idzie w dobrą stronę, czy to, co właśnie napisała, ma w ogóle szansę chwycić – dzieliła się kawałkiem. Mniej więcej przy okazji tego opowiadania zorientowaliśmy się, jak bardzo ten zabieg jest bez sensu. Z jednej strony bowiem – i to był ten pozytywny aspekt – nasze opinie, najczęściej w większości przychylnie, motywowały Anię do kończenia tekstu. Z drugiej, ni cholery nie wiem, na co jej to zapytanie o kierunek, skoro dwie, trzy strony później i tak szła w zupełnie inną stronę, zmieniając czasem rytm, czasem gatunek opowieści. *Duchy* w maszynach są tego idealnym przykładem, bo zobaczycie sami, jak nagle spada tu zasłona horroru i tekst staje się... Albo nie. W końcu jak zobaczycie, to zobaczycie, nie będę Wam psuł zabawy.

Warto jednak, żebyście wiedzieli, że to, co dostaliśmy jako ów niepewny wstęp, to było kilka pierwszych stron. Rasowa groza podszyta postapo. Bohater na opuszczonym, zniszczonym dworcu, wokół wyblakłe rozkłady przyjazdów i odjazdów, a on wpatruje się w zegar, myśląc o tym, jak bardzo nie ma innego wyjścia...

Znam się na dworcach, bywałem naprawdę na wielu, i znam dobrze wygląd tych opuszczonych. Nie wiem, skąd Ania czerpała swoją wiedzę – z ilu podróży w czasach, kiedy jej nie znałem – ale ten szkic tła, który rzuca tu na pierwszych stronach, jest idealny. Tak wygląda każda opuszczona stacja, nieważne, w jakim budynku się mieści, nieważne, w jakim mieście znajduje. Te roztańczone drobinki kurzu w promieniach gasnącego słońca, wybite szyby, brud niczym pleśń, pleśń niczym brud i połamane ławki...

A potem jeszcze sam pociąg, jazda nim, a wszystko to na tym kingowskim pograniczu magii i martwej technologii. Tak wyglądał świat, który poszedł naprzód w *Mrocznej* wieży, tak wyglądała rzeczywistość bastionu, gdy nadeszły mroczne i jasne siły. Kulminacją tego, co dostaliśmy wtedy, był pewien telefon...

I już, tyle. Dalej Wam nie psuję, dalej nie streszczam. Powiem

tylko, że gdy przeczytałem wreszcie całość, pierwszym uczuciem, jakie towarzyszyło mi po lekturze, było... rozczarowanie. Tak bardzo chciałem bowiem, by ta historia potoczyła się po sznurku i kliszach zaznaczonego na wstępie gatunku. Tak bardzo miałem nadzieję na rasową grozę. To, co dostałem, tak kompletnie odstawało od wizji tego, czego się spodziewałem, że teraz, siadając do ponownej lektury wszystkich zebranych tu tekstów, byłem pewien, że to będzie ten krytyczny wstępniak, to miejsce, gdy powiem, że czasem eksperymentowanie wiedzie jednak Anię na manowce. A tu niespodzianka. Bo to ja się myliłem, co widzę po czasie. Tekst jest spójny, a zwrot płynny i całkowicie zasadny. Zresztą cóż, przeczytajcie, dojdziecie do tych samych wniosków.

Ja ze swojej strony dopiszę jeszcze tylko, że zdanie otwierające *Duchy w maszynach* mam za jeden z najlepszych „otwieraczy”, jakie czytałem w życiu. Nie wśród tekstów znajomych, w ogóle. Na prowadzonych przeze mnie warsztatach kładę je tuż obok znakomitego otwarcia *Neuromancera* i nie ma w tym ani odrobinki przesady. *Gdy tylko się da, pierwsze zdanie powinno być osobną opowieścią. Powinno odpalać silnik naszego mózgu na krótko, bez kluczyka. Powinno sprawiać, że pieprzyć rzeczywistość, zobowiązania, plany na wieczór! – chcemy czytać dalej, choćby tylko jedną stronę. To zdanie takie jest.*

Zresztą sprawdźcie sami. A nawet sobie nie wyobrażacie, jak szybko spotkamy się przy następnym tekście.

# Duchy w maszynach

## Część 1

Odkąd umarli przejęli linie kolejowe, pociągi wreszcie przestały się spóźniać. Oczywiście papierowych rozkładów jazdy na dworcu już nie było – część zgniła pod wpływem deszczu, inne zostały podarte przez wiatr albo rozwydrzoną dzieciarnię. Przetrwał jedynie ten nad kasami – białe litery wymalowane na solidnej metalowej płycie. Przez lata mocno zardzewiała, ale wciąż dało się odczytać, że ekspres Marsylia – Rzym (przewóz przesyłek konduktorskich, nie kursuje w dni świąteczne) odjeżdża z peronu drugiego o godzinie osiemnastej zero pięć.

Przez dziurawy dach do hallu wpadało światło. Dziewięć dziur i dziewięć jaskrawożółtych kolumn, które zmieniały dworzec w pogańską świątynię gruzu, rdzy i pleśni. Ciszę mącił trzepot skrzydeł. Gołębie krążyły pod sufitem; ich pióra w promieniach słońca miały złocistobiały kolor.

Noel zerknął na wiszący nad wejściem zegar. Gdy zielona jedyńka zmieniła się w dwójkę, wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu ciarki. Czym prędzej odwrócił wzrok.

Trzy minuty do odjazdu. Powinien się spieszyć.

Gdy przechodził przez hall, chmury zakryły słońce, a Noel omal nie potknął się o coś, co niegdyś musiało być wózkiem bagażowym. Zaklął i jak na zawołanie zapaliła się wisząca u sufitu żarówka. Zamrugła, zgasła, po czym na powrót rozjarzyła sinawym blaskiem.

Ścigany strachem, przyspieszył kroku. Minął McDonalda, gdzie na plastikowych stolikach zalegała gruba warstwa kurzu, potem rząd kas z powybijanymi szybami. W jednej z nich, mrużąc cicho, pracował komputer. Na ekranie spod brudu połyskiwały zielone rzędy cyfr i liter. Ceny biletów, które nikomu już nie były potrzebne, kursy do miejscowości, do których nikt nie jeździł.



Wbiegł na peron dokładnie w chwili, gdy ekspres hamował z przeraźliwym zgrzytem. Noel nerwowo przełknął ślinę. Krew na jego policzkach zdążyła już zaschnąć i teraz nieprzyjemnie ściągała skórę. Zapraagnął zawrócić, zmyć znaki ochronne, a potem... potem...

Wiedział, że nie ma do czego wracać. Nie istniało takie miejsce,

w którym byłby bezpieczny, więc równie dobrze mógł wsiąść do pociągu.

\*\*\*

Z trudem znalazł przedział z całą szybą w oknie. Jedno z siedzeń zostało pocięte nożem – głębokie rysy ciągnęły się po sztucznej skórze, a kłęby włosów leżały na podłodze. Drugie na szczęście ocalało. Noel oczyścił je trochę z kurzu i usiadł z ulgą.

Ekspres ruszył. Koła postukiwały rażno, lampka nad drzwiami świeciła, rozpraszając półmrok. W jej blasku Noel widział upstrzone ciemnymi plamami lustro, napis „Z...az pal...ni...” oraz tabliczki z numerami siedzeń, z których trzy dało się jeszcze odczytać.

Wstał i otworzył czarne od brudu okno. Do przedziału wtargnął łagodny, czerwonozłoty zmierzch. Lato konało powoli i z godnością, dni były jeszcze ciepłe, wieczory całkiem długie, a w powietrzu unosiła się woń palonych traw.

Mijali właśnie miasto, Noel nie potrafił nawet powiedzieć jakie. Gmachy opuszczonych wieżowców godziły w niebo, ulice tarasowały zardzewiałe wraki. Przy jednym z nich stała mała dziewczynka, której za sukienkę służył męski podkoszulek przewiązany w pasie sznurkiem. Uniosła rękę i pomachała Noelowi, a on odpowiedział tym samym gestem.

Na drodze za miastem wraków było znacznie mniej. Owszem, wciąż rdzewiały na poboczu, ale środek pozostał przejezdny. I właśnie środkiem wolno posuwał się ogromny samochód z zapalonymi światłami. Za kierownicą nikt nie siedział, reszta siedzeń także była pusta. Noel pośpiesznie cofnął się od okna, a potem dla pewności zasunął szybę. Niemądry odruch – gdyby umarli mieli go zobaczyć, zobaczyliby już dawno, bo w pociągu musiało ich być sporo.

Zastanowił się, czy prócz niego jedzie ekspresem ktoś żywy. Możliwe, choć mało prawdopodobne, uznał. Większość ludzi niechętnie podróżowała koleją, mimo że umarli rzadko czynili żywym krzywdę.

Rzecz jasna, Noel stanowił wyjątek od tej reguły.

Wyciągnął się na siedzeniu, czując, jak opada z niego napięcie. Wyjął z kieszeni starą, w wielu miejscach poprzecieraną mapę Rzymu, którą kupił na targu za grosze, i studiował ją przez chwilę, jednak zmęczenie powoli brało górę. Nic dziwnego, skoro od rana był w drodze, a zeszłej nocy spał może z pół godziny.

Nie powinienem zasypiać, myślał. Nie... powinienem...

Śnił mu się szaman, który smarował jego twarz krwią świeżo zarżniętego kurczaka. Trzy znaki ochronne: jeden na czole i dwa na policzkach.

Pierwszy, żeby umarli go nie zobaczyli, drugi, żeby nie usłyszeli, i trzeci, by nie wyczuli jego zapachu.

\*\*\*

Otworzył oczy i usiadł, zdjęty nagłym lękiem, który zawsze towarzyszył mu przy przebudzeniu. Lęk, że kiedy spał, wydarzyło się coś strasznego, że wreszcie go dopadli albo za chwilę dopadną.

Pod powiekami miał obraz pociągu, który wypadł z torów i teraz szybuje w mroku na spotkanie ziemi. Potem zgrzyt miazdzonego metalu i szybka śmierć albo długa agonია.

Lęk przed tym, że umrze i stanie się jednym z nich.

Siedział przez chwilę nieruchomo, wsłuchując się w stukot kół. Jego skórę pokrywał zimny pot, a serce uspokajało się bardzo powoli. Był taki czas – niegdyś, przed laty – gdy po przebudzeniu dochodził do siebie w parę sekund. Teraz zajmowało to kilka minut.

Schylił się po mapę, która spadła na podłogę, po czym wstał i spojrział w lustro – na szczęście znaki na twarzy pozostały nienaruszone. Poczł się lepiej, choć oczywiście nie oznaczało to wcale, że jest całkowicie bezpieczny. Ktoś mógł zdradzić, a umarli mogli się domyślić, że będzie jechał tym pociągiem.

I nowy przyływ lęku: czy przegapił stację, do której zmierzał? Nie, niemożliwe. Za oknem dopiero szarzało, a w Rzymie powinien być koło południa.

Lustro odbiło wyraz ulgi na jego twarzy. Przeczesał palcami jasne włosy i posłał samemu sobie niepewny uśmiech. W wieku trzydziestu

czterech lat wciąż wyglądał bardzo młodo, nieledwie dziecinnie. Już kilka razy ocaliło mu to życie, gdyż zabójcy wahali się, widząc kogoś tak niewinnego. Co prawda zrezygnował tylko jeden, a reszta po chwili zaskoczenia próbowała robić swoje, lecz Noelowi nawet ułamek sekundy wystarczył, by zorientować się w sytuacji i odeprzeć atak.

Wrócił na siedzenie z mocnym postanowieniem, że nie zaśnie. Udało mu się i gdy w skwarze nowego dnia pociąg wjeżdżał do Rzymu, mężczyzna wyglądał przez okno – blady i z podkrążonymi oczami, ale gotów stawić czoła wszystkiemu i wszystkim. Nawet umarłym.

\*\*\*

Stojąca na peronie kobieta nie wyglądała na martwą.

To była pierwsza rzecz, na jaką ludzie zwracali uwagę, spotykając kogoś nieznanego – nie czy jest brzydki, czy ładny; nie czy budzi zaufanie, czy też wręcz przeciwnie. Najważniejsze pytanie brzmiało, czy nieznajomy jeszcze żyje.

Kobieta miała rumieńce, a jej oczy błyszczały, więc Noel zbliżył się ostrożnie. Gdy chwyciła go za ramię, uścisk ciepłej dłoni rozwiązał ostatnie wątpliwości.

– Noel, mam rację, prawda? Ja się nazywam Renata. Czekałam tu na pana... Nie gniewa się pan?

Cofnęła rękę, przerażona własną śmiałością, a potem zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Ze zmieszaniem było jej do twarzy, w dodatku miała szerokie biodra, wąską talię i duże, ciężkie piersi. Ulubiony typ urody Noela.

Z trudem oderwał wzrok od jej dekoltu, który kusząco opinała sukienka z kolorowych gałganków. Przez chwilę Noel miał ochotę zapytać, skąd wiedziała o jego przyjeździe, ale dał sobie spokój. Większość dorosłego życia spędził w podróży i wiedział już, że odpowiedzi w takich sytuacjach są zdumiewająco do siebie podobne: przyjaciół przyjaciele czy znajomy znajomego, ryzyko kontaktu przez telefon, litość i tragedia...

To zawsze była tragedia.

– Nie gniewa się pan? – powtórzyła. Uśmiech na jej twarzy był coraz bardziej wymuszony, w oczach narastał lęk. – Wiem, że pan woli podróżować nierozpoznany, ale moja córka, och, proszę, moja mała córeczka... To nie zajmie dużo czasu, proszę...

Wciąż jeszcze mówiła spokojnie i nie zapomniała tytułować go „panem”, lecz Noel wiedział doskonale, że jeśli odmówi, Renata uklęknie przed nim na brudnym peronie, obejmie za kolana, a potem zacznie wyć i błagać, i znowu wyć, a pod koniec w jej głosie nie będzie niczego poza bólem stworzenia, któremu odebrano ostatnią nadzieję.

– Nie gniewam się – odpowiedział, pocierając dłonią skronie. A potem dodał, nim znów rozpoczęła swoją litanię: – I pomogę twojej córce.

\*\*\*

Poprowadziła go cichymi, obumarłymi ulicami aż do cichej, obumarłej kamienicy. A potem do środka, w głąb chłodnej klatki schodowej, gdzie na ścianach rósł gąbczasty grzyb i czuć było zgnilizną. Drewniane stopnie poskrzypywały, gdy w półmroku wspinali się na trzecie piętro. Renata szła pierwsza, a Noel nie mógł oderwać wzroku od jej bioder, łagodnie falujących pod sukienką. Myślał o tym, jak by to było, gdyby położył się z tą kobietą na świeżo wykrochmalonym prześcieradle, kochał się z nią, a potem zasnął z głową na jej piersiach. Spałby całą noc, choć raz spokojny i bezpieczny, a później otworzyłby oczy i ona wciąż byłaby przy nim.

Być może.

Jestem zmęczony, pomyślał, po raz kolejny pocierając dłonią skronie. Głowa jeszcze go nie bolała, ale charakterystyczny ucisk zapowiadał, że wkrótce zacznie się migrena.

– To tutaj. – Wyciągnęła klucz z kieszeni swojej wielobarwnej gałgankowej sukienki.

Sukienka była brudna, nie zwyczajnie zszarzała i poplamiona, lecz niemal czarna.



Zauważył to dopiero teraz, wcześniej za bardzo był zajęty gapieniem się na biodra kobiety. Nic dziwnego, pomyślał, przecież Renata czekała na peronie pośród gruzu i kurzu. Ja wyglądam dokładnie tak samo.

Tak, ale ja spędziłem całą noc w pociągu, a ona tylko przyszła na dworzec, odezwała się bardziej trzeźwa część jego umysłu.

Renata włożyła klucz do zamka i przekręciła.

Mieszkanie było niewielkie i bardzo zagracone. Kawałki kolorowych materiałów, ozdobne puzderka, szklane śniegowe kule, świeczniki, wazoniki, książki i komiksy – wszystko to leżało na stole, krzesłach, nawet na podłodze. Część rzeczy była w niezłym stanie, inne wyglądały na rupiecie.

Na stole stał też telefon. Zwyczajny szary aparat, od którego odchodził kabel z wtyczką zwisającą luźno na końcu.

Spojrzeli na niego równocześnie, ona i on. Mężczyzna pospiesznie odwrócił wzrok, a kobieta pobladła gwałtownie. Przez chwilę jej usta poruszały się w milczeniu, dłonie bezsensownie szarpały sukienkę.

– Czy chciałby pan... – wydusiła wreszcie. – Czy chciałby pan umyć się po podróży? Przygotuję w tym czasie coś do jedzenia.

Skinął głową. Przez uchylone drzwi widział drugi pokój, w którym stało łóżko. A na nim... kształt pod kocem, bardzo cichy i bardzo nieruchomy.

– Potem – dodała, podążając za jego wzrokiem – pomoże pan mojej córeczce...

W łazience sięgnęła po wiadro wody i ostrożnie przelała ją do emaliowanej miski, która pełniła funkcję umywalki. Obok stała wanna po brzegi wypełniona dziecinnymi zabawkami. Noel posłał w ich stronę roztargniony, smutny uśmiech, po czym zdjął koszulę i chwycił mydło. Chłodna woda koła zmęczone mięśnie, rozjaśniała umysł. Zamknął oczy. Wiedział, że Renata stoi w progu i patrzy.

Nie przeszkadzało mu to.

Po chwili usłyszał dźwięk oddalających się kroków, a potem odgłosy kuchennej krzątaniny. Otwieranie szafek, brzęk kubków i talerzy – wszystko trochę zbyt głośne, trochę zbyt ostentacyjne.

Na palcach przeszedł do pokoju, w którym stało łóżko. Rysujący się

pod kocem kształt miał wielkość dziesięcio-, może dwunastoletniego dziecka. Noel ostrożnie uniósł przykrycie.

To rzeczywiście było dziecko dziesięcio- albo dwunastoletnie. Miało na sobie sukienkę, więc wywnioskował, że to dziewczynka. Z wyschniętych i poczerniałych rysów twarzy nie dało się tego poznać. Noel wyciągnął dłoń i dotknął resztek jasnych włosów, a potem położył kołdrę i cicho wrócił do łazienki.

Renata przyszła chwilę później. Stała za jego plecami, objęła w pasie jedną ręką i przytuliła się. Jej ciało było miękkie i ciepłe.

Jestem zmęczony, pomyślał. Tak łatwo byłoby pozwolić jej zrobić to, co zamierzała.

Odwrócił się powoli, podczas gdy ona próbowała go powstrzymać. Nie chciała patrzeć mu w twarz; bezustannie uciekała wzrokiem, a drugą rękę chowała za plecami.

Szarpnął ją, zakręcił jak dziecinną kukielką i chwycił nadgarstek drugiej ręki. Tej, w której trzymała nóż.

– Nie – jęknęła. – Och, nie.

Jej rysy wykrzywił ból, strach i złość. Walczyła z całych sił, ale Noel, choć niewysoki i drobny, mięśnie miał dobrze wytrenowane.

Nóż z brzękiem upadł na podłogę, Renata obwisała w jego ramionach i rozplakała się. Podtrzymywał jej miękkie, ciepłe ciało, szeptał jakieś bezsensowne słowa i pozwalał, by szłochała z czołem opartym na jego piersi. Nie potrafił się na nią gniewać, czuł tylko ciężar gorzkiego smutku.

I zmęczenie.

Zadzwonił telefon, a Renata momentalnie ucichła i zeszywniała.

Jeden terkotliwy dźwięk, potem drugi. I znowu. Żadne z nich się nie poruszyło ani nawet głośniej nie odetchnęło.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Kobieta wyprostowała się, Noel wypuścił ją z objęć i podszedł do aparatu. Podniósł słuchawkę.

– Mama? – Głos był chrapliwy, brudny, jakby ktoś próbował mówić z gardłem pełnym ziemi. W tle Noel słyszał głuchy pogłos, który kojarzył mu się z długimi, ciemnymi tunelami, przez które mkną puste pociągi.

Milczał.

Dziecko po drugiej stronie linii zachichotało.

– To nie mama, tylko pan Noel, prawda? A więc się nie udało. Szkoda. Ale zdaje pan sobie sprawę, że my i tak wygramy?

Uderzył w widełki i przerwał połączenie.

Renata stała w progu, patrząc na niego wielkimi, zapadniętymi w głąb czaszki oczami. Rumieńce zniknęły – gdyby teraz ujrzał ją po raz pierwszy, być może uznałby, że kobieta nie żyje. W pewnym sensie to była prawda. Serce Renaty pompowało krew, ale ona sama zmarła w chwili, gdy straciła nadzieję.

– Miała na imię Eliana – powiedziała. – Moje dziecko, moja mała księżniczka. W lipcu skończyłaby jedenaście lat.

Czekał cierpliwie.

– Zatrucie, ponad pół roku temu. Odeszła szybko, w ciągu jednej nocy. Jak zdusić palcami płomień. Bóg dał, Bóg zabrał, tak kiedyś mówiono. Gdyby pan był tu wtedy...

Gdyby – odwieczna zmora wszystkich tych, którzy kogoś stracili. Noel nienawidził tego krótkiego słówka. Gdyby był tu pół roku temu, mógłby pomóc Elianie. Teraz było o wiele za późno.

– Myślałam, żeby do niej dołączyć, kiedy ona... ona...

– Odezwała się do ciebie – odpowiedział.

– Tak. – Przelotny uśmiech ożywił jej rysy, a kiedy zniknął, kobieta wydawała się jeszcze bardziej blada i wyczerpana. – Odezwała się do mnie. Powiedziała, że wróci, jeśli coś dla niej zrobię...

– Oni nigdy nie wracają – powiedział łagodnie. – Powinnaś to wiedzieć.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, ale jak wszystkie matki sądziła, że jej córka będzie tym jednym jedynym wyjątkiem.

– Powiedziała, że znów będzie jak dawniej, że będziemy razem mieszkać i... i... – zająknęła się.

– Skąd wiedzieli, że będę w tym właśnie pociągu?

– Nie znali konkretnej godziny ani nawet daty, wiedzieli tylko tyle, że przyjedzie pan pod koniec miesiąca. Dwa dni koczowałam na dworcu, miałam tam koc, wodę i puszki z jedzeniem...

Stąd ta brudna sukienka, pomyślał, jakby to miało jakiegokolwiek

znaczenie. W takich chwilach czepiał się najgłupszych drobiazgów.

– Kto... – Odchrząknął, czując, że ściska go w gardle. – Kto mnie zdradził?

– Nie wiem, naprawdę. Miałam tylko... – Bezradnym, dziecinnym gestem uniosła dłoń do ust, a potem potrząsnęła głową. Budziła współczucie i może to w tym wszystkim było najgorsze. – Wie pan, co miałam zrobić.

Nie odpowiedział, odsunął się tylko pół kroku. Omal nie zginąłem, omal nie zginąłem, powtarzał w myślach bezsensownie. Miał zawroty głowy i zaczynał się dusić. Zawsze tak reagował – w chwili zagrożenia potrafił zachować spokój, ale zaraz potem przychodziła panika.

Renata uszczypnęła się w policzek, a potem w dolną wargę. Mocno, aż skóra zmieniła kolor na czerwony, a z wargi pociekła krew. Oczy błędziły po pokoju, nie dostrzegając Noela. Pozornie puste, ale głęboko na dnie wciąż tliła się iskierka świadomości. Niemal widział trybiki obracające się w mózgu kobiety. Wiedział, że jej umysł zмага się w tej chwili sam ze sobą, podejmując decyzję.

Jeszcze jeden krok w tył. I drugi. Powoli, nie spuszczać z niej wzroku.

– Mogło mi się udać – powiedziała cicho. – Mogłam odzyskać moją córkę.

Wytarła krew, rozmazując ją po całej twarzy. Oczy już nie sprawiały wrażenia pustych. Teraz było w nich szaleństwo.

– Gdyby nie pan...

Nie czekał na dalszy ciąg. Gdy był już blisko drzwi, po prostu odwrócił się i uciekł, w półmroku przeskakując po kilka stopni naraz. Za plecami słyszał wrzaski Renaty, coraz mniej artykułowane i ludzkie.

Wypadł na ulicę i pędził nią, wymijając zardzewiałe wraki samochodów. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie, po prostu skręcał na chybił trafił, aż poczuł, że żar rozsadza mu płuca i że nie jest w stanie zrobić ani jednego kroku więcej. Wtedy się zatrzymał, rozpaczliwie łapiąc powietrze, a potem, wciąż zgięty wpół, wszedł w ciemną bramę i znalazł tam najciemniejszy kąt. Usiadł, z plecami przyciśniętymi do brudnej ściany, po czym podciągnął kolana pod brodę. I zaczął płakać

– najpierw cicho, bo brakowało mu tchu, a później coraz głośniejsze. Jak zawsze doznał przedziwnego uczucia rozdwojenia – rozsądny Noel obserwował go z zewnątrz, tłumacząc, żeby wziął się w garść, bo w chwili takiej słabości ktoś go kiedyś zabije, podczas gdy Noel nierozsądny szlochał i przeklinał, wołając, że już dość, że lepiej umrzeć niż znosić to dzień po dniu, w końcu wszyscy umrą, on też, co za różnica, wcześniej czy później i tak dołączy do nich i oni wygrają, wygrają, wygrają...

Długo trwało, zanim się uspokoił, o wiele za długo, by mógł sobie na to pozwolić. Jednak nie potrafił inaczej – nerwy miał coraz bardziej zszargane, coraz gorzej i krócej sypiał, a w sytuacji zagrożenia trudniej było zdobyć się na reakcję. Już wkrótce nadejdzie dzień, gdy sparaliżuje go strach, i wtedy ktoś wbije mu nóż w plecy albo... albo...

Albo uda mu się jeszcze raz, a potem jego umysł podejmie decyzję i Noel zmieni się w pochlipujący strzęp człowieka. Istniała i taka możliwość.

Wstał, poszukał w kieszeni kawałka szmatki, w który wysmarkał nos. Gardło miał obolałe od krzyków, czuł się słaby jak szczenię i chciało mu się pić. Przynajmniej z tym ostatnim mógł coś zrobić. Pora poszukać wody, a potem czegoś do jedzenia.

Wyszedł na ulicę. Światło zakłuło go pod powiekami, zamrugał więc, czekając, aż ból minie. Która mogła być godzina? Pewnie koło czwartej albo piątej po południu, zdecydował. W jego rodzinnych stronach o tej porze czułoby się już chłód, ale tu nic nie świadczyło o bliskości wieczoru – może tylko fakt, że słoneczne promienie nabrały głębszej, niemal miodowej barwy.

Zdjął koszulę i przetarł spocony kark. Ulica, na której stał, była szeroka, a po jednej i drugiej stronie wznosiły się kilkupiętrowe kamienice. Szare od brudu i poobtłukiwane, mimo wszystko miały w sobie piękno i jakąś niesamowitą godność. Muszą być bardzo stare, pomyślał z szacunkiem, patrząc w ślepe oczy posągu, który stał przy jednej z bram.

Potem ruszył przed siebie. Wyglądało na to, że idzie w dobrym kierunku, bo wraki samochodów zabezpieczono tu barykadami

z gruzu i połamanych mebli, co świadczyło, że gdzieś w okolicy mieszkają ludzie.

\*\*\*

Ludzi nie było. Miasto stawało się coraz piękniejsze: świątynie jak ze snu (bo budynki tak wielkie i bogato zdobione musiały być świątyniami), posągi (niemal nienaruszone, niemal żywe) i fontanny – o tak, także fontanny i choć w żadnej z nich nie było ani kropli wody, to Noelowi na ich widok ścisnęło się serce.

Jednak ludzi nie było. Opustoszały Rzym zastygł w miodowym blasku jak mucha w bursztynie.

Noelowi coraz bardziej dokuczało pragnienie. Zdawało mu się, że z wybitych okien wszystkich tych pięknych budowli obserwują go umarli. Obserwują i czekają, aż osłabnie na tyle, by upaść.

A może wcale mu się nie zdawało?

Dotarł na olbrzymi, otoczony kolumnami plac i usiadł przy jednej z fontann. Przed sobą miał kolejną świątynię. Nie chciał na nią patrzeć, ale patrzył. Gdyby zostało mu jeszcze trochę łez, pewnie rozplakałby się z żalu i zachwyty jednocześnie.

Odwrócił się, słysząc odgłos kroków. Ktoś nadchodził z zachodu, a jego sylwetka na tle czerwieni słońca była czarna jak drzazga wetknięta w płomień. Noel zamrugał i złudzenie znikło – szedł ku niemu krzepki, siwowłosy mężczyzna.

Prawdopodobnie żywy.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział starzec, odgadując jego myśli. – Zresztą tutaj umarli i tak nie mogliby zrobić ci krzywdy.

Usiadł obok i podał mu manierkę. Pijąc, Noel pomyślał, że to chyba najśodsza i najczystsza woda, jakiej próbował w życiu.

– Dziękuję.

Siwowłosy powiedział cicho kilka słów, których Noel nie dosłyszał, poprosił więc o powtórzenie.

– Bazylika Świętego Piotra. Przynajmniej kiedyś tak się nazywała. Ojciec przekazał mi tę nazwę, a jemu z kolei jego ojciec. Ładnie, prawda?

Noel skinął głową i napił się jeszcze wody.

– Dobrze mówisz naszym językiem – pochwalił nieznajomy. – Byłeś już kiedyś w Rzymie?

– Nie, ale byłem na północy, w Bolonii i Rawennie. Podróżuję od dwudziestu lat i znam kilkanaście różnych języków.

Siwowłosa wrócił spojrzeniem do bazyliki.

– Jest piękna – powiedział. – Martwa, ale piękna. Co ty na to? Zgadzasz się, że coś, co martwe, może być także piękne?

Noel wzdrygnął się. Starzec zauważył to i zachichotał.

– Wiem, kim jesteś, przyjacielu. Do mnie możesz mówić Elisha. Nie tak nazwała mnie świętej pamięci matka, ale mojego prawdziwego imienia i tak nikt już nie używa. Chodź, nakarmię cię i dam do picia coś lepszego niż woda.

\*\*\*

Borgo Santo Spirito, Via del Gianicolo, Via Acciaioli – Elisha wymieniał nazwy ulic, którymi szli. Słowa obcego języka pieściły ucho, były pełne, okrągłe i ciepłe niczym zastygłe krople słońca.

Mrok zgęstniał już tak bardzo, że gdyby Noel wyciągnął rękę, nie mógłby dostrzec własnych palców. Wtedy zaczęły zapalać się światła – w zakurzonych biurach, zrujnowanych sklepach i pomieszczeniach, o których przeznaczeniu dawno zapomniano. Najpierw daleko, na początku Via Acciaioli, potem coraz bliżej. Fala jasności pełzła wzdłuż ulicy, a Noel z trudem opanował chęć ucieczki. Przymknął oczy. Blask dopadł go i pochłonął, obrysował kontury i wyostrzył rysy zmęczonej twarzy.

Z jednego z mieszkań dobiegły dźwięki muzyki, a Noel przyspieszył kroku. Nie zrobią mi krzywdy, tłumaczył sobie, tu są tylko żarówki, które mogą zapalać, i płyty, które mogą puszczać. Żadnych samochodów z elektrycznymi silnikami, nic niebezpiecznego.

Mimo to szedł coraz szybciej.

– Skąd wiedzieliście, że przyjadę? – zapytał, by zająć czymś myśli.

Spodziewał się standardowej odpowiedzi, lecz tym razem został zaskoczony.

– Od naszego szamana. Jest dobry nie tylko w opanowywaniu duchów. Czasem widzi różne rzeczy, takie, które się zdarzyły albo zdarzą. Powiedział mi, że będziesz dziś wieczorem przy San Pietro, a nawet że wcześniej zdarzy ci się coś złego. Zdarzyło się?

– Tak.

– Co takiego?

– Spotkałem kobietę, która mnie oszukała i próbowała zabić. Ładna, ciemnowłosa, twierdziła, że ma na imię Renata. Znasz ją?

– Trochę. To dziwaczka, która zawsze wolała trzymać się na uboczu. A od kiedy umarła jej córka, prawie w ogóle przestała się u nas pokazywać, czasem tylko przychodzi na targ. Miałeś pecha.

– Ktoś musiał zdradzić moje plany.

– Ktoś bliski?

– Nie, chyba nie – odparł niepewnie. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. – Ktoś taki wiedziałby nie tylko, że się wybieram do Rzymu, ale też, którym pociągiem pojedę. Gdyby zdradził mnie przyjaciel, duchy wykoleiłyby pociąg. Kilku byłoby im żal, ale jeden pewnie by poświęcił.

– To dobrze – skomentował Elisha, a potem dodał pośpiesznie: – To znaczy dobrze, że to nie był nikt bliski. Zdrada bliskich osób boli najbardziej.

Noel odwrócił się tylko po to, by zobaczyć, że twarz starca jest uśmiechnięta i doskonale niewinna.

– Tobie też nie mam powodu ufać – powiedział z powątpiewaniem.

– Nie masz – potwierdził Elisha. – Tak naprawdę w twojej sytuacji nie powinieneś ufać nikomu. Ale przecież nie możesz unikać ludzi, bo twój dar opiera się na pomaganiu im. A żeby pomóc, trzeba też zaufać.

\*\*\*

Sypialnia Elishy umeblowana była bardzo skromnie – koślawy stół, kilka krzeseł, na których piętrzył się stos byle jak rzuconych ubrań, i skrzynia pod ścianą. Rolę łóżek odgrywały dwa niezbyt czyste materace. Noel usiadł na jednym z nich, odsuwając kłęb koców.



– Pewnie jesteś głodny... – Elisha uniósł wieko skrzyni. – Mam chleb, ser, parę jabłek, suszoną szynkę, a nawet trochę kawy, musielibyśmy tylko wyjść na zewnątrz, żeby ją zagotować...

– Wystarczy chleb i ser, dziękuję. – Noel uwielbiał kawę, lecz matka przestrzegała go, że w tym gorzkim napoju bardzo łatwo rozpuścić truciznę.

Podszedł do okna. Wzdłuż ulicy płonęły ogniska: sześć, siedem, może nawet więcej. Skupieni wokół nich ludzie piekli mięso i śmiali się radośnie. Żywi mieszkali w domach zbudowanych przed Katastrofą, lecz elektryczne czajniki i kuchenki mikrofalowe potrafili uruchomić tylko umarli, aby więc przygotować coś ciepłego do jedzenia, trzeba było wyjść na zewnątrz i rozpalić ogień – latem pod gołym niebem, a zimą w specjalnie przygotowanej dużej sali. Wszędzie tak to wyglądało.

Noel przymknął oczy, przywołując wspomnienia z dzieciństwa: za oknem deszcz, a on, jego matka i mnóstwo innych osób grzeją się w ciepłe płomieni. Nikt nie chce wracać do domu, bo tam czeka na nich zimno i wilgoć. Opowiadają więc sobie historie i żarty, a potem zasypiają przy ognisku, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie.

– Chcesz do nich iść? – Głos Elishy wyrwał go z zamyślenia.

– Nie chcę. Jestem zmęczony. Zjem tylko i położę się spać. Nie masz nic przeciwko?

Starzec wzruszył ramionami.

– Dlaczego miałbym mieć?

Noel w zamyśleniu gryzł kawałek koziego sera. Smakował dziwnie. Trucizna czy jakieś nieznanne zioła? – zastanowił się przelotnie mężczyzna, ale był zbyt wyczerpany, by poważnie rozważyć tę kwestię.

Jak to powiedział jego nowy znajomy, żeby pomóc, trzeba też zaufać.

– Nie zajmujesz się mną z czystego altruizmu, prawda? – zapytał, wyciągając się na materacu. – Chcesz, żebym komuś pomógł?

– Tak, chcę. To matka jednego z moich przyjaciół. Ale jej czas jeszcze nie nadszedł, więc śpij spokojnie.

\*\*\*

Noel nie spał spokojnie. Otwierał oczy za każdym razem, gdy Elisha przekręcał się na swoim posłaniu, nasłuchiwał przez chwilę, a potem z powrotem zapadał w płytki pół sen, pół jawę, gdzie odgłosy nocy zlewały się z majakami.

Śmiech, tupot stóp obutych w lekkie sandały, przenikliwy gwizd gdzieś na ulicy. Polowanie rozpoczęte, ktoś ściga Noela, a on nie może uciekać, nogi ma miękkie jak z gumy, brakuje tchu, zaraz go dopadną...

To tylko zły sen, powtarza świadoma, czuwająca częśćka jego umysłu.

Usnął na dobre dopiero tuż przed świtem.

Nie na długo.

Ktoś pochylił się nad nim i szarpnął za ramię.

– Hej, to ja... – wymruczał Elisha. – Zrobisz mi krzywdę, jeśli będziesz tak machał rękami.

Zawstydzony Noel opuścił dłonie. W głowie czuł tępy, pulsujący ból, a w całym ciele pustkę, jaką pozostawiły umykające koszmary.

Przetarł oczy. W drzwiach stał jakiś mężczyzna, jego potężna sylwetka odcinała się czernią od mroku nocy.

– To właśnie mój przyjaciel – tłumaczył cierpliwie Elisha. – Dante Benedetti. Na jego matkę przyszedł czas. Pomożesz?

\*\*\*

Na wschodzie niebo pękło i w kożuchu kłębiastych cumulusów powstała różowo-złota szczelina, przez którą wlewał się blask nowego dnia. Starczyło go, by podświetlić najbliższe chmury, ale mroku już nie zdołał rozproszyć.

Noel nie miał pojęcia, jak Benedetti odnajduje drogę, i niezbyt go to obchodziło. Po prostu trzymał się tuż za nim, starając się nie tracić z oczu szerokich pleców przewodnika. Jako ostatni szedł Elisha, od czasu do czasu przeklinając, gdy w ciemności potknął się

o nierówność chodnika.

A jeszcze dalej gromadzili się umarli.

Noel wyczuwał ich wściekłość, gorycz i nienawiść. Mieszanka uczuć, która jeżyła włosy na karku i sprawiała, że w serce wpełzał lodowaty chłód.

Benedetti poprowadził ich do mieszkania na parterze. W dużym pokoju, na wygodnym i zarzuconym poduszkami łóżku, leżała stara kobieta. Martwa kobieta.

Zebrana wokół rodzina spojrzała z nadzieją na Noela.

– Skonała przed półgodziną – powiedziała dwudziestokilkuletnia dziewczyna. – Może jej pan pomóc?

– Tak, ale chcę zostać z nią sam.

Wychodzili powoli, ociągając się i popatrując na niego niepewnie.

Po chwili w pokoju został tylko on i zmarła. Ta na łóżku, blada i nieruchoma, i ta skulona w kącie, duch o wykrzywionej złością twarzy.

– Nawet nie próbuj! – parsknęła. – Jeśli to zrobisz, dopadniemy cię, rozerwiemy na strzępy i będziemy zlizywać twoją krew, a ty będziesz umierał długo i długo...

– Nie jesteś teraz sobą – powiedział Noel spokojnie. – Jeszcze mi podziękujesz.

Nie zwracając uwagi na jej wrzaski, zbliżył się do zwłok i położył dłonie na stygnącej piersi. A potem po prostu nacisnął, łagodnie i powoli, czując, jak zgromadzona w nim energia przelewa się w ciało staruszki, jak wypełnia jej żyły i pędzi aż do serca, które poruszyło się pod jego palcami.

Duch krzyknął raz jeszcze, a potem zamilkł. Umarła otworzyła oczy.

– C... co się stało? – zapytała niepewnie. – Czy ja żyję?

Wyglądała młodziej, oczy jej błyszczały i zniknęła część zmarszczek. Nie zawsze się udawało – Noel musiał nie tylko ożywić ciało, ale też zwalczyć przyczynę śmierci, a starość, choroba czy rana od czasu do czasu wygrywały z jego darem. Wtedy zmartwychwstały i tak konał po kilku godzinach.

Tym razem jednak miał przeczucie, że wszystko będzie

w porządku.

Otworzył drzwi, by wpuścić rodzinę, która natychmiast obstała starszą panią. Wszyscy – nawet powściągliwi mężczyźni – śmiali się przez łzy, całowali ją i tulili.

Noel spróbował dyskretnie wymknąć się z pokoju.

– Dziękuję, młody człowieku. – Głos zmartwychwstałej zatrzymał go w progu.

Uśmiechnął się, a potem dołączył do Elishy, który stał na korytarzu i przez uchylone drzwi patrzył na ulicę.

– Czekaają na ciebie – powiedział starzec.

– Wiem – potwierdził Noel. – Chodźmy już, im szybciej będę miał to za sobą, tym lepiej.

– Proszę, niech pan zaczeka. – Młoda kobieta, ta sama, która pytała, czy Noel może pomóc zmarłej, wybiegła na korytarz. – Wszyscy chcielibyśmy podziękować, możemy dać panu...

– Niczego nie potrzebuję.

– To niech pan chociaż u nas zostanie. Mamy mnóstwo jedzenia... Będzie pan naszym gościem. Ty też jesteś zaproszony, Elisha – dodała pospiesznie i jakby z lekkim strachem. Fakt, że zapomniała o jego towarzyszu, najwyraźniej wytrącił ją z równowagi.

– To jak, zostajemy? – Elisha uśmiechnął się szeroko.

Noel nie miał ochoty na tak duże towarzystwo, ale był świadom, że starzec bardzo chce zostać. Pewnie nieczęsto zdarzała mu się okazja do darmowego poczęstunku.

– Zostajemy, ale najpierw muszę coś zrobić.

Im szybciej będę miał to z głowy, tym lepiej, powtórzył w myślach. Oni nie odejdą, dopóki mnie nie zobaczą.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Za plecami usłyszał odgłos powietrza gwałtownie wciąganego w płuca. Nie odwrócił się, żeby sprawdzić, na kim jego odwaga wywarła wrażenie. Po prostu szedł przed siebie, a umarli rozstępowali się przed nim.

Był wdzięczny naturze za chmury. W pogodny ranek o tej porze byłoby niemal jasno, a tak ulica wciąż tonęła w mroku, razem z nią zaś twarze umarłych.

Ich wściekłość, gorycz i nienawiść...

– Nie możesz wiecznie uciekać – powiedział pierwszy.

– W końcu cię dopadniemy – zawtórował drugi.

– Każdego czeka śmierć. – To głos trzeciego, a może trzeciej? – Ciebie także.

– Odebrałeś nam kobietę, która już do nas należała, uszczupliłeś nasze szeregi, ale w końcu umrzesz... – zaszemrał przesycony jadem szept.

– I do nas dołączysz.

Szedł szpalerem i milczał. Nie było nic do powiedzenia.

Oni mieli rację.

Jako ostatnia w szeregu stała kobieta, której sylwetka wydała mu się znajoma. Spojrzał na nią i w tym momencie kłębiaste chmury rozstały się, wpuszczając więcej światła. Niewiele, ale wystarczająco, by mógł zobaczyć jej twarz.

Poznał ją, mimo że kula zmiotła pół czoła, wybiła oko i zniszczyła część policzka. Szalona Renata znalazła gdzieś wśród swoich rupieci pistolet albo rewolwer i zdecydowała się podążyć za córką.

Noel zatrzymał się, czekając, aż kobieta wypowie swoją groźbę. Naprawdę chciał mieć to już za sobą. Lecz ona uśmiechnęła się tylko, a potem uniosła dłoń i wykonała nią krótki gest podrzynania gardła.

\*\*\*

– Okłamałeś mnie – powiedział Noel, opierając stopy na poręczy balkonu. Była poluzowana, więc starał się zrobić to ostrożnie. Za nimi w mieszkaniu kłębił się tłum ludzi i od czasu do czasu ktoś zaglądał ciekawie przez drzwi, w których brakowało szyby. – Jesteś szamanem.

Elisha uśmiechnął się.

– Nie okłamałem cię. Po prostu nie powiedziałem prawdy.

– To to samo.

– Niezupełnie.

Noel wzruszył ramionami. Nie był wprawdzie przekonany, ale nie chciało mu się sprzeczać. Zamknął oczy – słońce świeciło mu prosto

w twarz, a pod powiekami rozlewały się pomarańczowe i czerwone plamy. Gdy znikły, spojrzął w zachmurzone teraz niebo. Wiał lekki wiatr i Noel roztarł zziębnięte ramiona. Powinien wrócić do środka po koszulę, ale tego również mu się nie chciało. Wypite wino krążyło w jego krwi, sprawiając, że był senny i ociężały. Nie powinien pić alkoholu, a już na pewno nie o tak wczesnej godzinie, gdy wciąż był niewyspany po niespokojnej nocy i gdy za jego plecami znajdowało się kilkadziesiąt osób, z któryś ktoś mógłby chcieć go zabić.

– Jak na to wpadłeś? – zapytał Elisha.

– Bo traktują cię z szacunkiem i dostałeś prawie tyle jedzenia co ja.  
– Noel skrzywił się. – Powinienem domyślić się już wcześniej, kiedy ta kobieta zapomniała cię zaprosić i spanikowała. No i ta kawa, ilu ludzi w dzisiejszych czasach pija kawę?

Elisha zachichotał, ale nie skomentował.

– Mogłeś uspokoić umarłych – mruknął Noel z pretensją większą, niż zamierzał.

– Mogłem, ale wiedziałem, że ty to zrobisz znacznie szybciej. Ostatecznie oni czekali właśnie na ciebie. Przynieść ci coś? Jeszcze wina, salami albo oliwek? Próbowalesz oliwek? Są naprawdę dobre.

– Jeśli idziesz do środka, to przynieś mi koszulę. Niczego więcej nie potrzebuję.

Elisha wrócił po chwili z talerzem załadowanym kolejną porcją jedzenia i koszulą Noela przerzuconą przez ramię.

– Nie lubisz ludzi, co?

– Nie lubię tłumów. – Noel zapiął ostatni z trzech ocalałych guzików. Po chwili namysłu podwinął rękawy, bo teraz dla odmiany było mu za ciepło. Pogoda była dziwaczna: raz słonecznie, raz pochmurno, wiatr zrywał się, by zaraz ucichnąć.

– Oni chcą cię tylko poznać, wiesz. Żaden z tych ludzi nigdy wcześniej nie widział wskrzesiciela. I pewnie już nigdy nie zobaczy. Jesteś jedyny w swoim rodzaju, Noelu.

– Wiem.

Właśnie dlatego, że wiedział, zmusił się, by spędzić w mieszkaniu pół godziny, obściskiwany, poklepywany, wypytywany i częstowany najlepszymi kąskami. Potem uciekł na balkon, gdzie już siedział

Elisha. Kilka co bardziej śmiałych osób usiłowało do nich dołączyć, lecz wystarczyło jedno znaczące spojrzenie szamana, by zrezygnowały.

– Nie lubię, gdy ktoś się kręci za moimi plecami. – Noel czuł potrzebę usprawiedliwienia. – Wiem, że prawdopodobnie nie ma tu nikogo, kto chciałby mnie skrzywdzić, że wszyscy są mi wdzięczni, podziwiają mnie i tak dalej. Ale mimo wszystko...

– Istnieje pewna szansa, co? Jak często ci się to zdarza?

– Że ktoś próbuje mnie zabić? Różnie: ostatni raz wczoraj, a przedostatni przed czterema miesiącami, w Grazu.

– I tak jest od kiedy?

– Odkąd zacząłem wskrzeszać, miałem wtedy jakieś pięć, sześć lat. Teraz mam trzydzieści cztery.

Elisha gwizdnął przeciągle.

– Musisz nieźle się znać na sztuce przeżycia.

Noel ponownie zamknął oczy.

– Większość zabójców nie jest zbyt pomysłowa. Działają tak, jak każą im zmarli, a oni są dość przewidywalni. Poza tym miałem znakomitą nauczycielkę.

– Kogo?

– Moją matkę. Zmarła, kiedy byłem nastolatkiem.

I jeszcze tej samej nocy przyszła pod okna Noela, złorzecząc mu i grożąc śmiercią, lecz o tym mężczyzna już nie wspomniał, a Elisha nie spytał, choć musiał się domyślać, że coś takiego mogło mieć miejsce.

– Zaczęliśmy podróżować, kiedy skończyłem siedem lat. Najpierw po to, żeby się znaleźć w nowym miejscu, gdzie nikt by mnie nie znał i nie chciał zabić, ale po pewnym czasie ludzie i tak się dowiadywali albo pocztą pantoflową, albo dlatego, że przywracałem komuś życie. Moja matka zawsze była rozdarta – z jednej strony najchętniej ukryłaby mnie gdzieś na wsi i kazała udawać normalnego człowieka, z drugiej rozumiała, że skoro dostałem ten... dar, to musi w tym być jakiś cel, a ja nie mogę tak po prostu zapomnieć o tym, co potrafię. Potem, gdy byłem starszy, zacząłem szukać Obcych. Matka towarzyszyła mi przez jakiś czas, a po jej śmierci jeździłem już sam.

Zawsze miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś ich spotkam i dowiem się, dlaczego uczynili mnie tym, kim jestem. Wciąż mam nadzieję.

– Dlatego właśnie przyjechałeś do Rzymu?

Noel skinął głową.

– Słyszałem, że ostatnio widywano tu ich statki.

– Ano widywano, nad Koloseum, Santa Marią czy Villa Borghese. Ale żaden nie wylądował.

– Oni bardzo rzadko lądują. W Marsylii spędziłem prawie dwa miesiące i przez ten czas widziałem statki Obcych ze dwadzieścia razy, ale tylko jeden wylądował.

– I co?

– Nic, zanim dobiegłem do niego, już zdążył wystartować. – Noel odwrócił się w stronę Elishy. – Powiedz mi, jak dużo osób widziało statki Obcych? Mnóstwo, prawda? Widuje się je raz tu, raz tam, najczęściej nad dużymi miastami. Pojawiają się przez kilka tygodni czy miesięcy, a potem przenoszą w inne miejsce. A ilu ludzi widziało Obcego?

– Niewielu – przyznał Elisha, po czym się zaśmiał. – I zawsze to są relacje z drugiej ręki, wiesz, znajomy znajomego czy przyjaciel przyjaciela. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto widziałby Obcego na własne oczy.

– Ja nie tylko widziałem, ale nawet z nim rozmawiałem. Tak przynajmniej mówiła mi matka, bo ja tego nie pamiętam.

Elisha sięgnął do kieszeni, by wyjąć woreczek z tytoniem i bibułki. Zręcznie skręcił papierosa i gestem zaproponował go rozmówcy.

Noel pokręcił głową.

– Nie, dzięki, nie palę, ale nie będzie mi przeszkadzać, jeśli ty zapalisz. Lubię zapach dymu.

Szaman wypuścił z ust szare kóleczo. Nie odzywał się, a Noel nie przerywał milczenia. Dobrze się czuł w towarzystwie starca, który palił bez pośpiechu, z przyjemnością kogoś, kto potrafi cieszyć się drobiazgami. Sam ten widok sprawiał, że Noel rzadziej myślał o tym, że być może w mieszkaniu, gdzie trwała postwskrzeszeniowa impreza, ktoś tylko czeka na okazję, by wbić mu nóż w plecy.

– Opowiedz mi o tym – powiedział po chwili Elisha.



- O czym? – Noel zdążył zgubić wątek rozmowy.
- O tym, jak spotkałeś Obcych.
- Mówiłem, że nie pamiętam.
- W takim razie powtórz, co ci opowiadała matka.

Noel zmarszczył brwi; poczucie bezpieczeństwa nagle pierzchnęło. Elisha spojrział na niego.

– Pytam z czystej ludzkiej ciekawości – zapewnił, uśmiechając się łagodnie. – I obiecuję, że niezależnie od tego, czego się dowiem, nie wykorzystam tego przeciwko tobie. Zresztą do jakich mrocznych celów miałyby mi posłużyć twoje wspomnienia z dzieciństwa?

Noel przez chwilę walczył z osobistą paranoją. Rozsądek zwyciężył.

– Moja matka była... – zaczął – jak to tu nazywacie? Zbieraczką?

– Aha. Zbieracze: ludzie, którzy chodzą po domach, zbierają jeszcze nadające się do użytku przedmioty, a potem sprzedają je na targu.

Noel skinął głową.

– Była zbieraczką, tak. Jak Renata, która wczoraj próbowała mnie zabić. Ojciec zmarł, kiedy byłem niemowlęciem, więc musieliśmy radzić sobie sami. Matka zabierała mnie ze sobą, kiedy szła zbierać. Ona pracowała, a ja pałętałem się w pobliżu. Miałem surowo przykazane, żeby się nie oddalać, i najczęściej tego przestrzegałem, zresztą mama często mnie wołała i sprawdzała, gdzie jestem. Ale tamtego dnia... – Potarł czoło, przywołując chwilę, która naznaczyła go na całe życie.

Dziecko stojące w strudze światła, martwy człowiek niedaleko i nadbiegająca matka z twarzą wykrzywioną paniką. Dziwne, ale po latach tak właśnie to pamiętał – jak namalowany obraz, jakby patrzył na całą scenę z boku, a nie był jednym z uczestników. I trudno mu było dobrać właściwe słowa, by zmienić ów obraz w historię.

Mimo to spróbował.

– Moja matka... nie wiem, chyba się zagapiła, a mnie coś podkusiło i szedłem coraz dalej i dalej. Jeden korytarz, potem drugi i kolejny. Pamiętam, że na zewnątrz padał deszcz, a korytarze pokryte były brązową farbą. Śmieszne, że w pamięci zostają takie szczegóły, a wypada z niej to, co znacznie ważniejsze... Potem... potem stałem na jakimś podwórku, pamiętam gruz, mnóstwo zardzewiałych puszek

i leżącego między nimi trupa mężczyzny tak skurczonego i szerniałego, że wyglądał jak wysuszona mumia. I jeszcze światło... Najpierw było pochmurno, jak to w deszczowy dzień, ale nagle zrobiło się jasno, zupełnie jakby ktoś rozgarnął chmury i podkręcił słońce. I deszcz już nie padał, a ja przez chwilę czułem się jak w letnie popołudnie, chociaż dalej było zimno. Światło stawało się coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż wreszcie przestałem cokolwiek widzieć i zamknąłem oczy. Chyba pamiętam też, że z tego światła ktoś do mnie mówił, ale mogłem to sobie dopowiedzieć pod wpływem opowieści matki. I to właściwie tyle.

– A co ci mówiła matka?

– Wystraszyła się, kiedy się zorientowała, że zniknąłem, i zaczęła biegać po korytarzach, wołając mnie. W pewnym momencie usłyszała, jak coś mówię. Nie potrafiła rozróżnić słów, bo była za daleko, ale zorientowała się, że głos dobiega z zewnątrz. Chwilę jej zajęło szukanie drzwi, a ja w tym czasie zacząłem płakać. Gdy mnie wreszcie znalazła, stałem na podwórku i ryczałem jak bóbr. Statek Obcych właśnie odlatywał – mama widziała go z bliska i mówiła, że lśnił jak anielskie włosy. Zawołała mnie, ja się odwróciłem i chciałem do niej podejść, ale potknąłem się o tego cholernego trupa. Wtedy chwyciła mnie na ręce i uciekła ze mną do domu. Kilka tygodni później wskrzesiłem pierwszego człowieka. To trudno opisać, ale w jakiś sposób, gdy tylko zobaczyłem zmarłego, wiedziałem, co powinienem zrobić. Po prostu wiedziałem.

– Ale nie masz pewności, że dar wskrzeszania dostałeś od Obcych?

– A masz lepsze wyjaśnienie? Jestem jedynym człowiekiem, który potrafi przywracać zmarłych do życia, i jedynym, który rozmawiał z Obcymi. Uważasz, że te dwa fakty nie mają ze sobą nic wspólnego?

Elisha wzruszył ramionami i strzepnął popiół.

– Tak się tylko zastanawiam. A jeśli chcesz, mogę mieć dla ciebie propozycję.

– Jaka?

– Chodź, przejdziemy się, wytłumaczę ci po drodze.

\*\*\*

– Myślałeś kiedyś, żeby zamieszkać na wsi? – zapytał Elisha, gdy zbliżali się do placu targowego. – Tam nie ma zmarłych, oni gromadzą się w miastach, gdzie jest dużo urządzeń elektrycznych.

– Myślałem – przyznał Noel. – I może kiedyś tak zrobię. Ale najpierw muszę znaleźć Obcych, a ich statki pojawiają się tylko nad dużymi metropoliami. Co to za propozycja? Powiesz mi wreszcie?

– Nie poganiaj starego człowieka. Najpierw chodźmy coś zjeść.

– Przecież już jadłeś.

– No to co? – Elisha uśmiechnął się, a Noel pojął, że z trzymania go w niepewności starzec urządził sobie rozrywkę.

– Mam ochotę na pieczoną rybę – dodał Elisha, przełykając przy tym ślinę tak sugestywnie, jakby pościł od kilku dni.

\*\*\*

Na nadtybrzańskim placu trwał dzień targowy. Łódkami przy płynęli wieśniacy, którzy przywieźli ze sobą warzywa, owoce, oliwę z oliwek, domowe wino oraz żywe kurczęta. Obok rzymianie rozłożyli towary. Na zaimprovizowanych straganach, kocach i starych łózkach połowych leżały przedmioty, które Noelowi przypomniały mieszkanie Renaty. Narzędzia, dziecięce zabawki, bibeloty, książki, pudełka, a nawet kosmetyki w ozdobnych opakowaniach. Gdzieś widać też było stoiska z bardziej egzotycznymi i znacznie droższymi towarami przywozonymi z daleka przez nieliczne grupy ryzykantów.

Od strony rzeki wiała bryza, a od czasu do czasu z niemal bezchmurnego nieba padał krótki, rześisty deszcz, którego strugi lśniły złotawo w promieniach słońca. Ludzie kulili się wtedy i przykrywali delikatne towary brezentowymi płachtami, ale nikomu nie psuło to humoru. Wokół rozlegały się nawoływania sprzedawców, pachniały świeżo upieczone ryby, a ognisko pod wiatą syczało i dymiło, gdy wiatr znosił nad płomień krople deszczu.

Noel podszedł do jednego ze straganów równocześnie ze starszą, tęgą kobietą. On bezmyślnie sięgnął po słoiczek kremu (prawdopodobnie zepsuty – sprzedawca musiał liczyć, że potencjalnego nabywcę skusi kolorowe opakowanie), ona po płaski

metalowy przedmiot.

– Co to takiego? – zapytała.

– Golarka – odparł sprzedawca. Był gruby, czerwony na twarzy i wyraźnie nieszczęśliwy albo zły. A może jedno i drugie. Nie miał atrakcyjnych towarów i każdy, kto zaglądał na jego stragan, szybko odchodził. – Goli dokładniej niż brzytwa i jest bezpieczniejsza.

Kobieta pobladła i wypuściła przedmiot, jakby przypadkiem złapała jadowego pajaka.

– W tym jest duch? Kiedyś to działało na prąd, a teraz jest w tym duch? Oszalał pan? Tu są dzieci, co będzie, jak któreś z nich przypadkiem weźmie to do ręki?

– Nic się nie stanie! – wrzasnął grubas. – Trzymałem to dziesiątki razy i wciąż żyję. To całkiem bezpieczne, mogę pokazać...

Jednak kobieta już odeszła, odprowadzana pomrukami pełnymi aprobaty.

Noel posłał współczujące spojrzenie grubemu sprzedawcy, po czym zanurkował w tłum, przepychając się w stronę Elishy, który kupił już pieczoną nad ogniskiem rybę i zając ją, podążał właśnie w stronę rzeki.

\*\*\*

Szaman cisnął w nurt Tybru ogryzione do czysta ości i otarł usta wierzchem dłoni.

– Żałuj, że się nie skusiłeś – powiedział, wzorem Noela podwijając rękawy koszuli aż za łokcie. Rozpogodziło się już chyba na dobre i słońce zaczynało porządnie przypiekać. – Ryba była pyszna.

– Propozycja – przypomniał Noel.

Ruszyli wzdłuż brzegu rzeki.

– Tak, propozycja. Słuchaj, czy zamiast ścigać Obcych, jeżdżąc za nimi z miejsca na miejsce, nie wolałbyś się dowiedzieć, kim oni są, skąd się wzięli, a może nawet co mają wspólnego z inwazją zmarłych?

– Tego nikt nie wie.

– Niekoniecznie. Był taki człowiek tu, w Rzymie, nazywał się Massimo Nicolodi. Teraz już nie żyje, ale zanim zmarł, zbudował

w dzielnicy Mazzini coś w rodzaju imperium.

– Masz na myśli gangsterskie imperium?

– Owszem. – Elisha podłubał w zębach, wyjął zabłąkaną ość i splunął. – Wymuszenia, szantaże, rozbój. Nie był ani lepszy, ani gorszy niż wielu innych, więc Bóg z nim, niech mu ziemia lekka będzie, czy jak to się mówi. Ale miał ciekawe hobby. Zbierał różne przedmioty z czasów przed Katastrofą.

– Mnóstwo ludzi to robi.

– Wiem, ale Nicolodi zbierał tylko rzeczy najrzadsze i najcenniejsze i co więcej: miał wystarczająco duże możliwości, żeby zdobywać, co chciał. A krótko przed jego śmiercią rozeszła się plotka, że udało się mu zdobyć taśmę filmową, na której jest coś, co wyjaśnia związek Obcych z umarłymi. – Szaman zatrzymał się i chwycił Noela za łokieć. – Co u was mówią o Katastrofie? Co się wtedy działo?

Noel zmarszczył brwi.

– Maszyny atakowały ludzi, którzy z jakiegoś powodu nie chcieli się nawet bronić. I...

– Tak?

– Słyszałem też, że ludzie widywali swoich sobowtórów, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Widzisz, jak niewiele wiemy? A ten film mógłby wyjaśnić mnóstwo wątpliwości.

– Może... – mruknął Noel, wciąż nie do końca przekonany. Po chwili jednak powtórzył już pewniejszym tonem: – Może. Jest to jakiś pomysł.

Szaman parsknął.

– Nie ekscytuj się tak bardzo. Nie znam nikogo, kto osobiście widziałby tę taśmę, wszystko to tylko plotki. Ale mówi się, że Nicolodi wynajął szamana i zapłacił mu dwa razy. Raz, żeby skłonił duchy do uruchomienia kinowego projektora, a drugi, żeby potem zniknął z miasta.

– Po co?

– Bo ja wiem? Może po prostu Nicolodi chciał być jedynym posiadaczem tajemnicy. Z tego, co słyszałem, to był właśnie taki typ. Ktoś, kogo cieszy, że wie więcej niż inni, nawet jeśli nic z tej wiedzy

nie ma. Jednak sądząc po plotkach, szaman wygadał się, zanim wyjechał. Próbowałem trochę o niego wypytywać, znaczy o tego szamana, ale nic konkretnego nie udało mi się ustalić.

– A kto teraz ma tę taśmę? – zapytał Noel, gdy przechodzili przez most. – Skoro Nicolodi nie żyje?

– Jego syn, Carlo, jak przypuszczam. Odziedziczył po ojcu wszystko.

– I też jest gangsterem?

Szaman wyszczerzył zęby.

– Z tego, co słyszałem, stara się, ale średnio mu wychodzi.

– Elisha?

– Uhm.

– Idziemy właśnie do dzielnicy Mazzini, tak? Mam mapę Rzymu, co prawda strasznie starą i niewiele na niej widać, ale tę nazwę akurat da się jeszcze odczytać. Mazzini leży po drugiej stronie rzeki, na północnym zachodzie.

Elisha uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No proszę, a mnie się wydawało, że idziesz za mną jak ciele. Owszem, Carlo mieszka kilka przecznic stąd, w Athenaeum. To kiedyś był hotel, wiesz. Ale wcale nie chcę cię zmuszać, żebyś tam poszedł – zastrzegł. – Jeśli nie masz ochoty, to wrócimy do mnie, nie ma sprawy.

– Nigdy nie próbowałeś pogadać z synem Nicolodiego? Poprosić albo przekupić, żeby ci pokazał tę taśmę?

Elisha pokręcił głową.

– Nie, ale znam takich, którzy próbowali i zostali odesłani z kwitkiem. Ja nie mam mu nic do zaoferowania. Ty masz.

\*\*\*

Hol hotelu Athenaeum był obszerny i niegdyś zapewne bardzo elegancki. Wisiały tu jeszcze trzy obrazy – dwa z nich bardzo brudne, ale przynajmniej całe, trzeci zamieniony za pomocą jaskrawoczerwonej farby w tarczę strzelniczą i podziurawiony kulami. Ze ścian osypywał się tynk, który pokrywał posadzkę; w białym pyłe

widniały ślady bosych stóp. Wszędzie pełno było wypalonych kaganków zmaistrowanych z puszek po konserwach. Stały na zakurzonych stolikach, na brzegach donic, w których od dawna nie było kwiatów, tylko resztki ziemi i niedopałki papierosów, a nawet na podłodze.

Wchodząc, Noel przypadkiem kopnął jeden z kaganków, lecz siedzący w recepcji człowiek nie zareagował. Brudne bose stopy wyciągnął na ladzie i pochyłony kiwał się lekko, podczas gdy z górnych pięter dobiegała muzyka i odgłosy kłótni.

On ma broń, pomyślał z nagłym przyływem lęku Noel, patrząc, jak bosonogi sennymi ruchami dotyka spoczywającego na kolanach karabinu.

Dawno temu Noel sam miał pistolet, kupiony jeszcze przez matkę, jednak pozbył się go z dwóch powodów. Po pierwsze, mimo całej swej zręczności nigdy nie miał talentu do strzelania, a po drugie, człowiek podróżujący samotnie z pistoletem musiał albo dobrze go ukrywać, albo też liczyć się z atakiem bandytów grasujących we wszystkich większych miastach. W miarę jak malała liczba sprawnych sztuk, broń palna z każdym rokiem stawała się cenniejsza. W czasach dzieciństwa Noela jeszcze sporadycznie sprzedawano ją za niebotyczne ceny na targach, lecz teraz jedyną metodą, by wejść w posiadanie karabinu czy pistoletu, było odebranie go właścicielowi. Nic więc dziwnego, że każdy, kto chodził uzbrojony, kojarzył się wskrzesicielowi z człowiekiem pozbawionym skrupułów.

Elisha posłał Noelowi uspokajające spojrzenie.

– Chcielibyśmy się zobaczyć z Carlem Nicolodim – powiedział do bosonogiego. Gdy to nie poskutkowało, powtórzył prośbę odrobinę głośniej.

Mężczyzna wreszcie uniósł głowę i spojrzał na nich spod tłustych straków włosów. Sennymi ruchami wciąż dotykał karabinu. Jego dłoń zatrzymała się na chwilę przy spuście – widząc to, Noel drgnął lekko – a potem powędrowała dalej, wzdłuż lufy. Twarz bosonogiego ani na moment nie zmieniła wyrazu, źrenice były małe jak łebki od szpilek.

– To na nic, ten facet jest kompletnie nieprzytomny – szepnął Noel.

Gdzieś wysoko trzasnęły drzwi i po chwili do holu zbiegł

rozczochrany chłopak.

– Czego tu szukacie?

– Chcemy się zobaczyć z Carlem Nicolodim – powtórzył Elisha cierpliwie. – Jestem szamanem, a to jest Noel. Potrafi wskrzeszać ludzi. Pewnie o nim słyszeliście. Podróżuje po całej Europie, ale w Rzymie jest pierwszy raz.

Na chłopaku informacja nie wywarła wrażenia.

– Carlo nie potrzebuje wskrzesiciela. Kiedy go ostatnio widziałem, czuł się świetnie.

– A może pozwolisz mu samemu zdecydować, czy jestem potrzebny, czy nie, co? – zaproponował Noel. – Daj mi z nim porozmawiać, proszę. Zobaczysz, że będzie wdzięczny.

Rozczochrany wyglądał, jakby miał zamiar rzucić zgryźliwą uwagę, zamiast tego jednak wzruszył ramionami i zaprowadził ich na drugie piętro. To właśnie stąd dobiegała muzyka.

*Swing, swing, swing  
From the tangles of  
My heart is crushed by a former love  
Can you help me find a way  
To carry on again?*

I jeszcze raz to samo.

Do wtóru zapętlonego kawałka tańczyła para młodych ludzi. Mieli mnóstwo miejsca, bo jedynym sprzętem w pokoju był stolik, na którym znajdował się staroświecki gramofon. Gdy Elisha i Noel stanęli w progu, igielka przeskoczyła po raz kolejny do początku refrenu. Rozczochrany chłopak gdzieś zniknął.

– Mógłbym to naprawić, wicie – powiedział Elisha. – Skłonić ducha, żeby grał całą płytę, nie tylko ten fragment. Jestem szamanem.

– To jest tak specjalnie, my lubimy ten kawałek – uśmiechnęła się dziewczyna. Miała czarne, sięgające ramion włosy, z grzywką przyciętą równo na wysokości brwi. Noel doszedł do wniosku, że to musi być peruka. Fryzura była zbyt idealna, włosy zbyt błyszczące. Nadawały jej nierzeczywisty wygląd, jakby była postacią



z komiksowych rysunków. Na jej tle chłopak prezentował się znacznie bardziej zwyczajnie. Przybrudzony podkoszulek ukazywał co prawda dobrze wyrobione mięśnie, ale jego twarz była trochę nijaka, a trochę dziecinna.

Tym razem Noel wziął na siebie ciężar wyjaśnienia, o co chodzi. Gdy skończył, dziewczyna się roześmiała.

– Czyli chcesz pohandlować, tak? My ci udostępnimy film, a ty nam się odwdzięczysz, wskrzeszając w razie potrzeby? – Potrząsnęła energicznie głową, jej czarne włosy rozsypały się i zaraz wróciły do właściwej pozycji. Peruka jak nic, pomyślał Noel. – Bo widzisz, nas nie może spotkać nic złego. My jesteśmy nieśmiertelni.

Wyciągnęła rękę do Carla, który ujął ją z ufnością.

– Niezupełnie to miałem na myśli. – Noel był równie cierpliwy jak wcześniej Elisha. – Wyglądacie na wyjątkowo zdrowych młodych ludzi, więc nie sądzę, że bym był wam potrzebny. Ale macie przecież rodziny, przyjaciół, znajomych... A to jest paskudny świat, w którym umiera się łatwo i szybko. Naprawdę nie znacie nikogo, komu mógłbym pomóc? Mogę wskrzesić każdego człowieka, pod warunkiem że ciało nie uległo rozkładowi i rany nie są zbyt rozległe. Pomyślcie, może moglibyście zyskać w ten sposób sojusznika, kogoś, kto w odpowiednim czasie zwróciłby wam przysługę.

– Eva, chodź na moment. – Carlo wyciągnął dziewczynę na korytarz. Szeptali coś do siebie przez chwilę, potem chłopak zajrzał do pokoju.

– Zaczekajcie tu.

Wobec braku krzesel Noel usiadł pod ścianą. Elisha po chwili wahania dołączył do niego.

Czekali godzinę, a może nawet dłużej, wsłuchując się w odgłosy domu. Łomot przewracanych mebli gdzieś nad nimi, krzyki, tupot nóg, gdy ktoś zbiegał po schodach. Gramofon wciąż odtwarzał ten sam fragment i po pewnym czasie Noel zaczął każdy dźwięk odczuwać pod czaszką.

– Zrób z tym coś, bo za chwilę oszaleję – mruknął, ale Elisha pokręcił głową.

– Wolę się nie narażać tej czarnowłosej panience.

Noel zamknął oczy i otworzył je dopiero, gdy wrócił Carlo.

Chłopak zaprowadził ich do niewielkiego pokoju, gdzie na przykrytym kocem łóżku leżał stary rozgorączkowany mężczyzna. Obok stała Eva. Gdy weszli, chory uniósł się na łokciach i spojrzał niespokojnie. Widać było, że za wszelką cenę stara się zachować czujność, ale skupienie wzroku przychodziło mu z coraz większym trudem. Oddychał ciężko, mnąc w spoconych dłoniach brzeg koca.

– Jeśli go uzdrowisz, pozwolę ci obejrzeć film – oznajmił Carlo.

– Potrafię wskrzeszać ludzi, a nie uzdrawiać – zaprotestował z rozpaczą Noel. – Musiałbym poczekać, aż on umrze.

Elisha pochylił się nad starcem, zbadał go i zadał Carlowi parę pytań. Na większość z nich chłopak nie znał odpowiedzi, wiedział tylko, że chory mamrotał coś o zepsutej wodzie.

Szaman wyprostował się.

– Ten człowiek umrze – orzekł. – Ale nie w ciągu najbliższych godzin. Będzie się męczył do jutra, może nawet do pojutrze.

Tymczasem do pokoju weszło kilkunastu młodych mężczyzn łądząco podobnych do tego, który siedział w recepcji: wszyscy mieli niezdrową cerę, tłuste włosy i ubrania sztywne od brudu. Niektórzy nosili broń, karabiny i pistolety, mocno zdezelowane, ale niewątpliwie wciąż jeszcze zdadne do użytku. Noel niemal wyczuwał bijące od nowo przybyłych fale mieszanych uczuć. Ciekawość. Fascynacja. Lęk. Sporo niechęci. Jeden z nich, na oko najmłodszy, bo najwyżej piętnasto-, szesnastoletni, stał pod ścianą. Przez jego twarz przebiegały nerwowe tiki, mięśnie kurczyły się i rozluźniały, a grdyka się poruszała, jakby bezustannie coś przełykał. Karabin podrygiwał leciutko w rytm ruchów, a niespokojny wzrok chłopaka błędził po pokoju. Wypatrujący. Badający.

Noel stłumił narastającą panikę.

– Nie mogę pomóc temu człowiekowi, bardzo mi przykro – powiedział. – Zostanę przez jakiś czas w Rzymie, więc będziecie mogli po mnie posłać, jeśli... jeśli sytuacja się zmieni.

Jego głos się załamał, wyraźnie dało się w nim słyszeć nutki strachu. Niedobrze. Noel nie powinien okazywać lęku. Nie teraz, nie wśród tych ludzi.

– Chodź, Elisha. – Chwycił szamana za łokieć, może nieco zbyt szybko, choć z całych sił starał się zrobić to spokojnie. Było mu coraz bardziej gorąco, w ustach czuł narastającą suchość.

– Czekajcie – odezwała się milcząca dotąd Eva. – Mówiłeś, że możesz mu pomóc, dopiero kiedy będzie martwy, tak? A szaman z kolei twierdzi, że on i tak umrze i że w dodatku będzie się przedtem jeszcze męczył. No to na co czekamy? Zabijmy go teraz, niech wskrzesiciel przywróci mu życie.

Wolno, prowokacyjnie powiodła spojrzeniem po mężczyznach zebranych wokół łóżka. Wreszcie jej wzrok zatrzymał się na Carlu, który patrzył na nią oszołomiony i zafascynowany jednocześnie. I wystraszony, o tak, zdecydowanie wystraszony, pomyślał Noel, który miał coraz gorsze przeczucia.

– Ty tu rządzisz, więc to twoja decyzja – powiedziała Eva.

– Ja... uhm... myślę... – Carlo rozejrzał się, szukając pomocy.

Jeden z uzbrojonych młodzieńców, wychudzony, z twarzą poznaczoną bliznami po trądziku, splunął na podłogę.

– Dziewczyna ma rację, ten facet i tak nie ma szans, więc co nam szkodzi? Niech wskrzesiciel pokaże, co umie.

– Nikt nie będzie... – zaczął Noel, ale było za późno. O wiele za późno, bo chudzielec już strzelił choremu w pierś. Tylko raz, ale to wystarczyło. Ciało podskoczyło na łóżku i znieruchomiało w szybko powiększającej się kałuży krwi. Ktoś krzyknął i zaraz umilkł, gdy młody mężczyzna strzelił ponownie, tym razem w sufit.

– Zamknąć mordy! – wrzasnął. – Wskrzesiciel zaraz go ożywi. No już. – Lufą pistoletu skinął w stronę Noela. – Pokaż, co potrafisz.

Noel podszedł do martwego starca i położył dłonie w miejscu, gdzie niedawno znajdowało się nienaruszone serce, a teraz ziała dziura wielkości połowy pięści. Wilgotne ciepło pod skórą, krew przesączająca się przez palce. Wyczuwał nawet odłamek strzaskanego żebra pod opuszką kciuka. Już się nie bał, strach został daleko za nim, czekając na sprzyjający moment, by znów go dogonić – potem, gdy będzie po wszystkim.

Potem. Wszystko potem. Teraz umysł miał chłodny, jasny i skupiony na jednym punkcie.

Będzie dobrze, jeśli tylko zdołam wskrzesić tego człowieka.

Fale uczuć napływające od strony otaczających go mężczyzn (i jednej kobiety, ale o niej nie pamiętał – nie miała bronii, więc się nie liczyła, choć w jakimś stopniu była winna temu, co właśnie się stało) nabrały intensywności. Niedowierzenie. Ponownie ciekawość i fascynacja. Nadzieja. Niepokój. Jeszcze więcej strachu.

Przelewał swą siłę życiową w żyły martwego człowieka, mając przy tym wrażenie, że usiłuje napęlić pozbawiony dna dzban. Słabł coraz bardziej, w głowie mu się kręciło. Kątem oka widział chłopaka, tego najmłodszego i nerwowego, który pocił się i aż cuchnął lękiem.

Właśnie dlatego Noel zawsze prosił, by w chwili wskrzeszenia mógł być ze zmarłym sam na sam. W niektórych ludziach akt ożywiania zwłok budził niepokój, czasem też coś gorszego.

Noel nie chciał o tym myśleć. Teraz i tak nie mógł niczego zmienić.

Zmarły wymykał mu się, z każdą chwilą zimniejszy i bardziej odległy. Rana była zbyt duża, wypłynęło z niej zbyt wiele stygnącej już krwi. Noel czuł, jak ogarnia go chłód, jakby sam tracił życie.

Wówczas za plecami usłyszał urywany szloch, cichy szept. A potem pomruk grozy, już nie z jednego gardła, lecz z wielu, gdy przez tłum przeszedł zmarły. Zbliżył się do łóżka, opadł na kolana i zaczął chłeptać własną krew, która ściekała na podłogę. W miarę jak pił, jego blade policzki nabierały rumieńców.

– Cudowny smak – powiedział, unosząc twarz, a potem się roześmiał. – Powinniście sami spróbować.

Wtedy w chłopcu, tym najmłodszym i najbardziej nerwowym, coś pękło. Z jego ust wydobył się zwierzęcy skowyt, a dłoń z karabinem poderwała się jak szarpnięta linką. Oczy miał wielkie, wytrzeszczone paniką. Rozległ się huk wystrzału, a zaraz po nim drugi. Dwie kule przeszły widmowe ciało, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

Jedna z nich utkwiała w ścianie, druga trafiła w szyję chudzielca z twarzą poznaczoną bliznami po trądziku. Tego, który strzelił jako pierwszy, jeszcze wtedy, gdy Noelowi zdawało się, że to wszystko można jakoś naprawić, odkręcić, wyjść z tego cało.

Przeżyć. Jak zawsze.

Jasna tętnicza krew tryskała, podczas gdy wokół miotali się ludzie.

Słysząc było wrzaski i odgłos szarpania klamki, ktoś wreszcie zaczął strzelać do strzelającego chłopaka.

Noel skoczył w stronę drzwi i zderzył się z wysokim mężczyzną, który wpadł na identyczny pomysł. Wskrzesciel był drobny, więc impet odrzucił go w bok. I zaraz uderzenie w plecy odebrało mu oddech. Pomyślał o kamieniach, którymi rzucał się z kolegami w dzieciństwie: wtedy bolało tak samo – tępy, rozlany ból, na pewno będę miał siniaka, może nawet połamali mi żebra. Gdy upadł, poczuł kopnięcie w twarz i słony smak w ustach. Zakrztusił się, przy każdym kasznięciu miał wrażenie, że jego płuca rwą się na strzępy.

– Noel, słyszysz mnie? Słyszysz? Na litość boską, niech ktoś mu pomoże! Chodź tu, dziewczyno...

Wykrzywiona przerażeniem twarz pochyła się nad nim, jedna, obok druga i trzecia. Noel ma wrażenie, że powinien wiedzieć, do kogo należą, ale nie wie. Czuje się zmęczony, najchętniej zamknąłby teraz oczy i zasnął. Ktoś nim potrząsa.

Czemu nie pozwalają mu spać?

Oczywiście ponieważ ma jeszcze zadanie do wykonania.

Wyciąga rękę i chwyta dłoń. Nie wie, do kogo należą te szczupłe, ciepłe palce, i wcale go to nie interesuje. Wie za to, co musi zrobić. Zawsze wiedział.

Przelewa energię w cudze ciało, tak jak wtedy, gdy ożywia zmarłych.

Najwyraźniej robi to, co powinien, bo gdy kończy, nikt już mu nie przeszkadza i Noel może z ulgą osunąć się w ciemność.

## Część 2

Elisha był prawdopodobnie jedynym mieszkańcem Rzymu, który od czasu do czasu jeździł metrem. Ludzi przerażała klaustrofobiczna ciasnota podziemnych tuneli, gdzie byli zdani na łaskę i niełaskę zmarłych, lecz szaman czerpał pewną przyjemność z przełamywania tego lęku. Poza tym jako rozsądny człowiek zdawał sobie sprawę, że wbrew pozorom wagoniki metra są stosunkowo bezpiecznym

miejszem – duchy uwielbiały pociągi i raczej nie poświęciłyby jednego z nich po to, by zabić kogoś nic nieznaczącego.

Był też inny powód – Elisha, gdy doskwierał mu ból życia, lubił włóczyć się po mieście, a ponieważ był coraz starszy, skorzystanie z metra czasem okazywało się koniecznością.

Tego dnia czuł się wyjątkowo kiepsko. Człapiąc w górę schodów na stacji Colosseo, garbił się pod ciężarem nieszczęścia. Chwilami brakowało mu tchu – wtedy przystawał na moment, chwycił poręcz i czekał z zamkniętymi oczami, aż uspokoi się rozkołatanе serce. Oddychał coraz ciężiej, zupełnie jakby ktoś położył mu na piersi kamień. Zawał? Nie, chyba jednak nie. Po prostu zmęczenie, tłumaczył sam sobie.

Dla pewności poklepał kieszeń koszuli, w której tkwiła butelka mocnej grappy. To także było częścią owych samotnych wędrówek po mieście – czasem Elisha po prostu szukał spokojnego kąta, by się upić.

Wyszedł na powierzchnię, odetchnął i rozejrzał się. Powoli zapadał zmrok, słońca nie było już widać, ale na zachodzie pozostało pasmo wpadającej w fiolet czerwieni. Na jej tle sylwetki budynków wydawały się prawie czarne, a wiszące wyżej obłoczki miały różowy kolor, jak strzępy waty zanurzonej w rozświetlonej wodzie z odrobiną krwi. Od północy wiał chłodny wiatr, stamtąd też nadciągały chmury zupełnie innego rodzaju: granatowe, o wydłużonych kształtach, jak charty. Być może znów będzie padać. A może nie.

Zmarli, choć aktywni przez całą dobę, najbardziej lubili noc. To była ich pora i właśnie teraz Rzym budził się do życia.

Bardzo specyficznego życia.

W mieszkaniach zapalały się światła, wyły odkurzacze i dudniły puste bębny pralek. Wysokimi, terkotliwymi dźwiękami rozdzwoniły się telefony; gdyby ktoś podniósł teraz słuchawkę, usłyszałby szepty umarłych. W biurach włączały się faksy i drukarki, komputery wyświetlały rzędy od dawna nieistotnych danych. Telewizory gadały jeden przez drugi, a na ich pokrytych warstwą kurzu ekranach bohaterowie filmów sami przypominali duchy o rozmytych konturach. Windy jeździły w górę i w dół, zmieniały się zielone cyferki na tablicy, a drzwi rozsuwały z cichym kliknięciem na każdym

z pięter, choć nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Światła porzuconych na ulicach samochodów rozcinały gęstniejący mrok, silniki mruczały, z odbiorników radiowych dobiegała muzyka przeplatana przemówieniami polityków, którzy dawno temu sami dołączyli do zmarłych. Niektóre pojazdy ruszały, wlokąc za sobą strzępy zniszczonych opon, nielicznym udawało się nawet przejechać więcej niż kilkadziesiąt metrów, ale prędzej czy później wszystkie wpadały na usypane z gruzu i mebli barykady. Samochody wycofywały się wtedy: silniki wyły, spod kół przyskał żwir, a w powietrzu rozchodził się zapach wściekłości.

Włączając się po Rzymie, Elisha kolekcjonował dźwięki nawiedzonego miasta, tak jak niektórzy kolekcjonują przedmioty. Pobrząkiwanie automatów do gry i szum obrotowych drzwi w kasynie. Jazz dobiegający z okien niegdyś eleganckiego baru i przedziwna etniczna muzyka w pomieszczeniu, które zapewne było chińską czy tybetańską knajpką. Na ekranie jednego z odbiorników w pewnym salonie elektronicznym Rick przekonywał Ilse, by wsiadła do samolotu – robił to wciąż i wciąż każdej nocy od zachodu aż do wschodu słońca, podczas gdy pozostałe telewizory wyświetlały plątaninę obrazów, w większości pochodzących z programów nadanych dwudziestego drugiego grudnia, gdy nastąpiła Katastrofa. Porady, jak przygotować świąteczne dania, informacje o wojnie w Afganistanie, wiadomości sportowe i prognoza pogody (Boże Narodzenie zapowiadało się tamtego roku wyjątkowo deszczowo). I towarzysząca reklamie coca-coli muzyczka, tak sugestywna, że aż chciało się zetrzeć kurz z ekranu, by zobaczyć Świętego Mikołaja mknącego w saniach po niebie.

Elisha z przyjemnością zanurzał się w tych dźwiękach. To był śmietnik przeszłości, chaos ożywionych przez duchy impulsów elektromagnetycznych, które nie powinny istnieć, lecz co z tego? Czasem gdy szaman zamykał oczy i po prostu słuchał, niemal wierzył, że wszystko jest jak dawniej – w Afganistanie talibowie wciąż dają łupnia Amerykanom, a w rzymskich sklepach trwają przedświąteczne promocje i wkrótce nadejdzie deszczowe, ale radosne Boże Narodzenie.

Czasem naprawdę w to wierzył.

Podreptał w stronę Forum Romanum, które w świetle księżycy było spokojne i ciche jak wiejski cmentarz. Szaman pomyślał, że zakrawa to na potężny żart Boga – to właśnie tutaj, pośród osrebrzonych ruin, powinny grasować widma, a nie na jasnych i gwarnych ulicach.

Usiadł na trawie niedaleko świątyni Saturna, sięgnął po butelkę i wzniósł toast zwrócony twarzą na północ, w stronę dzielnicy, którą w każdej chwili mógł przywołać z pamięci. Tam ulice były cichsze i ciemniejsze, okna rozświetlały nie żarówki, tylko świece, a na chodnikach płonęły ogniska. Dzielnica żywych, gdzie mieszkał Elisha, a także wielu innych. Szaman znał dobrze większość z nich. Przed kilkudziesięciami laty, gdy był jeszcze młody i silny, pomagał pierwszym rodzinom usuwać z mieszkań urządzenia elektryczne, a potem patrzył, jak dorastają pierwsze w tej okolicy dzieci. Leczył te dzieci, starał się chronić je przed duchami, a gdy już nic innego nie dało się zrobić, czuwał przy umierających. I czasem potem widział, jak zmarli chłopcy i dziewczynki podchodzili pod okna swoich rodziców, by ich przeklinać, wyśmiewać albo opowiadać o słodkim spokoju śmierci.

Oczywiście coś takiego zdarzało się także w przypadku dorosłych, ale widok dzieci bolał najbardziej.

Szaman pił. Jego serce się uspokoiło, ale za to żołądek groził buntem. Już teraz Elishy zaczynało być niedobrze, a grappa wydawała się niesmaczna. Mimo to przełykał palący płyn, kierowany potrzebą głębszą nawet niż prosta chęć upicia się. Jakby katowanie własnego organizmu mogło w jakikolwiek sposób pomóc.

Gdyby Noel był zwyczajnym człowiekiem, szaman opłakałby go przy jednym kieliszku, a potem o nim zapomniał. Znali się przecież zbyt krótko, by poczuć do siebie nawzajem coś więcej niż powierzchowną sympatię. Jednak Noel był kimś więcej – rozmawiał z Obcymi i potrafił wskrzeszać ludzi, a dla Elishy symbolizował nadzieję. Że wbrew wszystkiemu jego życie ma sens, bo gdzieś tam, ponad nimi, w swoich latających kulach krążą Oni – istoty po wielekroć mądrzejsze od najmądrzejszego człowieka, które mają plan i wiedzą, jak ocalić ludzkość.



Teraz to wszystko runęło i Elisha czuł się, jakby nagle usunięto mu ziemię spod nóg. I spadał teraz, oszołomiony i przerażony.

– Dlaczego...? – mamrotał pomiędzy kolejnymi łykami, a raz nawet wykrzyknął to pytanie w niebo, na którym chmury w kształcie chartów zdążyły już przesłonić księżyc. Umilkł jednak zaraz, bo nawet teraz, na wpół pijany i sfrustrowany, był zbyt rozsądny, by wrzeszczeć na wiatr.

– Stary głupiec – wymruczał. – To właśnie ja. Stary głupiec.

Zachichotał, ale śmiech nie przyniósł ulgi.

W miarę jednak jak Elisha pił, ból stawał się coraz mniej ostry. Był teraz zdecydowanie bardziej melancholijny, słodki i pijacki. Prywatne nieszczęście szamana roztopiło się w morzu ogólnego ludzkiego cierpienia i mężczyzna opłakał wszystkich, którzy na to zasługiwali i o których akurat mógł sobie przypomnieć, w tym także Noela oraz samego siebie. To było właściwe, wydawało się także mieć sens i być może nawet w jakiś sposób było częścią planu.

W którymś momencie Elisha poczuł, że musi wstać. Zakręciło mu się w głowie, więc złapał się porośniętego trawą murku. Przez chwilę stał tak, oddychając ciężko. Czy mu się zdawało, czy nagle wokół zrobiło się dziwnie jasno? Pot spływał po czole, jaskrawe światło kłuło w oczy, w żołądku zalegał kłęb strachu. Szaman zgiął się wpół i zwymiotował, jakby próbował go z siebie wyrzucić. Gdy skończył, cały się trząsał, ale w głowie trochę mu się przejaśniło. Splunął śliną o kwaśnym posmaku, otarł usta i dopiero teraz uniósł wzrok.

Nad nim unosiła się srebrzysta kula wielkości domu. Bombka na choinkę, pomyślał bezsensownie, gigantyczna bombka. Idą święta.

Pojazd tkwił w powietrzu jak zawieszony na niewidzialnych sznurkach i nawet nie drgnął, odkąd Elisha na niego spojrzał. Nie słychać było też mrużenia pracującego silnika ani żadnego innego dźwięku. Kulę można by wziąć za pijackie złudzenie, lecz szaman wiedział, że jest prawdziwa, czuł to całym sobą. Jej ciężar, jej... masa. Przyklejony do murku, z rękami i nogami zamienionymi w ołów miał wrażenie, że za chwilę kula na niego spadnie i wprasuje go w ziemię. Wypuścił powietrze z płuc, potem spróbował nabrać oddechu, ale nie potrafił. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

Obudził go deszcz. Zimne strugi spływały mu po twarzy, więc odwrócił się na brzuch. Teraz krople uderzały go w tył głowy i w kark. Wilgoć przesączała się przez warstwę odzieży i docierała do ciepłej skóry. Zimno, coraz zimniej.

Zmusił się, by wstać. Wciąż było ciemno, być może dlatego, że świt jeszcze nie nadszedł, a może deszczowe chmury zasłoniły wstające słońce. Nic go to nie obchodziło.

\*\*\*

W mieszkaniu Elisha zmienił tylko ubranie na suche, po czym zwałił się na łóżko i zasnął od razu jak kamień. Przyśnił mu się świat idealny. Pociągi kursowały w nim zgodnie z rozkładami jazdy, po ulicach krążyły samochody, które nie powodowały wypadków, a każdego wieczoru z okien mieszkań dobiegały dźwięki radosnej muzyki. Jednak w tym świecie nie było ani jednego żywego człowieka, tylko umarli – teraz, gdy zostali we własnym towarzystwie, wreszcie uwolnieni od nienawiści i bawiący się wesoło. Ziemia była całkowicie, absolutnie martwa, a jednocześnie w jakiś perwersyjny sposób wciąż żywa, pełna zwyczajnych, codziennych odgłosów. Stukot kół pociągów, szum ekspresów do kawy i gadanie telewizorów, a pośród tego ciche, zgrzytliwe śmiechy brzmiące tak, jakby śmiał się ktoś z krtanią pełną ziemi.

Elisha zbudził się z jękiem i przez chwilę siedział na łóżku, trzymając się za głowę. Wpadające przez okno światło słońca raziło go w oczy. Wspomnienia snu się rozmywały, przez chwilę szaman pamiętał jeszcze wizję tętniącej życiem ulicy, a potem i to znikło.

\*\*\*

Kilka godzin wcześniej w dzielnicy Mazzini Eva również zbudziła się z koszmarne snu, którego nie pamiętała. Przez chwilę leżała nieruchomo w ciemności, czekając, aż jej serce przestanie łomotać o żebra. Zazwyczaj uspokajała ją obecność Carla, ale tym razem jej

mężczyzny nie było. Eva wiedziała o tym, jeszcze zanim wyciągnęła rękę i dotknęła zimnego prześcieradła po jego stronie łóżka.

Usiadła, wymacała stojącą na nocnym stoliku świecę i zapaliła ją. W ciepłym, złotawym półmroku ubrała się i włożyła pomarańczoworudą perukę. Jej własne włosy miały mysi kolor i były bardzo rzadkie. Eva nie lubiła ich pokazywać.

Dreńczył ją niepokój, lecz dziewczyna z całych sił starała się go ignorować. Jeszcze wczoraj chodziła po świecie uzbrojona w niewidzialną tarczę. Nic nie mogło jej zranić, nic dotknąć, żaden smutek czy ból. Tylko czysta radość i pewność, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być. A potem coś się stało i ta cudowna pewność znikła.

*Nie bądź głupia, podpowiedział cichy głosik w jej głowie. Nie „coś” się stało, tylko zginęło czworo ludzi. Cztery trupy w twoim domu, częściowo z twojej winy.*

Zignorowała go, tak samo jak niepokój. Była ostrożna niczym człowiek, który spadł z pędzącego roweru, więc teraz siada na sodełku, uważając na każdy ruch. Nie traciła jednak optymizmu, bo przecież wszystko da się naprawić. Porozmawia z Carlem i znów będzie jak dawniej. Przecież tak naprawdę to nie była jej wina. Mogłaby to powiedzieć już wcześniej, ale wtedy nie potrafiła pozbierać myśli. Carlo zresztą też wyglądał na oszołomionego, więc dobrze, że nie zawracała mu głowy swoimi problemami.

Teraz, gdy było po wszystkim, będą mogli spokojnie porozmawiać.

Na podeście schodów zobaczyła Morgię. Stał pod oknem, a w świetle księżyca tatuaże na jego umięśnionych ramionach wyglądały niepokojąco żywo i niemal ładnie, choć wykonane były prymitywną metodą za pomocą żyletki i węglowego tuszu.

– Nie widziałeś może Carla? – zapytała.

– A co, zwał ci z łóżka? – Morgia obrócił w jej stronę egzotyczną twarz o wąskich oczach i wystających kościach policzkowych.

– Obudziłam się, a jego nie było – poprawiła. Tak brzmiało zdecydowanie lepiej.

– Jest na tarasie. – Twarz Morgii drgnęła, jakby mężczyzna się zawahał, czy mówić dalej. – Obcy znów się pojawili.

– Ach. – Eva poczuła przyływ podniecenia, który niemal wyparł niepokój. Obcy. – W takim razie też popatrzę.

Pokręcił głową.

– Nie, i ty też nie powinnaś, jeśli jesteś mądra. Noc jest po to, żeby spać, a nie gapić się nie wiadomo na co.

Kierując się na taras, zerknęła za siebie. Mężczyzna wciąż stał przy oknie. Widać nie stosował się do własnych rad.

\*\*\*

Na tarasie Eva wzięła wolne krzesło i usiadła obok Carla. Prócz nich było tu jeszcze kilka osób, lecz tamci siedzieli nieco dalej, tak że chłopak i dziewczyna mogli rozmawiać swobodnie, jeśli tylko nie podnosili głosu.

– Powinieneś mnie obudzić – powiedziała Eva.

– Pomyślałem, że potrzebujesz snu.

Skinęła tylko, przyznając mu rację. Nie miała pretensji, nie o taki drobiazg.

– Gdzie są statki Obcych?

– Niedaleko Koloseum... Moment... o, patrz, jest jeden! I drugi!

Od strony pozostałych osób siedzących na tarasie dobiegło zbiorowe „ach”. Eva i Carlo milczeli, gdy w niebo wzbiły się dwie srebrzyste kule, wisiały przez chwilę nieruchomo, po czym zatoczyły łagodny łuk i poleciały na zachód. Dziewczyna przymknęła oczy, lecz zamiast odbitych na wewnętrznej stronie powiek statków zobaczyła cztery martwe ciała leżące na zbryzganej krwią podłodze hotelowego pokoju.

Noel, który niedawno przybył do Rzymu i potrafił przywracać ludziom życie.

Jeden z ich sąsiadów, stary, samotnie żyjący i nieco szalony mężczyzna, którego Carlo kazał przynieść do Athenaeum po to, by wypróbować zdolności wskrzesiciela. Nie wiedzieli nawet, jak ma na imię. Nikt nigdy nie wpadł na to, by zapytać, choć starzec mieszkał obok nich przez ostatnie kilka miesięcy.

I wreszcie Gianni oraz Ninetto. Gianni, który bez wahania

wpakował choremu kulę w serce, i Ninetto, który strzelał do ducha, a w rezultacie zabił dwie osoby.

Eva sądziła dotąd, że jest oswojona ze śmiercią – widywała już przecież ludzkie zwłoki – ale na coś takiego nie była przygotowana. Tyle krwi, a oni wszyscy, zwłaszcza mały Ninetto, umierali w męczarniach, walcząc o każdy oddech. Śmierć powinna być szybsza, bardziej... elegancka. Nie taka, nie zadana w ten sposób.

– Carlo? – szepnęła.

– Mhm.

– Znałeś ich? Gianniego i Ninetta?

– Nie wiem... To znaczy widywałem ich od czasu do czasu, jasne, że tak, chyba nawet z którymś z nich kiedyś rozmawiałem, ale nie wiem, czy przypomniałbym sobie ich imiona.

Eva wolno skinęła głową. Dla niej również Gianni i Ninetto istnieli wyłącznie jako anonimowe postacie, które od czasu do czasu mijała na schodach. To właśnie był problem. Zarówno ona, jak i Carlo zawsze czuli się inni od „chłopców”, bo tak właśnie ojciec Carla nazywał swoich ludzi. Inni i tak naprawdę lepsi, bo nigdy nie musieli wychodzić z bronią na ulice, tylko bawili się w domu.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl.

– Gdyby Gianni i Ninetto nie zginęli... – zaczęła z wahaniem.

– Tak?

– Kazałbyś Morgii ich ukarać? No wiesz, za to, co zrobili.

Spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem. Wystraszyło ją to – Carlo nigdy dotąd tak na nią nie patrzył.

– Nie mogę Morgii niczego kazać. On robi, co chce.

– Przecież pracuje dla ciebie – zaprotestowała cicho.

Chłopak pokręcił głową.

– Pracował dla mojego ojca. Teraz po prostu posługuje się moim nazwiskiem, bo tak mu wygodniej, ludzie wciąż jeszcze czują dla Nicolodich respekt. Po to mu jestem potrzebny. – W jego głosie zabrzmiała gorycz.

Eva nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy dotąd nie rozmawiali na podobne tematy i nawet nie przyszło jej do głowy, że tak właśnie może wyglądać sytuacja, choć teraz, gdy Carlo o tym wspomniał,

wydawało się to oczywiste.

*Jesteś głupia, szepnął głosik w jej głowie. Wiedziałaabyś, gdybyś się choć trochę zastanowiła, ale ty wolałaś przez cały czas bujać w obłokach. Zakochana idiotka.*

Carlo wyglądał na przybitego, a Eva miała ochotę objąć go i pocieszyć. Nie zrobiła tego, bo nagle przestała ufać własnemu instynktowi. Być może chłopak wcale nie chciał, by go obejmować i pocieszać na oczach siedzących niedaleko ludzi. Zamiast tego spłotła więc palce. Dłonie sprawiały wrażenie lodowatych, choć noc nie była zimna.

Wszystko będzie dobrze, powtórzyła dziewczyna w myślach. Wszystko będzie dobrze.

– Jeśli Morgia sam podejmuje decyzje, to robi to źle – zaczęła ostrożnie. – Nie panuje nad ludźmi. Kiedyś chłopcy pili i ćpali od czasu do czasu, a teraz co chwila spotykam kogoś, kto wygląda jak zombi. Zauważyłeś?

Wzruszył ramionami. Wydawał się taki młody, tak chłopięco bezradny.

– Do tej pory jakoś ci to nie przeszkadzało.

– Wiem – zdecydowała się na szczerość. – Ale powinno, prawda? Twój ojciec czuł się odpowiedzialny za nich wszystkich...

– Jasne, a ta odpowiedzialność polegała na tym, że wysyłał chłopców, żeby terroryzowali ludzi i kradli. Morgia robi dokładnie to samo, tylko bardziej im pobłaża, więc co za różnica? Przynajmniej mają z życia więcej przyjemności. To brudna robota, wiesz? Ale dzięki nim ja mam mnóstwo dobrego żarcia, ciuchy, w których nie wyglądam jak ostatni szmaciarz, a nawet cholerne płyty, przy których mogę potać się, o ile oczywiście zmarli są w dobrym nastroju i zechcą je odtworzyć.

Przeraziła ją pełna pasji gorycz w jego głosie i to, co sugerował.

– I ja też mam to wszystko, tak? To chciałeś powiedzieć? Korzystam z tego za darmo...

– Nie, nie. – Wyglądał teraz na wystraszonego. – Wcale nie. Nawet tak nie myśl. Tylko dzięki tobie tu wytrzymuję. Ty jesteś inna, jesteś wszystkim, co mam...

Uśmiechnęła się z ulgą i odzyskawszy nieco pewności siebie, wzięła Carla za rękę. Chłopak się odprężył. Eva najchętniej siedziałaby tak do rana, ale było coś jeszcze, co musiała zrobić.

– To, co się stało, to nie była moja wina, rozumiesz to, prawda? Wcale nie uważałam, że powinniśmy zabić tego staruszka. To był tylko głupi żart, nic więcej, nie przyszło mi do głowy, że ktoś go weźmie na poważnie. Wiesz o tym?

– Wiem – przytaknął, trochę zbyt zdawkowo, żeby poczuła się naprawdę usatysfakcjonowana.

Wszystko jest dobrze, powtarzała w myślach, ściskając dłoń Carla. Nie potrafiła jednak do końca pozbyć się niepokoju, zwłaszcza że zdarzyło się coś jeszcze. Dwa fakty na pozór błahe, bez znaczenia, a jednak tkwiące w jej pamięci i uwierające jak kamień w bucie.

Po pierwsze, jeszcze wtedy, w pokoju, gdy stała tuż obok kałuży krwi i patrzyła na martwe ciała, miała ochotę jednego z nich dotknąć. Choć ochota to może nie było właściwe słowo – czuła potrzebę, żeby położyć trupowi dłoń na piersi, a potem... coś zrobić, nie była pewna co, ale wiedziała, że zorientuje się później, gdy tylko wykona ten pierwszy ruch. I pewnie zrobiłaby to, gdyby Carlo nie objął jej wtedy i nie wyprowadził z pokoju, przekonany zapewne, że Eva ociąga się z wyjściem, bo jest w szoku.

Po drugie, idąc na taras, minęła pomieszczenie, w którym stał gramofon. Dobiegały stamtąd słowa piosenki, co samo w sobie nie było niczym dziwnym, duchy bowiem odtwarzały płytę niezależnie od tego, czy żywi słuchali, czy też nie. Tym razem jednak wokalista śpiewał chrapliwym, jakby... brudnym głosem, niektóre samogłoski rozciągały się i powracały zniekształcone echem, przywodząc na myśl kogoś, kto woła z głębi studni. W tle rozbrzmiewały szумы i trzaski, a Evie zdawało się przez chwilę, że w tym wszystkim wyczuwa coś jeszcze, coś ledwo uchwytnego.

Wściekłość, uświadomiła sobie znacznie później, gdy już siedziała na tarasie i obserwowała krążące nad Rzymem srebrzyste kule. To mogła być wściekłość.

\*\*\*

Elisha odciął łeb kogutowi. Ptak wciąż jeszcze się wyrywał, więc szaman przytrzymał go mocno, pilnując, by krew lała się dokładnie w wyznaczone miejsce. Potem wrzucił zwłoki do wiklinowego koszyka i dla pewności zamknął wieko – martwe ciało co prawda podrygiwało już tylko żałośnie, ale ostrożności nigdy za wiele.

Zanurzył palec w ciepłej krwi i wyrysował symbole. Jeden, największy, na podłodze urzędu pocztowego, kilka mniejszych na ścianach, ladzie i resztkach czarnej od brudu szyby. Były koślawe, krew mieszała się z kurzem, a na podłodze także z rzadkim błotem, ale nie miało to znaczenia – znaki miały dezorientować zmarłych, a to zadanie spełniały, nawet jeśli nie wyglądały idealnie. Najważniejszy był symbol na telefonie i ten Elisha nakreślił bardzo starannie, wcześniej oczyściwszy aparat na tyle, na ile mógł. Resztką krwi namazał jeszcze kilka kresek na czole i policzkach starszej kobiety, którą poznał dziś rano, a która przedstawiła mu się jako Antonia „mów mi Toni” Scalzi.

Toni chciała zadzwonić do córki. O tej dziewczynie Elisha wiedział już zdecydowanie więcej, niżby chciał. Że ma na imię Sonia, jest mądra, śliczna i nigdy, nawet gdy była nastolatką, nie sprawiała kłopotów. A przede wszystkim, że niedawno znalazła mężczyznę, który prawie – bo jednak niezupełnie – był jej godzien. Toni paplała przez całą drogę, lecz teraz umilkła, wystraszona i pobladła. Sonia wyprowadziła się ze swoim niemal idealnym chłopakiem do Florencji, umówiwszy się wcześniej z matką, że co dwa miesiące będą rozmawiać przez telefon. Dziś wypadał pierwszy z umówionych dni i Toni, która nie wiedziała nawet, czego się spodziewać, nerwowo wyłamywała palce.

– Ale to bezpieczne, prawda? – zapytała po raz kolejny. – Nic mi się nie stanie, kiedy będę dzwonić?

– Prawie bezpieczne – powtórzył Elisha. Kobieta wyraźnie chciała wymusić na nim zapewnienie, że absolutnie nic jej nie grozi, ale on nie mógł się na to zgodzić. – Dzięki moim symbolom duchy zignorują telefon i skupią się na krwi, którą będą mogły smakować. Zmarli bardzo lubią krew, więc nawet cię nie zauważą.

– A jeśli jednak zauważą? Będą chcieli mnie zabić?



Owszem, istniała szansa, że mimo ochronnych znaków duchy zwrócą na nią uwagę i zapragną kobietę zabić – by ukarać za używanie tego, co należy do nich, lub z innych, sobie tylko znanych powodów. Wówczas Toni będzie ścigana przez zmarłych tak jak Noel. Takie rzeczy się zdarzały, rzadko, ale jednak. Mimo to Elisha nie odpowiedział, wiedział bowiem, że kobieta nie tego oczekuje.

– Wszystko będzie dobrze. – Poklepał ją po plecach z uśmiechem, który miał dodać otuchy. – Zadzwoń do córki i dowiedz się, co u niej słychać. Ja zaczekam na zewnątrz. Gdybyś mnie potrzebowała, wystarczy zawołać.

Najwyraźniej wybrał odpowiednie słowa, bo Toni, choć nadal z niezbyt pewną miną, podeszła do telefonu, po czym z kieszeni sukni wyciągnęła wymiętoszoną kartkę. Elisha widział jeszcze, jak przesuwając palcem po papierze, szuka numeru i podnosi słuchawkę. Potem wyszedł.

Usiadł na schodach urzędu, zastanawiając się, czy kobieta na pewno ma właściwy numer. Po mieście krążyło sporo ocalałych książek telefonicznych, ale nie wszystkie były aktualne. Albo telefon na florenckiej poczcie będzie zepsuty. Z drugiej jednak strony ludzie z ust do ust przekazywali sobie, które numery działają, a które nie, więc całkiem możliwe, że Toni uda się porozmawiać z córką.

Sięgnął po papierosa i palił przez chwilę, ciesząc się ciepłym popołudniowym słońcem. Niedługo przyjdzie jesień, a potem zima. Elisha wzdrygnął się na samą myśl o deszczu i zimnie wciskającym się przez szpary do mieszkania. Długie noce, chłód, wilgoć i brak świeżego jedzenia – jego starzejący się organizm coraz gorzej to znosił. Może Elisha powinien udać się na południe, na przykład do Neapolu. Ostatecznie dla szamana wszędzie znajdzie się praca, a kiedyś mówiło się „zobaczyć Neapol i umrzeć”.

No, może tę drugą część mógłby sobie darować. Wystarczyło mu zobaczyć.

Rzucił niedopałek na schody i rozgniół go obcasem. Już wtedy, patrząc pod nogi, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, a gdy uniósł głowę, zobaczył stojące po drugiej stronie ulicy dziecko, chłopca tak małego, że zapewne niedawno nauczył się chodzić i wciąż jeszcze

z trudem utrzymywał się w pionie. Elisha uśmiechnął się niepewnie – instynkt nakazywał mu natychmiast podbiec, chwycić malca w ramiona i szukać matki, ale doświadczenie podpowiadało, że dziecko może być martwe.

I faktycznie było – szaman poznał to, gdy drobna sylwetka rozmazała się, by po chwili znów nabrać konkretnego kształtu.

Cóż, przynajmniej mnie nie zwyzywa, pomyślał Elisha z wisielczym humorem. Wątpię, żeby ten mały znał więcej niż trzy słowa.

Chłopiec przeszedł chwiejnie kilka kroków, po czym opadł na czworaki i porazkował w stronę leżącego na środku ulicy przedmiotu, gdzie zniknął. Zaciekawiony szaman wstał. Przedmiot z daleka wyglądał jak czerwone jajko, a z bliska okazał się zabawką składającą się z plastikowej obudowy i ciekłokrystalicznego wyświetlacza. Obudowa była brudna i porysowana, lecz Elisha miał pewność, że w środku kryje się lśniący nowością mechanizm. Nikt dotąd nie wyjaśnił, w jaki sposób zmarli potrafią konserwować niegdyś elektryczne urządzenia, ale niewątpliwie to właśnie robili.

Gdy Elisha przetarł wyświetlacz rękawem, zobaczył wielkogłowe i wielkookie zwierzątko: królika czy może psa, trudno było stwierdzić. Pies czy też królik zamerdał ogonkiem, po czym rozdziawił pyszczek, jakby domagał się jedzenia.

Szaman odłożył zabawkę tam, gdzie ją znalazł. Na chwilę opanował go smutek. To się zdarzało od czasu do czasu, odkąd Noel zginął. Szaman wstawał rano, jadł, pracował, palił albo wypoczywał i wydawało się, że wszystko jest w porządku, a potem nagle przychodziła czarna rozpacz jak cios w brzuch, który pozbawiał tchu i wyciskał łzy z oczu.

Poczłapał w stronę najbliższego budynku i oparty o ścianę poczekał, aż mu przejdzie. Gdy Toni pojawiła się na schodach urzędu pocztowego, wyglądał już prawie normalnie, nie musiał więc odpowiadać na pytania: „Co się stało?” oraz: „Dobrze się pan czuje?”. Inna rzecz, że kobiety i tak by to nie interesowało. Myślała teraz wyłącznie o córce i pierwszym wnuku, który był już w drodze.

Elisha grzecznie skierował rozmowę na kwestię zapłaty, a potem się pożegnał. Do domu wracał w lepszym humorze – liczył najwyżej

na cztery paczki tytoniu, lecz Toni bez problemu zgodziła się na sześć.

\*\*\*

Pod drzwiami jego mieszkania siedziała dziewczyna. Miała jaskraworude rozczochrane włosy i sukienkę w zielone groszki. Nie poznał jej w pierwszej chwili i dopiero gdy wstała, zorientował się, że to Eva. Pomarańczowa czupryna dodała jej zadziornego wdzięku, który mu się podobał.

– Mam do pana sprawę – powiedziała.

Sięgnął po klucz. Wielu ludzi nie zamykało drzwi, bo w ich mieszkaniach i tak nie było czego kraść, lecz on w domu trzymał sporo dobrego jedzenia oraz leki, które niewłaściwie użyte mogły nawet zabić.

– Wejdz.

Poczęstował ją mlekiem z cynamonem i dopiero potem zapytał, po co przyszła. Eva nie spieszyła się z odpowiedzią, ale kiedy już zdecydowała się mówić, zrobiła to bez owijania w bawełnę.

– Myślę, że potrafię wskrzeszać ludzi – oznajmiła.

Elisha nie uniósł brwi w wyrazie ironicznego zdumienia, nie roześmiał się, nie zapytał: „Co ty, dziecko, wygadujesz?”. To prawdopodobnie były właściwe reakcje, ale Elishę na przekór wszystkiemu opanowała wariacka nadzieja. Zacisnął dłonie na kubku z mlekiem tak mocno, aż zaboląły palce, i odetchnął, z trudem tłumiąc nadzieję do poziomu ostrożnego optymizmu.

– Nie rozumiem...

– Ten człowiek, Noel, tak? Ten, który przyszedł z panem i chciał obejrzeć film i którego zabił jeden z naszych ludzi... Nawiasem mówiąc, bardzo mi przykro, że tak się to skończyło, ja naprawdę tego nie chciałam.

– Noel, owszem. I wiem, że nie chciałaś. Mów dalej.

– On musiał mi przekazać swój dar. Wtedy, kiedy umierał i chwycił mnie za rękę. Już wtedy coś czułam, trudno to opisać, ale miałam wrażenie, że powinnam oprzeć dłonie na piersi któregoś ze zmarłych i GO OŻYWIĆ. – Elisha niemal usłyszał wielkie litery.

– Nie zrobiłam tego wtedy – kontynuowała dziewczyna – ale męczyło mnie to. Siedziało głęboko, o tu, i mnie męczyło.

Gestem, który u każdego innego człowieka wyglądałby pretensjonalnie, położyła dłoń na sercu. Pasowała do niej ta teatralność, zwłaszcza że dziewczyna była cholernie pewna siebie. Patrzyła mu prosto w oczy bez śladu zakłopotania, panowała nad każdym ruchem, jakby całą tę scenę miała już przećwiczoną.

– Wiem, że pan mi nie wierzy – dodała, potwierdzając jego podejrzenia, bo przecież nie dał jej żadnego powodu, aby tak sądziła, musiała więc z góry to założyć. – Sama sobie też zresztą nie wierzyłam. Dlatego można powiedzieć, że poniekąd wypróbowałam moje zdolności. Widzi pan, wtedy... wtedy zginęło czworo ludzi, a my pochowaliśmy od razu troje, w tym pańskiego przyjaciela, ale jednego, Ninetta, zostawiliśmy w zimnej piwnicy, żeby tam czekał, aż zjawi się jego matka, która mieszka na wsi niedaleko Rzymu. Pomyśleliśmy, że chciałyby go jeszcze zobaczyć, zanim pójdzie do ziemi, rozumie pan?

– A ty zesłaś do tej piwnicy i ożywiłaś go? – Elisha odłożył kubek. Bał się, że jeśli nie przestanie go ścisnąć, szkło pęknie.

– Niezupełnie. – Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się cień wątpliwości. – To znaczy tak, ale tylko na chwilę. On... się poruszył, otworzył oczy, a potem znowu był martwy. Myślę – dodała rozsądnie – że dla niego było po prostu za późno, w końcu ciało leży w piwnicy od trzech dni. Gdybym zdecydowała się wcześniej, mogłabym mu... pomóc.

Tym razem pauza podkreślała, że Eva świadomie użyła słowa, którym posługiwał się Noel. Eliszę to zabolalo, bo dziewczyna bardzo się od Noela różniła. On był zagubiony i zmęczony, ona pewna siebie i energiczna. Szamanowi wydawało się to niewłaściwe, jakby nieprzystające do tragedii, z jakimi wskrzesiciel miał do czynienia.

Może się zwyczajnie starzeję, pomyślał. Może to jest to.

– I co zamierzasz teraz zrobić?

– Cóż, przede wszystkim zamierzam się upewnić, że naprawdę potrafię wskrzeszać. Potem... potem się zastanowię.

Tym razem wyczuł w jej głosie ostrożność, przez moment nawet

myślał, że dziewczyna jest jednak oszołomiona nową dla niej sytuacją, i gotów był spieszyć z pocieszeniem. Ale nie, zaraz dodała: „Jest tyle różnych możliwości” i Elisha pojął, że to nie jest ostrożność człowieka, który czuje się zagubiony, ale po prostu kogoś, kto na chłodno rozważa dostępne opcje, pewien, że jeśli tylko dobrze się namyśli, to wybierze tę właściwą.

– Jest tyle różnych możliwości – powtórzyła Eva. – Ktoś z takim darem mógłby na przykład skupić wokół siebie ludzi. Ja i Carlo moglibyśmy zacząć walczyć ze zmarłymi, odzyskać dla nas miasta. Ludzie nie baliby się bić, bo wiedzieliby, że kiedy umrą, zostaną wskrzeszeni.

Elisha skinął głową. Zrobił to niechętnie, z ociąganiem, choć gdy poznał Noela, sam o czymś podobnym myślał. Tyle że w ustach tej dziewczyny brzmiało to po prostu dziecinnie. Ona nie zdaje sobie sprawy, jak byłoby to trudne, pomyślał. I jak dużo ludzi musielibyśmy mimo wszystko poświęcić, bo przecież nie każdego da się wskrzesić.

Jednak tak naprawdę to nie było ważne. W każdym razie nie w tej chwili. Gdy Noel zginął, wszystko straciło sens, a teraz z powrotem go nabrało. Być może jednak istniał jakiś plan i Eva była jego częścią, tak jak wcześniej częścią planu był Noel. Może. A jeśli tak, to Elisha powinien wrócić do tego, co zamierzał zrobić przed trzema dniami.

– Będę musiał jednak obejrzeć tę taśmę – powiedział. – To prawda, że są na niej Obcy i że mówi się tam o ich związkach ze zmarłymi? To może być bardzo ważne.

Streścił jej pokrótce okoliczności, w jakich Noel otrzymał swój dar. Eva słuchała z ciekawością, lecz kiedy Elisha skończył mówić, potrząsnęła energicznie rudą czupryną.

– Problem w tym, że ja tego filmu nie widziałam. Nikt go nie widział. Mieliśmy urządzić sobie seans w trójkę, ja, Carlo i jego ojciec. Nicolodi wynajął już nawet szamana, żeby zajął się projektorem i skłonił zmarłych do odtworzenia taśmy. Tyle że szaman okazał się niekompetentny i duchy wcale nie chciały go słuchać, więc Nicolodi się wściekł i kazał szamanowi wynosić się z miasta, bo jeśli kiedyś go jeszcze spotka, to... robi mu mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. – Roześmiała się. – Tak, wiem, plotki mówią zupełnie coś

innego. Ale ja mówię, jak było. Potem oczywiście Nicolodi miał zamiar zapłacić innemu szamanowi, ale zanim znalazł kogoś sensownego, zaczęły się kłopoty i został ranny. – Spowaźniała, oczy przestoniła jej mgiełka wspomnianego bólu. – I kiedy leżał w łóżku coraz bliższy śmierci, Carlo powtarzał mu, że kiedy wyzdrowieje, to razem obejrzymy film, jak planowaliśmy. Rozumie pan? Carlo do końca nie wierzył, że jego ojciec może naprawdę umrzeć.

– A kiedy jednak umarł, Carlo nie miał już ochoty oglądać filmu, bo przez cały czas pamiętałby, że planował seans z ojcem. Rozumiem i naprawdę współczuję chłopakowi. Ale ty zrozum, że ja muszę wiedzieć, co jest na tej taśmie. Szczerze mówiąc, skoro nikt tego filmu nie widział, to skąd wiadomo, że tam jest coś o związkach Obcych ze zmarłymi?

Eva uśmiechnęła się szeroko.

– Bo ma naklejkę, taką żółtą, samoprzylepną, na której jest napisane: „Obcy, zagrożenie czy nadzieja?”. A umarli niewątpliwie są zagrożeniem, prawda?

– Tym bardziej powinniśmy to zobaczyć.

– Wiem. Porozmawiam z Carlem i myślę, że się zgodzi.

\*\*\*

– Uważajcie, trochę tu ślisko.

Carlo schodził pierwszy; świeca chybotwała się w jego dłoni, rzucając cienie na ceglane ściany. Elisha szedł za Evą, trzymając się poręczy. Stopnie faktycznie były wyślizgane, wyczuwało się w nich nawet niewielkie wgłębienia w miejscach, gdzie ludzie częściej stawiali stopy. To musiała być cholernie uczęszczana knajpa, pomyślał, sądził bowiem, że w piwnicach niegdyś znajdował się bar czy może restauracja. Świadczyły o tym szerokie, wydeptane schody, poręcz, której mógł się przytrzymać, i resztki plakatów na ścianach. A w powietrzu wciąż wyczuwało się lekki zapach wina, choć to akurat mogło być złudzeniem – możliwe, że podobne miejsca po prostu zbyt silnie kojarzyły mu się z dojrzewającym w podziemnej ciemności chianti.

Gdy zatrzymali się przed zakratowanymi drzwiami, Carlo podał Evie świecę, a sam wyjął z kieszeni klucz i wsunął go do zamka.

Eva odwróciła się do Elishy. W blasku płomienia jej twarz była blada i ściągnięta lękiem.

– Słyszysz pan to? Słyszysz pan, prawda?

W pierwszym odruchu chciał zaprzeczyć, ale dziewczyna miała rację – zza drzwi faktycznie dobiegały głosy. Dźwięk podnosił się i opadał jak fala, to cichszy, to znów głośniejszy i przez chwilę był na tyle wyraźny, że Elisha mógł rozróżnić słowa.

*Na pokładzie samolotu lecącego z Larnaki do Pragi zginęło ponad stu pasażerów...*

*Katastrofa kolejowa w Niemczech, dwadzieścia pięć osób zabitych...*

*Do pięciu wzrosła liczba śmiertelnych ofiar karambolu koło Rzymu...*

– To z radia – wyjaśniła Eva. – Tam jest takie śmieszne wielkie radio. Ojciec Carla mówił, że z początku dwudziestego wieku. Dziwne, nigdy wcześniej nie nadawało takich informacji. I... czuje pan, prawda?

Elisha powoli skinął głową. Owszem, pod suchymi liczbami wyczuwał coś jeszcze, coś więcej. Wściekłość. Gorycz. Nienawiść.

– Mój gramofon ostatnio też się dziwnie zachowuje, kiedy jestem w pobliżu...

Złapał ją za ramię i ścisnął tak mocno, że krzyknęła. Jak mógł to przeoczyć? Głupiec, po trzykroć głupiec. Na samą myśl o tym, na co niemal naraził tę dziewczynę, poczuł słabość w kolanach.

– Czy w kolekcji Nicolodiego są jeszcze inne przedmioty kiedyś działające na prąd?

– Tak, oczywiście. – Patrzyła na niego zdziwiona. – Nicolodi zbierał wszystko, co unikatowe. Głównie obrazy i rzeźby, ale urządzenia elektryczne też.

– W takim razie nie możesz tam wejść.

Eva zaczynała rozumieć.

– Umarli chcą mnie skrzywdzić?

Przytaknął.

– I zrobią to, jeśli tylko dasz im okazję. Na twoim miejscu nie zbliżałbym się nawet do gramofonu.

Spróbowała parsknąć lekceważąco, ale w jej śmiechu słychać było napięcie.

– Co złego może mi zrobić gramofon?

Wzruszył ramionami.

– Sporo, jeśli wybuchnie ci prosto w twarz.

Przeniósł wzrok na Carla, który od pewnego czasu przysłuchiwał się rozmowie.

– Mam nadzieję, że ty to rozumiesz. Ona nie może tam z nami wejść.

– Jasne. – Chłopak spojrzał na dziewczynę. – Proszę, nie bądź uparta. Obiecuję, że szybko wrócimy. Gdzieś powinny być dodatkowe świece...

Zniknął w mroku za drzwiami, skąd wrócił po chwili z zakurzoną drewnianą pudełką. Podając dziewczynie świecę, którą odpalił od swojej, zawahał się na moment.

– Możesz też poczekać na górze, jeśli chcesz...

– Nie. – Potrząsnęła rudą czupryną. – Zostanę tutaj. Tylko wracajcie naprawdę szybko.

\*\*\*

Patrzyła za nimi, dopóki płomyk trzymanej przez Carla świecy nie wtopił się w mrok. Przez chwilę słyszała jeszcze echo kroków, a potem i ono znikło.

Żałowała, że nie może tam wejść. Że prawdopodobnie już nigdy nie będzie mogła. Carlo nie podzielał pasji ojca, lecz Eva doskonale ją rozumiała. Piwnice miały w sobie coś z romantyzmu królewskiego skarbcza albo tajemnej kryjówki zbójców, o których czytała w jednej z książek. Tylko dla wybranych, przypadkowym osobom wstęp wzbroniony.

Drgnęła nerwowo, gdy temperatura wokół nagle spadła. Umarli, pomyślała i na moment jej umysł zalała fala czystej paniki. Dziewczyna nie rzuciła się do ucieczki tylko dlatego, że czuła –



właśnie czuła, bo do logicznego rozumowania nie była zdolna – że jeśli spróbuje biec po schodach (śliskich schodach), może się przewrócić i zgasić świecę. A wtedy zostanie w ciemności sam na sam z umarłymi.

Spokojnie, nakazała sobie. Oni nie mogą mi nic zrobić. Nie są na to dość... materialni.

Dwa uderzenia serca później zobaczyła Noela. Stał poza kręgiem złotego blasku i patrzył na nią z mroku. Nie widziała jego oczu, ale i tak była pewna, że patrzy. Mężczyzna poruszył się i przekroczył granicę światła. Teraz widziała go wyraźnie: stał tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jego twarzy.

Wyglądał bardzo, bardzo materialnie.

Eva cofnęła się odruchowo, wydając zduszony okrzyk. Świeca, którą trzymała, zachybotła się i na skórę dziewczyny padła kropla gorącego wosku. To ją otrzeźwiło.

Uświadomiła sobie, że niedaleko jest piwnica, w której wciąż leży martwe ciało. A przed trzema dniami było ich cztery. Cztery ciała i sporo krwi. Noel musiał napić się jej wystarczająco dużo, nim zakrzepła, i dlatego wciąż wyglądał tak realnie, niemal jak żywy człowiek. Był tylko bardzo blady, a jego szeroko otwarte oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej ust. Wrażenie było takie, jakby musnęła ją meduza. Zimny, galaretowaty nacisk.

– Proszę, nie – wyjąkała, cofając się jeszcze bardziej w stronę drzwi za plecami. – P... proszę...

– Rozumiesz, że muszę cię zabić? – Szept brzmiący jak szelest, jakby przez wydrążony w ziemi tunel przepychał się owad. To było to: dźwięk pocierania skrzydłem o skrzydło i odgłos sypiącego się pyłu.

Eva mimowolnie zarejestrowała, że ramieniem właśnie otarła się o otwarte drzwi do piwnic. A więc wciąż się cofała i znajdowała się już na granicy bezpieczeństwa. Dobiegający z radia głos słyszała teraz bardzo wyraźnie.

*Ekipa ratunkowa wciąż wydobywa nowe zwłoki...*

## *Policja poszukuje osoby odpowiedzialnej za...*

Odchrząknęła, zbierając resztki pewności siebie. Da sobie radę, zawsze sobie dawała. Wszystko będzie dobrze.

– Nie możesz mnie skrzywdzić.

– Och, naprawdę? – Ponownie dotknął jej ust i znów poczuła ten zimny, meduzowaty nacisk.

Dziwne, ale nie wyczuwała w Noelu wściekłości. Gorycz tak, trochę też złości, ale z pewnością nie wściekłość.

To obudziło w niej nadzieję. Może ten mężczyzna za życia był tak łagodny, że nawet po śmierci zachował odrobinę dobroci.

– Moglibyśmy się dogadać... – spróbowała. – Ja... Naprawdę bardzo mi przykro, że umarłeś. Pewnie mnie za to winisz i rozumiem cię, ale ja tego nie chciałam. To był dowcip, głupi, wiem, ale naprawdę nie mogłam przewidzieć skutków. Nie... proszę, nie rób tego.

Znów jej dotknął, a ona znów się cofnęła. Była już w pierwszej piwnicy, radio za jej plecami szalało z podniecenia, podając coraz wyższe liczby ofiar w coraz większych katastrofach.

– Nie chodzi o moją śmierć. Teraz jestem szczęśliwy. Ty też za chwilę będziesz szczęśliwa.

– Nie... Głos Ewy zamienił się w zduszony jęk. Kolejny krok do tyłu. Drzwi zostały przed nią w ciemności, nawet ich już nie widziała. Chciałaby mieć na tyle odwagi, żeby odepchnąć Noela i pobiec do przodu, zamiast ciągle się cofać, ale nie miała. Na samą myśl, że musiałyby chwycić to galaretowate ciało, ogarniały ją mdłości.

Jednak przynajmniej przestanie się cofać. Tyle może zrobić. Następnym razem, kiedy Noel dotknie jej twarzy, dziewczyna nawet nie drgnie. To tylko zmarły, nic nie może jej zrobić. Nikt nigdy nie słyszał o przypadku ducha, który bez pomocy elektrycznego urządzenia potrafiłby skrzywdzić żywego.

– Nie... pójdę... dalej... – Odchyliła głowę jak najmocniej do tyłu, gdy nad jej policzkiem znów zawisła blada dłoń.

– Ależ pójdziesz. – I oczywiście znów się cofnęła.

Eva zamknęła oczy, po czym wrzasnęła.

\*\*\*

– Słyszał pan to? – W trzeciej piwnicy Carlo niespokojnie uniósł głowę. – Jakby krzyk...

– Eva?

Spojrzeni na siebie, a potem jednocześnie rzucili się w stronę drzwi.

\*\*\*

Eva otworzyła oczy. Noel zniknął. A w każdym razie nie było go przed nią, bo za jej plecami niewątpliwie ktoś stał. Albo coś.

Odwróciła się, powoli, bo mięśnie nie bardzo chciały jej słuchać.

Zobaczyła wysoką na półtora metra rakietę kosmiczną, całą dygoczącą pod wpływem pracującego wewnątrz silnika. Wyrafinowaną zabawkę, w której sadzano maluchy, by poczuły się jak astronauty. Z całą pewnością nie powinna móc się poruszać – potrafiła tylko kołysać się w miejscu – a jednak jakimś cudem nie stała już przy ścianie, tylko naprzeciwko drzwi.

Na obudowie rakiety dwójka dzieci, chłopczyk i dziewczynka, ubrani w skafandry i z baniakowatymi hełmami na głowach machali w stronę słońca. Na ich twarzach widniały szerokie uśmiechy; barwy obrazka były soczyście wesołe.

Eva pomyślała, że rakieta wędrowała, podrygując centymetr po centymetrze jak piorąca pralka, zagłuszana przez dźwięki radia, podczas gdy dziewczyna się cofała. Ubawiłoby ją to, gdyby nie było tak cholernie przerażające i jednocześnie nieprzypadkowe, bo tę pułapkę niewątpliwie zastawiono z rozmysłem.

Wszystko to przeleciało jej przez głowę w ułamku sekundy. Zdążyła jeszcze zarejestrować krzyk nadbiegającego Carla. Nie zdążyła uciec, bo w tej chwili zabawka zmieniła się w kłęb ognia i ostrych jak brzytwy odłamków, które rozprysły się wokół.

\*\*\*

– No dalej, zrób to. Dasz radę. Wiem, że potrafisz.

Ktoś czegoś od niej chciał, a ona wiedziała, że musi coś zrobić. Zaraz to zrobi... Za moment... Była tak bardzo słaba, ręce i nogi miała ciężkie jak z ołowiu. Serce Evy biło coraz szybciej, w uszach jej szumiało, z porów skóry tryskał zimny pot. Niepokój przeradzał się w panikę. Muszę... zaraz...

– Nie ruszaj się!

Ktoś trzymał ją za rękę i ścisnął.

*Teraz, wypowiedział głos w jej głowie. Zrób to, bo za chwilę będzie za późno.*

Posłuchała go, a potem odpłynęła w pustkę.

\*\*\*

Ktoś pomógł jej usiąść, ktoś podparł plecy poduszką i przyłożył do ust szklanekę.

– Napij się. Powoli.

Przełknęła odrobinę wody, zakrztusiła się i prychnęła. Zimna struga połała się na jej piersi, lepiąc do ciała podkoszulek. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że leży na łóżku, a nad nią pochyla się Carlo. Ponad jego ramieniem zobaczyła pełną niepokoju twarz Elishy.

– Rany – wychrypiała. Jej głos brzmiał dziwnie obco, odchrząknęła więc. – Myślałam, że umarłam.

– Bo umarłaś – powiedział poważnie chłopak, odgarniając jej włosy z czoła. Zaniepokojona dotknęła fryzury, odetchnęła jednak z ulgą, gdy pod palcami wyczuła grzywkę równo obciętą jak u Kleopatry. Ktokolwiek zaniósł ją do łóżka i przebrał, włożył jej także perukę, tę czarną, jedną z ulubionych. Carlo oczywiście, bo któż by inny.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wiedział, jak bardzo Eva nie lubi się pokazywać z gołą głową. Czuła się wtedy gorzej, niż gdyby ktoś przyłapał ją nago.

– Masz na myśli, że było ze mną bardzo źle? Ale w takim razie jakim cudem teraz czuję się zupełnie dobrze? Naprawdę nic mi nie jest...

Urwała, a jej oczy się rozszerzyły, gdy zrozumiała. Carlo

potwierdził ruchem głowy.

– Umierając, przekazałaś mi swój dar, a ja cię wskrzesiłem. To był jego pomysł. – Skinął w stronę Elishy. – Sam pewnie bym na to nie wpadł. Prawdę powiedziawszy, spanikowałem, kiedy zobaczyłem, jak tam leżysz. Wyglądałaś jak jeżozwierz, z twojego ciała wszędzie sterczały odłamki i tak strasznie krwawiłaś...

– Ran było dużo, ale żadna nie była bardzo poważna – dodał szaman. – Gdyby nie to, pewnie nie dalibyśmy rady cię uratować.

Tknęła ją pewna myśl. Eva odrzuciła kołdrę i usiadła, stawiając na podłodze bose stopy. Oprócz peruki i podkoszulka miała też na sobie spodenki gimnastyczne.

– Dlaczego nie pan? – zapytała. – Skoro to był pański pomysł, to czemu sam pan nie wziął ode mnie tego, jak mówicie, daru? Ja nawet nie wiedziałam, komu go przekazuję, więc nie mogłabym mieć nic przeciwko.

Przez twarz szamana przemknął cień poczucia winy.

– Jestem na to za stary – powiedział mężczyzna. – Nie potrafiłbym...

Wzruszył ramionami na znak, że wyjaśnienia są niepotrzebne, bo przecież tamci świetnie wiedzą, o co chodzi. Eva patrzyła na niego, czując, jak wzbiera w niej złość. Carlo ją przytulił.

– Daj spokój. Co się stało, to się nie odstanie. Najważniejsze, że z tobą wszystko w porządku. Teraz zmarli będą polować na mnie, ale jakoś sobie poradzę. Ten człowiek... Noel... żył z tym przez wiele lat, prawda? – Pytając spojrział na Elishę.

Szaman skinął głową, dodając w myślach: „I to go wykończyło psychicznie”.

– No więc ja też się nauczę, jak unikać niebezpieczeństwa. A na razie, skoro i tak nie mamy lepszych pomysłów, a ty czujesz się dobrze, proponuję jednak obejrzeć ten film.

\*\*\*

Ciekawe, czy film jest pechowy, myślała Eva w czerwonym półmroku kinowego baru. Na ladzie leżała centymetrowa warstwa

kurzu, w której ktoś napisał: „Marco kocha Elenę”, z sal dobiegały głosy ekranowych bohaterów, stłumione przez odległość i brzmiące jak nasycone emocjami szepty.

Nicolodi chciał go obejrzyć i zginął, potem to samo spotkało Noela, a wreszcie mnie. Trzy osoby to wciąż przypadek czy może jednak...?

KLĄTWA, dopisała w kurzu.

Albo ani jedno, ani drugie. Może w dzisiejszych czasach świat jest tak paskudny, że takie rzeczy po prostu się zdarzają.

Zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją znużenie. Powiedziała Carlowi prawdę: fizycznie czuła się zadziwiająco dobrze, zupełnie jakby to, co się stało w piwnicach, było tylko koszmarnym snem, ale psychicznie była kompletnie rozbita. Rozbita, zdezorientowana, oszołomiona – mogła przebierać w określeniach, a każde pasowało. W chwili śmierci Noela jej życie gwałtownie przyspieszyło; zmiany następowały tak szybko, że ledwo uporządkowała chaos i odzyskała pewność siebie, a już coś nowego spadało jej na głowę.

*Potrzebuję po prostu trochę czasu, żeby dojść do siebie, pomyślała. Wszystko będzie dobrze.*

– Hej. – Rozradowany Carlo stanął za nią. Wymalowane krwią na twarzy znaki ochronne nadawały mu wygląd barbarzyńcy, przez co mimo uśmiechu wyglądał nieco groźnie. – Byliśmy kiedyś w tym kinie, pamiętasz? Grali tu wtedy *Titanica*.

– Tu zawsze grają *Titanica*.

– To był żart. Coś taka ponura? Wciąż jesteś zła na szamana?

– Trochę – odparła i na szczęście uniknęła dalszych pytań, bo w tej chwili z jednej z sal wyszedł Elisha.

– Wszystko gotowe – powiedział. – Chodźcie.

\*\*\*

Eva usiadła pomiędzy Elishą a Carlem, w przejściu na rozłożonej letniej kurtce. Ciężkie od kurzu kinowe fotele czały się w mroku jak stado ustawionych w karne rzędkie bestii. Dziewczyna przez chwilę próbowała sobie wyobrazić kino sprzed czasów Katastrofy. Jest jasno, bo palą się wszystkie lampy, a nie co trzecia; jest czysto; na ścianach

wiszą plakaty, a nie zetlałe, brudne strzępy; maszynę do popcornu uruchamiają żywi ludzie, nie umarli. I naprawdę można tu kupić popcorn, coca-colę oraz mnóstwo innych rzeczy, które znała tylko z nazwy. Słysząc śmiechy, dziecięce pokrzykiwania i bardziej stonowane rozmowy dorosłych.

Wszystko to brzmiało jak bajka.

Gdy na ekran padło światło, a z głośników popłynął dźwięk, Eva drgnęła. Carlo przysunął się bliżej, objął ją i połaskotał nosem w ucho.

– Nie bądź taka nerwowa. Wszystko będzie dobrze.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak echo jej własnych myśli. *Wszystko będzie dobrze. Musi być.*

Problem w tym, że właśnie teraz, w ciemności, podczas gdy przez ekran przewijała się czołówka programu, Eva coś sobie uświadomiła.

Nie była zła, ponieważ Elisha z powodu własnego tchórzostwa naraził Carla na niebezpieczeństwo.

Była zła, ponieważ czuła się oszukana. Bo odebrano jej coś, co już uważała za swoje. I nic nie mogła na to poradzić, choć tłumaczyła sobie, że nie ma sensu żałować daru, który narażał ją na nieustające ataki umarłych. Powinna współczuć Carlowi, a nie... nie być zazdrosna. Przyszła jej nawet do głowy podła myśl...

*...potrafiłabym to lepiej wykorzystać, on jest zbyt bierny...*

...którą natychmiast stłumiła, przerażona nielojalnością. Przecież kochała Carla i naprawdę się o niego martwiła. Jednak nawet gdy skończyła się czołówka i zaczął właściwy program, Eva pod warstwą ciekawości wciąż czuła rozgoryczenie.

Tymczasem na ekranie pojawił się starszy mężczyzna w białym ubraniu. Obraz był niewyraźny, skakał, co chwila przebiegały przez niego pionowe pasy. Głos się rwał, ale mimo to można było zrozumieć większość słów.

– Śmiertelne zagrożenie czy szansa dla ludzkości? – mówił mężczyzna. – Kim są tajemniczy przybysze? Jeszcze do niedawna było można ich spotkać wyłącznie w książkach SF lub na stronach pulpowych magazynów, teraz ich statki widuje się nad wszystkimi większymi miastami świata. Czego od nas chcą? Czy w razie

zagrożenia będziemy w stanie się obronić? Czy Obcy przynoszą nam nadzieję, czy może zagładę?

– Facet się powtarza... – mruknął Carlo i Eva dała mu kuksańca w bok.

Na ekranie pojawił się napis „Pierwsze spotkania”, a zaraz potem seria migawek. Starszy mężczyzna mówił z przejęciem do kamery: „Wyszedłem przed dom i zobaczyłem tę kulę unoszącą się nad parkiem. Zaraz sobie pomyślałem, że to UFO, i poleciałem po córkę”. I inni w podobnym duchu: „Sąsiad zadzwonił, że coś się dzieje...”, „Byłem przerażony, jakby nogi wrosły mi w ziemię...”, „Żona wołała, żeby uciekać, ale chciałem zobaczyć...”.

Scenki wyglądały bardzo podobnie: dwa, trzy zdania, najazd na twarz i cięcie. To, co ludzie mówili, też zresztą niewiele się od siebie różniło. Strach, zdumienie, wreszcie przemożna ciekawość – wszędzie powtarzały się te same uczucia. Trwało to kilka minut, potem miejsce anonimowych ludzi zajęli wypowiadający się eksperci, podczas gdy za ich plecami migąły kolejne sceny. Zamieszki na ulicach, tłum ludzi zebranych na stadionie i wpatrujących się w niebo rozmodlonym wzrokiem. Stwierdzenia optymistyczne („Gdyby chcieli nas zaatakować, zrobiliby to już dawno”) przeplatały się z pesymistycznymi („Nie możemy im ufać, nawet jeśli nie mają złych zamiarów, same różnice kulturowe między nami mogą doprowadzić do tragedii”). Potem rozległa się dramatyczna muzyka, a przez ekran wielkimi literami przewinał się tytuł programu: *Obcy, nadzieja czy zagrożenie?*

– Myślisz, że w końcu ich pokażą? – zapytał Carlo, a Eva odparła:

– Mam nadzieję.

Miejsce tytułu zajął napis: „Pierwsza wiadomość”.

Tym razem chudy naukowiec przemawiał na tle komputerów. Od czasu do czasu odwracał się od kamery i pochylał nad klawiaturą. Jego tłumaczenia były zawiłe, lecz Evie udało się zrozumieć, że mężczyzna opowiada o tym, jak zdołał rozszyfrować język przybyszy. Wreszcie pojawiło się zbliżenie jednego z komputerowych ekranów, a na nim napis: **CHCEMY POMÓC.**

– To właśnie była pierwsza wiadomość, jaką od nich otrzymaliśmy



– powiedział naukowiec, a w jego głosie dźwięczała satysfakcja. Widocznie należał do tych, którzy od początku wierzyli w przyjazne zamiary Obcych.

W tym momencie Elisha drgnął. Właśnie coś takiego miał nadzieję zobaczyć.

Dalej pojawiło się jeszcze więcej gadających głów. Przemawiały na tle urządzeń pełnych pokręteł i przycisków, a sens ich wypowiedzi ginął w potoku obco brzmiących słów. Zrozumienie utrudniał dodatkowo fakt, że taśma była coraz bardziej zniszczona, obraz podskakiwał jak opętany, a na ekranie pojawiały się i znikwały ciemne plamy. Wreszcie jednak kamera pokazała Obcego. Ta postać, choć tak niewyraźna, była nie do pomylenia. Wysoka, chuda i lekko zgarbiona sylwetka, łysa głowa na wiotkiej szyi i szeroko rozstawione oczy.

Eva sapnęła z wrażenia. Więc Oni naprawdę tak wyglądali. Tym razem najwyraźniej krążące wśród ludzi plotki odpowiadały rzeczywistości.

I znowu gadające głowy. Słowa, słowa i słowa, a w tle nasilający się szum.

– Rozumiecie coś z tego? – zapytał Carlo.

– Oni chyba dostali od Obcych jakąś technologię – odparł Elisha ostrożnie. – A ci eksperci twierdzą, że technika Obcych wcale nie różni się bardzo od naszej, to znaczy jest znacznie bardziej zaawansowana, owszem, ale podstawy są podobne. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Skąd pan to wie?

W mroku Eva wyczuła, że starzec wzruszył ramionami.

– Sporo czytam. To przecież wykształcenie na miarę naszych czasów. Nauka czytania i pisania, a dalej radź sobie, człowieku, sam przy pomocy tego, co znajdziesz na śmietniku cywilizacji.

Ekran poczerniał i przez chwilę panowała cisza. Eva myślała już nawet, że to koniec programu albo że taśma się wreszcie urwała. Za chwilę jednak zobaczyli człowieka zamkniętego w metalowej klatce. Zza kadru dobiegał głos:

– ...czy możemy pozbyć się cech takich jak zawiść, złość czy okrucieństwo? Czy częśćką zła, od wieków obecną w ludzkiej naturze,

można wyizolować?

Obraz znów zaczął gwałtownie skakać, a gdy się uspokoił, ujrzeni człowieka z klatki patrzącego na swojego sobowtóra. Fizycznie mężczyźni niczym się nie różnili, lecz ich twarze miały zupełnie inny wyraz: jedna była łagodnie zdziwiona, na drugiej malowała się furia. Głos zza kadru mówił coś o środkach ostrożności i o energii elektrycznej.

– To duch – szepnął Carlo. – Ten wściekły to duch.

Eva potwierdziła skinieniem głowy. Faktycznie, gdy obraz na ułamek sekundy stał się wyraźny, widać było, że jedna z sylwetek ma rozmyte krawędzie.

Znów pojawiły się krótkie migawki: tłum wrzeszczący przed wysokim budynkiem, transparenty i butelki z benzyną lecące w stronę szeregów umundurowanych ludzi, policjantów czy może żołnierzy.

Potem film urwał się gwałtownie, a Eva, Carlo i Elisha siedzieli dłuższą chwilę w ciemności, czekając na dalszy ciąg, którego nie było.

\*\*\*

– Wygląda na to, że dalej nic konkretnego nie wiemy – powiedziała Eva.

– Nieprawda – zaprotestował szaman. – Wiemy, że Obcy chcieli ludziom pomóc.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Cóż, nie bardzo im wyszło, więc co nam z tego?

Siedzieli na trawie w Villa Borghese, popijając z poobijanych kubków rozcieńczone wodą wino. Słoneczne światło nabrało głębokiej złocistomiodowej barwy, która lada moment miała przejść w czerwień zachodu. Eva roztarła gęsią skórkę na ramionach. Wieczory były coraz chłodniejsze, coraz wyraźniej czuło się w nich nadciągającą szybkimi krokami jesień. Pomimo to dziewczyna wcale nie miała ochoty wracać do domu. Od dawna nie była w parku i zdążyła niemal zapomnieć, jak pięknie tu jest. Pięknie i... dziko. Wypiełgnowane trawniki zarosły chwastami, szerokie aleje zmieniły się w wąskie ścieżki, a pinie, dzikie oliwki i drobnolistne krzewy rozpleniły się

bujnie, tworząc splątany gąszcz, w którym z trudem dawało się dostrzec pozieleniałe od mchu posągi, fontanny i ruiny stylizowane na starożytne.

– Myślę, że to my mogliśmy w jakiś sposób zawinić – odezwał się milczący dotąd Carlo. – Pamiętacie te migawki z końca filmu? Ludzie wrzeszczący na ulicach, że Obcy są niebezpieczni, że trzeba ich zabić, zanim oni zabiją nas? No więc ja myślę, że oni, że... ktoś z nich rzeczywiście to zrobił.

Chłopak mówił z wahaniem, starannie dobierając słowa. Eva wzięła go za rękę. Carlo był nieśmiały, wiedziała więc, z jakim trudem przychodzi mu formułowanie opinii.

– Jeśli tamci zabili kilku Obcych albo chociaż jednego – ciągnął – to pozostali pewnie uznali, że muszą się bronić...

– I poczęstowali nas hurtowo wynalazkiem, który zmienia ludzką naturę na lepsze? – dokończył Elisha.

Carlo skinął głową.

– Nie przewidzieli... nie wierzę, żeby przewidzieli, jakie to będzie miało skutki... Pamiętacie, co się opowiada o Katastrofie? Że maszyny atakowały ludzi, a oni prawie się nie bronili, dawali się zarzynać jak świniaki na wiosnę. Nic dziwnego, skoro byli pozbawieni wszystkich skłonności do przemocy.

– I podczas Katastrofy ludzie widywali swoje sobowtóry – dodała Eva. – To też by pasowało, owszem. Ale w takim razie dlaczego teraz jest inaczej? Mam na myśli, że ludzie są zwyczajni, wcale nie jakoś specjalnie dobrzy, a dopiero kiedy umierają, stają się złośliwi.

– Może to kwestia dawki – zastanowił się Elisha. – W mniejszej ten wynalazek powoduje nieco inne efekty niż w większej. Jesteśmy którymś z kolei pokoleniem, działanie broni Obcych osłabło i dlatego w naszym przypadku to... rozdzielenie następuje dopiero po śmierci. Wtedy ciało umiera razem ze wszystkim, co w człowieku dobre, a to, co złe, zostaje na ziemi, przyciągane przez maszyny. To by dawało nadzieję, że kiedyś ten efekt po prostu wygaśnie i nie będzie więcej duchów.

– Kiedy? – Eva zerknęła na Carla, który już od pewnego czasu siedział zgarbiony, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń. Chciała

mu przekazać część nadziei, jaką żywiła, i osiągnęła przynajmniej tyle, że chłopak na nią spojrział.

– Nie mam pojęcia. Chyba nikt tego nie wie – odparł Elisha i dziewczyna oklapła na moment, zaraz jednak wyprostowała się ponownie. Ścisnęła ramię Carla. W tej chwili zależało jej tylko na tym, żeby go pocieszyć.

– Ale przecież są jeszcze Obcy, prawda? – ciągnęła z uporem. – Skoro ich statki wciąż latają nad Ziemią, to może oni ciągle próbują nam pomóc, naprawić to, co się stało, bo czują się winni.

– W takim razie czemu się ukrywają przed ludźmi? – Carlo parsknął, ale w jego oczach pojawiła się isierka nadziei, którą Eva skwapliwie wykorzystała.

– Bo jednocześnie się nas boją – wyjaśniła. – Już raz przecież im udowodniliśmy, że nie można nam ufać.

Patrząc, jak jej słowa rozdmuchują isierkę w płomień, stłumiła własne wątpliwości. Zepchnęła je w głąb umysłu, pogrzebała, pragnąc, by nigdy nie zmartwychwstały. Chciała cieszyć się nadzieją z Carlem. Dla siebie i przede wszystkim dla niego. Żeby był szczęśliwy.

\*\*\*

Przez pierwszych kilka tygodni rzeczywiście byli szczęśliwi. A przynajmniej tak się Evie zdawało, bo potem, znacznie później, uświadomiła sobie, że już wtedy musiały istnieć pewne oznaki nadciągającego końca. Nie dostrzegała ich, bo nie chciała widzieć.

Tak bardzo się starała i może to właśnie był problem.

Podtrzymywała Carla na duchu, pocieszała i snuła dla niego plany. Każdego wieczoru siadywali na tarasie, trzymając się za ręce, i Eva opowiadała, jak będzie wyglądać ich przyszłość. Wykorzystamy twój dar, mówiła, zobaczysz, na pewno zrobimy to lepiej niż Noel. Jesteśmy młodzi, a przede wszystkim mamy siebie. Zbierzemy ludzi i będziemy walczyć z umarłymi. To będzie trudna wojna, która pewnie się nie skończy za naszego życia, ale my ją zaczniemy i to nas zapamiętają. Będą krążyć o nas legendy we wszystkich miastach

Europy, może nawet ktoś nakręci film – potem, gdy świat znów będzie normalny.

My, nas, nasze – przez cały czas używała liczby mnogiej. Dzięki temu wierzyła, że zawsze będą razem. Pomagało to także pokonać zazdrość, która wciąż wracała, zwłaszcza nocą, gdy Eva leżała w łóżku, słuchając cichego oddechu śpiącego obok Carla, i szeroko otwartymi oczami patrzyła w ciemność. Wówczas przychodziły jej do głowy złe myśli (tak to nazywała: „złe myśli”), które czasem potrafiła zignorować, a czasem nie – wtedy wychodziła na balkon, zapalała papierosa i gasiła go na wewnętrznej stronie nadgarstka. Jedna zła myśl, jedna blizna. Chłopakowi mówiła, że to oparzenia od ogniska, które pomagała rozpalać każdego wieczoru, a on jej wierzył. Już wtedy powinna nabrać podejrzeń, że coś jest nie tak, że jego bezrefleksyjna ufność skrywa w rzeczywistości coraz większą obojętność.

Pomiędzy nimi narastał dystans. Podczas ich wieczornych rozmów Carlo odzywał się coraz rzadziej, wreszcie ograniczył się tylko do kiwania głową, a i wtedy Eva widziała, że wzrok ma odległy, jakby myślami przebywał w zupełnie innym miejscu. Wówczas nie snuła już planów, w których realność sama wierzyła – mówiła po prostu to, co dobrze brzmiało. Prawda z każdą chwilą traciła na znaczeniu, chodziło już tylko o to, by choć na chwilę wywołać emocje na jego twarzy: błysk zainteresowania, ciepły uśmiech, spojrzenie pełne aprobaty.

Nawet tak drobne zwycięstwa przychodziły Evie z coraz większym trudem.

W czasie tych trzech jesiennych miesięcy, gdy ulice Rzymu spływały deszczem, Carlo wskrzesił kilkanaście osób. Było ich niewiele, bowiem nazwisko Nicolodi wciąż jeszcze kojarzyło się bardziej z zadawaniem śmierci niż z przywracaniem życia. Nawet ci, którzy o mocy chłopaka wiedzieli i co więcej – uwierzyli w nią – mieli opory przed przyjściem po pomoc do byłego hotelu Athenaeum.

Za każdym razem, gdy do Carla przynoszono zmarłego, Eva pytała chłopaka, czy na pewno chce to zrobić, a on odpowiadał, że tak, chce – jednak jego oczy zadawały kłam słowom. Dziewczyna wiedziała, że

Carlo robi to wyłącznie dlatego, że uważa, iż powinien, a widok martwych ciał często okaleczonych czy wyniszczonych chorobą budzi w nim wstręt. W tym czasie miały też miejsce dwa zamachy na jego życie – w pierwszym przypadku chłopaka ocalił Morgia, w drugim Eva, która w porę zauważyła dziwny smak ofiarowanego mu wina. Pokłócili się wówczas po raz pierwszy i jednocześnie ostatni. On zarzucał jej, że traktuje go jak małe dziecko, bezsensownie narażając przy tym własne życie, ona z uporem powtarzała, że jest gotowa bronić go pazurami i zębami, a jeśli będzie trzeba, to owszem, nawet umrze.

Dawniej chłopaka pociągała jej pewność siebie i energia, lecz teraz, im bardziej Eva się starała, tym bardziej Carlo zamykał się w sobie. Gdy mówiła o planach (wspólne plany, nasze życie, my, o nas) widziała w jego oczach już nie obojętność, ale bierny opór. I coraz więcej w tym oporze było niechęci. Pod koniec października dziewczyna spędzała już na balkonie długie, samotne godziny, płacząc i zastanawiając się, w którym momencie wszystko poszło nie tak, jak trzeba.

Czasem zdawało jej się, że początek końca nastąpił w chwili, gdy powiedziała: „Zabijmy go teraz, niech wskrzesiciel przywróci mu życie”, a Gianni strzelił choremu starcowi w pierś. To było nic, głupi dowcip, który przypadkiem skończył się śmiercią czterech osób, lecz właśnie wtedy wszystko, co Carlo tak bardzo w Evie kochał – jej energia, jej pewność siebie – zmieniło się na jego oczach w destrukcyjną siłę.

Może chodziło o to. A może Eva po prostu za bardzo się starała.

I w tym okresie istniał także moment najważniejszy ze wszystkich, gdy ufne i optymistyczne: „Wszystko będzie dobrze” przepoczwarzyło się w gorzką świadomość, że jest za późno, by cokolwiek naprawić.

\*\*\*

Carlo wyjechał pod koniec grudnia, w pogodny i chłodny dzień, gdy ulicami przy dźwiękach płynących z wnętrz sklepów kołęd powinni przechadzać się mężczyźni w strojach Świętych Mikołajów. Wcześniej

powiedział Evie o swoim postanowieniu. Zrobił to z osobliwą mieszaniną wstydu, lęku i wyzwania, jakby z góry założył, że będzie musiał stawić czoła potężnej awanturze. Dziewczyna spodziewała się, że Carlo w końcu podejmie decyzję i kiedy wreszcie padły nieuchronne słowa, poczuła niemal ulgę. Tępy, mdlący cios był mimo wszystko lepszy niż szarpiące nerwy oczekiwanie ostatnich kilku tygodni. Postanowiła sobie wówczas, że wbrew temu, czego Carlo się spodziewa, nie będzie prosić, płakać ani histeryzować, i słowa dotrzymała. Powiedziała chłopakowi, że rozumie jego decyzję, choć wcale nie rozumiała, zdobyła się też na kilka uśmiechów, choć sądziła, że odpadną od jej twarzy jak przypięte pinezkami kartoniki. Miała wrażenie, że nosi w sobie kruche naczynie pełne bólu, które stłucze się przy gwałtowniejszym ruchu, poruszała się więc z ociężałą i oszołomioną ostrożnością, po raz pierwszy w życiu kompletnie bez wdzięku, jak ranne zwierzę.

Jej spokój sprawił, że Carlo stał się mniej wyzywający, a znacznie bardziej zakłopotany i skory do tłumaczeń.

– Doszedłem do wniosku, że to, co robił Noel, ma sens – mówił. – Tak naprawdę to jest jedyne logiczne wyjście. Muszę znaleźć Obcych, porozmawiać z nimi i się dowiedzieć, po co dali ludziom dar wskrzeszania. Może spodziewają się po nas czegoś konkretnego? Albo, no nie wiem, uważają, że to wystarczy, żeby nam pomóc, a tak naprawdę mogliby zrobić znacznie więcej... I może zrobią, jeśli tylko z nimi porozmawiam i wszystko wytłumaczę.

– Oni nie mówią naszym językiem.

– Skąd wiesz? Ja myślę, że przez ten czas zdążyli się już nauczyć, zwłaszcza że podobno są od nas mądrzejsi.

– Czyli będziesz jeździł z miasta do miasta, ścigając Obcych. Jak Noel, który podróżował tak przez całe swoje dorosłe życie i nic mu z tego nie przyszło. – Jej głos zabrzmiał płasko niczym automat, tak bardzo wystrzegąca się złości czy rozgoryczenia.

Potrząsnął głową.

– Nie, posłuchaj. Noel popełnił błąd. On wskrzeszał ludzi i w dodatku jeszcze przez cały czas musiał uważać na tych, którzy chcieli go zabić. Ja nie będę nikogo ożywiał, rozumiesz? Nikomu się

nie przyznam, co potrafię. A tutaj, w Rzymie, mało kto o mnie wie, więc uda mi się zgubić trop. Będę bezpieczny i będę mógł się skupić na tym, co najważniejsze. Na szukaniu Obcych.

Gdy powiedział: „Nie będę nikogo ożywiał”, jego twarz wykrzywiła się w wyrazie tak silnej niechęci do samego siebie, że Eva natychmiast zaczęła go pocieszać. Mówiła, że to dobry wybór, że nie powinien czuć się winny, bo jeśli tylko zdoła porozumieć się z Obcymi, będzie mógł zrobić dla ludzi znacznie więcej dobrego niż ożywienie kilkudziesięciu osób.

Tak właśnie się rozstali. On paplająca trzy po trzy i nawet niesłuchająca własnych słów, on zażenowany i rozkojarzony, jednocześnie przerażony tym, co go czeka, i pragnący mieć ten ostateczny krok jak najszybciej za sobą.

Takiego go właśnie zapamiętała: chłopak, który kiwał głową w takt jej słów jak nakręcana zabawka, który miał w dłoniach uchwyt brezentowej torby i z trudem ukrywał, że co chwila zerka na tarczę dworcowego zegara.

\*\*\*

Pierwszą i jedyną wiadomość dostała od Carla dwadzieścia trzy lata później. Przekazywana z rąk do rąk kartka dotarła do niej na początku października, wymiętoszona i wytarta tak, że z trudem dało się rozpoznać poszczególne litery.

Kobieta pochyliła się i poruszając ustami, z mozołem odczytała nagłówek.

*Do Ewy, mieszkającej w dawnym hotelu Athenaeum. Dzwonił Carlo Nicolodi z Lucerny, dnia siódmego lipca. Wiadomość zapisana przez Domiziano, który odebrał telefon.*

Wyprostowała się i potarła kark, który bolał ją na deszcz. Od pewnego czasu odczuwała w kościach każdą zmianę pogody. Poza tym nie mieszkała już w Athenaeum, a nawet nie używała imienia



Eva, bo jej obecny mężczyzna wolał nazywać ją Eveliną. Nic dziwnego, że kartka wędrowała do niej trzy miesiące. To cud, że w ogóle dotarła.

Kobieta czytała dalej.

*Statki Obcych nie poruszają się w sposób chaotyczny. Jest w tym pewien schemat, który rozszyfrowałem. Wiem, gdzie zjawią się następnym razem, i wiem, gdzie zjedzą nad ziemię tak nisko, że będę mógł spróbować do któregoś z nich wsiąść. I zamierzam to zrobić. Jeśli choć trochę Ci na mnie jeszcze zależy, życz mi powodzenia.*

\*\*\*

– Schemat, wspomniał o schemacie – powtórzyła, pakując Elishy do ust kolejną łyżkę zupy. – Wiesz, co to znaczy, prawda?

Starzec wymamrotał coś niewyraźnie i strużka ciepłego płynu pociekła mu po podbródku. Wytarła ją zręcznie szmatką. Zaatakowane przez zaćmę oczy byłego szamana błędziły po pokoju, jakby czegoś szukając, wreszcie zatrzymały się na twarzy kobiety i wtedy przemknęło przez nie coś, co uznała za błysk zrozumienia. Błysk, który zgasł niemal w tej samej chwili, gdy się pojawił. Elisha poruszył ustami, a ona nadstawiła uszu, lecz jedyne, co usłyszała, to: „Jeszcze zupy”.

Zaciskając wargi w wąską kreskę, sięgnęła do talerza. Ręka lekko jej drżała; dłoń i trzymana w niej łyżka wydawały się zamglone, jakby patrzyła na nie przez zaparowaną szybę.

Kobieta zamrugała, pozbywając się spod powiek łez, które spłynęły po policzkach.

\*\*\*

W tym samym czasie Carlo unosił się na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, uwięziony we wnętrzu srebrzystej kuli niczym Jonasz w brzuchu podniebnego wieloryba.

Mężczyzna umierał z pragnienia.

Woda tu była, wiedział o tym doskonale. Słyszał jej szum, ciurkanie i kapanie, lecz gdy szedł w stronę źródła dźwięków, zastawał tylko pustą przestrzeń. Suchą przestrzeń. To oni się z nim drażnili. Automaty, mechanizmy, które widywał czasem, jak przed nim umykają.

To znaczy widywał je dawniej, bo teraz, na wpół ślepy, potrafił jedynie pełzać w srebrzystej jasności. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Jasność była gorąca, w kolorze rozświetlonego lodu. Wypalała mu suche oczy, nad którymi nie domykały się powieki, język, spuchnięty i sztywny jak kawałek drewna, sterczał groteskowo z rozchylonych ust, wargi pękały i krwawiły. Carlo płakał gęstą, ciemną krwią, pocił się nią, a nawet usiłował lizać, lecz nie potrafił niczego przełknąć, bo na jego gardle zacisnęła się żelazna obręcz. Jedna na gardle, druga na głowie, rozgniatająca czaszkę niczym dorodny orzech.

Pełzał tam i z powrotem, pragnąc, aby już nastąpił koniec, aby tamci go zabili, zamiast się z nim bawić. Od czasu do czasu przez jego zamroczony umysł przesuwwały się rozmazane myśli.

*...statki Obcych nie poruszają się w sposób chaotyczny...*

*...pociągi, odkąd przejęli je umarli, jeżdżą idealnie według rozkładu jazdy...*

*...eksperci twierdzą, że technika Obcych wcale aż tak bardzo nie różni się od naszej...*

Nawiedzone pociągi zatrzymują się na stacjach, choć nikt tam nie czeka, drzwi się rozsuwają, choć nikt nie wysiada, ani nie wsiada. A nawiedzone srebrzyste kule od czasu do czasu zawisają tuż nad ziemią i to właśnie dzieje się pewnego dnia. Wówczas skurczony i szerniały Carlo pełźnie w stronę zachęcająco otwartego wjazdu, po czym wypada na zewnątrz, na ciężką od wilgoci ziemię, wprost w chłodne, jesienne powietrze.

Patrzy, jak srebrzysta kula unosi się nieśpiesznie, siejąc wokół srebrzystym blaskiem. Wie, że umiera; instynkt nakazuje mu jeszcze przewrócić się na brzuch i przytknąć wargi do chłodnej ziemi, lecz osiąga tylko tyle, że czuje odrobinę ulgi. Odwraca głowę.

W polu jego widzenia pojawia się rozmazana czerwona plama. Zbliża się, Carlo słyszy nawet jakby słowa. Dziecko, to jest dziecko, dziewczynka w szkarłatnej sukience, podchodząca do niego z mieszaniną ciekawości i lęku. Może być złudzeniem, jak wiele rzeczy, które wcześniej widział, ale tak czy inaczej, musi to zrobić.

Całą resztkę sił, jakie jeszcze mu zostały, wkłada w kilka ostatnich ruchów: unieść się na łokciach, wyciągnąć rękę i chwycić dłoń dziewczynki.

Dziecko stoi w strudze światła, martwy człowiek leży niedaleko, a matka już nadbiega z twarzą wykrzywioną paniką.

\*\*\*

Nieważne, czy siedzieliśmy w pomieszczeniu pełnym ludzi, czy tylko we dwoje w dopiero co otwartym klubie, Ania zawsze dyskusję o swoich lub moich tekstach zaczynała od niemal tego samego zdania: „Jak będziesz miał chwilę, to chciałabym pogadać”. Inne kwestie, pierdoły, omówienia lektur, filmów, żarty czy życiowe refleksje szły jakoś z marszu, ale rozmowa o tekstach zawsze zaczynała się od tego wstępu. Od przygotowania do rozmowy. To była (jest?) pierwsza cecha szczególna Ani w tym temacie.

Druga? Ania niemal nigdy nie streszczała pomysłów na opowiadania, by zapytać, czy to jest dobre.

Co innego pytania researchowe. Do dziś pamiętam, jak rzuciła Michałowi i mnie temat: pomysł na neoszermierkę. Coś takiego jak w *Diunie*, niby współcześnie, ale trochę retro. No i dumaliśmy, ulepszaliśmy Michałowy pomysł, a potem machaliśmy rękami, udając, że rzeczywiście w tym wymyślonym stylu walczymy, a Ania przyglądała się, notowała, by potem – w stosownym momencie – użyć. Ten akurat pomysł wykorzystwała potem w *Przedksiężycowych*, ale nie było to oczywiście ani pierwsze, ani najzabawniejsze z jej pytań. To, które do dziś bawi mnie najbardziej, wiąże się właśnie z omawianym tu tekstem.

*Cmentarzisko potworów* jest opowiadaniem do antologii, czyli na zamówienie. Zleceniodawcą była Agencja Wydawnicza RUNA, a chodziło o tekst do *Księgi strachów*, opasłego dwuksięgu, którego motywem przewodnim był strach. O ile pamiętam, Ania Brzezińska, wydawca i zarazem znakomita pisarka, tak tłumaczyła nam założenia: „To nie mają być koniecznie horrory, chodzi o samo uczucie, o próbę poznania go, zmierzenia się z nim. O odpowiedź nie tylko na pytanie: «Czego się boisz?» ale też: «Dlaczego się boisz, skąd się ten strach bierze?»”.

Czasu było dużo, więc dumaliśmy. I oto pewnego dnia Ania przychodzi do klubu i informuje mnie, że musi ze mną porozmawiać. A potem, gdy już znaleźliśmy chwilkę i przysiedliśmy w jakimś kącie, powiedziała: „Potrzebuję wyczarować potwora spod łóżka. Czego do

tego potrzebuję?”.

Wbrew pozorom pytanie było całkiem rozsądne i skierowane do właściwej osoby, w tym okresie interesowałem się bowiem iluzją i Ania o tym wiedziała, więc zrozumiałem, że o to właśnie jej chodzi. Jak wyczarować potwora za pomocą prostej sztuczki iluzjonistycznej, a nie zaklęć czy rytuałów. Ale sami przyznacie, brzmiało zabawnie, nie?

Powiedziałem jej, że potrzebuje świateł, dymu i luster oraz na ile umiałem – czyli umówmy się, nie jakoś rewelacyjnie – wyjaśniłem, po co jej te właśnie elementy. Potem Ania, niczym sprawny montażysta sklejający scenę łóżkową do filmu z niską kategorią wiekową, poskładała to tak, by nie zdradzać tajemników, ale zasugerować, że zna się na rzeczy. I tyle, widziałem jeszcze później – tydzień, dwa po tej rozmowie – ową gotową scenę, powiedziałem, że jest OK, i od tamtej pory więcej już o tekście nie słyszałem, aż do czasu, gdy był gotowy.

A potem dostałem opowiadanie. Były w nim echa Priestowsko-Nolanowskiego *Prestiżu*, była iluzja, czyli nauka funkcjonująca swobodnie obok prawdziwej magii, były lustra, był dym i ciemne korytarze. Nade wszystko był jednak klimat i epoka, w której Ani wyjątkowo do twarzy. Nostalgiczne, noirowe lata trzydzieste, podejrzanе biura – pocięte na równe pasy światłem neonu, wpadającym przez okno zasłonięte żaluzją, bohater, który śmierdzi tanim bourbonem i praca stanowczo nie do odrzucenia. Takiego klimatu nie powstydziliby się klasycy czarnego kryminału, nie pogardziłby nim też Lawrence Block czy Elmore Leonard. James Ellroy mógłby się skrzywić, ale on już podobno taki jest, że się krzywi na wszystko. Zresztą jeśli wybaczycie dygresję, do dziś sądzę, że gdyby Ania tylko chciała, zjadłaby na dwa gryzy większość autorów kryminałów w naszym kraju. Ale widać nie chce i coraz dalej od tego odchodzi. Chcę wierzyć, że robi słusznie. Już nie raz i nie dwa udowodniła, że umie podejmować odważne i przemyślane decyzje i wie, dokąd podąża.

Wracając jeszcze na moment do myśli przewodniej antologii – nie wiem, czy Ania zmierzyła się w *Cmentarzysku potworów* z własnym strachem, czy kiedykolwiek naprawdę bała się potworów spod łóżka,

ale gdzieś mimochodem odpowiedziała na jedno z najważniejszych zagadnień w tym temacie: a co, jeśli boisz się... słusznie?

## Cmentarzysko potworów

Wiatr jęczał i uderzał o ściany niczym gigantyczne cierpiące zwierzę. Przy każdym silniejszym podmuchu powtarzał się ten sam schemat – najpierw przeciągły świst, gdy powietrze pędziło pustymi korytarzami, potem łomotanie luźnego zamka u drzwi gdzieś na pierwszym piętrze, a w końcu posępne, głucho wycie w kominie. Czasem do odgłosów dołączało migotanie lampy na stole.

– Czy w dzieciństwie bał się pan strachów?

– Słucham?

– Wie pan, potwory pod łóżkiem albo w szafie, tego typu sprawy. Bał się pan ich?

Zacisnąłem pod stołem dłoń w pięści. Nie chciałem udzielić prawdziwej odpowiedzi – nikomu nic do tego, czego bałem się w dzieciństwie. Chciałem udzielić odpowiedzi, dzięki której dostanę pięć tysięcy dolarów.

Świst wiatru, łomotanie zamka, wycie w kominie.

– Większość dzieciaków czegoś się boi – odparłem dyplomatycznie.

Duwayne (dokładnie tak było napisane na wizytówce – nie Dwayne, ale Duwayne) C. Noonan posłał mi spojrzenie pełne uznania. Był potężnym mężczyzną – ważył ze dwieście pięćdziesiąt funtów albo nawet więcej i ledwo mieścił się za stołem. Ramiona miał grube jak uda niejednego człowieka, szyję krótką, a głowę okrągłą niczym plażowa piłka. Nosił szyty na miarę garnitur, na palcach połyskiwały ciężkie złote sygnety. Miałem wrażenie, że malująca się na jego twarzy dobroduszość jest szczerą. Duwayne C. Noonan szedł przez życie przyzwyczajony, że ludzie odruchowo ustępują mu z drogi. Mógł sobie pozwolić na dobroduszość.

Kolejny podmuch, kolejna sekwencja dźwięków. Lampa na stole zamrugwała, zgasła i po chwili zapaliła się na powrót.

Raz jeszcze zacisnąłem dłoń w pięści, a potem je rozluźniłem. Noonan podszedł do mnie po kolejnym niezbyt udanym występie i zapytał, czy chciałbym zarobić pięć tysięcy dolarów. Oczywiście

chciałem, więc dał mi wizytówkę i polecił zgłosić się o dziewiątej wieczorem pod wskazany adres. Dlatego właśnie siedziałem teraz w pomieszczeniu, które wyglądało na zaniedbane biuro, słuchałem wycia wiatru i czekałem, aż mój potencjalny pracodawca przejdzie do rzeczy.

– A czy kiedykolwiek pragnął pan, aby role się odwróciły? Jednym słowem, czy kiedykolwiek chciał pan zostać potworem?

Następne pytanie, na które znałem odpowiedź prawdziwą, ale nie znałem właściwej. Sięgnąłem po szklanę i upiłem łyk, zyskując w ten sposób chwilę na zastanowienie. Boże, błogosław prohibicję, pomyślałem przy okazji. Polubiłem whisky dokładnie wtedy, gdy zabroniono jej sprzedaży. Wcześniej, gdy odmawiałem wypicia alkoholu, większość mężczyzn natychmiast traciła do mnie szacunek.

Wróciłem myślami do mojego rozmówcy. Na drzwiach, a także na wizytówce, widniało tylko nazwisko i napis „Biuro”, jakby wszyscy doskonale wiedzieli, kim Duwayne C. Noonan jest i w jakim biurze pracuje. Ja nie wiedziałem, co wprawiało mnie w zły humor.

Świst, łomotanie zamka, wycie wiatru w kominie... Rankiem policja znajdzie kilka trupów. W takie noce dziwki dziurawią nożami swoich klientów, a gangsterzy chętniej niż kiedykolwiek sięgają po broń. W takie noce wszystkim puszczają nerwy.

Na twarzy Noonana pojawił się wyraz lekkiego zniecierpliwienia i zorientowałem się, że powinienem wreszcie odpowiedzieć.

– Cóż... – Zawiesiłem głos, desperacko pragnąc zyskać jeszcze kilka sekund.

Choć nie jestem mentalistą, przeważnie łatwo odgaduję, czego ludzie ode mnie chcą. Teraz szło mi gorzej, bo za bardzo się denerwowałem, że mogę stracić taką okazję.

– Potrzebuje pan tych pięciu tysięcy – powiedział Noonan, pochylając się w moją stronę.

Stół zaprotestował skrzypnięciem, lampa znów zgasła i nim na powrót się zapaliła, zdążyłem odzyskać beznamiętny wyraz twarzy. Mój rozmówca trafił w dziesiątkę – naprawdę bardzo potrzebowałem tych pieniędzy.

– Jest pan iluzjonistą, i to nie najgorszym, ale ostatnio jakoś się



panu nie wiecie. Za dużo alkoholu, mam rację?

Nie miał racji, lecz mimo to potwierdziłem. Wolałem, by sądził, że moje kłopoty mają związek z pićciem. Mężczyźni – zwłaszcza tacy jak Duwayne C. Noonan – rozumieją pijaków, a nawet traktują ich z podszytą rozbawieniem sympatią.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytałem i tym razem były to właściwe słowa, bo Noonan uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Słyszał pan o Danie Pastorinim?

Skinąłem głową. Pastorini był gangsterem – jednym z tych, o których wszyscy doskonale wiedzą, czym się zajmują, a policja wciąż nie może znaleźć na nich haka.

– Pastorini ma dwoje dzieci, Harveya i Marcję. Chcę, żeby zamieszkał pan w jego domu i za pomocą swoich sztuczek nastraszył te dzieciaki. Pięć tysięcy za pięć nocy straszenia.

Zamrugąłem, zdziwiony.

– I do tego potrzebny jest panu iluzjonista? Dziecko można przestraszyć bardzo łatwo, wystarczy podkraść się do jego łóżka w nocy i złapać za kostkę...

– To nie takie proste. Chłopiec ma dwanaście lat i nie da się nabrać na coś takiego. Poza tym w pokoju obok sypia opiekunka, a ja nie życzę sobie, żeby pana przyłapała. Aha, i najważniejsze: nie wystarczy tylko trochę pohłasować, dzieci muszą tego potwora zobaczyć. Pańska głowa w tym, jak pan to zrobi.

Spojrzał na mnie, najwyraźniej czekając, aż niemądrze zapytam, po co to wszystko. Nie zapytałem.

Uśmiechnął się z aprobatą, po czym wyjął z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru i ją rozprostował.

– Potwór powinien wyglądać mniej więcej tak.

Rysunek był zrobiony węglem albo bardzo grubym ołówkiem – nie znam się na tym. Przedstawiał trójgłową maskarę z błoniastymi skrzydłami i sześcioma pazurzastymi łapami. Tułów i dwie głowy zostały naszkicowane dość niedbale, tylko trzecia, środkowa i największa, była dopracowana. Zwierzę miało wypukłe, okrągłe ślepie i pysk pełen ostrych zębów. Można było odnieść wrażenie, że się uśmiecha, takim dziwnym, na wpół ludzkim, na wpół zwierzęcym

uśmiechem, który kryje jakiś sekret. Chimera? Sfinks? Hydra? Powinienem bardziej uważać na lekcjach, pomyślałem.

– To nie będzie proste... Potrzebowałbym luster i figurki potwora, którą w lustrach można by powiększyć. Muszą być ruchome, żebym mógł ustawić je pod właściwym kątem... – Zamilkłem, pełen wątpliwości. – Tego nie da się zrobić.

– Owszem, da się. Pomiędzy głównym korytarzem a pokojem, w którym śpią dzieci, jest coś w rodzaju małego przedsionka. Tam można wstawić lustra, a w nocy zrobi pan z nimi, co zechce. Poradzę sobie – zapewnił, widząc moją sceptyczną minę. – Powiedzmy, że w domu Pastoriniego jest ktoś, komu ufam i kto może to dla mnie zrobić.

– I nikt niczego nie będzie podejrzewał? Nikogo nie zainteresuje, skąd te lustra się wzięły i po co?

Duwayne C. Noonan roześmiał się.

– Nie zainteresuje, daję słowo. Wystrój wnętrz to ostatnie, o czym myśli Dan Pastorini. W jego domu jest mnóstwo pokoi i mógłbym się założyć, że facet nie ma pojęcia, co znajduje się w połowie z nich.

– A dzieci? Albo opiekunka?

– Dziewczynka jest jeszcze mała, a chłopiec nigdy się nie interesował magicznymi sztuczkami, więc jeśli nawet zdziwi się, że przybyło kilka lusterek, to się tym nie przejmie, a już na pewno nie skojarzy tego z potworem. Opiekunką też nie musi się pan martwić.

To brzmiało zbyt dobrze, aby było prawdziwe. Noonan musiał coś przegapić, a ja wiedziałem, że powinienem odmówić.

Z drugiej strony kusilo mnie pięć tysięcy dolarów. Bardzo kusilo.

Noonan patrzył na mnie z zachęcającym uśmiechem.

– Proszę tylko powiedzieć, czego pan potrzebuje, a ja wszystko załatwię.

\*\*\*

Wróciłem do domu, zaparzyłem mocną kawę i z kubkiem w ręku usiadłem przy stole.

Moje mieszkanie jest dokładnie takie, jakie powinno być. Ciche,

chłodne i ciemne. Rzadko sprzątam, pozwalając pająkom pleść w kątach sieci. Nie przeszkadzają mi. Nie mam radia ani gramofonu, czasem tylko z dolnego piętra dobiegają dźwięki muzyki, gdy moja sąsiadka katuje na skrzypcach Schuberta. W powietrzu wisi zapach kurzu, który kojarzy mi się przyjemnie, nie z zaniedbaniem, lecz ze spokojem.

Dlaczego Duwayne C. Noonanowi (kimkolwiek jest) zależy na nastraszeniu dzieci Dana Pastoriniego? – zastanawiałem się, popijając gorzki, ciemny jak tropikalna noc napój.

Najpierw przyszło mi do głowy, że to może mieć coś wspólnego z interesami Pastoriniego. Być może Noonan liczył, iż zajęty nocnymi lękami swoich pociech Pastorini będzie mniej przewidujący i w ten sposób stanie się łatwym łupem dla konkurencyjnego gangstera.

To nie miało sensu. Wątpiłem, by Pastorini jakoś szczególnie przejął się koszmarami syna i córki. Zajmowanie się takimi problemami należało do matki lub wynajętej opiekunki.

Potem rozważałem możliwość, czy przypadkiem owo straszenie nie ma być czymś w rodzaju ostrzeżenia skierowanego pod adresem ojca. Dan Pastorini naraził się wielu ludziom i możliwe, że pokazany na rysunku potwór miał dla niego jakieś szczególne znaczenie. Ale i to założenie wydawało mi się błędne.

To mógł być po prostu okrutny żart, tyle że ja nie wierzę w żarty za pięć tysięcy dolarów.

Przed kilkoma laty, gdy jeszcze miałem w domu radio, przypadkiem trafiłem na słuchowisko, w którym żądny spadku wnuczek tak długo udawał przed dziadkiem ducha, aż przerażony starzec zmarł na serce. Głupie skojarzenie. Straszne dziecko może zacząć sikać do łóżka, ale przecież nie dostanie zawału.

Podniosłem się i wstawiłem pusty kubek do zlewu. Wiedziałem, że chwilowo nic mądrego nie wymyślę.

\*\*\*

Zgodnie z zapewnieniami Noonana pracę w domu Pastorinich miałem załatwioną. Zostałem pomocnikiem dozorca, który z wiekiem osłabł

i teraz potrzebował kogoś młodszego, kto będzie wykonywał za niego cięższe prace. Mój bezpośredni przełożony, Mitch Swink, okazał się miłym, choć dość roztargnionym staruszką. Przyjął mnie serdecznie i na szczęście nie zadawał żadnych pytań. Mieszkał w maleńkiej stróżówce na terenie ogrodu. Było tam niewiele miejsca, więc ja miałem spać w dużym domu, w pokoiku na drugim piętrze. Ucieszyło mnie to – gdybym zamieszkał z dozorcą, miałbym nocą utrudniony dostęp do sypialni dzieci.

Wszystko szło tak gładko, tak bezproblemowo, że w pewnej chwili ogarnęły mnie złe przeczucia. Zdusiłem je, uznając, że w końcu ja też zasługuję na odrobinę fartu.

W małym pokoiku, który w myślach już nazywałem „moim”, rozpakowałem walizkę. Położyłem piżamę na poduszce – składając ją w kostkę, dokładnie tak, jak nauczyła mnie matka – kaptcie wsunąłem pod łóżko, dwie dodatkowe pary butów ustawiłem obok drzwi, a ubrania powiesiłem w szafie. Na nocnym stoliku położyłem jeszcze książkę, tę ulubioną, którą mogę czytać o każdej porze dnia i nocy.

Miałem jeszcze inne rzeczy, ale tych nikt nie powinien widzieć, więc zostawiłem je w walizce, sprytnie ukryte pod fałszywym dnem.

Byłem gotów.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Chcesz obejrzeć dom? – zapytał Swink, wsuwając bez zaproszenia głowę do środka.

Siwe włosy zawadiacko spadały mu na oczy ukryte za okularami w okrągłych oprawkach, dzięki czemu trochę przypominał sympatycznego naukowca z książek dla dzieci.

Ruszyliśmy na obchód domu. Na parterze znajdowała się kuchnia, trzy salony oraz „sala taneczna”, którą ja osobiście nazwałbym po prostu salą balową.

Nie znam się na wystroju wewnątrz ani na architekturze i dlatego nie potrafię powiedzieć, w jakim stylu zaprojektowano te pomieszczenia. Wiem tylko, że ten styl wydał mi się osobliwy. Na jasnych białych, różowych albo żółtych ścianach wymalowano gigantyczne irysy. Nie same główki, jak zrobiłby to przeciętny malarz, lecz całe kwiaty wraz z liśćmi i łodygami. Łodygi wiły się i splatały, tworząc

skomplikowane wzory. Żaden się nie powtarzał, każdy był oryginalny, jedyny w swoim rodzaju. W niektórych oknach zwyczajne szyby zastąpiono witrażami. Na pozór układ kolorowych szkiełek wydawał się chaotyczny, ale im dłużej na nie patrzyłem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że musi być w tym jakiś sens. Za każdym razem, kiedy już-już miałem je uchwycić, rozwiązanie gdzieś mi umykało. To było irytujące, coś jak słowo na końcu języka albo widziany kątem oka obraz, który znika, gdy człowiek się odwróci. Rozboleła mnie od tego głowa i poczułem się nieswojo. Nie podobał mi się ten dom. Był za jasny, zbyt duży i pusty; gdy przechodziłem przez olbrzymi hall, zmusiłem się, żeby iść środkiem, a nie skradać się pod ścianami. Przypomniał mi się widziany niegdyś obrazek – stojąca na słonecznej polanie sarna, a w krzakach myśliwy ze strzelbą. Niemądra myśl – nawet jeśli hall rzeczywiście trochę przypominał tamtą polanę, to przecież w malowanym gąszczu kwiatów nikt nie mógłby się ukryć.

Na pierwszym piętrze znajdowały się sypialnie państwa Pastorinich, apartamenty gościnne oraz to, co interesowało mnie najbardziej, czyli pokój dziecięcy – tak wielki, że zmieściłoby się w nim całe moje skromne mieszkanie. Należał do dwojga dzieci, ale był zdecydowanie bardziej chłopięcy niż dziewczęcy. Rękawice bokserskie, kije do hokeja, trzy wiatrówki, składane modele samolotów i zaczytane komiksy o przygodach Cienia – wszystko to z pewnością było własnością Harveya, nie Marcii. Tylko w kącie, na małym łóżeczku, kuliło się kilka lalek. Miały sztywne, mocno wykrochmalone sukienki i nienaturalnie duże oczy, które nadawały ich twarzom wyraz lęklivego zdumienia.

– Pan Pastorini kocha swoje dzieci – powiedział Swink.

To proste zdanie zabrzmiało tak, jakby w rzeczywistości znaczyło coś więcej. Zmarszczyłem brwi.

– Bardziej kocha chłopca niż dziewczynkę, prawda? – zapytałem, ostrożnie badając grunt.

Swink milczał, a kiedy już straciłem nadzieję, że mi odpowie, odezwał się zupełnie nie na temat.

– Wiesz, że pani Marylou jest drugą żoną pana Pastoriniego?

Wcześniej był żonaty ze swoją kuzynką, która przyjechała ze starego kraju. Biedaczka kiepsko mówiła po angielsku, ale była piękna i miała dobry gust. To ona wybrała ten dom. Pan Pastorini uwielbiał ją, a kiedy pół roku temu umarła, wszyscy myśleliśmy, że pięknie mu serce. Pan Pastorini jest dobrym człowiekiem, wbrew temu, co mówią o nim ludzie.

Milczałem dyplomatycznie. Człowiek, który pół roku po śmierci ukochanej żeni się ponownie – i to z kobietą o imieniu Marylou – nie zasługuje moim zdaniem na miano dobrego.

– Pan pochodzi ze starej rodziny – kontynuował Swink. – W hallu nad drzwiami wisi herb, możesz go zobaczyć, jeśli zadrzesz głowę. Kiedyś byli bardzo bogaci, a potem zbiednieli i dopiero pan Pastorini przywrócił nazwisku dawną świetność.

Omam się nie roześmiałem. Handel przemycanym alkoholem jako metoda na przywrócenie świetności podupadłej rodzinie?

Jeśli wcześniej czułem do staruszka odrobinę sympatii, to właśnie ją straciłem. Siwowłosy dozorca okazał się sentymentalnym głupcem. Mnie nie obchodziła ani miłość Pastoriniego do zmarłej żony, ani dawna chwała jego rodziny. Ja miałem zadanie do wykonania.

Rzuciłem okiem na lustra, które wisały w przedsionku, dokładnie tam, gdzie powinny być. I które były dokładnie takie, jakie powinny być. Duwayne C. Noonan dobrze się spisał. Przy okazji stwierdziłem, że rozwiązał się jeden z problemów – do tej pory martwiłem się, że będę musiał nosić ze sobą źródło sztucznego światła, ale teraz zauważyłem, że w korytarzu jest okno, przez które nocą będzie wpadać blask księżyca. Właśnie miała nastąpić pełnia.

Ten fakt wzmógł mój niepokój.

Jak to mówią? Zbyt wiele szczęścia to zły omen.

Z największym trudem po raz kolejny udało mi się odsunąć tę myśl.

\*\*\*

Do piątej zdążyłem przetkać zapchaną rynnę, a potem zabrałem się do łatania dziury w ogrodzeniu. Ogród wyglądał ponuro, jak zresztą wszystko o tej porze roku. Nie cierpię przedwiośnia. Nic jeszcze nie

zakwitło, lecz śnieg zdążył już stopnieć, odsłaniając brejowatą warstwę zgniłych liści i trawy. Niebo było szare, pozbawione śnieżnej kołdry drzewa i krzewy sprawiały wrażenie nagich i bezbronnych. Dobrze przynajmniej, że nie wiało.

Kłęcząc na wilgotnej ziemi, operowałem przy siatce cążkami, gdy do ogrodzenia podeszły dwa dogi niemieckie. Stały w niewielkiej odległości i gapiły się na mnie z ciekawością. Znieruchomiałem, zaniepokojony. Po chwili cmoknąłem zachęcająco. Większy pies – chyba samiec – od razu powąchał podstawioną dłoń, a później pozwolił się pogłaskać. Suka była mniej ufna, wahała się przez chwilę, lecz wkrótce poszła w ślady towarzysza.

Mimo potężnych rozmiarów dogi wydawały się zdumiewająco łagodne. Nie miałem pojęcia, po co właściwie Pastorini je trzyma, bo na psy obronne nie bardzo się nadawały. Może odstraszać miał sam ich groźny wygląd?

Gdy kończyłem łątać siatkę, wróciły dzieci wraz z opiekunką. Usłyszałem za plecami hamujący na podjeździe samochód, a potem odgłosy rozmowy. Pochyliłem się, udając, że wciąż pilnie pracuję, mimo że nie miałem już nic do zrobienia.

Na szczęście ani opiekunka, ani dzieci nie zwróciły na mnie uwagi.

Godziny dzielące wieczór od nocy wlokły się niemiłosiernie. Zabijałem czas, ćwicząc karciane sztuczki, a potem czytając ulubioną książkę. Wiedziałem, że narażam się w ten sposób na opinię odludka, ale szczególnie mnie to obchodziło.

Koło dziesiątej znów usłyszałem odgłos hamującego na podjeździe samochodu. Podeszedłem do okna – tym razem do domu wrócił Pastorini wraz z żoną. On był przysadzistym mężczyzną o kwadratowych ramionach i nieciekawej twarzy, ona wysoką blondynką, której wyzywająca uroda od razu przywodziła na myśl nocne życie kabaretów.

Wieczorem chwycił lekki przymrozek i na podjeździe było ślisko. Marylou Pastorini potknęła się, uczepiła ramienia męża i zachichotała. Wyglądała na niezbyt trzeźwą. On podtrzymał ją z pobłażliwym uśmiechem na twarzy, a gdy wreszcie złapała równowagę, poklepał po ramieniu, tak jak klepie się lubianego, lecz

zbyt natarczywego psa.

Potem Pastorini ruszył w stronę domu, a żona podążyła za nim, chwiejąc się na wysokich obcasach. Zawołała – przez szybę nie słyszałem dźwięku, widziałem jedynie jej usta układające się w duże O – lecz mężczyzna nie zaczekał.

Marylou Pastorini przystanęła. Rozpięte futro opadało jej do połowy ramion, z lewej dłoni zwieszała się na złotym łańcuszku zdobiona perłami torebka. Światło latarni padało wprost na twarz pani Pastorini. Kobieta nie wydawała się już tak wyzywająca jak przed chwilą – teraz pod warstwą grubego makijażu wyglądała po prostu na zmęczoną i zrezygnowaną.

Przez chwilę rozważałem teorię złej macochy, która z zazdrości o miłość męża dręczy pasierbów nocnymi strachami. Była to jakaś myśl, choć, prawdę powiedziawszy, plan, który polecono mi wykonać, wydawał się zbyt wyrafinowany i skomplikowany jak na kobietę pokroju Marylou Pastorini.

\*\*\*

Czas na przedstawienie.

O trzeciej w nocy wstaję cicho z łóżka. Godzina jest odpowiednia, ta pora tuż przed brzaskiem, gdy ciemność jest najgęstsza, a sen najgłębszy. Świt zbliża się wielkimi krokami, lecz dzieci, które o tej porze są wyrywane ze snu przez koszmary, patrzą przerażonymi oczami w mrok i nie wierzą, że poranek kiedykolwiek nadejdzie.

To właśnie trzecia jest godziną duchów, nie północ.

Skradam się cichutko w stronę dziecięcego pokoju. W jednej ręce trzymam figurkę potwora, w drugiej – parę składanych statywów. W moich szerokich kieszeniach spoczywa kilka lusterek, których potrzebuję do wykończenia maszynerii.

Równie cicho otwieram okno, a potem wchodzę do przedsiionka. Rozstawiam lustra – doskonale wiem, co robić, więc praca idzie mi sprawnie. Naciskam kłamkę i delikatnie popycham drzwi dziecięcego pokoju. Sprawdziłem wcześniej, czy zawiasy są dobrze naoliwione, więc mam pewność, że nie skrzypną w najbardziej niewłaściwym



momencie.

Chłopiec ma równy, spokojny oddech; w gardle dziewczynki bulgoce flegma. Dziecko odkasłuje ją co jakiś czas, przewracając się niespokojnie z boku na bok.

Wszystko jest gotowe, więc drapię w futrynę, żeby obudzić małych śpiochów.

Ten dźwięk także wcześniej wypróbowałem. Jest wystarczająco niepokojący, a jednocześnie na tyle cichy, że z pewnością nie zaalarmuje nikogo poza dziećmi.

Od strony łóżka dziewczynki dobiega szelest zsuwającej się na podłogę kołdry. Jęczą sprężyny, gdy Marcia siada.

– Harvey? – pyta cicho, niepewnie, a potem głośniejsze i bardziej płaczkowo: – Harvey, słyszysz to?

– Tak, słyszę. To tylko wiatr.

Wiatr, akurat! – myślę sobie. Jakby wiatr mógł skrobać w futrynę!

Domyślam się, jak to wygląda w wyobraźni dzieci: na progu siedzi skrzydlate monstrum, jedna z głów kołysze się miarowo niczym łeb kobry przed atakiem, sześć oczu lśni czerwonym blaskiem.

Oto potwór, który przyszedł was schrupać.

Słyszę dźwięk powietrza gwałtownie wciągane do płuc, a potem chrypliwy odgłos dławienia się flegmą. Serce na moment staje mi w piersi i rusza dopiero wtedy, gdy słyszę dziecięcy wrzask. Po chwili do siostry dołącza chłopiec.

– Lisa! – krzyczy. – Lisa! Chodź tu! Szybko!

Widać, że bardzo stara się nie wpaść w panikę, i widać, że nie bardzo mu to wychodzi.

Po chwili chaotycznych wysiłków zapala nocną lampkę.

Uśmiecham się w ciemności. Przewidziałem to, więc mój potwór stoi dokładnie na granicy, tam gdzie się zaczyna mrok. Tak naprawdę przeszkodzić mogłoby mi dopiero zapalenie głównego światła, lecz włącznik znajduje się przy drzwiach, a ja nie sądzę, by któreś z dzieci odważyło się do nich podejść.

Z pokoju opiekunki słychać metaliczny brzęk spadającego na podłogę budzika – zgaduję, że to budzik. Za chwilę Lisa nadciągnie z odsieczą.

Pora związać przedstawienie.

Robię to sprawnie i szybko, lecz nie nerwowo. Mniejsze lusterka chowam do kieszeni, większe odstawiam z powrotem pod ścianę. Składam statywy i chwytam potwora.

– Co się dzieje? Czemu tak wrzeszczycie? – rozlega się zaspany głos i szczęk zamka wewnętrznych drzwi, które łączą pokój dziecięcy z pokojem opiekunki.

Odchodzę cicho i bez pośpiechu, pewien, że minie trochę czasu, nim opiekunka dogada się z dziećmi, a potem wyjrzy na korytarz. Okno zostawiam otwarte – jeśli ktoś chce, niech myśli, że potwór właśnie wtedy dostał się do domu.

\*\*\*

– Potwór! – Ciemnowłosa Oretta przeżegnała się nabożnie. Kucharka Pastorinich była dość młoda i nawet ładna, ale czasem zachowywała się jak karykatura zabobonnej włoskiej matrony. – Potwór w naszym domu!

– To tylko dziecięce koszmary. – Lisa wgrzyzała się mocnymi zębami w chleb. – Potwory nie istnieją.

Kobiety obdarzyły się nawzajem pełnym politowania spojrzeniem. Opiekunka gardziła kimś, kto był na tyle głupi, by w potwory wierzyć, a kucharka kimś, kto był na tyle głupi, by w nie nie wierzyć.

Lisa wytarła z talerza resztki jajka, a potem sięgnęła po ciastko z galaretką. Nie miałem pojęcia, jak komuś, kto tyle je, udaje się zachować szczupłą figurę. Wrzucała w siebie ciastka łapczywie, a jednocześnie z roztargnieniem, zupełnie jakby się śpieszyła na pociąg i myślami już siedziała w wagonie. Była typem zdrowej amerykańskiej dziewczyny, rozsądnej i pełnej energii. Chodziła, jakby świat należał do niej, i mówiła, jakby zawsze miała rację.

Nie lubiłem jej.

Sięgnąłem po gazetę. Na pierwszej stronie widniała wiadomość o śmierci Jimmy'ego Nieto oraz Sarchiellego Juniora zwanego Lupo, których zwłoki znaleziono w samochodzie tuż za miastem. Samochód był podziurawiony kulami, ciała zresztą też. Zamieszczono nawet

zdjęcie, ziarniste i niewyraźne, na którym było widać lincolna z rozbitą szybą i otwartymi drzwiami. Na zewnątrz wystawało coś, co wyglądało na obutą w elegancki trzewik stopę.

Nie miałem najmniejszego zamiaru pytać, kim byli zamordowani i czy mieli cokolwiek wspólnego z Danem Pastorinim. Po prostu zwinąłem gazetę, cisnąłem ją do pieca i postanowiłem, że dopóki przebywam w tym domu, nie będę czytał prasy.

\*\*\*

Po południu uległem pokusie.

Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, że to błąd. Lecz cóż, jestem tylko słabym człowiekiem.

Poszedłem do ogrodu, by zerknąć na bawiące się dzieci.

Marcia siedziała na skrzypiącej huśtawce, opatulona w kilka warstw ciepłej odzieży, które czyniły ją podobną do puchatego misia. Huśtała się leniwie. Obok stał Harvey, grzebiąc patykiem w rozmięklej ziemi. Wyglądał na znudzonego. Po chwili odszedł w stronę stawu, a dziewczynka podreptała za nim jak niezgrabny psiak.

Obserwowałem ich przez dłuższą chwilę. Najpierw chłopiec uczył siostrę puszczać kaczki na wodzie, potem poszedł do domu po piłkę. Rzucił tak, by mała miała szansę ją złapać, i Marcia najwyraźniej bawiła się dobrze, Harvey jednak wciąż wyglądał na znudzonego. Cała jego postawa, wszystkie gesty i mimika świadczyły o tym, że uważa tę zabawę za dziecinną i znizował się do niej tylko i wyłącznie z dobrej woli. Był wobec siostry opiekuńczy, lecz w sposób, który mi się nie podobał. Tak jakby nieświadomie domagał się uznania, jakim to jest wspinałym, dojrzałym i odpowiedzialnym starszym bratem.

Zachichotałem na myśl, jak też młody Pastorini poradzi sobie z moim potworem.

\*\*\*

Odoczywałem, czytając moją książkę, gdy ktoś energicznie zapukał do drzwi.

– Proszę.

Spodziewałem się Mitcha Swinka, ewentualnie któregoś z pokojówek, jednak ku mojemu zdumieniu do pokoju wszedł Pastorini. Wystraszony, usiadłem na łóżku. Dobrze, że miałem na tyle przytomności umysłu, by odłożyć książkę tytułem w dół. Lepiej, żeby Pastorini nie wiedział, co czytam.

– Jesteś nowym pomocnikiem Mitcha, prawda? – zapytał, po czym wymienił moje nazwisko, które, o dziwo, wymówił prawidłowo, choć ze złym akcentem.

Potwierdziłem.

– Potrafisz prowadzić samochód?

Ponownie skinąłem głową. Byłem zbyt oszołomiony, żeby zdobyć się na inną reakcję.

– Masz coś przeciwko temu, żeby przez kilka dni pełnić obowiązki szofera? I tak nie masz zbyt wiele pracy. Oczywiście zapłacę dodatkowo.

– Pan przecież ma szofera – mruknąłem.

– Miałem – powiedział swobodnie Pastorini. – Zniknął wczoraj wieczorem, gdy się dowiedział o śmierci Lupa i Jimmy’ego. Źle go oceniłem, mój błąd. Nie sądziłem, że jest tchórzem.

– Ja także jestem tchórzem.

– Wiem. – Uśmiechnął się, a ja odniosłem wrażenie, że rzeczywiście wie. – Ale to nie ma znaczenia. Jak już mówiłem, jeździłbyś tylko kilka dni.

– Nie nadaję się...

Uniósł rękę, a ja natychmiast zamilkłem.

– Nie chcę, żebyś był moim ochroniarzem. Od tego mam innych ludzi. Często mi towarzyszą, ale myślę, że chwilowo nie będę ich potrzebował. W najbliższym czasie nic się nie stanie.

– Nie rozumiem... – wybąkałem. Wcale nie chciałem, aby Pastorini wprowadzał mnie w szczegóły swoich interesów. Im mniej wiedziałem, tym byłem bezpieczniejszy.

– Papa Vogel zabił dwóch moich ludzi, a ja jestem wystraszony –

powiedział uśmiechnięty, rozluźniony Dan Pastorini. – Tak wystraszony, że chcę się z papą dogadać i mam nawet pomysł, gdzie i kiedy możemy to zrobić. Trzeba tylko dopracować szczegóły. Jak więc widzisz, w ciągu kilku najbliższych dni papa nie będzie miał powodów, aby mnie atakować.

Uwierzyłem bez zastrzeżeń, a mimo to wciąż nie byłem pewien, czy się zgodzi. Nie chciałem wchodzić w jakiegokolwiek ścisłe kontakty z domownikami, a zwłaszcza z dziećmi lub ich ojcem. Powinienem być potworem, a nie przyjacielem domu. Z drugiej strony nudziłem się w rezydencji, w której często nie miałem nic do roboty (moja praca jako pomocnika Swinka okazała się w dużym stopniu fikcją, bo staruszek z większością obowiązków dawał sobie radę sam). Praca szofera rozerwałaby mnie, a jednocześnie – dzięki szybkiej oddzielającej kierowcę od pasażerów – zapewniła odrobinę prywatności.

– Potrzebuję tylko kogoś, kto zawiezie mnie do klubu, a potem po mnie przyjedzie – dodał Pastorini. – No, może czasem zabierzesz też moją żonę na zakupy albo dzieci do kina. Nic więcej.

Wolno skinąłem głową, mając nadzieję, że nie będę tego żałował.

\*\*\*

Noc druga. Tym razem zaczynam nieco wcześniej, bo z zachodu nadciągają chmury, które lada moment przesłonią księżyc.

Wszystko powtarza się jak poprzednio, z tą różnicą, że Lisa reaguje nieco szybciej. Oczywiście na to także jestem przygotowany. Prawdziwe kłopoty są jeszcze przede mną. Zaczną się, gdy ktoś wpadnie na to, by zostawić w korytarzu zapalone światło lub gdy przerażone dzieci, zamiast zasnąć, będą czuwać i nie daj Boże, usłyszą moje ostrożne kroki.

Albo – i to jest najgorsza możliwość – gdy Pastorini zdecyduje się przenieść na noc do pokoju dzieci. Mam szczerą nadzieję, że jego ojcowska troska nie sięga tak daleko. Boję się tego człowieka. Doceniam siłę woli emanującą z jego na pozór nijakiej twarzy i wiem, że jest zdolny do wszystkiego.

Na przykład do tego, by zabić potwora.

\*\*\*

Później wyrzucałem sobie, że sam tego nie spostrzegłem i to, co najważniejsze, musiała mi wskazać osoba, którą pogardzałem.

Marylou Pastorini, ta bezmyślna i nieszczęśliwa kobieta o urodzie lalki.

Zawołała mnie, gdy przechodziłem przez hall.

– Potrzebuję samochodu – powiedziała, niecierpliwie tupiąc obcasami przed głównym wejściem. – Jak najszybciej.

A potem, zamiast zgodnie z logiką pozwolić mi odejść, bym mógł wyprowadzić z garażu auto, skinęła dłonią. Chcąc nie chcąc, podszedłem bliżej.

Wyciągnęła rękę, wskazując wiszący nad drzwiami rodowy herb.

– Robi wrażenie, prawda? – Zachichotała. – Jest jak najbardziej prawdziwy, nie myśl sobie.

Widocznie spodobało jej się osłupienie na mojej twarzy, bo obdarzyła mnie pełnym zadowolenia uśmiechem.

Zgodnie z życzeniem zawiozłem ją najpierw na Michigan Avenue, potem do Searsa. Przez cały czas paplała z ożywieniem. Opowiadała mi o drodze, którą przebyła – od ekspedientki w domu towarowym, poprzez występy w podrzędnych kabaretach, aż do żony bogatego człowieka, w domu którego nad drzwiami wisiał herb.

Kiwałem głową, odpowiadając co najwyżej krótkimi pomrukami.

Odniosłem wrażenie, że pani Pastorini nudzi się w złotej klatce, jaką zafundował jej mąż. Odniosłem wrażenie, że brakuje jej dawnej swobody i że chętnie odnowiłaby stare znajomości – głównie po to, by pobalować z koleżankami, a przy okazji pochwalić się, jak jej się powiodło. Odniosłem wrażenie, że Marylou nie kocha męża, ale jednocześnie boi się go utracić i że ten niepokój coraz bardziej daje się jej we znaki.

Nic mnie to nie obchodziło.

Przeżywałem katusze, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu. Przez cały czas myślałem o wiszącym nad drzwiami herbie.

Koło trzeciej Marylou Pastorini wreszcie zdecydowała, że ma wszystko, czego potrzebuje. Odetchnąłem z ulgą. Po powrocie musiałem jeszcze tylko odprowadzić samochód do garażu, a potem udałem się do hallu.

Dom był cichy – Pastorini miał wrócić dopiero wieczorem, dzieci wraz z opiekunką poszły do pobliskiego parku, a pani Pastorini wypoczywała w swoim pokoju (podejrzewałem, że ten odpoczynek polegał na popijaniu słodkiego sherry, ale to w tej chwili było bez znaczenia).

Jeśli miałem to zrobić, teraz była najbardziej odpowiednia pora. A gdyby przyłapał mnie Mitch Swink lub któraś z pokojówek, wymyślę jakieś wyjaśnienie.

Poszedłem po drabinę, ustawiłem ją przed drzwiami i wspiąłem się na najwyższy szczebel.

Herb rodziny Pastorinich przedstawiał zakutego w zbroję rycerza, który pokonuje potwora. Patrząc z dołu, miałem jeszcze wątpliwości, teraz zyskałem pewność. Konające monstrum niewątpliwie było tym samym, które pokazał mi na obrazku Noonan i którym co noc straszylem dzieci.

– Co pan robi?

Drgnąłem, drabina zachybotała się, a mnie serce skoczyło do gardła. Zamarłem w bezruchu.

– Co pan robi? – rozległ się jeszcze raz cienki dziecięcy głosik.

Idź sobie, powiedziałem w myślach. Idź sobie stąd. Tu nie ma nic ciekawego.

– Co tam jest? – Marcia nie dała za wygraną.

– Herb – wymruczałem i po chwili dodałem głośniejszym głosem. – Taki obrazek. Oglądam go sobie.

– Ładny?

– Nie bardzo.

Mała straciła zainteresowanie herbem, ale najwyraźniej nie zamierzała odejść. Pech. Nie mogłem tkwić na drabinie i czekać, aż jej się znudzi. Lada moment ktoś pojawi się w hallu.

– Myślałem, że jesteś w parku – powiedziałem, schodząc na ziemię.

– Nie mogłam iść, jestem chora.

Rzeczywiście, w płucach wciąż brzydko jej chrypiało. Zakaszłała.

– W takim razie nie powinnaś być w łóżku?

Wzruszyła ramionami.

Wcześniej widziałem ją tylko z daleka, i to opatuloną po uszy, tak więc dopiero teraz mogłem docenić, jak bardzo jest ładna. Miała ciemne włosy, czarne jak węgielki oczy i słodką buzię aniołka. Była też poważna i jakby smutna, i to bardziej po dorosłemu niż po dziecięcemu.

– Co pan będzie teraz robił?

– Pewnie pójdę do siebie i trochę poczytam.

– Mogę iść z panem? Nudzi mi się, jak jestem sama.

– Nie możesz. – Nie czułem się w obowiązku być grzeczny dla sześciolatki.

Przez chwilę wyglądała na jeszcze bardziej smutną, a potem ku mojemu zdziwieniu dygnęła.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziała, odwróciła się i odeszła.

Przyznaję, że mnie zatkało. Takie dziewczynki widywałem tylko w kinie. Dobrze wychowane, miłe i nietracące nad sobą panowania. Bardziej przypominały miniaturowych dorosłych niż prawdziwe dzieci. Były produktem sztucznym, efektem pracy reżysera i zapotrzebowań widowni. Nie istniały naprawdę.

Nieistniejąca naprawdę dziewczynka rzuciła mi przez ramię badawcze spojrzenie czarnych jak węgielki oczu. Wciąż wyglądała na smutną.

\*\*\*

Mój potwór!

Nie krzyknąłem tego głośno. Oczywiście, że nie. Mam swój rozum. Lecz gdy brałem do rąk zniszczoną figurkę, w środku wszystko we mnie wrzeszczało. Metalowy grzbiet stwora był wygięty tak, że tworzył pętlę, jedna z głów (ta ruchoma, osadzona na sprężynie, do której przywiązywałem żyłkę) niemal dotykała ogona. Brakowało oczu, po których zostały osmalone dziury.

Kucałem przy otwartej walizce, kołysząc się na piętach. Czułem, jak



zimna dłoń strachu wślizguje mi się pod skórę gdzieś w okolicy karku, potem pełźnie w stronę serca i dalej w dół, by zacisnąć długie kościste palce wokół żołądka.

Ktoś odkrył mój sekret i komuś bardzo nie spodobało się to, co robię.

Dzieci? Czy to mogły być dzieci, a ściślej biorąc, ów pozujący na odpowiedzialnego starszego brata chłopak? Czy zniszczył figurkę na życzenie czarnookiej, zbyt grzecznej i zbyt smutnej siostry?

Przygryzłem dolną wargę. Dorosły człowiek – bardzo silny człowiek – zdołałby zgąć metalowemu potworowi grzbiet, lecz dziecko z pewnością nie dałoby rady tego zrobić.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma, a do Noonana będę mógł zadzwonić dopiero o dziesiątej. Obiecał mi, że każdego dnia o tej porze będzie pod telefonem, w razie gdybym miał jakieś pytania lub wątpliwości. Albo kłopoty.

Na razie jednak powinienem pojechać po Pastoriniego. Już byłem spóźniony, schowałem więc zniszczoną figurkę do walizki i z ciężkim sercem sięgnąłem po płaszcz.

\*\*\*

Podczas jazdy od czasu do czasu zerkałem niespokojnie w lusterko, łowiąc spojrzenie mojego pracodawcy. Bałem się, że to właśnie on odkrył i okaleczył mojego potwora – w każdym razie był chyba jedyną osobą w domu, która miała na to wystarczająco dużo siły. Z drugiej jednak strony, gdyby Pastorini dowiedział się, że straszę jego dzieci, to przecież nie bawiłby się w niszczenie metalowej figurki, tylko po prostu wyrzuciłby mnie z domu. Otwarta konfrontacja, a nawet pobicie byłyby o tyle lepsze, że przynajmniej wiedziałbym, na czym stoję. A tak nie miałem pojęcia, o co może chodzić tajemniczemu ktosiowi. O zemstę? Chciał mnie nastraszyć, tak jak ja straszyłem dzieci? W tym, jak potraktował mojego potwora, było coś paskudnie złośliwego, co przyprawiało mnie o dreszcze.

Pastorini uchwycił w lusterku moje spojrzenie i uśmiechnął się lekko. Szybko odwróciłem wzrok. Czym było to, co kalalo przód jego

śnieżnobiałej koszuli? Zauważyłem plamę już wcześniej, gdy rozpiąłem płaszcz, wsiadając do samochodu, z początku jednak uznałem, że to ślad po winie albo tłustym sosie. Teraz nabrałem pewności, że to krew – jej intensywny, ciężki i mdły zapach wciskał mi się w nozdrza i do gardła, dławił i splatał żołądek w ciasny supeł. Spływałem potem, było mi duszno i niedobrze, bolały zaciśnięte na kierownicy palce...

Krew. Gęsta, purpurowa i zawieszona. Od dzieciństwa mdlałem, gdy tylko ją zobaczyłem bądź poczułem.

Skupiłem się na tym, by patrzeć na drogę, a także na tym, by oddychać równomiernie. Wdech, wydech. Pastorini spoglądał na mnie w lusterku. Miał oczy takie same jak córka – bardzo duże i bardzo ciemne. Odniosłem wrażenie, że plama na jego koszuli powiększa się, z każdą chwilą wydzielając coraz bardziej intensywną woń.

Zahamowałem na podjeździe i wyskoczyłem z samochodu jak oparzony.

– Dobrze się czujesz? – Wysiadłszy, Pastorini zapiął płaszcz.

Odpowiedziałem coś niezrozumiale. Panika minęła i wcale już nie byłem pewien, czy mój pracodawca rzeczywiście miał krew na koszuli. A jeśli nawet, to co mi do tego?

\*\*\*

– Halo? Pan Noonan? Proszę posłuchać... Stało się coś dziwnego.

Bałem się dzwonić z domu, poszedłem więc do najbliższego drugstore'u. Od strony jeziora nadciągnęła mgła i szyby wyglądały jak oblepione watą. Przyciskałem słuchawkę do ucha, starając się mówić szeptem, choć sprzedawca i tak nie zwracał na mnie uwagi. Gawędził poufale z jedyną prócz mnie klientką, długonogą blondynką, która siedziała na wysokim stołku i od czasu do czasu pociągała przez słomkę oranżadę. W żółtym, przyćmionym świetle ich konwersacja wyglądała bardzo intymnie – niemal odnosiło się wrażenie, że za chwilę zaczną się całować, a potem wylądują na długim sosnowym blacie.

Czułem się dziwnie i głupio, a przede wszystkim byłem wystraszony niczym zgoniony przez myśliwskie psy królik.

Po drugiej stronie linii zachichotał Duwayne C. Noonan. Czy mi się wydawało, czy istotnie usłyszałem w jego głosie nutkę zadowolenia?

– Niech się pan nie martwi – powiedział protekcjonalnie. – Ta zniszczona figurka nie ma znaczenia. Najważniejsze, że on się boi. Oczywiście ma pan przy sobie kopię?

– Mam...

– Znakomicie. Jeśli i ona zostanie zniszczona, proszę jutro podjechać pod zakład Schericka. Poleciałem mu wykonać jeszcze kilka figurek według tego samego wzoru. Może je pan odebrać o dowolnej godzinie... I proszę się nie kłopotać zapłatą, to na mój koszt.

Milczałem, usiłując opanować chaos w głowie. Noonan wiedział, że mam zamiar na wszelki wypadek zamówić dwa potwory, a nie jednego; ba, to on właśnie polecił mi zakład Schericka jako najlepszy w mieście. Po co jednak za moimi plecami kazał zrobić więcej kopii? Czyżby przewidział, że figurki będą systematycznie niszczone przez... no właśnie, przez kogo?

Odchrząknąłem z trudem. Suche, ściśnięte gardło bolało, jakbym próbował przepchnąć przez nie garść gwoździ.

– Panie Noonan? Ja... mam wątpliwości... Zastanawiam się, czy nie zrezygnować.

W słuchawce usłyszałem krótki suchy dźwięk, ni to pogardliwe parsknięcie, ni to urwany śmiech.

– Robi pan w spodnie, bo ktoś zniszczył figurkę? Czy po prostu chce pan więcej pieniędzy? O to chodzi?

– Nie... Ja po prostu... Myślę, że nie mówi mi pan wszystkiego.

– Niech pan nie będzie dziecinny. Oczywiście, że nie mówię wszystkiego, tylko dokładnie tyle, ile powinien pan wiedzieć. A teraz niech pan wraca i zajmie się swoją robotą.

\*\*\*

Noc trzecia.

Tym razem straszę i sam się boję, jestem potworem i zarazem jego ofiarą.

Mimo to ów conocny rytuał wciąż sprawia mi przyjemność.

Wszystko idzie jak po maśle, bez żadnych kłopotów. Co prawda Marcia prosiła, by zostawić na korytarzu zapalone światło, lecz Lisa – niechaj Bóg da jej długie życie – odmówiła, nazywając dziewczynkę małą strachajłą. Poza tym Harvey budzi się zaskakująco szybko, a ja podejrzewam, że nie śpi, tylko drzemie.

Nieważne. Dopóki dzieciaki krzyczą ze strachu, wszystko inne nie ma znaczenia.

Moja idealna publiczność.

Gram na nich jak na klarncie, całkowicie panując nad sytuacją. Nareszcie! Żadnych więcej par obściskujących się w ostatnim rzędzie, żadnego rozpraszającego widownię chrupania cukierków, żadnych chichotów i wścibskich oczu, które są gotowe zauważyć przetarcia na moim fraku i moją treść.

Iluzję zawsze uważałem za sztukę, nie za tanią rozrywkę, i to stało się moim przekleństwem. Pragnąłem uczynić z pokazu nabożeństwo, coś w rodzaju misterium zdumienia i lęku przed niezwykłym. Tymczasem ludzie, którzy przychodzili na moje występy, spodziewali się głupich żartów i mieli nadzieję, że w przejściu uda im się poklepać po tyłku moją asystentkę. Nic dziwnego, że nie przepadałem za nimi, a oni, wyczuwając niechęć, rewanzowali się chichotami w najzupełniej nieodpowiednich momentach i absolutnym brakiem dyscypliny.

To prawda, nie jestem człowiekiem stworzonym do stania w blasku reflektorów. Znacznie lepiej czuję się w ciszy, w ciemności. Od dawna marzyłem, by poprowadzić pokaz zza kulis, panując nad wszystkim, a jednocześnie samemu nie będąc widzianym.

Jak teraz.

\*\*\*

Kilka godzin dzielących mnie od poranka spędziłem, na przemian budząc się i zasypiając. Zaręczam, że ani razu nie zasnąłem na dłużej niż kilkanaście minut, a i wtedy mój sen był bardzo lekki.

Niemniej jednak, gdy rankiem sięgnąłem do walizki, zobaczyłem, że kolejna figurka została zniszczona.

Siedziałem na łóżku, tępo wpatrując się w wygięty w pałąk grzbiet i poczerniałe oczodoły.

Pociłem się jak mysz w garnku z zupą. Przysięgam, obudziłbym się, gdyby ktoś wszedł do mojego pokoju, a tym bardziej, gdyby ów ktoś wyciągnął spod łóżka walizkę i zabrał się do niszczenia mojego potwora.

Ze strachu zrobiło mi się niedobrze, podszedłem więc do wiszącej w narożniku pokoju umywalki i ochlapałem twarz zimną wodą. W lustrze wyglądałem upiornie – miałem skórę bladą niczym świeżo wyciśnięty ser i wytrzeszczone, przekrwione oczy.

Muszę wziąć się w garść, postanowiłem, jeszcze tylko dwa dni i koniec, dostanę pieniądze i będę mógł wrócić do siebie. Nieważne, co się dzieje w tym domu.

Gdzieś z dołu dobiegło trzaśnięcie gwałtownie zamykanych drzwi, a potem dziecięcy krzyk i odgłosy awantury. Wyszedłem na korytarz, wychyliłem się przez poręcz i zerknąłem na podest pierwszego piętra. Rozzłoszczony Harvey obejmował siostrę ramieniem, a przed nimi stała twarda niczym głaz Lisa.

– Nie, nie zostawię w korytarzu zapalonego światła i nie, nie pozwolę wam spać ze mną. To wstyd, taki duży chłopak, a boi się nocnych strachów.

Harvey uniósł wyzywająco brodę, przez co wyglądał zupełnie jak miniaturowa kopia ojca. Jeszcze kilka lat i też będzie budził w ludziach lęk, pomyślałem.

– To nie ja się boję, tylko moja siostra, a ona nie chce spać beze mnie. Możemy pójść do jednego z pokoi gościnnych, jeśli tak bardzo przeszkadza ci nasze towarzystwo.

– Pokoje gościnne są dla gości, a nie dla małych, strachliwych dzieci. – Lisa parsknęła lekceważąco. – Macie nocne koszmary, to nic niezwykłego w waszym wieku. Następnym razem, gdy zobaczycie tego potwora, to po prostu zamknijcie oczy i liczcie do stu, a przekonacie się, że sobie pójdzie.

– Nie jestem dzieckiem. – Harvey zacisnął usta. – Ojciec mówi, że kiedy skończę dwanaście lat, to będę prawie dorosły. Inni chłopcy nie są jeszcze w takim wieku dorośli, ale ja będę, bo jestem Pastorinim.

Lisa roześmiała się i ten śmiech w jednej chwili zmiotł z twarzy chłopca udawaną obojętność.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął, tupiąc nogą. Usta wykrzywiły mu się do płaczu i wcale nie przypominał już ojca. – Nienawidzę, nienawidzę! Chcę, żebyś umarła!

Dziewczynka przez cały czas milczała, przytulona do brata. Jej ciemne, wielkie i wilgotne oczy jakby badały twarz Lisy cal po calu.

Wtem drgnęła, odwróciła się i spojrzała prosto na mnie.

Cofnąłem się gwałtownie.

Marcia oderwała się od brata i zaczęła wspinać się po schodach, najwyraźniej zmierzając w moją stronę. Zatrzymała się w odległości kilku kroków. Była blada, niewyspana, wymęczona. Ręce zwisały jej luźno wzdłuż tułowia i garbiła się, jakby dźwigała na plecach ciężar.

Cofnąłem się w głąb mojego pokoju i nie zaprotestowałem, gdy dziewczynka poszła za mną.

– Słyszałem, że masz nocne koszmary – powiedziałem.

Pokręciła głową. Jej wzrok padł na łóżko i wtedy ja też to dostrzegłem. O Boże, co ze mnie za idiota, nie powinienem był pozwalać jej tu wejść.

Na łóżku leżała zniszczona figurka potwora.

Zamarłem ze zgrozy, lada moment spodziewając się krzyku, płaczu, a potem – w naturalnej konsekwencji – Pastoriniego wyrzucającego mnie na zbity pysk.

Nic takiego się nie stało. Marcia wzięła figurkę w ręce. Patrzyła na nią ze smutkiem, ale bez śladu lęku czy zdziwienia. Pomyślałem z nadzieją, że może dziewczynka jest za mała, żeby ją skojarzyć z nocnymi strachami, być może dla niej była to tylko zepsuta zabawka, nic więcej.

– Trzeba go pochować – powiedziała.

– Hę? – Cholera, powinienem dostawać dziesięć dolców ekstra za każdą minutę rozmowy z tym dzieckiem.

– Powinniśmy go pochować – powtórzyła cierpliwie. – W piwnicy, tam gdzie jest miejsce innych nieżywych potworów. Na cmentarzysku.

– Posłuchaj. – Wyjąłem jej figurkę z ręki, a potem delikatnie

popchnąłem dziewczynkę w stronę drzwi. – W piwnicy nie ma żadnego cmentarzyska i w ogóle nie ma żadnych potworów. One nie istnieją.

Spojrzała na mnie... nie, nie z wyższością. W jej wzroku dostrzegłem smutek, a zarazem wyrozumiałość. Patrzyła tak, jak mądra babcia mogłaby patrzeć na pakującego się w kłopoty wnuczka. Jeszcze się przekonasz, mówiły jej oczy. Potwory naprawdę istnieją.

\*\*\*

Tego popołudnia czas płynął powoli. Próbowałem znaleźć sobie jakieś zajęcie – najpierw ćwiczyłem różne drobne sztuczki i choć takie ćwiczenia zazwyczaj mnie uspokajają, dziś poczułem się jeszcze bardziej podenerwowany. Trochę czytałem, potem gapiłem się w okno, sam nie wiedząc, co właściwie spodziewam się zobaczyć, a jeszcze później zdecydowałem się zejść do ogrodu.

Lodowaty wiatr przeganiał po niebie kłęby niebieskoszarych chmur. Sunęły szybko, rzucając na ziemię rozczapierzone cienie o dziwacznych kształtach. Od czasu do czasu zza chmur wyglądało słońce. Tego dnia nawet ono wydawało się zimne niczym plasterek zamarznętej cytryny. Mimo to w powietrzu czuło się nadchodzącą wiosnę, a ja w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że lubię taką pogodę i że w innej sytuacji pewnie bym się nią cieszył.

Nawet tutaj, w ogrodzie, nie potrafiłem pozbyć się lęku. Kusiała mnie otwarta furтка, przez którą mógłbym wyjść na ulicę, a potem iść dalej, do własnego mieszkania.

Uniosłem głowę i w jednym z okien ujrzałem Dana Pastoriniego. Stał bez ruchu, patrząc na mnie. Odwróciłem się i z prowokacyjną niedbałością ruszyłem w stronę furtki. Położyłem dłoń na żelaznej klamce, pociągnąłem i dopiero wtedy obejrzałem się.

Pastorini nadal tkwił w oknie. Z tej odległości jego twarz była tylko rozmazaną plamą, ale mógłbym się założyć, że jej wyraz nie zmienił się ani na jotę i mężczyzna wciąż patrzy na mnie z powagą. Bynajmniej nie miał zamiaru zbiec na dół i próbować mnie zatrzymać.

Westchnąłem, zamknąłem furtkę i zawróciłem w stronę domu. Powinienem się cieszyć – udowodniłem przecież, że mogę stąd odejść w każdej chwili. A jednak dręczyło mnie dziwaczne poczucie przegranej – zupełnie jakbym, sam o tym nie wiedząc, stoczył bitwę i jakby zwyciężył w niej ten właśnie człowiek, który przez cały czas nie wykonał nawet jednego gestu.

\*\*\*

Tym razem przyjechałem pod klub trochę wcześniej. Raz, że po wczorajszym spóźnieniu wolałem dmuchać na zimne, a dwa, że panująca w domu atmosfera nerwowego rozgardiaszu działała mi na nerwy. Nazajutrz Harvey kończył dwanaście lat i wszyscy, począwszy od najmłodszej służącej, a skończywszy na Mitchu Swinku, zajmowali się wyłącznie rozwieszaniem urodzinowych dekoracji, na które nie mogłem już patrzeć. Mdliło mnie na ich widok.

Stałem na dworze, kuląc się z zimna, podczas gdy srebrzystobiała mgła opływała moje kolana. Nie chciałem wchodzić do środka, zresztą domyślałem się, że lokal, który widziałem przez szybę, jest tylko przykrywką. Prawdziwy klub zaczynał się głębiej i nie każdego tam wpuszczano. Od czasu do czasu przy chodniku hamowały taksówki, z których wysiadały grupki rozbawionych ludzi. Znikali gdzieś w czeluściach domu, zupełnie jakby połykał ich biblijny wieloryb. Żadnego z nich nie widziałem później w tej spokojnej, niemal pustej i wyraźnie obliczonej na pokaz sali, przy oknie której stałem.

Przycisnąłem czoło do szyby, z trudem znajdując miejsce, skąd mogłem dostrzec najodleglejszy kąt. Tam właśnie siedział Pastorini w towarzystwie trzech mężczyzn. Nie znałem ani jasnowłosego młodzieńca o nordyckiej urodzie, ani barczystego typu z kartoflanym nosem. Rozpoznałem za to trzeciego człowieka, którym był Duwayne C. Noonan.

Ludzie papy Vogla? – zastanawiałem się, przypominając sobie słowa Pastoriniego o „dopracowaniu szczegółów”. Gdybym częściej czytał gazety, możliwe, że bym to wiedział.



Wstrzymałem oddech – z ich gestów wywnioskowałem, że o coś się kłóca. Najostrzejsza wymiana zdań toczyła się pomiędzy Pastorinim a Kartoflanym Nosem, Duwayne i Jasnowłosa wtrącali się rzadko.

Stałem w dość nienaturalnej pozycji, więc po chwili rozbolał mnie kark. Wyprostowałem się i poruszyłem głową, rozluźniając mięśnie.

Noc była parszywie zimna, ale piękna; mgła płynęła ulicą niczym srebrzysta rzeka, a księżyc w pełni wisiał tak nisko, iż zdawało się, że można po niego sięgnąć z dachu sąsiedniego budynku.

Odetchnąłem, obserwując obłoczek pary, który wypłynął z mych ust.

– Czemu nie wejdzie pan do środka?

Odwrociłem się.

Duwayne C. Noonan stał z rękami w kieszeniach i kapeluszem nasuniętym tak głęboko na oczy, że niemal całą twarz skrywał głęboki cień. Widziałem tylko podbródek i rozciągnięte w uśmiechu usta.

Rozejrzałem się płochliwie, ale na szczęście nigdzie w pobliżu nie dostrzegłem Pastoriniego. Źle by było, gdyby zauważył, że rozmawiam z jego wrogiem.

Nie odpowiedziałem, a i Noonan chyba wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– Dziś nie będzie mnie przy telefonie, więc jeśli ma pan jakieś pytania czy wątpliwości, to proszę mówić teraz.

Odwrociłem się do niego plecami i wbiłem wzrok w księżyc. Miałem nadzieję, że jeśli Pastorini wyjdzie zaraz na zewnątrz, to w ten sposób będziemy z Noonanem wyglądać stosunkowo niewinnie – po prostu czekający przy samochodzie szofer i mężczyzna, który wyszedł się przewietrzyć.

– No więc? Ma pan pytania? – dobiegł mnie z tyłu cichy, zaprawiony odrobiną kpiny głos.

– Mam prośbę.

– Słucham.

Na dachu przeciwległego budynku pojawił się czarny kot. Przeciągnął się, wygiął grzbiet w pałąk i wskoczył na komin. Na tle spęczniałego księżyca wyglądał jak wyrzeźbiony w bazalcie egipski posąg.

– Chodzi mi o dziewczynkę – szepnąłem w przestrzeń. – Czy ją także muszę straszyć? Bo mam wrażenie, że tak naprawdę chodzi panu tylko o chłopca, a jego siostra obrywa rykoszetem po prostu dlatego, że śpi z bratem w pokoju. Może więc namówię opiekunkę, by wzięła do siebie Marcję? Przecież ona tak naprawdę nie ma znaczenia...

Za plecami usłyszałem śmiech. Trochę się bałem, że Noonan będzie na mnie zły, lecz on wydawał się wyłącznie rozbawiony.

– Jak pan doszedł do tego wniosku?

– Wczoraj przez telefon powiedział pan: „Najważniejsze, że on się boi”. On, czyli chłopiec, a nie oni, czyli dzieci. A poza tym... – Przypomniałem sobie pokój pełen chłopięcych zabawek i kilka lalek samotnie siedzących w kącie. – Poza tym – dokończyłem – nawet panu Pastoriniemu chyba nie za bardzo zależy na córce.

Za moimi plecami zapanowało milczenie, a ja się wystraszyłem, że Noonan jednak się rozgniewał. Bądź co bądź płacił mi za wykonywanie poleceń, a nie za myślenie.

Kot nadal tkwił na tle srebrzystej tarczy księżycy, mgła wciąż opływała moje kolana. Na jedną króciutką chwilę umilkły odgłosy miasta, a ja poczułem się jak rozbitek porzucony na nieprzyjaznej planecie. Wstrząsnęło mną poczucie obcości wszechświata. A potem rozległ się pisk opon ruszającego samochodu, zadźwięczał śmiech i dzwonek tramwaju. Odetchnąłem, lecz wciąż miałem wrażenie, że coś tu jest cholernie nie w porządku.

I to coś nie dotyczyło mgły, kota czy wszechświata, lecz czegoś znacznie bardziej prozaicznego. Miało związek z czymś, co zobaczyłem przez szybę... Co to było?

– Brawo – Noonan odezwał się, gdy już straciłem nadzieję, że kiedykolwiek odpowie. – Oczywiście nie musi pan straszyć dziewczynki. Ma pan rację, ona się nie liczy.

\*\*\*

– Chce pan, żebym wzięła do swojego łóżka dziewczynkę, a chłopiec ma spać u siebie? – Lisa wzruszyła ramionami. Paliła papierosa, a ja

z trudem powstrzymywałem się, by nie powiedzieć jej kilku przykrych słów. Nie cierpię palących kobiet. – Mogłabym, czemu nie, ale ona na to nie pójdzie. Uważa brata za jakiegoś cholernego rycerza w srebrnej zbroi, swojego rycerza, i bez niego nigdzie się nie ruszy.

– Nawet gdyby się okazało, że ów potwór pojawia się tylko w pokoju dziecięcym, nigdzie indziej?

W tej chwili Lisa mogła się domyślić, jaką rolę odgrywam w domu. Na szczęście jednak była to zarozumiała pannica, która nie widziała niczego poza czubkiem własnego nosa.

– Koszmar może się przyśnić w każdym miejscu. – Zdusiła papierosa w popielniczce.

Paznokcie miała pomalowane na jaskrawoczerwony kolor – kolejny minus. Pomyślałem, że jeszcze niedawno jej energia i pewność siebie mogły być na swój sposób ujmujące. Przynajmniej niektórzy lubili takie dziewczęta. A teraz...? Teraz Lisa miała opuchnięte od niewyspania oczy i z każdą chwilą wyłaziła z niej pełna pretensji wulgarna baba.

– Mam dość. Dość nocnych wrzasków i dość zajmowania się nie swoimi bachorami. Muszę wynieść się z tego domu, im szybciej, tym lepiej. A wie pan, co jest w tym wszystkim, cholera, najbardziej zabawne?

– Co takiego?

– To, że ojczulek tych dzieciaczków sam, osobiście, zabronił mi przenieść je do innego pokoju, a nawet zostawiać na korytarzu światło. Zabronił, a potem powiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mi się przyznać przed dziećmi, że to jego pomysł, i muszę wszystko wziąć na siebie. Znaczący, on chce odgrywać rolę dobrego tatusia, a ja mam być tą wstrętną wiedźmą, która wszystkiego zakazuje. To popieprzony hipokryta, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Taką właśnie ją zapamiętałem – wulgarną, niewyspaną i rozżaloną na cały świat. Nie chciałem pamiętać Lisy, jaką zobaczyłem później.

\*\*\*

Noc czwarta.

Tym razem dzieci nie krzyczą, choć wiem doskonale, że się obudziły. Słyszę pochlipywanie dziewczynki i uspokajające pomruki chłopca.

Boję się, bo czuję, że Harvey dojrzewa do tego, by stawić strachowi czoło, i wkrótce może wyjść z łóżka, by zapalić światło. I boję się tego, co pęcznieje w domu, w tej wrzodowatej kuli wściekłości i przerażenia, która niszczy mi potwory i która lada moment może pęknąć.

Dziewczynka co prawda nie krzyczy, ale chlipie tak głośno, że Lisa powinna się obudzić. Dlaczego się nie budzi? Może po prostu leży z otwartymi oczami, słucha dziecięcego płaczu i po raz kolejny powtarza sobie, że ma dość tulenia cudzych bachorów?

\*\*\*

Lisa nie mogła przyjść do swoich podopiecznych z tej prostej przyczyny, że podczas gdy je straszyłem, ona stała pod moimi drzwiami.

Zobaczyłem ją, gdy wracałem do siebie ze sprzętem. Na szczęście nie usłyszała mnie, a ja natychmiast wycofałem się w mrok – jeszcze tylko brakowało, żeby mnie przyłapała. Na korytarzu nie było zupełnie ciemno, paliła się co trzecia żarówka, a jedna znajdowała się niemal dokładnie nad moimi drzwiami. Lisa stała odwrócona do mnie tyłem, widziałem jej blade, pozbawione pończoch nogi, które tkwiły w niezawiązanych butach, i rąbek koszuli nocnej wystający spod płaszcza. Dziewczyna pukała w drzwi, szepcząc gorączkowo:

– Niech się pan obudzi, potrzebuję pomocy. Proszę, panie...

Oczywiście przekreśliła moje nazwisko. Wszyscy to robią.

W jej głosie brzmiały płaczliwe nuty. Lisa wyraźnie była na skraju hysterii.

– Bardzo źle się czuję, naprawdę, próbowałam dzwonić do lekarza, ale telefon nie działa, błagam, musi mnie pan zawieźć jak najszybciej... Coś dziwnego dzieje się z moim kręgosłupem, błagam, proszę...

Szarpała klamkę, a ja pogratulowałem sobie w duchu, że

wychodząc, przezornie zamknąłem drzwi na klucz. Klucz spoczywał teraz w mojej kieszeni i miałem wrażenie, że pali mnie w udo. W jękach Lisy było coś zwierzęcego, niemal czułem ostry zapach jej lepkiego potu.

– Muszę do lekarza, muszę, mu... szę...

Załkała, włożyła do ust kant dłoni i przygryzła. Przez krótką chwilę widziałem jej wykrzywioną męką twarz. Nagle wygięła się w tył – naprawdę to zrobiła, niemal jak cyrkowiec, jeden z tych, których opisują na plakatach, że mają ciało z gumy. Zaraz potem wyprostowała się z okrzykiem bólu i pomknęła w stronę schodów, w ciemności mijając moją przyczajoną postać ledwo o cal czy półtora. Owionął mnie zapach jej potu – miałem rację, śmierdziała strachem. Potem widziałem jeszcze, jak pędzi w dół, wlokąc za sobą sznurówki.

\*\*\*

– No i przepadła, głupia dziewczucha. – Oretta postawiła przede mną miskę z owsianką.

Sięgnąłem po dzbanek ze śmietaną, cukier i łyżkę. W kuchni, gdzie jadałem śniadania, było przytulnie i ciepło, lecz ja drżałem.

– Żeby jeszcze zabrała swoje rzeczy, ale nie, wyszła w środku nocy goła, jak ją dobry Pan Bóg stworzył. Widział to kto takie coś?

Nie goła, tylko w płaszczu narzuconym na koszulę nocną, poprawiłem w myślach, po czym nabrałem na łyżkę odrobinę owsianki.

Rankiem, od razu po przebudzeniu, sprawdziłem, co z trzecim potworem. Byłem pewien, że i on zostanie zniszczony, więc w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Figurka wyglądała dokładnie tak, jak powinna, nie było na niej ani jednego zadrapania. W jakiś przedziwny sposób zaniepokoiło mnie to znacznie bardziej, niż gdyby ktoś wygiął jej grzbiet i wypalił oczy. Przyzwyczaiałem się już do myśli, że po każdej nocy będę tracił kolejnego potwora. To było... paskudne, ale też bezpieczne w swojej przewidywalności. W miarę bezpieczne. Przerwanie tego rytuału mogło oznaczać, że nadciągało coś bardziej przerażającego.

„Coś dziwnego dzieje się z moim kręgosłupem, błagam, proszę...”.

Odsunąłem miskę. Owsianka, choć dobrze przyrządzona, smakowała jak trawa.

Oretta spojrzała na mnie obojętnie i zabrała naczynie. Przez cały czas, gdy paplała o Lisie, miałem wrażenie, że tak naprawdę mówi do siebie, nie do mnie.

– Znasz może kogoś, kto mógłby mi coś powiedzieć o herbie Pastorinich? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– O herbie to chyba najwięcej pan Pastorini wie, przecież to jego rodzina.

– Nie chodzi mi o Pastoriniego. Może jakiś historyk albo ktoś taki kiedyś interesował się tym herbem...

– Może ojciec Guerzani z parafii Świętego Jana coś wie. Kiedy do nas zagłąda, to czasem z panem o różnych starociach gadają. Naprawdę dziś nie mam czasu na pogaduszki...

Odwróciła się, a mnie nie pozostało nic innego jak tylko skinąć głową w stronę jej pleców i wyjść. W hallu dwie pokojówki wieszały ostatnie baloniki. Na mój widok przerwały pracę i zaczęły coś do siebie szeptać. Może to wcale nie miało związku ze mną, może po prostu powierzały sobie jakieś dziewczęce sekrety, lecz ja poczułem się nieswojo. Chwilę później minął mnie zaaferowany Swink, który pędził tak szybko, że nawet nie odpowiedział na moje pozdrowienie.

Zacisnąłem usta. Dziś były urodziny Harveya, a ja pośród tego kolorowego, radosnego zamieszania czułem się jak zdrajca i co więcej, miałem wrażenie, że wszyscy o mojej zdradzie wiedzą.

Tłumaczyłem sobie, że to nic takiego, że pewnie znowu odzywa się moje przewrażliwienie i skłonność do wyolbrzymiania niektórych spraw. Prawdopodobnie wszyscy byli zbyt zajęci, żeby marnować czas na pogawędki, nic więcej. Nie pomogło. W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że zaczynam przypominać filmowego Niewidzialnego Człowieka, a zaraz potem, że będę stawał się coraz cieńszy i bardziej przezroczysty, aż w końcu rozplynie się pośród kolorowych baloników i bibuły.

Wróciłem do swojego pokoju, otworzyłem okno i przez chwilę

oddychałem głęboko, by przepędzić podobne myśli. Potem włożyłem buty i płaszcz. Jeśli miałem iść do parafii Świętego Jana, to powinienem to zrobić jak najszybciej, nim stracę resztki odwagi.

Na pierwszym piętrze zawahałem się i ruszyłem w stronę pokoju dziecięcego. Ciągnęło mnie tam wspomnienie dramatu, którego byłem świadkiem, a także coś, co chyba można by nazwać poczuciem winy.

„Bardzo źle się czuję, naprawdę, próbowałam dzwonić do lekarza, ale telefon nie działa, błagam, musi mnie pan zawieźć jak najszybciej...”.

Przymknąłem oczy, przypominając sobie urywany głos. Lisa cierpiała, podczas gdy ja stałem tuż obok niej, w ciemności, starając się oddychać jak najciszej.

Przeszedłem przez dziecięcy pokój, gdzie na podłodze siedziała Marcia. Rysowała coś, z przejęcia wysuwając język. Myślałem, że ona także nie zwróci na mnie uwagi, ale rzuciła mi ciche „dzień dobry”, gdy otwierałem drzwi do sypialni Lisy.

Zatrzymałem się w progu. W środku pokojówka myła stół. Zanurzała gąbkę w misce z wodą, wyciskała ją i przecierała blat. A potem jeszcze raz i jeszcze. Szafki były puste – rzeczy dziewczyny widocznie ktoś już wyniósł, na podłodze leżała zdarta z łóżka skłębiona pościel, a przez otwarte okno wpadały zimne powiewy wiatru, które wymiatały z pokoju resztki zapachu zbyt ciężkich perfum.

Dopiero teraz naprawdę zrozumiałem, że Lisa już do tego domu nie wróci.

Została wymazana ze społeczności żywych. Wymazana, wyczyszczona gąbką i ciepłą wodą, a potem spłukana. Może umarła w nocy, a może po prostu ktoś szorował ją tak długo, aż stawała się coraz cieńsza i bardziej przezroczysta, a potem... potem znikła?

– Jej tu nie ma. – Marcia potwierdziła moje przypuszczenia. – Myślę, że jest teraz na cmentarzysku potworów. Chce pan zobaczyć?

– Nie ma czegoś takiego jak cmentarzysko potworów – powiedziałem ze znacznie mniejszym przekonaniem niż jeszcze wczoraj.

– Owszem, jest. Mogę pana zaprowadzić, jeśli pan chce.

Czekała cierpliwie, podczas gdy ja nerwowo zginałem i rozprostowywałem palce. To pewnie tylko dziecinny wymysł, ale na wszelki wypadek... Do licha, coś mogło w tym być! Jeśli Lisa umarła (albo co gorsza, ktoś ją zabił, szepnął głosik w mojej głowie) i została wrzucona do jakiejś piwnicy, to będę przynajmniej pewien, że trzeba odzalaować pięć tysięcy i jak najszybciej wynieść się z tego domu.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Marcia wcale nie wyglądała na wystraszoną, a mnie było głupio, że tchórzę przed czymś, czego nie boi się mała dziewczynka.

Poza tym musiałem się dowiedzieć, co się stało z Lisą.

\*\*\*

Marcia poprowadziła mnie schodami w dół, aż do piwnic. Słowo „piwnica” od razu kojarzy się z kurzem, mrokiem i pajęczynami, lecz korytarz, w który weszliśmy, był starannie zamieciony i oświetlony zwisającymi z sufitu żarówkami. Był też cichy, pusty i zaskakująco długi. Mijaliśmy jedno po drugim drzwi, a korytarz wcale się nie kończył, aż nabrałem przeświadczenia, że wyszliśmy poza teren domu i wędrujemy teraz pod ogrodem.

Marcia zatrzymała się przy ostatnich drzwiach po prawej stronie, po czym sięgnęła do kieszeni sukienki i wyjęła żelazny klucz. Był dla niej o wiele za ciężki, a zamek wyglądał na zardzewiały, więc zaproponowałem pomoc. Pokręciła głową, więc pozostało mi już tylko bierne przyglądanie się, jak dziewczynka walczy z opornym mechanizmem.

Drzwi ustąpiły nie ze skrzypnięciem, którego podświadomie oczekiwałem, lecz cicho, niemal bezszelestnie.

Marcia zapaliła światło, wspinając się na palce i dosięgając przycisku główką klucza. Sprytne, oceniłem, gotów uśmiechnąć się z aprobatą.

Nie zdążyłem.

Nareszcie wiedziałem, co to takiego cmentarzysko potworów.

Było ich tu ze dwadzieścia, może trzydzieści. Niektóre zrobione z papier mâché, inne z gliny bądź drewna. Najmniejsze sięgały mi do



kolan, największe – nieco powyżej pasa. Wszystkie wykonano starannie, z dbałością o szczegóły, takie jak pazury czy pełne ostrych zębów pyski. I oczywiście wszystkie potwory były martwe – takiego wyrażenia użyłaby Marcia. Podarte, połamane lub rozbite, w zależności od tego, z jakiego materiału je zrobiono. Największe zniszczenia były widoczne w okolicach oczu oraz grzbietów – tam gdzie u żywego stworzenia znajdowałby się kręgosłup.

Zachichotałem, najpierw cicho, przysłaniając usta dłonią, a potem coraz głośniej. Oparłem się o ścianę, zgięty w pół. Ciekło mi z nosa, z oczu lały się łzy, a ja rechotałem niczym obłąkaniec, czując, jak uchodzi ze mnie napięcie. Spodziewałem się stygnącego ciała Lisy, a tymczasem trafiłem na śmietnik pełen zepsutych zabawek. Dość paskudnych, owszem, ale tylko zabawek.

– Myślę – powiedziała Marcia – że ten potwór, co do nas przychodzi, w końcu umrze, trafi tutaj i zamieni się w papier albo drewno.

Wydawała się pogodzona z losem – nie jak sześciolatka, lecz jak dorosła kobieta, która wie, że czasem trzeba zacisnąć zęby. Pokręciłem głową. Spokój i cierpliwość tego dziecka momentami wydawały mi się równie przerażające jak zniszczone figurki czy tajemnicze zniknięcie Lisy.

– Prawda? – dodała, patrząc na mnie.

Otarłem oczy, wydmuchałem w chusteczkę nos. Pora wziąć się w garść.

– Prawda – odparłem, bo była w tym jakaś dziecięca logika, której nie mogłem zaprzeczyć.

\*\*\*

To, co stało się później, można nazwać złościwością losu, jednym z tych przypadków, które lubią niespodziewanie wtrącać się w ludzkie życie. Gdyby nie on, wróciłbym do swojego pokoju, zrezygnował z wizyty u księdza i starając się nie myśleć o tym, co widziałem – zajął się czytaniem mojej książki albo ćwiczeniem sztuczek.

Nic by to nie zmieniło, ale zyskałbym przynajmniej kilka godzin złudnego spokoju.

Pech chciał, że gdy wracaliśmy, Marcia spojrzała przez okno. Takie małe okienko znajdujące się na podeście klatki schodowej, która prowadziła do piwnic. Służyło chyba tylko po to, by wpuszczać odrobinę światła, bo wychodziło na wyjątkowo nieciekawą kawałek ogrodu – ot, staw, parę drzew i nic więcej. Ale nie dzisiaj, dziś Marcia zobaczyła przez nie coś, o czym od razu postanowiła mnie poinformować.

– To Lisa – powiedziała cicho. – Jest tutaj, a nie na cmentarzysku.

A ja byłem na tyle głupi, że odwróciłem się i też spojrzałem przez okno.

Lisa nigdy nie dotarła do lekarza. Może pobłądziła w mroku, a może w panice straciła poczucie kierunku, nie wiem, dość, że zamiast do furtki pobiegła w głąb ogrodu. I umarła tutaj, a dwaj mężczyźni, w których rozpoznałem ochroniarzy Pastoriniego, właśnie wyciągali jej ciało ze stawu.

Woda kapiała z jej jasnych włosów i z płaszcza, mokra, wysoko podciągnięta koszula nocna oblepiała uda i odsłaniała niemal całe nogi – szczupłe i bardzo, bardzo blade. Jej kręgosłup... Kręgosłup musiała mieć zdruzgotany, bo ciało, wciąż jeszcze nie zeszywniałe, przelewało się miękko i gdyby tylko mężczyźni chcieli, bez trudu mogliby ułożyć ją w takiej pozycji, że głową dotykałaby własnych pięt.

Wtem głowa opadła jej na plecy i zobaczyłem poczerwiałe oczodoły, z których wypłynęła woda. Wyglądało to tak, jakby Lisa płakała.

Tego było za wiele. Po ostatniej nocy, po wizycie na cmentarzysku... Po prostu za dużo. Coś we mnie pękło. Uciekłem z gardłowym, zwierzęcym skowytym, byle dalej od tego przekłętą miejsca. Przebiegłem przez hall aż do drzwi, a potem dalej, alejką do furtki. Ścigało mnie upiorne uczucie, że pobłądzę jak Lisa i nie zdołam wydostać się poza teren posiadłości. A później...

Nie chciałem o tym myśleć, po prostu biegłem. Dwa razy się przewróciłem, wprost na ostry biały żwir. Za pierwszym wstałem

niemal natychmiast, za drugim przez chwilę posuwałem się na czworakach niczym ogłupiały pies. Nieważne, liczyło się tylko to, że furтка była coraz bliżej.

Przystanąłem dopiero na ulicy, pośród gwaru, ruchu i normalności.

Otrzepałem z rąk resztki żwiru, a lewą dłoń – tę, która bardziej ucierpiała – obwiązałem chusteczką. To nie było nic poważnego, tylko zdarta skóra, ale ja nigdy nie lubiłem widoku krwi.

Niewiele pamiętam z kilku następnych godzin. Siedziałem w jakiejś knajpce, grzejąc dłonie o kubek z kawą, potem chodziłem po mieście, a jeszcze później jeździłem bezsensownie tramwajem tam i z powrotem. Jakąś częścią umysłu już wiedziałem – a przynajmniej podejrzewałem – co się dzieje w domu Pastorinich, brakowało mi jednak energii, a także odwagi, by porządnie poukładać wszystkie fakty. Wciąż byłem zbyt wystraszony. Trzy razy chciałem wracać do domu, do siebie, i trzy razy się rozmyśliłem z obawy, że czeka tam na mnie Pastorini wraz ze swymi ludźmi. Ucieczka świadczyła na moją niekorzyść; jeśli ktoś mnie wtedy widział, to pewnie od razu pomyślał sobie, że zobaczyłem coś, czego nie powinienem był widzieć.

Z drugiej strony możliwe, że niepotrzebnie wpadłem w histerię. Lisa zginęła, ale to wcale nie znaczy, że mnie także coś podobnego czeka. Pastorini potrzebował mnie, bo do końca umowy pozostała jeszcze ostatnia, piąta noc. A jeśli udam, że niczego nie wiem, to Pastorini nie będzie miał powodów, żeby robić mi krzywdę. Możliwe przecież, że mojej ucieczki nikt nie widział – a jeśli nawet, to znajdę jakieś wytłumaczenie. Mógłbym wrócić do rezydencji i wytrzymać jeszcze do jutra, pomyślałem. Mógłbym dostać te pieniądze.

Pieniądze. Przyznaję, że to one kusiły mnie najbardziej. Wycofywanie się teraz, gdy niemal miałem je w rękach, wydawało się czystym szaleństwem.

Nie chciałem jednak wracać, dopóki nie poznam wszystkich faktów.

Najpierw potrzebowałem informacji.

\*\*\*

Ojciec Guerzani był chudy, miał szerokie usta, okrągłe oczy i zadarty czerwony nos. Gdyby go podtuczyć, a potem ubrać w kolorowe szmatki, wyglądałby pewnie jak cyrkowy klaun.

Na początku niechętny, szybko rozpogodził się, gdy tylko powiedziałem, że chodzi o historyczną ciekawostkę, a nie o posługę religijną. Poprowadził mnie w głąb skromnego mieszkania, posadził przy stole w kuchni i poczęstował kubkiem herbaty. Pachniało tu pastą do podłogi i świeżym ciastem, w kącie promieniował ciepłym niewielki piecyk, a na parapecie stał wazonik z pierwszymi wiosennymi kwiatami. Widać było, że gospodyni księdza wkłada sporo serca w swoją pracę.

– Pastorini to bardzo stara rodzina – zaczął. – Jej korzenie sięgają średniowiecza. W przekazywanych z pokolenia na pokolenie legendach pojawia się motyw bestii, z którą walczą członkowie rodu...

– Tej samej bestii, która na herbie widnieje jako pokonana? – Starąłem się panować nad głosem, choć wciąż byłem mocno zdenerwowany.

Zresztą niepotrzebnie, bo Guerzani nie zauważyłby niczego, nawet gdybym dygotał jak osika. Za bardzo pochłaniały go własne słowa.

– Zgadza się, choć herb nie zawsze tak wyglądał. Wie pan, że w najwcześniejszych wersjach rycerz i potwór walczą ze sobą i wcale nie wiadomo, który z nich zwycięży? Obaj przeciwnicy mają równe szanse. Ciekawe, prawda? Dopiero w późniejszych wiekach bestię zaczęto pokazywać jako wyraźnie słabszą, a ostatecznie ustaliła się wersja z potworem martwym, pokonanym.

– O czym to świadczy?

Uśmiechnął się z aprobatą, a ja poczułem się jak pilny uczeń.

– Prawdopodobnie o stopniowym zaniku elementów pogańskich na rzecz kultury chrześcijańskiej. Bestia uosabia dziką, pierwotną część ludzkiej natury, która w dawnych czasach była równie ważna jak część cywilizowana. Dawniej mężczyźni musieli budzić w sobie bestię, bo tylko tak mogli przeżyć we wrogim świecie. Jednakże chrześcijaństwo zapewniło ludziom bezpieczeństwo i bestia nie jest już potrzebna. Metaforycznie rzecz ujmując, została pokonana

i uśmiercona.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

– Metaforycznie? A więc ojciec nie wierzy, że kiedykolwiek istniała prawdziwa bestia?

– Ależ drogi panie! – obruszył się.

Jak na duchownego miał zdumiewająco świecki światopogląd. Potrafiłem go jednak zrozumieć, bo nie widział tego co ja. Zwycięstwo chrześcijaństwa nad pogańskimi elementami z pewnością nie tłumaczyło tego, co się działo w rezydencji Pastorinich.

\*\*\*

Lubię kościoły, choć nie jestem ani nigdy nie byłem człowiekiem wierzącym. Odpowiada mi panująca w nich cisza i spokój. Dobrze mi się myśli wśród zapachu świec, kadzidła, kurzu i stęchłej wody święconej.

A teraz miałem o czym myśleć.

Siedziałem na drewnianej ławce, na miejscu wyślizganym przez setki tysięcy wiernych, i próbowałem poukładać wszystkie fakty. Cmentarzysko potworów, nocne straszenie, a przede wszystkim śmierć Lisy oraz zniszczone figurki, dwa biedne, wygięte i ślepe metalowe potwory oraz jedno biedne, wygięte i ślepe ludzkie ciało.

Zamknąłem oczy i wróciłem myślami do tamtego wieczoru, gdy widziałem kota na tle księżyca i gdy srebrzysta mgła łagodnie opływała moje kolana. Gdybym był młodszy, powiedziałbym, że to był wieczór w jakiś sposób magiczny, ale ponieważ dzieciństwo dawno miałem za sobą, zamieniłem to słowo na „dziwny”.

Dziwny, odmienny, niepokojący.

W takich chwilach intuicja, z której jestem tak dumny, wyostrza się jeszcze bardziej. W takich chwilach potrafię przejrzeć człowieka na wylot. Niemal każdego.

Coś wydarzyło się tego wieczoru, coś dostrzegłem i coś zrozumiałem, a potem zepchnąłem ów fakt w głąb podświadomości i zapomniałem o nim. Prawdopodobnie dlatego, że za bardzo mnie wystraszył. Teraz, gdy wiedziałem już, co to takiego, na spokojnie

zanalizowałem ów wieczór, minuta po minucie.

Oto stoję przed klubem, kuląc się z zimna. Jest wpół do dziesiątej, kot jeszcze nie wskoczył na komin, by zaprezentować swą sylwetkę na tle księżyca, a Duwayne C. Noonan nie wyszedł na dwór, by w mroku zamienić ze mną kilka zdań. Jestem tylko ja oraz mgła i oczywiście goście klubu, ale oni się nie liczą, bo pojawiają się tylko na chwilę i zaraz znikają w ciepłym wnętrzu. Ich śmiech słyszę jeszcze wtedy, gdy tracę z oczu sylwetki.

Nudzę się, więc przyciskam czoło do szyby i zaglądam do niemal pustej sali. Dan Pastorini, Duwayne C. Noonan oraz dwaj nieznani mi mężczyźni siedzą przy stoliku i kłócą się. Najmniej do powiedzenia ma Noonan, który sprawia wręcz wrażenie biernego świadka. Ja jednak wiem, że Noonan nie może być neutralny, z pewnością jest wrogiem Pastoriniego, bo przecież kazał nastraszyć jego syna.

Mylę się, rzecz jasna.

Odpowiedź jest ukryta wśród gestów, które wykonują tego dnia mężczyźni, w pochyleniu ramion i niewielkich zmianach na pozornie kamiennych twarzach. Milczący tego wieczoru Duwayne C. Noonan jest człowiekiem Pastoriniego. A to oznacza, że sam Pastorini zlecił straszenie swojego syna. Podświadomie wiedziałem o tym już w chwili, gdy ujrzałem cmentarzysko, a powinienem domyślić się jeszcze wcześniej. Przecież to najbardziej logiczne wyjaśnienie faktu, że wszystko szło tak gładko: lustra w przedsionku, przyjęcie mnie do pracy, nawet zadziwiający brak ciekawości u Mitcha Swinka... Tak naprawdę tylko umieszczone w odpowiednim miejscu okno i pełnia księżyca, przy świetle którego mogłem pracować, były szczęśliwymi przypadkami, całą resztę kontrolował pan domu. Nie miałem pojęcia, czemu Pastorini sam mnie nie zatrudnił. Może się bał, że nieświadomie zdradzę się przed dziećmi, a może sądził, że wtedy trudniej byłoby mi się zgodzić – bądź co bądź, gdyby straszenia domagał się ojciec, rodziłoby to znacznie więcej pytań i wątpliwości.

Odetchnąłem głęboko, a potem zasłoniłem twarz dłońmi. Niedaleko na ławce usiadła staruszka i zaczęła mamrotać pod nosem zdrowaśki. Wiedziałem bez odsłaniania oczu, że to staruszka, bo czułem woń starczego potu i kulek na mole.

Dlaczego, na miłość boską, Pastoriniemu zależało na dręczeniu syna? Przez pięć nocy z rzędu? Co to, u licha, mogło dać?

Już coś dało, odpowiedział rozsądny głos w mojej głowie. Przypomnij sobie: dwa biedne, wygięte i ślepe metalowe potwory oraz jedno biedne, wygięte i ślepe ludzkie ciało. Całkiem niezły rezultat, prawda?

Wróciłem myślami do cmentarzyska.

Małe dziecko mogłoby się przestraszyć takiego potwora, zwłaszcza gdyby zobaczyło go w półmroku nocy.

Małe dziecko, ale nie dwunastolatek.

W rodzinie Pastorinich straszono herbowym potworem kilkuletnich chłopów. Z jakiegoś powodu Dan Pastorini przegapił ten termin – możliwe, że po prostu uległ prośbom żony, której żal było synka. A gdy żona zmarła i Pastorini wreszcie się zdecydował, Harvey był już za duży, by się bać potworów z papieru czy gliny. Tak więc trzeba było wynająć mnie.

Po co je tam trzymano? Doszedłem do wniosku, że był to rodzaj makabrycznych pamiątek. Tak jak w niektórych rodzinach przechowuje się pierwsze obcięte włosy dziecka albo mleczone ząbki, tak Pastorini przechowywali w piwnicy zniszczone straszydła.

Dwadzieścia, może trzydzieści figur. Po podzieleniu tej liczby przez cztery dawało od pięciu do siedmiu mężczyzn, którzy w dzieciństwie stanęli oko w oko z potworem i wyszli z tego starcia... odmienieni. Jednym z pewnością był Pastorini, a pozostali? Mogli być jego braćmi, kuzynami albo wujami, uznałem. Raczej nie dalszymi przodkami, bo ta rodzina przybyła do Stanów stosunkowo niedawno.

Właściwie nie powinienem się bać – znałem przecież Dana Pastoriniego i wiedziałem, że jest on groźny niezależnie od swoich osobliwych umiejętności. Gdyby chciał zrobić mi krzywdę, to zrobiłby ją już dawno.

Mimo to wciąż się trząsałem. Mój strach nie miał nic wspólnego z logiką. Był całkowicie irracjonalny – myślę, że w ten właśnie sposób barbarzyńcy reagowali na czyhające w mroku wyimaginowane potwory. Oczywiście ja bałem się nie potworów, ale tych, którzy stali po drugiej stronie, lecz w ostatecznym rozrachunku taki podział nie

miał najmniejszego znaczenia.

Jęknąłem i pochyliłem się, czując, że robi mi się niedobrze. Oddychałem głęboko, a staruszka obok cmokała współczująco – widać uznała, że jestem zrozpaczonym grzesznikiem.

Weź się w garść, nakazałem sobie, wyjdź stąd i wracaj do domu. Do diabła z pięcioma tysiącami dolarów. Za taką sumę... Wyobraziłem sobie, na co się narażam za taką sumę, i tego było już za wiele. Wybiegłem z kościoła, mając w uszach łomot butów o kamienną posadzkę, a pod powiekami obraz wiotkiego i martwego ciała. Mojego ciała.

Myślałem, że zwymiotuję, ale pusty żołądek tylko kurczył się spazmatycznie. Wyplułem trochę śliny i z obrzydzeniem otarłem usta. Poczułem się odrobinę lepiej.

Tylko przez krótką chwilę, bo zaraz uniosłem głowę i zobaczyłem, że w moją stronę idzie Dan Pastorini. Sam, bez obstawy, co z jakiegoś powodu przeraziło mnie bardziej, niż gdyby kroczył na czele uzbrojonej po zęby armii. Nie było żadnych wątpliwości: szybkim, zdecydowanym krokiem zmierzał wprost ku mnie, a na jego twarzy... Nie potrafiłem odgadnąć, co wyraża jego nieruchoma twarz.

W tym momencie po raz drugi puściły mi nerwy, odwróciłem się i z przedziwnym uczuciem déjà vu uciekłem. Pędziłem przed siebie, roztrzając przechodniów, ktoś za mną krzyczał, ktoś inny się śmiał. Wpadłem na kobietę z wózkiem, dzieciak podniósł wrzask, matka mnie odepchnęła i na deser poczęstowała stekiem przekleństw. Biegłem dalej. Bolało mnie udo po zderzeniu z wózkiem, w boku czułem klucie, w płucach płonął ogień.

Zatrzymałem się, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Potem spojrzałem za siebie.

Pastorini właśnie mnie doganiał. I wciąż szedł, nie biegł, a ja – choć przecież było to niemożliwe – miałem wrażenie, że poruszał się w ten sposób przez cały czas.

Odwróciłem się i pogałem przed siebie. Wprost na ulicę, wprost pod nadjeżdżający samochód, czarny i masywny. Było za późno, by cokolwiek zrobić – usłyszałem pisk hamulców i ostry, przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety. Wyciągnąłem przed siebie dłonie, jakby to



miało mi pomóc, otworzyłem usta i wtedy właśnie poczułem szarpnięcie. Nie potrafię tego inaczej określić, choć to nie jest najlepsze słowo. Miałem wrażenie, że w moje kości ktoś wbił setki maleńkich haczyków z doczepionymi żyłkami, a później... później po prostu pociągnął.

Z wybałuszonymi oczami i ustami otwartymi do krzyku uskokczyłem w tył. Dziwnym żabim susem, jakiego z pewnością nikt nigdy samodzielnie nie wykonał. Przez krótką przerażającą chwilę czułem, jak to... coś wciąż ciągnie i ciągnie, zmuszając mój kręgosłup do wygięcia się w kabłąk, zupełnie jakbym był ulicznym akrobatą, a potem wreszcie puszcza.

Straciłem równowagę i klapnąłem na mokry po deszczu asfalt. Ludzie przepychali się nade mną, mówili coś i wymachiwali ramionami. Płakałem, łzy zamazywały widok czarnej maski nasha, która tkwiła kilka cali przed moją twarzą. Z samochodu wyskoczył niewysoki mężczyzna, a jego przepełniony złością głos dołączył do ogólnego rozgardiaszu.

Ktoś złapał mnie za ramię i pomógł wstać.

– Chodźmy na chodnik – powiedział Pastorini, a ja bezwolnie dałem się poprowadzić.

Niski facecik wciąż klął, oskarżając mnie, że specjalnie usiłowałem rzucić się pod jego auto. Pastorini spojrział na niego – tylko spojrział – i to wystarczyło, by kierowca zapadł się w sobie, zgarbił i zamilkł.

Ludzie rozchodzili się, popatrując na nas ze zdziwieniem.

– Czemu przede mną uciekałeś?

Nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście nie wie, czy tylko udaje. Mniejsza z tym. Uspokoilem się odrobinę, bo Pastorini właśnie ocalił mi życie i ulga oraz wdzięczność chwilowo przeważały nad przerażeniem.

– Dlaczego uciekałeś? – powtórzył cierpliwie.

Nie przyszło mi do głowy, że mógłbym nie odpowiedzieć. Pastorini należał do ludzi, których nie pozostawia się bez odpowiedzi. Otworzyłem więc usta i próbowałem coś wydukać, ale język miałem sztywny niczym drewniany kołek i wciąż wstrząsały mną dreszcze.

Bełkotliwie opowiadałem o potworach, które kiedyś naprawdę

istniały, i o rycerzach, którzy z nimi walczyli. O tym, że potwory były inne, obce i pełne mocy, więc i rycerze musieli mieć moc. Nie znaczy to wcale, że rycerze byli dobrzy, a potwory złe, nic z tych rzeczy. To były po prostu dwie strony pewnego konfliktu, obie od siebie nawzajem zależne. Żadna nie mogła się rozwijać bez udziału drugiej. A potem potwory wyginęły i istniały już tylko w bajkach, ale rycerze znaleźli sposób, żeby przetrwać. Bo potwór nie musi być prawdziwy, mówiłem, wystarczy użyć zabawki, takiej jak te w piwnicy, i jeśli tylko dziecko – oczywiście dziecko z odpowiedniej rodziny – uwierzy w potwora, to budzi się w nim moc, żeby go pokonać.

Nie mam pojęcia, ile Pastorini zrozumiał z mojego mętnego wyvodu. Gdy umilkłem, wyczerpany, patrzył na mnie przez chwilę z ciekawością, a potem powiedział:

– Zapraszam na urodziny mojego syna. I nie przyjmę odmowy.

Zamarłem, zdumiony. Podejrzywałem pułapkę; więcej, byłem pewien, że to pułapka. Wrzeszczał o tym każdy nerw w moim ciele. Wcześniej sądziłem, że Pastorini jest tylko zaciekawiony, teraz dostrzegłem w jego oczach z trudem skrywany głód i gorączkową niecierpliwość.

– Ja... – odchrząknąłem – dziękuję za propozycję, ale naprawdę nie mogę. Nie jestem odpowiednio ubrany i nie mam... prezentu.

Niezbyt dobra wymówka, ale nawet gdybym wymyślił lepszą, nie miałyby to znaczenia. Wiedziałem o tym już w chwili, gdy zacząłem mówić, desperacko starając się odwlec moment, w którym Dan Pastorini poprowadzi mnie na urodzinowe przyjęcie. Po dobroci albo siłą, jeśli będzie musiał.

– Nie przyjmuję odmowy – powtórzył.

\*\*\*

Zaprowadził mnie do samochodu, za kierownicą którego siedział jeden z jego ludzi. Pastorini nazywał go Luccio, a ja dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że ów Luccio dziś rano wraz z kumplem wyciągał ze stawu ciało Lisy. Być może włożyli je później do tego właśnie samochodu, a potem gdzieś wywieźli.

Jęknąłem, kuląc się w kącie. Miałem wrażenie, że cała tapicerka cuchnie krwią i wonią gnijącego mięsa. To złudzenie, powiedziałem sobie stanowczo, z trudem przełykając rosnącą w gardle kulę mdłości.

Luccio prowadził kiepsko i w dodatku chyba niezbyt dobrze znał miasto. Poczułem satysfakcję na myśl, że Pastorini miał we mnie znacznie lepszego kierowcę.

Zajechawszy pod rezydencję, Luccio zahamował zbyt gwałtownie. Pastorini wysiadł.

– Idę po Harveya – oznajmił. – Ty go pilnuj.

Ruch głowy w moją stronę nie pozostawiał wątpliwości, kogo ma na myśli.

Siedzieliśmy w milczeniu. W lusterku widziałem oczy Luccia – błyszczały podnieceniem, a gdy mężczyzna zauważył, że na niego patrzę, posłał mi szeroki, niemal lubieżny uśmiech. Jego prawa dłoń leniwie błędziła w okolicach kieszeni, w której – byłem tego pewien – spoczywała gotowa do użycia broń.

Wiedziałem, że tylko czeka, aż zacznę uciekać.

Po chwili z domu wyszli Pastorini i Harvey. Chłopiec był blady ze zdenerwowania, zupełnie jakby wybierał się na egzamin, a nie na własne urodziny.

– Poradzisz sobie – uspokajał go ojciec. – Za pierwszym razem zajęło ci to trochę czasu, ale teraz wszystko pójdzie sprawnie, wierz mi.

Chłopiec skinął głową, choć nie wydawał się przekonany. Powiedział coś cicho, nie jestem pewien, ale zabrzmiało to jak: „Ale wtedy nie wiedziałem, co robię...”.

Zamknąłem oczy, czując, jak kolejna fala paniki podpełza mi do gardła. Byłem wyczerpany nieustannymi przyływami to nadziei, to znów przerażenia. Miałem dość i nie wiedziałem, czy znajdę w sobie jeszcze trochę sił, by powalczyć. Bo przecież nic jeszcze nie zostało przesądzone, wciąż miałem szansę...

Uniosłem powieki, słysząc chrzęst żwiru pod czyimiś stopami. Do samochodu biegła Marcia, ubrana w czerwoną, odświętną sukienkę, kraciatą czapkę z pomponem i płaszczyk, którego nawet nie zdążyła zapiąć.

– Ja też jadę na urodziny, prawda, tato?! – zawołała, a ja chyba po raz pierwszy dostrzegłem w niej zwyczajne, niecierpliwe dziecko. – Moge?

– Nie, ty zostaniesz z Orettą.

Zacisnęła z uporem usta, przez chwilę wierciła czubkiem bucika w żwirze, a potem uniosła głowę. W jej oczach błyszczało coś, co u dorosłego nazwałbym chytrąścią.

– Wiem, co zrobiliście z Lisą...

– Jaką Lisą? – Harvey się zaśmiał. – Nie było żadnej Lisy, prawda, tato?

– Zgadza się. – Pastorini posłał synowi lekki uśmiech, a kiedy odwrócił się do córki, na jego czole pojawiły się zmarszczki gniewu. – Wracaj do domu i nie próbuj zrozumieć czegoś, czego nie możesz zrozumieć.

Wyraz twarzy Marcii zmienił się gwałtownie. Dostrzegłem na niej szok rozczarowania i bólu, potem dziecięcą niechęć, a jeszcze później zupełnie niedziecinną nienawiść. Ostatnie uczucie znikło tak szybko, że można by je uznać za przywidzenie, lecz ja byłem pewien, co widziałem.

Dziewczynka zawróciła i zamiast zapłakana pobiec do domu, odeszła spokojnym, równym krokiem, niemal z godnością.

\*\*\*

Zdumiewające, jacy ludzie potrafią być naiwni.

Jaki ja potrafię być naiwny.

Ta myśl prześladowała mnie, gdy jechaliśmy do klubu. Od dawna wyczuwałem, że w domu Pastorinich dzieje się coś złego, i byłem nieufny, ale w jedno wierzyłem bez wątpliwości niczym w święte przykazanie. Pięć nocy, które obejmowała moja umowa. Byłem pewien, że jestem potrzebny przez pięć kolejnych nocy, i dlatego wciąż czułem się w miarę bezpieczny. Nie przyszło mi do głowy, że oszukano mnie już na samym początku, właśnie po to, by uspić moją czujność. A przecież dowód miałem pod samym nosem, bo Lisa zginęła rankiem czwartego dnia. Zadanie zostało wykonane i teraz

byłem po prostu świadkiem, którego należało się pozbyć.

Zamiast w panikę wpadłem w odrętwienie. Otaczał mnie miękki, lepki kokon, który wytłumiał uczucia, stępiał przerażenie i nie pozwalał uświadomić sobie w pełni, co się dzieje. To było dobre, jak silny zastrzyk przeciwbólowy, i jednocześnie złe, ponieważ nie umiałem myśleć – mój umysł wciąż bezsensownie wracał do tych samych zdań.

Zdumiewające, jacy ludzie potrafią być naiwni.

Jaki ja potrafiłem być naiwny.

Myśl, nakazałem sobie. Przecież musi być jakieś wyjście. Jesteś sprytny, potrafisz znaleźć rozwiązanie.

Pomyślałem o małych chłopcach z rodziny Pastorinich, o tym, jak budzili się w mroku i krzyczeli, widząc przy łóżku bestię. O tym, jak stopniowo miejsce strachu zajmowała nienawiść i jak szeptali w ciszy nocy: „Chcę, żeby ten wstrętny potwór umarł”. Nie wiedzieli nawet, że niszczą w ten sposób jedynie makietę, która ich przeraża. Małe dziecko pewnie nie skojarzyłoby, że figurką porusza człowiek, a gdyby nawet, to nie sądziłem, by umiało zrobić mu krzywdę. W takim przypadku nikt nie ryzykowałby straszenia, bo nad kilkulatkiem o równie wielkiej mocy trudno byłoby zapanować. A więc założyłem, że mali Pastorini najpierw niszczyli tylko figurki i dopiero później, w miarę dorastania, ich umiejętności rosły.

Pomyślałem też, że Harvey jest akurat w odpowiednim wieku. Zginęła już Lisa, która nie pozwalała mu zapalić w nocy światła.

Myślałem o wielu rzeczach z wyjątkiem tego, o czym powinienem.

Samochód zatrzymał się przed klubem. Pastorini wysiadł, otworzył drzwiczki, wyciągnął mnie, a potem wepchnął do sali. Luccio został na zewnątrz.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Chyba pustego pomieszczenia przygotowanego do wykonania egzekucji. Zaskoczył mnie widok tortu, ciastek, butelek z alkoholami i stosu pomarańczy. Za stołem siedziało dwóch mężczyzn. Jednym był ów barczysty typ z kartoflanym nosem, którego widziałem już wcześniej. Drugim mógł być tylko papa Vogel. Niewielu jest siwowłosych gangsterów o dobrodusznym obliczu krzepkiego dziadka.

Papa Vogel spojrział na mnie z niechęcią.

– Kto to?

– Mój stary przyjaciel – wyjaśnił Pastorini niedbale. – Zostanie z nami. Ufam mu całkowicie.

Byłem pewien, że potrafiłby powiedzieć to znacznie bardziej przekonująco, ale świadomie nie chciał tego zrobić. Bawiła go złość rozmówcy, który nie potrafił udowodnić kłamstwa.

– Musimy sprawdzić, czy nie ma przy sobie broni.

Kartoflany Nos przeszukał mnie, zachowując przy tym całkowicie beznamiętny wyraz twarzy. Kiedy jego łapska przesuwały się wzdłuż mojego ciała, poczułem, jak budzi się we mnie słaba iskierka buntu. Skrzywiłem się i cofnąłem odrobinę, ale nie miałem odwagi zrobić nic więcej.

Pastorini posłał mi rozbawione spojrzenie. Zadrzałem. Wiedziałem już, o co w tym wszystkim chodzi i co za chwilę się stanie.

– Panowie. – Pastorini uniósł dłoń. Z ust nie schodził mu przyjacielski uśmiech dobrego gospodarza. – Zanim przejdziemy do interesów, proponuję coś zjeść i wypić. Będzie nam się lepiej rozmawiało.

Propozycja została przyjęta pomrukami aprobaty. Usiadłem na krześle obok Pastoriniego. Po drugiej stronie miałem Harveya, który bez apetytu skubał kawałek tortu. Co chwila popatrywał na ojca, a jego oczy błyszczały lęklwym podnieceniem.

Jeśli miałem rację i stanie się to, co przewidywałem, to właściwie byłem już trupem. Dan Pastorini z pewnością nie zostawi przy życiu świadka czegoś takiego.

Oblizalem zaschnięte wargi i wbiłem wzrok w obrus. Był biały, ślicznie haftowany w pastelworóżowe kwiaty, a ja poczułem absurdalny żal, że tak piękna robota się zmarnuje.

– Proszę – wyszeptalem tak cicho, że tylko Pastorini mógł mnie usłyszeć. – Niech pan pozwoli mi odejść.

Pastorini milczał.

– Powiedzmy – podjął po dłuższej przerwie – że teraz wyszedłbym na jakiś czas i nikt nie zwracałby na ciebie uwagi. Co byś wtedy zrobił?

Ostrożnie, upomniałem się w duchu. Musisz dać właściwą odpowiedź.

– Myśle... – zająknąłem się, a potem podjąłem już pewnym głosem:  
– Po prostu wróciłbym do domu.

– Doprawdy? – mruknął. – Nie przyszłoby ci do głowy, żeby, powiedzmy... ostrzec moich gości?

– Nie – odparłem z całym przekonaniem. – Oni mnie nic nie obchodzą.

Być może to było podłe, ale mówiłem prawdę. Chciałem żyć, nade wszystko rozpaczliwie chciałem żyć. Dan Pastorini nie prosił mnie o lojalność, ale gdyby poprosił, uzyskałby ją bez chwili wahania. Właściwie już ją miał. Znacznie później się tego wstydziłem, ale w tej chwili poczułem do niego coś w rodzaju... uwielbienia. Dan Pastorini był silny, mądry i miał rację, niezależnie od tego, co zamierzał zrobić. Chciałem go o tym zapewnić, ale gdy tylko otworzyłem usta, powiedział:

– Wierzę ci.

Siedziałem ogłupiały, nie mogąc wprost uwierzyć we własne szczęście.

– W takim razie mogę wrócić do domu? – szepnąłem jeszcze ciszej.

– Nie.

Mało brakowało, a rozplakałbym się jak małe dziecko. Powstrzymała mnie tylko niejasna świadomość, że jeśli się załamie, to Pastorini z pewnością nie będzie tracił czasu na uspokajanie mnie i po prostu przystąpi do wykonania swojego planu. Dopóki byłem opanowany, miałem jeszcze jakąś szansę.

– Wiesz, po co tu jesteśmy, prawda?

Przytaknąłem odruchowo. Dwunaste urodziny Harveya to doskonała okazja dla dwóch zwaśnionych stron, aby spróbować dojść do porozumienia. Oczywiście bez broni. A przy okazji chłopiec mógłby nauczyć się tego i owego o interesach ojca.

Byłem pewien, że Dan Pastorini właśnie w ten sposób przedstawił papie Voglowi całą sprawę.

– Nie chcę tego widzieć – wymruczałem do obrusu. – Błagam, nie chcę tego widzieć.

Kiedy nie doczekałem się odpowiedzi, ostrożnie spojrzałem na Pastoriniego. Nie zwracał już na mnie uwagi, pewnie nawet nie usłyszał mojej prośby. Patrzył na syna, który odwzajemnił mu się pełnym napięcia pytającym spojrzeniem.

Pastorini wolno skinął głową, chłopiec najpierw zbladł, a potem uśmiechnął się z wysiłkiem. Miałem wrażenie, że jest półprzytomny ze zdenerwowania, i przez krótką chwilę niemal mu współczułem. Później dotarło do mnie, co znaczyło to skinienie, i puściły mi nerwy. Wrzasnąłem, odskoczyłem w tył, przewracając krzesło. Papa Vogel spojrzał na mnie. To był ostatni obraz, jaki widziałem – siwowłosy krzepki starzec gapiący się ze zdumieniem, pusta szklanka w jego dłoni, pogardliwy uśmiech, zaczynający się pojawiać w kąciku ust.

Skuliłem się pod ścianą, zamknąłem oczy i dla pewności zasłoniłem je dłońmi.

– A temu co dolega? – Rozpoznałem głos papy Vogla.

– Co się dzieje? – To z kolei był głos Kartoflanego Nosa, znacznie wyższy, znacznie bardziej zaniepokojony.

Skuliłem się jeszcze bardziej, czoło oparłem na kolanach, dłonie przycisnąłem do uszu. Niejasno zdawałem sobie sprawę, że z moich ust wydobywają się zwierzęce pomruki i jęki. Nie potrafiłem ich stłumić, zresztą nawet się nie starałem. Wolałem słuchać własnych pochlipywań niż...

Pełen oburzenia i zaskoczenia wrzask byłby nawet zabawny, gdyby nie następujący po nim dźwięk, który skojarzył mi się z psem rozgryzającym twarde kości. Chrząst, łamanie i... rozgniatanie. I krzyk, w którym nie było już ani oburzenia, ani zdumienia, tylko ból. Coś upadło na ziemię z brzękiem. Szklanka? Talerz? Potem usłyszałem wesoły odgłos turlania. Pomarańcze, pomyślałem mętnie. Obok tortu stał stos pomarańczy i jeśli ktoś upadł właśnie na stół, to mógł stracić zarówno szklankę, jak i owoce.

Ostry, bolesny krzyk zmienił się w bełkotliwe słowa:

– Proszę, co się ze mną dzieje, nie rozumiem, proszę...

Coś dużego plasnęło miękko na ziemię i zaczęło... zaczęło się czołgać, słyszałem posapywanie, a także odgłos drapania paznokci o podłogę. Zawyłem głośniej, ponieważ owo coś pełzło w moją stronę.



Ktoś powiedział coś po włosku. Pastorini? Jego syn? Nie potrafiłem już nawet odróżnić głosu mężczyzny od głosu chłopca, wiedziałem tylko, że to nie koniec, jeszcze nie koniec.

Dwie osoby, pomyślałem. Ojciec i syn muszą zabić dwie osoby. Jedna już nie żyła, druga wciąż jeszcze potrafiła się czołgać i krzyczeć.

Długie kościste palce chwyciły mnie za kostkę, a jednocześnie ktoś oparł dłoń na moim odsłoniętym karku, dokładnie tam, gdzie zaczyna się kręgosłup. Zalała mnie fala ślepej paniki, przed którą już się nie broniłem. Byłem szczęśliwy, gdy pochłonęła mnie ciemność.

\*\*\*

– Wsiądź.

Ktoś szarpnął mnie i pociągnął. Na twarzy poczułem powiew zimnego powietrza. Kolanami wpadłem w błoto, w błocie unurzałem też dłonie. Stałem na czworakach jak pies, bezmyślnie gapiąc się w mokrą po deszczu, rozpulchnioną ziemię. Nie miałem nawet siły unieść głowy i spojrzeć na tego, kto mnie szarpał. Pomyślałem sobie, że skoro tkwię tu w pozycji psa, to ów ktoś zapewne zaraz mnie kopnie. Wydało mi się to nieuniknione i właściwe.

– Wystraszyłeś się, prawda? Zwłaszcza gdy oparłem się o ciebie, żeby dobić Vogla. Doprawdy, nie sądziłem, że staruszek będzie miał tyle siły, żeby ze złamanym kręgosłupem przeczołgać się przez pół sali.

Moje myśli przypominały rozgotowany makaron, były jakieś takie rozpulchnione, mało konkretne i rwały się, zanim zdążyłem cokolwiek przemyśleć do końca. To porównanie mnie rozbawiło, więc wydałem z siebie zduszony chichot.

– Cieszę się, że wciąż masz dobry humor.

Tym razem rozpoznałem, kto do mnie mówi. Dan Pastorini.

I z całą pewnością nie byliśmy już w klubie, tylko gdzieś poza miastem, na pustej błotnistej drodze.

A ja wciąż żyłem.

Powoli wyprostowałem się do pozycji klęczącej. Potem przetałem

twarz, nie zważając na to, że zostają na niej smugi błota. Rozejrzałem się. Za plecami miałem czarną sylwetkę samochodu, przed sobą Pastoriniego, który spoglądał na mnie uważnie. Jeszcze dalej majaczyły w zapadającym zmroku pierwsze zabudowania miasta.

– Co teraz? – zapytałem.

Pastorini wzruszył ramionami.

– Podobno chciałeś wrócić do domu.

Nie odpowiedziałem. Pogodziłem się ze śmiercią i nie czułem już lęku. To było dobre, zupełnie jak... jak wyzwolenie. Chciałem tylko, żeby Pastorini przestał się bawić i skończył ze mną jak najszybciej.

– Gdy się odwrócę, pan strzeli mi w plecy.

Znów wzruszył ramionami.

– Wciąż nie rozumiesz, prawda? – powiedział, patrząc gdzieś w przestrzeń. Miałem wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do mnie. – Nie jesteś na tyle ważny, żeby cię zabijać. Wziąłem cię na przyjęcie wcale nie po to, żeby potem zlikwidować. Uznaj to za coś w rodzaju kary. Należała ci się, bo przez cztery noce dręczyłeś mojego syna.

Zamilkł, a ja pomyślałem, że to nie była tylko kara, lecz także demonstracja siły. Patrz, co potrafię, i nie zadzieraj ze mną. Albo i nie, po chwili zmieniłem zdanie. Może chodziło o coś innego, może Pastorini po prostu lubił, gdy ludzie, nawet tak mało ważni jak ja, poznawali jego tajemnicę i zaczęli się bać.

– Jesteś nikim – podjął po chwili. – Możesz jedynie opowiedzieć dziwną historię, w którą i tak nikt nie uwierzy. Zresztą nie sądzę, że to zrobisz. Jesteś na to zbyt wielkim tchórzem. Będziesz się bał, że ludzie cię wyśmieją i uznają za wariata. Strach przed upokorzeniem – skrzywił się niemal niedostrzegalnie – czasem paraliżuje ludzi równie skutecznie jak strach przed śmiercią.

Nie odpowiedziałem, bo miał rację. Gdybym jakimś cudem przeżył – w co wciąż nie ośmielałem się wierzyć – to do końca życia milczałbym jak grób.

– Poza tym... – Wreszcie na mnie spojrział. Oczy miał spokojne i wcale nie zimne, czego się spodziewałem. Wydawał się po prostu zamyślony. – Jest jeszcze jedna kwestia. Ja wyrównałem z tobą

rachunki, ale mój syn nie. Wy tłumaczyłem mu wszystko i Harvey mi wybaczył, ale na ciebie wciąż jest zły. Uczciwie więc będzie, jeśli pozostawię cię przy życiu. Dla niego, na wypadek gdyby kiedyś zechciał sam się tobą zająć.

Myślę, że ostatecznie przekonała mnie ta właśnie absurdalna, tak obca mi logika. Nie sądziłem, by Pastorini mógł wymyślić coś takiego tylko po to, żeby się mną pobawić. Nie, on naprawdę zamierzał darować mi życie.

Co oznaczało, pomyślałem z goryczą, że resztę życia spędzę w strachu, że któregoś dnia dopadnie mnie pełen pretensji młokos.

Wstałem, zatoczyłem się i oparłem o samochód. Nogi wciąż miałem miękkie, ale przynajmniej udało mi się utrzymać w pionie. Dobrze i to. Na masce pozostały ślady błota i moje serce natychmiast ścisnął lęk. Zabawne, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do życia. Jeszcze przed chwilą byłem gotów umrzeć, a teraz bałem się, że Pastorini wścieknie się z powodu brudnego samochodu.

– Już idę – wymruczałem.

Moja opieszałość była kolejnym czynnikiem, który mógł go zdenerwować. A jeśli będę się ociągał, pomyślałem, to być może zmieni zdanie.

Natychmiast przegnałem tę myśl.

Ruszyłem wolno drogą. Za plecami usłyszałem odgłos otwieranych drzwiczek. Serce podskoczyło mi do gardła, na karku i między łopatkami poczułem nieprzyjemne mrowienie. Czy Pastorini sięgał do samochodu po broń? Nie, na szczęście nie, odetchnąłem z ulgą, gdy dobiegł mnie odgłos przekręcanych w stacyjce kluczyków.

Żałowałem książki, którą zostawiłem w domu Pastorinich. Co się z nią stanie? Wyobraziłem sobie małą Marcję, jak ostrożnie, na paluszkach wchodzi do mojego pokoju i znajduje leżący na stoliku ciężki tom. Czy dziewczynka rozróżniała już litery? Nawet jeśli nie, to obrazki powinny przyciągnąć jej uwagę. Może zabierze ją do siebie, może zacznie czytać – jeśli nie teraz, to później, gdy trochę podrośnie. Moje baśnie braci Grimm, te najwcześniejsze wersje, w których złym siostróm Kopciuszka kruki wydziobywały oczy, a dziewczynka o imieniu Czerwony Kapturek piła krew swojej babci i jadła jej ciało.

Te baśnie mówiły, że świat jest pełen okrucieństwa, cierpienia i potworów, lecz czasem – jeśli ktoś znajdzie w sobie wystarczająco dużo odwagi – można sobie z nimi poradzić. Moja matka czytywała mi te historie, kiedy byłem mały, ale ja nigdy nie potrafiłem wyciągnąć z nich wniosków i pozostałem tchórzem.

Być może Marcia poradzi sobie lepiej.

Zanim zdążyłem pomyśleć, przystanąłem i odwróciłem się.

Pastorini nie zgasił silnika, ale zatrzymał samochód i wychylił się przez okienko.

– Masz mi coś do powiedzenia?

Opamiętałem się.

– Nie, nic.

Skinął głową i ruszył, pryskając spod kół pecynami błota. Nie odsunąłem się, gdy mnie mijał. I tak byłem brudny.

Nie zdradziłem Pastoriniemu, o czym właśnie pomyślałem. Można to nazwać mądrością albo tchórzostwem, wszystko jedno.

Żałowałem mojej książki, ale jeśli musiałem ją stracić, to chciałem, aby dostała ją właśnie Marcia. Dziewczynka, która sypiała w tym samym pokoju co brat i też bała się potwora. Byłem pewien – choć ona sama mogła nie zdawać sobie z tego sprawy – że zniszczenie moich figurek było także jej dziełem, nie tylko chłopca. A gdy trochę podrośnie... kto wie? Przypomniałem sobie nienawiść, z jaką patrzyła na ojca. A przecież pochodziła dokładnie z tej samej rodziny co Harvey.

Ciekawe, czy Pastorini kiedykolwiek na to wpadnie.

Wątpliwe, odpowiedziałem sam sobie. Córka tak naprawdę dla niego nie istniała.

– Ja przynajmniej wiem, czego mam się w przyszłości bać! – krzyknąłem za samochodem. – A ty nie masz o tym najmniejszego pojęcia!

Usłyszał mnie tylko biegnący skrajem drogi kundel, ale i tak humor znacznie mi się poprawił.

\*\*\*

Nie pamiętam, skąd mi się wzięło przekonanie, że Ania nie przepada za dziećmi – być może coś takiego powiedziała, być może wyszło z kontekstu albo sam to sobie wymyśliłem – ale niezależnie od tego, czy jest to prawda, czy nie, jakoś niespecjalnie widziałem, by się z nimi integrowała. A okazji przecież było sporo, jako że Śląski Klub Fantastyki co rusz organizował jakieś eventy dla maluchów. A to spotkanie z Potterem w wesołym miasteczku, a to gry i zabawy na Dniach Miasta w Bytomiu... Ania zwykle tam z nami była, angażowała się we wszelkie działania, ale miałem wrażenie, że ta dziecięca żywiołowość, a nade wszystko wrzaskliwość, kapryśność i zmienność, jakoś jej przeszkadzają, spychają na z góry upatrzone pozycje, gdzieś w kącik, gdzie mogłaby z książką... No dobra, wiecie już, o co chodzi. Wieszak, te sprawy.

Normalnie to nic złego, ale u pisarza takie podejście kończy się często poważnymi problemami, gdy trzeba – a czasem to niezbędne – stworzyć postać dziecięcą. Zresztą co tu daleko szukać, spójrzcie, jakie są dzieciaki u wybitnego przecież pisarza Stephena Kinga. Autor może być sobie mistrzem kreowania postaci – i jest nim, zdecydowanie i bezsprzecznie – ale gdy tworzy maluchy, to zawsze są one tak mądre, elokwentne, cwane i dorosłe, że człowiek ma wrażenie, że to nie dzieci, ale grupa karłów na gościnnych występach. Rozmawialiśmy z Anią na ten temat nieraz, wkurzało nas to strasznie, ale – *mea culpa* – miałem wrażenie, że jak przyjdzie co do czego, to i z koleżanką Kańtoch będzie tak samo. Mali, kompletnie niewiarygodni milusińscy wsypią piach niewiarygodności, naniesiony z pobliskiej piaskownicy, w tryby świętego tekstu.

A tu, proszę, niespodzianka!

Lubię *Szczęścia i wszelkiej pomyślności*, choć nie do końca jestem przekonany do tej dwutorowej narracji, do tego niejako komentarza z offu, który przestaje być offem. Ale lubię go za dwie rzeczy. Po pierwsze, był to jeden z tych momentów, gdy Ania weszła na – nazwijmy to – moje podwórko, no bo przecież tekst do antologii anielskiej, więc o skrzydlatych, którym wtedy poświęcałem większość

czasu... a po drugie, właśnie ze względu na dzieciaki. Bo te, które Ania wprowadziła do swojej opowieści, którym pozwoliła znaleźć ową odciętą rękę, były prawdziwe. Inne niż te, które znałem albo które zapamiętałem, ale całkowicie przekonujące w tej swojej powadze i ciekawości, w sileniu się na dorosłość, przy jednoczesnym pozostaniu ciekawskimi łobuzami. I teraz szczerze nie wiem, czy to sztuczka, czy to dlatego, że inna epoka, dzieci w oczywisty sposób inne niż te, które widzimy dzisiaj, więc po prostu Ania mnie nabrała, jak kiedyś z tym montażem sceny z dymu i luster – pisałem o tym przy okazji *Cmentarzyska potworów* – czy też rzeczywiście tkwi w niej ten mały dzieciak trącający kijkiem martwą rękę, przerażony, ale zaciekawiony i gotowy zaryzykować, byle tylko dowiedzieć się, co będzie dalej.

Przy okazji warto jeszcze wspomnieć, że Ani długo ten temat nie leżał, długo nie miała na niego pomysłu i szukała w głowie, układała, zastanawiała się. Sprawiała wrażenie, jakby usilnie chciała napisać tekst anielski, ale zupełnie bez aniołów, w oderwaniu od wyobrażeń, schematów, za to skupiony na tym, co w tej skrzydlatej tematyce najważniejsze. Bo po co są anioły? By dbać o szczęście i pomyślność właśnie.

Odnoszę też wrażenie – mogę nadinterpretować, plątać chronologię tudzież pokładać zbyt wiele wiary w swoich wspomnieniach z naszych rozmów – że pobrzmiewają w tym opowiadaniu bardzo odległe echa tak przez nas lubianego tekstu Gaimana *Cena*, gdzie – jak zgodnie wtedy uznaliśmy – tematyka Stróża przedstawiona została najlepiej, jak to możliwe. Znacie ten tekst? Ten o wielkim czarnym kocie, który po każdej nocy był coraz bardziej poharatany i poturbowany? Jeśli nie, to koniecznie przeczytajcie, ale już po lekturze *Szczęścia i wszelkiej pomyślności*. Sami będziecie mogli wtedy stwierdzić, czy coś jest na rzeczy.

# Szczęścia i wszelkiej pomyślności

## 1.

*a opowieść, jak każda, ma kilka początków. Jednym z nich jest oczywiście dzień, gdy Stefan Kalski przegrał w karty swego anioła stróża. Lecz nie od tego chcę zacząć. Zacznę od pewnej sceny. Jest ciepły, lipcowy dzień. Łagodne wzgórze, a na nim jodłowy las na tyle rzadki, że promienie słońca przeświecają pomiędzy drzewami i kładą się na mchu oraz na szerokich liściach paproci. Troje dzieci: dwóch chłopców i dziewczynka, stoją obok zwalonego pnia. Dziewczynka ubrana jest w sięgającą kostek białą sukienkę z bufiastymi rękawami. Ma najwyżej trzynaście lat, ale nosi już gorset, który mocno ściska ją w pasie. Gorset ten każda współczesna nastolatka uznałaby za wyjątkowo wyrafinowane narzędzie tortur, lecz jasnowłosa Lucynka – bo dziewczynka ma na imię Lucyna – nie narzeka. Jest przyzwyczajona, tak jak obaj chłopcy są przyzwyczajeni do ciężkich wysokich butów, które noszą mimo upału. Poza butami mają na sobie granatowe spodnie, błękitne koszule oraz czapki z daszkiem, wciśnięte na mokre od potu włosy. Są mniej więcej w tym samym wieku co dziewczynka i wydają się identyczni: szczupli, kanciaci, z brązowymi czuprynami. Jednak uważniejszy obserwator mógłby dostrzec pewne różnice. Oczy jednego z nich są większe i bardziej okrągłe, drugi ma pieprzyk na skrzydełku nosa, a kiedy się denerwuje – tak jak teraz – lewa powieka drga mu nieznacznie.*



*Dzieci wpatrują się w coś, co leży na mchu, a na ich twarzach maluje się wyraz obrzydzenia, a zarazem ostrożnej ciekawości, która lada moment przerodzić się może w strach.*

*Z pobliskiej drogi dobiega turkot kół, rżenie koni, a także piski i śmiechy małych Sulewskich, którzy wraz z rodzicami wracają znad jeziora. Z głębi*



*lasu słysząc odgłos rąbania drwa, a gdzieś niedaleko ostro, jazgotliwie szczeka pies.*

*To ma znaczenie – te zwykłe, codzienne odgłosy, upał, słońce i fakt, że jest środek letniego dnia.*

*Ponieważ dzieci czują się bezpieczne. Wciąż są na tyle niewinne, by wierzyć, że zło nieodłącznie wiąże się z mrokiem, zimnem i samotnością. Tak więc to, co leży na mchu, nie budzi w nich przerażenia, choć powinno. Jeden z chłopców – ten z okrągłymi oczami, który ma na imię Benjamin, podnosi patyk...*

Beniamin końcem patyka trącił ludzką dłoń. Wsparta na pięciu sztywnych, lekko podkurczonych palcach, wyglądała jak osobliwy, blady pajak. Była duża – z pewnością należała do silnego, postawnego mężczyzny. Paznokcie były brudne i połamane, a na kostkach widniały otarcia, jakby niedawno dłoń ta zwinęła się w pięść i uderzyła w coś twardego i szorstkiego.

– Interesujące – wymruczał Beniamin. – Bardzo interesujące.

Polubił ostatnio to słówko i używał go w każdej sytuacji. Zwłaszcza gdy nie wiedział, co powiedzieć.

Dzieci koncentrowały wzrok na paznokciach, palcach i grzbiecie dłoni. Staraly się nie patrzeć w stronę przegubu, tam gdzie pośród masy czerwonobrazowej tkanki sterczały odłamki kości.

– Jest obrzydliwa. – Lucynka odgarnęła z twarzy kosmyk jasnych włosów. – Obrzydliwa!

Chłopcy skinęli głowami, uznając, że to najlepsze w tej sytuacji określenie. Odcięta ręka była paskudnym (a przez to fascynującym) przedmiotem. Żadne z dzieci nie kojarzyło jej z ludzkim cierpieniem.

Beniamin popchnął dłoń w stronę brata.

– Idzie do ciebie! Idzie! – wrzasnął.

Adam odskoczył. Był blady, spocony, a jego wargi drżały z oburzenia.

– Przestań! – Lucynka skarciła Beniamina, który cisnął patyk w paprocie i nonszalancko wzruszył ramionami. – Musimy o tym komuś powiedzieć.

– Powiemy naszemu ojcu. – Adam rzucił bratu wyzywające

spojrzenie. Był o kwadrans starszy, więc decyzja należała do niego, nigdy jednak nie wiedział, czy młodszy brat zaakceptuje ją, czy też sprzeciwi się ostro i bez żadnego powodu. Benjamin potrafił być kompletnie nieprzewidywalny. – On będzie wiedział, co robić.

\*\*\*

Dziesięć minut później na skrzyżowaniu dróg przy małej kapliczce chłopcy skręcili w prawo, zaś Lucynka w lewo. Obiecała mamie, że zjawi się na podwieczorek, i zamierzała obietnicy dotrzymać.

Szła wolno ze spuszczoną głową. Wzdłuż alei rosły obsypane żółtymi kwiatami lipy. Część płatków opadła już na ziemię i Lucynka od czasu do czasu kopała je energicznie czubkami eleganckich bucików. Za linią drzew ciągnęły się pola: ziemniaki po jednej stronie, lucerna po drugiej. W powietrzu fruwały kolorowe motyle i rozlegał się śpiew ptaków.

Od dziewięciu już lat dziewczynka spędzała w dolinie wakacje i znała tu każdy zakamarek. Dom należący do państwa Boleszów, rodziców bliźniaków, gdzie w deszczowe dni tak przyjemnie bawili się w chowanego. Dom państwa Sulewskich, którzy mieli sześcioro pociech, i dom pana Stefana Kalskiego, samotnika, który dzieci nie znosił. Dom pułkownika Otolskiego z mnóstwem egzotycznych pamiątek i oczywiście dom, w którym mieszkała wraz z matką, a który należał do Leokadii Iwińskiej, stryjecznej babki Lucynki. A także jeziorko, las, pola i wiejskie chaty...

Podniosła głowę. Liście lip były bardzo zielone, kwiaty bardzo żółte, a śpiew ptaków głośniejszy niż zwykle. Nawet kontury drzew wydawały się jakby... ostrzejsze. Jej świat, tak dobrze znany. Świat, w którym całkiem niedaleko leżało coś, co nie powinno się tu znaleźć.

Przyspieszyła kroku, a potem, gdy minęła zakręt i dostrzegła dom, zwolniła.

Jej matka stała przy furtce, rozmawiając z panem Andrzejem Boleszą.

Dziewczynka zatrzymała się w odległości kilku kroków. Czekwała grzecznie, nie chcąc przeszkadzać dorosłym.

Pan Bolesza nachylił się do ucha kobiety i szepnął coś. Jego dłoń spoczywała na jej ramieniu, palce delikatnie muskały jasne włosy – gest na pozór niewinny, który Lucynka widywała wielokrotnie i który nic dla niej nie znaczył.

Aż do teraz.

Stała, patrząc, jak pan Bolesza żegna matkę wymownym spojrzeniem, a potem odwraca się i odchodzi. Mijając Lucynkę, uchylił kapelusza i skłonił się, jakby miał do czynienia z szacowną damą. Zawsze w ten sposób traktował niedorośle panienki – zapewniało mu to sympatię nie tylko dziewczynek, ale przede wszystkim ich matek.

Ewa Iwińska otworzyła ramiona, a Lucynka podbiegła i w nie wpadła. Matka ścisła ją tak, jak tonący mógłby ścisnąć brzeg zbawczej deski – desperacko, zachłannie, niemal dusząc w obfitości białych i różowych koronek, które otulały jej biust. Dopiero po chwili wypuściła córkę z objęć.

– Coś się stało, kochanie? – zapytała. – Wyglądasz na bardzo bladą...

– Nic się nie stało – Lucynka skłamała z nabytą przez lata praktyką.

Właściwie nawet nie zdawała sobie sprawy, że kłamie. Na swój użytek nazywała to „dopasowywaniem się” do nastrojów matki, która zadając różne pytania, czasem spodziewała się uczciwej odpowiedzi, a czasem tylko zaprzeczenia. Lucynka bezbłędnie potrafiła odróżnić jedno od drugiego.

Ewa w roztargnieniu skinęła głową. Była wysoką, ładną i bardzo niezręczną kobietą. Wiecznie coś tłukła albo psuła i wiecznie dręczyła ją z tego powodu zażenowanie. Miało to pewien wdzięk – przypominająca nieporadne dziecko Ewa Iwińska w wielu ludziach budziła instynkty opiekuńcze, a mężczyźni dodatkowo jeszcze zauroczeni byli jej błękitnymi oczami i wąską talią.

Podczas podwieczorku Lucynka dwukrotnie uratowała obrus przed zalaniem, a raz szklanek przed stłuczeniem. Matka była bardziej niezgrabna niż zazwyczaj i dziewczynka domyślała się, jaki może być tego powód.

Milczały obie, bez apetytu dziobiąc widelczykami ciastka

z kremem. Nawet w cieniu werandy, gdzie siedziały, panowało nieznośne gorąco. Krem topniał i rozmazywał się po talerzykach, sok porzeczkowy był ciepły jak zupa, a stojące w wazonie kwiaty, zerwane zaledwie przed dwiema godzinami, już miały płatki zwarzone upałem.

– Ciocia nie zje z nami? – zapytała Lucynka, odsuwając talerzyk. Pożółkły, roztopiony krem wyglądał wyjątkowo niesmacznie.

– Nie, kochanie. Ciocia źle się czuje. Woląca zostać w swojej sypialni.

– Pewnie znowu myśli o śmierci. Ona wygląda już całkiem jak duch, prawda? Wczoraj przyłapałam ją, jak leżała, ściskając przy piersi krucyfiks. Zapytała mnie, czy jej zdaniem będzie ładnie wyglądała w trumnie.

– Och, moje biedactwo! – Ewa zerwała się z krzesła, by przytulić córkę. – To musiało być okropne przeżycie!

– To nic, mamó – wymamrotała dziewczynka.

Miała poczucie winy, ponieważ nie przejęła się ani widokiem ciotki, która udaje zmarłą, ani odciętą ręką. A przynajmniej nie przejęła się wystarczająco. Ewa sądziła córkę według samej siebie – gdyby Lucynka opowiedziała o odciętej ręce, matka niewątpliwie przeraziłaby się i może nawet wpadłaby w histerię, a od córki, która dłoń znalazła, oczekiwałyby jeszcze silniejszej reakcji. Lecz Lucynka nie miała najmniejszej ochoty na histerię i to właśnie była jej wina, wina braku wrażliwości, wina tego, że nie potrafiła dopasować się do wyobrażeń matki, wina polegająca na tym, że w ogóle coś takiego jej się przytrafiło, bo przecież dobrze wychowane dziewczynki nie znajdują w lesie odciętych rąk. Mogłaby zwierzyć się matce, a potem zacząć płakać lub udąć omdlenie – robiła to nieraz, tego popołudnia jednak czuła, że nie zdoła wydusić z siebie ani jednej łzy. Pamiętała o makabrycznym znalezisku, ale znacznie świeższe i bardziej bolesne było dla niej wspomnienie pana Boleszy, który przy pożegnaniu musnął delikatnie włosy jej matki.

– Porozmawiam z ciocią – obiecała Ewa i pocałowała ją w czoło. Lucynka, starannie unikając twarzy matki, wodziła wzrokiem za krążącą nad stołem pszczołą. – Nie powinna narażać cię na coś

takiego...

– Nie rób tego, mamo, proszę cię. Ciocia jest bardzo stara, a my powinniśmy wiele wybaczać starym ludziom.

Pani Iwińska westchnęła.

– Chyba masz rację... Jesteś bardzo mądra, kochanie.

W istocie Lucynka powtórzyła po prostu słowa, które matka wypowiedziała przed kilkoma tygodniami i o których zdążyła już zapomnieć. Dziewczynka знаła sporo podobnych sztuczek.

– Idź do swojego pokoju i odpocznij. – Matka raz jeszcze ucałowała córkę w czoło. – Jest zbyt upalnie, by biegać po okolicy.

Zazwyczaj Lucynka buntowała się przeciwko podobnym poleceniom. W pokoju było nudno i wcale nie mniej gorąco niż na zewnątrz. Tym razem jednak posłuchała bez słowa. Miała sporo do przemyślenia i potrzebowała odrobiny samotności.

\*\*\*

– Nie powinniście rzucać swoich rzeczy, gdzie popadnie. – Andrzej Bolesza podniósł z trawnika raketę do tenisa. – Spójrzcie, drewno już jest spalone. Ta rakietka nie nadaje się do gry.

– To nie moja, tylko Beniamina – powiedział pospiesznie Adam.

– Wcale nie, to twoja.

Umilkli pod wpływem potępiającego spojrzenia. Ojciec nie znosił, gdy zrzucali winę na siebie nawzajem.

Beniamin trącił brata łokciem. Starszy chłopiec nabrał w płuca powietrza, ale w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi i nie powiedział nic.

Andrzej Bolesza ruszył w stronę domu. Minął kort tenisowy i altankę. Nie oglądał się, choć wiedział, że synowie idą za nim w odległości kilku kroków.

– Powiesz mu czy nie? – szepnął Beniamin. – Mieliśmy powiedzieć, jak tylko wróci.

– Czekam na właściwy moment...

Mężczyzna zatrzymał się, by zawiązać sznurowadło. Beniamin wykrzywił się w minie oznaczającej „jeśli ty się boisz, to ja to zrobię”,

po czym oznajmił:

– Papo, w lesie leży ludzka ręka. Odcięta ludzka ręka.

Andrzej spojrział na młodszego syna, a potem na starszego. Adam przymknął oczy, desperacko zastanawiając się, co mogli zrobić źle. Może zamiast czekać na powrót ojca, powinni powiedzieć o wszystkim matce? Albo powinni przykryć dłoń liśćmi, aby nie natknęło się na nią przypadkiem jakieś dziecko? Andrzej Bolesza wyznawał zasadę, że rodzicielska miłość musi iść w parze z surowością. Im więcej jest miłości, tym więcej potrzeba surowości, by nie zepsuć dzieci, a ponieważ bardzo swoich synów kochał, więc karał ich nie tylko za prawdziwe winy, lecz także za wynikające z bezmyślności błędy.

Zawiązał sznurowadło, podniósł się i położył Beniaminowi ręce na ramionach.

– Nie kłamiesz, prawda? Nie wymyśliłeś sobie tego, sądząc, że będzie to zabawne?

– Nie, papo.

– Bo jeśli tak jest, to wiesz, co będę musiał zrobić...

Adam, który był bardziej wrażliwy i spostrzegawczy, pomyślał, że ojciec wygląda na przygnębionego, jakby z góry założył, że jego syn kłamie i że będzie musiał go ukarać.

\*\*\*

Ewa Iwińska usiadła przy pustym stole. Łokcie oparła o blat, a twarz skryła w dłoniach. Nie poruszyła się, gdy cicha, zręczna służąca sprzątała ze stołu talerze, szklanki i dzbanek porzeczkowego soku, w którym pływała utopiona pszczoła.

Po chwili usłyszała za plecami odgłos powolnych, starczych kroków i stukot laski. Dopiero wtedy się odwróciła.

„Wygląda jak duch” – powiedziała mała, mądra Lucynka i miała rację, po stokroć miała rację. Leokadia Iwińska rzeczywiście wyglądała jak zjawą.

Zatrzymała się na tle otwartych na ogród drzwi. Jaskrawa biel sukni wyłaniająca się z blasku słońca, miękkość siwych włosów

opadających jak pajęczyna na ramiona i jeszcze niżej, aż do pasa. I starcza twarz, pomarszczona i blada, w której lśniły zaskakująco ciemne oczy.

Serce Ewy zatrzymało się; straciła oddech i... „Boże, ktoś przeszedł po moim grobie” – zdążyła pomyśleć, czując, jak w ten upalny letni dzień ogarnia ją lodowate zimno.

Potem jej serce uderzyło mocno i szybko, raz za razem, jakby chcąc nadrobić stracony czas. Poczowała ból w piersi, który zelżał po chwili. Odetchnęła głęboko. Doprawdy, powinna poważnie porozmawiać z ciotką, wytłumaczyć, że w jej wieku nie wypada już ubierać się w białe suknie ani nosić rozpuszczonych włosów, że to wygląda dziwacznie i nawet... niepokojąco?

– Chcesz wiedzieć, co czyta twoja córka?

– S... słucham?

Dopiero teraz zauważyła, że Leokadia ściska coś w lewej dłoni. Przez głowę przemknęła jej absurdalna myśl, że to ów krucyfiks, z którym staruszka wybierała się do trumny, ale oczywiście była to po prostu książka.

– Och, nie patrz takim przerażonym wzrokiem. To nie to, co myślisz. Nasza Lucynka jak na razie czyta same przyzwoite dzieła.

Leokadia rzuciła na stół książkę w brązowej skórzanej okładce. Ewa podniosła ją i otworzyła na pierwszej stronie. *Podróże po Afryce*, przeczytała tytuł.

– Skąd ona to wzięła? To cioci książka?

– Nie. Ja czytam tylko krótkie pikantne romanse. A właściwie czytałam, bo teraz wzrok mnie już zawodzi. Sądzę, że Lucynka pożyczyła książkę od pułkownika Otolskiego.

Ewa ściskała w dłoniach skórzaną okładkę, zastanawiając się, dlaczego ciocia pokazała jej *Podróże*... By udowodnić, jak mało Ewa zna własną córkę? By pokazać, że Lucynka bardziej przypomina zmarłego ojca, który był niespokojną duszą, niż nieśmiałą matkę? Jeśli staruszka chciała ją w ten sposób zranić, to udało jej się w pełni.

– Lucynka ma prawo czytać literaturę podróżniczą – młoda Iwińska mówiła nienaturalnie powoli, walcząc z uciskiem w gardle. – Niech ciocia odłoży książkę tam, skąd ją wzięła... Albo ja to zrobię... –

Zerwała się z krzesła, czując, że lada moment wybuchnie płaczem. –  
Gdzie...

Umilkła, by schylić się po kartkę, która wypadła z *Podróży*...

– To moje. – Leokadia wyciągnęła rękę. – Skończyłam właśnie przed chwilą.

Ewa patrzyła, nic nie rozumiejąc.

– Wiersz, który skończyłam przed chwilą pisać i który schowałam do książki, żeby nie zgubić – wyjaśniła staruszka cierpliwie.

– Ciocia pisze wiersze?

– Dla ścisłości, to wierszowane epitafium na mój nagrobek.

– Dość tego! – Głos Ewy załamał się. – To absurd, przecież tak nie można, ciocia straszy moją córkę tym... tym opowiadaniem o śmierci. To niezdrowe...

– Ależ kochanie – starsza pani wciąż spoglądała z cierpliwą wyrozumiałością, jakby miała przed sobą niesforne, lecz urocze dziecko – co złego w tym, że człowiek chce przed śmiercią pozłatwiać wszystkie sprawy?

– Ciocia nie jest chora ani nic. Ciocia będzie jeszcze długo żyła.

– Umrę za trzy dni, w piątek, kwadrans po siódmej wieczorem.

Ewa zamarła z otwartymi ustami.

– Nie wierzę – powiedziała, gdy udało jej się odzyskać głos. – Nie wierzę – powtórzyła, choć niemal uwierzyła.

„Wygląda jak duch” – przypomniała sobie słowa Lucynki, a potem opowieści o stojących nad grobem starcach, którzy potrafili przeczuć własny zgon. Sporo ich słyszała. Jedna z jej przyjaciółek twierdziła nawet, że w pewnym wieku, gdy śmierć jest coraz bliżej, ludzie stają się wrażliwi na to, co znajduje się po drugiej stronie, że starcy mają bądź przynajmniej mogą mieć... pewne zdolności.

Odpędziła od siebie podobne myśli.

– To chorobliwa obsesja – oznajmiła stanowczo. – Ciocia powinna przestać się zadrećcać, a przede wszystkim proszę nie mówić takich rzeczy przy Lucynce.

– Jak sobie życzysz. – W oczach staruszki pojawił się ledwo dostrzegalny ślad kpiny.

Odwróciła się, by odejść, a Ewa przyjęła poprzednią pozycję: łokcie



oparte o stół, twarz skryta w dłoniach. Czekala, az za plecami uslyszy postukiwanie laski i odglos krokow, ktore tym razem beda sie oddalac, a nie zbliczac.

Nie doczekala sie.

– Co ja mam zrobic? – zapytala po chwili, nie odrywajac dloni od twarzy. – Co ja mam zrobic?

Nie miala na myśli ani problemu zwiazanego z podroznicza ksiazka, ani faktu, ze Lucynka moze wystraszyc sie opowieści o smierci. Chodzilo o cos zupełnie innego i Leokadia Iwińska doskonale o tym wiedziala.

– Wyjedz stąd – poradzila. W jej glosie nie bylo juz wyrozumialosci; teraz brzial sucho, niemal rozkazujaco.

– Nie moqe – jeknela Ewa, a potem dodala: – Taka jestem nieszczesliwa...

Staruszka wzruszyla ramionami.

– Jesteś nieszczesliwa od trzydziestu lat, moze powinnaś sie wreszcie przyzwyczaić.

Ewa wybuchnela placzem, a Leokadia poklepala ja po ramieniu – dosc zdawkowo, bez prawdziwego wspolczucia.

– Nie chodzi o to, ze spotykasz sie z zonatym mezczyzna. Ja w twoim wieku robilam gorsze rzeczy.

– To dlaczego mam wyjechać? – Kobieta uniosla na ciotke zalawione oczy.

– Oni sie nudza – rzucila starsza pani pozornie bez związku. – Przyjezdza ja wraz z zonami i dziecmi, poniewaz spedzanie wakacji na wsi, w swojej wlasnej wiejskiej posiadlosci nalezy do dobrego tonu, ale tak naprawde tylko sie tutaj nudza. Mezczyzni! – W jej ustach to slowo zabrzmialo niczym nazwa odmiennego, groznego i fascynujacego zarazem gatunku. – Meczaja sie, spedzajac czas w towarzystwie rozwrzeszczanych dzieci oraz marudnych zon i tesknia za miejskimi rozrywkami.

Ewa zamrugala.

– Nie rozumiem...

– Mowie o brydzu. Tym wlasnie zajmuja sie mezczyzni, kiedy chca uciec na jakis czas od rodzin i pobyc we wlasnym gronie, prawda?

Najczęściej grają u Boleszów, czasem też u Kalskiego albo Otolskiego.

– Co w tym złego?

– Zapytaj kiedyś swojego Andrzeja, o co grają, jakie są stawki. I zapytaj go o Michała Wolczka, który przyjechał kilka dni temu i zatrzymał się w gospodzie Pod Dwoma Gołębiami.

– Skąd ciocia to wszystko wie? Przecież ciocia prawie nie wychodzi z domu...

Staruszka uśmiechnęła się, jakby zgadując jej myśli.

– Nie ma w tym nic nadnaturalnego, moja droga. Starsze panie lubią słuchać plotek, a w naszej dolinie służący są tak samo ciekawscy jak w każdym innym miejscu. A poza tym – pochyliła się do jej ucha – wiem także, że od dwóch tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu, że jest gorąco, nienaturalnie wręcz gorąco i duszno, jak przed burzą, a przy takiej pogodzie... kto wie? Sporo rzeczy może się zdarzyć.

\*\*\*

– To nie w porządku – wymamrotał Adam, ukradkiem ocierając łzy. – Przecież nic złego nie zrobiliśmy. Ojciec nigdy jeszcze nie był taki niesprawiedliwy.

– Och, zamknij się – warknął Beniamin.

Leżeli w swoim pokoju, starszy chłopiec na łóżku, a młodszy na dywanie. Żaden z nich chwilowo nie próbował siadać – ojcowski pas znów był w użyciu i Adam miał na pośladkach cztery krwiste pręgi, a Beniamin, jako bardziej winny, aż sześć.

Przed godziną Andrzej Bolesza wrócił do domu i oznajmił, że wraz z dwójką służących przeszukał cały lasek, ale ręki nie znalazł.

– Była tam, prawda? – wymruczał Adam w kierunku ściany. – Przecież nam się nie zdawało...

– Zamknij się wreszcie – powtórzył Beniamin. – Jakie to ma znaczenie? I tak nikt nam nie wierzy.

Starszy chłopiec skulił się i wcisnął twarz w poduszkę, starając się stłumić szloch. Dopiero brat by się nad nim znęcał, gdyby teraz zaczął płakać jak dziecko. Beniamin był inny, najwyraźniej ulepiony z twardszej gliny. Powścieka się trochę z powodu niezasłużonego

lania, a potem przestanie się przejmować, Adam dobrze o tym wiedział. Wiedział też, że on sam długo jeszcze będzie chował urazę do ojca, który ich zawiódł.

\*\*\*

*Tak więc o zachodzie słońca wszyscy są nieszczęśliwi.*

*Prawie wszyscy, bo Leokadia Iwińska siedzi wygodnie na werandzie, kotysze się w bujanym fotelu, spogląda w wieczorne niebo i nucąc coś cicho, rozmyśla, czy „co dajemy ciału” na pewno dobrze rymuje się z „nieutuleni w żalu”.*

*Poza nią wszyscy cierpią. Chłopcy, którzy wciąż jeszcze czują na skórze ślady ojcowskiego pasa. Andrzej Bolesza, który ukarał synów, choć doskonale wie, że byli niewinni. A także Ewa Iwińska, którą przeraża związana z macierzyństwem odpowiedzialność i która czuje się zbyt słaba, grzeszna i niegodna, by przeprowadzić córkę przez okres dojrzewania. A Lucynka jest w niebezpiecznym wieku: zbyt młoda, by traktować ją jak dorastającą pannę, i zbyt duża, by widzieć w niej po prostu dziecko. Poza tym Lucynka różni się od matki, o czym pani Iwińska boleśnie się dziś przekonała. Jak zapanować nad dziewczynką marzącą o podróży do Afryki?*

*I wreszcie Lucynka, która w nocnej ciszy swego pokoju zastanawia się, jakie konsekwencje może mieć fakt, że jej matka ma kochanka. Zakazana miłość kojarzy się dziewczynce z tragedią i towarzyskim ostracyzmem, a także – prawdopodobnie pod wpływem przeczytanej kiedyś powieści – z pokropionymi perfumami liścikami, małymi buteleczkami trucizny oraz – z powodów, jakich nie potrafiłaby wyjaśnić – z niesmacznymi drożdżówkami w kolejowym barze.*

*Z wyjątkiem liścików żadne z tych skojarzeń nie jest przyjemne, więc Lucynka zaczyna płakać. Rozpacza tak, jak zdarza się to dzieciom: z całego serca i w przekonaniu, że jest najbardziej nieszczęśliwą istotą na świecie, ale naprawdę głęboko wierząc, że teraz, gdy tak strasznie cierpi, coś na pewno zmieni się na lepsze. Tak bywa w bajkach, a poza tym Bóg przecież wynagradza krzywdy.*

*Cud nie nadchodzi, lecz Lucynka, wyplakawszy się, odzyskuje dobre*

samopoczucie. Sięga po chusteczkę, wydmuchuje nos, a potem postanawia zejść do kuchni, by napić się mleka. Jest późno, zegar właśnie wybił jedenastą. Pije mleko, wpatrzona w okno, w ciemną linię brzoźowego zagajnika, który rozciąga się niedaleko domu. Tej nocy księżyc świeci mocno, widać żuraw przy starej studni, jabłoń, płot, a nawet wiklinowe krzesło, które służąca zapomniała zabrać z ogrodu. Lecz dalej, tam gdzie zaczyna się zagajnik, niepodzielnie panuje mrok.

Posadzka w kuchni jest zimna, a dziewczynka przyszła tu boso. Podnosi więc jedną stopę i pociera nią o łydkę, potem to samo robi z drugą.

Spomiędzy drzew wychodzi jakaś postać, zatrzymuje się na chwilę, a potem rusza w stronę domu.

Lucynka wstrzymuje oddech.

Jest ciemno i jest sama, więc boi się znacznie bardziej niż dziś po południu, gdy znaleźli odciętą dłoń. Uspokaja ją jednak fakt, że wystarczy krzyknąć, a ktoś na pewno się obudzi i do niej przybiegnie.

Mężczyzna – bo po sylwetce widać już, że to mężczyzna – przystaje w odległości kilkunastu metrów od domu. Tkwi nieruchomo przez dłuższą chwilę i dziewczynka nabiera odwagi. Podchodzi do okna, otwiera je, po czym wychyla się i wreszcie w mroku dostrzega już nie tylko sylwetkę, lecz także rysy twarzy.

Mężczyzna unosi prawą dłoń i kiwa w jej kierunku, jakby zachęcając, by wyszła do niego w ciemność.

Lucynka cofa się gwałtownie.

Nieznajomy unosi lewą rękę, tym razem z pewnością nie po to, by skinąć dłonią. Nie mógłby tego zrobić, bo lewa ręka kończy się na wysokości nadgarstka.

Lucynka krzyczy, a mężczyzna odwraca się i odchodzi bez pośpiechu.

Kiedy przybiega przerażona Ewa i pyta, co się stało, córka odpowiada, że na zewnątrz jest ktoś obcy. O tym, że brakuje mu dłoni, nic nie wspomina.

## 2.

– Damy je tutaj, do składziku... Albo nie, czekaj, zaniemiemy do

piwnicy.

Przemko sapnął, uginając się pod ciężarem dwu wyświechtanych i niezbyt czystych walizek ze świńskiej skóry. Co prawda żadna z nich nie ważyła dużo, lecz chłopak nie pomijał żadnej okazji, by pokazać, jak bardzo jest wykorzystywany. Był posługaczem w gospodzie Pod Dwoma Gołębiami i szczerze tej pracy nie cierpiał.

Zeszli po wąskich, zakurzonych schodkach – najpierw wdowa Gołąb z lampą naftową, a za nią Przemko, który z trudem hamował się, by nie następować staruszce na pięty.

– Rzuć je tutaj. – Wskazała miejsce obok beczek z kiszoną kapustą.

– Zawilgocą się i zgniją – zaprotestował.

– Nie szkodzi, tam są tylko stare łachy i trochę książek. Jak Wolczek nie wróci w ciągu trzech dni, to książki wyrzucę, a łachy dam księdzu, niech biednym rozda. Do trzech dni się nie zmarnują.

– On może jeszcze wrócić?

– Kto go tam wie. Wczoraj cały dzień w pokoju przesiedział, koło północy dopiero wylazł i staremu Kosmie powiedział, że sobie stąd idzie i że z jego rzeczami możemy robić, co nam się podoba. Ale ja Kosmie nie ufam, to pijus jest, więc może i co nazmyślał. Widział to kto, żeby tak wyjeżdżać w środku nocy i wszystkie swoje łachy zostawiać? Chociaż z tym Wolczkiem od początku coś nie tak było, a teraz jeszcze szpicel z miasta przyjechał o niego wypytywać... – Wdowa Gołąb się skrzywiła.

Była wyraźnie nie w humorze, a Przemko zgadywał, że ma to związek z nieoczekiwanym przybyszem.

– Ciocia rozmawiała z tym detektywem? – zagadnął, ostrożnie ciągnąc ją za język.

Staruszka złagodniała, na jej twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu. Lubiła, gdy nazywał ją ciocią, choć nie byli spokrewnieni.

– Co miałam nie rozmawiać, ze wszystkimi gadał, to i ze mną też. Wypytywał, co Wolczek tu robił, tom mu powiedziała, że nic szczególnego, trochę po okolicy łąził, a wieczorami wielmożni państwo do domów na karty go spraszali, choć on był biedak, a oni to bogacze. Ale dokąd w nocy pojechał, nic nie wiem, to i nic powiedzieć nie mogłam. Tyle że później wymyknęły mi się o dwa

słowa za dużo. – Splunęła na ziemię.

– O panu Boleszy, który przyszedł tu dziś rano i grzebał w rzeczach Wolczka?

Niechętnie skinęła głową. Pan Andrzej Bolesza zjawiał się w gospodzie jakoby po to, by zapytać o zdrowie Wolczka, a gdy dowiedział się, że ten wyjechał, zostawiając większość swoich rzeczy, poprosił właścicielkę gospody o klucz do jego pokoju. Wdowa Gołąb zgodziła się, choć nie powinna, i miała teraz podwójne poczucie winy – po pierwsze dlatego, że w ogóle klucz dała, a po drugie dlatego, że gdy to już zrobiła, nie potrafiła utrzymać języka za zębami i zdradziła szlachcica przed detektywem.

\*\*\*

– Pan nie rozumie – oznajmił Andrzej Bolesza.

– Pan nie rozumie – powtórzyła jak echo jego żona, szczupła blondynka o rysach tak ostrych, jakby ktoś wyciął je brzytwą.

Stojący na środku salonu mężczyzna skulił się, wciągając głowę w ramiona. Wyglądał niemal jak karykatura cyrkowego osiłka: krótkie nogi i potężne bary, dłonie niczym dwa bochny chleba, szeroki kark i twarz, na której malował się wyraz ponurej zaciętości. Jego ruchy zagrażały cennym porcelanowym bibelotom, a akcent drażnił wrażliwe uszy państwa Boleszów.

Pan Andrzej bawił się, przesuwając między palcami wizytówkę osobliwego gościa. „Wawrzyniec Mazur, prywatny detektyw”.

Andrzej Bolesza nigdy wcześniej nie widział prywatnego detektywa. Teraz pomyślał sobie, że niewiele stracił.

– Szukam Michała Wolczka – upierał się Mazur. – Wielmożni państwo powinni coś o nim wiedzieć. Gdzie jest? Gdzie może być? Państwo przyjmowali go w domu, kolegowali się z nim.

Pani Bolesza uniosła lekko brwi. Cóż to za słowo: kolegowali się? Podeszła do męża, który objął ją ramieniem. Oboje mieli identyczny wyraz twarzy, wyrażający chłodną uprzejmość i razem wyglądali jak znakomicie się rozumiejąca para. W rzeczywistości ich małżeństwo przestało istnieć przed trzynastoma laty, gdy pani Bolesza, urodziwszy

dwóch synów, jasno dała mężowi do zrozumienia, że jej obowiązki żony na tym się kończą. Wciąż jednak zdarzało im się od czasu do czasu zwierzać szeregi wobec wspólnego wroga i byli wtedy zdumiewająco wręcz zgodni.

– Pan Wolczek przebywał w dolinie przez tydzień, gościł u nas czasami, a wczoraj zdecydował się odjechać. Dlaczego mielibyśmy go zatrzymywać lub pytać, dokąd się udaje?

– On nie wyjechał tak po prostu. W gospodzie Pod Dwoma Gołębiami, gdzie mieszkał, została większość jego rzeczy. A pan poszedł rano do gospody, przeglądał te rzeczy i być może zabrał...

– Nie byłem w gospodzie, nie przeglądałem niczyich rzeczy i niczego nie brałem. Jeśli ktoś tak twierdzi, to kłamie.

Detektyw nie znalazł odpowiedzi. Andrzej Bolesza westchnął.

– Pan nie rozumie... – powtórzył raz jeszcze i to krótkie zdanie znaczyło więcej, niż mogłoby się wydać.

Znaczyło, że detektyw nie wie, jak uprzejmie rozmawiać z kimś lepiej urodzonym, że nie pojmuje, iż państwo Boleszowie w ogóle nie mają ochoty rozmawiać, że pani domu już od dziesięciu minut daje mu dyskretne sygnały oznaczające „pora pożegnać się i wyjść”, a pan domu lada moment wezwie służącego, by pomógł wyrzucić kłopotliwego gościa. Znaczyło, że nawet gdyby państwo Boleszowie zniżyli się do tego, by wyjaśnić mu różne kwestie, to i tak na nic by się to nie zdało, bo Mazur po prostu nie jest w stanie zrozumieć ich sposobu myślenia, jest człowiekiem z innej sfery, o innej, mniej wyrafinowanej psychice i znacznie niższej inteligencji. A w przypadku pani Boleszy owo „pan nie rozumie” oznaczało także, że kobieta zaczyna się nudzić i że najchętniej wróciłaby do układania kwiatów.

Z tego wszystkiego do Mazura dotarło tylko tyle, że niczego się nie dowie i powinien wyjść. Pożegnał się więc krótkim skinieniem głowy, a pan Bolesza w ostatniej chwili zdążył zawołać służącego i polecić mu, żeby odprowadził gościa. Bądź co bądź po drodze do drzwi znajdowało się sporo przedmiotów, które warto ukraść.

Pani Bolesza podeszła do stołu i poprawiła stojące w wazonie róże. Czerwień odmiany Madelon ładnie kontrastowała z żółto-różową barwą Glorii Dei, a trzy fioletowe Mainzer Fastnacht nadawały

kompozycji niepokojący, lekko dekadentcki wygląd. Pani Bolesza kochała kwiaty bardziej niż własne dzieci. Uwielbiała pracować w ogrodzie w jedwabnych rękawiczkach, przycinać i krzyżować różne odmiany, a potem układać wielobarwne bukiety.

Andrzej Bolesza stanął za jej plecami. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał objąć żonę, zrezygnował jednak. Róże odbijały się w wypolerowanej powierzchni stołu. Czerwień odmiany Madelon i żółć Glorii Dei, a obok lodowaty błękit sukni.

– Jak sądzisz, czy Wolczek uciekł z powodu tego, co zrobił Kalski?  
– zapytała cicho kobieta.

Żałowała, że mimo sprzeciwu męża dwa razy wzięła udział w brydżu. Wolałaby nic o tym nie wiedzieć; żyłaby wtedy spokojnie, zajmując się kwiatami, a Andrzej niech się martwi o anioły, odcięte dłonie i tajemniczych przybyszy z taliami kart.

\*\*\*

Wawrzyniec Mazur podniósł kamień, zważył go w dłoni i cisnął w drzewo. Oburzona wiewiórka umknęła na sam czubek, a kamień z cichym stukotem spadł w rosnące wzdłuż drogi jeżyny.

Mężczyzna przetarł spocony kark. Kołnierzyk koszuli uwierał, a na prawej stopie znów zrobił się odcisk. Będzie trzeba go wyciąć – paskudna robota i kolejna porcja cierpienia. Jakby nie dość było swędzącej wysypki w intymnym miejscu, niestrawności, ćmiącego bólem zęba i drzazgi, która wlaźła pod paznokiec tak głęboko, że palec spuchł, nim cyrulik zdołał ją wydlubać – a wszystko to tylko w okresie trzech ostatnich dni.

Detektyw nigdy nie był poważnie chory, za to dręczyły go dziesiątki drobnych dolegliwości. Czasem jedna, częściej po kilka naraz. Na miejsce wyleczonej zaraz zjawiała się druga, podobna albo zupełnie inna.

Wawrzyniec Mazur był wściekły niemal przez całe swoje dorosłe życie, każdego dnia od obudzenia aż do zaśnięcia. Czasem zdawało mu się, że jest to skutkiem owych dolegliwości, a czasem, że ich przyczyną, jakby jego organizm starał się wyrzucić z siebie złość



w postaci pryszczki, gorączki i bólu.

Dzisiaj wściekłość skierowana była przeciw państwu Boleszom, a zwłaszcza pani Boleszy. Detektyw z chęcią zabroniłby żyć takim kobietom: bezwartościowym, o skórze białej jak krochmal i kościach tak kruchych, że mężczyzna mógł złamać je przy silniejszym uścisku. Chętnie nawet zabiłby ją sam, gdyby tylko miał ku temu okazję, zmiażdżyłby jej głowę albo skręciłby kark, by poczuć choć chwilową ulgę.

Zamiast tego podniósł z drogi kolejny kamień i cisnął w kolejną kępę jeżynowych krzewów.

Odpowiedział mu cichy okrzyk. Gałęzie rozchyliły się i wychynęła spomiędzy nich potargana czupryna kilkunastoletniego chłopca. Dzieciak wyszedł na drogę, a za nim drugi, niemal identyczny. Po chwili dołączyła do nich dziewczynka.

– Pan rzucił w nas kamieniem – powiedział ten, który pokazał się pierwszy.

– Nie wiedziałem, że tam jesteście – wyjaśnił Mazur, a po chwili wahania dodał: – Przepraszam.

Był dość uczciwy, gdy to mówił. Chłopcy byli pokłuci kolcami, opaleni i niezbyt czysti, a dziewczynka miała liście we włosach i rozdarty dół sukni. Mimo eleganckich ubrań cała trójka przypominała dzieci, które spotykał w ubogich dzielnicach, i widok ten podziałał na niego kojąco.

– Pan jest detektywem, prawda? – zapytał jeden z chłopców. – Nasz ojciec wspominał, że po okolicy chodzi detektyw, który wszystkich wypytuje. Czego pan szuka?

Mazur usiadł na poboczu drogi, wyjął papierośnicę oraz pudełko zapalek i zapalił. Powróciło swędzenie w kroczu, lecz zwalczył chęć, by się podrapać. Niespodziewanie trafił na szansę, może ostatnią, jaką miał. Dorośli albo zamykali mu drzwi przed nosem, albo też – jak pan Bolesza – kłamali, twierdząc, że nic nie wiedzą. W dzieciach mniej było dystansu i niechęci. Gapiły się na Mazura z ciekawością, niczym na szympansa w zoo. Nie przeszkadzało mu to. Wolał takie właśnie gapienie się niż na pozór uprzejme, ale w gruncie rzeczy pełne pogardy uśmiechy ich rodziców.

Dzieci przedstawiły się, lecz zwrócił uwagę tylko na nazwisko chłopców. Imion nie zapamiętał – przecież i tak nie zdoła braci rozróżnić, a dziewczynka, jako istota z natury bardzo głupia, w ogóle go nie interesowała.

Podał jednemu z chłopców wizytówkę.

– Szukam człowieka o nazwisku Wolczek, Michał Wolczek. Może zdołacie mi pomóc. Jeśli jest coś, co...

\*\*\*

– Widzieliśmy? Na przykład porzucona w lesie ludzka ręka? Tego pan szuka? – wyrwał się Benjamin, ten sam Benjamin, który z premedytacją zapytał kiedyś sąsiadkę o zdrowie jej nieżyjącego dziecka.

Przed półgodziną cała trójka zgodziła się, że nie będą więcej mówić o wczorajszym znalezisku. Dorośli nie wierzyli im i mogli z tego powodu mieć tylko kłopoty. Benjamin złamał umowę bez słowa ostrzeżenia i uśmiechał się teraz niczym złośliwy chochlik, najwyraźniej bardzo zadowolony z mieszaniny zdumienia i złości, jaka widniała na twarzach brata oraz Lucynki.

Mazur zaciągnął się ostatni raz papierosem, po czym rzucił niedopałek na drogę.

– Zamiast jednej ręki wolałbym całego człowieka. Ale kto wie, może to mi jakoś pomoże. Gdzie ją znaleźliście?

– W lesie, niedaleko jeziora – wtrącił pospiesznie Adam. – Powiedzieliśmy o tym ojcu, ale kiedy on tam poszedł, już jej nie było. Papa sądzi, że to zmyśliliśmy. Pan nam wierzy?

Detektyw wzruszył ramionami.

– Dlaczego mielibyście zmyślać? Nie wyglądacie na takich.

Prostota tego rozumowania była zdumiewająca. Z twarzy Beniamina zniknął złośliwy uśmiech, a Adam zakręcił się niespokojnie w miejscu i spojrzał w bok, unikając oczu detektywa. „Nie wyglądacie na takich”. Ich własnemu ojcu nie przyszło to do głowy, on ukarał synów, choć byli niewinni, i dopiero obcy człowiek dostrzegł, że bracia nie mogliby kłamać, bo po prostu na to nie wyglądają.

Lojalność wobec ojca walczyła w Adamie z przyływem sympatii do detektywa. Z przypadkowo spotkanego nieznanego Mazur stał się kimś znacznie bliższym; był teraz towarzyszem i współnikiem dzielącym z nimi sekret.

– Pomożecie mi, prawda? – zapytał detektyw.

Bracia już mieli przytaknąć, gdy niespodziewanie wtrąciła się Lucynka.

– A co dostaniemy w zamian?

Beniamin był gotów pomóc, ponieważ uznał, że to może być zabawne, a Adam z powodu sympatii, jaką poczuł do nieznanego. Jednak Lucynka potrzebowała czegoś więcej.

– Coś powinniśmy dostać...

\*\*\*

– ...prawda? – upierała się ta mała wredna dziewczucha, której w ogóle nie brał pod uwagę.

Co on mógł im dać? Pieniądze? Poszedłby o zakład, że niejedna zabawka tych gówniarzy jest więcej warta niż jego miesięczne zarobki. Poprawił pozycję, bo jakieś suche badyle wbijały mu się w tyłek. Cholerne gorąco, cholerna wieś.

– Nie wiem... – zaczął z wahaniem, ale nim zdążył dokończyć, dziewczyna wpadła mu w słowo:

– Na przykład może nam pan opowiedzieć, czemu szuka pan tego mężczyzny.

Wzruszył ramionami.

– Robię to na polecenie człowieka, który mi zapłacił. Ja sam nic do Wolczka nie mam.

– A kto panu zapłacił?

– Nie mogę powiedzieć – warknął coraz bardziej zirytowany. Z normalnymi dzieciakami dogadałby się bez trudu, oferując im słodczyce albo drobne monety, ale te tutaj były dla niego obce niczym leśne skrzaty z wiejskich bajęd. – To bardzo tajemniczy człowiek.

– Świetnie! – Usta dziewczynki rozciągnęły się w idiotycznym uśmiechu. Co, do kurwy nędzy, mogło w tym być świetnego? – My

panu pomożemy, a w zamian pan nam zdradzi tajemnicę. To znaczy nie chodzi mi o nazwisko tego człowieka, bo i tak nic byśmy z tego nie mieli, ale mógłby pan po prostu nam o nim opowiedzieć. Jaki jest, co lubi. Takie... najważniejsze, najbardziej charakterystyczne cechy. Jedna informacja za jedną cechę. Zgadza się pan? Właściwie możemy zacząć od zaraz, już panu pomogliśmy, bo powiedzieliśmy o odciętej ręce.

Złość Mazura powoli przechodziła w zmieszane z pogardą rozbawienie. Charakterystyczne cechy!

Spojrzał na chłopców, którzy gorliwie kiwali głowami. Najwyraźniej pomysł im się spodobał.

– Mój mocodawca jest bardzo bogaty. – Miny dzieci wydłużyły się na tak oczywistą odpowiedź, a detektyw uśmiechnął się z satysfakcją.  
– Jeśli chcecie więcej cech, dowiedzcie się, gdzie mogę znaleźć Wolczka, i przyjdźcie do gospody Pod Dwoma Gołębiami. Tam się zatrzymałem. I jeszcze jedno...

Zawahał się. To było znacznie ważniejsze niż odnalezienie Wolczka, lecz Mazur zdawał sobie sprawę, że właśnie teraz może zrazić do siebie chłopców. Cudacznik czy nie cudacznik, z pewnością swojego ojca kochali.

– Wolczek miał pewien przedmiot, błękitne safianowe pudełeczko z talią kart w środku. To pudełko prawdopodobnie zabrał wasz ojciec.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – Zmarszczył brwi jeden z bliźniaków.  
„Bo jest złodziejem, mój drogi chłopcze” – odpowiedział detektyw w myślach. Złodziejem, kłamcą, skurwysynem, a może i czymś gorszym.

Głośno jednak powiedział, starając się, aby zabrzmiało to obojętnie:

– A skąd mam wiedzieć? To nieważne. Po prostu byłbym wdzięczny, gdybyście znaleźli te karty i mi przynieśli.

Chłopcy gapili się na niego, a detektyw nie potrafił zinterpretować ich spojrzeń. Irytowały go ich szeroko otwarte szare oczy, irytował upał i dziewczynka, która patrzyła w bok, tak że nie widział jej twarzy. Nawet jeśli bliźniacy znajdą te cholerne karty, to zanim cokolwiek z nimi zrobią, prawdopodobnie najpierw zapytają kochanego tatusia o pozwolenie.

Szlag, kurwa i jedno wielkie gówno, pomyślał, oceniając swoje szanse.

\*\*\*

– Beniamin?

– Co?

Lucynka spojrzała niespokojnie na Adama, który wyprzedzał ich o kilkanaście kroków. Szedł ze spuszczoną głową i dłońmi wbitymi w kieszenie. Chyba nawet nie zauważył, że dziewczyna specjalnie zwolniła tempo, pociągając za sobą Beniamina.

– Przyszło ci może do głowy, że... no wiesz, kiedy wasz ojciec poszedł szukać tej ręki, a potem wrócił i powiedział, że jej nie ma... No wiesz, czy to nie jest dziwne, że ona znikła akurat wtedy? Kto mógłby ją zabrać? Dlatego sobie pomyślałam...

– Że tak naprawdę nasz papa ją znalazł, tylko nie chciał się przyznać?

– Nie gniewasz się?

Chłopak wzruszył ramionami. Wyglądał na przygnębionego, ale nie aż tak bardzo, jak przygnębiony byłby Adam, gdyby wpadł na taką myśl.

Lucynka zamilkła. Podejrzenie dręczyło ją już od paru godzin, lecz gdy wreszcie wypowiedziała je na głos, jej samej wydało się idiotyczne.

– Spróbuję poszukać tych kart – powiedział po chwili chłopak. – Znam trochę papę, wiem, gdzie ma różne swoje skrytki. A jeśli je znajdę... – urwał, bo nie miał pojęcia, co wtedy zrobi, ani nawet czy obecność kart w domu faktycznie będzie świadczyć o winie ojca.

\*\*\*

Myśli Adama były bardziej chaotyczne, a chłopak nawet nie starał się ich uporządkować. W przeciwieństwie do brata, zamiast analizować problem czy rozważać różne możliwości, wolał zdać się na instynkt.

Teraz instynkt podpowiadał mu, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Wyczuwał je tak, jak niektórzy wyczuwają zmianę pogody. Coś było nie w porządku, coś jak skaza na szkle, fałszywa nuta w muzyce czy plama na doskonałym obrazie. Zaczęło się od odciętej ręki... Chociaż nie, zreflektował się, już wcześniej zdarzały się różne drobiazgi.

Na przykład przed kilkoma dniami wstał w nocy, by napić się wody, a gdy przechodził obok gabinetu ojca, usłyszał dobiegający stamtąd odgłos kroków. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, od ściany do ściany. Andrzej Bolesza nigdy wcześniej nie krążył w ten sposób.

Albo koń, który w niejasnych okolicznościach zranił się w nogę, i niespokojnie pytanie matki: „Myślisz, że to Wolczek...”. Pytanie urwane w połowie, bo wtedy właśnie matka zorientowała się, że Adam stoi w drzwiach.

I wreszcie ów dziwny błysk w oczach ojca, który pojawiał się, gdy była mowa o grze w karty. Adam dostrzegł go kilka razy w ciągu ostatniego tygodnia i nie potrafił zrozumieć. Chyba nawet nie chciał rozumieć.

Jego myśli zaczęły krążyć wokół rewolweru, który ojciec trzymał w szufladzie biurka. Adam kiedyś zakradł się do gabinetu i wziął broń do ręki. Wciąż pamiętał jej chłód, ciężar i to dziwne uczucie, jakie go ogarnęło. Jakby stał się inny, bardziej dorosły, zdolny do... różnych rzeczy.

Rewolwer kojarzył się z obroną przed zagrożeniem, a jednocześnie sam stanowił zagrożenie. To było skomplikowane i Adam, siedząc na schodach domu, bezskutecznie próbował ową sprzeczność rozplątać.

Było gorąco i cicho, tylko z głębi budynku dobiegały od czasu do czasu głosy służących. Matka spędzała czas w ogrodzie, ojciec miał gościa, pana Otolskiego, z którym rozmawiał w bibliotece, a Benjamin zapomniał chwilowo o zabawie w detektywa i poszedł zobaczyć, jak stajenny ujeżdża młodego konia.

Adam wrócił myślami do rewolweru. Gdy detektyw poprosił nas o pomoc, sami staliśmy się w pewnym sensie detektywami, a więc powinniśmy mieć broń, tłumaczył sam sobie, jednocześnie świadom,

że to kiepska wymówka. Nie mógł bez wiedzy ojca pożyczyć rewolweru i nosić przy sobie, bo nie miałby gdzie go schować.

Niemniej jednak chciał go zobaczyć, choć na chwilę wziąć do ręki.

Podniósł się i wszedł do wnętrza domu. Tu było chłodno i ciemno, bardzo ciemno. Zamrugał i po chwili jego wzrok przyzwyczał się do półmroku. Chłopiec czuł się winny, choć jeszcze nic złego nie zrobił.

Minął bibliotekę, w której ojciec rozmawiał z panem Otolskim, i wszedł do gabinetu.

Pod oknem stało okazałe biurko z włoskiego orzecha. Andrzej Bolesza lubił duże, eleganckie meble, tak samo jak lubił pełnokrwiste konie oraz – z tego ostatniego jego syn jeszcze nie zdawał sobie sprawy – piękne kobiety.

Adam, który znał doskonale wszystkie ojcowskie skrytki, znalazł kluczyk, włożył go do zamka, przekręcił i wysunął szufladę.

Rewolwer był dokładnie taki, jak zapamiętał – lśniący srebrem i groźny.

A tuż obok leżało błękitne safianowe pudełko.

Chłopiec zacisnął powieki, policzył do trzech i dopiero wtedy otworzył oczy. Pudełko nie zniknęło, a gdy uchylił wieczko, w środku zobaczył talię kart o krwistoczerwonych koszulkach.

Nie szukał tej talii, a jednak znalazł ją w pierwszym miejscu, do którego zajrzał.

Adam odsunął się, czując gwałtowny przyływ niepokoju.

Karty, podobnie jak rewolwer, zdawały się mieć swoją własną osobowość. Tkwiły w pudełku, ułożone ciasno jedna obok drugiej, i spoglądały na chłopca z głębi szuflady.

W gabinecie zrobiło się duszno, więc otworzył okno i oparł łokcie o parapet. Wtedy właśnie usłyszał głos ojca. Najwyraźniej w bibliotece również było otwarte okno i znajdujący się w sąsiednim pomieszczeniu Adam rozróżniał każde słowo.

– ...nie pojmuję, dlaczego udało się tylko raz – powiedział Andrzej Bolesza. – Próbowaliśmy wcześniej tyle razy i nic.

– Może wcale się nie udało. – Ton pułkownika Otolskiego był zbyt leniwy i radosny, by przypisywać te cechy tylko dobremu humorowi. Adam zgadywał, że ojciec poczęstował gościa niejednym już

kieliszkiem domowej nalewki. – To była tylko niezbyt mądra zabawa i moim zdaniem ów ostatni wieczór nic w tej kwestii nie zmienił.

– Przecież sami widzieliśmy...

– Co widzieliśmy? Cudowne uzdrowienie? Daj spokój, Andrzeju, zachowujesz się jak wiejska baba. Gusła i zabobony. Tamtego wieczoru nikt z nas nie był trzeźwy i po prostu ulegliśmy złudzeniu.

– A pech Kalskiego?

– Pasma nieszczęść zdarza się od czasu do czasu każdemu. Idę o zakład, że dla odmiany wkrótce wszystko zacznie mu się udawać.

– Możliwe – odparł Bolesza bez przekonania. – Do licha, naprawdę żałuję, że Kalski tak bardzo przeraził tego nieszczęsnego Wolczka. Chętnie wypytałbym jeszcze, skąd on wziął te karty.

– Wypytywałeś wcześniej i niczego sensownego się nie dowiedziałeś – parsknął pułkownik. – A w kartach nie ma nic niezwykłego. Jeśli chcesz, mogę z tobą zagrać, proszę bardzo, i zaręczam, że niezależnie od tego, czy wygram, czy przegram, nic szczególnego się nie stanie.

Uszu Adama dobiegł dźwięk szkła uderzającego o szkło, a po chwili głos Otolskiego stał się jeszcze weselszy.

– Możemy zagrać tu i teraz, jeśli tylko wystarczy ci odwagi, mój ty przesądny przyjacielu.

– A wiesz, że faktycznie mam ochotę wypróbować karty? – Bolesza mówił tak cicho, że Adam ledwo rozumiał. – To jest pokusa. I pomyśleć, że wystarczy tylko powiedzieć...

Na korytarzu rozległ się dźwięk kroków i chłopiec odskoczył od okna. Zdążył usłyszeć jeszcze, co wystarczy powiedzieć, a gdy do gabinetu weszła matka, okno było zamknięte, zaś Adam stał przy przeszklonej gablotce i udawał, że przygląda się kolekcji ojcowskich fajek.

\*\*\*

*Po rozmowie z pułkownikiem Otolskim Andrzej Bolesza czuje irytację – nie wie już, w co wierzyć i czy przypadkiem nie zrobił z siebie głupca, gdy zabrał z gospody karty. Potrzebuje odprężenia, więc szuka swoich synów*



*i proponuje im grę w tenisa.*

*Chłopcy ostatnio rzadko mają okazję przebywać w towarzystwie ojca, więc zgadzają się z ochotą, choć gorąco nie sprzyja wysiłkowi fizycznemu.*

*Grają na punkty, parami. Andrzej Bolesza gra bez zaangażowania; większą przyjemność sprawia mu podsywanie rywalizacji chłopców. Lubi patrzeć, jak jego dzieci zmagają się ze sobą, ćwicząc przy tym zręczność.*

*Oczywiście wygrywa Adam, a Benjamin jest tylko odrobinę słabszy. Tak jak zawsze, od czasów, gdy chłopcy byli maleńkimi dziećmi.*

*Bolesza jest dumny z obu synów i nie zauważa, że starszemu wygrana nie sprawiła prawdziwej radości. Jako starszy z braci Adam powinien być lepszy we wszystkim i faktycznie jest: lepszy w rachunkach i jeździe konnej, ortografii i grze w tenisa, silniejszy, bystrzejszy i bardziej posłuszny. Wie, że wszyscy tego właśnie się spodziewają, więc traktuje to jak swój obowiązek. Dodatkowy ciężar stanowi fakt, że Benjamin zawsze znajduje się o pół kroku z tyłu. Jeśli Adam zdobywa jedenaście punktów, to młodszy brat ma ich dziesięć, jeśli Adam potrafi rozwiązać zadanie matematyczne w pięć minut, to Benjaminowi zajmuje to zaledwie minutę więcej. Starszy chłopiec czuje, jak brat następuje mu na pięty, i boi się dnia, gdy straci swoją wyjątkową pozycję. Wyobraża sobie nawet, że wtedy ojciec przestanie go kochać, a ludzie będą się z niego śmiać za plecami.*

*Benjamin, który przegrał, oczywiście jest zły i usiłuje to ukryć, ponieważ nie wypada okazywać niezadowolenia, gdy ojciec chwali go, że walczył tak dzielnie. Odkąd pamięta, ma wrażenie, że żyje w cieniu brata. Wcześniej starał się go we wszystkim naśladować, a teraz coraz częściej buntuje się i gdy Adam mówi „tak”, Benjamin na przekór mówi „nie”. Niedawno odkrył zalety bycia „tym drugim”, czyli chłopcem, po którym nikt nie spodziewa się, że dorówna bratu. Benjaminowi uchodzi na sucho roztargnienie w czasie lekcji, lenistwo, a nawet używanie brzydkich słów, za które Adama ukarano by niezawodnie.*

*Mimo to Benjamin wciąż nie może się zdecydować, czy chciałby być taki jak brat, czy też zupełnie inny, a przede wszystkim chciałby go pokonać – choć raz, w czymkolwiek.*

*Po skończonej grze, gdy chłopcy zostają sami, Adam opowiada Benjaminowi o kartach i o rozmowie, którą podsłuchał.*

\*\*\*

– Mamo, mogę dziś jeszcze pobawić się na dworze? – zapytała Lucynka. – Obiecuję, że wrócę przed zmrokiem.

– Podejdź do mnie.

Ewa Iwińska podniosła oczy znad serwetki, którą haftowała czy raczej próbowała haftować – ścieg był nierówny, a ona już kilka razy ukłuła się w palec.

Lucynka wyglądała inaczej niż zwykle, i to nie tylko dlatego, że założyła błękitną, niemal „dorosłą” w kroju suknię, dzięki której sprawiała wrażenie starszej i poważniejszej. Także inaczej upięła włosy, uszy ozdobiła kolczykami, a Ewie zdawało się nawet przez chwilę, że na ustach córki dostrzega ślady szminki. Na szczęście przynajmniej to było złudzeniem.

– Jesteś tak wystrojona, że można by pomyśleć, iż wybierasz się na jakieś miejscowe tańce – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

– Przecież sama mówiłaś, że powinnam zwracać większą uwagę na swój wygląd. – Po raz kolejny Lucynce udało się pokonać matkę jej własnymi słowami.

Kobieta odezwała się dopiero po chwili.

– Zamierzasz bawić się z chłopcami Boleszów, prawda?

– Tak, mamo.

Ewa jedną ręką objęła córkę w pasie, a drugą schwyciła materiał błękitnej sukni. Gładki, chłodny w dotyku jedwab prześliznął się między jej palcami.

Najchętniej kazałaby córce zostać w domu. Nie była pewna, czy wypada, aby trzynastolatka uganiała się po okolicy z chłopcami. Czasem przychodziło jej do głowy, że ich zabawy mogą nie być już niewinne. Z drugiej jednak strony, jeśli Lucynka nie zrobiła dotąd nic niewłaściwego, to głupotą byłoby zabraniać jej tych spotkań. Bo zabraniając, Ewa musiałaby jednocześnie wyjaśnić, dlaczego to robi, a wtedy mogłaby podsunąć córce myśli, na które dziewczynka nie wpadłaby samodzielnie.

Pani Iwińska miała więc w dłoni materiał sukni, nieszczęśliwa, niezdecydowana i przekonana, że jest bardzo złą matką. Lucynka

czekała cierpliwie, a gdy matka nadal milczała, mruknęła cicho: „To ja już pójdę”, po czym zręcznie wysunęła się z jej objęć.

\*\*\*

– Miej pretensje do Beniamina, to jego głupi pomysł – parsknął Adam, gdy Lucynka oznajmiła, że nie będzie siedzieć na gołej ziemi, bo pobrudzi sobie sukienkę.

– Nie możemy grać w domu, bo gdyby ojciec nas zauważył, to od razu odebrałby nam karty. – Młodszy chłopiec wyjął talię z kieszeni. – Chyba że w ogóle nie chcecie grać? Strach was obleciał?

To pytanie skierowane było szczególnie do Adama, który wzruszył ramionami. Bał się, lecz nie chciał, aby młodszy brat nazywał go tchórzem.

– Po prostu uważam, że to nie jest rozsądny pomysł. Powinniśmy oddać karty detektywowi albo zostawić je w szufladzie.

– Adam, przynieś mi kamień, o ten, który leży pod lasem. – Lucynka zręcznie ucięła sprzeczkę w zarodku. – Wygląda na w miarę czysty, więc będę mogła na nim usiąść.

Właściwie mogłaby przynieść go sama – była na to wystarczająca silna, ostatnio jednak coraz częściej przychodziła jej ochota, by wypróbować na chłopcach swój urok. A poza tym w takim stroju nie powinna dźwigać kamieni. Uznała, że to ważne wydarzenie, więc ubrała się odpowiednio ładnie. Wyobrażała sobie nawet, jak w przyszłości, jako już dorosła kobieta, będzie wspominać tę scenę: leśna polana, światło zachodzącego słońca i na tym tle ona, Lucyna Iwińska, która bez śladu lęku bierze udział w niebezpiecznej grze. No, prawie bez śladu lęku, pomyślała, siadając na kamieniu i obejmując kolana ramionami.

– Jeśli któreś z nas przegra, będzie miało po prostu pecha? – upewniła się.

– Aha – przytaknął Beniamin. Talia była już potasowana i chłopiec trzymał ją niepewnie w ręce.

– Słuchajcie, czy ktoś z was zna zasady brydża?

– Ja nie.

– Wszystko jedno – rzucił zniecierpliwiony Adam. – Myślę, że to karty mają znaczenie, a nie sama gra. Na to samo wyjdzie, jeśli wyciągniemy na chybił trafił trzy karty i porównamy je. Ten, kto będzie miał najniższą, przegra, ten z najwyższą wygra, a trzeci nic nie straci ani nie zyska.

Beniamin skinął głową. Podekscytowana Lucynka zsunęła się z kamienia i uklękła na trawie, zupełnie zapominając, że ma na sobie błękitną sukienkę.

Młodszy chłopiec rozłożył talię w wachlarzyk, koszulkami do góry. Dziewczynka bez namysłu wyciągnęła jedną kartę, Adam wahał się przez chwilę, nim wybrał swoją. Beniamin złożył talię i wziął kartonik, który leżał na samym wierzchu.

– W porządku, co teraz? – zapytała Lucynka. Przycisnęła kartę do uda, przykrywając ją spoconą dłonią. Kartonik wydawał się zdumiewająco gładki, śliski i zimny niczym topniejąca kostka lodu.

Wszyscy troje mieli niepewne miny i nawet Beniamin przez chwilę wyglądał, jakby chciał zrezygnować. Opanował się jednak.

– Stawiam swojego anioła stróża – powiedział.

– Stawiam swojego anioła stróża – powtórzyła jak echo Lucynka, czując, jak zasycha jej w gardle, a serce niespokojnie uderza o żebra.

– Stawiam swojego anioła stróża – dołączył Adam, który, o dziwo, miał z nich wszystkich najmniej drżący głos.

Położyli karty na ziemi, odwracając je jednocześnie.

Adam miał króla, Lucynka dziesiątkę, a Beniamin dziewiątkę.

Młodszy chłopiec zerwał się na nogi. Zachodzące słońce padło na jego twarz i przez chwilę wyglądał jak oświetlony łuną pożaru.

– Niech cię szlag! – wrzasnął z wściekłością. – Nawet w takiej głupiej grze nie mogę wygrać! Wcale mi nie zależy, mogę mieć jeszcze większego pecha, i tak mam go przez całe życie, więc co za różnica?

Odwrócił się i ruszył w stronę drogi.

– Zaczekaj! – Adam podniósł talię kart, po czym pobiegł za bratem. Lucynka szybko ich dogoniła. Zatrzymali się na skrzyżowaniu przy kapliczce.

– Możesz się odegrać – zaproponował starszy chłopiec. – Jeśli

wygrasz, oddam ci twojego anioła i nie będziesz miał pecha. Weź jedną kartę.

– Nie zależy mi – wymamrotał Beniamin, lecz wyciągnął rękę w stronę talii.

– Stawiam mojego anioła stróża – powiedział Adam.

– A ja nie, bo już go nie mam.

Pochylili się jednocześnie, by w półmroku dostrzec wzory na kartach. Adam miał ósemkę, Beniamin trójkę.

Za drugim razem starszy chłopiec wylosował waleta, a młodszy dziesiątkę. Za trzecim Adam wyciągnął trójkę i już nabrał nadziei, gdy okazało się, że brat ma dwójkę.

– To bez sensu! – wrzasnął Beniamin. – Nigdy z tobą nie wygram!

I tym razem Adam chciał biec za bratem, lecz powstrzymała go Lucynka.

– Nic mu nie pomożesz – powiedziała. – On ma teraz pecha, a ty szczęście. Zawsze będziesz wygrywał.

– Nie chciałem tego – wymamrotał chłopiec z poczuciem winy myśląc, że gdyby tak zostało, to młodszy brat nie mógłby już mu zagrozić, i to on, Adam, zawsze byłby najlepszy. – Oddam mu tego anioła – dodał pospiesznie, bo wiedział, że tak powinien zrobić, a bał się, że pokusa będzie silniejsza.

\*\*\*

Lucynka podeszła do kołyszącej się w fotelu staruszki i delikatnie pocałowała ją w pomarszczony policzek.

– Mama jest na mnie zła, że wróciłam po zmroku?

– Bardziej ją martwi to, z kim przebywałaś. – Leokadia Iwińska zachichotała w ciemności.

– Tak, wiem, ona nie lubi, kiedy spotykam się z Adamem i Beniaminem. Zauważyłam to dopiero niedawno...

– Zaczynasz dorastać, moja droga. – W głosie staruszki było coś, co sprawiło, że dziewczynka momentalnie pomyślała o znalezionej w lesie ręce i o tym, jak później zrozumiała, że pan Bolesza jest kochankiem jej matki. Czy dorosłość polega na tym, że człowiek

zaczyna dostrzegać takie właśnie rzeczy?

– Twoja matka ma wybujałą wyobraźnię – ciągnęła Leokadia. – Myśli o różnych rzeczach, które możesz robić w towarzystwie chłopców, i boi się, a to taki typ człowieka, który zawsze gotów jest uwierzyć w to, co najgorsze. Nie sądzę jednak, aby którekolwiek z jej przypuszczeń było bliskie prawdy. Nie wpadłaby na to, że bawicie się ukradzionymi kartami, prawda?

– S... skąd ciocia wie? – wyjąkała oszołomiona Lucynka.

– Nieważne, skąd. Wiem o wielu rzeczach, o których ty nie masz pojęcia. Może zrozumiesz, gdy będziesz w moim wieku. Macie kłopoty, moi drodzy. Bardzo poważne kłopoty, a będzie jeszcze gorzej. I wtedy – chwyciła dziewczynkę za ramię, zmuszając, by się nachyliła; oddech staruszki czuć było tytoniem – wtedy przyjdziecie do mnie. Nie do pana Boleszy, nie do twojej matki, tylko do mnie. I przyniesiecie karty. Ja wam pomogę. A teraz zmykaj stąd, idź przeprosić mamę, że się spóźniłaś.

\*\*\*

– Benjamin już wrócił?

– Tak, pobiegł do swojego pokoju. Coś się stało? Adam? Adam?! – pani Bolesza zawołała za synem, który pędził już korytarzem.

Benjamin siedział skulony na łóżku, patrząc w okno. Nawet się nie odwrócił, gdy brat stanął w drzwiach.

Starszy chłopiec przeczesał palcami wilgotne od potu włosy.

– Wszystko w porządku? – zapytał niepewnie. – Teraz, kiedy masz pecha...

– A kogo obchodzi mój pech? – Benjamin wzruszył ramionami. W tym geście było coś więcej niż tylko niechęć. Z całej postawy chłopca emanowały smutek i ból.

– Co się stało? – Adam podszedł bliżej.

Benjamin pospiesznie odwrócił twarz, ale starszy brat zdążył zobaczyć szare smugi na policzkach. Ślady łez wycieranych brudnymi palcami.

– Oddaję ci z powrotem anioła, w porządku? Nie chcę go. Przestań

się obrażać.

– Zraniłem się w rękę.

– Co?

– To, co słyszałeś. Przewróciłem się i zraniłem w rękę. Boli jak skurwysyn, ale da się wytrzymać. Nie rób takiej miny, nawet przy największym pechu nikt jeszcze na to nie umarł.

– Powinieneś pokazać to ojcu – powiedział Adam, gdy pokonał już zdumienie, że brat odważył się użyć słowa „skurwysyn”. – Może trzeba będzie zszyć ranę.

*...Andrzej Bolesza stwierdza, że rana nie wygląda na poważną i że wystarczy tylko ją oczyścić, a potem zabandażować. Benjamin dzielnie znosi polewanie dłoni spirytusem, a w ramach rekompensaty za ból ojciec pozwala mu wypić do kolacji odrobinę koniaku. Chłopiec nie kryje zadowolenia – dzisiejszego wieczoru to on jest bohaterem i to nim wszyscy się przejmują.*

*W nocy Benjamin zaczyna gorączkować. Podejrzewając, że ma to związek z raną, ojciec odwija bandaż. Ręka wygląda źle, posiniąta i napuchła. Rankiem służący jedzie po lekarza, który orzeka, że wdało się zakażenie, bo rana musiała być niedokładnie oczyszczona. Po cichu jednak mruczy: „Dziwne... dziwne...”, a gdy Bolesza prosi o wyjaśnienie, niechętnie tłumaczy, że zakażenie rozprzestrzenia się zbyt szybko i że to już drugi tak osobliwy wypadek. Wczoraj wieczorem wezwano go do Stefana Kalskiego, zdrowego, silnego mężczyzny, który z wysokości półtora metra spadł tak pechowo, że połamał sobie kark.*

### 3.

– Co ja mam teraz zrobić? – wybuchnął Adam z rozpaczą. – Powiedz mi, co ja mam zrobić? Przecież oddałem mu tego cholernego anioła!

Lucynka w zamyśleniu kopnęła kamyk, który potoczył się w stronę sprężonej słońcem kępy ostów.

– Myślę, że to tak nie działa. Musisz go przegrać w karty, tak jak wygrałeś.

– Próbowałem! Ciągnęliśmy karty chyba ze sto razy i za każdym razem wygrywałem! Co ja zrobię, jeśli Benjamin umrze? To będzie prawie tak, jakbym zabił własnego brata, prawda?

– Przestań wrzeszczeć, nikt nie umrze, w końcu to tylko skaleczenie.

– Kalski umarł.

– Co? – Lucynka spojrzała na chłopca. Sprawiał wrażenie na wpół przytomnego z rozpacz i strachu.

– Stefan Kalski, który też przegrał anioła stróża, umarł dziś rano. Spadł z konia i... i skreślił sobie kark, a ten koń wcale nie galopował, tylko zwyczajnie szedł stępa, i to po miękkiej trawie! Wiem, bo podsłuchiwałem pod drzwiami. Myślę, że powinniśmy oddać karty detektywowi, może on coś poradzi, a... a jak nie, t... to może ten, kto go wynajął... – Adam jąkał się i połykał końcówki wyrazów.

– Nie – zaprotestowała pospiesznie. – Musimy iść do mojej stryjecznej babki. Ona to przewidziała i powiedziała, że nam pomoże.

Oczy Adama zaokrągliły się ze zdumienia.

– Przecież twoja stryjeczna babka jest wariatką. Wszyscy to wiedzą.

– Ale to mądra wariatka. Zobaczysz, że coś poradzi. Zaczekam na ciebie, a ty idź po karty. Nie wyrzuciłeś ich, mam nadzieję? Ciocia powiedziała, że musimy przynieść karty.

\*\*\*

– Potasuj je – poleciła staruszka.

Talia wypadła z rąk chłopaka i rozsypała się na podłodze. Mamrocząc pod nosem nieskładne przeprosiny, Adam padł na kolana i zaczął zbierać karty. Lucynka podała mu dwie ostatnie. Jej ręce również drżały – bała się o Beniamina, a poza tym pokój ciotki zawsze działał na nią onieśmielająco. Za dużo tu było zdjęć zmarłych osób, za dużo woskowych lalek, czerwonego pluszu, mroku i zapachu jaśminowych perfum, który niejasno kojarzył się z czymś występny.

– W co umiesz grać? – zapytała staruszka.

Chłopiec nerwowo oblizał wargi.

– W... tenisa i w...



– Mam na myśli karty.

– Ach, to w nic, wcześniej z Beniaminem i Lucynką po prostu losowaliśmy.

– Może być i tak. No dalej, wyciągnij swoją kartę i powiedz, co trzeba.

– A... ale – w półmroku oczy Adama wydawały się nienaturalnie wielkie i wytrzeszczone – ja teraz wygram, zawsze wygrywam...

– Przecież właśnie o to chodzi.

– Ale ja nie chcę! Pani będzie miała pecha i może nawet umrze, a ja będę miał jeszcze więcej szczęścia. Czy to pomoże mojemu bratu?

– Nie rozumiesz. – Staruszka niecierpliwym gestem wyciągnęła z talii kartę, po czym położyła ją na stole i przykryła dłonią. – Stawiam mego anioła stróża. Jeśli przegram, oddam go Beniaminowi Boleszy, bratu Adama.

– Och – wyszeptał, zaczynając pojmować. – Ale co stanie się z panią?

– O mnie się nie martw. Jestem już stara i przygotowałam się na śmierć.

– Ciociu...

– Ty się nie wtrącaj, Lucynko. To sprawa między mną a tym chłopcem. Zajmij się czymś, możesz na przykład pooglądać zdjęcia.

Dziewczynka posłusznie podeszła do ściany, na której wisały fotografie. Stała przed nimi, lecz zamiast spojrzeć w przód, dyskretnie odwróciła głowę.

– Jestem stara, schorowana i zmęczona życiem, moje dziecko – kontynuowała Leokadia. – Umrę niedługo niezależnie od tego, czy teraz stanę się pechowa, czy też nie. Pozwól mi więc jeszcze przed śmiercią zrobić coś dobrego. Mam sporo grzechów na sumieniu, zwłaszcza z czasów młodości, i przydałoby się coś, co by je zrównoważyło. Jeśli teraz zagramy, oboje będziemy zadowoleni: ty ocalisz brata, a ja moją nieśmiertelną duszę. To dobry układ, nie sądzisz? No dalej, dziecko, ciągnij swoją kartę!

Lucynka nie była pewna, czy słowa starszej pani w ogóle docierają do chłopaka. Nieruchomy, z szeroko otwartymi oczami wyglądał, jakby ktoś go zahipnotyzował. Po chwili powoli, z wahaniem

wyciągnął rękę.

Dziewczynka odwróciła się w stronę fotografii. Wzrok miała zamglony; zobaczyła je, dopiero gdy zamruwała i łzy spłynęły jej na policzki.

– Stawiam swojego anioła stróża – usłyszała szept Adama.

Leokadia zachichotała.

– Wygląda na to, że wygrałeś, chłopcze. Nie było tak źle, prawda? Nie musisz się już martwić o brata, teraz szybko wyzdrowieje.

– Ciociu...

– Co znowu, Lucynko?

– Ja znam tego człowieka z fotografii. Teraz nie ma brody i jest starszy, ale to on. Widziałam go w nocy, w ogrodzie. Chciał podejść do domu, ale wystraszył się, gdy zaczęłam krzyczeć. Brakowało mu dłoni.

– Michał Wolczek? – zapytał zdziwiony Adam. – Pani zna Wolczka?

– Pokaż to zdjęcie.

Lucynka położyła na stole oprawioną w ramki fotografię, na której młody brodaty mężczyzna opierał się w nonszalanckiej pozie o ogrodową furtkę.

– To syn mojej nieżyjącej już przyjaciółki – westchnęła Leokadia Iwińska. – Dawno temu, gdy był małym chłopcem, nazywał mnie ciocią. Potem na dłuższy czas straciliśmy ze sobą kontakt.

– Niech nam pani o nim opowie – poprosił Adam, a Lucynka poparła go skinieniem głowy. – Kim on jest?

– Nikim szczególnym, moje dziecko. To po prostu ambitny człowiek, który dostrzegł swoją szansę.

– Karty... – szepnęła Lucynka. – Wolczek ukradł karty, prawda? Dlatego detektyw go ściga.

– Owszem. Michał zabrał talię człowiekowi, dla którego pracował, i przyjechał tutaj. Widzicie, aby wygrać anioła stróża, trzeba grać z kimś, kto wierzy, że takie przekazanie jest możliwe. A Michał zna mnie i wie, że jestem... cóż, powiedzmy, że jestem skłonna wierzyć w różne rzeczy. Próbował mnie namówić, abym z nim zagrała, lecz odmówiłam. Potem zaproponował, abym przynajmniej zgodziła się go wprowadzić w tutejsze towarzystwo, ale i tego nie chciałam zrobić.

Jest bardzo dobrym graczem, a ja nie zamierzałam przykładać ręki do cudzej śmierci. Muszę przyznać, że przyjął moją odmowę z godnością – nie naciskał, lecz poradził sobie samodzielnie i wkrótce zawarł odpowiednie znajomości.

– Dlaczego ciocia nikogo przed nim nie ostrzegła?

– A po co? Dla kogoś, kto nie wierzy, że takie przekazanie jest możliwe, niebezpieczeństwo nie istnieje, więc moje słowa byłyby tylko bredzeniem staruszki, której pomieszało się w umyśle. A jeśli ktoś uwierzy, to zdaje sobie również sprawę z ryzyka. Michał wytłumaczył wszystkim, jakie mogą być skutki gry tymi kartami, lecz długo nikt nie chciał mu wierzyć. Na początku miejscowi traktowali go jak coś w rodzaju towarzyskiej atrakcji, nieszkodliwego wariata, który wygaduje nonsensy i z którego można pożartować. I który, przy okazji, znakomicie gra w brydża. Tak więc zapraszali go do siebie na kolejne partyjki, a potem... potem zaczęli się go bać. Nie wszyscy, ale przynajmniej niektórzy, a wśród nich i twoi rodzice, Adamie.

– Wiem, oni podejrzewali, że pan Wolczek specjalnie robi różne złe rzeczy, aby przekonać ich, że mówi prawdę – wtrącił chłopiec. – Na przykład sądzili, że okaleczył naszego konia, gdy papa przegrał w karty, bo dzięki temu papa mógłby uwierzyć, że stał się pechowy.

– Bystry jesteś – pochwaliła staruszka. – Na którymś spotkaniu przy brydżu doszło do... bardzo nieszczęśliwego wypadku. Im mniej będziecie o tym wiedzieć, tym lepiej. Dość powiedzieć, że Michał Wolczek wygrał, Stefan Kalski przegrał i tym razem przekazanie anioła naprawdę nastąpiło, a Kalski, niezbyt trzeźwy i wystraszony, postanowił udowodnić, że Michał wcale nie jest takim szczęściarzem.

– Och, ciocia może powiedzieć głośno – parsknęła Lucynka, uruchamiając wyobraźnię. – Pan Kalski kazał przynieść siekiere i obciął nią panu Wolczkowi rękę, i wszyscy się dziwili, że wcale nie krwawi tak mocno, jak powinien. A wtedy pan Kalski przestraszył się jeszcze bardziej i wyrzucił pana Wolczka... – umilkła stropiona, bo nie miała pojęcia, skąd odcięta dłoń wzięła się w lesie. Może pan Kalski krzyczał i kazał zabrać zarówno talię kart, jak i rękę? A pan Wolczek bał się protestować? Tak czy inaczej, pan Wolczek wrócił do gospody i spędził tam cały następny dzień, a kiedy wieczorem doszedł do

siebie, postanowił natychmiast wyjechać.

– Nie sądziłam, że stać cię na wyobrażanie sobie równie makabrycznych scen. – Leokadia Iwińska uśmiechnęła się lekko. – Nie powtarzaj tego matce, dobrze radzę. Ona i tak jest gotowa podejrzewać cię Bóg wie o co.

– Nie rozumiem tylko, czemu pan Wolczek nie zabrał ze sobą kart...  
– Lucynka zmarszczyła brwi.

– Nie były mu już potrzebne, to rozsądny człowiek i wie, że co za dużo, to niezdrowo. Potrzebował tylko jednego dodatkowego anioła, nie więcej. Zostawił też w gospodzie większość rzeczy – teraz, gdy towarzyszy mu szczęście, bez trudu znajdzie inne, lepsze.

– Powiedział to wszystko cioci, gdy przyszedł tu w nocy?

– Owszem. Wycofał się, gdy zaczęłaś krzyczeć, lecz wrócił później, a ja czekałam na niego na werandzie. On wiedział, biedaczek, że do późna lubię tam przesiadywać, ale pech chciał, że za pierwszym razem, gdy próbował podejść, akurat poszłam do pokoju po koc.

Lucynka zachichotała na myśl, że pan Wolczek, kiwając na nią, prawdopodobnie w mroku pomylił ją ze stryjeczną babką. Teraz wydawało jej się to zabawne.

Adam zachował powagę.

– Moim zdaniem znacznie uprzejmiej byłoby, gdyby pan Wolczek po prostu zapukał do drzwi – powiedział. – Nie sądzę, aby to był dobrze wychowany człowiek.

– Było dość późno, a on chciał uniknąć niepotrzebnych pytań – zwróciła mu uwagę starsza pani. – Nie sądzę pochopnie, kto jest dobrze wychowany, a kto nie, bądź co bądź twój ojciec ukraść z cudzego pokoju talię kart – dodała z kpina.

Chłopiec poczerwieniał.

– Mój ojciec na pewno nie chciał tych kart wykorzystać, tylko... tylko... zabezpieczyć je, żeby nie wzięł ich ktoś, kto nie powinien...

– Doprawdy?

– Pan Wolczek naprawdę był już całkiem zdrowy, kiedy tu przyszedł? – Lucynka pospiesznie zmieniła temat.

– Owszem, kikut bardzo ładnie się zagoił.

– Mimo to uważam, że pan Kalski postąpił wstrętnie – powiedziała

dziewczynka z pasją. – Gdyby zrobił coś takiego komuś, kto nie ma drugiego anioła, to ten ktoś mógłby wykrwawić się na śmierć, prawda? To podłe. Dobrze, że pan Kalski umarł.

Staruszka roześmiała się.

– Chciałabym pojmować sprawiedliwość tak prosto jak wy. A teraz idźcie już. Czuję się trochę słaba, więc chyba się położę. I oddajcie karty detektywowi. Mam nadzieję, że mogę na was liczyć? Nie będziecie się już nimi bawić?

Zaprzeczyli oboje, Adam znacznie bardziej energicznie niż Lucynka.

\*\*\*

– Przeliczę je – ostrzegł Mazur, odbierając w progu pudełko z talią kart.

Lucynka zajrzała mu przez ramię, ale w pokoju detektywa nic ciekawego nie było – tylko skotłowana pościel na łóżku i para pocerowanych spodni wiszących na krześle.

– A teraz nasza nagroda – przypomniała. – Następna cecha.

Mężczyzna skrzywił się z niechęcią. Z jakiegoś powodu dziewczynka wydawała mu się inna niż wczoraj, mniej dziecinna, a tym samym bardziej podobna do bogatych kobiet, których tak gorąco nienawidził. Jeszcze wczoraj po prostu ją ignorował, teraz drażniła go jej arogancja i poczucie wyższości, jej biała skóra, smukła szyja i cienka, ściśnięta gorsetem talia. Wyobraził sobie, jak wbija paznokcie w gładki policzek, głęboko, czekając na krew i krzyk. A potem przesuwając palce w górę, w stronę gałek ocznych, a drugą dłoń kładzie na otwartych ustach...

– Panie Mazur? – Na szczęście odezwał się chłopak, nie dziewczyna.

– Sprytny – warknął detektyw. – Albo inteligentny, jak kto woli. I wykształcony. Ma szczęście w interesach, władzę i pieniądze. Kurewsko dużo pieniędzy i tyle samo władzy. Ludzie skaczą wokół niego jak ogłupiałe króliki. I zjeździł szmat świata, chyba nawet na antypodach był. A teraz wynocha mi stąd!

Wystraszony Adam cofnął się pół kroku. Lucynka została na miejscu.

– Dużo podróżował? – podchwyciła. – Na przykład po Afryce?

– Po Afryce też.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz mężczyzna zaklął brzydki i zatrzęsął jej drzwi przed nosem.

\*\*\*

*Naprawdę chciałbym, aby moja opowieść skończyła się w tym właśnie miejscu. Na scenie, gdy Wawrzyniec Mazur chowa karty do kieszeni, gdy Adam wraca do domu i dowiaduje się, że jego brat zaczyna zdrowieć, a Lucynce udaje się uspokoić wyrzuty sumienia, bo stara pani Iwińska – choć trochę osłabiona – wcale nie wygląda na bardziej chorą niż poprzedniego dnia. Albo na scenie trochę późniejszej, gdy Lucynka siedzi przy oknie i rozmyśla o tajemniczym pracodawcy pana Mazura – tym, który podróżował po Afryce. Wyobraża sobie, jak by to było, gdyby ów człowiek okazał się jej prawdziwym ojcem i zabrał ją ze sobą daleko, daleko stąd, w miejsca dzikie, egzotyczne i gorące, pełne niebezpieczeństw i przygód.*

*Jest jednak jeszcze dalszy ciąg.*

*Mazur depezuje do pracodawcy, że odzyskał karty. Potem wraca do gospody i zamawia dwa kufle zimnego piwa. Uważa, że na nie zasłużył, a także cieszy się perspektywą pieniędzy, które otrzyma za dobrze wykonaną pracę.*

*Dopiero późnym popołudniem uświadamia sobie, że o czymś zapomniał. Wyciąga więc talię z kieszeni i liczy karty.*

*Brakuje trzech.*

\*\*\*

– Nie powinieneś zostać w łóżku? – zapytała Lucynka, patrząc z powątpiewaniem na bladą twarz Beniamina.

Chłopiec poprawił tłumoczek, który ścisnął pod pachą, a drugą rękę

wyciągnął przed siebie.

– Patrzcie, opuchlizna prawie całkiem znikła i nie mam gorączki. Doktor kazał mi jeszcze leżeć, ale papa powiedział, że sam wiem, czy czuję się dobrze, czy źle, i jeśli mam ochotę wyjść na chwilę, to mogę.

– Uśmiechnął się dumny, że ojciec potraktował go jak dorosłego. – Adam opowiedział mi o wszystkim. Naprawdę wyzdrowiałem, bo pani Leokadia dała mi swojego anioła? Co z nią?

– Na razie dobrze – Lucynka odpowiedziała tylko na ostatnie pytanie.

W sercu poczuła nagłe ukłucie bólu. Nie chciałyby, żeby stryjeczna babka umarła. Nie kochała jej, nawet nie lubiła zbytnio; to była tylko daleka krewna, u której dziewczynka spędzała wakacje, i to w dodatku krewna mocno dziwaczna. Lucynka nieraz w myślach nazwała ciotkę „starą wariatką”, a mimo to... mimo to czułaby smutek, gdyby staruszka umarła. Zwłaszcza teraz, gdy ocalała Beniamina.

– Jeśli będzie uważać, to może nic się jej nie stanie – powiedział pocieszająco starszy chłopiec, a Lucynka bez przekonania skinęła głową.

– Nie martw się, tylko chodź z nami, chcemy ci coś pokazać – dodał Beniamin. – Ale nie tutaj, tutaj jest za dużo ludzi.

Owymi ludźmi była para wieśniaków, która niedaleko prowadziła krowę. Lucynka spojrzała niespokojnie, jakby faktycznie z ich strony groziło im niebezpieczeństwo, a potem pobiegła za chłopcami.

\*\*\*

Na polance Beniamin rozwinął tłumoczek, który do tej pory kurczowo ścisnął pod pachą.

W środku był rewolwer.

Lucynka cofnęła się gwałtownie.

– Spokojnie, my wiemy, jak tym się posługiwać. Zrobiliśmy parę prób w domu.

– Wasz ojciec wie, że go wzięliście?

– Nie i przecież się nie dowie, zaraz go odniesiemy.

Adam milczał i dziewczynka domyśliła się, że nie popiera pomysłu brata.

Beniamin wyjął z kieszeni kilka naboí, po czym odsunął bębenek rewolweru. Do środka włożył trzy, a resztę zostawił na trawie.

Nim Lucynka zdążyła cokolwiek powiedzieć, zakręcił bębenkiem, wycelował w brata i nacisnął spust.

Rozległ się suchy trzask, a Adam drgnął lekko.

– Upadłeś na głowę?! – wrzasnęła. – Co ty wyprawiasz?! Mogłeś...

– Nie przejmuj się, nic mi nie będzie – uspokoił ją Adam. – Już to robiliśmy.

– Nawet z pięcioma nabojami w magazynku – dodał Beniamin. – Zawsze trafiało na puste miejsce. Chcesz spróbować?

Podał jej rewolwer, który okazał się cięższy i zimniejszy, niż sądziła. Spojrzała na Adama i nim chłopak odwrócił głowę, dostrzegła w jego oczach smutek. Nie wiedziała dlaczego, przecież to było fascynujące, ona chętnie oddałaby wszystkie książki, zabawki i sukienki w zamian za takie szczęście. Wycelowała. Rewolwer w jej rękach wydawał się obdarzony własnym życiem; narzucał swoją własną, obcą osobowość. Przymknęła oczy, walcząc z niespokojnym oddechem i kołaczącym sercem.

Właściwie ta nowa osobowość całkiem jej się podobała.

Zaciśnięta na kolbie dłoń była mokra od potu, położony na spuście palec drżał lekko. Adam siedział nieruchomo, pewien, że i tym razem nic złego się nie stanie.

*Oczywiście stało się coś złego, a na przyczyny tego zdarzenia można patrzeć w różny sposób.*

*Beniamin uważał, że to był głupi przypadek, jeden z tych, na które po prostu nie można nic poradzić.*

*Adam sądził, że wtrąciły się karty, te same trzy karty, które wciąż leżały na polance, w trawie, w odległości półtora metra od stóp Lucynki. Poprzedniego wieczoru dzieci zapomniały je zabrać, a żadne z nich nie wpadło na to, aby sprawdzić, czy talia jest kompletna. Zgodnie z rozumowaniem Adama karty chciały, aby znów nimi zagrać, więc do tego doprowadziły.*



*Lucynka nie miała w tej kwestii żadnego zdania. Najpierw zbyt była przerażona, a potem... Nieważne, na razie opowiem, co wydarzyło się na polance.*

*Dziewczynka jest podekscytowana, a jednocześnie wystraszona, powtarza sobie w myślach, że to niebezpieczne, ale ma wielką ochotę wypróbować szczęście Adama. Strach przeważa i Lucynka kieruje rewolwer nie w stronę chłopca, lecz w stronę jeżynowych krzewów, które oddzielają polankę od drogi. Potem naciska spust.*

*Słychać huk, a zaraz po nim krótki, ostry krzyk. Urywa się nagle, więc dzieci wierzą, chcą i muszą wierzyć, że to tylko złudzenie. Dopiero po chwili wyłamuje się Adam.*

– Powinniśmy przynajmniej sprawdzić – powiedział.

– Bzdura, nikt nie krzyczał. – Lucynka odłożyła rewolwer. Jego chłodny metaliczny dotyk teraz wydawał jej się wstrętny. – Nikt nie krzyczał – powtórzyła uparcie, ściskając fałdy sukienki. Trzęsa się, a głęboko w jej wnętrzu budził się krzyk.

Adam wstał.

– Pójdę zobaczyć. Ktoś idzie ze mną?

Dołączył do niego Beniamin. Lucynka potrząsnęła głową i zaszlochała sucho, bez łez. Chciałaby się rozpłakać, wierzyła, że to mogłoby jej pomóc, bo dobry Bóg spojrzełby z nieba na nieszczęśliwe dziecko i sprawiłby...

Na przykład mógłby sprawić, że złudzeniem byłyby słowa Adama: „On jeszcze żyje...” i drugie, tym razem Beniamina: „Musimy biec po doktora, szybko!”.

Objęła kolana ramionami i ponieważ nadal nie potrafiła płakać, zaczęła cicho zawodzić.

#### 4.

– Co z dziewczynką? – spytał Andrzej Bolesza.

Pani Ewa oderwała dłonie od twarzy.

– Doktor dał jej środek na uspokojenie. Śpi teraz. Andrzej... panie

Bolesza, czy rozmawiał pan z tym... tym człowiekiem? Jak on się czuje?

Wodziła niespokojnym wzrokiem za mężczyzną, który spacerował po pokoju.

– Ma przestrzelone płuco, lecz będzie żył. – Zawahał się, nim podszedł do Ewy i wziął ją za rękę. – Musisz być bardzo silna, kochanie. Twoja córka cię potrzebuje.

Zadrzała, a Bolesza najpierw pożałował, że nie potrafi zdobyć się na coś więcej niż kilka banałów, potem zaś, w chwili szczerości, pożałował też, że zawarł bliższą znajomość z Ewą Iwińską. Kobieta była ładna, ale zdecydowanie zbyt wrażliwa.

– Czy Lucynka będzie miała kłopoty?

Skrzywił się nieznacznie. Jakby w takiej sytuacji można było uniknąć kłopotów!

– Moi chłopcy twierdzą, że to był przypadek, a Lucynka nie widziała Mazura. Natomiast Mazur upiera się, że dziewczynka dostrzegła jego sylwetkę za linią drzew i strzeliła z premedytacją.

Ewa wyrwała dłoń z uścisku mężczyzny i uniosła ją do ust.

– To moja wina! – zaszlochała, zginając się w pół. – Moja wina!

– Jakim cudem...

– Nie potrafiłam jej właściwie wychować, więc to ja jestem odpowiedzialna.

Bolesza siłą oderwał jej rękę od twarzy, by spojrzeć w oczy.

– Twierdzisz, że twoja córka zrobiła to specjalnie, a moi chłopcy kłamią?

– Może po prostu próbują jej pomóc... – wymamrotała, odwracając wzrok. – Chciałabym wierzyć, że Lucynka jest niewinna, ale to takie dziwne dziecko i ostatnio się zmieniła, a ja... ja nigdy nie byłam dobrą matką.

\*\*\*

– Papa powiedział, że może Mazur pójdzie na ugodę, przyjmie pieniądze i wycofa oskarżenie. – Adam oparł łokcie o parapet i przycisnął czoło do szyby. Za oknem było już ciemno.

– Jakoś mi się nie chce w to wierzyć – parsknął Benjamin ze swojego miejsca na łóżku. – Przecież on łże jak pies. Upiera się, że Lucynka go widziała, choć wcale tak nie było. Moim zdaniem jest wściekły i chce się zemścić, więc zrobi wszystko, żeby Lucynkę ukarać.

Adam mocniej przycisnął czoło do szyby. W jaki sposób ukarać? Ojciec mówił o skandalu, matka wspomniała coś o procesie sądowym, a potem o zakładzie poprawczym. Adam miał dość niejasne pojęcie, jak wygląda życie w takim zakładzie. Kojarzyło mu się z ogolonymi głowami, biciem, przywiązywaniem do łóżek i zamykaniem dzieci w ciemności.

Zacisnął dłonie w pięści.

– Musimy jej pomóc – odezwał się za jego plecami Benjamin, który najwyraźniej myślał o tym samym. – Mazur powiedział papie, że specjalnie nas szukał, bo chciał odzyskać trzy brakujące karty. A te karty mogą być tylko na polance, tam, gdzie wczoraj graliśmy. Musieliśmy o nich zapomnieć, więc teraz wystarczy, że po nie pójdziemy i wykorzystamy. To znaczy – dodał rozsądnie – pod warunkiem, że trzy karty działają tak jak cała talia.

– Myślę, że działają – powiedział cicho Adam. – Ja też o tym myślałem, ale chyba nie potrafię po raz drugi odebrać komuś anioła. A poza tym gdybym teraz z kimś zagrał, to byłoby oszustwo, bo ja zawsze wygrywam.

– Dlatego właśnie ja powinienem to zrobić. Pójdę do detektywa i zaproponuję mu grę. Jeśli ja też zaryzykuję, to będzie uczciwie, a jak on przegra, to nawet nie będzie nam żal. On na to zasługuje.

– A jak przegrasz ty? O ile wiem, nie ma w najbliższej okolicy innych umierających i gotowych do poświęceń staruszek.

Benjamin zamilkł. Gdy leżał chory, niemal przez cały czas z dziecięcym optymizmem sądził, że wszystko skończy się dobrze. Niemal, bo w pewnym momencie pomyślał: „Ja mogę umrzeć” i na krótką chwilę naprawdę uwierzył, że to możliwe, że śmierć, do tej pory w jego wyobrażeniu zarezerwowana dla ludzi starszych i obcych, może się zdarzyć także jemu.

Wspomnienie, i tak już dość niejasne, bladło z każdą minutą, lecz

wystarczyło, by Benjamin nie upierał się dłużej.

Przynajmniej na razie, bo następnego dnia chłopiec obudził się wczesnym rankiem i pamiętał już tylko, że poprzedniego dnia stchórzył. Wstał więc i cicho, nie budząc brata, wymknął się z domu.

\*\*\*

Karty znalazł bez trudu, zupełnie jakby na niego czekały.

Wsunął je do kieszeni i ruszył w stronę gospody. Bał się, ale jednocześnie był z siebie dumny. Adam miał łatwiej, za pierwszym razem, kiedy zdobył dodatkowego anioła, sądził, że niczym szczególnym nie ryzykuje, a potem, kiedy grał z panią Iwińską, z góry wiedział, że dopisze mu szczęście.

Benjamin natomiast świadomie ryzykował życie, i to nie dla własnej korzyści, lecz po to, by ocalić przyjaciółkę. To on tak naprawdę był bohaterem.

Idąc do gospody, chłopiec zastanawiał się, czy ojciec kiedykolwiek się o tym dowie. Z jednej strony pewnie by się wściekł, ale z drugiej potem pochwaliby syna. Jak wtedy, gdy Benjamin spadł z nieujeżdżonego konia, a papa najpierw sprawił mu solidne lanie, by później potargać czuprynę i powiedzieć: „Masz, chłopcze, mój charakter”.

\*\*\*

Przed gospodą Pod Dwoma Gołębiami stała bryczka, a w gospodzie panowało niezwykle jak na tę porę zamieszanie. Przemko taszczył po schodach dwie solidne walizy, pani Gołąb wołała do służącej, by nie zapomniwała o nowych prześcieradłach, a stary Kosma uwijał się, zastawiając stół smakołykami bardziej stosownymi na kolację niż na wczesne śniadanie.

Benjamin zaczekał, aż Przemko wróci, po czym złapał go za ramię.

– Co tu się dzieje?

Młody posługacz przetarł spocone czoło, na którym zostały smugi

brudu.

– Przyjechał jakiś wielki pan i migiem trzeba pokój dla niego szykować. Najlepszy w całej gospodzie, czyli ten, gdzie był detektyw.

– A co z detektywem? – Beniamin przeraził się, że Mazur zmarł.

– Przenieśliśmy go do mniejszego pokoju. Nie miał nic przeciwko, bo przecież to jego pracodawca przyjechał.

– Pracodawca?

– Ano, tak powiedział.

Czekał cierpliwie, podczas gdy oszołomiony Beniamin zastanawiał się, jak przyjazd tajemniczego pracodawcy wpłynie na jego plany.

– Mogę zobaczyć się z panem Mazurem? – zapytał po chwili. – W którym jest pokoju?

– W drugim po lewej. Ale on teraz nieprzytomny jest. Zemdlał, gdyśmy go w kocu nieśli.

Chłopak przygryzł dolną wargę. Co powinien teraz zrobić? Zaczekać, aż detektyw się obudzi? Wracać do domu? Znaleźć kogoś innego, z kim mógłby zagrać?

Poczuł się nagle bardzo zagubiony i mały. Idąc do gospody, wyobrażał sobie różne warianty rozwoju sytuacji: Mazur mógł wyrzucić go za drzwi albo zgodzić się na zakład, Beniamin mógł wygrać albo przegrać.

Lecz nawet nie pomyślał, że detektyw może po prostu być nieprzytomny.

Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że wciąż jeszcze ma szansę. Pracodawca detektywa mógł wiedzieć, jak ocalić Lucynkę, być może potrafił to zrobić bez używania kart, a tym samym i bez ryzykowania życia.

Czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie, Beniamin ruszył w górę po schodach.

Na progu najlepszego i największego pokoju w całej gospodzie stał osiłek ubrany w tani krzykliwy surdut. Przetłuszczone włosy miał związane w kucyk, a w dłoni trzymał okutą laskę z ciężką rękojeścią.

– Chciałem... chciałem porozmawiać z panem, który tu mieszka – wyjąkał niepewnie chłopak. Peszył go po pierwsze fakt, że nie zna nazwiska człowieka, z którym chce się zobaczyć, a po drugie osoba

owego stojącego w progu mężczyzny. Jeśli był to lokaj, to tajemniczy, bezimienny bogacz dobierał sobie bardzo osobliwych pracowników.

– Pan jest teraz zajęty i nie można mu przeszkadzać – rzucił osiłek, po czym zakręcił laską jak prestidigitator na scenie.

Chłopiec na wszelki wypadek odsunął się pół kroku.

– To bardzo ważne... – powiedział uparcie i już zaczerpnął tchu, by wygłosić wszystkie argumenty, gdy na ramię spadła mu ciężka dłoń.

– Nie słyszałeś, mały? Pan jest zajęty.

Odwrócił się. Przed nim stał drugi osiłek, niemal bliźniaczo podobny do pierwszego. Tylko włosy miał krócej ścięte, na głowie nosił przyciasny cylinder, a swoją laskę mocno ścisnął w garści, zamiast nią wywijać.

Beniamin szarpnął się i uderzył pięściami w drzwi pokoju.

– Proszę mnie wpuścić! Muszę z panem porozmawiać!

W środku coś się poruszyło, lecz nim zdążył nabrać nadziei, dwie silne ręce chwyciły go pod ramiona i bez trudu uniosły. Wrzasnął, skręcił całe ciało i spróbował wbić zęby w nadgarstek tego w cylindrze. Mężczyzna zaklął i odrobinę przesunął dłoń. Z drugiej strony jego bliźniak mocniej ścisnął ramię chłopca. Szli teraz korytarzem, trzymając Beniamina, który wisiał między nimi jak szamocący się królik.

Schody były zbyt ciasne dla trzech osób, więc zrobiło się zamieszanie. Beniamin wrzasnął jeszcze raz i kopnął, trafiając jednego z mężczyzn w podbrzusze. Nawet nie zauważył którego. Drugi – chyba ten w cylindrze, który cylinder zdążył już zgubić – podał swemu towarzyszowi laskę, po czym złapał chłopca i zręcznie przerzucił go sobie przez plecy.

Beniamin bił go pięściami i krzyczał, ale nikt nie reagował. Gdy przechodzili obok wdowy Gołąb, kobieta po prostu odwróciła głowę.

Osiłek puścił chłopca dopiero, gdy znaleźli się na podwórzu przed gospodą.

– Przestaniesz się awanturować i będziesz grzeczny?

Upokorzony Beniamin przełknął narastającą w gardle kulę płaczu.

Drugi mężczyzna, ten z długimi włosami, który trzymał dwie laski, dołączył do nich leniwym krokiem.

– Jak mówimy, że nie można zobaczyć się z panem, to nie można – powiedział. – Zrozumiałeś?

– Tak...

– To dobrze.

Odwrócili się, by odejść. Beniamin zaczerpnął tchu. Serce łomotało mu w piersi, a krew w uszach szumiała tak bardzo, że niemal zagłuszała myśli.

– Zaczekajcie chwilę, proszę. Chciałem zapytać... Chciałem zapytać, czy może któryś z panów lubi karciane zakłady.

\*\*\*

– Zrobiłeś to! Ty... idioto!

– Nie wrzeszcz tak głośno. – Beniamin wzruszył ramionami, skrywając pełen satysfakcji uśmiech.

Adam zacisnął usta.

– Przynajmniej mam nadzieję, że wygrałeś.

– Tak... nawet podwójnie. – Tym razem głos młodszego chłopca brzmiał mniej pewnie.

– Co to znaczy: podwójnie?

– Mazur jest nieprzytomny, ale za to okazało się, że dziś przyjechał jego pracodawca wraz z dwoma służącymi i ja zagrałem z nimi.

– I wygrałeś dwa razy? Dla Lucynki?

Beniamin skinął głową. Najpierw namówił obu osiłków, by wygłosili formułę, że w razie przegranej oddadzą swojego anioła Lucynce, a oni śmiali się, uważając to za doskonały żart. Potem losowali karty i jakimś przedziwnym trafem obaj służący wyciągnęli siódemki, a chłopiec waleta. Tak więc było aż dwóch przegrywających i Beniamin żałował, że nie przewidział takiej sytuacji, bo wtedy mógłby wziąć jednego anioła dla siebie. Później spanikował, sam nie bardzo wiedział dlaczego, i po prostu uciekł. Tego też żałował.

– Uratowałem ją – dodał, starając się odzyskać dobry humor. W końcu był bohaterem i nie powinien czuć się tak... dziwnie, jakby zrobił coś niewłaściwego.

– Oddałeś trzy karty?

– Nie, wypadło mi to z głowy. – Beniamin pobladł. Pomyślał o mężczyźnie, który zamieszkał w najlepszym pokoju w gospodzie, i o tym, jak bardzo będzie wściekły, gdy dowie się, że Beniamin ograł jego służących. – Musimy tam wrócić.

– Wrócimy po południu – zdecydował Adam. Bał się tak samo jak młodszy brat i liczył, że do tego czasu Mazur odzyska przytomność, a wtedy będą mogli mu oddać karty.

\*\*\*

*Zanim jednak chłopcy zbierają się na odwagę, przychodzi do nich ojciec i mówi, że oto wydarzył się cud – ten tępogłowy detektyw wreszcie odzyskał rozum i postanowił wycofać oskarżenie. Na dowód pokazuje liścik, który Mazur wysłał mu jako „pełnomocnikowi” (tak jest napisane, co z niewiadomych powodów bardzo bawi Beniamina) pani Ewy Iwińskiej. W liście stoi czarno na białym, że Wawrzyniec Mazur się pomylił, że teraz pewien już jest, iż Lucynka Iwińska nie chciała go zranić. Godzi się więc zapomnieć o całej sprawie i nawet nie żąda zadośćuczynienia.*

*Chłopcy śmieją się, chwytają list i pytają, czy mogą zanieść nowinę przyjaciółce oraz jej matce.*

\*\*\*

Ewa Iwińska siedziała na werandzie, kołysząc się w fotelu i mrużąc oczy w obronie przed promieniami zachodzącego słońca. Jej ręce, zazwyczaj zajęte jakimiś kobiecymi robótkami, teraz spoczywały beczynn timer na kolanach.

Adam podał jej list. Kobieta przeczytała go i oddała z komentarzem: „To dobra wiadomość”.

Beniamin nerwowo rozejrzał się dookoła.

– Może powiemy o tym Lucynce? – zaproponował.

– Jest w swoim pokoju. – Pani Iwińska wciąż mrużyła oczy, choć słońce schowało się za lasem i nie mogło już jej razić. Rzęsy miała



wilgotne, na policzkach ślady łez. – Moja ciotka nie żyje – dodała po chwili. – Zmarła przed chwilą, cicho, we śnie. Czekamy teraz na lekarza, który potwierdzi zgon.

– Bardzo pani współczuję. – Beniamin poczuł się niezręcznie, jak zawsze w obliczu cudzej tragedii. Pragnął być starszy, bardziej doświadczony. Dorośli potrafili sobie radzić w takich sytuacjach.

– Bardzo pani współczuję – powtórzył Adam, a jego słowa zabrzmiały o wiele ciepłej i bardziej naturalnie. – Nie chcemy przeszkadzać...

– Ależ nie przeszkadzacie. – Kobieta uśmiechnęła się, po czym uniosła dłoń, jakby chciała stłumić krzyk, ale tylko lekko uderzyła w wargi. Paznokcie miała obgryzione, koniuszki palców krwawiły. – Idźcie do Lucynki i zabierzcie ją gdzieś... Może na spacer...

Adam przełknął ślinę, za jego plecami Beniamin poruszył się niespokojnie.

Ewa Iwińska odwróciła się w ich stronę i otworzyła oczy. Nie było w nich rozpaczy ani radości.

Tylko lęk.

\*\*\*

Szli drogą w wolno zapadającym zmroku. Lucynka pośrodku, chłopcy po jej bokach.

Dziewczynka uśmiechała się przez cały czas.

– To dobrze, że detektyw zrezygnował z oskarżeń, prawda? – powiedział Adam.

– Oczywiście – przytaknęła Lucynka.

– I szkoda, że twoja stryjeczna babka zmarła... – dodał Beniamin.

– Szkoda – potwierdziła.

– To takie dziwne – nie zrezygnował Adam. – Jednego dnia usłyszeć dwie tak różne wiadomości, jedną dobrą, a drugą złą.

– Rzeczywiście. – Radosny, dziecięcy uśmiech nie schodził jej z ust.

Wzdłuż pleców chłopca spłynął zimny dreszcz. Ktoś przeszedł po moim grobie, pomyślał.

– Oddamy karty detektywowi i zaraz wrócimy. Nie musisz iść

z nami, jeśli się boisz.

– Nie boję się. – I rzeczywiście, w jej spojrzeniu nie było ani śladu lęku. Tylko czysta, niczym niezmacona radość.

– Lucynko – zdesperowany Adam niemal krzyknął, a brat spojrział na niego ze zdumieniem. – Czy to cię w ogóle nie obchodzi? Twoja stryjeczna babka nie żyje, matka płacze...

– Nie obchodzi mnie. – Uśmiech na twarzy dziewczynki zmienił się w łagodny i marzycielski. – Nie rozumiesz? Ja jestem szczęśliwa.

\*\*\*

Drzwi do najlepszego pokoju w gospodzie były uchylone; wewnątrz panował mrok, rozjaśniony tylko słabym blaskiem naftowej lampy.

Kłopot polegał na tym, że aby dostać się do sypialni ранego Mazura, chłopcy musieli przejść obok tych właśnie drzwi.

Żaden nie miał na to ochoty.

– A może zamiast oddawać karty detektywowi, po prostu położymy je tu na progu? – szepnął Adam. – W końcu to karty tego człowieka, nie? Myślisz, że on jest... w środku?

– Nie mam pojęcia. – Beniamin rzucił niespokojne spojrzenie w głąb pomieszczenia. Światło lampki rzucało na ścianę cień, który równie dobrze mógł być zarysem barczystego ramienia jak i jakiegoś mebla. – Może...

Nim zdążył dokończyć, z wnętrza dobiegł cichy głos.

– Niech dziewczynka przyniesie mi karty. – Chłopcy drgnęli, ich oczy rozszerzyły się pod wpływem strachu. Lucynka uśmiechnęła się radośnie.

Adam nabrał w płuca powietrza.

– Przyjdziemy do pana wszyscy razem.

– Nie, tylko dziewczynka. Z kartami.

– Co teraz? – zapytał Beniamin z rozpaczą.

– Dajcie mi karty – wtrąciła Lucynka.

W jej głosie było tyle pewności, że Adam bez słowa wyjął z kieszeni trzy kartoniki.

Wkroczyła w półmrok, skąd po chwili dobiegł cichy śmiech. Obaj

chłopcy z ciekawością wyciągnęli szyję, lecz żaden nie dostrzegł nic poza wyolbrzymionym zarysem profilu Lucynki na ścianie.

- Nie boisz się mnie?
- Nie boję się.
- Chcesz ze mną zostać?

Adam chwycił brata za ramię i zacisnął palce. Beniamin spojrzał na niego. „Co się dzieje?” – pytały jego szeroko otwarte oczy.

- Chciałabym pojechać do Afryki.
- Czy wtedy byłabyś bardziej szczęśliwa niż teraz?
- Tak, choć teraz też jestem szczęśliwa.

Kolejny śmiech, kanciasta sylwetka przysłaniająca światło, a potem odgłos kroków, które zbliżały się do drzwi. Mężczyzna przymknął je, ale nie do końca – w szparze chłopcy zobaczyli błysk białek oczu.

- Dziewczynka zostaje ze mną.
- Zwariował pan? – krzyknął Adam. – Jej matka nigdy się na to nie zgodzi! Zresztą sama Lucynka... Lucynko, powiedz temu człowiekowi...

– Oddaliście mi ostatnie karty, więc zgodnie z umową, jaką zawarliście z moim człowiekiem, jestem wam winny jeszcze jedną cechę, jedno określenie mojej osoby, które brzmi „szczęśliwy”. Nie powinniście wchodzić w drogę komuś, kto jest tak bardzo szczęśliwy.

- Zamknął drzwi i przekreślił klucz.
- Biegnij do papy i powiedz mu, co tu się dzieje – zakomenderował Adam. – Ja zostanę na wszelki wypadek, gdyby chciał zabrać Lucynkę siłą.

*Tak więc Beniamin biegnie w stronę domu, choć wie, że jest już za późno, o wiele za późno. Zdaje sobie sprawę, że to właśnie on popełnił błąd w chwili, gdy wygrał dla Lucynki dwa anioły zamiast jednego.*

*W gruncie rzeczy chyba wolałby, aby tajemniczy człowiek zabrał Lucynkę. Ich przyjaciółka jest teraz taka inna i dziwna.*

*Biegnie, próbując jednocześnie zagłuszyć wyrzuty sumienia. Wyobraża sobie, jak będzie opowiadał tę historię ojcu – oczywiście w lekko zmienionej wersji. Próbowaliśmy ją ratować, powie, naprawdę zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.*

*W tym samym czasie do czuwającego pod drzwiami Adama podchodzi dwóch osiłków. Biorą go pod ramiona i podnoszą. Na schodach jeden z nich – chyba ten, który lubi nosić cylinder, choć nie można mieć pewności, bo nakrycie głowy już zgubił – podaje drugiemu laskę, po czym przerzuca sobie chłopca przez plecy i wynosi na zewnątrz.*

*Mijają panią Gołąb, która odwraca głowę.*

*Na podwórku mężczyźni przytrzymują Adama, a Przemko wnosi bagaże i ładuje je do bryczki. Nie ma ich zbyt wiele.*

*– Powinien pan się pospieszyć, ostatni pociąg odjeżdża za dwadzieścia minut – mówi pani Gołąb.*

*– Zdążę – odpowiada pracodawca obu osiłków. W mroku nie widać twarzy, lecz Adam mógłby się założyć, że widnieje na niej absolutna pewność człowieka, który po prostu wie, iż los jest po jego stronie.*

*Lucynka wsiada do powozu i kiwa chłopcu na pożegnanie. Światło trzymanej przez panią Gołąb latarni pada na jej twarz.*

*Dziewczynka wydaje się bardzo szczęśliwa.*

\*\*\*

*I to już wszystko, cała moja historia. Oczywiście możesz powiedzieć, że sporo zmyśliłem, i będziesz miał rację, wszak w niczyjej głowie nie siedzę i mogę mówić tylko za siebie. Sądzę jednak, że moje domysły i wyobrażenia sporo mają wspólnego z prawdą – nawet jeśli czas zatartł wiele wspomnień, a ja nie oparłem się pokusie ubarwienia opowieści.*

*Jestem już bardzo stary i zmęczony życiem. Wciąż jednak cieszę się znakomitym zdrowiem, a szczęście mnie nie opuszcza. Szkoda jedynie, że dotyczy ono tylko mnie. Moi najbliżsi umarli: brat przed czterdziestoma laty, żona pięć lat później. Nie żyją moje dzieci, a nawet część wnucząt; zostały prawnuki, które nie rozumieją mnie, a ja nie rozumiem ich.*

*Od dawna jestem sam.*

*Czasem myślę o samobójstwie, lecz boję się, że w ostatniej chwili zabraknie mi odwagi. Moje rany goją się niezwykle szybko i aby się zabić, musiałbym zrobić coś... bardzo drastycznego.*

*Zazdroszczę mojemu bratu, który przeżył życie jako zwyczajny człowiek, ani mniej, ani bardziej szczęśliwy niż inni. Zazdroszczę Lucynce*

*– gdziekolwiek i z kimkolwiek teraz przebywa, wierzę, że wciąż nie potrafi smucić się ani cierpieć.*

*Z chęcią zamieniłbym się z którymkolwiek z nich i czasem płaczę, kiedy ludzie życzą mi szczęścia i wszelkiej pomyślności.*

\*\*\*

Gdy tak się teraz zastanawiam, strasznie mnie bawi, jak to w owym czasie zupełnie nieświadomie psuliśmy naszymi tekstami szyki wydawcy. W przeciwieństwie bowiem do antologii Runy, gdzie wręcz zachęcano nas do szukania innych niż najbardziej oczywiste skojarzeń z hasłem przewodnim, Fabryka Słów najchętniej uderzała w mocne, chwytliwe tematy; to, co było na topie. Aniołowie to nowe Elfy? No to bum, antologia anielska. Podróże w czasie są na czasie? Dawać tu stosowne teksty. Ludzie boją się epidemii? No i już wiemy, o czym będzie następny zbiorek! I gdzieś tam pewnie, z tyłu głowy, mieliśmy myśli, że przecież chodzi o teksty fajne, mocne, szybkie i widowiskowe, ale zawsze, z uporem godnym lepszej sprawy, odrzucaliśmy pierwsze, najprostsze idee, by ugryźć temat jakoś inaczej. O swoich tekstach nie będę tu wspominał, bo nie czas i miejsce, o anielskim opowiadaniu Ani wspomniałem już przy okazji *Szczęścia i wszelkiej pomyślności*, a o jej tekście o epidemiach przy wybitnych *Światach Dantego*.

Mówiąc szczerze, byłem przekonany – dość długo, bo nawet tworząc pierwszą wersję tego wstępu – że antologia *Bajki dla dorosłych* jest dokładnie takim przypadkiem. Baśnie to temat nośny, znany, łatwo ograć hit. Uświadomiono mi jednak, że motyw przewodni tego zbioru wyłonił się jakby przypadkiem, bo właśnie z ciekawie przekształconymi bajkami kojarzył się znajomym i przyjaciołom Tomasz Pacyński, pożegnaniem z którym była ta antologia.

Ania, między innymi za sprawą forów internetowych, gdzie się udzielała, wpisywała się w to pisarskie grono. Ja nie i pewnie stąd w mojej świadomości zamiast zamieszania towarzyszącego zwykle antologiom tkwił tylko tytuł zbioru i owo opowiadanie, które kolejny raz sprawiało wrażenie zachodzenia tematu z boku.

Tu, pamiętam, Ania długo pomysłu nie miała. Potem nagle przyszedł, ale cytuję: „Nie był za dobry”, wreszcie, ponieważ niespecjalnie potrzebowała przy nim pomocy, tekst powstał i niesiony nóżkami koleżanki Kańtoch przywędrował pewnego ranka prosto do

klubu.

Szczerze, z ręką na serduchu, nie pamiętam, czy mi się wtedy spodobał. Mam wrażenie, że niekoniecznie, ale naprawdę, naprawdę nie pamiętam. Dziś natomiast, parę lat po pierwszym czytaniu, podoba mi się bardzo. Budzi bowiem tak fajne skojarzenia i listę odwołań do znanych mi opowieści z pogranicza grozy.

Widać tu Kinga i jego sposób budowania postaci. Te maleńkie kawałeczki bohatera rozrzucone w narracji to tu, to tam, nigdy zwałem tekstu. Przemyślenia, powiedzonka rodziców, które przylegają niczym skórka winogrona do dziąsła. No i te proste, życiowe sytuacje, a w nie wpleciony, początkowo jakby mimochodem, ale z każdą chwilą coraz istotniejszy, element nadnaturalny.

Widać tu Gaimana, ale też Mastertona, tego pierwszego w dialogach, w formie, z jaką snuje się opowieść, drugiego w podejściu do bajek, w wyciąganiu z nich makabry czy niepokojących wizji wywołujących drżenie. Jak choćby sama okładka opisywanego woluminu. Czy wspomnienie, że z każdym rokiem książka jest coraz bardziej popieprzona i chora...

Ale przecież nie o nawiązania tu chodzi, lecz o samą opowieść w stanie czystym. O tekst Ani, o to, czy jest zamkniętą całością, czy koleżanka Kańtoch wykpiła się z tej narzuconej sobie konwencji tylko gadżetem ze złotowłosą na okładce?

To oczywiście pytania retoryczne, bo to przecież jasne, że sobie poradziła. Fundując nam podszytą solidnym obyczajem historię o radzeniu sobie z własną przeszłością, z bajkami wbitymi do głowy i ewoluującymi w niej z czasem, wiekiem i nabranym doświadczeniem, Ania sięga do podstaw, szuka zasadności bajek w naszym życiu. Ich roli. I co więcej, w jakiś sposób je z tych zadań rozlicza. Stwarza swojej bohaterce okazję, by ta, już jako dorosła kobieta po tak zwanych przejściach, mogła owym bajkom, tym starym i ich nowym wersjom, powiedzieć: „Sprawdzam”.

Tak, zdecydowanie uważam teraz *Za siedmioma stopniami* za tekst dobry. Co więcej, mam wrażenie, że to jedno z ostatnich opowiadań Ani, w którym tak otwarcie operuje gatunkowymi kliszami – tu

horroru – i chyba trochę za tym u niej tęsknię. Choć mam świadomość, że nieco ją te gatunkowe gorsety, nawet jeśli niespecjalnie ciasno wiązane, jednak cisnęły.



## Za siedmioma stopniami

Oczywiście na Francuskiej utknęła w korku. Stała tuż za niebieskim sedanem, którego kierowca chyba przysypiał, bo za każdym razem, gdy kolejka niemrawo zaczynała się ruszać, Ewa musiała trąbić, by sedan zechciał łaskawie posunąć się kilka metrów.

– Na pewno baba – wymruczała ze złością. – Baby nie powinny siadać za kierownicą.

Zdanie, które tyle razy słyszała z ust ojca, wypowiedziała odruchowo i całkowicie bezmyślnie.

Było kilka minut po ósmej i w radiu trwały już poranne wiadomości. Teoretycznie była spóźniona do pracy, ale to nie miało znaczenia. Zazwyczaj przychodziła jeszcze później, o dziewiątej, czasem nawet o wpół do dziesiątej, po tym jak spokojnie zjadła śniadanie, wypila kawę i przeczytała poranną gazetę. Mogła sobie na to pozwolić.

Dziś wstała wcześniej i wyszła z domu, zanim jeszcze na dobre się rozjaśniło, wprost w jesienny, zimny poranek i wprost we mgłę, w której okutani po uszy ludzie snuli się niczym gapiowaci zombi.

Mgła opadła, zanim Ewa dojechała do centrum, ale za to zaczęło padać. Deszcz zacinał na skos, rozpryskując po szybie sznureczki drobnych kropel. Włączyła wycieraczki. Chmury w kolorze tłustego dymu pełzły po niebie tak nisko, że ciężkimi brzuchami zdawały się zahaczać o dachy co wyższych budynków.

W twarz buchało jej ciepło samochodowego grzejnika, które zawsze kojarzyła z pustymi stacjami metra. Pylista suchość kurzu, a w tle woń nagrzanego metalu. Otworzyła okno i zaraz je zamknęła, gdy do środka wtargnął deszcz. Była cała spocona, ale wiedziała, że jeśli tylko wyłączy grzejnik, zacznie marznąć.

Niebieski sedan przesunął się kolejne kilka metrów, tym razem – o cudzie! – niepoganiany. Ewa znalazła się naprzeciw wielkiej reklamy piwa Żywiec. Patrzyła na nią, podczas gdy ciało wykazywało wszelkie oznaki silnego niepokoju. Żołądek zwinięty w ciasną kulkę,

szczęki zaciśnięte, a za oczami ucisk, który już zaczynał przeradzać się w ból głowy. Spała ledwo kilka godzin, ale wiedziała, że nawet gdyby została w domu, nie zdołałaby już więcej zasnąć. Była zmęczona, a jednocześnie podkręcona jak po kilku filiżankach kawy. Niemal jak na studiach, gdy szła na egzamin po bezsennej nocy, wystraszona i nabuzowana adrenaliną po uszy.

Myśli ślizgały się niczym łyżwiarze po lodzie. Takie właśnie porównanie przyszło jej do głowy. Łyżwiarze kreślący zgrabne ósemki i zawijasy. Myślała o filmie, który wczoraj oglądała w telewizji i którego bohaterka idiotycznie dała się zabić („Co za kretyńska, po co ona lazała nad to jezioro”), o wiadomościach radiowych, których słowa wpadały jej jednym uchem i wypadały drugim („Istny cyrk...”), i mnóstwie innych rzeczy. Płytkie, powierzchowne myśli gładko przechodziły jedna w drugą, płacząc się i nie pozostawiając w umyśle żadnego śladu. Mózg najwyraźniej nie chciał zastanawiać się nad tym, co sprawiło, że bolały ją zaciśnięte szczęki, a w ścianki żołądka skrobały pierwsze oznaki mdłości. Po prostu nie chciał i już, w zamian czepiając się kompletnych głupot.

(„Ja bym na jej miejscu...”, „Przystojny facet, z gatunku takich, co wyglądają lepiej, jak są starsi...”, „Idiotyczny wyszczerz na tej reklamie...”, „Jakaś dowcipna odpowiedź, coś o francuskiej kuchni...”).

W którymś momencie Ewa zorientowała się, że się śmieje, że na twarzy ma upiorny, stężyły uśmiech, podczas gdy wewnątrz cała się trzęsie ze zdenerwowania. Musiała wyglądać dość dziwnie, bo facet z sąsiedniego samochodu spojrzał na nią zdumiony.

Spokojnie, nakazała sama sobie. Nic się przecież strasznego nie dzieje. Przeżyłaś to już tyle razy, że i teraz dasz sobie radę.

Zaczęła powoli liczyć do siedmiu. To zawsze pomagało.

Tym razem nie pomogło, bo gdy doszła do pięciu, zadzwonił telefon.

Minęła dobra chwila, zanim jedną ręką (samochody jak na złość ruszyły) udało jej się wyjąć z torebki komórkę.

– Halo?

Usłyszała szum i trzaski, a potem ciężki oddech.

– Ewa?

– Kto mówi?

– Ewa, to ja.

– Ale kto...? – Znała ten głos, oczywiście, że znała, ale przez moment miała pustkę w głowie. Potem trybiki zaskoczyły.

– Radek?

W słuchawce rozległo się ciężkie dyszenie, jakby rozmawiała z dobiegającym do mety maratończykiem. W tle słyszała zapowiadany przez megafon odjazd pociągu. Jechał do Włocławka czy może do Włodawy.

– Nie poznałaś mnie. Ty głupia cipo, zniszczyłaś mi całe życie, zrujnowałaś, a teraz nawet mnie nie pamiętasz.

Mówił dość wyraźnie, lecz mimo to Ewa była pewna, że Radek jest pijany. Miała ponad dwudziestoletnią wprawę w rozpoznawaniu głosów alkoholików. A ponieważ nawet Radek nie zaczynał pić o godzinie ósmej rano, więc prawdopodobnie nie wytrzeźwiał jeszcze po wczorajszej imprezie.

– Pamiętam cię – powiedziała miękko, starając się go uspokoić. Otaczała ją chmura gorąca i Ewa oddychała z trudem, zupełnie jakby ktoś przycisnął jej do ust nagrany koc. Jednak w głębi niej coś paskudnego cieszyło się, że wykręciła byłemu taki numer. Gdyby starała się to zrobić złośliwie, z pewnością nie wyszłoby tak naturalnie.

Ciężki oddech przeszedł w urywany szloch.

– Zabiję cię, słyszysz? Za wszystko, co mi zrobiłaś, pindo. Zabiję jak psa, jak sukę... Słyszysz?

– Tak, słyszę.

– Zabiję cię, pindo. – Radkowi najwyraźniej skończyły się przekleństwa. Nigdy nie był zbyt pomysłowy. – Już możesz zacząć się bać.

Rozłączył się, a Ewa odłożyła telefon na siedzenie pasażera. Wciąż było jej nienaturalnie gorąco, ale nie, właściwie się nie bała. Przynajmniej nie fizycznej konfrontacji. Raz spotkali się przypadkiem w sklepie całodobowym, Radek na jej widok wytrzeszczył idiotycznie oczy, wymamrotał coś, a potem odwrócił się i uciekł.

Żałosny, zapijaczony fiutek, pomyślała, czując, jak wypełnia ją pogarda. Przy tym ani przez chwilę nie wątpiła w nienawiść Radka – gdyby człowieka dało się zabić za pomocą naciśnięcia guzika, Ewa byłaby już trupem, ale na szczęście życie to nie powieść SF. Radkowi brakowało odwagi nawet, by spojrzeć jej w twarz, potrafił tylko grozić przez telefon, a i do tego potrzebował, aby alkohol dodał mu animuszu. Ewa myślała kiedyś, żeby zmienić numer, ale wtedy zdesperowany Radek mógłby zadzwonić do niej do pracy. I dopiero wtedy miałyby problem. W jej środowisku rozwód nie był niczym nagannym, sporo jej koleżanek wychodziło za mąż nawet kilka razy. Jednak eksmąż, były więzień i obecny alkoholik, który w ciągu niespełna pięciu lat zmienił się z eleganckiego księcia w szczerbate monstrum, to coś zupełnie innego.

To powód do wstydu, a Ewa nienawidziła się wstydzić. I nie chciała litości.

Poza tym tak naprawdę miała teraz na głowie ważniejsze problemy. A właściwie jeden problem, ten sam, który wygnał ją z domu o świcie, bo nagle zapragnęła ludzkiego towarzystwa.

Ewa Rejtych miała dziś urodziny i wiedziała, że jeszcze przed północą dostanie prezent.

\*\*\*

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała praktykantka jak-jej-tam. Basia? Stasia? Pewnie to pierwsze, bo była młoda, ale nie aż tak, by załapać się na modę nadawania dzieciom staropolskich imion.

Ewa spojrzała na nią z niechęcią. Skąd dziewczyna wiedziała?

– No wie pani... – Basia speszyła się. – Z okazji urodzin...

– Nie obchodzę urodzin.

Nie do wiary, ale dziewczyna rozpogodziła się i nawet uśmiechnęła porozumiewawczo.

– Ja właściwie też nie. To strasznie przereklamowane, prawda? Poza tym nie lubię się przyznawać, ile mam lat.

Ile lat mogła mieć Basia? Dwadzieścia, dwadzieścia parę? Skórę wciąż miała gładką jak dziecko. Za to Ewa była w wieku, gdy kobieta

wygląda ładnie wyłącznie wtedy, gdy się wyśpi i porządnie umaluje (dziś się nie wyspała i nie umalowała porządnie).

Basia i wszystkie podobne do niej dziewczyny przewijające się przez firmę sprawiały, że Ewa czuła... nie, w sumie chyba nawet nie zazdrość. Raczej ponurą pretensją do losu. Że czas płynie, że świat jest źle urządzone, a życie, ogólnie rzecz biorąc, do dupy.

Gdy praktykantka wyszła, Ewa przejrzała się w szybie szafki i z zadowoleniem uznała, że mimo wszystko nie prezentuje się źle. Oczywiście była za chuda, nawet jak na współczesne standardy urody, miała suchą skórę i zmarszczki wokół oczu, ale miała też delikatne rysy twarzy i długie proste włosy, które w przyпыływie poetyckiego nastroju można by nawet nazwać złotymi. Wyglądała dzięki nim trochę jak baśniowa księżniczka, aczkolwiek nieco anorektyczna, zużyta i rozczarowana życiem na książęcym dworze.

Nie jest źle, pocieszyła się w myślach.

Co nie zmieniało faktu, że wciąż miała fatalny humor. Przebywanie wśród ludzi uspokoiło ją trochę, owszem – miała teraz czym się zająć i od czasu do czasu nawet udawało jej się zapomnieć o czekającym na nią prezencie. Na chwilę, bo zawsze sobie przypominała, a wtedy wracały mdłości i ból zaciśniętych szczęk. Nosiło ją przez cały czas. Przerzucała się od jednego zajęcia do drugiego, a potem do kolejnego, przy żadnym nie wytrzymując dłużej niż dziesięć minut. Czasem wstawiała od biurka i szukała kogoś, żeby porozmawiać, ale współpracownicy jak na złość wyczuwali jej zły nastrój i znikali pod byle pretekstem.

Koło piętnastej uznała, że ma dość. Na dworze się rozpogodziło, świeciło teraz słońce, a przechodnie, których widziała przez okno, rozpinali płaszcze. Być może był to ostatni ładny dzień jesieni i Ewa doszła do wniosku, że znacznie lepiej się poczuje, jeśli pójdzie na spacer.

Zanim wyszła, opieprzyła jeszcze praktykantkę Basię, która zamiast pracować, świergotała coś do telefonu. Dziewczyna niemal się popłakała, a Ewa poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

Ale ze mnie wredna suka, pomyślała i natychmiast przestała się przejmować. Dwa słowa pozbawiły ją indywidualności, wpisując

w szeregi wszystkich wrednych suk świata, także tych z filmów, książek i artykułów psychologicznych, które czytywała w kolorowych kobiecych magazynach. Nie było już w tym określeniu nic osobistego, nic, nad czym warto by się zastanowić.

Schodziła po schodach z pierwszego piętra, po drodze licząc stopnie. Od jednego do siedmiu, przerwa i znowu od początku.

Dziwne, ale tym razem nie pomagało. Miała osobliwe wrażenie, że robi coś dokładnie odwrotnie niż trzeba.

\*\*\*

Klątwa, tak Ewa nazywała to, co przytrafiało jej się raz do roku w dzień urodzin. Niezbyt dobre określenie, ale lepszego nie znalazła.

Niech więc będzie klątwa.

Jej ojciec nazwał to dowcipem, wtedy, tamtego jesiennego dnia, gdy jako świeżo upieczona studentka po raz pierwszy i ostatni w życiu wypłakiwała mu się na ramieniu.

Nie przejmuj się, Ewcia, to tylko idiotyczny żart. Najlepiej w ogóle o tym nie myśl, a temu dowcipnisiowi na pewno się znudzi.

Dokładnie tak powiedział, a ona – już wystarczająco dorosła, by pewne rzeczy dostrzegać i rozumieć, pojęła, że ojciec nie chce o tym mówić. Nie chce, bo czuje się wystraszony i bezradny. Gdyby Ewa drążyła dalej temat, runąłby mit wesołego spryciarza, który potrafi rozwiązać każdy problem.

Ewa kochała ojca, więc wzięła udział w jego grze.

Masz rację, tato. Tak, już mi lepiej. Dzięki wielkie. Jasne, nie będę więcej przejmować się tym idiotą. To jakiś kompletny kretyn. Skoczę do sklepu, mam dziś ochotę na lody, kupić ci coś przy okazji?

W głębi duszy wiedziała oczywiście, że to nie jest dowcip. A nawet gdyby był, to żart tak drobiazgowo zaplanowany i cierpliwie powtarzany także budziłby w niej lęk.

Jeśli zaś nie dowcip, to co?

Tajne działania wywiadu albo jakiejś innej sekretnej organizacji zmierzające do tego, aby wykończyć ją psychicznie. Rozpisany na kilkadziesiąt lat program w stylu *Big Brothera*. Kosmici badający

reakcje wybranej grupy ludzi.

Żadne z tych wyjaśnień nie miało sensu.

O tych, którzy co roku przysyłali jej prezent, Ewa przywykła myśleć jako o „nich”. „Oni” oznaczali wszystko to, co nie mieściło się w ramach jej uporządkowanego świata. Faceci w czerni, ufoludki z wielkimi, ciemnymi oczami, podzwaniające łańcuchami widma i skrzaty w czerwonych czapeczkach na liściach łopianu.

Nie wierzyła w takie rzeczy, była na to zbyt rozsądna, ale każdej jesieni „oni” upominali się o swoje, a Ewa przez kilka dni czuła się jak planeta wyrzucona z orbity. Potem wszystko na pozór wracało do normy. Ewa chodziła do pracy, przeglądała internetowe aukcje w poszukiwaniu aniołów do swojej kolekcji i czytała babskie pisma, starając się zrozumieć, dlaczego nigdy nie udał jej się żaden związek. I czasem śmiała się z ludzi, którzy wierzyli w duchy albo czytali horoskopy. A w październiku znów zaczynała się bać.

To nie była kwestia zagrożenia fizycznego. „Oni” nigdy Ewy nie skrzywdzili. Tak naprawdę nic nie stało na przeszkodzie, aby pogodzić się z klątwą, przyjmując ją raz do roku jak gorzką pigułkę, a potem wyrzucić z pamięci na następne dwanaście miesięcy. Większość ludzi pewnie tak by zrobiła. Ale nie Ewa Rejtych. Urodzinowe prezenty odbierała jak cios między oczy. Jakby coś (ktoś?) mówiło jej: wszystko, w co wierzysz, w co tak bardzo chcesz wierzyć, jest nic niewarte. Spójrz, jesteśmy tutaj i patrzymy na ciebie. W każdej chwili możemy wejść z buciorami w twoje życie i przewrócić je do góry nogami. Że nic strasznego jak dotąd nie zrobiliśmy? Cóż, taki mieliśmy kaprys, ale możemy zmienić zdanie. Za dzień, dwa, miesiąc czy pół roku. Bo my jesteśmy cierpliwi i nigdy nie zapominamy. Nic ci nie da odwracanie się do nas plecami i chowanie głowy w piasek.

Czasem miała ochotę komuś się zwierzyć, ale tu napotykała kolejne trudności. Tylko w książkach ludzie wierzą bohaterom, gdy ci opowiadają, że spotkało ich coś niesamowitego. „X wiedział, że Y nigdy nie kłamie, więc mu uwierzył” albo „To brzmiało wariacko, ale Y mówił tak przekonująco, że X mu uwierzył”.

Guzik prawda. Niezależnie od tego, jak bardzo wyrobioną masz

opinię prawdomównego człowieka i jak przekonujący ton głosu, w takiej sytuacji znajomi patrzą na ciebie z zakłopotaniem, jakbyś właśnie opowiadał im stary dowcip. Później mówią coś w rodzaju: „Co za historia, naprawdę niesamowita, słuchaj, może napiszesz o tym do gazety?”, a w ich oczach widać pewność, że historia wcale się do gazety nie nadaje, że gdyby to od nich zależało, wymyśliliby coś znacznie ciekawszego. Zaraz potem zmieniają temat.

Żaden rozsądny człowiek nie wierzy w takie rzeczy.

Oczywiście istnieli ludzie, którzy zapewne uwierzyliby Ewie. Obwieszane amuletami niedobitki New Age, nastoletnie panienki czytające „Wiedzę Tajemną” czy staruszki z rodzaju tych, które na szybach widują Matki Boskie. Jednak Ewa gardziła nimi wszystkimi. Zresztą nawet dla takich nawiedziców jej historia okazałaby się prawdopodobnie zbyt dziwaczna, by ktoś mógł jej coś sensownego doradzić.

Jadąc do domu, rozważała, kogo ewentualnie mogłaby poprosić o pomoc. Gazeta odpadała, Ewa nie miała zamiaru znosić ciekawskich spojrzeń pań z pobliskiego warzywniaka. Jakiś parapsycholog? Nie miała pojęcia, gdzie kogoś takiego znaleźć, a poza tym oni, zdaje się, koniecznie chcieli uchodzić za poważnych naukowców i potrzebowali dowodów. Ksiądz egzorcysta? Ci z kolei byli specjalistami od nastolatek, które potrafią obrócić głowę o sto osiemdziesiąt stopni, a nie od prezentów urodzinowych.

Przez moment odczuła pokusę, by uciec. Zwyczajnie wyjechać z miasta, a potem pojechać dalej, w stronę Zakopanego. Nawet nie musiałyby wracać do domu, bo podstawowe rzeczy, takie jak kosmetyki czy zmianę bielizny, mogłaby kupić na miejscu. Wieczorem zadzwoniłaby do firmy, że fatalnie się czuje i w związku z tym jutro nie będzie jej w pracy.

Był czwartek, więc miałyby przed sobą leniwy, trzydniowy weekend. Mogłaby wynająć pokój, spacerować po Krupówkach i cieszyć się samotnością, bo o tej porze na pewno nie będzie tam turystów. Może pogoda by dopisała. Może nawet Ewa poszłaby w góry – nie robiła już tego od tak dawna, że zapomniała, jakie to uczucie, gdy spocony człowiek staje na szczycie, łapie oddech,



a potem patrzy aż do zawrotu głowy.

Wiedziała jednak, że to nic nie da. Przed klątwą nie było ucieczki.

Zmęczona, z mętlikiem w głowie, skręciła w ulicę, na której mieszkała. Chciała, żeby ten dzień już minął, najlepiej, żeby już był listopad, ponury, dżdżysty miesiąc, w którym Ewa zaczynała na powrót wierzyć w normalność i cieszyła się, że do kolejnych urodzin zostało jej jedenaście długich miesięcy.

\*\*\*

Telefon zadzwonił tuż przed dziewiątą, gdy Ewa siedziała na kanapie, gapiąc się na swój prezent. Było po wszystkim – znalazła paczkę pod drzwiami, odpakowała i przeczytała książkę. Po wszystkim. Powtarzała to sobie, ale nie potrafiła odczuć ulgi. Świat wokół nabrał intensywnych barw, a jednocześnie wydawał się zniekształcony jak we śnie albo jakby Ewa brodziła pod wodą. Dźwięki docierały do niej przytłumione i odległe. Było jej nieznośnie gorąco.

Odebrała.

– Cześć, to ja – powiedział ktoś, a ją dopadło uczucie déjà vu. Znów męski, znajomo brzmiący głos i znów nie wiedziała, z kim rozmawia.

– Radek? – zapytała niepewnie. Wyobraziła sobie przy tym, że może to dzwoni dostarczyciel urodzinowych prezentów, i uczucie déjà vu zmieniło się w lęk tak przytłaczający, że przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Po drugiej stronie było słycać jakieś trzaski i szelesty.

– Radek, powiedz, że to ty... – jej słowa brzmiały, jakby zaraz miała się rozplakać.

– To ja, Paweł. Sorry, musiałem wywalić kota z pokoju. Paweł Musialik, pamiętasz?

Poczuła odrobinę ulgi, a jednocześnie wzmogło się jej poczucie nierealności. Paweł należał do innego świata, a Ewa w tej chwili nie bardzo wierzyła, że ten świat gdziekolwiek istnieje.

– Pamiętam.

– Dotarła do ciebie? Książka?

– Jaka książka? – Chyba robiła z siebie idiotkę, ale jej umysł za nic

nie chciał pracować.

– Twój urodzinowy prezent – cierpliwie wyjaśnił Paweł. – Dostałaś go, prawda? To dlatego masz taki dziwny głos.

– Mówiłam ci o nim? – Ostrożnie, niepewnie, tonem zagubionego dziecka.

– Mówiłaś. Rany, aż tak bardzo byłaś pijana, że nie pamiętasz? Jak się czujesz? Chcesz, żebym przyjechał?

Milczała, rozkoszując się uczuciem nadziei, która powoli wlewała się w jej serce. Nie będzie dziś sama. Ktoś z normalnego świata przyjedzie tu i wszystko znów będzie dobrze.

– Możesz?

– Jasne, że tak. Będę za pół godziny.

\*\*\*

W pierwszym odruchu Ewa zareagowała jak typowa pani domu – podeszła do szafki, żeby sprawdzić, czy zostało jeszcze trochę kawy, którą mogłaby Pawła poczęstować.

Kawa była, podobnie jak herbata (zielona lub czarna, do wyboru), francuski koniak i trzy rodzaje wina. W porządku. Przydałyby się do tego jakieś ciastka, ale lodówka świeciła pustkami. Znalazła w niej jedynie do połowy opróżniony słoik oliwek, paczkę pleśniowego sera oraz marynowane grzybki. Często (ostatnio zdecydowanie zbyt często) coś takiego właśnie stanowiło jej jedyny posiłek w ciągu dnia. Problem w tym, że Ewa nie lubiła jeść. Na samą myśl o konieczności przeżuwania mięsa czy chleba od razu traciła apetyt. Lubiła jedynie przystawki, małe i gładko wchodzące w przełyk. Nic dziwnego, że była taka chuda.

Nerwowo chodziła po mieszkaniu, które było obce, splugawione. Wszystko, co jeszcze do niedawna kojarzyło się jej z bezpieczeństwem, teraz nabrało złowrogo wyglądu. Biel ścian, którą zawsze uważała za bardzo elegancką, sprawiała, że mieszkanie przypominało szpital. I anioły, rozstawione i rozwieszane w sypialni, salonie, a nawet w przedpokoju. Ta kolekcja była największą słabością Ewy i bodaj jedyną rzeczą, która mogła powiązać racjonalną

osobowość kobiety z czymś nadnaturalnym. Tyle że Ewa w anioły nie wierzyła, oczywiście, że nie. Po prostu podobały jej się ich wiotkie sylwetki i piękne, zamyślane twarze. Zbierała porcelanowe figurki i anioły rzeźbione w drewnie, malowane na szkle, a nawet robione na szydełku. Niektóre przypominały rozbrykane dzieci, inne były poważne, o łagodnych, mądrych spojrzeniach, a jeszcze inne wyglądały jak leśne wróżki czy skrzydlate elfy. Ewa lubiła je wszystkie i zawsze miała wrażenie, że one w zamian lubią ją.

Teraz czuła się tak, jakby ktoś wszedł do jej mieszkania i obrócił całą jej ukochaną kolekcję przeciwko niej.

Chodziła.

W karku czuła charakterystyczne mrowienie, jakby ktoś wpatrywał się w nią z ciemnego kąta. Ów ktoś wciąż mógł tu być. W każdej chwili mogła poczuć na ramieniu dotyk ciężkiej dłoni.

Chodziła.

Nic to, tłumaczyła sobie, zaraz przyjedzie Paweł i wszystko będzie dobrze. Zachowuję się jak histeryczka. Paweł to rozsądny człowiek. Rozsądny, a jednak mi uwierzył. Niesamowite, że mogłam o tym zapomnieć. Na tamtej imprezie naprawdę musiałam być nieźle zalana, bo w ogóle nie pamiętam, żebym mu się zwierzała.

Nadzieja uchodziła z niej jak powietrze z dziurawej opony.

Bo co właściwie o nim wiedziała? Spotkali się na wiosennym wyjeździe integracyjnym, takim z mnóstwem atrakcji i wielką popijawą na zakończenie. W zasadzie zetknął ich ze sobą przypadek – żadne z nich nie przepadało za sportami, trzymali się więc razem i wspierali, gdy trzeba było wykręcić się od paintballa czy wspinaczki po skałkach. Sporo wtedy rozmawiali i żartowali. Nic więcej, choć Ewa nie ukrywała, że liczy na krótki, niezobowiązujący romans. Jednak Paweł, choć nie miał nic przeciwko flirtowi, okazał się wierny pozostawionej w Katowicach żonie. Trudno. Właściwie i tak nieszczęśliwie ją pociągał. Był zbyt miły i miękki, typ przytulaśnego miśka. Jej matka o takich mężczyznach mówiła z pogardą „ciepłe kluski”.

Próbowała wyobrazić sobie Pawła w roli rycerza, który spieszy jej na ratunek, ale nie potrafiła. Przed oczami miała anonimową,

rozmywającą się twarz z bujną brodą. Tę brodę pamiętała, ale nic więcej. Nie wiedziała nawet, czy Paweł jest wysoki, czy niski, szczupły, czy gruby. Jaki miał głos? Jaki charakter? Coś prócz tego, że był wierny żonie?

Inna rzecz, pomyślała w przypiływie złości, że właśnie jechał do niej, do Ewy. Żonaty facet musi nieźle kombinować, żeby po dziewiątej wieczorem wyrwać się z domu.

Może jednak zależało mu na Ewie bardziej, niż chciałby przyznać.

Albo zależało mu nie na niej, tylko na tajemnicy, sensacji.

Na tę myśl Ewie ścierpła skóra. W gruncie rzeczy prawie wcale Pawła nie знаła. Mógł być jednym z tych wariatów, którzy nagrywają na taśmy głosy umarłych czy tropią UFO. Albo jeszcze gorzej – może on po prostu bawi się jej kosztem?

Jak można ufać facetowi, który przez telefon przedstawia się słowami: „Cześć, to ja”?

Chodziła coraz szybciej. A co, jeśli on właśnie jedzie tu z kumplami, żeby się z niej ponabijać? Albo jeśli zawiadomił jakieś szmatławie pisemko, które zrobi z niej rozhisteryzowaną wariatkę?

I wtedy przyszła jej do głowy jeszcze jedna możliwość, najgorsza ze wszystkich. Może ona była wariatką? Książka wcale nie istniała, a Paweł, kiedy wejdzie do salonu, zobaczy tylko pusty stół.

Musiła oprzeć się o ścianę w przedpokoju, żeby nie upaść. Kręciło jej się w głowie, twarz płonęła z gorąca, a przed oczami pulsowały czarno-czerwone plamy.

Uspokój się, nakazała samej sobie. Jeden, dwa, trzy...

Wchodzę po schodach, pomyślała z jakiegoś powodu.

Po chwili poczuła się na tyle lepiej, że mogła pójść do salonu. Książka wciąż leżała na stoliku. Ewa chwyciła ją drżącymi rękami, czerpiąc odrobinę otuchy z dotyku twardej, lakierowanej okładki. Co za idiotyczna myśl, przecież kiedy była dzieckiem, książkę widzieli jej rodzice, a potem, już na studiach, także sporo kolegów i koleżanek z akademika.

Tylko że to mogło być złudzenie. Cała jej przeszłość mogła być złudzeniem.

Z pokoju do pokoju, ściskając książkę w ręce. Szybko, jeszcze

szybciej. Świat wokół wykrzywił się w gorącu paniki. Brodziła w nim, pływała. Miała wrażenie, że jej lekka jak piórko głowa za chwilę oderwie się od ciała i odfrunie w krainę barwnego szaleństwa.

Podskoczyła, słysząc dzwonek. Nie otwierać, to była jej pierwsza myśl. Ukryć się, przeczekać. Paweł, jakiego sobie wyobraziła, nie istniał. Realne było tylko niebezpieczeństwo, czające się teraz za drzwiami. Zła czarownica, potwór z szafy. Wróciły koszmary dzieciństwa.

– Weź się w garść – powiedziała na głos i choć słowa wydały jej się puste, to ciało usłuchało.

Otworzyła.

\*\*\*

– Może jednak ja zrobię tę herbatę? Cała się trzęsiesz.

Odsunęła się, pozwalając mu zająć miejsce przy kuchennym blacie. Napięcie powoli z niej opadało. Usiadła na krześle i podciągnęła kolana pod brodę, obejmując je ramionami. W takiej pozycji czuła się bezpieczniejsza i guzik ją obchodziło, że zachowuje się jak dziecko. Jeszcze kilka godzin temu by ją obeszło, ale teraz już nie.

Paweł postawił na stole dwa kubki parującej zielonej herbaty. Obok leżała przyczyna całego zamieszania. Książka formatu niemal A-4, cienka, w twardej oprawie. Na okładce kolorowy rysunek złotowłosej dziewczynki, która na wąskiej kładce staje oko w oko z potworem. Krok w tył, buzia otwarta do krzyku, wiklinowy koszyczek wpada w nurt rzeki. Wstrętny, włochaty i zaśliniony potwór unosi pazurzaste łapy wysoko nad głowę i rozczapierza palce. „Bu, zaraz cię złapię i zjem”, mówi jego poza, którą bezbłędnie rozpoznają nawet małe dzieci. A obok obrazka tytuł *Droga do domu* i nazwisko autora: Stanisław Łopianowski.

– Widzisz ją, prawda? – Ewa uniosła kubek do ust. W herbacie pływały płatki bławatków i kawałki kandyzowanego ananasa. – Tę książkę?

– Jasne, że widzę. Już o to pytałaś.

– I uwierzyłeś mi? Wiesz, wtedy na imprezie.

– Gdybym nie wierzył, toby mnie teraz tu nie było, nie?

– Czemu?

Przez chwilę sądziła, że odpowie: „Bo miałaś taki przekonujący głos”, odzierając ją tym samym z resztek poczucia rzeczywistości. Jednak zamiast tego wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

– Chyba chciałem ci uwierzyć. Odkąd pamiętam, zawsze miałem nadzieję, że kiedyś zdarzy mi się coś niezwykłego. Świat bez tajemnic jest taki... pusty, nie uważasz?

Powtarzając jego gest, wzruszyła ramionami. W ten sposób dała do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, byłaby całkowicie szczęśliwa, gdyby na świecie żadnych tajemnic nie było.

Z każdą chwilą czuła coraz większą ulgę, ale też większe rozczarowanie.

Paweł miał niezdrową cerę, siwe nitki w rozczochranej brodzie i przekrwione białka oczu, a przede wszystkim pękaty brzuch, na którym opinał się sweterek w kolorze sraczkowatym, najwyraźniej kupiony jeszcze w czasach, gdy jego właściciel był o dwa rozmiary szczuplejszy. Pół roku temu wyglądał znacznie lepiej, przemknęło jej przez głowę, a potem pomyślała, że może nie, może to tylko pamięć płata jej figle. W tej chwili nie ufała samej sobie.

Tak czy inaczej, Paweł nie pasował. Do niczego. Ani do roli bohatera, ani do życia Ewy, ani nawet do jej eleganckiej kuchni, całej w kolorze czystej, chłodnej bieli, złamanej gdzieniegdzie odrobiną brązu drewna. Ewa wiedziała już, że Paweł na nic się nie przyda, i gdzieś wewnątrz poczuła, jak rośnie w niej ponura, zacięta złość. No i bardzo dobrze, znów została sama. Jak zawsze. W porządku. Poradzi sobie. Wcześniej sobie radziła, więc i teraz sobie poradzi.

Paweł przysunął książkę do siebie i zaczął kartkować. Na niektórych stronach zatrzymywał się dłużej.

– Uch, faktycznie niespecjalnie sympatyczna ta bajka. Czytałaś?

– Aha.

Skinął głową, zamknął książkę i upił łyk herbaty. Nie smakowała mu, poznała po jego minie. Mimo to był zbyt dobrze wychowany, by poprosić o inną. Albo zbyt mało asertywny.

– Dobra, w takim razie zacznijmy od początku i zobaczymy, co uda

nam się wymyślić. Najpierw uporządkujmy to, co wiemy, OK? Mogę ci zadać parę pytań?

Jezu, za kogo on się uważał? Za detektywa z tanich powieści? Czy jemu się wydaje, że jej osobista tragedia to papierowa zagadka z dreszczykiem?

– Nie musisz przypadkiem wracać do domu? – rzuciła zaczepnie. – Żona pewnie się niepokoi.

Wstał i z kubkiem herbaty podszedł do zlewu. Pewnie po to, żeby wylać ją chyłkiem, pomyślała Ewa, patrząc na jego zgarbione plecy.

– Żona i dzieci są u moich rodziców, więc mogę tu siedzieć choćby i do rana.

No i jedna z zagadek została wyjaśniona.

– To jak, pogadamy?

– Jasne – odparła apatycznie. Wewnątrz wciąż czuła bierny, lodowaty opór. Nie pomoże jej, oczywiście, że nie. Ale z drugiej strony dobrze, że przez parę godzin będzie miała towarzystwo. Lepsze to niż chodzenie w kółko po pustym mieszkaniu i wariowanie.

Mogą pogadać, czemu nie.

Wrócił do stołu, usiadł i palcem wskazał książkę.

– Dostajesz taki prezent co roku na urodziny, tak? Od kiedy?

– Od kiedy byłam dzieckiem. Pierwszy dostałam, jak miałam jakieś sześć, siedem lat. Dokładnie nie pamiętam, ale to było jakoś tak na początku podstawówki.

– W porządku, jedziemy dalej. Książka zawsze nosi tytuł *Droga do domu*, ale zmienia się jej treść. Bajka jest coraz bardziej, jak by to ująć... nieprzyjemna?

– Chora – odpowiedziała Ewa. – Popieprzona, jeśli nie przeszkadza ci używanie takich słów. Wredna i dobijająca.

– Niech będzie. W każdym razie na początku to była zwyczajna bajka, taka, którą czytałaś z przyjemnością. Potem stała się bardziej mroczna, a wreszcie chora i popieprzona. I z roku na rok jest coraz gorzej.

– Aha – przytaknęła. – Jak tak dalej pójdzie, to pewnie za dziesięć lat dostanę w prezencie gore na papierze.

– A sposób dostarczania książki? Wspominałaś, zdaje się, że ona nie

przychodzi pocztą, tylko jakoś inaczej.

– Inaczej. – Ewa napiła się jeszcze herbaty. Paweł wyraźnie czekał na dalszy ciąg, ale się nie doczekał.

– No dalej, pomóż mi. Powiedz coś więcej.

– A co tu jest do mówienia? – Odwróciła wzrok. Narastał w niej coraz silniejszy opór. Przecież to i tak nic nie da. Dla Pawła to tylko zabawa, on odegra swoją rolę detektywa, a potem się nią znudzi i wróci do żony i dzieci. Do normalnego, zwyczajnego świata. A ona zostanie z całym tym popieprzonym cholerstwem na głowie.

Zmusiła się, żeby wypowiedzieć kilka następnych zdań.

– Zazwyczaj znajduję ją przed drzwiami, owiniętą w szary papier. Wiesz, jakby to była pocztowa przesyłka, tyle że nie ma żadnych znaczków ani stempli. Adresu nadawcy też zresztą nie ma, jest tylko moje imię, nawet nie nazwisko, tylko imię, wypisane drukowanymi, kulfoniastymi literami. Jakbym była dzieckiem i jakieś inne dziecko chciało mi zrobić prezent. I tyle.

– A jeśli nie znajdujesz paczki pod drzwiami, to gdzie?

– Różnie. – Skrzywiła się. – Raz uciekłam nad jezioro, wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Lelichowie i przez cały dzień siedziałam nad wodą. Była całkiem ładna pogoda jak na październik, żadnego deszczu, chociaż trochę wiało. Miałam wtedy jakieś siedemnaście, może osiemnaście lat. Wzięłam ze sobą koc, termos z herbatą, kanapki i dwie książki. Myślałam sobie, że co jak co, ale tutaj to draństwo mnie nie dopadnie.

Zamilkła, lekko zdziwiona. Wbrew sobie zaczynała się rozkręcać, a mówienie przynosiło ulgę.

– I co? – ponaglił ją Paweł.

– I nic. Siedziałam tam jak głupia do wieczora. Kiedy zaczęło się ściemniać, myślałam, że mam to z głowy, bo paczka zjawia się najczęściej przed zachodem słońca. Nie zawsze, dzisiaj na przykład przyszła później, ale najczęściej. Wstałam więc, zabrałam koc i pusty termos i ruszyłam do domu. No i wtedy ją zobaczyłam. Leżała sobie przy ścieżce i wyglądała jak z pieprzonego obrazu Dalego. Wiesz, prezencik jak spod choinki pośrodku dzikich trzcin, żwiru i zużytych kondomów. A ja wiedziałam, że muszę ją wziąć, bo inaczej znów



będzie źle. A kiedyś jeszcze... – zarumieniła się, słowa wypływały z niej z coraz większą łatwością – to było na studiach, drugi rok czy może trzeci. W każdym razie postanowiłam sobie, że przez cały dzień ani przez chwilę nie będę sama i że to może pomóc. Była wtedy sobota, a ja urządziłam imprezę, taką od rana do wieczora. Matka mało mnie potem nie zabiła, bo poszła na nią połowa forsy, jaką rodzice przysyłali co miesiąc. Ludzie myśleli, że mi odbiło, ale oczywiście przyszli. A ja siedziałam na podłodze na środku pokoju i postanowiłam sobie, że nie ruszę stamtąd dupy niezależnie od tego, co się będzie działo. Wcześniej postawiłam sprawę jasno: ja płacę, ale od biegania do kuchni po kanapki jest ktoś inny. Wokół mnie cały czas był tłok i to mi odpowiadało, myślałam sobie, że nawet jeśli ten tajemniczy dostarczyciel paczek się nie zniechęci, to może choć raz ktoś coś zauważy, no nie wiem, podkradającego się krasnoludka, kosmitę czy cokolwiek. I wiesz co? Zgubiło mnie cholerne piwo. W którymś momencie poczułam, że dłużej nie wytrzymam i muszę iść do kibla, a głupio mi było prosić jakąś dziewczynę, żeby dotrzymała mi towarzystwa. Więc poszłam sama, a kiedy już się wysikałam i wyszłam z kabiny, paczka leżała na umywalce. Ironia losu, co? Może gdybym tamtego dnia piła wyłącznie kawę, toby mi się udało.

– Nie sądzę. Powiedz teraz, czemu nie możesz tej książki wywalić do kosza, czemu za każdym razem musisz ją przeczytać?

– Przecież wiesz. – Rozdrażnienie wróciło. Za bardzo się obnażyła, za dużo i zbyt swobodnie powiedziała i teraz czuła się zażenowana. Przecież Paweł to praktycznie obcy człowiek. Wcześniej widział ją pijaną, a teraz opowiadała mu o chodzeniu do kibla. Po prostu świetnie.

– Powtórz jeszcze raz, proszę. Nie wszystko dobrze pamiętam.

Taktownie nie dodał, że kiedy ostatni raz słyszał tę historię, Ewa prawdopodobnie nie mówiła zbyt składowo. Powinna poczuć wdzięczność, ale nie potrafiła. Pieprzony dżentelmen w wersji dla ubogich, pomyślała.

Westchnęła.

– Jeśli wyrzucę jeden egzemplarz książki, niedługo zjawia się drugi. Jak wywalę drugi, to przychodzi trzeci. I tak dalej. Doszłam kiedyś do

piątego, a gdybym go nie przeczytała, pewnie dostałabym szósty.

– Wtedy było już po twoich urodzinach?

– Pierwszy przyszedł w urodziny, oczywiście, ale kolejne już nie. To ma jakieś znaczenie?

– Nie mam pojęcia.

Ewa wzruszyła ramionami. Tym razem jej gest oznaczał: „To po co pytasz, palancie?”.

Paweł milczał, najwyraźniej czekając na dalszy ciąg. Kobieta zamknęła oczy – na chwilę przytłoczyło ją zmęczenie i bezsens tego, co robi. Przecież on mi nie pomoże, dźwięczało jej natrętnie w głowie. Nikt mi nie może pomóc.

Napiła się jeszcze herbaty, zimnej już i niezbyt smacznej.

– Problem w tym, że muszę tę książkę przeczytać – mówiła teraz sztywno, bez emocji, krótkimi i oszczędnymi zdaniami. – Jeśli tego nie zrobię, zacynam źle się czuć. Kręci mi się w głowie, wymiotuję, czasem nawet pocę się krwią. I śnię koszmary.

– O czym?

– O tym, że nie mogę trafić do domu. Sny są różne, ale zawsze na ten sam temat. Błąkam się po mieście, z nieba pada popiół, a ja nie potrafię odnaleźć ulicy, na której mieszkam. Albo inaczej: niebo płonie czerwienią, a całe miasto jest inne, odmienione. Szukam znajomych budynków, ale zamiast nich znajduję dziwaczne pałace. Idę do mojego mieszkania po schodach, a one nagle się kończą, wrastają w ścianę. Pukam do mieszkania moich rodziców, a tam otwierają mi obcy ludzie. Tego typu sny. – Spojrzała Pawłowi prosto w oczy. – No i jaka jest diagnoza? – rzuciła agresywnie. – Myślisz, że jestem wariatką? A może to jakiś kompleks? Zwłaszcza ostatni sen, ten z rodzicami, jest dość freudowski, nie uważasz? No dalej, przyznaj, że mi odbiło. Powiedz to.

– Nie jestem psychiatrą. Na moje wyczucie jesteś zupełnie normalna. I nie wyżywaj się na mnie, proszę. Nie będę pieprzył głupot w stylu, że wiem, przez co przechodzisz, bo oczywiście nie wiem. I sorry, że traktuję to tak lekko, znaczy, lekko z twojego punktu widzenia, bo przecież nie mogę się przejąć tak bardzo jak ty. Nie mogę, bo to mnie nie dotyczy, ale mimo to naprawdę chcę ci

pomóc. Szczerze.

Zrobiło jej się głupio, ale nie miała zamiaru przeproszać.

Paweł potarł czoło, a potem przeczesał palcami siwiejące włosy. Białka oczu miał jeszcze bardziej zaczerwienione i wyglądał na zmęczonego, a w niektórych momentach, gdy zniknęło ożywienie, na kilka króciutkich sekund rysy jego twarzy obwisały i męczyzna sprawiał wręcz wrażenie chorego.

Ewa poruszyła się niespokojnie. Może powinna go odesłać do domu, do łóżka. Facet ewidentnie złapał jesienną grypę albo był przepracowany.

Uprzedził ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– I z góry przeproszam, że pewnie wpadnę na pomysły, na które ty wpadłaś już dawno. Wiem, że to wkurzające, ale przecież miałaś znacznie więcej czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć.

– W porządku. Co jeszcze chcesz wiedzieć? – To był Ewy sposób na powiedzenie „przepraszam”.

– Masz poprzednie egzemplarze książek?

Pokręciła głową.

– One znikają. Nie od razu po przeczytaniu, ale jakiś czas później. Kilka dni, czasem tygodni. Najdłużej to chyba było pięć tygodni, chociaż nie jestem pewna. Na samym początku, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, po prostu odkładałam książkę na półkę, pomiędzy inne, a po paru miesiącach sięgałam po nią i dziwiłam się, czemu jej nie ma. Potem starałam się kłaść ją w jednym wybranym miejscu, na przykład w szufladzie, tyle że dalej nie miałam pewności, że ona znika – owszem, to wyglądało dość dziwacznie, ale w końcu przecież ktoś mógł książkę z tej szuflady wyjąć. Na przykład jakaś koleżanka, która postanowiła ją sobie pożyczyć bez pytania, a potem zniszczyła czy zgubiła i bała się przyznać. Zresztą ja sama mogłam ją gdzieś przełożyć, a potem zapomnieć; zazwyczaj co prawda pamiętam, co gdzie położyłam, i w biurku mam porządek, ale nawet mnie się zdarza od czasu do czasu coś zawieruszyć. Tylko że coś takiego mogłoby zdarzyć się raz, dwa, no niech będzie kilka razy, ale przecież nie kilkanaście. Dlatego w końcu zdenerwowałam się i zamknęłam książkę w skrytce, a kluczyk przez cały czas nosiłam przy sobie.

– I zniknęła?

– Zniknęła. – Bawiła się przez chwilę pustym kubkiem, a potem gwałtownie postawiła go na stole. – Cholera, nie. Tak naprawdę wcale nie mam całkowitej pewności, że zniknęła. Tak magicznie, sama z siebie, wiesz, co mam na myśli. Przecież nie gapiłam się na ten kluczyk przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdejmowałam go na przykład do kąpieli, a na noc kładłam na szafce przy łóżku. Nie cierpię spać, kiedy coś dynda mi na szyi, zawsze mam wtedy wrazenie, że o coś zahaczę i uduszę się we śnie. Widzisz, jakie to wszystko jest popieprzone? Teoretycznie jakieś tam racjonalne wyjaśnienie istnieje, ale jest tak mało prawdopodobne, że bardziej maści człowiekowi w głowie, niż pomaga. Chyba z dwojga złego wolałabym, żeby to było coś... oczywiście ponadnaturalnego, wtedy przynajmniej miałabym pewność, że powinnam zgłosić się do wróżki. Albo do najbliższego domu wariatów. Myślisz, że to możliwe? Mam na myśli: możliwe, że książki przesyła zwykły człowiek?

Po raz pierwszy z pełną powagą zadała mu pytanie i chciała usłyszeć odpowiedź. Poczowała się trochę nieswojo, gdy sobie to uświadomiła.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne. Bardzo mało, tak że w zasadzie chyba nie powinniśmy brać tej możliwości pod uwagę. Na mój gust te dziwaczne sny przeważają szalę. Osłabienie, zawroty głowy, nawet krwawe poty, to wszystko da się sztucznie wywołać. Ale nie słyszałam o człowieku, który potrafiłby zmusić kogoś, żeby wyśnił sen na konkretny temat. Chyba... – zawahał się, ale wyczuwając rozluźnienie atmosfery, zdecydował się kontynuować – że ty sobie to wmówiłaś. Czekaj, moment, nie denerwuj się. Nie chcę przez to powiedzieć, że coś z tobą jest nie tak. Powiedzmy, że pewnego razu dostałaś książkę, ale zamiast się ucieszyć jak wcześniej, byłaś zaniepokojona i nie chciałaś jej przeczytać. Wtedy przyśnił ci się sen o tym, że nie możesz znaleźć drogi do domu. To mi wygląda na typowy koszmar dziecka, które czuje się zagrożone i niepewne. Poza tym książka nosi przecież tytuł *Droga do domu* i to też pewnie miało wpływ. Dalej wystarczyło już tylko, żeby twój umysł skojarzył nieczytanie książki z pewnym konkretnym snem, czy może raczej

tematem snu, i potem już sama zmuszałaś się, żeby śnić koszmar za każdym razem, gdy nie przeczytałaś prezentu.

Ewa skrzywiła się.

– Dla mnie to jakiś pseudopsychologiczny bełkot. Sorry, ale nie kupuję tego.

– Dobra, w porządku, przecież nie mówię, że tak było. To tylko teoria, zresztą faktycznie nieco naciągana. Dlatego twierdzę, że mamy do czynienia z czymś, czego się nie da racjonalnie wyjaśnić.

Paweł znowu otworzył książkę, ale tym razem zatrzymał się na pierwszej stronie.

– Wydawnictwo Oczerety, Wrocław, ulica Przejrzysta 7. To oczywiście już sprawdziłaś?

– Jasne, że tak. We Wrocławiu nie ma ulicy Przejrzystej. Jest w Lublinie, ale o wydawnictwie Oczerety nikt tam nie słyszał.

– W internecie szukałaś?

– Masz mnie za idiotkę? Pewnie, że szukałam, ale nic to nie dało. Jeśli wpiszę hasło „Oczerety”, to wyrzuca mi w pierwszej kolejności hasło z Wikipedii, a w drugiej jakąś agroturystyczną bazę.

– A Stanisław Łopianowski?

– Stanisława nie ma, jest tylko Narcyz, który napisał książkę *Rozmowy z NKWD*. Jakoś wątpię, żeby to był on.

– Tytuł książki?

– Mnóstwo takich jest. – Ewa wzruszyła ramionami. Zaczynała odczuwać zmęczenie i jednocześnie miała ochotę na papierosa. Pierwsze nie było niczym dziwnym, ale drugie już tak, bo ostatni raz paliła w liceum.

– Styl tych rysunków? Widziałaś kiedyś coś takiego? Nie mam na myśli konkretnych obrazków, tylko manierę rysowania.

Ewa apatycznie kręciła głową.

– Może warto by je zeskanować, a potem wrzucić na stronę internetową. – Paweł w zamyśleniu szarpnął brodę. – Ktoś mógłby je rozpoznać. Pomyślałaś o tym?

– Nie... – Ożywiła się, ale tylko na chwilę. Zmęczenie i zniechęcenie brały w niej górę. Bo właściwie co by to dało?

– Dobra, to jest jakaś szansa. Może spróbujemy, jeśli nie

wpadniemy na nic lepszego. Moment... – Pochylił się nad książką i wpatrywał się w nią jak poszukiwacz złota w przesiewany piasek. – Masz w domu lupę?

Zawahała się, zanim przytaknęła.

– Przyniesiesz? Będę wdzięczny.

Gdy Ewa wróciła, Paweł wciąż pochylał się nad książką, ale wzrok miał zamglony. Szczeka mu opadła, rysy twarzy obwisły, jakby w ciągu kilku minut postarzał się o dziesięć lat. Jak zawieszony komputer, pomyślała Ewa.

– Hej. – Musiała szarpnąć go za ramię, żeby zwrócił na nią uwagę.

Wyprostował się, potarł czoło. Wyglądał już na nieco bardziej przytomnego, choć wzrok wciąż miał odległy.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Mam trochę problemów i czasem mnie tak dopada. Nie przejmuj się.

– Jesteś pewien, że chcesz zajmować się moimi kłopotami? Może powinieneś zająć się własnymi?

W jego oczach pojawił się cień lęku. Spojrzenie Pawła było teraz skoncentrowane i uważne.

– Nie, naprawdę nie. Znaczący, nie trzeba. Nic mi nie będzie. To dla mnie troszkę taka odskocznia, jeśli wybaczysz porównanie. Potrzebuję tego.

W tonie, jakim wypowiedział ostatnie zdanie, było coś, co przeczyło lekkości określenia „odskocznia”. Ewa wyczuła to, ale przelotne wrażenie zniknęło, zanim zdążyła się nad nim zastanowić i nabrać nieufności.

– Masz lupę?

– Mam. Uważaj, to antyk.

– Nie szkodzi, ważne, że działa.

Wrócił do ślęczenia nad książką, znów z zaaferowaną miną, ożywiony, jakby ostatnich kilku minut w ogóle nie było.

Ewa czekała. Najpierw patrzyła mu przez ramię, ale potem znudziła się i przygotowała sobie jeszcze jeden kubek herbaty, tym razem czarnej, z miodem i cytryną. Gdy skończyła, zegar zaczął wybijać północ.

Czekała nadal i kiedy już naprawdę zaczęła się denerwować, Paweł

uniósł głowę znad książki. Jego oczy były okrągłe ze zdumienia. Ewa nigdy nie wierzyła, że to literackie porównanie ma sens, ale miało.

– Znalazłeś coś?

Szarpnął brodę i teraz ten gest oznaczał raczej bezradność niż zastanowienie.

– Nie wiem. Sam nie wiem. Cholera, nie chce mi się wierzyć.

– Powiesz, co to takiego?

– Wolałbym nie. Znaczący, chcę się upewnić, bo jeśli się mylę, to wyjdę na idiotę. Słuchaj, nie jesteś jakoś szczególnie przywiązana do tej książki, co? Mogę wydrzeć z niej kartkę i ją sobie wziąć?

– Możesz wziąć całą albo całą podrzeć, jeśli masz ochotę. Sama bym chętnie to zrobiła. Zresztą już kiedyś zrobiłam.

– Wystarczy mi jedna kartka. Poza tym nie chcę ci zabierać książki. Myślę, że powinnaś ją jeszcze raz przeczytać.

– Zwariowałaś? – Ewa z niesmakiem zacisnęła usta. – W życiu nie przeczytam tego z własnej woli, robię to tylko dlatego, że muszę. Raz i mam spokój na cały rok.

Zerknął na zegarek.

– Cholera, muszę lecieć, jutro do pracy... Znaczący, dzisiaj. – Wstał, po czym zatrzymał się w pół ruchu, żeby spojrzeć Ewie w oczy. – Słuchaj, co ci szkodzi? Książka nie jest zbyt sympatyczna, fakt, ale bez przesady. Widziałem znacznie bardziej paskudne horrory. Spróbuj, bo może my szukamy w złym miejscu. Może odpowiedź na pytanie, skąd ta książka się bierze, tkwi nie w nazwie wydawnictwa albo nazwisku autora, ale właśnie w treści. Albo w ilustracjach. Po prostu spróbuj przeczytać jeszcze raz, i to nie tak pobieżnie, byle mieć za sobą, ale na spokojnie. I obrazki też pooglądaj. Może na coś wpadniesz, nie wiem, jakieś skojarzenie czy coś. Co ci szkodzi? – powtórzył. – Stracisz może pół godziny, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, to będziemy przynajmniej wiedzieli, że nie tędy droga.

Przez całą tę przemowę Ewa milczała z zaciętym wyrazem twarzy, ale kiedy Paweł skończył, niechętnie skinęła głową. Miał rację, a ona i tak dzisiaj będzie musiała wziąć tabletkę, żeby zasnąć.

\*\*\*

Paweł miał rację także w innej kwestii – książka naprawdę nie była aż tak obrzydliwa, jak wydawało się Ewie. Ktoś o specyficznym guście mógłby nawet uznać ją za interesującą. Opowiadała o złotowłosej dziewczynce, którą pewnego dnia matka i ojciec wywieźli do głębokiego lasu i tam zostawili. Dziecko przeżyło mnóstwo przygód, zanim wróciło do domu, do rodziców, którzy w międzyczasie uznali, że nie chcą jej porzucać. Jednak ten ociekający lukrem happy end jaskrawo kontrastował z resztą historii. Dziewczynka (nie miała imienia, autor przez cały czas nazywał ją właśnie Dziewczynką) wcale nie była miła ani grzeczna jak większość baśniowych bohaterów. Bywała bezlitosna i podstępna, a w potrzebie nie wahała się użyć swoich rozkwitających wdzięków. Inna rzecz, że ludzie, zwierzęta i magiczne istoty, jakie spotykała, wcale nie okazywali się lepsi. Kobieta z chatki na kurzej nóżce usiłowała wepchnąć dziewczynkę swojemu podstarzałemu mężowi do łóżka, kot udawał przyjaciela, ale tak naprawdę chciał tylko rozerwać bohaterce gardło i napić się świeżej krwi, a smok okłamał ją dla czystej frajdy. Dziewczynce czasem udawało się umknąć niebezpieczeństwu, a czasem nie, raz była ofiarą, a raz katem. Była to historia oszustw, zdrad, gwałtów i fizycznej przemocy, w której dziecko niespodziewanie okazało się graczem jeśli nie wytrawnym, to przynajmniej nie gorszym od innych. Adekwatne do historii ilustracje przedstawiały brzydkie, naznaczone podłością twarze, spojrzenia nienawistne, chytre albo pożądlive, ślinę kapiącą z ust czy pysków, krew, błoto, brud i flaki. A pośród tego wszystkiego tkwiła jasnowłosa Dziewczynka w krótkim, ledwo zakrywającym uda płaszczku barwy płomieni. Czerwony Kapturek w krzywym zwierciadle, okrutny i na swój sposób wciąż dziecięco niewinny.

Skłamałam? (Wielkie oczy otwarte w wyrazie naiwnego zdumienia). Ale przecież wszyscy kłamią?

Zrobiłam mu krzywdę? Bolało go? (Oczy jeszcze większe i bardziej błękitne). Ależ musiałam, bo inaczej on zrobiłby mi to samo.

Ewa odsunęła od siebie książkę otwartą na ilustracji, która ukazywała włochatą łapę nurkującą w dziewczęcych majteczkach. Dawno już wyrosła z wieku nastoletniej niewinności, ale mimo to



obrazek napęłnił ją niesmakiem. Kto mógłby chcieć coś takiego malować, o oglądaniu już nie wspominając?

Z drugiej strony przecież to samo życie, nie? Na świecie jest pełno niewyżytych samców, którzy myślą tylko o jednym, i jeszcze więcej oszustów, krętaczy i psycholi. Biorąc to pod uwagę, cóż winna jest złotowłosa dziewczynka, że w brutalnej rzeczywistości radzi sobie przy pomocy brutalnych metod?

Ewa zamknęła oczy. No i dupa blada, pomyślała, przeczytałam całość jeszcze raz i nic mi to nie dało. Niech Paweł idzie do diabła z tymi swoimi metodami. Jutro mu powiem, żeby nie zawracał mi więcej głowy.

Jednak przez cały czas miała wrażenie, że coś przegapiła. Uczucie było bliskie temu, jakiego człowiek doznaje, gdy wychodząc z domu, zapomni zamknąć za sobą drzwi. Coś ważnego i jednocześnie oczywistego. Wiedziała, że kiedy wreszcie sobie przypomni, powie w myślach: Boże, jak mogłam być taką kretynką.

To mogło mieć coś wspólnego z książką, ale nie musiało.

Ewa westchnęła i sięgnęła po tabletki nasenne.

Spała źle, spocona i dręczona złymi snami, których później nie mogła sobie przypomnieć. Kilka razy w nocy budziła się i otumaniona lekiem zapalała światło, bo zdawało jej się, że w sypialni ktoś jest. Jednak pokój za każdym razem okazywał się pusty. Pusty i obcy.

Sen, który nadszedł nad ranem, był inny. Też niepokojący, ale nie koszmar. Na wpół przytomna Ewa usiadła i wymamrotała: „Boże, jak mogłam być taką kretynką”. Potem zadzwoniła do firmy z informacją, że źle się czuje, chyba złapała jesienną grypę i nie przyjdzie dziś do pracy. Gdy tylko odłożyła słuchawkę, padła z powrotem na łóżko i zamknęła oczy. Tym razem nic jej się nie śniło.

\*\*\*

Obudziła się na dobre przed jedenastą i przez chwilę rozkoszowała się przyjemnością leżenia w pościeli o tej porze. Czowała niepokój, odwlekła więc moment, w którym będzie musiała stawić czoła rzeczywistości. Jak w poranek przed egzaminem, gdy człowiek czepia

się resztek snu i nie chce pamiętać o tym, co go czeka. W sypialni panował półmrok, o szyby monotonnie uderzały drobne krople deszczu. Zawinęła się w kołdrę pachnącą jaśminowym płynem do płukania. Tak przyjemnie, tak ciepło. Jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć, odliczała czas na stojącym przy łóżku budziku.

Niepokój zmienił się w strach, a ten z kolei w determinację, która w końcu zmusiła Ewę do wstania. Zapaliła światło i sięgnęła po książkę, by potwierdzić to, czego i tak była niemal całkowicie pewna.

Jeden z narysowanych w książce przedmiotów zdecydowanie wyglądał znajomo.

Wzięła prysznic, a potem usiadła w kuchni i spróbowała wmusić w siebie trochę owocowych musli. Suche płatki z trudem przechodziły przez przełyk, a potem do żołądka, który w ciągu ostatnich dni skurczył się do rozmiarów suszonej śliwki. Przynajmniej takie Ewa miała wrażenie. Pomyślała, że przydałoby się kupić mleko. Albo jogurt. Cholera, powinna kupić mnóstwo rzeczy. I posprzątać, i zrobić pranie.

Z pudełka musli gapiło się na nią rozmazane, czarno-białe zdjęcie mniej więcej czternastoletniej dziewczynki. Arleta Kowalczyk, wyszła z domu siódmego sierpnia i dotąd nie wróciła. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... I numer telefonu, niekatowicki, z kierunkowym chyba na Poznań.

Dziwne. Nie zauważyła wcześniej tej fotografii, a przecież pudełko stało w szafce od dawna. Ponadto pomysł umieszczania portretów zaginionych dzieci na kartonowych opakowaniach kojarzył jej się z amerykańskimi filmami. Ewa nie wiedziała, że w Polsce też się tak robi.

„Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...”. Nie brzmiało to optymistycznie, a dziewczynka na zdjęciu uśmiechała się smutno, jakby świadoma swego losu. Miała aparat na zębach i wyglądała raczej na bujającą w obłokach marzycielkę niż na nieletnią uciekinierkę.

Ewa wrzuciła puste pudełko do kosza na śmieci i spojrzała w okno. Deszcz wciąż padał, ale wiedziała, że naprawdę musi wyjść. Kupić bułki, chleb, cokolwiek. Jeśli dziś nie zje czegoś solidnego, zacznie

mdleć z osłabienia. Już teraz, gdy zbyt gwałtownie wstawała z krzesła, kręciło jej się w głowie.

Zrezygnowana ruszyła w stronę szafy. Mieszkanie wciąż wydawało jej się obce, ale nie było już w nim nic groźnego. Tylko obcość hotelowego apartamentu, w którym zatrzymuje się człowiek w podróży. Tak właśnie czuła się teraz Ewa. W podróży. Poza tym od momentu, kiedy się obudziła, wiedziała, że w domu nic jej nie grozi. Po prostu wiedziała i ta świadomość napełniła ją względnym spokojem. Bała się, owszem, zepchnięty w głąb świadomości strach tylko czekał, żeby wychynąć na powierzchnię. Ale prócz strachu wciąż czuła determinację i coś jeszcze, czego nie doświadczyła od bardzo dawna, a przynajmniej nie w związku z książką.

Ewa była zaintrygowana.

\*\*\*

Trzymając w ręku pełną siatkę, wskoczyła do tramwaju. Zrobiła to pod wpływem impulsu, wyłącznie dlatego, że tramwaj akurat nadjechał, a ona miała przemoczone buty i dość walki z wiatrem, który próbował wyrwać jej parasol. Gdy zamknęły się za nią drzwi, uświadomiła sobie po pierwsze, że nie ma biletu, a po drugie, że to nie ma znaczenia. Przecież od domu dzielił ją tylko jeden przystanek.

Postawiła siatkę na wolnym siedzeniu i zamknęła ociekający parasol. Deszcz bębnił o okna tramwaju, a gdy pojazd skręcał, z dachu lały się strugi wody. Typowo jesienna plucha, myślała, poprawiając ułożenie siatki, która zaczęła się zsuwać.

Gdy uniosła głowę, jej wzrok padł na rozmazaną, czarno-białą kserokopię zdjęcia. Nastoletnia twarz, a poniżej znajomy napis: „Ktokolwiek widział...”. W pierwszym odruchu pomyślała, że to ta sama dziewczyna co na opakowaniu płatków, ale nie, tym razem był to chłopak o dziewczęcej twarzy. Podobny wiek – jakieś czternaście, góra piętnaście lat. I numer telefonu. Nawet niespecjalnie się zdziwiła, że znów widzi zdjęcie zaginionego dziecka. Znała ten efekt – gdy raz zauważysz coś niezwykłego, łatwiej jest ci dostrzec to ponownie, wyłowić z szarego szumu codzienności. Na tej samej

zasadzie kiedyś, dawno temu, gdy matka wytłumaczyła jej, skąd się biorą dzieci, świat wokół zaroił się od kobiet w ciąży.

Tak, to musiało być to.

Niespodziewanie poczuła pewność, że chłopak ze zdjęcia nigdy nie wróci do domu. Dziewczyna też nie. Ewa to wiedziała, tak samo jak wiedziała, że w mieszkaniu nie grozi jej niebezpieczeństwo. Żadnych dowodów, żadnych nawet przesłanek. Po prostu czysta oczywistość.

Tramwaj zatrzymał się i Ewa wysiadła. Spróbowała otworzyć parasol, ale ten zaciął się jak na złość. Zaklęła, biegnąc pod dach przystanku, gdzie kuliło się już kilkoro zziębniętych ludzi. Deszcz padał coraz mocniej. W kałużach rozkwitały i zaraz pękały wielkie jak pięści bańki powietrza, a zacinające strugi rozmywały jaskrawe barwy wysokiej na pół budynku reklamy banku Millennium, która dominowała nad ulicą. Rozmywały też inną plamę koloru, znacznie mniejszą i znajdującą się o wiele niżej. Czerwony płaszczyk dziecka, które stało po drugiej stronie ulicy, obserwując, jak przemarznięta i wściekła Ewa walczy z opornym parasolem.

\*\*\*

Telefon zadzwonił tuż po trzeciej. Ewa podniosła słuchawkę lewą ręką, bo w prawej trzymała łyżkę, którą mieszała sos pomidorowy.

– Halo?

– Cześć. – Rozpoznała głos koleżanki jeszcze z czasów studenckich. Lubiła od czasu do czasu posiedzieć z nią w przytulnej knajpce, gdzie Baśka raportowała najnowsze wieści z życia ich wspólnych znajomych. Jednak plotki przy kawie to jedno, a telefoniczna rozmowa drugie, zwłaszcza że Ewa nie miała teraz ochoty na takie pogawędki.

– Cześć. Jestem w tej chwili trochę zajęta, wybacz. – Nie starała się nawet, żeby zabrzmiało to jakoś szczególnie uprzejmie.

– Nie zajmę ci dużo czasu. – W głosie Baśki słyhać było podniecenie. – Po pierwsze, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, trochę spóźnione, ale szczere.

– Dzięki – powiedziała Ewa nieco cieplejszym tonem, wyłączając

przy tym gaz. Intensywny zapach czosnku wypełniał całą kuchnię. Może nieco zbyt intensywny? Nabrała sosu na łyżkę i spróbowała ostrożnie. Nie, chyba wszystko jest w porządku. Dodała tyle przypraw, ile powinna.

– A po drugie – ćwierkała jej w ucho koleżanka – wyobraź sobie, że dziś zjawiał się u mnie w pracy twój były mąż. Powiedział, że przechodził obok i postanowił wpaść. Dziwne, nie?

Ewa zmarszczyła brwi. Radek nie był wielbicielem ani rozgadanej Baśki, ani tym bardziej kolorowych spinek do włosów, które sprzedawała w swoim butiku.

Faktycznie dziwne.

– A teraz trzymaj się, bo będzie jeszcze dziwniej. Radek zaczął mnie o ciebie wypytywać. Czy ciągle mieszkasz sama, czy z kimś się spotykasz, nawet czy ciągle lubisz wyjść wieczorem na spacer, a jeśli tak, to gdzie. Myślę, że on chce, żebyś do niego wróciła.

– Nie, nie chce – zaprzeczyła odruchowo. Chodziła teraz po mieszkaniu ze słuchawką przytuloną do ucha. Zawsze najlepiej jej się myślało w ruchu. – Nie wiem, o co mu chodzi, ale na pewno nie o to.

– Tak, wiem, gdyby człowieka można było zabić przez naciśnięcie guzika, już byłabyś trupem. – Baśka zachichotała. – Mówiłaś mi. Ale daj spokój, Ewa, ludzie czasem godzą się po rozwodach.

– Tu nie chodzi tylko o rozwód.

– A o co?

– Coś, czego na pewno mi nie wybaczy. Zwłaszcza że jest tak cholernie pamiętliwy – dodała Ewa.

To była prawda, Radek nienawidził z daleka, z ostrożnego dystansu tchórza, ale jednocześnie z cichą, cierpliwą pasją. I nigdy nie zapominał, jeśli ktoś raz nastąpił mu na odcisk, a przecież ona zrobiła dużo, dużo więcej.

– I nie powiesz mi, co to konkretnie było, co? Może następnym razem przy kawie, nie przez telefon?

– Może.

Podeszła do okna. Ciągle lało, choć teraz jakby trochę mniej – a może tylko tak jej się wydawało, może to był przejaw resztki życiowego optymizmu, która Ewie została. Tak czy inaczej,

widoczność była na tyle dobra, że kobieta mogła zobaczyć sylwetkę dziewczynki w czerwonym płaszczyku, która siedziała na zepsutej huśtawce i bujała się apatycznie. Po raz pierwszy zauważyła tę małą, gdy wracała do domu z zakupami. Stała wtedy przy sąsiednim bloku, drobna i zgarbiona, z rękoma w kieszeniach i szerokim kapturem zasłaniającym twarz. Stała i mokła, a Ewa zastanawiała się nawet, czy nie podejść do niej i nie zapytać, gdzie są jej rodzice. Ostatecznie jednak dała spokój – to nie była jej sprawa, a poza tym obok przechodziło sporo innych ludzi i Ewa pomyślała sobie, że któryś z nich na pewno zajmie się dzieckiem.

Jak widać, nikt się nie zajął. Cóż, może mała po prostu czeka tu na wracającą z pracy matkę i wcale nie chce, żeby ktoś obcy się nią zajmował.

Basia coś mówiła, a Ewa zorientowała się, że umknął jej początek.

– Mogłabyś powtórzyć?

– Mówiłam, że twój eks wygląda teraz całkiem nieźle. Ma nowe ciuchy i nawet zęby kazał sobie wstawić. Nie poznałabyś go.

A więc Radek zdołał odbić się od dna. Ewę niespecjalnie to zdziwiło, bo pieniądze zawsze lubiły jej byłego męża, nawet nie musiał się za bardzo o nie starać. No i bardzo dobrze. Może skupi się na wydawaniu forsy i skończą się te pełne nienawiści telefony. A przynajmniej będzie ich mniej.

– Mówił, że skończył z piciem – kontynuowała Baśka.

– Już w to wierzę. Radek pił nawet wtedy, kiedy byliśmy małżeństwem, tyle że wtedy robił to bardziej dyskretnie.

– No to może znowu pije dyskretnie. W każdym razie nic po nim nie widać, wygląda prawie tak jak dziesięć lat temu.

– W to też nie wierzę.

Dziesięć lat temu Radosław Wilkorz miał zmysłowy wygląd greckiego efeba, a taka uroda nigdy nie trwa długo. Nawet bez podlewania alkoholem delikatna skóra szybko szarzeje, a twarz traci kształt idealnego owalu. Dzisiaj odrodzony Radek mógł być mężczyzną przystojnym, dobrze się prezentującym, zadbanym, a może nawet uroczym, niech będzie. Ale z pewnością nie miał w sobie tego subtelnego piękna, które kiedyś Ewę oczarowało.

Spojrzała raz jeszcze przez okno. Dziewczynki już nie było i Ewa odetchnęła z ulgą.

– Muszę kończyć, wybaczyć. Obiad mi się przypala – skłamała bez wyrzutów sumienia.

– Ty gotujesz obiad? – Baśka zarechotała radośnie. – Żartujesz, a ja myślałam, że żywisz się powietrzem. Dobra, koniec rozmowy, jeszcze tylko jedno: masz czas w weekend? Może byś do mnie wpadła?

– Nie mogę. Wyjeżdżam.

– O? Dokąd? I z kim?

– Nic ciekawego. Naszła mnie ochota, żeby odwiedzić stare kąty. Wybieram się do Lelichowa, wiesz, gdzie się wychowałam.

Dopiero teraz Ewa pojęła, że jest zdecydowana i naprawdę zamierza to zrobić. Pojedzie nad jezioro Kosiakowo, tam gdzie wszystko się zaczęło, dawno temu, od rozbitego lustra.

\*\*\*

– Lustro – powtórzyła Ewa cierpliwie, wskazując ilustrację w książce.

– W naszym starym domu mieliśmy takie samo. Widzisz te charakterystyczne dla stylu empire mosiężne plakiety? To antyk, biedermeier, z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Moja matka uwielbiała to lustro, a ja stłukłam je pewnego dnia i jeszcze tego samego roku na urodziny dostałam pierwszą książkę.

Paweł spojrzał na nią znad kubka z gorącą kawą, o który grzał zmarznięte dłonie. Z mokrych włosów spływały mu na policzki krople wody, bo jak idiota wybrał się w taką pogodę bez parasola, tylko w skórzanej kurtce.

– Jesteś pewna? Znaczący, że to był ten sam rok?

– Prawie pewna – dodała uczciwie. – Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Na to wygląda.

– Wybieram się tam jutro z samego rana. – Odsunęła książkę. – To kawał drogi, ale na wieczór powinnam być. Muszę tylko dzisiaj jeszcze zadzwonić do rodziców.

– Ten stary dom wciąż jest wasz?

– Nie, jasne, że nie. Po śmierci babki dostała go siostra mamy, która mieszka tam teraz sama. Dlatego właśnie chcę pogadać z rodzicami. Ja jej zbyt dobrze nie znam, ostatni raz widziałyśmy się dwadzieścia lat temu, ale mama może do niej zadzwonić i zapytać, czy nie mogłabym wpaść na chwilę. Myślę, że ciotka Irena się zgodzi, bo czemu nie. Muszę tylko wymyślić jakiś w miarę wiarygodny pretekst.

– Mogę jechać z tobą? – Pawłowi zaświeciły się oczy.

Cofnęła się lekko w odruchu niechęci.

– Po co?

– Bo mnie to interesuje, już ci mówiłem. A poza tym – uśmiechnął się szeroko – mam coś do przehandlowania. Dałem kumplowi tę kartkę, wiesz, tę, którą wczoraj zabrałem, i okazało się, że miałem rację.

Triumfalnie wyciągnął z kieszeni pomietą stronę i rozprostował ją, starannie wygładzając zagięcia.

– To nie jest druk – oznajmił. – Ta książka jest w całości pisana ręcznie.

– Żartujesz.

– Nie. – Pokręcił głową, wciąż bardzo z siebie zadowolony. Jego uśmiech sprawiał, że Ewa bez trudu mogła wyobrazić sobie, jak wyglądał Paweł przed dwudziestoma laty, sprzed czasów siwiejącej brody, przekrwionych oczu i chwil, gdy zawieszał się jak komputer. – Literki naśladują druk, owszem, ale wszystkie pisane są ręcznie czarnym tuszem. Pod mikroskopem widać to wyraźnie, wiesz, lekko falista laseczka w „l”, gdy piszącemu zadrżała ręka, albo literki trochę bardziej ściśnięte tam, gdzie kończyła się linijka i brakowało miejsca. Komputerowy skład nie da takiego efektu, zaręczam.

– I co z tego wynika?

– Masz pojęcie, jak niesamowitej cierpliwości i precyzji musi wymagać zrobienie czegoś takiego? Ta książka to dzieło sztuki, warte pewnie kupę kasy, gdybyś zdecydowała się ją sprzedać.

– No, teraz warta jest trochę mniej, skoro wyrwałeś z niej kartkę – zauważyła zgryźliwie Ewa.

Paweł zaczerwienił się.



– Wiem, przepraszam, idiota ze mnie. Nie pomyślałem o tym.

Jego skrucha ułagodziła trochę Ewę, która ponadto pamiętała, że przecież sama nie miała nic przeciwko wyrwaniu kartki.

– Nie przejmuj się. I tak nie miałam zamiaru jej sprzedawać. Po pierwsze, musiałabym wyjaśnić, skąd ją wzięłam, a po drugie, trochę głupio sprzedawać coś, co prędzej czy później zniknie nabywcy z szuflady. Ale jeśli ci się wydaje, że przehandlujesz to odkrycie za wyjazd ze mną, to się mylisz. – Jej głos stwardniał. – Przecież i tak musiałbyś mi o tym powiedzieć. To moja książka, a ty nie masz prawa stawiać mi żadnych warunków.

Paweł zaczerwienił się jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Rany, musisz być taka strasznie poważna? To był dowcip, OK? Głupi, w porządku, przyznaję, ale przecież nie miałem zamiaru stawiać ci żadnych warunków ani nic w tym rodzaju! Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś, serio, bardzo mi przykro.

– Czemu tak bardzo ci zależy na wyjaśnieniu, skąd ta książka się bierze? Tak naprawdę? – umilkła, bo nagle przyszło jej do głowy paskudne podejrzenie. – Chyba że jesteś jednym z nich i masz mnie pilnować albo coś w tym rodzaju...

– Popadasz w paranoję – Paweł skrzywił się z niesmakiem. – Nie jestem żadnym jednym z „nich” i wiem jeszcze mniej niż ty. Dla mnie to... sprawa osobista.

Uwierzyła mu, ale nie zamierzała odpuścić.

– Znaczy?

Umknął wzrokiem w bok, ale odpowiedział szczerze. Chyba.

– To moja jedyna szansa, żeby się przekonać, że oprócz tego – z nagłym, desperackim wyrazem obrzydzenia złapał się za pucułowaty policzek – mięsa coś jeszcze jest. Cokolwiek, anioł, diabeł, wszystko mi jedno.

– Mnie tam nie byłoby wszystko jedno, czy spotkam anioła, czy diabła. – Ewa uśmiechnęła się kpiąco. To miał być żart dla rozładowania napięcia, ale nie wyszedł, bo Paweł nadal unikał spoglądania jej w oczy.

– Poza tym – dodał po chwili, z wahaniem i prosząco – myślę, że

przydałoby ci się towarzystwo. Naprawdę chcesz tam jechać całkiem sama? Ja nie jestem najlepszym towarzystwem, ale lepsze takie niż żadne. To znaczy... – Zmieszanie na jego twarzy zmieniło się niemal w grozę. – Nie chciałem...

Nie chciał sugerować, że Ewa żadnego innego towarzystwa nie ma, oczywiście.

– Daj spokój – oszczędziła mu tłumaczeń. W jego ciągłej gotowości do przeproszania było coś, co budziło w niej zarazem współczucie i niechęć. – Zastanowię się i zadzwonię wieczorem, w porządku?

Na dobrą sprawę mogłaby zgodzić się już teraz, bo oczywiście Paweł w irytujący sposób znów miał rację i Ewa wcale nie miała ochoty jechać do Lelichowa sama. Nie chciała jednak, aby wyglądało na to, że za bardzo jej zależy.

\*\*\*

Telefon leżał na siedzeniu samochodu i wibrował, połyskując błękitnym ekranem, na którym widniał napis: Radek.

Nie odbiorę, postanowiła Ewa, zaciskając ręce na butelce sprite'a. Ten jeden raz nie odbiorę.

Telefon przestał dzwonić i kobieta rozluźniła się odrobinę. Zerknęła na zegar. Za piętnaście dwunasta. Szlag by to trafił. Z Katowic wyjechali po ósmej i przez cały ten czas ledwo udało się im minąć Wrocław. Cholerna mgła, pomyślała Ewa, czując, jak miejsce złości i zdenerwowania zajmuje zniechęcenie.

Mgła wciąż unosiła się na parkingu przy stacji benzynowej, gdzie zatrzymali się, żeby zatankować i kupić coś do picia. Mleczne kłęby sunęły leniwie, podświetlone przez samochodowe światła, które nadawały im połyskliwy, żółty kolor.

Gdzie ten Paweł? Kwadrans wystarczy w zupełności, żeby kupić paczkę chipsów czy colę.

Może dzwonił do żony? Nie, przecież jego komórka została na tylnym siedzeniu, tam gdzie rzucił ją wraz z kurtką.

Zirytowana Ewa wysiadła. Wilgotne zimno natychmiast oblepiło jej policzki i wdarło się pod płaszcz. Zapięła go, mamrocząc pod nosem

ciche przekleństwa, i dla pewności jeszcze postawiła kołnierz.

Telefon znów zaczął wibrować, świecąc przy tym i sunąc w poprzek fotela niczym prostokątny żuk.

Ewa zacisnęła usta. Nie odbiorę, powtórzyła w myślach. Dwie nieprzyjemne rozmowy telefoniczne w ciągu dwudziestu czterech godzin to przesada. Tę pierwszą odbyła wczoraj wieczorem, gdy zadzwoniła do rodziców i odebrała jej matka, ewidentnie w złym humorze, ewidentnie po kłótni z ojcem. Porozmawiaj z nim, powiedziała do Ewy. Ciebie posłucha, zawsze byłeś jego ukochaną córeczką. Przemów mu do rozumu, wytłumacz, że tak dłużej nie może być, słyszysz? Ja tego dłużej nie wytrzymam, zabiję się, chcesz mieć na sumieniu śmierć własnej matki?

Ewa spędziła następne pół godziny, starając się ją uspokoić i dostać to, po co dzwoniła, czyli obietnicę telefonu do ciotki Ireny, jednocześnie wykręcając się od konieczności rozmowy z ojcem, który – była tego absolutnie pewna – gdyby zgodziła się „przemówić mu do rozumu”, powiedziałyby coś w rodzaju: „Napuściła cię na mnie, co? Nie spodziewałem się tego po tobie, mała, no, no, po tym, co razem przeszliśmy” – w tonie niby to żartobliwym, ale jednak pełnym urazy. Potem zbyłby wszystkie jej słowa jakimś niemądrym dowcipem, opowiedział, co zabawnego mu się niedawno zdarzyło, a na sam koniec dobiłby ją stwierdzeniem: „To już nie mam co liczyć, że jeszcze kiedyś pooglądamy razem mecz? Skoro teraz jesteś po jej stronie”.

Odkąd Ewa pamiętała, w ich domu zawsze istniały dwie strony: matka i ojciec, bawiący się w przeciąganie liny, którą w tym przypadku była ich córka. Dziewczynka zmuszana do rozstrzygnięcia sporów, na początku kompletnie niezrozumiałych, a potem przerażających swą absurdalnością. Z dzieciństwa pamiętała gniew, taki, którego nie da się wyrzeshzczeć, choćby człowiek wypluł płuca, ani wyrzucić z siebie wraz z przekleństwem. Dławiący, trujący gniew, który bierze się z kompletnej bezradności, złość granicząca z chęcią zrobienia matce i ojcu fizycznej krzywdy (podrapać, uderzyć, kopać, może wtedy coś do nich dotrze), bo Ewę proszono o radę, ale nie istniały żadne słowa, którymi można by rozstrzygnąć ten spór, nic,

żadnych argumentów. Rodzice zwracali się do Ewy, ale tak naprawdę jej nie słuchali – każde z nich słyszało tylko to, co chciało usłyszeć.

Tyle razy chciała sobie odpuścić, przestać się przejmować i ograniczyć się do wysyłania rodzicom kartek ze świątecznymi życzeniami. Niech się kiszą w sosie własnych pretensji, w urojonym świecie pełnym wzajemnie wyrządzanych krzywd. Mogłaby to zrobić, pochować całą przeszłość, wspomnienia z dzieciństwa, tak jak się chowa najlepszego przyjaciela – z czułością i smutkiem, nie pamiętając już tego, co złe. A potem czekać na telefon z informacją, że jej ojcu udało się wreszcie zapać na śmierć. Kiedyś to musiało nastąpić, bo matka, choć potrafiła zrobić awanturę o byle drobiazg, nigdy tak naprawdę nie przyjęła do wiadomości faktu, że jej mąż ma problem z alkoholem. Mogłaby. Ale zawsze wtedy coś zmieniało jej decyzję: szła do rodziców z wizytą, zaciskając zęby w przekonaniu, że to już ostatni raz, i zastawała szczęśliwą, żartującą ze sobą parę. Bo przecież we wspólnym życiu państwa Rejtychów bywały też dobre chwile, teraz i wcześniej, gdy Ewa była dzieckiem. Całe mnóstwo dobrych chwil, schwytych w ramy wspomnień rozświetlonych słońcem i pachnących lasem, a jednocześnie skażonych gorzką świadomością piekła, w które dwoje przyzwoitych, generalnie sympatycznych ludzi może zmienić swoje życie.

A najbardziej żalosne w tym wszystkim było to, że Ewa nie tylko rodziców kochała, ale także rozumiała. Wiedziała, dlaczego zachowują się tak, a nie inaczej, znała ich sposób myślenia, wszystkie lęki i obsesje, które wykrzywiały rzeczywistość. I czasem odnajdywała je w sobie: te same słowa, gesty, sposób rozumowania. Czy przed rozwodem jej własne małżeństwo nie było na doskonałej drodze do tego, aby stać się takim samym jak związek jej rodziców? I czy to właśnie nie z tego powodu zdecydowała się wyrzucić Radka ze swojego życia?

Ewa poczuła zawrót głowy, a ziemia próbowała uciec jej spod stóp, jak dywan w komedii slapstickowej, szarpnięty ręką dowcipnisa. Mgła zgęstniała, parking nagle stał się bardzo ciasny. Przysadziste sylwetki samochodów i kwadratowe dystrybutorów, ciepłe od światła okna całodobowego sklepiku – było w tym wszystkim teraz coś

nieuchwytnie sztucznego, już nie parking przy stacji benzynowej, tylko teatralna scena pełna dekoracji z kartonu i dykty. A pośród nich stała Ewa, odarta ze wszystkich swoich dorosłych doświadczeń, nie kobieta, lecz mała dziewczynka, ta sama, która dawno temu wchodziła po siedmiu stopniach do pokoju.

Oparła się o samochód i chłód wilgotnej od mgły karoserii przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Stacja benzynowa znów była po prostu stacją, a ona kobietą w granatowym prochowcu i botkach na wysokim obcasie. Jednak wspomnienie pozostało i Ewa uśmiechnęła się do niego.

Miała kiedyś pokój, jej własny, istniejący tylko w wyobraźni. Przez lata wypełniała go ulubionymi zabawkami i drobiazgami, meblowała, dopracowywała szczegóły. Tapeta w aniołki (widziała taką u koleżanki), stara, niesamowicie miękka i przytulna kanapa, którą jej matka wyrzuciła, bo drewno zżarły korniki, wszystkie ukochane książki, misie i lalki, a także cała dziecięca biżuteria, pierścionki, kolczyki i kolorowe wisiorki. I karnawałowy strój wróżki z połyskującymi różowo skrzydełkami, za ciasny już w realnym świecie, ale tam, w pokoju, pasujący idealnie. I jeden z kociaków cioci Asi, ten z łatką na uchu, którego rodzice nie pozwolili jej zatrzymać. I kredki do rysowania. I szafka pełna przysmaków, czekolady, ciastek z kremem i malinowego budyniu.

Jej azyl. Gdy w domu wybuchała kolejna awantura, Ewa uciekała do swojego azylu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – wchodzi po schodach i zamykam za sobą drzwi. Teraz jestem bezpieczna. Nic, co moi rodzice mówią, i nic, co robią, nie jest w stanie mnie dotknąć. Na pozór wygląda na to, że wciąż jestem z nimi – odwracam się do ściany, zła i obrażona albo udaję, że śpię – ale tak naprawdę mnie tu nie ma. Jestem daleko stąd, w swoim pokoju.

Jak mogła zapomnieć?

Przez chwilę bawiła się rozważaniem, jak umeblowałyby pokój teraz. Ściany w kremowym kolorze, kolekcja aniołów, ulubiony fotel...

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Sięgnęła po niego

odruchowo, myślami wciąż przebywając daleko stąd, i odebrała.

Gdy zobaczyła, kto dzwoni, od razu opadła z niej cała radość, całe ciepło wspomnień.

– Nie mogę teraz rozmawiać – ostrzegła.

Spodziewała się wybuchu złości i gróźb, ale zamiast tego usłyszała pytanie: „Dlaczego?”, zadane cichym, spokojnym głosem. Niesamowicie, Radek nie zaczął rozmowy od: „Zabiję cię, pindo”, powinna chyba jakoś uczcić ten dzień. Jednak mimo to nie zamierzała być dla niego uprzejma, co to, to nie.

– Bo nie – po czym dodała już łagodniej, robiąc malutkie ustępstwo na rzecz ocieplenia wzajemnych relacji: – Za dużo trzeba by tłumaczyć.

– Wybrałaś się gdzieś na weekend? – Radek wciąż mówił głosem... nie, nie spokojnym, jak jej się wcześniej wydawało. Jego głos był cichy, owszem, ale jednocześnie pełen napięcia.

– Czemu pytasz? Rozmawiałeś z Baśką? Co cię obchodzi, co ja robię w weekendy?

– Po prostu pytam, nie wolno już zapytać? Czasem gdzieś wyjeżdżasz, nie? Sama albo z kimś. Powiedz, jesteś teraz z kimś?

Roześmiała się z nieoczekiwaną ulgą. To było nawet zabawne, a w każdym razie o niebo lepsze niż wyzwiska.

– Zazdrosny jesteś? Chyba żartujesz. Zajmij się swoim życiem, a moje zostaw mnie.

– Ewa, to ważne...

– Odpierdol się ode mnie, OK? Po prostu się ode mnie odpierdol.

Po drugiej stronie linii przez chwilę panowała cisza, a potem Ewa usłyszała charakterystyczny odgłos przerwanego połączenia.

To tyle, jeśli chodzi o ocieplanie relacji, pomyślała, rzucając telefon z powrotem na siedzenie. I tyle, jeśli chodzi o dziewczęce marzenia. Pora skończyć z freudowskim uzależnieniem od dawno minionego dzieciństwa. Dorosłe życie jest brutalne, pełno w nim skurwieli, którzy patrzą tylko, jak ci skoczyć do gardła. Wykończ ich pierwsza albo oni wykończą cię, takiej zasady trzeba się trzymać.

Gdzie ten Paweł? Zgubił się we mgle czy jak?

Zamknęła samochód, wcisnęła zmarznięte dłonie w kieszenie

płaszczka i ruszyła w stronę sklepika. Sądziła, że zastanie Pawła gawędzącego ze sprzedawcą albo przy półce z magazynami dla panów, wpatzonego w zdjęcia rozebranych panienek. Jednak sklepiak był pusty, tylko za ladą siedziała znudzona dziewczyna w czerwonej firmowej bluzie.

Ewa rozejrzała się dyskretnie. Na drzwiach męskiej toalety wisiał napis „chwilowo nieczynne” i to dało jej do myślenia.

Zachciało mu się sikać i polazł w krzaki? Może, ale i tak powinien już wrócić. Chyba że po drodze wpadł w jakąś dziurę i skręcił sobie kostkę.

Idiota, pomyślała, ale nie udało jej się wzbudzić w sobie złości. Zamiast tego poczuła nieoczekiwany niepokój.

Wyszła przed sklepiak. Nie było wiatru, lecz grube pasma mgły wirowały ospale wokół samochodów i dystrybutorów benzyny, jakby wprawiane w ruch niewidzialną ręką. W bieli przemykały ludzkie sylwetki, tak niewyraźne, że Ewa nie potrafiła nawet odróżnić mężczyzn od kobiet. Była jednak pewna, że rozpoznałaby Pawła, jego pękaty brzuch rzucał się w oczy.

Wtedy zobaczyła nastolatka. Wynurzył się z mgły tuż przed jej nosem, w zupełnej ciszy, choć przecież z tej odległości powinna usłyszeć odgłos kroków. Miał jasne, długie włosy, zadowoloną minę i – co przy tej pogodzie było niewiarygodne – żadnego płaszczka ani nawet swetra, tylko podartą, zieloną koszulkę. I był ładny. Zastygła w zdumieniu Ewa zauważyła to bez najmniejszego trudu. Chłopak był cholernie ładny, taką niezmierną, łagodną urodą, jaką częściej widuje się na obrazach niż w życiu.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Chwilę później na ramię Ewy opadła ciężka ręka.

– Nie widziała pani mojego syna? – zapytała tęga, zaniepokojona kobieta. – Poszedł do sklepu i zniknął, nie ma go już pół godziny. Nie widziała go pani? Ma piętnaście lat, jasne włosy i zieloną kurtkę.

Kurtka się nie zgadzała, ale reszta tak, zresztą Ewa i bez opisu wiedziałaby, o kogo chodzi. Mówiło jej o tym wyostrzone ostatnio przecucie.

– Nie, nie widziałam – odparła, bo przeczucie mówiło jej także, że chłopak nie chce zostać znaleziony.

– Jest pani pewna? – nalegała tęga kobieta. – Mam wrażenie, że widziałam we mgle jego sylwetkę. Na pewno tędy nie przechodził?

– Nie przechodził. – Ewa ruszyła w stronę samochodu. Po kilku krokach odwróciła się jednak i spojrzała na kobietę, która we mgle sprawiała wrażenie zagubionej i mimo potężnej postury dziwnie kruchej.

„Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...” – przemknęło Ewie przez głowę.

– Niech pani go nie szuka. On nie wróci.

Jeszcze niedawno rzuciłaby taką uwagę bezmyślnie albo złośliwie, po to, by zranić. Ale nie teraz. Teraz powiedziała tych kilka słów dlatego, że to była prawda. Po prostu.

W samochodzie czekał na nią Paweł, w ubłoconej kurtce i z nieszczęśliwą miną.

– Sorry za spóźnienie, miałem... eee... mały wypadek.

– Nie chcę wiedzieć jaki. – Ewa skrzywiła się, ale w jej głosie nie było złości. – Jedźmy już, bo i tak jesteśmy spóźnieni.

\*\*\*

Przed Poznaniem zamienili się miejscami. Co prawda Ewa miała wątpliwości, czy powinna puszczać Pawła za kierownicę, więc przez pierwsze pół godziny zerkąta na niego od czasu do czasu, ale mężczyzna prowadził dobrze, skoncentrowany i uważny. Żadnych osobliwych stanów zamyślenia, żadnego wyglądu à la zawieszony komputer. Wszystko w porządku.

Odetchnęła z ulgą i zajęła się czytaniem swojego urodzinowego prezentu. Każda kolejna lektura była łatwiejsza, Ewa potrafiła już nawet patrzeć na ilustracje bez obrzydzenia, choć nadal uważała, że *Droga do domu* to wytwór chorego umysłu.

Czytała, bo liczyła na to, że zauważy coś jeszcze, co ma związek z jej życiem, przeszłym albo teraźniejszym. Ale wciąż odnajdywała tylko lustra, całe mnóstwo luster ukrytych na różnych ilustracjach



niczym w dziecinnej grze. I wszystkie, nawet te najmniejsze i najtrudniejsze do zauważenia, miały w sobie coś – kształt, sposób ustawienia, charakterystyczny szczegół – co pozwalało rozpoznać w nich zabytkowe zwierciadło ze starego domu w Lelichowie, to samo, które Ewa stłukła pewnego dnia.

Dziwne, ale nie pamiętała tamtego wydarzenia. Wiedziała oczywiście, czym zawiniła – matka wypominała jej to przez lata, Ewa potrafiła też sobie przypomnieć lanie, które dostała od ojca, lecz sam moment popełnienia owego dziecięcego przestępstwa zniknął jej z pamięci. I właściwie dlaczego stłukła lustro? Ojciec mówił, że zrobiła to z rozmysłem, nie przez przypadek. Właśnie dlatego sprawił córce lanie, ten jeden jedyny raz, bo rodzice Ewy nie uznawali kar fizycznych; zresztą ojciec wciąż jeszcze był wtedy wściekły po awanturze z matką i nic dziwnego, że na widok zniszczonego zabytkowego lustra dostał szału.

Wcześniejszą awanturę Ewa też pamiętała. Rodzice szarpali nią wtedy i ciągnęli każdy w swoją stronę, jakby ich córka była lalką, o którą pobiło się dwoje rozpuszczonych dzieci. I wrzeszczeli, przez cały czas na siebie wrzeszczeli. Od tych krzyków i od szarpania Ewę bolała głowa, a to było jeszcze w czasach przed wymyślonym pokojem, więc nawet nie miała dokąd uciec. Od płaczu zachciało jej się pić, poszła więc do kuchni i naląła sobie mleka do dużego kamionkowego kubka. Potem zeszła do salonu, gdzie stało lustro...

Później pamiętała już tylko kubek leżący na podłodze, a w kałuży mleka mnóstwo zwierciadlanych odłamków. I słowa ojca, który pechowo dla niej akurat w tym momencie stanął w progu: „Zrobiłaś to specjalnie, w kogo ty się wdałaś, taki złośliwy bachor, zobaczysz, już ja cię oduczę złośliwości, chodź tu natychmiast”.

I nic pomiędzy tymi dwiema chwilami – gdy z kubkiem wchodziła do pokoju i gdy lustro było już rozbite, a ojciec odpinał pasek od spodni. Nic, zero, czarna dziura w pamięci, która na dodatek zdawała się otoczona płomienistą obęczą, taką jaka tworzy się wokół słońca podczas zaćmienia. Czerń absolutna pośrodku absolutnej czerwieni, jakby jej własny umysł w ten sposób oznajmiał: „WAŻNE, WAŻNE, WAŻNE!”.

Dlaczego stłukła to lustro? Musiał istnieć jakiś powód, bo na pewno nie zrobiła tego ze złości, jak sądził ojciec. Ewa próbowała sobie przypomnieć, ale dziura w jej pamięci pozostała dziurą, więc po chwili daremnych wysiłków dała sobie spokój, złożyła trzymaną na kolanach książkę i spojrzała w okno samochodu. Dochodziła szósta wieczorem i zapadł już zmrok. Było tym bardziej ciemno, że mijali teraz jakieś ugory, żadnych oświetlonych domów w okolicy, po jednej i po drugiej stronie nic tylko przemiatane wiatrem pola, od czasu do czasu urozmaicone drzewem, które w świetle samochodowych reflektorów straszło sękatymi paluchami bezlistnych gałęzi. Jedno z takich pól musiało znajdować się niżej niż pozostałe, bo w powstałej w ten sposób niecce zebrała się mgła. W każdym innym miejscu zdążyła się rozwiać, ale tu wciąż była, gęsta, jakby ktoś do wielkiej misy nalał śmietany. Falowała przy tym leciutko i połyskiwała zielonkawą, niepokojącą poświatą leśnego próchna.

Zagapiona Ewa w ostatniej chwili dostrzegła znajomą sylwetkę stojącą na skraju pulsującej bieli.

– Hamuj! – wrzasnęła, zanim zdążyła się zastanowić, co u licha robi. – Hamuj!

Paweł posłusznie wdepnął hamulec i samochód z piskiem opon zatrzymał się na poboczu.

– Co jest? – W mroku połyskiwały białka oczu, szeroko otwartych w zdumieniu. – Rany, nie strasz mnie, myślałem, że ktoś zaraz nam wpadnie pod koła...

– Daj mi chwilę. – Ewa otworzyła drzwi i wysiadła, ale było za późno. Niska, drobna sylwetka w płaszczyku z kapturem zniknęła już we mgle.

– Ona tu była – powiedziała kobieta z uporem, jakby próbowała przekonać samą siebie. – Dziewczynka w czerwonym płaszczu.

– Taka jak w bajce? Chcesz powiedzieć, że stała tu na poboczu bohaterka książki z obrazkami?

– Widziałam ją już wcześniej, w Katowicach. To była ona, na pewno. – Ewa zarumieniła się ze złości, świadoma, jak idiotycznie musi to brzmieć.

– I poznałaś ją po czerwonym płaszczu?

Skinęła głową.

– Cóż, w mroku i tak nie mogłaś zauważyć koloru, co najwyżej widziałaś tylko, że stało tu dziecko w płaszczu z kapturem, zresztą niechby i faktycznie czerwonym, to jeszcze o niczym nie świadczy. Najpewniej to był jakiś dzieciak z okolicznych domów.

– Jakich domów? Widzisz tu choć jeden? I co robiłoby dziecko przy drodze o tej porze?

– Nie jest wcale tak późno, nie ma jeszcze siódmej – zaprotestował Paweł.

– Jasne, do dobranocki kupa czasu, więc miejscowa dzieciarnia zajęła się swoją ulubioną rozrywką, czyli wędrówką przez puste pola, żeby potem wystawać na poboczu i gapić się na przejeżdżające samochody – wymruczała zgryźliwie.

Paweł chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Miał znaną już Ewie minę zagubionego psa, stąd wiedziała, że lada moment zacznie ją przeproszać.

– Dobra, nie było rozmowy – powiedziała pośpiesznie. – Wygłupiłam się, pewnie w ogóle nikogo tu nie było, tylko mi się przywidziało. Jedźmy już, niepotrzebnie tracimy czas.

– Nie, zaczekaj. Powinienem ci uwierzyć. W tej historii jest tyle dziwnych rzeczy, że nie możemy lekceważyć takich znaków.

Ewa jęknęła w duchu. Jakich, u diabła, znaków?

– Może ta dziewczynka chce się z nami skontaktować. – Oczy Pawła rozbłysły. – Zawołajmy ją, co?

Zanim zdążyła zaprotestować, wygramolił się z samochodu i zaczął krzyczeć:

– Hop, hop! Nie bój się nas! Nie zrobimy ci krzywdy! Chodź do nas!

Osiągnął tyle, że z pobliskiego drzewa poderwało się stado wron, które kracząc, pomknęły w ciemne niebo.

Ewa objęła się ramionami i zaczęła tupać dla rozgrzewki, bo jesienny, wilgotny ziąb bez trudu przenikał raczej elegancki niż ciepły płaszcz.

– Zaproponuj jej resztkę kanapki z szynką, to może przyjdzie – wtrąciła, gdy wyczerpany Paweł wreszcie umilkł.

– Myślisz?

– Nie, nie myślę. Przecież to duch, a nie zabłąkany kundel.  
– Może ty powinnaś ją zawołać? No wiesz, skoro pokazuje się tylko tobie...  
– Nie – zdecydowała Ewa, uświadamiając sobie, jak niepokojąco łatwo przyszło jej użycie słowa „duch”. – Już i tak czuję się jak idiotka, nie będę do tego jeszcze wrzeszczeć na środku pustej drogi. Wsiadaj do samochodu, bo za chwilę zamarznę.

Paweł usłuchał, a ona, zanim poszła w jego ślady, spojrzała jeszcze na czarną linię lasu mającą w mroku za polami. W tej samej chwili niespodziewanie przyszedł jej do głowy chłopak, którego widziała na stacji benzynowej. Miała przeczucie, że gdyby tylko trochę pomyślała, gdyby się wysiliła i postarała, to wiedziałaby, dokąd on poszedł. Jednak przeczucie mówiło też, że ta wiedza sprawi jej ból, więc się nie wysilała i nie starała.

\*\*\*

Tabliczkę z napisem „Lelichów” minęli przed jedenastą. O tej porze małe miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego. Na skrzyżowaniu pulsowało monotonnie żółte światło, trochę dalej niekompletną nazwą straszło dawne kino Latarnia. Obok supermarket Biedronka, dla odmiany nowy i pomalowany na słodki, różowy kolor, ale z kratami w oknach, dzięki którym wyglądał jak więzienie dla przedszkolaków. I jeszcze więcej krat, żaluzji oraz wielkich kłódek wiszących na drzwiach zamkniętych sklepów. A do tego jesienne liście gnijące wzdłuż krawężników i rozlane w kałużach światła wysokich, brzydkich latarni.

Oznaki życia dało się zauważyć tylko wokół nocnego sklepu, gdzie na schodkach przysiadło kilkoro pijaczków, oraz na przystanku. Stała tam grupka młodzieży, a gdy Paweł i Ewa zatrzymali się w pobliżu, by zerknąć na mapę, akurat nadjechał autobus, pusty i rozjarzony żółtym światłem, jakby wewnątrz wiozł skrawek zupełnie innej rzeczywistości – nie jesienny ziąb, wiatr i mrok, lecz senne ciepło i ciszę. Młodzi ludzie wsiedli, a wtedy Ewa zauważyła wiszący na przystanku plakat. Z tej odległości nie mogła widzieć wyraźnie, ale

zdawało jej się, że dostrzeża czarno-białe zdjęcie nastoletniej twarzy. I mogłaby się założyć, że poniżej jest napis: „Ktokolwiek widział... ktokolwiek wie...”.

– W prawo? – Paweł złożył mapę i rzucił ją na tylne siedzenie. – Jesteś pewna?

– Prawie. – Ewa oderwała wzrok od plakatu. – Ostatni raz byłam tu dwadzieścia lat temu, więc nie wymagaj ode mnie za dużo.

– Dobra, próbujemy w prawo.

\*\*\*

Numer szesnasty był ostatnim na ulicy, dalej rozciągał się pas brzoźowego lasu, przecięty prowadzącą nad jezioro drogą. Niemal się nie zmienił, pomyślała w pierwszej chwili Ewa na widok białej, piętrowej willi, ale dom zmienił się, oczywiście. Płot był inny, nie drewniany, lecz z żelaznych prętów, ogród bardziej dziki i zarośnięty, a na strychu wybito dodatkowe okno.

– Jesteś pewna, że twoja ciotka nie będzie miała nic przeciwko tak późnej wizycie? – Paweł zawahał się z ręką zawieszoną nad przyciskiem dzwonka.

– Rozmawiałam z nią przecież i mówiła, że do północy spokojnie możemy przyjeżdżać.

– Może nie mówiła tego na serio, wiesz, tylko tak z uprzejmości...

– To jej problem. – Ewa wzruszyła ramionami. – Dzwon.

Gdy Paweł wcisnął przycisk, w ogrodzie rozległo się szczekanie, ciężkie cielsko przedarło się przez krzaki i już po chwili za płotem płonęło dwoje zielonkawych oczu. Pies szczekał basowo, powarkując od czasu do czasu, ale nawet Ewa, która na zwierzętach się nie znała, wyczuła, że czworonożny stróż robi to wyłącznie z poczucia obowiązku.

– Miły dom – powiedział Paweł, gdy pies zignorował jego próby wabienia i szczekał nadal. – Całkiem ładny.

– A czego się spodziewałeś? Domu Usherów?

– Myślałem, że nie czytasz horrorów.

– To nie horror, tylko klasyka – zaprotestowała Ewa.

Usłyszeli szcęk otwieranych i zamykanych drzwi, a potem chrzęst żwiru na ścieżce.

– Ewa? – W mroku do furtki szła wysoka, prosta jak świeca postać.  
– To ty?

– Tak, to ja. Przyjechałam ze znajomym, mówiłam cioci przez telefon.

– Uff, jak dobrze, już się bałam, że nie przyjedziecie i będziecie musieli po drodze gdzieś nocować. Już, otwarte. Nestorem się nie przejmujcie, on jeszcze nikomu krzywdy nie zrobił, tylko szczekać lubi.

Pies z wywalonym jęzorem siedział u stóp swojej pani. Gdy Ewa nieśmiało podsunęła mu dłoń pod nos, powąchał ją i liznął.

– Lubi cię – zaśmiała się Irena Wojtyszko, a Ewie niespodziewanie zrobiło się ciepło na sercu. – Chodźcie do środka, dostaniecie gorącej herbaty i kolację.

\*\*\*

Jadalnia zupełnie nie przypominała pomieszczenia, które swego czasu nazywano salonem. No i bardzo dobrze, myślała Ewa, wodząc wzrokiem po ścianach, na których wisiały święte obrazki, po wypełnionych bibelotami szafkach i dzierganych z kordonka obrusach oraz obrusikach. Lepiej nie budzić wspomnień.

W kominku płonął ogień, herbata z malinowym sokiem rozgrzewała zmarznięte ciało, a zapowiedziana kolacja przypominała raczej wystawny podwieczorek, bo obok kanapek na stole znalazły się także trzy rodzaje ciasta. Uśmiechnięta ciotka bawiła ich rozmową, a Ewa nie potrafiła wyczuć, czy naprawdę podoba jej się ta spóźniona wizyta, czy też robi to wyłącznie z uprzejmości. Kilkanaście lat starsza od siostry, dobijała już osiemdziesiątki, lecz jak na swój wiek trzymała się zdumiewająco dobrze. Miała nienagannie ułożone siwe włosy, dyskretny makijaż i plecy tak proste, że Ewa zastanawiała się, czy szanowna ciocia nie załapała się jeszcze aby na czasy, gdy dziewczętom kazano nosić gorsety. A do tego ta przedwojenna grzeczność, tak głęboko wżarta w osobowość panny Wojtyszko, że nie

dało się pod nią rozpoznać prawdziwych emocji.

Ewa chyba wolałaby, żeby ciotka przyjmowała ich miło wyłącznie z powodu dobrego wychowania. Wtedy mniej by się wstydziła tego, że starszą panią okłamała. Jej wymówka, w samochodzie jeszcze całkiem wiarygodna, nagle wydała się bardzo łatwa do przejrzania.

– Tylko parę zdjęć – mruzczała Ewa nad resztką herbaty, okropnie słodkiej od soku, który osiadł na dnie. – Domu, ogrodu, jeziora... Potrzebne mi do pracy.

Miała przy tym nadzieję, że ciotka nie wie, iż praca siostrzenicy nic wspólnego z żadnymi zdjęciami nie ma.

Ireny Wojtyszko na szczęście nie interesowały szczegóły. Zwróciła się za to do Pawła, którego najwyraźniej uznała za fotografa, i zaczęła wypytywać o różnice pomiędzy poszczególnymi aparatami cyfrowymi. Ewa przeraziła się w pierwszej chwili, lecz Paweł radził sobie dobrze, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że staruszka wykazywała się całkiem sporą wiedzą.

Po kolacji ciotka zaprowadziła ich na piętro, do dwóch oddzielonych cienką ścianą pokoi gościnnych. Pod wpływem impulsu Ewa zażyczyła sobie ten z oknem wychodzącym na las, bo taki sam widok rozciągał się z jej dawnego dziecięcego pokoju.

Było grubo po pierwszej, gdy wykąpana wsunęła się wreszcie w chłodną, sztywną od krochmalu pościel. Komórka popiskiwała, sygnalizując nieodebrane połączenie. Kto mógł dzwonić do niej o tej porze?

Oczywiście Radek, odpowiedziała sama sobie, zanim jeszcze sięgnęła po telefon. Nieodebranych połączeń było aż trzy, a do tego jedna wiadomość głosowa.

Kliknęła przycisk „odsłuchaj”.

„Musimy pogadać, Ewa. To bardzo ważne. Zadzwoń do mnie, wszystko jedno o której. Nie będę spał”.

Wahała się przez chwilę, ale ostatecznie odłożyła komórkę na szafkę, tłumacząc sobie, że jest za późno. Rano, postanowiła, zadzwonię z samego rana i mam nadzieję, że ten kretyń ma mi do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Zamknęła oczy, ale mimo zmęczenia nie mogła zasnąć,

przeszkadzało jej podniecenie i cisza tak głęboka, że aż dzwoniąca w uszach. I w tej ciszy usłyszała, że Paweł także nie może spać, że kręci się na łóżku, wstaje, spaceruje po pokoju. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Trwało to dobrą chwilę – ona daremnie usiłowała zasnąć, on miotał się za ścianą jak wilk w klatce. Wreszcie Ewa wstała i zapukała do sąsiednich drzwi.

– Paweł? Wszystko w porządku?

Zatrzymał się, przez warstwę drewna słyszała jego niespokojny oddech. Wahał się, zanim wreszcie powiedział: „Nic mi nie jest”, a i wtedy odpowiedź nie brzmiała jakoś szczególnie przekonująco. Ewa miała wręcz wrażenie, że Paweł wcale nie chce jej przekonać, że czeka tylko na dalsze pytania, aby przyznać się, co mu dolega.

Wiedziała, że powinna zapytać, ale przecież to nie moja sprawa, ja mam własne kłopoty, zresztą nigdy umiałam pocieszać...

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę i oczywiście stchórzyła.

– To dobrze... – mruknęła, po czym pełna obrzydzenia do samej siebie podreptała w stronę łóżka. Zapaliła nocną lampkę, wyciągnęła z torby książkę, a potem ułożyła się wygodnie, naciągając kołdrę na uszy.

Wiedziała, że nie zaśnie szybko, więc równie dobrze mogła przeczytać *Drogę do domu* jeszcze raz.

\*\*\*

Obudziła się tuż przed świtem i leżąc w łóżku, patrzyła, jak mrok powoli rozmywa się w szarość, a sprzęty nabierają kolorów i kształtów. Z pokoju obok dochodziło miarowe chrapanie, zegar na parterze wybił godzinę siódmą.

Ewa wyśliznęła się z ciepłej pościeli i usiadła, klnąc cicho, gdy bosa stopy dotknęły lodowatej podłogi. Palcami stóp namacała pantofle, z krzesła zdjęła obszerną bluzę od dresu, która podczas wyjazdów służyła jej także jako szlafrok. Od razu lepiej.

Podeszła do okna. Na zewnątrz, po kolana w martwej, splątanej



trawie, stała dziewczynka, jej płaszcz krzyczał ognistą czerwienią na tle jesiennych brązów i szarości. Nie padało, a jednak założyła zasłaniający twarz kaptur.

Ewa nie zdziwiła się. Dziewczynka była tu, bo musiała być. Proste, oczywiste, niepozostawiające miejsca na racjonalizm. Na jej oczach drobna dziecięca postać odwróciła się i ruszyła w stronę furtki, tej bocznej, prowadzącej w las. Szła wolno, jakby zachęcając, by pójść za nią.

Spodnie, gdzie te cholerne spodnie? Koszulka i bluza, i buty, szlag, trzeba wziąć te wyższe, tam będzie mokro i błoto... Szybko, pospiesz się.

Nim wyszła, wykształconym przez lata odruchem włożyła do kieszeni kurtki telefon komórkowy.

\*\*\*

Na początku chciała biec za dziewczynką do bocznej furtki, ale w porę uświadomiła sobie, że wcale nie musi przedzierać się przez las. Dziewczynka poszła nad jezioro, podpowiadał to Ewie szósty zmysł, a w tamtą stronę prowadziła szeroka, prosta droga. Była tu za czasów jej dzieciństwa i była teraz, zmieniona o tyle, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat zalano ją asfaltem, który zresztą w wielu miejscach zdążył już popękać. Ewa lawirowała więc pomiędzy kałużami pełnymi błota i zeschniętych liści, ciesząc się w duchu, że włożyła solidne buty. Szła szybko, czasem nawet próbowała biec, ale wtedy jej osłabiony organizm protestował kłującym bólem w boku i zawrotami głowy.

Wokół było pusto. Szarość jesieni wraz z szarością wczesnego poranka dawały w efekcie rozmyte, przydymione kolory, jakby ktoś przesłonił świat wielką pajęczyną. Z nagich gałęzi obserwowały Ewę wrony, nieruchome, czarne przecinki na tle jaśniejącego nieba. Czasem w suchych zaroślach coś zaszleściło, ale poza tym panowała całkowita cisza.

Tym bardziej Ewa się zdziwiła, gdy zobaczyła na poboczu ubłocony samochód. Grzybiarze? Nie, o tej porze już chyba za późno na grzyby.

Z ciekawości zerknęła do środka – na tylnym siedzeniu leżał koc, rozłożony i zmięty, tak jakby niedawno ktoś pod nim spał. Obok skórzana kurtka oraz samochodowy atlas, osobliwym trafem dokładnie taki, jakiego używała Ewa.

Przez chwilę zastanawiała się, kto i po co tym samochodem przyjechał, ale szybko wyrzuciła to pytanie z pamięci i truchtem ruszyła w stronę coraz bliższego jeziora.

\*\*\*

Dziewczynka kucała na brzegu tuż przy zjeździe, z której płatami odłaziła zielona farba. Dalej stała buda z odrapanym napisem „Wypożyczalnia kajaków”, zamknięta na głucho i obrośnięta krzewami śnieguliczki. Wszystko to odbijało się w nieruchomej wodzie tak idealnie, jakby dziecko w czerwonym płaszczu miało pod stopami alternatywny, postawiony na głowie świat.

Żwir chrząścił pod stopami Ewy. Blisko, coraz bliżej. I ostrożnie, żeby małej nie wystraszyć.

– Cześć. – Pochyliła się, wyciągnęła rękę i położyła dziewczynce na ramieniu, starając się zrobić to delikatnie, z uczuciem, choć serce w niej zamarło i nie była teraz zdolna do żadnych innych emocji poza strachem i podnieceniem.

A dziewczynka wstała i odwróciła się, tyle że to wcale nie była dziewczynka. To nie było nawet dziecko. Ewa miała przed sobą pomarszczoną twarz karła, złośliwego skrzata z baśni.

– Witaj – odpowiedział, podczas gdy ona gwałtownie skoczyła w tył. – Poznajesz mnie?

Świat wciąż się kołysał, Ewie wciąż brakowało tchu, a jeden z elementów układanki wsunął się na swoje miejsce spokojnie i tak gładko, jakby tkwił tam zawsze.

– To ciebie... – wyjąkała – ciebie zobaczyłam w lustrze. – Odetchnęła głęboko, raz, a potem drugi, powoli odzyskując panowanie. – Wtedy, kiedy je stłukłam.

Skinął głową ze smutkiem. Melancholijny skrzat, pomyślała Ewa i omal nie zaczęła chichotać histerycznie. Zniechęcony i stary.

W niczym nie przypominał dziewczynki, którą sobie wyobraziła, zasugerowana książką.

– Przeraziłaś się i rzuciłaś we mnie pełnym mleka kubkiem – powiedział. – A przecież ja tylko pragnąłem ci pomóc. Wszyscy pragnęliśmy ci pomóc.

– Jacy my?

– Leśni ludzie. Tacy jak ja. Lustro było bramą, którą ty zniszczyłaś. Powinnaś przez nią przejść, wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

– Dlaczego miałabym przechodzić przez bramę? I dokąd? – Myśli trochę jej się plątały, ale trzymała się dzielnie, zawieszona pomiędzy dwiema nierealnościami. Życie w Katowicach, praca i nieudane małżeństwo były teraz tak odległe, że nie mogły być prawdą, a jednocześnie nie potrafiła za prawdę uznać skrzata stojącego nad brzegiem jeziora.

– Ponieważ jesteś jedną z nas, oczywiście.

Och, oczywiście. Jakżeby inaczej?

Usiadła na wilgotnym żwirze plaży, nie troszcząc się o to, że ubrudzi sobie kurtkę. Skrzat, myślała, skrzat, skrzat, ale powtarzanie tego słowa wcale nie dodawało mu realności. I ja w roli leśnej wróżki. Chyba tracę zmysły.

Histeryczny chichot napierał coraz mocniej. Ewa odepchnęła go z trudem.

– Jesteś podmieńcem – wyjaśniał cierpliwie skrzat. – Zamieniamy malutkie dzieci w kołyskach, lecz one do nas wracają. Gdy zaczynają dorastać, przygotowujemy je krok po kroku i wracają.

– Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... – powiedziała odruchowo, bo kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. – Ale jakim cudem nikt się nie zorientował, skoro ginie bez śladu tak dużo dzieci?

– Wcale nie ginie ich dużo. Po prostu odkąd zaczęłaś książkę czytać, naprawdę czytać, po wielokroć, a nie tylko pobieżnie przeglądać, stałaś się wyczulona na pewne sprawy.

– Czym ta książka jest?

– Jest bramą, tak jak i lustro. Gdy je stłukłaś, czuliśmy się winni, albowiem chcieliśmy zabrać cię do nas wcześniej, niż to jest w zwyczaju, i w dodatku bez odpowiedniego przygotowania. Owego

dnia twoi rodzice znowu się sprzeczali, a ty byłaś tak nieszczęśliwa i przerażona, że wzięła nas litość. Myśleliśmy: to jeszcze małe dziecko, więc wszystko pójdzie gładko, małe dzieci wierzą w skrzaty i z pewnością się ich nie lękają. Lecz ty się przeraziłaś i rzuciłaś w lustro kubkiem. – Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. – Musieliśmy więc szukać innych sposobów, żeby do ciebie dotrzeć.

– I stąd książka, tak? Ale czemu tylko w moje urodziny?

Wzruszył ramionami, odwracając twarz pomarszczoną jak smętna, suszona śliwka. Karzeł był brzydki, fakt, ale jednocześnie Ewa pomyślała sobie, że jest to ten rodzaj brzydoty, który w dorosłych budzi niechęć, lecz dzieciom może się wydawać atrakcyjny.

– Mamy swoje zasady – odparł. – Wiedziałybyś, gdybyś nie zapomniała.

– Ja nic nie pamiętam.

– Wiem.

– To co teraz mam zrobić? Przejść przez książkę, skoro to jest brama? I potem będę mogła płaszać z wami przy świetle księżyca? – Ewa poszukała ratunku w kpinie, której tak często z powodzeniem używała, lecz tym razem jej słowa zabrzmiały jak pretensja rozżalonego dziecka.

– Książka nie w tym rozumieniu jest bramą. Wystarczy ją czytać, tylko tyle. Im dłużej baśń czytasz, tym więcej naszego świata dostrzegasz. W miejscu, które zwiesz Katowicami, widziałaś mnie, lecz dopiero tutaj mogłaś podejść na tyle blisko, żeby ze mną porozmawiać.

– *Droga do domu.*

– Dokładnie tak. Twoja droga do domu, do naszego świata, gdzie od dawna powinnaś przebywać. Z każdym rokiem trudniejsza, w miarę jak dorastałaś i coraz bardziej się od nas oddalałaś. – Potrząsnął głową, wciąż zdziwiony. – Nie do wiary, że nawet u samych początków, gdy *Droga...* wciąż była jeszcze dziecięcą baśnią, nigdy nie przeczytałaś jej więcej niż raz. Nawet gdy radował cię prezent, czytałaś, a potem odkładałaś książkę na półkę i zapomniałaś o niej.

– Kiedyś chciałam przeczytać *Drogę*... ponownie, ale wtedy już jej nie było – zwróciła mu uwagę Ewa.

– Mamy swoje zasady, mówiłem ci. Powinnaś to zrobić od razu.

Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie coś.

– Mam przez to rozumieć, że niepotrzebnie tu przyjechałam, że gdybym czytała *Drogę*... w Katowicach, to tam też mogłabym się z tobą spotkać?

– Owszem, choć tam trwałoby to dłużej. Klimat w owym mieście nie jest nazbyt... sprzyjający.

– W takim razie jeśli teraz wrócę do domu, znajdę książkę i przeczytam jeszcze raz, to przejdę do waszego świata, tak? – Rozejrzała się z powątpiewaniem wokół, a potem wbiła wzrok w powierzchnię wody, tam gdzie przy brzegu, pośród opadłych liści, kołysało się opakowanie po wafelku Prince Polo. – Może już tam jestem?

– Nie, nie jesteś. A książki w domu twojej ciotki nie ma – zniknęła jak wszystkie poprzednie. Nie potrzebujesz jej już. Teraz wystarczy, że zechcesz do nas dołączyć. Wyrazisz takie życzenie?

Ewa gapiła się na papierek po wafelku, myśląc przy tym o śmieciach, które od zawsze widywała w lasach. Opakowania po kanapkach, puste butelki i puszki, nawet papier toaletowy. Tak właśnie wyglądał jej świat. Wszędzie pełno śmieci. Plus dziecięce zjeżdżalnie, z których płatami odłaziła farba, oraz paskudne, stare budy z odrapanymi napisami. Spróbowała wyobrazić sobie coś innego – na przykład elfy tańczące pośród kwiatów albo przyjazne, mądre smoki, ale widziała tylko sceny z oglądanych dawno temu kreskówek. To nic nie znaczyło. Od tego, co usiłowała sobie wyobrazić, wiało pustką tak przerażającą, że aż skręcało ją w żołądku.

Nie mogę, pomyślała.

– Nie mogę – powtórzyła na głos. Wstała, zakreśliło jej się w głowie i upadła, uderzając kolanami w wilgotny żwir. Bolało, spodnie miała przemoczone. – I nie wierzę ci, to szaleństwo...

– Wiesz, że nie.

– Nie wierzę – upierała się, rozcierając siniaka. Ból powoli mijał, ale wciąż było jej zimno, bo mokry materiał lepił się do ciała.

Szaleństwo: uczepliła się tej myśli, która była dobra, konkretna, pozwalająca zachować zdrowe zmysły wobec czegoś, czego zaakceptowanie byłoby znacznie gorsze. – Masz mnie za kompletną wariatkę? Nikt nie wierzy w skrzaty...

Karzeł milczał ponuro, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał. Ewa wstała i tym razem udało jej się utrzymać równowagę.

– Po prostu przestańcie mi przysyłać te cholerne książki, OK? Mnie to wystarczy. Odpieprzcie się od mojego życia, ja zapłacę sobie za parę wizyt u psychiatry i wszystko będzie dobrze. Tylko się ode mnie odpieprzcie.

Wsunęła się w swoją dawną osobowość jak w znoszony, wygodny sweter i przez chwilę czuła ulgę.

– Idę stąd, a ty przestań za mną łązić. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Pewna jesteś, że wciąż masz do czego wracać? – zawołał za nią karzeł.

Nie odwróciła się. Będzie dobrze, powtarzała w myślach, walcząc z zawrotami głowy i rozmywającym się przed oczami obrazem lasu. Nie była pewna, czy idzie w dobrym kierunku, ale ważne, że w ogóle szła. Była dalej od drobnej postaci w czerwonym płaszczu.

– Naprawdę tego właśnie pragniesz? – krzyczał za nią. – Żywot człowieka jest wyjątkowo paskudny, zapytaj o to swego brodatego kompana!

Zatrzymała się, odwróciła. O czym ten pokurcz mówi?

– Zapytaj go, czemu nigdy nie telefonuje do żony – kontynuował skrzat już ciszej, ale wciąż słyszała go doskonale. – Ani dlaczego nawet nie nosi ze sobą owego małego aparatu, z którym większość ludzi tak niechętnie się rozstaje. Czemu ciągle o nim zapomina, rzuca w kąt? Może dlatego, że wie, iż nikt go przez telefon nie wezwie?

Ewa potarła dłonią czoło. Przecież to bzdury; fakt, że ani razu nie widziała, jak Paweł rozmawia z żoną, jeszcze o niczym nie świadczył. Wczorajszy dzień spędzili razem w podróży, owszem, ale przecież nie byli papużkami nierozłączkami. Istniało całe mnóstwo chwil, gdy Paweł mógł zadzwonić do żony tak, aby Ewa nie słyszała. Może mieli do obgadania jakieś osobiste sprawy. Albo wręcz przeciwnie, pokłócili

się i dlatego nie rozmawiali. Wielkie mi rzeczy.

Lecz w głębi duszy wiedziała, że karzeł ma rację. Paweł i jego dziwaczne zainteresowanie „czymś więcej” poza doczesnym życiem, głód i nadzieja w jego oczach. Plus chwile, kiedy zawieszał się jak komputer. Żona i dzieci są u moich rodziców, przypomniała sobie Ewa, zupełnie normalna sytuacja, tylko że Paweł nie nosił ze sobą komórki, bezustannie o niej zapominał i to rzeczywiście wyglądało tak, jakby wiedział, że nie ma co się spodziewać telefonu.

Usiadła pod najbliższym drzewem, podciągnęła kolana pod brodę i schowała twarz w dłoniach. Chciało jej się płakać. Powinnam przynajmniej zapytać, co mu dolega, pomyślała. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Ale przecież jeszcze nic straconego, prawda? Wróci teraz do domu ciotki, a potem pojedą do Katowic. Będą mieli przed sobą długą drogę i mnóstwo czasu, żeby na spokojnie pogadać. Wszystko skończy się dobrze, dla Pawła i dla niej. Bo przecież to kłamstwo, że Ewa nie ma do czego wracać. Musi tylko chwilkę posiedzieć i poczekać, aż przestanie jej się kręcić w głowie i minie osłabienie. No właśnie – zacznie też normalnie jeść i nie będzie już mdlała przy każdym większym wysiłku.

Będzie dobrze, będzie dobrze.

Gdy w jej świadomość wdarł się buczący dźwięk, w pierwszej chwili nie potrafiła go zidentyfikować. Dopiero potem przyszło zrozumienie: komórka. Zdrętwiałymi z zimna palcami sięgnęła do kieszeni kurtki. Dzwonił Radek.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale naprawdę w tej chwili nie mam czasu...

– Posłuchaj mnie, durna krowo. Choć raz się zamknij i posłuchaj, co mówię – w głosie mężczyzny brzmiały tak wyraźne nutki hysterii, że zdumiona Ewa faktycznie zamilkła. – Jesteś u ciotki, tak? To nie ruszaj się stamtąd i nie otwieraj nikomu drzwi. A jeśli jesteś gdzieś na zewnątrz, to natychmiast idź do domu. Nie chodź nigdzie sama, słyszysz?

Zrobiło jej się zimno, nie tak jak wcześniej, ale naprawdę przerażająco zimno, jakby zrzucano ją na spadochronie w sam środek

Antarktydy.

– Coś ty zrobił... – wyszeptała.

– Gdzie jesteś?

– W lesie...

– To spieprzaj stamtąd, ale już! Słyszysz! Uciekaj!

Telefon upadł jej na ziemię, więc schyliła się odruchowo, otumaniona i niezgrabna. Radek wciąż coś krzyczał, ale jego słowa zlewały się w bełkot. Nie potrzebowała ich zresztą. Już wiedziała.

Gdyby Radek mógł zabić przez naciśnięcie guzika, byłabym trupem – przypomniała sobie zdanie, którym tyle razy bawiła znajomych, że straciło sens. Ale to była prawda, najprawdziwsza prawda.

Gdy się wyprostowała, zobaczyła mężczyznę idącego w jej stronę. Wyglądał zwyczajnie – trochę niższy od niej, ale barczysty, w skórzanej, wyświechtanej kurtce, którą widziała na tylnym siedzeniu zaparkowanego w lesie samochodu. Niemłody, siwiejący facet o twarzy z gatunku tych najtrudniejszych do zapamiętania. Nijaki, szary. Jeśli się z kimś kojarzył, to wyłącznie z gościem, który w sklepie prosi o kredyt, a nie z najemnym zabójcą.

Powinna uciekać albo przynajmniej zacząć krzyczeć, ale nie mogła zdobyć się na żadną reakcję. Jak we śnie, kiedy człowiek próbuje biec, lecz nogi wrastają mu w ziemię. Nawet życie nie chciało przemknąć Ewie przed oczami, jej myśli rwały się albo wlokły ospale, jak oblepione gęstym syropem.

Stała i patrzyła. Mężczyzna podszedł do niej niedbałym krokiem i kiedy już myślała, że ją minie (nadzieja, nadzieja), nagle chwycił Ewę i powiedział coś całkowicie absurdalnego, co jednak w jakiś sposób pasowało do całej sytuacji („Nic osobistego, powiedział chyba, to nic osobistego”). Kobieta poczuła ostry ból w boku i nagle nie było jej już zimno, tylko mdląco ciepło. Pomyślała sobie przy tym, że może karzeł mówił prawdę i rzeczywiście nie ma do czego wracać. A potem pomyślała sobie również, że przecież istnieje inne wyjście.

– Raz – powiedziała Ewa, walcząc z drętwiejącymi wargami. – Dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

I zamknęła za sobą drzwi.



\*\*\*

Wam też tytuł tego tekstu kojarzy się z kreskówką Disneya?

Nie mieliśmy z Anią kontaktu od dawna, nie licząc klasycznych konwentowych mijanek – cześć, cześć, co u ciebie, a w porządku, a u ciebie, super, właściwie to... cholera muszę już lecieć – i nagle widzę nową antologię, wydaną tylko w formie e-booka, a wśród tekstów to opowiadanie. Jedyne powód, dla którego kupiłem *Rok po końcu świata*, bo choć cenię sobie autorów tekstów w niej zebranych, to jednak niespecjalnie przepadam za ich pisaniem. Mówiąc szczerze, nie byłem nawet pewien, czy chcę czytać nowy tekst koleżanki Kańtoch; jak wspomniałem, nasze literackie drogi i gusta się rozjechały i teraz tylko machamy sobie z daleka. Przykładem niech będzie *Czarne*, które doceniam, ale polubić nie umiem.

No a tu nagle Disney! W klimatach postapo! Ania w drodze do Damaszku spadła z konia i stała się... bo ja wiem, Hanią?... nawróconą na pop! Chrystku z Dogmy i wszyscy bostońscy święci, nie mogę się doczekać!

Kupiłem, wgrałem, czytam. I oczywiście żaden Disney, zapomnijmy o Mysze Miki, Goofym i całej reszcie. W sumie postapo też w tym tekście nie ma, więc próżno wyglądam Mad Maksa. Ale czy można mówić o rozczarowaniu? Skąd!

Po pierwsze, jakież to śliczny steampunk, jakże cudownie londyński, choć krakowski, jak znowu w kliszach i poza nimi jednocześnie. Wisła jak Tamiza, dzielnice przemysłowe tętnią zatęchłym, zadymionym życiem, okolica, w której znakomicie odnalazłby się Kuba Rozpruwacz. Nawet szyldy niekoniecznie brzmią zawsze z polska, wszak Kraków.

W tej scenerii dostajemy klasyczny obrazek – człowieka o skrwawionych dłoniach nad brzegiem rzeki, która gotowa jest przyjąć w swe odmęty każdą tajemnicę. O czym myśli sobie taki ktoś, opłukując dłonie? Co zaprzęta jego myśli? A co, jeśli... najbliższe dwa tygodnie w każdym dosłownie detalu?

Jaki to cudowny zabieg, całe opowiadanie z narracją w czasie przyszłym. Karkołomny, bo jakże łatwo o wpadkę, a w dodatku

możliwy do sensownego zastosowania tylko przy bardzo konkretnych historiach. I oczywiście nie jest zaskoczeniem, że to jedna z tych opowieści – puenta uzasadnia należycie cały trik, pasuje, forma jest tu w służbie treści.

Ania może szukać, eksperymentować, bawić się słowami jak gliną, lepić je wedle własnego widzimisię, ale w sercu wie, co jest najważniejsze. Pozostanie opowiadaczem, który ma świadomość, że to – jak mawiał Bester – książka jest szefem.

Jestem skłonny wybaczyć Ani brak Disneya w tej opowieści, ba, wybaczam jej nawet brak pościgów, szalonego Maksa i tego wszystkiego, czego spodziewałem się po tytule. Jest okno, jest Myszogród, a nade wszystko jest wyśmienity tekst.

Aha, i tak, może się Wam trochę skojarzyć z Hodderem i jego skaczącym Jackiem – bo wygrzebałem ostatnio takie opinie – ale chyba wreszcie wypada to sobie powiedzieć wprost. Jeśli jeden dobry tekst kojarzy Wam się z innym dobrym tekstem, to dowód na to, że wielkie umysły myślą podobnie. Liczba pomysłów jest skończona i wszystkie już dawno pocziwy Will S. zerznął z Homera. Ważne jest to, jak autor filtruje ideę przez swoją wrażliwość, ile dokłada w detalach, na co kładzie akcent i jak przez to historia się zmienia. Czy historia Ani może się kojarzyć? Jasne. Czy jest podobna?

Ani trochę...

## Okno Myszogrodu

W chwili gdy myłem zakrwawione ręce, a potem wrzucałem do rzeki ciężki jutowy worek, wiedziałem dokładnie, co czeka mnie w ciągu najbliższych czternastu dni.

Stojąc wciąż na nadbrzeżu, patrzył będę, jak wzburzone wody Wisły pochłaniają ciało człowieka, którego zabiłem. Zgarbię się i uniosę dłonie, by ochronić głowę przed naporem siekącego deszczu z gradem; ostre niczym odłamki szkła lodowe drobiny skaleczą mnie – godzinę później Michalik zapyta, dlaczego na rękach mam krew, ja zaś wzdrygnę się, patrząc na odbite w lustrze moje własne puste spojrzenie. Diabeł tkwi w szczegółach, powiadają, wiem o tym lepiej niż ktokolwiek.

Październikowy zmierzch nadciągnie szybko, a tego wieczoru zdawać się będzie, że dzień nigdy nie wstał, że zmierzch był tu zawsze, pośród wszystkich tych chylących się ku ziemi, cuchnących wilgocią i szczurzymi ekskrementami budynków. Rozejrzę się, wiedząc doskonale, że jestem sam, że nikt nie był świadkiem mej zbrodni. W takie dni jak ten nawet mieszkańcy opuszczonego przez Boga Podgórze nie wyściubiają nosów ze swoich nor.

W mroku rozlegnie się głos, który równie dobrze można będzie wziąć za krzyk katowanego dziecka jak za skomlenie psa. Mógłbym pospieszyć z pomocą udreżonej istocie, myśl taka już wielokrotnie pojawiała się w mej głowie, jednak nie ruszę się z miejsca. Nigdy tego nie robię.



Czy wspominałem, że czyny moje inną mają wagę niżli uczynki pozostałych ludzi?

Podmuchy wiatru przyniosą ze sobą ostrą woń dymu i naraz zda mi się, że przez szum ulewy słyszę przeciągły jęk zatrzymywanych w biegu maszyn i trzask pękających ceglanych murów. Widoczny na

zachodzie ogień przyczai się, zduszony wściekłym naporem zimnego deszczu, by zaraz wybuchnąć z nową siłą. Ocean nie zdołałby ugasić pożaru, który płonie od dni tak wielu, że niemal nie pamiętam już, jak się zaczął.

Rzucę jeszcze ostatnie spojrzenie na Wisłę, po czym ruszę w kierunku gospody U Michalika. Szedł będę przez dzielnicę nędzy, miejsce, w którym dzieci budzą się pogryzione przez szczury, bawią pośród odpadów, a potem, nim zdążą odrosnąć od ziemi, wysyłane są przez zapijaczonych rodziców do pracy. Miejsce, w którym dziewczęta rozkwitają błyskawicznie i równie błyskawicznie więdną, w dwunastej, trzynastej wiosnie życia – choć blade i z rozpalonymi gorączką oczami – bywają piękne, lecz wiotkie ich figury szybko deformują kolejne cięższe, a skóra na dłoniach pęka od fabrycznych chemikaliów. To świat skoliozy i gruźlicy, świat wypadających z braku witamin zębów i alkoholowych chorób. Żyjące tu istoty są niewiele więcej niż pełzającym w mroku robactwem, ich wzrastające bez dostępu słonecznego światła ciała mają gąbczastą konsystencję białawych grzybów, umysły są zdziczałe i wykrzywione przez przemoc, jakiej doznają z rąk bliskich od najwcześniejszych lat. Jediną ich rozrywką jest picie podłej wódki, pospieszna zwierzęca miłość i od czasu do czasu sobotnie tańce w gospodzie – tańce te zresztą z miłością mają tyle wspólnego, że niejedna już dziewczyna wróciła z nich z brzuchem.

Oto dzielnica, w której przyszło mi żyć. Mieszkam tu od tak dawna, że nienawiść do tego miejsca wrosła w każdą komórkę mego ciała.

Zamknę na moment oczy i wsłucham się w odgłosy miasta.

Gdy byłem dzieckiem, Kraków żył w zupełnie innym rytmie, wtedy słyszało się stukot kopyt na bruku, podzwanianie tramwajów i nawoływania gazeciarzy. Nawet powietrze inaczej wtedy cuchnęło – nie smrodem fabrycznych wyziewów, lecz końskim łajnem i spoconą ludzką ciżbą. Dziś w deszczowym mroku pulsują serca gigantycznych maszyn – tych z Zakładów Feldmana, gdzie pracuję, z Huty Tadeusz Kościuszko, fabryki braci Kruków i dziesiątków innych. Maszyn, które niestrudzenie, dzień i noc, noc i dzień, bez chwili wytchnienia budują i miażdżą, tworzą i niszczą. Żelaznymi dłońmi z tytaniczną siłą gną

stalowe pręty, rozdzierają arkusze blachy i mieszają surówkę. Dawno temu ich trud wydawał mi się imponujący, dziś jednak nie potrafię myśleć o wszystkich tych urządzeniach bez uczucia dojmującego wstrętu.

U Michalika powita mnie wiszący w powietrzu gęsty i kwaśny odór gotowanej kapusty. Pochyleni nad kuflami mężczyźni o zapadniętych policzkach i przekrwionych oczach spojrzą na mnie i zaraz wrócą do swych zajęć. Nie jestem wart ich uwagi. Kiedyś – przybysz z zewnątrz, z innego, lepszego świata – byłem, ale już nie jestem. Teraz jestem swój, a więc nikt.

Zerknę w kąat gospody, gdzie siedzieć będą jedyne w tym gronie kobiety, czy może raczej powinienem rzec dziewczęta, sprzedajne dziewczki o jaskrawo umalowanych ustach. Nie znam ich imion, widuję je jednak wystarczająco często, by stały mi się bliskie jak siostry. Nie przyjdą tu pracować, wiem to z żelazną pewnością, choć nigdy nie pytałem ani nie zapytam. To będzie ich chwila wytchnienia, tylko dla siebie, we własnym towarzystwie, wśród śmiechu i nieśmiałych gestów, jakimi dotykać będą nawzajem swoich dłoni. Spojrzę na nie z zazdrością – oto dzieci ulicy, błota i gnoju, które potrafią cieszyć się życiem, oto niewinność niespodziewanie odnaleziona pośród zepsucia. Powinienem tymi dziewczętami gardzić, lecz na przekór wszystkiemu ich widok przywróci mi wiarę w ludzkość.

Gdy stanę przy barze, ogarnie mnie przemożna ochota na miskę grochówki, którą mają tu nawet smaczną, jednak zamówię tylko kieliszek wódki i wychylę go bez przyjemności, cały czas czując, jak na myśl o gęstej zupie do ust napływa mi ślina.

– Anarchiści podpalili przedziałnię Bethego, wie pan? – zagadnie Michalik, leniwie przecierając ladę brudną szmatą.

– Coś słyszałem.

– A pańska siostra? Pomogło...

– Tak.

– To dobrze. – Michalik ucieszy się szczerze. Ten czterdziestoletni mężczyzna o twarzy zbója i złodziejskich skłonnościach ma bowiem dla kobiet i dzieci wielce współczującą naturę.

Wypiję jeszcze jedną wódkę, po czym wrócę do domu, gotów

stawić czoła Marii. Po drodze zastanawiać się będę, czy czegoś nie przegapiłem. Zdradliwej plamy krwi na podłodze, śladów walki w pokoju, który zdecydowanie na wyrost nazywamy „salonem”. A jeśli tak i jeśli moja siostra je zauważy, czy oznaczać to będzie już koniec, czy może jeszcze nie.

\*\*\*

Z duszą na ramieniu wejść do skromnego mieszkania, w przedpokoju powieszę kapelusz i zdejmę płaszcz. Przez krótką chwilę tkwił będę bez ruchu, wpatrzony w odchodzącą od ścian tapetę, wdychając przesycone wyziewami kiepskiej kuchni powietrze. Potem przejdę dalej, do pokoju, w którym czekał będzie nakryty stół, a przy nim Maria. Jej zapadnięte oczy i szara, niezdrowa cera jak zawsze mną wstrząsną, jakbym widział ją po raz pierwszy.

Powiadają, że dobre wspomnienia niosą pociechę w trudnych momentach, lecz ja wiem, że to nieprawda. Gdybym od początku wzrastał w tym świecie, nie tęskniłbym do wszystkiego, co utraciłem, zdołałbym żyć szczęśliwie tym zwierzęcym życiem, gdyż innego bym nie znał. Jestem jednak skazany na nieustanną tęsknotę za tym, co było, pamięć szczęśliwych lat dziecięcych i wczesnej młodości prześladowuje mnie jak upiór, nie pozwalając zaznać spokoju i wypełniając moje serce wstrętem do wszystkiego, co otacza mnie dziś.

Także i na Marię nie będę potrafił już patrzeć bez uczucia dojmującej grozy i żalu. Stała mi się w ciągu tych lat obca, w jej wyżłobionych cierpieniem rysach próżno szukał będę śladu radosnej istoty, którą ongiś kochałem.

– Jak się czujesz? – zapytam, polewając masłem szparagi. Nie stać nas na nie, ale Maria zechce sprawić mi przyjemność. Ta niepotrzebna rozrzutność kiedyś wprawiała mnie w zły humor, teraz obudzi już tylko zmęczenie.

– Dobrze – zapewni gorliwie.

Zgodnie z obietnicą złożoną samemu sobie będę się starał być dla niej miły, wypytam, jak jej minął dzień, rozbawię kilkoma fałszywymi

dykteryjkami z urzędniczego życia. Wreszcie jednak nadejdzie chwila, gdy wzrok mój zbłądzi na pusty niemal talerz Marii, a brwi zmarszczą się bez udziału woli.

– Zjadłam przed twoim przyjściem, naprawdę – wystraszy się moja siostra. – Poza tym nigdy nie przepadałam za szparagami, przecież pamiętasz...

– Nie musisz jeść, jeśli nie masz ochoty.

Maria skuli się, choć przecież słowa moje w zamierzeniu pełne będą zrozumienia i troski.

– Może zjem trochę ziemniaków, wyglądają bardzo dobrze.

– Jeśli nie dopisuje ci apetyt...

– Ależ skąd, właśnie nabrałam na nie chęci. – Nałóży sobie porcję, nim zdołam ją powstrzymać. – Pyszne są, może i ty skusisz się na jeszcze jednego?

Z trudem zdołam nie odwrócić wzroku, gdy udawać będzie szczęśliwą i zdrową. Jej oczy na moment – okupiony tak wielkim wysiłkiem! – odzyskają dawny blask, na ustach pojawi się uśmiech. Przez parę minut paplać będzie o głupstwach, próbując mnie rozbawić. Jak dawniej, w szczęśliwszych czasach. Zmuszając ją do tego, kiedyś na chwilę odzyskiwałem spokój, wiarę w to, że przeszłość jeszcze może wrócić. Teraz robię to z powodów, jakich żaden człowiek, poza jednym, nie potrafiłby zrozumieć.

Wieczorem Maria zwróci wszystko, co zjadła, i z płaczem zapewniać mnie będzie, że to nic, chwilowa tylko niedyspozycja. Ledwo zdoła wyperswadować mi wezwanie lekarza za resztę naszych skromnych oszczędności, a z moich czułych słów wypełzną wstrętne węże złości. Jakże przewrotną bestią jest człowiek! Moja obietnica poprawy będzie szczerą, jednak jak alkoholik nie potrafi odmówić sobie kolejnej butelki, tak i ja na widok cierpiącej siostry nie zdołam powstrzymać się przed okazaniem jej gniewu. Pod pozorami troski – chorych wszak nie można niepokoić – odmówię jej odrobiny śmiechu, pociechy, a kiedy pytać będzie, dlaczego siedzę posepny w salonie, rezygnując nawet z tak drobnej rozrywki jak czytanie, odpowiem:

– Nie stać nas na przyjemności, Mario. Jeśli ci się nie poprawi, potrzebować będziesz opieki lekarza albo i pobytu w szpitalu, co



oznacza, że musimy sprzedać resztę naszych książek i zrezygnować z nieczęstych wizyt w kinematografie czy teatrze. Pozbawieni środków przeprowadzimy się do mieszkania jeszcze skromniejszego niż to, może nawet wkrótce zostaniemy bez dachu nad głową. Pytasz, dlaczego jestem ponury? A czy jest coś, z czego mógłbym się cieszyć?

To jej choroba wpędziła nas w tę sytuację. Nie powiem tego, ale słowa zawisną w powietrzu, kładąc na jej kruchych barkach ciężar winy nie do zniesienia.

Będzie próbowała mnie przekonywać, że mówię głupstwa, że już jej lepiej i wkrótce wszystko się ułoży. Podsunie mi wizje rozrywek, jakich zażywać możemy nawet jako ubodzy ludzie, i wiedząc, że ja mam na nie chęć, uda, że i ona cieszy się w oczekiwaniu na te przyjemności. Posunie się nawet do tego, by oznajmić, iż pragnie koniecznie obejrzeć na sobotnim jarmarku zapasy, czego nigdy nie znosiła.

O, jakżebym chciał mieć odwagę, by zmienić tamtą rozmowę. Nie mogę jednak. Jestem przeklęty, ale byłbym przeklęty po stokroć bardziej, gdybym to zrobił.

W końcu jednak wyrzuty sumienia sprawią, że pozwolę się ubłagać i obiecuję, iż pójdziemy na festyn urządzany z okazji startu „Królowej Jadwigi”, czyli pierwszego krakowskiego powietrznego statku. Pod jednym wszakże warunkiem – Maria bez słowa sprzeciwu zgodzi się wrócić do domu, gdy tylko uznam, że jest to konieczne.

\*\*\*

W Zakładach Feldmana jestem urzędnikiem wydziału zaopatrzenia, co brzmi dumnie, w rzeczywistości jednak niewiele oznacza. Dzień w dzień, przez dziesięć godzin, od świtu aż do wczesnego jesienno-zimowego zmierzchu, przy kiepskim świetle lamp naftowych (zarząd oszczędza na elektrycznej energii) sumuję cyfry. Przez moje ręce przechodzą tony stali i węgla, setki metrów płótna i litry wosku do usztywniania – a wszystko to widmowe, zamienione w rzędy czarnych liczb na białym papierze. Nigdy nie byłem w halach fabrycznych i nie widziałem żadnego z produktów, jakie drżąca ze zmęczenia dłonią

wpisuję w odpowiednie rubryki. Plecy wygięte mam w kabłąk od garbienia się nad stosami dokumentów, wzrok zawodzi coraz bardziej, a dochody są niskie, jednak moja pozycja wiąże się z pewnymi przywilejami, jakich nie mają prości robotnicy.

Jednym z nich będzie zaproszenie dla mnie i dla Marii do specjalnego sektora na jarmarku. Sobotni ranek wstanie zdumiewająco pogodny, w kałużach odbije się słońce, złocąc błotnistą wodę, promienie rozjaśnią twarze ludzi zakutanych w jesienne płaszcze. Ostatni ciepły dzień tego roku, pomyślę, gdy zmierzać będziemy na krakowskie Błonia. Zbierze się tam podekscytowany tłum, będą pokazy najnowszych wynalazków, takich jak głośno reklamowane „niezbędne w domu” parowe mechanizmy czyszczące, piorące i suszące, nowe wehikuły, bicykle i tricykle, lalki, które potrafią same chodzić, a nawet wołają „mama”, czy wreszcie głupstewka dla kobiet: jakieś urządzenia do układania włosów, podkreśniania rzęs czy wiązania gorsetów. Będą również smażone na ruszcie kiełbaski, cukrowa wata, karuzele i kolorowe baloniki dla dzieci – cały ten jarmarczny blichtr, który tak cieszy gawieź. Maria uda radosną, a może naprawdę znajdzie w tamtych chwilach odrobinę szczęścia? Zapewne nigdy się tego nie dowiem. Będziemy spacerować pośród zgiełku, ja w przetartym na łokciach płaszczu, siostra moja w najlepszej błękitnej sukni, naznaczonej cerami jak twarz chorego ospą. Dziecko, jasnowłosy chłopczyk trzymający w rączce barwnego lizaka, wpadnie na mnie i patrzeć będzie oszołomionym wzrokiem, wreszcie matka porwie je w ramiona, złaje i każe przeprosić.

I właśnie wtedy, gdy uznam, że najwyższa pora wracać do domu, Maria zgubi się w tłumie. Wystarczy chwila nieuwagi – dawno temu przypadkowej – by znikła mi z oczu. Nawołując, będę jej szukał, aż wreszcie odnajdę w jedynym miejscu, w którym nie powinna tego dnia przebywać: w sektorze dla pracowników, oddzielnym od startującej „Królowej Jadwigi” ledwie kruchą drewnianą barierą. Powietrzny statek wznosił się będzie przy wtórze radosnych okrzyków i oklasków, płócienna czasza przesłoni zimne jesienne niebo. Zawołam Marię, roztrącając łokciami stłoczonych w sektorze gapiów.

Odwróci się w moją stronę – w tym momencie statek wybuchnie, zmieniając się w kłęb jaskrawego ognia i raniących ciżbę odłamków. Ponad Błoniami poniesie się krzyk, „Jadwiga” osiadzie na zrudziałej trawie niczym ptak z podciętymi skrzydłami, a ludzie zaczną uciekać od niej, tratując się nawzajem. Tylko ja i jeszcze jeden człowiek dążyć będziemy w przeciwną stronę, do Marii, stojącej bez ruchu i wpatrzony w płomień. A potem siostra moja obudzi się z letargu, przestąpi ponad resztkami drewnianej bariery i przez nikogo niezatrzymywana wejdzie wprost w serce pożogi. Spojrzy na mnie, nim ogień zagotuje białka jej oczu, a wzrok ten wypali mi w sercu ranę, która nigdy się nie zagoi. Tak właśnie ją zapamiętam – z aureolą płomieni wokół głowy i twarzą naznaczoną udręką, jaką znosić powinny jedynie potępione w piekle dusze.

\*\*\*

Straszliwa śmierć Marii na krótki czas uczyni mnie, zwykłego urzędnika, sławnym. Niektóre gazety napiszą, iż samobójstwo mojej siostry było aktem politycznej prowokacji – jedna posunie się nawet do tego, by wygadywać nonsensy o „księżniczce znanej w kołach anarchistycznych i nihilistycznych” – ludzie szeptać będą za moimi plecami i milknąć, gdy do nich podejdem. Omal nie stracę pracy, jednak uda mi się ubłagać przełożonego, by zatrzymał mnie na stanowisku.

Będę także kilkakrotnie przesłuchiwany przez krakowską policję. Przodownik Cwiakała, chudy, z niezdrową cerą i sam najwyraźniej cierpiący z powodu żołądka, wyrazi współczucie dla choroby mej siostry, jednak jego podejrzliwość nie zmniejszy się przez to ani na jotę. Pokaże mi film, rzucony na białe prześcieradło w zaciemnionym pokoju komendy, film, na którym widać nie tylko start „Królowej Jadwigi”, lecz także Marię i mnie samego.

– Proszę spojrzeć – powie – tutaj wygląda na to, że chce pan siostrze pomóc, już wyciąga pan ręce, by powstrzymać ją przed wejściem w płomień. A potem wpada na pana ten mężczyzna, chwyta pański łokieć i szepce coś do ucha. Czy się mylę? Obraz jest

ziarnisty, ale tak, na pewno mam rację. Proszę patrzeć dalej. I oto nagle pan rezygnuje, opadają wyciągnięte dłonie, a pan zastyga, jak nie przymierzając posąg Komandora u Mozarta. Dlaczego? Co ten człowiek panu powiedział? Kim był?

Spojrzę na film rejestrujący ostatnie chwile życia Marii.

– Przeraził mnie ogień, dlatego jej nie zatrzymałem – odpowiem, pokonując ucisk w gardle.

Ćwiąkała drążyć będzie dalej.

– Czy człowiekiem tym jest profesor Kostrzewski? Twarzy nie widać, ale sądząc z sylwetki i staroświeckiego kroju fraka, można by tak pomyśleć. Znam trochę profesora, widziałem go przy kilku okazjach – pochwali się. – To wybitna umysłowość. Co naukowiec tego formatu ma wspólnego z panem?

Zmilczę, choć pewnie najdzie mnie ochota zaproponować, by zapytał o to Kostrzewskiego.

– A list anonimowy? – Przodownik pokaże mi wytłuszczoną i wybrudzoną dziesiątkami palców kartkę. – Nieznany informator ostrzega w nim, że podczas startu „Królowej Jadwigi” dojść może do zamachu, niestety jednak kolega mój, który wiadomość odebrał, uznał ją za bredzenie szaleńca i zlekceważył. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie pana pismo? Może porównamy? Proszę napisać o, tutaj: „bomba”, „anarchiści”, „wybuchnie”.

Zgodzę się chętnie i prawą ręką nakreślę na kawałku papieru kilka podyktowanych słów. Pismo, rzecz jasna, różnić się będzie od tego z anonimowej wiadomości, tę bowiem napiszę, posługując się lewą dłonią.

Ostatecznie Ćwiąkała zwolni mnie z niechęcią, pozwoli wrócić do pustego domu, w którym straszyć będą duchy wspomnień. Kolejne dni moje staną się podobne do siebie jak krople wody w rzece: poranna pobudka, gorzka kawa o podłym smaku i skibka zeschniętego chleba, a potem praca – długie godziny mozolnego rachowania, gdy jedyną przyjemnością jest oczekiwanie na Stasię, naszą śliczną herbaciarkę, która każdego popołudnia przynosi nam po filiżance gorącego napoju. Żył będę z napiętymi nerwami, w paraliżującym lęku, że zdarzy się coś, co mnie zdradzi. Tak

niewiele przecież trzeba, wystarczy jedna zmarszczka, już teraz znajomi niepewnie patrzą na postarzałą moją twarz.

Wkrótce potem uratuję Kostrzewskiemu życie.

\*\*\*

Zdarzy się to w czwartkowy wieczór, gdy jako ostatni wychodził będę z pracy. Ostatni, bo pragnący udowodnić nade wszystko, że wart jestem stanowiska, które pozwolono mi zatrzymać. Za oknami srożyć się będzie jesienna burza, huk gromu zleje się w jeden dźwięk z biciem wielkiego zakładowego zegara, tak iż nie będę już potrafił odróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. W zapadłej potem ciszy kroki moje odbiją się od ścian pustego korytarza budzącym lęk echem. Wyciągnięty cień śledził mnie będzie w szarym świetle zakurzonych elektrycznych lamp. Przystanę na chwilę, łowiąc uchem dźwięki pracujących niestrudzenie maszyn, po czym ruszę dalej, dwa piętra w dół i znów korytarzem, lecz tym razem na pozór jeno pustym, gdyż pod ścianą, w cieniu, dostrzegę skuloną ludzką sylwetkę.

– Dobrze się pan czuje? – zapytam niepewnie. – Słyszysz mnie pan?

Odpowie mi głuchy jęk. Podejdę bliżej, by pochylić się nad nieszczęśnikiem, który zwróci ku mnie poszarzałą twarz.

– Co panu?

– Serce... – wydusi z trudem. – Proszę... Ból jest nie do zniesienia.

– Niech się pan na mnie wesprze.

Podniosę go i na wpół wlokąc, pociągnę w stronę wyjścia. Nocny portier, gdy tylko nas zobaczy, natychmiast doskoczy, by pomóc. Wezwę dorożkę, ostrożnie ułożę starszego pana w jej wnętrzu i towarzyszył mu będę w drodze do szpitala. Noc spędzę na twardym krześle w poczekalni, pośród chlipiących w chusteczki kobiet i milczących, zasepionych mężczyzn. Aż wreszcie wyjdzie do mnie brodaty doktor i zapewni, że profesor Kostrzewski będzie żył.

– Nie wiedziałem, że to Kostrzewski – powiem.

Doktor zmarszczy brwi.

– Naprawdę? Sądziłem, że profesora wszyscy znają. To...

– ...wybitna umysłowość. – Być może zaryzykuję te słowa, mimo iż powinienem udawać, że nic o Kostrzewskim nie wiem.

Od tej pory profesor uzna się za mojego dłużnika, choć ja tłumaczył będę, że niczego szczególnego nie zrobiłem, każdy na moim miejscu postąpiłby podobnie. Kostrzewski jednak na wszelkie sposoby będzie próbował mi się odwdziaczyć. Świadom mej opłakanej sytuacji finansowej, zaproponuje pieniężną zapomogę – odmówię z oburzeniem. Zaprosi mnie do domu na jeden z wieczorków, jakie co niedziela organizuje jego żona – wykręcę się brakiem czasu, choć w istocie zabraknie mi odwagi, by pokazać się pośród arystokratów nauki w nędznym mym odzieniu. Spróbuje przenieść mnie w urzędniczej hierarchii o kilka stanowisk wyżej, ale i te plany pokrzyżuję, uniesiony głupią – o jakże głupią! – dumą. Któregoś dnia Kostrzewskiemu wymknie się, że pracuje nad pewnym niezwykłym wynalazkiem, ja zaś, kierowany wrodzoną przekorą, a może również chęcią udręczenia profesora, zacznę nalegać, by zdradził mi swą tajemnicę. Z początku będzie się wzdragał, jednak nie ustąpię i dam do zrozumienia, że nie zadowolę mnie nic prócz poznania tego właśnie sekretu. Aż wreszcie Kostrzewski, nie mogąc znieść ciężaru niespłaconego długu, ugnie się i zaprowadzi mnie do swej pracowni.

\*\*\*

Nigdy nie zapomnę chwili, gdym po raz pierwszy ujrzał wynalazek Kostrzewskiego, ten cud i przekleństwo zarazem. Stanę przed nim, przepętniony pokorą oraz tajonym lękiem, jakich nie zaznałem od lat dzieciństwa, gdy rodzice prowadzili mnie przed słynący łaskami obraz Czarnej Madonny z Częstochowy.

– Cóż to? – wykrztuszę, patrząc na olbrzymią maszynę tak, jak biblijny Dawid spoglądać musiał na Goliata.

– To, mój drogi wybawco – powie Kostrzewski – jest okno. W przeszłość, rozumie pan.

To mówiąc, doskoczy do czegoś, co dla mego niedoświadczonego oka wyglądać będzie na sterowniczy pulpit jak z powieści Juliusza Verne'a, i wciśnie jeden z guzików, a wówczas rozpięty wewnątrz

mechanizmu ekran rozbłyśnie światłem. Ujrzę na nim Kraków widoczny z lotu ptaka, zanim jednak zdążę spytać, czy to coś w rodzaju kinematografu, profesor z zapalem wariata zacznie ruszać licznymi pokrętłami. Obraz zmieni się, stopniowo zbliżając do mojej dzielnicy, zobaczę front budynku, w którym mieszkam, i brudne dziecko sąsiadki na schodach wejściowych. Kamera wsunie się przez okno do mego mieszkania, ja zaś westchnę gwałtownie, widząc w nim siebie samego w towarzystwie nieżyjącej siostry. Przypomnę sobie tamtą chwilę sprzed dwóch tygodni, pamięć podsunie ostre słowa, które naówczas pod adresem Marii wypowiedziałem.

Mój sobowtór otworzy usta, a ja zakrzyknę w bolesnej zgrozie:

– Proszę to wyłączyć!

Kostrzewski kilkoma ruchami zgasi ekran i zacznie mnie przeproszać:

– Jestem głupcem, nie pomyślałem... Wszak pana siostra niedawno zmarła, rana musi być wciąż świeża. Proszę o wybaczenie, zapewne doznał pan strasznego szoku. My, słudzy nauki, rzadko zaprzątamy sobie głowy sprawami tak błahymi jak emocje.

Zatroskany usadzi mnie na krześle i zaparzy herbatę. Po chwili twarz jego zmieni wyraz na czujny.

– Rozumie pan, że tego, co pan tu dziś widział, nie wolno panu za żadną cenę zdradzić? Ufam panu jak bratu, a jednak – tak! – musi pan przysiąc na wszystko, co panu najdroższe, że nie piśnie ani słowa. To niezwykle ważne. Gdyby informacja o moim wynalazku przedostała się do wiadomości publicznej... Nie, nie chcę nawet o tym myśleć. Wie pan, jak wiele rządy obcych mocarstw dałyby, by móc skopiować moje dzieło? Jak bardzo zaszkodziłoby to potędze naszego Królestwa?

– Czy to... maszyna czasu?

– Poniekąd. – Nadmie się Kostrzewski. – Choć ja wolę określenie „okno”. Obserwuję przez nie Kraków sprzed dwóch tygodni.

– A czy można spojrzeć na przykład dwa lata wstecz? Albo trzy dni czy pięć miesięcy?

– Pracuję nad tym – wykręci się profesor.

– A czy dałoby się... – myśl będzie niemal zbyt śmiała, by ją wypowiedzieć – przejść przez to okno w przeszłość?

– To, mój drogi przyjacielu, jest bardzo dobre pytanie. Zapewne tak, lecz odradzam podobne działania.

– Czemuż to? Możliwości przecież...

– Są niezmiernie, wiem. A jednak nie można bezkarnie igrać z takimi siłami. Jeśli cofnie się pan o dwa tygodnie i wprowadzi w czasowej linii zmiany, bo przecież pan to robi, po cóż innego podróżować w przeszłość, świat może tego nie znieść. Istnieje możliwość, że spowoduje pan w ten sposób niewyobrażalną katastrofę, tragedię na kosmiczną skalę. Może pan, mówiąc prosto, raz na zawsze zakończyć dzieło Bożego Stworzenia i wymazać z kronik zarówno Ziemię, jak i wszelkie istniejące na niej życie.

– To nie musi się stać – szepnę, jakby w obronie.

– Nie, ale by podjąć decyzję o podróży w czasie, trzeba się najpierw upewnić, prawda?

– A pan... zna sposób, żeby zyskać pewność?

– Oczywiście. – Z irytującą pobłażliwością skinie głową. – Proszę za mną.

Przejdziemy do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie ku mojemu zdumieniu ujrzę zawieszony w stalowej sieci akwarium, a w nim – miniaturowe mysie miasto z domkami, ulicami, a nawet maleńkim jak mój serdeczny palec parowozem mknącym po obrzeżach.

– Nie rozumiem... – wyjąkam.

– To model naszej rzeczywistości – wyjaśni Kostrzewski. – Osobny, całkowicie autonomiczny wszechświat zawieszony w skonstruowanej przeze mnie sieci. Dla Napoleona i Józefiny Myszogród jest tym, czym Ziemia dla nas. Proszę spojrzeć tu, w pobliże ratusza. Co pan widzi?

Przysunę się bliżej, zmarszczę brwi.

– Czy to... miniatura okna?

– Oczywiście. Napoleon i Józefina mają taki sam wgląd w swoją myśl przeszłość jak i my w naszą, człowieczą. Co więcej, one, pozbawione ludzkiego rozsądku, zdecydowały się już przekroczyć granicę czasu. Wczoraj trzecia mysz, Aleksander, cofnęła się o dwa tygodnie i zdążyła już z pewnością wprowadzić w rzeczywistość Myszogrodu sporo zmian.

– Ale... Myszogród przecież wciąż istnieje. Czy nie znaczy to, że



takie podróże są bezpieczne?

– Niezupełnie. Moja teoria zakłada, że wszechświat może znieść pewną liczbę drobnych przeinaczeń. To jak z kamykami – jeśli rzuci pan pod koła garść żwiru, lokomotywa przejedzie po nim i żaden z pasażerów nawet tego nie odczuje, jeśli jednak żwiru będzie więcej, powiedzmy, spory wzgórek, wystarczy, by pojazd się wykoleił.

– Po cóż więc ten eksperyment, skoro nadal pan nic nie wie?

– Bo już wkrótce będę wiedział – odpowie Kostrzewski z niezachwianą pewnością najtęższej głowy w dziedzinie nauki. – Z moich obliczeń wynika, że eksperyment potrwać musi do północy jutrzejszego dnia. Jeśli do tej pory nic się nie zdarzy, uznam, że zmiany w czasowej linii nie kumulują się i podróże przez okno są bezpieczne; jeśli przeciwnie, cóż, przeszłość na zawsze pozostanie dla nas jedynie czymś na kształt wyświetlanego w kinematografie filmu.

– Do północy? – upewnię się.

– Do północy – usłyszę potwierdzenie.

\*\*\*

Przez cały następny dzień mylił się będę w rachunkach, aż inni urzędnicy, z niepokojem patrząc na mą bladą twarz i drżące dłonie, zaczną pytać, czy nie jestem przypadkiem chory. Zaprzeczę oczywiście i tylko zatroskanemu Michalikowi zdradzę część planu.

– Zamierzam naprawić zło, jakie wyrządziłem – rzeknę przy kufelku piwa.

Michalik roześmieje się gorzko, szmata w jego dłoni znieruchomieje na moment w swej syzyfowej podróży po zachlapanym blacie.

– To się nigdy nie udaje.

– Och, mnie się uda – oznajmię chełpliwie. – Mam sposób, jakiego przede mną nikt nie posiadał.

Po czym zamilknę i mimo nalegań (niezbyt, przyznaję, natarczywych) nie powiem ani słowa więcej.

Będzie to też dzień intensywnych działań. Najpierw, wykorzystując roztargnienie Kostrzewskiego, wyciągnę z jego kieszeni pęk kluczy,

zrobię duplikaty, a oryginały zwrócę niepostrzeżenie. Potem nabędę w żydowskim sklepie butelkę drogiej wódki i pudło rosyjskich papierosów, którymi to produktami przekupię stróża z nocnej zmiany, by wpuścił mnie do budynku.

Wreszcie nadejdzie wyczekiwana chwila. W wieczór deszczowy, wietrzny i jakby stworzony do złodziejskich poczynań, prześlizgnę się przez zakładową bramę i ścigany cmentarnym dudnieniem gromów wejdę na ostatnie piętro, gdzie swą siedzibę ma Kostrzewski. Przyniesioną z domu lampę naftową postawię na stoliku, przy którym nie tak dawno profesor częstował mnie herbatą, i usiądę obok. Ach, jakże dłużyć się będą pozostałe do północy godziny – a raczej jakże dłużyłyby się, gdybym w istocie nie wiedział już, co mnie czeka. Czy śledził będę upływające minuty, czy może, pogrążony w rozmyślaniach, stracę w pewnym momencie rachubę czasu? Nie wiem, nawet moja żelazna samokontrola i świadomość wagi mych uczynków czasami zawodzą. Pewien jednak jestem, że gdy nadejdzie właściwy moment, z napiętymi nerwami policzę uderzenia wielkiego zakładowego zegara.

Jedno, drugie, trzecie... dziewiąte... jedenaste, dwunaste.

Uniosę lampę naftową i spojrzę na Myszogród – nienaruszony i wciąż piękny jak zabawka najbogatszego i najbardziej rozpieszczonego z dzieci. Przez chwilę czujnym wzrokiem badał będę myszy biegające po ulicach maleńkiego miasta w swoich zwierzęcych sprawach, stojące czasem słupka i patrzące na mnie oczami jak czarne guziki.

– Żywe, wciąż żywe – szepnę, a potem zrobię to, co planowałem już tylokrotnie.

Przejdę przez okno w przeszłość.

\*\*\*

Dalszego ciągu mej opowieści z pewnością już się domyślasz, drogi czytelniku. Oto bowiem udam się do domu, gdzie zastanę swego sobowtóra – i ja sam sprzed dwóch tygodni, widząc ociekającą deszczem postać o zmizerniałej twarzy i z szaleństwem w oczach, nie

rozpoznam w niej siebie, lecz wezmę ją za włamywacza i rzućę się nań. Wówczas, rzecz oczywista, będę musiał zabić moje młodsze ja i pochować je w mętnej nurcie Wisły.

Kolejne dni przewidywalne będą jak dni zamkniętego w klasztorze mnicha. Co dzień z góry znane czynności i słowa, wszystkie te straszliwe słowa, jakie należy wypowiadać. Raz jeden, jeszcze nieświadom zagrożenia, miałem szansę coś zmienić, ale i wtedy, niech mi Bóg wybaczy, podła ma natura wzięła górę. Zdobyłem się jedynie na to, by napisać anonimowy list, który i tak nikogo nie ocalił, a Marię zawiodłem dwukrotnie: gdy żyłem jeszcze jak zwyczajny człowiek i gdy po raz pierwszy wróciłem w przeszłość ze szczerym zamiarem naprawienia wyrządzonego zła. Teraz, kiedy wiem już wszystko, lękam się jakiegokolwiek odstępstwa od narzuconej mi mocą przeznaczenia roli. Ileż razy chciałem przerwać tę mękę, nie bacząc na ogrom tragedii, jaką spowoduję! Zawsze jednak zdarza się coś, co pozwala mi przetrwać kolejną godzinę – widok dziewcząt tulących się do siebie w kącie plugawej gospody, uroda herbaciarki Stasi, która każdego popołudnia idzie przez zakładową halę, popychając przed sobą wózek z syczącym samowarem, czy wreszcie troska, z jaką stary Michalik wypytuje o zdrowie żon i dzieci wszystkich swoich klientów.

Czekam więc na dzień, w którym znów znajdę się na krakowskich Błoniach i biegnę w stronę płonącej „Królowej Jadwigi”, czekam, aż potrafi mnie, niby przypadkiem, Kostrzewski, nieszczęsny więzień czasu, jak i ja. Czy jego sumienie również obciążają kolejne zabójstwa? Nigdy nie będę miał pewności, lecz sądzę, że tak, bo jakże inaczej mógłby w tym świecie żyć? Jak długo zdołamy jeszcze obaj wytrzymać? Nawet jeśli wytrwamy, prędzej czy później wiek upomni się o swoje, w którymś momencie same nasze pobrużdżone zmarszczkami twarze i siwe włosy mogą przechylić szalę.

Czekam więc na koniec świata i słyszę kolejny raz, jak Kostrzewski wypowiada te cztery najbardziej przerażające słowa:

– Pomyłka. Myszośród został zgładzony.

\*\*\*

Nie mogę Wam napisać, jak powstawał ten tekst – bo nie wiem. W żadnym znaczeniu i żadnym momencie nie było mnie przy procesie tworzenia, a samo opowiadanie poznałem już z antologii. Mogę Wam jednak przybliżyć samą ideę zbioru, bo sam miałem do niego pisać, ale... tak, pozawalałem terminy.

Kasia Kosik z Powergraphu, podobnie jak wcześniej Ania Brzezińska z Runy to redaktorki, którym zawsze bardziej niż na komercyjnym sukcesie antologii zależało na nieszablonowym podejściu do tematu. Obserwowanie zjawisk, szukanie odpowiednich – lub nie – kątów, by spojrzeć na temat inaczej, niż to powszechnie przyjęte, popularne, modne.

Pierwszy raz o tej antologii usłyszałem przy okazji bodaj Coperniconu. Daty i numeru konwentu nie pamiętam, ale kojarzę miejsce, stolik w knajpie, dziś już nieistniejącej, gdzieś przy blankach. Siedzieliśmy sobie w kółeczku i rozmawialiśmy o seksie. A dokładniej o tym, jak marnuje się świetna okazja, by powiedzieć coś więcej o innych jego aspektach niż po prostu fizyczny, w dodatku wyrażonych zawsze tym samym zestawem słów, wulgarnych, prześmiewczych lub medycznych. I wtedy Kasia powiedziała, że od dawna noszą się z zamiarem wydania antologii, której motywem przewodnim będzie pożądanie. I znowu, jak kiedyś w przypadku *Księgi strachu*, gdzie nie chodziło o horrory, tak i tutaj nie mieliśmy pisać prostych erotyków rodem z czerwonych i fioletowych harlequinów, ale podyskutować o emocji, o reakcjach, przyczynach i skutkach, lękach i pragnieniach...

Jak mówię, nie napisałem swojego opowiadania. Oficjalny powód podałem wyżej, ale nieoficjalnego nie jestem pewien. Mój pomysł na tekst był zbyt trudny? Może wydumany i nieszczerzy? Pisarz nie ma obowiązku przedstawiać faktów, ale jeżeli nie oddaje prawdy emocji, to jego pisanie jest guzik warte. Czy jakoś podświadomie się tego zląkłem? Myślę o tym teraz, odświeżając sobie *Człowieka nieciągłego*. Że jest to świetne opowiadanie z ciekawym pomysłem, co do tego nie mam wątpliwości. Że wpisuje się w szeroko zakreślony temat zbioru

i wnosi do niego coś ciekawego, ów „inny kąt”? Też nie wątpię.

Ale łapię się też na tym, że robię coś, czego sam nie lubię u moich czytelników. Szukam w tekście autorki. W zmysłowych metaforach szukam klucza do definicji zmysłowości według Anny Kańtoch. W zaplecionym warkoczcu równoległych narracji szukam zbieżności z tym, co sam chciałem w temacie napisać. Lub wręcz przeciwnie, rozbieżności, z którymi mógłbym polemizować.

Czegokolwiek jednak szukałbym w tym utworze dodatkowo, jest on, że nawiązę, kompletny i ciągły. A zmysłowość w nim ukazana namacalna, podobnie jak pożądanie. Nie wiem, czemu całość skojarzyła mi się aż tak mocno z *Pachnidłem* Süskinda, z którym ten tekst w zasadzie niewiele ma wspólnego. Może sami sprawdźcie?

## Człowiek nieciągly

Dziewczyna jest niewiarygodnie piękna.

Jej skóra ma barwę śmietany kładącej się na języku miękką gęstością aksamitu, a po krzywiźnie piersi język ślizgałby się jak po wzgórkach waniliowych lodów, zwieńczonych kandyzowaną wisienką. Piotr jest pewien, że tak właśnie by smakowała – słodko, świeżo i chłodno, gdyby tylko odważył się jej skosztować. Rozsypane na poduszce włosy są jasne z czerwonym połyskiem, lecz powiedzieć o nich „rude” równałoby się nazwaniu V symfonii Beethovena „niezłą muzyką”. Barwa tych włosów to czysta poezja, duet skomponowany ze słońca i ognia. Ten sam kolor wychyla się pomiędzy białych ud i rozszerza w zgrabne serduszko, czego Piotr nie omieszka zauważyć z dreszczem podniecenia. Patrzy, gromadząc w ulotnej pamięci szczegóły, tak jak dziecko gromadzi swoje skarby: pełne wargi i słodki, zgrabny nosek, wąskie biodra i stopy z wysokim podbiciem, tam gdzie skóra jest rozkosznie różowa niczym wewnątrz muszli. Oczy są zamknięte, ale Piotr wie, że gdyby je otworzyła, ich błękit napełniłby jego serce spokojem, jakiego zaznać można w letni dzień, gdy człowiek kołysze się na powierzchni morza ze wzrokiem wbitym w wysokie niebo.

Oczywiście dziewczyna jest też absolutnie, całkowicie martwa, ale cóż, nie można przecież mieć wszystkiego.



Piotr nieśmiało dotyka jej dłoni, po czym przesuwa palce aż do nadgarstka, tam gdzie w białą skórę wgrzyła się czerní ciasno zaplątanego kabla. Pod jego stopami szeleści porzucona na podłodze foliowa reklamówka.

Pięć minut później stoi przed drzwiami mieszkania, czując na sobie

wzrok policjanta, którego zwalistość i kwadratowa szczęka psują piękno wspomnień.

– To pan ją znalazł? – pyta surowo mężczyzna w mundurze.

Piotr nie zna jego nazwiska ani stopnia służbowego; być może tamten je podał, lecz szczegóły tak szybko wypadają z pamięci.

– Ja. – Płaczący się język, pustka w głowie. – Otwarte drzwi, zobaczyłem, pan rozumie... To moja sąsiadka, coś mogło się stać. Wszedłem, wołałem, potem ją znalazłem...

– Dotykał pan czegoś?

– Nie...

– Niech pan wraca do siebie. Darek, idź z nim. – Policjant zwraca się do młodszego funkcjonariusza, który posturą przypomina wieszak na ubrania, ma długi nos i skórę różową od trądziku.

Piotr odwraca się, otwiera drzwi własnego mieszkania i słyszy za plecami ułamek rozmowy.

– Mieszkała z chłopakiem, może lubili ostre zabawy.

– To pewnie on. Prosta sprawa.

Stara się zatrzymać pod powiekami obraz rudowłosej dziewczyny, ale wspomnienia już z niego wyciekają, już niemal przestaje wierzyć, że kiedykolwiek widział ją martwą. Z trudem się powstrzymuje, by nie zawrócić i nie przekonać się, że jej ciało istotnie wciąż tam leży, ze skrepowanymi rękami i ciepłem gasnącym pod doskonałą skórą.

Zachowuj się naturalnie, upomina sam siebie, ale przecież to niemożliwe, zachowywać się naturalnie może tylko ten, kto nie wie, że powinien to właśnie robić, a Piotr ma świadomość każdego ruchu i gestu. Powinien teraz być przestraszony czy smutny? A może po prostu zdenerwowany? Jak zachowywałby się w takiej sytuacji niewinny człowiek?

Jest pewny, że nie zabił rudowłosej dziewczyny, jednak świadomość własnej niewinności paraliżuje go bardziej, niż mogłoby sparaliżować poczucie winy. Siedzi sztywno, wycofany w głąb siebie; nie chce tego, ale jego ciało ma inne zdanie i Piotr pod podejrzliwym spojrzeniem młodzieńca z trądzikiem odpowiada krótko, jakby się bał, że lada moment zdradzi go własny język.

Tak, znał ją przelotnie, byli przecież sąsiadami. Nie, żadna głębsza



znajomość, tyle tylko, że pozdrawiali się na klatce schodowej i rudowłosa dziewczyna – Marika, Piotr dowiaduje się wreszcie, że miała na imię Marika – raz czy dwa odebrała dla niego przesyłkę, bo listonosz przychodzi rano, kiedy on jest w pracy, a ona przez większość dnia była u siebie. Nie wie, co robiła, może studiowała wieczorowo, może pracowała w domu albo jedno i drugie. Nie zna jej rodziny ani chłopaka, z którym mieszkała, jego też spotykał tylko przelotnie, na schodach, gdy spieszył się do pracy albo sklepu i rzucał zdawkowe „Dzień dobry”, a ostatnio także „Wesołych Świąt”, bo przecież niedługo Boże Narodzenie. Nie zapamiętał nawet twarzy tego chłopca – był przecież nikim, tylko dodatkiem do pięknej dziewczyny, to ją Piotr pamiętał, nie jego.

Tego ostatniego już nie mówi, choć może jednak tak? Cały kłopot z przeszłością polega na tym, że jest równie niepewna co przyszłość; słowa tak szybko wyślizgują się z ust i wpadają w miejsce, skąd nie ma powrotu, nie sposób ich wydobyć, obejrzeć, przekonać się, czy wciąż są takie, jak podpowiada nam pamięć.

Piotr proponuje policjantowi herbatę, a potem dwa razy wraca do kuchni.

Czy wyłączył gaz?

Czy powiedział coś, co zdradziło jego fascynację tą dziewczyną?

Piotr jest bowiem człowiekiem nieciąglym, zawsze taki był, a przynajmniej tak mu się w tej chwili wydaje – bo Piotr terazniejszy nie ma wiele wspólnego z Piotrem sprzed godziny, a ten z kolei różni się od Piotra wczorajszego. Kolejne wersje Piotrów gładko przechodzą jedne w drugie, a on czasami myśli, że udaje mu się zachować przy tym rdzeń swojej osobowości, a czasem, że nie.

O swojej nieciągliwości Piotr myśli w sposób nieciągly wieczorem, już po wyjściu policjanta, gdy odpisuje siostrze na e-maila. To tradycyjne zaproszenia na święta, które przyjmuje, choć wcale nie ma na to ochoty; nie przepada za Bożym Narodzeniem, jednak konsekwencje odmowy mogłyby zbyt poważnie zachwiać jego kruchym światem, w którym tak mało jest rzeczy pewnych.

Potem szykuje kolację i wraca przed komputer, by kilka razy sprawdzić treść wysłanej już wiadomości.

Czy odpisał Dorocie, że chętnie przyjdzie na kolację wigilijną, czy może zdradzieckie ręce wystukały: „Pierdol się, głupia krowo”?

Piotr bierze prysznic, potem wraca przed komputer, wstaje, znowu siada. Sprawdza po raz kolejny, czy gaz pod czajnikiem na pewno jest wyłączony.

Czy zabił Marikę, tak jak sobie to wyobrażał?

\*\*\*

Marika – imię smakuje jak suszona śliwka. Kleista słodycz długiego „ma” złamana lekko kwaskowatym „ri” i dymne „ka” na samym końcu, niczym ostatnia nuta w bukiecie wina.

Ma-ri-ka.

Piotr powtarza jej imię w myślach, gdy po południu odpala samochód, by pojechać do najbliższego marketu. Trzeba kupić siostrzeńcowi prezent (Dorota z właściwą sobie subtelnością wymieniła w e-mailu tytuł gry komputerowej, nie musi się więc wysilać), chleb, trochę wędliny, może parę puszek piwa. Niczego więcej nie potrzebuje, i tak przecież nie będzie spędzał świąt u siebie.

Świat na zewnątrz utknął pomiędzy jesienią a zimą. Chwila tuż przed pierwszym śniegiem, gdy w powietrzu wisi zapowiedź lodowatej zamieci, rozciągnęła się do dwóch tygodni w nieznośnym napięciu jak z filmów Tarantino. Odarte z ostatnich liści drzewa, brązowa trawa, niebo w kolorze chłodnego ołowiu – to pozbawiony błogosławieństwa bieli martwy świat, w którym zima jest obcym przyczajonym za drzwiami. Nie widać jej, ale ją czuć; wiatr niesie zapach ciężkiej od wilgoci ziemi i korzeni gnijących pod warstwą nocnego lodu. Śnieg mógłby przynieść ulgę, ale śniegu nie ma i w tej chwili Piotr niemal wierzy, że Boże Narodzenie nigdy nie nadejdzie.

Nie jest jedyny – w markecie przebrany za Świętego Mikołaja mężczyzna potrząsa dzwonkiem, którego dźwięk brzmi płasko i fałszywie, a ludzie pchający wyładowane wózki uśmiechają się bez przekonania.

Wesołych Świąt, ho, ho, ho.

Ma-ri-ka, smakuje imię Piotr.

Gdy wraca do domu, jest już prawie ciemno; niebo zaciągnięte nocą jak burzowymi chmurami, których jałowość drażni nerwy. Pod klatką widzi przyczajoną sylwetkę, a może tylko mu się zdaje? Oderwana sklepowa markiza łopocze w podmuchach grudniowego wiatru, przy śmietniku, od którego ciągnie słodki zaduch, buszują bezdomne koty. Nagle w krąg rzucanego przez latarnię światła wskakuje łaciaty cień i miaucząc przeraźliwie, przebiega obok Piotra. Mężczyzna klnie i wtedy właśnie w ślad za zwierzęciem z mroku wynurza się drobnokościsty wyrostek.

Robert – Piotr pamięta nawet jego imię – chłopak Mariki. Czy policja już z nim rozmawiała, czy może Robert się przed nimi ukrywa?

Piotr przystaje, a potem, zirytowany własnym tchórzostwem, rusza do przodu. Robert odsuwa się, nie spuszczać wzroku z nadchodzącego mężczyzny. Ma na sobie obszerną bluzę z kapturem, zbyt cienką jak na tę temperaturę, kuli się, dłonie trzyma w kieszeniach dżinsów. Po raz pierwszy Piotr na niego patrzy, nie – przelotnie zauważa, lecz naprawdę patrzy i uderza go podobieństwo chłopaka do Mariki. Są niemal tego samego wzrostu, oboje szczupli, z obojętnymi twarzami elfów. Ona była nieco chłopięca, włosy ścinała krótko, miała wąskie biodra i drobne piersi, w nim natomiast jest coś dziewczęcego: w długich rzęsach i wykroju ust, w spadających na oczy lokach, które odrzuca niecierpliwym ruchem głowy. Jakby wiążąc się, wychodzili jednocześnie sobie naprzeciw, by spotkać się gdzieś pośrodku androgynicznej jedności.

Robert – imię nie ma smaku, jest twarde, zgrzytające w zębach jak ubrudzone ziemią kamienie.

Niemniej jest też w tym chłopcu pewna dostępność, która mogłaby wydawać się pociągająca, gdyby Piotr gustował w przedstawicielach własnej płci. Oto możliwy scenariusz: Piotr proponuje Robertowi kubek gorącej herbaty, a chłopak idzie za nim do mieszkania na drugim piętrze, gdzie pozwala zdjąć z siebie tę okropną bluzę i zrobić ze swoim młodym ciałem wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Piotr wchodzi w mrok klatki schodowej, podczas gdy możliwość rozszczepia się za jego plecami w wachlarz niespełnionych

przeszłości. Czy minął Roberta w milczeniu, czy może jednak zaproponował mu herbatę i został odrzucony? A może stało się coś jeszcze innego, w wyniku czego, idąc teraz po schodach, czuje wypalony na karku wzrok chłopca w zbyt obszernej bluzie?

W domu wkłada jedzenie do lodówki, a grę dla Bartka kładzie na biurku. Potem odpala komputer, otwiera puszkę piwa i wchodzi na czat erotyczny. Posługuje się różnymi nickami, gardząc w skrytości ducha tymi, którzy nie potrafią nawet poprawnie napisać: „Skąd klikasz?”. Gardzi także prymitywnymi sposobami budowania wizerunku: dwadzieścia centymetrów i klata jak kaloryfer to zdecydowanie nie jego metody. Piotr jest subtelniejszy, uwodzi, tworząc od nowa nie tylko siebie, ale cały świat: dziś jest nieśmiałym chłopcem (ubranym w zbyt obszerną bluzę z kapturem?), który proponuje scenariusz swojej fantazji: on będzie studentem konserwatorium, a spotkana na czacie kobieta nauczycielką, której zainteresowania nie ograniczają się tylko do muzyki.

Cóż, przynajmniej ma nadzieję, że to naprawdę kobieta.

Jest w tej chwili jeden, konkretny i stały. Jutro, tak samo pojedynczy, choć zupełnie inny, pójdzie do pracy, gdzie przez osiem godzin będzie odbierał telefony i wklepywał do komputera dane.

Pewnego dnia Piotr rozpęknie się i wypadną z niego wszystkie inne Piotry: te, którymi był przez dzień albo pół minuty, te, którymi mógł być i którymi bał się stać. Zdradzą go rzeczy, o których śni i które jedynie przemknęły mu przez myśl – jak to nieszczęsne zaproszenie na herbatę, które było przecież żartem opowiedzianym samemu sobie.

Być może najwyższa pora, by wreszcie coś z tym zrobić: znaleźć sobie prawdziwą, niewirtualną dziewczynę, zacząć normalnie żyć. Siostra powtarza mu to każdego roku, gdy siedzą przy wigilijnym stole, a Piotr robi wtedy rachunek sumienia i postanawia się zmienić: nie tylko wyobraża sobie wtedy siebie jako innego człowieka, ale się nim staje, na godzinę, dwie, czasem więcej.

Miał kiedyś prawdziwą dziewczynę, Weronikę, jeszcze na studiach. Twierdziła, że potrafi odróżnić wiosnę od jesieni po kolorze słonecznych promieni. Wiosenne światło jest ostre i żółte jak cytryna, mawiała, chłodne, ale pełne życia, jesienne, za to łagodne niczym

bursztyń z opiłowanymi przez wodę kantami. To jedyny w naturze paradoks, kiedy zimno jest ciepłe, a ciepło zimne.

Mieszkali razem przez jakiś czas, jednak już wtedy realność uwierała Piotra jak źle dopasowane buty. Przy Weronice czuł się niekonkretny, granice jego płynnej osobowości bezustannie były atakowane przez samą jej obecność. Dopiero gdy odeszła, potrafił stworzyć samego siebie na nowo.

Przed dwunastą, kiedy scenariusz fantazji rozkręca się na dobre, do Piotra pisze martwa dziewczyna.

\*\*\*

„Nieznajomy przesyła wiadomość” – migocze ikonka komunikatora, a Piotr zamiera. Być może stało się wreszcie to, czego tak bardzo się obawiał: on nigdy nie podaje publicznie swoich danych, ale inne Piotry mogły przecież być mniej ostrożne.

„Cześć, tu Marika, chcesz poczytać naszego bloga?”.

Wstaje, wychodzi do kuchni i sięga do lodówki po następne piwo. Wypija je z cichą nadzieją, że nim wróci, przeszłość zmieni się w taką, w której żadnej wiadomości nie było. Podniecenie całkiem z niego opadło, pozostawiając po sobie mdlący osad niepokoju. Kimkolwiek był mężczyzna, który przed chwilą zabawiał się z poznaną na czacie kobietą, już go nie ma i Piotr nie może uwierzyć, że kiedykolwiek go znał.

Wraca przed komputer; ekran pulsuje kolejną wiadomością – tym razem jest to adres internetowy. Piotr po chwili wahania klika w link, czując się jak rozbitek dryfujący na falach najbardziej niesamowitych możliwości. Nie sposób teraz przewidzieć, jaka będzie przyszłość ani jaka była przeszłość; przez krótką chwilę Piotr naprawdę wierzy, że dziewczyna jednak żyje, że wcale nie widział jej martwej – może tylko mu się śniło? Jednak i to jest niepewne, jak wszystko wokół, ciągnący się wstecz i naprzód czas rozmywa się i kształtuje na nowo.

Myśl, że Marika mogła zauważyć jego zainteresowanie i teraz w tak osobliwy sposób chce nawiązać kontakt, sprawia, że Piotrowi zaczyna się kręcić w głowie.

A więc klika, szybko, zanim napłynie kolejna możliwość.

Blog jest czarno-biały, w stylu, który Piotrowi niejasno kojarzy się z malarstwem Alfonsa Muchy – dużo zawijasów i esów-floresów, a do tego stylizowana na przedwojenną czcionka. Z pierwszego zdjęcia patrzy na Piotra Marika: siedzi na ławce w parku z głową wspartą na ramieniu Roberta, na jej twarz pada cień rozrosłego ponad miarę buka. Piotr z jakiegoś powodu ma pewność, że to jesień, choć na czarno-białej fotografii nie widać koloru liści – jest jednak w tej scenie jakaś łagodna melancholia, Piotr mógłby się założyć, że światło tamtego dnia miało kolor bursztynu, który tak długo leżał w wodzie, że jest teraz krągły i gładki, bez żadnych kantów.

Marika patrzy na niego tak, jak spojrzała wtedy, gdy zwrócił na nią uwagę po raz pierwszy. On wchodził po schodach, ona po nich zbiegała, w pośpiechu zapinając kurtkę, na uszy już miała naciągniętą czapkę, dłonie tkwiły w rękawiczkach o barwie tak czerwonej, że zawstydziliby polne maki. Rzuciła mu spóznione „Dzień dobry”, patrząc z roztargnieniem ponad poręczą, a on jej zapragnął. Nie od razu, to przyszło później, powoli, tak że przegapił moment, kiedy Marika nagle wypełniła jego świat, gdy jednak to się wreszcie stało, przeszłość zwinęła się z kocim pomrukiem i ukształtowała na nowo, a on wiedział już, że pożądał tej dziewczyny od początku, od tamtej chwili, kiedy jeszcze pozdrawiali się obojętnie na schodach.

Wtedy też zrozumiał, że ona się z niego śmieje i zawsze się śmiała. Kpina w jej głosie, kiedy mówiła „Dzień dobry”, cień drwiny w błękitnych oczach. Nie zastanawiał się nad przyczyną, pewnie wystarczyło, że młodość i piękno Mariki zmieniały go w zgarbionego, łysiejącego mężczyznę po trzydziestce, a tego nie potrafił wybaczyć – być może dlatego pomyślał kiedyś, przez chwilę, przez całe życie, że mógłby ją zabić.

Nie byłoby to trudne; Marika, gdy była w domu, nie zamykała drzwi na klucz – wiedział o tym, bo dwa czy trzy razy widział, jak Robert wchodzi, po prostu naciskając klamkę. Piotr też mógłby tak zrobić.

Możliwy scenariusz: wchodzi cicho, ostrożnie, ledwo ośmielając się oddychać. W nowym miejscu jest zdezorientowany, ale to szybko

mija, w końcu rozkład mieszkań w całym bloku jest podobny. Znajduje więc pokój, który u siebie nazywa salonem – Marika tam jest, śpi na tapczanie spowita w promieniujące od kaloryfera gorąco, krople potu spływają po unoszonych równym oddechem nagich piersiach. Zapach alkoholu jest ledwo wyczuwalny, ale gdy Piotr pochyła się nad dziewczyną, zawieszona woń przetrawionego wina i piwa uderza go w nos, jakby wpadł na ścianę. Marika znowu wróciła nad ranem, a on znowu ją widział, jak wiele razy przedtem – tyle że tym razem poczekał, aż z mieszkania wyjdzie Robert, by potem zrobić to, co chciał zrobić.

Dalszy ciąg możliwego scenariusza: wiąże jej ręce przyniesionym kablem, a ona nie stawia oporu; budzi się tylko i mamrocze coś nieskładnie – może bierze go za Roberta? Kiedy zrozumie, co się dzieje, będzie już za późno: Piotr założy jej na głowę worek foliowy, zwykłą reklamówkę, jaką można dostać w każdym markecie, a potem zaciągnie brzegi wokół szyi i poczeka, aż dziewczynie zabraknie powietrza.

Ten worek zdejmie później, by po raz ostatni nacieszyć oczy widokiem jej twarzy – reklamówkę policjanci znajdą na podłodze, a chwilę wcześniej Piotr spojrzy na nią, nie pojmując, co właściwie widzi.

Piotr wstaje i wędruje do szafki, by sprawdzić zapas czarnego kabla, którego używa czasem przy drobnych naprawach. Zwój znajduje się na swoim miejscu, ale mężczyzna nie potrafi powiedzieć, czy jest teraz mniejszy, czy też nie.

Wraca przed komputer, wstaje, znowu podchodzi do szafki i patrzy na zwinięty w ciasny kłębek kabel, zamyka szufladę i znowu ją otwiera. Nawet przeszłość sprzed kilkunastu sekund nie jest już pewna.

Czarno-biały blog mruga do niego zachęcająco z ekranu, mija jednak dobra chwila, nim Piotr nabierze na tyle odwagi, by zacząć czytać.

*wpis pierwszy:*

*Dawno, dawno temu byli sobie mały chłopczyk i mała dziewczynka.*

– Wymyśliłam nowy sposób podróżowania – powiedziała pewnego dnia dziewczynka. – Ziemia obraca się wokół własnej osi w ciągu dwudziestu czterech godzin, prawda? Wystarczyłoby więc tylko wejść gdzieś wysoko i poczekać, aż przesunie się pod twoimi nogami. Wyobraź sobie, siedzisz w powietrzu przez cały dzień, a potem hop! – zeskakujesz już do Ameryki. Fajne, nie?

– Uderzyłabyś po drodze w góry. – Chłopiec jest sceptyczny. – Albo spadłabyś do oceanu.

– Uważałabym – upiera się dziewczynka. – A poza tym mogłabym wybrać takie miejsce, żeby po drodze nie było gór. Tylko musiałabym znaleźć punkt, który nie kręci się z całą Ziemią. Gdyby mi się udało, byłabym już nie w środku, tylko na zewnątrz. Po prostu bym czekała, aż znajdę się dokładnie tam, gdzie chcę.

Tej nocy przewraca się pod kołdrą niespokojnie, śniąc samotność, która przysiadła na jego łóżku. Najeżona kolcami, szara jak kłęb kurzu, pochyla się nad Piotrem, a on czuje jej ciężar i zapach, drapiący w gardło, jakby próbował oddychać węglowym pyłem. Śni mu się także upływający czas, minuty, godziny i dni prześlizgujące się przez palce z gładkością namydlonych paciorków. Wiosenny pierwszy raz i jesienny ostatni, obłany złotym smutkiem jak rogalik lukrem, a w końcu Piotr śni, że stoi na statku, wpatrzony w niespokojne morze, i żuje kawałki pozbawionego smaku mięsa, które rosną mu w ustach. Wypluwa je dyskretnie do wody, z nadzieją, że inni pasażerowie tego nie widzą, ale mięsa jest coraz więcej i więcej. W końcu orientuje się, że to jego własne ciało, że od środka odrywa zębami kawałki samego siebie i je pożera.

Budzi się rano zmęczony, z bólem głowy i nieodpartym wrażeniem, że duch Mariki jest w jego mieszkaniu – być może spał z nią nawet tej nocy, choć niezupełnie w taki sposób, jak sobie tego życzył.

\*\*\*

*wpis drugi:*



*Żadne nie pamięta czasów, gdy było samo, w ich wspomnieniach zawsze są razem. Pierwsze wspomnienie jego: wyciąga rękę w ciemności i ona tam jest, ciepła i miękka, z włosami pachnącymi truskawkowym szamponem; jej obecność odgania czające się pod łóżkiem potwory i pozwala spokojnie spać.*

*Jej pierwsze wspomnienie: nie ma takiego, po prostu Robert był zawsze i już. Choć gdyby miała wybierać, wskazałaby dzień, gdy płakał przy huśtawce, rozmazując ciekącą z rozbitego nosa krew, a ona podeszła i objęła go – odpowiedzialności, którą wtedy na siebie wzięła, nie będzie potrafiła się zrzec do końca życia.*

Robert przychodzi wieczorem, na dwa dni przed Wigilią, gdy śniegu wciąż nie ma, a święta mimo natrętności kolęd i bożonarodzeniowego wystroju miasta wydają się odległe o lata świetlne.

Piotra nie dziwi ta wizyta – w pewien sposób się jej spodziewał, przemyka mu nawet przez myśl, że sam chłopaka zaprosił.

W przedpokoju Robert zdejmuje kurtkę, pod którą ma czerwoną sukienkę włożoną na niezbyt czyste dżinsy, jasnorude włosy spadają na umalowane oczy.

– To jej, Mariki – tłumaczy, widząc zdumiony wzrok Piotra. – W ten sposób ona wciąż jest ze mną, rozumie pan?

Piotr kiwa głową, choć czuje się zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek zrozumieć.

– Zrobię ci herbaty – mówi.

Chłopak z umalowanymi oczami idzie za nim do kuchni. Czerwona sukienka sprawia, że jego młodzieńcze ciało wydaje się delikatniejsze, makijaż podkreśla dziewczęcość rysów. Robert wygląda prawie ładnie w swojej nieokreśloności, w zawieszeniu pomiędzy tym, co męskie a tym, co kobiece. Dostępność, którą Piotr dostrzegł w nim wcześniej, teraz jest widoczna jeszcze bardziej – wkładając sukienkę, Robert wyszedł poza granice swojej płci, nie chronią go już konwenanse. Jest czystą możliwością, której może przydarzyć się wszystko.

– Policja cię szuka – wspomina Piotr, kiedy milczenie staje się krępujące.

Chłopak wzrusza ramionami.

– Już mnie znaleźli. Rozmawiałem z nimi.  
– I puścili cię?  
– Na razie, ale pewnie w końcu i tak mnie aresztują. Myślą, że to ja zabiłem Marikę.

Piotr podaje mu kubek, o który chłopak grzeje ręce. Wygląda na zmęczonego, cienie pod jego oczami to nie tylko efekt makijażu.

– A zabiłeś? – Nie chciał zapytać, ale słowa wymknęły mu się, zanim zdążył pomyśleć.

Robert powoli kręci głową – ma to znaczyć „nie” czy może raczej „nie wiem”? Z jakiegoś powodu Piotr nabiera pewności, że to drugie – może on też jest człowiekiem nieciąglym, może Piotr znalazł wreszcie bratnią duszę?

– To powinienem być ja – mówi powoli Robert, podczas gdy Piotr obraca w ustach jego imię, starając się odnaleźć w nim smak. – To ja powinienem nie żyć.

\*\*\*

*wpis trzeci:*

*Nie ma mowy o miłości, dopóki są jednym i tym samym; zaczyna jej pragnąć, dopiero gdy staje mu się obca – dojrzewające ciało tak inne od jego ciała, jej miłość, tak bezwarunkowa, nieograniczająca się do nikogo ani do niczego. Dziewczynka, kiedy ma jedenaście lat, kocha się w Henrim de Toulouse-Lautrecu, który był brzydki i nieszczęśliwy, a przecież genialny; to namiętność, która wybucha płomieniem i spala się we własnym ogniu w kilka wiosennych tygodni. Potrafi kochać muzykę na fortepian, która brzmi jak krople deszczu rozpryskujące się na uniesionej do nieba twarzy, nazwy geograficzne takie jak „Indochiny” czy „Ladakh”, a także dźwięk słowa „pieszczota”. Kocha opowieści: Kitty idącą na bal w tiulowej sukni na różowym spodzie, Caravaggia i Hanę tańczących do melodii granej przez gramofon oraz Corsa z jego króliczym uśmiechem, śpijącego z dziewczyną, która była diabłem.*

*Jemu całe to bogactwo uczuć wydaje się czymś dziwnym i zupełnie niepotrzebnym. Jest zazdrosny, jeszcze zanim zacznie być zakochany. Jego miłość od zawsze, od samego początku ma odcień gniewu: pragnie*

*zabrać jej tę obcość, wymazać, jakby nigdy jej nie było, i na powrót uczynić dziewczynę swoją.*

Od chwili gdy zobaczył Marikę na schodach, każda kobieta, z którą flirtował w sieci, miała jej twarz, a czasem także imię, jeśli tylko udało mu się nieznaną namówić.

Możliwy scenariusz: zaprasza Marikę do siebie po jednej z tych kłótni, których tak często jest milczącym świadkiem – wrzeszczą na siebie wtedy, a on nasłuchuje przy cienkiej ścianie gierkowskiego bloku, udając, że nie słucha wcale. To Marika zawsze głośniej krzyczała, Robert był łagodniejszy, w jego głosie więcej było prośby niż złości. Po takich sprzeczkach dziewczyna wypadała z mieszkania, trzaskając drzwiami, i wracała dopiero nad ranem, z rozmazanym makijażem i cuchnąca papierosowym dymem. Mógłby otworzyć przed nią drzwi, powiedzieć, że wygląda na zmęczoną, a u niego dostanie filiżankę świeżo zaparzonej kawy. Zgodziłaby się, był – czy może raczej czasem bywał – tego pewien. Miał swoją wizję takiego dnia: w okno bębni deszcz, słońce rozmyte szarością grudniowego poranka. Ten dzień mógłby taki właśnie być, ani jesienny, ani zimowy, zawieszony w beczasie tylko dla nich. Dziewczyna przymknęłaby oczy, grzejąc dłonie o kubek z kawą, czerwona sukienka podciągnięta do połowy uda pokazywałaby różowioną od zimna skórę. Mógłby Marikę objąć, mówiąc do niej kojącym tonem rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia. W takich chwilach zaciera się granica pomiędzy pocieszeniem a pożądaniem, ręce tak zgrabnie wślizgują się pod warstwy zimowej odzieży, gładka i chłodna skóra czeka, aż ktoś ogrzeje ją dłońmi. Zdejmowałby z Mariki po kolei wszystkie ubrania, aż wreszcie zostałaby naga, cała biała, miękka i zimna od deszczu – istota doskonała, bo ani kobieca, ani męska, zmęczony anioł w jego łóżku, pozwalający Piotrowi nasycić się do woli idealnym ciałem.

\*\*\*

*wpis czwarty:*

*Powiedzą później, że to była jego wina, ponieważ jest mężczyzną, a ona kobietą – on jednak ma pewność, że sprawy wyglądały zupełnie inaczej, to ona od początku chciała go mieć, tak jak miała wszystko inne: chłopców i dziewczyny, książki, muzykę i słowa. Sukienki zdejmowane, gdy wiedziała, że patrzy na nią z ukrycia, dotyk pachnących truskawkami włosów, gdy pochylała się nad nim, chichocząc. Czy można się dziwić, że wreszcie jej zapragnął?*

*W którymś momencie ona wystraszy się tej miłości i będzie chciała odejść, zostawiając go lekko, jakby między nimi nigdy nic się nie zdarzyło. Wtedy on wyjmie z szafki tabletki, a ona wróci, kiedy będzie wymiotował w łazience. Nigdy już później nie będą sobie tak bliscy jak wtedy, gdy dziewczyna trzyma rękę na mokrym od potu karku chłopaka, wyczuwając pod palcami rozrywającą jego gardło kwaśną rozpacz.*

– Ty przesłałeś mi link do waszego bloga, prawda? – Teraz, gdy Piotrowi przyszło to do głowy, wyjaśnienie wydaje się oczywiste. Jakim cudem mógł kiedykolwiek myśleć, że wiadomość przesłała martwa Marika?

– Ja. – Robert siedzi na tapczanie w jego mieszkaniu, ciemne rajstopy opinają zgrabne łydki, krótka spódniczka pokazuje więcej uda, niż nakazywałaby przyzwoitość.

– Po co?

Wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że pytanie nie jest warte odpowiedzi. Piotra irytuje jego postawa: czy wszyscy młodzi ludzie są tak obojętni i mrukliwi, czy może Robert po prostu cierpi po śmierci Mariki?

– Które z was pisało ten blog? Ty czy ona?

– A co za różnica? Myśleliśmy tak samo.

– To prawda, co tam jest napisane?

Robert uśmiecha się powściągliwie umalowanymi czerwoną szminką ustami.

– Tam jest to, co pamiętamy. Może wszystko wyglądało tak, a może inaczej. Pan nie ma wspomnień, które nie są prawdziwe?

– Nie, oczywiście, że nie.

– To co pan pamięta z dzieciństwa?

– Padał deszcz, a ja wyszedłem z domu i puszczałem papierowy statek na wodzie płynącej wzdłuż ulicy. – Piotr wymienia najżywsze ze wspomnień. – Miałem na sobie żółtą pelerynę przeciwdeszczową i taki zabawny żółty kapelusik. Nieważne, mieliśmy rozmawiać o Marice, nie o mnie. Ona chciała z tobą zerwać, tak jest tam napisane.

– Zrywała ze mną już wiele razy i zawsze wracała. Nie zabiłem jej z tego powodu, jeśli o to panu chodzi.

– Po co właściwie tu przyszedłeś?

Chłopak sięga do kieszeni różowej bluzy i rzuca na stół złożoną wpół kartkę.

– Wezwanie na komendę, dla pana. Zostawili je u mnie dziś rano.

Piotr rozkłada biały prostokąt – przesłuchanie ma się odbyć jutro, 24 grudnia. To wydaje się nie w porządku, ale ostatecznie przecież Wigilia jest zwyczajnym dniem pracy.

– Wygląda na to, że będzie miał pan spieprzone święta – mówi Robert beznamiętnym tonem.

Powinien teraz wstać i wyjść, Piotr tego właśnie chce, bo napięcie i niepewność wydają się nieznośne. Niemal to widzi: chłopak, który wygląda całkiem jak dziewczyna, podnosi się i kieruje do drzwi, ciężki i niezgrabny od przepełniającego go smutku. Ostatecznie jednak jego rzeczywistość przegrywa z rzeczywistością Roberta i chłopak wciąż tkwi na kanapie. O szyby zaczyna bębnić deszcz, słońce rozmyte szarością grudniowego poranka.

– Czasem pan tak na mnie patrzy... – zaczyna chłopak, a Piotr, choć nie chce, jednak zadaje pytanie:

– Jak?

– Jakby miał pan na mnie ochotę. – Piotr nie ma pewności, co jest w tych oczach: kpina, wyzwanie czy zwyczajna młodzieńcza przekora. – To prawda?

Wpatrzony w siedzącą na tapczanie istotę mężczyzna nie czuje ani odrobiny podniecenia. Powoli kręci głową.

– Może to przez to ubranie? Wolałby pan, żebym włożyła spodnie? Żebym była chłopakiem?

– Nie wiem, może.

– Sorry, nie ten adres.

Robert wstaje i idzie w stronę drzwi. W progu jeszcze się odwraca.

– A tak w ogóle pana wspomnienie, to z papierowym statkiem, jest z filmu, tytuł wyleciał mi z głowy. Tam coś podobnego było.

Zamyka za sobą drzwi. Deszcz wciąż bębni w okno, a Piotr ledwo ma odwagę oddychać, bojąc się, że lada moment rozpadnie się jak szyba, o którą zbyt mocno uderzył wiatr.

\*\*\*

*wpis piąty:*

*W jesienny dzień chłopak i dziewczyna siadają na ławce w parku. Ona mówi do niego coś z przejęciem, on uśmiecha się, kiwa głową i nawija na palec kosmyk jej włosów.*

*wpis szósty:*

*W jesienny dzień chłopak i dziewczyna siadają na ławce w parku. On mówi do niej coś z przejęciem, ona uśmiecha się, kiwa głową i nawija na palec kosmyk jego włosów.*

Dzień dogasa w zimowej szarości, gdy Piotr tkwi na komendzie, a gruba policjantka spisuje jego zeznanie. Robi przy tym mnóstwo literówek; Piotr widzi to, ale nie ma śmiałości zwrócić jej uwagi.

Imię, nazwisko, adres.

Patrzy przez okno, smakując w ustach słowo grudzień: szorstkie i zimne. Grudzień jest bryłą lodu pełną ziemi i kamieni, starą zmarzliną, która zalega w cieniu jeszcze wtedy, gdy słońce dawno zaczęło świecić wiosennym blaskiem w kolorze cytryny.

Przenosi wzrok na policjantkę, która pewnie wolałaby być w domu, przygotowując się do kolacji wigilijnej. Piotr ją rozumie, choć sam niedawno zadzwonił do siostry i nie bez pewnej satysfakcji poinformował ją, że się spóźni, bo musi iść na przesłuchanie – wtedy był innym człowiekiem, takim, który uważał to wszystko za niezły żart. Teraz nie pamięta już, na czym właściwie ten żart miałby

polegać.

Policjantka od czasu do czasu zerka w stronę leżącej na biurku komórki, by dyskretnie sprawdzić godzinę. Telefon rozdzwania się w pewnym momencie świąteczną melodyjką, a kobieta ucisza go niecierpliwym gestem. Z zaciśniętymi ustami czyta SMS-a. Mąż czy dzieci, które nie mogą się doczekać, aż mama wróci z pracy? – przelotnie rozważa Piotr. Policjantka opanowuje irytację i zadaje kolejne pytanie.

Piotr zastanawia się, czy komuś tu przyjdzie do głowy, że mógłby naprawdę zabić. Im dłużej nad tym myśli, tym bardziej wydaje mu się, że tak; obojętna twarz grubej kobiety wydaje się kryć oczywiste, choć nieme oskarżenie.

– Nie zabiłem jej – mówi, gdy napięcie staje się nieznośne. – Nawet jej nie znałem.

Policjantka unosi brwi.

– Jej?

– Mariki – mówi Piotr. – Nie znałem Mariki.

– Marika Mikołajczyk ma się znakomicie, to przesłuchanie w sprawie zabójstwa Roberta Mikołajczyka. O czym pan mówi?

Piotr patrzy pustym wzrokiem, sekundy upływają w ciszy. Zamyka wreszcie oczy.

– Roberta?

Policjantka się irytuje.

– Niech pan nie udaje idioty. Przecież znalazł pan jego ciało.

Ciało, ach tak, przypomina sobie Piotr. Doskonałe ciało młodego mężczyzny, który wyglądał trochę – ale na szczęście nie za bardzo – jak dziewczyna.

– Ładny chłopiec – mamrocze.

– Ładny? – Gruba policjantka robi się mniej obojętna, a odrobinę bardziej podejrzliwa. – Jak dobrze pan go znał?

– Przelotnie, spotykaliśmy się czasem na schodach, wie pani, jak to sąsiedzi... Myślałem o nim czasem, choć on się ze mnie śmiał.

– W jakim sensie pan o nim myślał?

– Nie wiem. Że chciałbym go dotknąć. To ma sens, prawda?

Kobieta patrzy na niego, w jej oczach widać nagły błysk strachu.

– Panie Szulkowski, czy zabił pan Roberta Mikołajczyka? – pyta, jakby sama nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Tak – mówi Piotr z ulgą. – Musiałem to właśnie zrobić.

Policjantka przełyka ślinę – Piotr ją zaskoczył, co w pewnym sensie sprawiło mu przyjemność. Uśmiecha się, chcąc złagodzić lęk w jej oczach, a potem znowu przenosi wzrok na okno. Jest prawie zupełnie ciemno, na kolację wigilijną i tak pewnie już nie zdąży. Trudno. Mimo to czuje się niemal szczęśliwy, kiedy przeszłość układa się wokół niego miękko jak fałdy dobrze skrojonego płaszcza. Oczywiście wszystko dobrze pamięta. Nigdy tak naprawdę nie interesowały go dziewczyny, jego zamięłowanie do wąskich bioder i małych piersi było w istocie skrywanym pożądaniem chłopięcego ciała. Dopiero Robert mu to uświadomił. Teraz wszystko nabiera sensu: jego długoletnia samotność, fakt, że nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie kobiet.

Jak powiedział tamten młody policjant, to naprawdę była prosta sprawa.

Piotr nie przestaje się uśmiechać, nawet gdy na jego rękach zatrzaskują się kajdanki. Przez krótką chwilę, która obejmuje całą jego przeszłość i przyszłość, czuje się wreszcie człowiekiem kompletnym i ciągłym.



\*\*\*

A to tekst, którego nie znałem kompletnie – przeczytałem go dopiero teraz – ale który dał mi odpowiedzi na parę pytań, jakie sobie zadawałem. Nawet na kilka tych, które padły tutaj, w tych wstępach, rozważaniach, wspominkach. Przyjąłem sobie bowiem taką metodę, że nieważne, jaka będzie kolejność utworów w zbiorze, ja przeczytam wszystkie i swoje napiszę według własnego klucza. Od tych opowiadań Ani, które są mi z różnych względów najbliższe, po te dla mnie nowe. Każdy wstęp pisałem zawsze bezpośrednio po lekturze, by żadna myśl nie uciekła, żadna refleksja, emocja nie pozostały bez wzmianki. Dlatego mogła się zdarzyć sytuacja, o której wspomniałem na samym początku. Że gdzieś tu zadam pytanie i finalnie dostanę na nie odpowiedź. I chyba w przypadku *Miasteczka* tak właśnie się stało.

Zanim jednak wyjaśnię, o co chodzi, zapytam: kojarzycie serię *Trzech detektywów* sygnowaną nazwiskiem Hitchcocka? To opowieść o trzech chłopcach, którzy założyli specjalny klub z siedzibą w przyczepie kempingowej, ukrytej pośród złomu na wysypisku wujka jednego z nich. Jak to zwykle w takich historiach bywa, każdy z bohaterów miał jakąś unikatową zdolność, która najlepiej sprawdzała się, gdy wzmocniona została talentami pozostałych. Razem byli niepokonani i nie potrzebowali zwykle więcej niż dwieście stron, by rozwiązać każdą zagadkę.

Czytałem te książeczki – i masę im podobnych, u nas chociażby Niziurskiego czy Bahdaja – i marzyłem o byciu członkiem – nie, precz skromności, szefem! – takiego klubu. Młodości, dodaj mi skrzydła, spraw kryminalnych i oranzady! Opowiadanie, które zaraz przeczytacie, pokazuje wyraźnie, że Ania miała tak samo. Co więcej, zakładając, że to tekst całkiem nowy, podejrzewam, że nadal tak ma i cały czas w niej to siedzi.

I tu docieramy do pytania, które sobie zadałem – przy okazji wstępu do opowiadania *Szczęścia i wszelkiej pomyślności* – a na które właśnie dostałem odpowiedź. Zastanawiałem się wtedy, czy te wiarygodne dzieciaki z jej tekstu to sprytna sztuczka pisarska, czy jednak w jakiś sposób poznamy tam małą Anię – no dobra, młodszą,

bo przecież nie ma kogoś takiego jak duża Ania Kańtoch. Gdy przeczytacie to opowiadanie, Wy również nie będziecie mieli wątpliwości.

Na wypadek jednak, gdyby obudziły się w Was wewnętrzne dzieciaki i też chciały założyć klub, informuję, że koleżanka Kańtoch jest już w mojej bandzie, tfu, tfu, zaklepane i kto się z tym nie zgadza, dostanie fangę w nos!

To rzekłszy, odsyłam do tekstu. Bawcie się jak najlepiej!

# Miasteczko

*Wszystkim, którzy dorastali w latach osiemdziesiątych*

*pomieszczeniu panuje ciemność rozjaśniona jedynie blaskiem plazmowego ekranu. Wyświetlone na nim zdjęcie przedstawia ciemnowłosą dziewczynkę.*

*– Są w tym wieku takie urocze, prawda, panie Nowak? – mówi człowiek, który z całą pewnością uroczy nie jest. To starzec o skórze gładkiej dzięki liftingowi i wypielęgnowanych dłoniach, których biel zdaje się niemal błyszczeć w półmroku. Z daleka mógłby uchodzić za mężczyznę w sile wieku, z bliska jednak jego twarz przypomina maskę posypaną mąką, a starość widać w oczach: zmęczonych i wypłukanych z barw. – Ach, dzieciństwo... Czas od szóstego do dwunastego roku życia to najpiękniejsze lata każdego chłopca. I dziewczynki, oczywiście, też. Jak one rozkwitają pod koniec tego okresu! Ich cycuszki są wtedy takie słodkie. Ten moment, kiedy wiatr klei im do piersi cienki materiał sukienki, każdy z nas pamięta to z dzieciństwa.*

*– Nie sądzę, żeby miał pan wiele okazji do obserwowania takich chwil.  
– Jan Nowak stara się, żeby jego głos nie zabrzmiał zbyt sucho.*

*Klient to klient, a kimże on jest, żeby oceniać cudzy gust? W końcu każdy chce przeżyć ostatnie lata we względnym szczęściu.*

*– Pokażcie mi tę samą dziewczynkę, tylko starszą.*

*Obraz na ekranie zmienia się, rysy ciemnowłosej dziewczynki z kucykiem tracą dziecięcą miękkość, sylwetka wyciąga się, a koszulka ujawnia zarys niewielkich piersi.*

*– Teraz ma dwanaście lat – mówi Nowak. – Kontynuować?*

*Mężczyzna o białych dłoniach przez chwilę charakterystycznym gestem gładzi dolną wargę, aż wreszcie zdecydowanie potrząsa głową.*

*– Nie. To nie ma znaczenia, ona przecież nigdy nie będzie starsza, prawda?*

*– Nie, raczej nie. – Jan Nowak jednym przyciskiem utrwala na ekranie nową wersję, a potem, ponieważ mimo wszystko jest uczciwym*

*człowiekiem, mówi: – Nie może pan mieć pewności, że tak będzie wyglądała. Dobry zestaw genów to jedno, ale istnieją inne czynniki. Wypadki, nieszczęśliwy splot okoliczności. Możliwe też, że przeoczyliśmy jakiś drobiazg...*

*– Zaryzykuję – mruczy mężczyzna o białych dłoniach, wciąż patrząc na ciemnowłosą dwunastolatkę. Jego ręka znów wędruje do dolnej wargi, po czym zaczyna skubać ją i masować. Myśli. Dziewczyna z kucykiem jest ładna w pewien konwencjonalny sposób, który zawsze mu się podobał, jednak w tej twarzy lalki czegoś brakuje, intensywnie zielone oczy wyglądają jak namalowane i są puste, bez śladu myśli.*

*Mężczyzna wie, że jego zadaniem będzie wypełnić te oczy życiem.*

\*\*\*

Justyna z wrzaskiem usiadła na łóżku. Znów miała straszny sen. Przez chwilę nasłuchiwała w ciemności, czy nie obudziła przypadkiem rodziców, ale nie – w całym domu panowała cisza. A może tak na prawdę wcale nie krzyczała, może krzyk też jej się przyśnił? Żałowała, że nikt nie przybiegł jej przytulić; mrok, wieczorem jeszcze przyjazny, teraz wyciągał po nią złowrogie, utkane z czerni macki...

No dobra, z tymi mackami to trochę przegiąłem, nie? Ale chciałem stworzyć trochę mrocznego nastroju, wicie, jak z opowiadań Lovecrafta.

I znowu zapomniałem, czy pisze się „naprawdę”, czy może „na prawdę”? Nauczycielka w szkole ciągle mi to wypomina. Mówi, że mam bardzo duży zasób słów jak na dwunastolatka, ale pisownia łącznie – rozłącznie to moja pięta achillesowa. Dlatego staram się codziennie ćwiczyć.

Nazywam się Adam Podgórski i kiedy dorosnę, zostanę pisarzem.

Zostanę pisarzem i opiszę w książce tę historię z Janem Nowakiem i bunkrem w lesie. To dobra opowieść, bo jest w niej wszystko, co powinno być w porządnym kryminale, czyli tajemnica, morderca, trup i oczywiście my, dzielni detektywi.

Rany, aż dreszcz mnie przechodzi na samo wspomnienie...

Wszystko zaczęło się wczoraj, kiedy Justyna, moja kuzynka

i sąsiadka, miała sen, w którym pojawili się Karolina i Jan Nowak.

Nowak to nasz miejscowy menel, jeden z tych, co wystają pod spożywczaikiem, żebrząc o parę złotych na piwo. Dorośli czasem dają im z litości pieniądze, a potem mówią, żebyśmy my, dzieci, trzymali się od takich ludzi z daleka – i niekiedy dodają też, że jeśli nie będziemy się uczyć, skończymy tak samo.

Przynajmniej jeszcze do niedawna myśleliśmy, że to taki właśnie zwykły menel.

Zacznę jednak od początku, czyli od Justyny, która przybiegła – a raczej przyczłapała – do mnie i zziębnięta opadła na kanapę. Twarz miała czerwoną jak dojrzały pomidor, a pod pachami wielkie plamy potu. Bo (naprawdę głupio to pisać) moja kuzynka przypomina świątecznego prosiaka. Dawniej wyglądała zupełnie inaczej. Kiedy oboje zaczynaliśmy podstawówkę, mogłem policzyć jej wszystkie żebra, taka była chuda. Chciała zostać baletnicą i wszędzie, nawet do szkoły, chodziła w tych śmiesznych sztywnych spódniczkach, jakie nosi się na scenie. Na przerwach tańczyła i skakała, a wszystkie nauczycielki się nią zachwycaly, wiecie, że niby jest śliczna jak mały elfik albo wróżka. I zawsze dawały jej więcej pączków, landrynek oraz gum z Kaczorem Donaldem niż mnie, o co, przyznaję, byłem nawet trochę zazdrosny. Jednak los okazał się sprawiedliwy, bo Justyna strasznie od tych wszystkich słodczy obrosła tłuszczem. Teraz baletowa spódniczka zmieściłaby się jej najwyżej na jedną grubą nogę. Mimo to moja kuzynka jest w porządku. Nigdy nie narzeka, kiedy idziemy szybko, a ona wlecze się za nami z tyłu, ani nawet nie ma za bardzo pretensji do chłopaków, którzy czasem się z niej nabijają. To dobry kumpel. Dlatego, gdy już zwała się cała spocona na kanapę na werandzie, zaraz podsunąłem jej własną szklankę oranżady, do połowy jeszcze pełną, choć już bez bąbelków.

Wypiła jednym haustem i wreszcie odzyskała głos.

– Nie uwierzysz, co mi się śniło – wysapała.

– Co takiego? – zainteresowałem się. Tak normalnie wcale nie byłbym ciekawy, bo co mnie obchodzą dziewczynskie sny, ale tu chodziło o Justynę, a ona jest... inna. Kiedyś, jeszcze w czwartej klasie, przyśniło jej się, że pani Gruszka, nasza nauczycielka od

polskiego, zginęła w wypadku, i faktycznie – nie minął tydzień, jak całą szkołą szliśmy na pogrzeb.

– Nowak, wiesz, ten, który wynajmuje pokój u starej Bresiowej, i Karolina. On i jakiś drugi facet chcieli jej zrobić krzywdę!

– Jak to zrobić krzywdę? – Teraz już się zaniepokoiłem.

Karolina jest najładniejszą dziewczyną w klasie. Z drugiej strony ten niepokój nie był jakiś duży: Karolina jest też dziewczyną, która zdecydowanie potrafi sobie radzić. Prawdę powiedziawszy, pod wieloma względami przypomina chłopaka.

– No, tamten drugi patrzył na jej zdjęcie i miał taką minę, jakby gapił się na porcję lodów.

Porcja lodów w świecie Justyny jest symbolem tego, co najbardziej pożądane, dlatego zaniepokoiłem się trochę bardziej.

– Myślisz, że to jakiś zbok?

– Chyba tak, nie?

O rany. Pomyślałem o matce, która ostrzegała mnie, żebym nie brał od nieznamomych cukierków i takie tam. To było parę lat temu, jak zaczynałem chodzić do szkoły. Teraz byłem już oczywiście za duży, żeby skusić się na słodycze, a gdybym kiedyś spotkał zbrojeńca, zaraz kopnąłbym go w jaja.

– Nowak może być facetem, który porywa dziewczyny dla takich zbrojeńców. – Puściłem wodze fantazji. – Pewnie płacą mu, żeby mógł potem pić.

Justyna skinęła głową.

– Zwołamy naradę i przemyślimy to – oznajmiłem, bo najwyraźniej czekała na moją decyzję. – Chcesz trochę ciasta? Mama wczoraj upiekła.

Oblizła się, oczy jej zabłyśły.

– Z jagodami?

– No.

– Jasne, że chcę.

Poczułem się jak najbardziej wredny człowiek świata, ale Justyna wyglądała tak zabawnie, kiedy pakuje sobie ciasto do ust.

Pobiegłem do kuchni, gdzie krzątała się moja mama. Pachniało już obiadem – chyba zupą koperkową, ale nie jestem pewny, równie

dobrze mogły to być po prostu ziemniaki z koperkowym sosem. W każdym razie zapach był super. Moja mama gotuje najlepiej na świecie, mówię wam.

– Justyna przyszła? – zapytała.

– Nie – skłamałem. – Karolina. Wezmę dla niej trochę ciasta.

Justynie nie wolno jeść słodyczy i mama świetnie o tym wie.

– Tylko nie bierz za dużo, bo potem nie będziecie chcieli obiadu – ostrzegła.

Wróciłem na werandę, gdzie moja kuzynka wbiła zęby w ciasto jagodowe, jakby od miesiąca niczego nie miała w ustach.

– Musimy coś wymyślić – wymamrotała. Brzmiało to jak: „Muhimu coh wyhyhlih”.

Skinałem głową. Justyna oczywiście miała rację. Muhimu coh wyhyhlih.

\*\*\*

Zebraliśmy się w naszym stałym miejscu, za szopą na drewno pana Szolca. My, czyli ja, Justyna, Karolina, Jarek i jego młodszy brat, Paweł. Mówiłem wam już, że Karolina to najładniejsza dziewczyna w klasie? Myliłem się – nie tylko w klasie, ale nawet w szkole, może nawet na całym świecie. Ładniejsza niż Samantha Fox, której plakaty wiszą w moim pokoju, i niż Jessica Lange, czyli ulubiona aktorka Jarka. Ma najbardziej zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Mają kolor bladej strony letnich liści, wiecie, tej spodniej, którą widać czasem, kiedy mocniej zawieje wiatr (fajne porównanie mi wyszło, nie?). Włosy nosi związane w kucyk, jest szczupła, ma długie nogi i no... w ogóle jest śliczna, tak że nie można oderwać od niej oczu. Dziś miała na sobie koszulkę bez rękawów i sandały z cienkich paseczków, pomiędzy którymi widać było opalone stopy. Siedząc na samym szczycie stosu drewna, machała nogami i od czasu do czasu odchyłała się do tyłu, żeby złapać na twarz trochę słońca. Z nosa schodziła jej skóra, ale Karolina nie wydawała się przez to ani trochę brzydsza.

Niżej usadowili się Jarek i Paweł. Jarek jest wysoki, chudy i ma

końską twarz pasującą do papierosa, którym się zaciągał, jakby miał dwadzieścia lat, a nie dwanaście. Ja raz próbowałem palić i od razu zrobiło mi się niedobrze, dlatego potrząsałem głową, kiedy podsunął mi otwartą paczkę.

– Matka wyczuje – powiedziałem. – Ona ma nos jak pies tropiący. Wymówka dobra jak każda inna.

Wzruszył ramionami i zaciągnął się jeszcze raz. Jarek nie tylko wygląda bardzo dorośle, ale jest też strasznie inteligentny. W przyszłości chce zostać detektywem i już ćwiczy dedukowanie z różnych rzeczy. To jego pomysłem było założenie Klubu Młodych Detektywów, który działa od początku czerwca. Mieliśmy już kilka spraw i jedną nawet udało nam się rozwiązać, bo dowiedzieliśmy się, że to wnuczek naszej woźnej zabrał pięćdziesiąt złotych z szuflady w pokoju nauczycielskim (nie wymagało to po prawdzie żadnej dedukcji, tylko solidnego przyciśnięcia chłopaka w szkolnym kiblu). Ale to były drobiazgi. Teraz szykowało się prawdziwe śledztwo.

A, byłbym zapomniał, oczywiście jest jeszcze Paweł, ale on to wiadomo – młodszy brat, który trzyma z nami tylko dlatego, że Jarek mu pozwala, i właściwie się nie liczy. Trochę dziwny dzieciak, wiecie, taki, który ciągle opowiada jakieś głupoty. Na przykład o latającym nad miastem UFO albo o żołnierzach jak z amerykańskiego filmu SF, którzy czają się w lesie. Naprawdę mógłby już z tego wyrosnąć, w końcu w tym roku po wakacjach pójdzie do czwartej klasy.

– Macie jakieś wiadomości od Agnieszki? – poczułem się w obowiązku zapytać.

Od tygodnia nasze miasteczko żyło zniknięciem starszej siostry Jarka i Pawła. Jedni twierdzili, że uciekła nad morze z jakimś obwieszonym złotem facetem, inni, że pojechała do Warszawy robić karierę w filmie. To ostatnie brzmiało o tyle prawdopodobnie, że Agnieszka jest całkiem ładna, nie tak jak Karolina oczywiście, ale jednak. I ma fajne cycki – wiem, bo na początku lata podglądaliśmy ją z Jarkiem, kiedy przebierała się przy oknie. Raz nas przyłapała i potem już zawsze pamiętała, żeby zaciągać zasłony.

– Nie. – Jarek pokręcił głową. – Matka strasznie się tym gryzie, ojciec zresztą też. Milicja obiecała, że będą jej szukać, ale tak



naprawdę chyba za bardzo im nie zależy. Oni też myślą, że z kimś uciekła.

Nie pytałem, co on myśli, bo doskonale to wiedziałem. Jarek i Paweł byli jedynymi w miasteczku osobami, które uważały, że Agnieszka nie uciekła, tylko została porwana. Paweł wszystkim opowiada, że widział, jak nocą zabiera ją pojazd kształtem przypominający pocisk. Ten jeżdżący zawsze po zmroku dziwny samochód to taka krążąca wśród miejscowych dzieciaków legenda – niby że zjawia się po ciebie, a ty znikasz bez śladu. Czasem porwani wracają po jakimś czasie, a czasem nie. Straszylśmy się tą opowieścią, gdy byliśmy w wieku Pawła. Teraz śmiejemy się z takiego gadania, ale kiedy Agnieszka przepadła bez wieści, Jarek chyba po raz pierwszy w życiu uwierzył bratu. Nie do końca, oczywiście, bo uważa, że dziwnym samochodem jeździ zwyczajny człowiek, a nie żaden duch, jak głosi legenda.

Ja nie wiem, czy wierzę w porwanie. Z jednej strony to byłoby niewątpliwie bardziej ekscytujące, wiecie, jak z książek albo kina, ale z drugiej, tak na logikę, ucieczka wydaje się jednak bardziej prawdopodobna. Czasem, gdy zamykam oczy, wyobrażam sobie Agnieszkę w kostiumie kąpielowym na plaży albo w eleganckiej sukni na planie filmu. Jeśli naprawdę zdołała się stąd wyrwać, trochę jej zazdroszczę. Ja nigdy dotąd nie wyjeżdżałem. Po prawdzie nikt z nas nigdzie nie wyjeżdżał. Nasze miasteczko leży daleko od innych, „zagubione w lasach”, jak mawia mój tata. Kiedyś, jeszcze przed moim urodzeniem, była tu stacja kolejowa, ale teraz mamy już tylko autobus, który dwa razy dziennie odjeżdża do Rzeszowa i dalej. Jarek raz, kiedy pokłócił się z rodzicami, chciał nim uciec w świat, ale zasnął, gdy tylko wsiadł, i w rezultacie po paru godzinach znalazł się z powrotem w miasteczku. Strasznie się z niego wtedy śmialiśmy.

Bardzo chciałbym pojechać gdzieś daleko. Czasem spędzamy długie godziny, dyskutując, dokąd się wybierzemy, kiedy już będziemy dorośli i bogaci. Jarek pojedzie do Hiszpanii, ja do Indii (kojarzą mi się najbardziej egzotycznie, a poza tym bardzo chcę zobaczyć chodzące po ulicach święte krowy), natomiast Karolina ma w swoim pokoju wielką mapę świata z zaznaczonymi szpilkami miejscami,

które zamierza kiedyś odwiedzić. Jest ich chyba ze czterdzieści, jeśli nie więcej. Życia jej nie starczy, żeby to wszystko zobaczyć.

Ale miałem pisać o Nowaku, prawda? Już do niego wracam.

– Idioci. – Jarek tymczasem parsknął z pogardą pod adresem naszej milicji. – Gdybym był prawdziwym detektywem, zaraz bym ją znalazł.

– Wcale byś nie znalazł, bo się zepsuła – oznajmił ni stąd, ni zowąd Paweł, na co Jarek trzepnął go w tył głowy.

– Ludzie się nie psują, debilu.

– Zepsuła się, sam widziałem – upierał się mały, po czym zachichotał, jakby to był świetny żart, i zaczął wyśpiewywać. – Śrubki z niej wyyypaaadłyyy.

No nie mówiłem? Czysty głupek.

– Musimy się zastanowić, co robimy z Jankiem Nowakiem. – Justyna, jak zawsze najrozsądniejsza, sprowadziła rozmowę na właściwy temat.

– Wcale się nie boję! – Karolina zeskoczyła ze sterty drewna. – Niech tylko spróbuje położyć na mnie swoje wstrętne, śmierdzące łapska, to zaraz dostanie w zęby. – Tu wykonała kilka zgrabnych wymachów w stylu Bruce’a Lee. Naprawdę byłem pod wrażeniem.

– A co z innymi dziewczynami? – argumentowała Justyna. – Bo wiecie, jak on czai się na Karolinę, to może też na inne dziewczyny? Takie, które nie potrafią się bić?

– To jest myśl. – Jarkowi zabłyśły oczy. – Może były już takie przypadki, że złapał kogoś i oddał tamtemu zboczeńcowi za flaszkę piwa.

– Wtedy byśmy o tym słyszeli... – Justyna nagle zrobiła się sceptyczna, ale ja zaraz znalazłem odpowiedź.

– W małych miasteczkach ludzie ukrywają swój wstyd. – To był chyba cytat z jakiejś książki, nie pamiętam jakiej, ale podobał mi się. – Poza tym – dodałem już od siebie – sama przecież mówiłaś, że Nowak jest niebezpieczny.

– Nooo... – Zakłopotana się.

Karolina przez chwilę pocierała dolną wargę – zawsze tak robi, kiedy się nad czymś zastanawia.

– Musimy się przyjrzeć bliżej temu Nowakowi – oznajmiła

wreszcie. – Kto jest za?

Wszyscy byli.

\*\*\*

Po trzeciej wróciłem do domu na obiad. Moja młodsza siostra (rok i cztery miesiące, naprawdę paskudny dzieciak) siedziała już przy stole w wysokim krzeselku, a mama rozkładała sztuce.

– Umyj ręce – rzuciła. – Zaraz będziemy jeść.

Tato zjawił się jak w zegarku dwie minuty później. Słyszałem, jak w przedpokoju zdejmuje buty, narzeka na upał i całuje na dzień dobry mamę. Tato pracuje w Zakładach Przetwórstwa Drzewnego, tam gdzie ojcowie większości moich kolegów. Jest szefem pierwszej zmiany i dlatego wstaje o świcie, zanim ja, mama czy Monika zdążymy się obudzić, ale za to wraca wcześniej. Nie tak jak ojciec Jarka i Pawła, który czasem przychodzi do domu dopiero po szóstej.

Na obiad były klopsiki i ziemniaki w koperkowym sosie (wcześniej dobrze zjadłem), a na deser lody truskawkowe. Słowo daję, Justyna popełniłaby morderstwo, żeby je zdobyć. Myślałem o tym, jedząc i przysłuchując się, jak tato opowiada, co tam nowego w zakładzie. Był dziś w świetnym humorze – może dlatego, że jego załozde dobrze szło w pracy, a może dlatego, że Monika dziś wyjątkowo nie grymasiła przy obiedzie. Albo – to mi też wpadło do głowy – uśmiechał się tak, bo mama w nowej sukience wyglądała dziś strasznie ładnie, zupełnie jak młoda dziewczyna, a tacie na jej widok świeciły się oczy.

Bleee, wcale nie miałem ochoty na to patrzeć.

Przynajmniej jednak ich dobry humor sprawił, że nie mieli nic przeciwko, kiedy po obiedzie znowu wymknąłem się z domu. Mama próbowała, co prawda, protestować, mówiąc, że więcej mnie nie ma, niż jestem, ale tato stanął po mojej stronie.

– Daj spokój – powiedział. – To ostatnie dni wakacji, jeszcze się w domu i w szkole nasiedzi.

Gdy wyprowadzałem rower, przypomniałem sobie jego słowa i zrobiło mi się trochę smutno. Faktycznie, na gałęziach wisały już

gdzieniegdzie brązowe liście, a wieczory były chłodne – nie tak jak w lipcu, kiedy można biegać w krótkim rękawku aż do nocy. Niedługo pójdę do szkoły, myślałem. Szósta klasa. Wcześniej pod koniec wakacji zawsze już trochę tęskniłem do nauki i zdarzało się nawet, że z ciekawości przeglądałem podręczniki na następny rok. Jednak tego lata nawet nie zajrzałem do pachnących świeżością, nowiutkich książek, które od tygodnia spoczywają w mojej szafce wraz z kompletem zeszytów i drewnianym piórnikiem – prezentem od taty. Szkoda, że wakacje trwają tak krótko, pomyślałem i zacząłem się zastanawiać, jak to jest, kiedy nie chodzi się do szkoły. Zanim mama zapisała mnie do zerówki, mogłem przez cały dzień robić, co chcę, ale nic z tamtych czasów nie pamiętam. Zupełnie jak Jarek, Karolina i Justyna – zgadaliśmy się pewnego dnia i okazało się, że nasze pierwsze wspomnienie jest takie samo: bal przebierańców, kiedy mieliśmy po sześć lat. Może właśnie tamten dzień sprawił, że zostaliśmy kumplami?

Wskoczyłem na siodełko, gdy tylko zniknąłem między drzewami i mama nie mogła mnie już widzieć z okna kuchni. Bo widzicie, dzielnica, w której mieszkamy ja i Justyna, leży na porośniętym świerkami wzgórzu, tak wysokim, że widać całą okolicę, jeśli tylko człowiek wdrapie się na dach dowolnego domu. Wszystkie tutejsze dzieciaki mają surowo przykazane, żeby nie zjeżdżać z górki przez las, bo to bardzo niebezpieczne – za stromo i pełno tu wystających korzeni. Justyna zawsze sprowadza rower i wsiada dopiero na dole, ale ja...

Moi rodzice to naprawdę fajni ludzie i bardzo ich lubię, ale dopiero chłopaki by się ze mnie śmiały, gdyby wiedzieli, że słucham starych w takich sprawach.

Puściłem się więc z górki przez las. Rany, ale trzęsło! Mało języka sobie nie odgryzłem. Rower podskakiwał na korzeniach, a ja ścisnąłem kierownicę. Drzewa przelatowały z boku tak prędko, że prawie zlewały się ze sobą, widziałem tylko pasma brązowego i zielonego tam, gdzie były krzaki. Wiatr świszczął mi w uszach. W końcu rower podskoczył jeszcze parę razy i wypadł z cienia na asfaltową drogę. Siłą rozpędu przejechałem jeszcze kilkanaście

metrów, a potem zacząłem pedałować. No dobra, mogę przyznać – trochę mi ulżyło. Mam stracha jeździć przez las, odkąd wywaliłem się tam w zeszłe wakacje. Całe kolano miałem rozbite, aż w naszej przychodni musieli mi założyć trzy szwy. O skórze zdartej z rąk i pleców nawet nie wspominam. Do dziś jest mi wstyd na wspomnienie tego, że ryczałem wtedy jak dzieciak.

Naciskając mocniej pedały, zastanawiałem się, czemu nie mogę być taki jak mój ojciec. Kiedyś – ze dwa lata temu – podejrziałem, jak przypadkiem upuścił sobie siekierę na stopę przy rąbaniu drewna. Spadła ostrzem w dół i wbiła się naprawdę porządnie, a on nie krzyknął ani nawet się nie skrzywił. I wcale nie kulał, kiedy szedł do domu. Dopiero, kiedy mnie zobaczył, a ja zapytałem, czy musi jechać do lekarza, przyznał, że go boli – potem już trochę utykał, pewnie po to, żeby mi zrobić przyjemność. Wiecie, żebym nie musiał czuć się źle, bo sam nie jestem taki dzielny.

Tamtego dnia naprawdę byłem strasznie dumny z mojego taty.

Rozmyślając tak, dojechałem aż na rynek. Nie jest on jakoś przesadnie imponujący – ot, skrzyżowanie głównych dróg, przy którym stoi kilka najważniejszych budynków naszego miasteczka, a więc ratusz, kościół, kino Jutrzenka oraz to, co nas interesowało w tej chwili, czyli spożywczak U Wandy.

Pod Wandą zbierają się miejscowi menele, w tym i Jan Nowak. O, właśnie go zobaczyłem. Wyszedł ze sklepu z otwartą butelką piwa w garści i przysiadł sobie na schodkach. Gębę jak zawsze miał nieogoloną, nie czesał się chyba od zeszłego miesiąca, a na jego wytartej kraciastej koszuli widać było brązowe i zielone plamy, jak od błota i trawy. Beknął i wlał sobie naraz do gardła chyba z pół butelki.

Chwilę potem obok mnie zahamowały rowery Jarka i Pawła. Bracia zeskoczyli, po czym już w trójkę usiedliśmy na skwerku przed kościołem, tak żeby mieć oko na Nowaka, a jednocześnie nie zwracać na siebie uwagi.

Jarek poklepał plecak, który trzymał na kolanach.

– Mam krótkofalówki – powiedział. – Teraz możemy go bez problemu śledzić.

Krótkofalówki były gwiazdkowym prezentem dla obu braci, ale

używalimy ich najczęściej ja i Jarek. Bo co taki Paweł miałby wiedzieć o pracy prawdziwego detektywa?

Wziąłem jedną, nie zwracając uwagi na rozżalone spojrzenie małego, i pokręciłem gałką. Z głośnika wydobyło się lekkie trzeszczenie, co znaczyło, że urządzenie działa.

– Czekamy jeszcze na dziewczyny? – zapytałem.

– Jasne. – Jarek zmrużył oczy, bo słońce świeciło mu prosto w twarz. – Zresztą on i tak pewnie prędko stąd nie pójdzie.

On, czyli Nowak, wygrzebał z kieszeni podartych portek zabłąkane grosze, po czym wrócił do sklepu po jeszcze jedną butelkę piwa. Chwilę później tkwił znów na schodkach i faktycznie zanosilo się na to, że będzie tak siedział do wieczora albo i dłużej.

Rozmowa zesłała nam, jak zawsze ostatnimi dniami, na Agnieszkę.

– Naprawdę myślisz, że ktoś ją porwał? – zagadnąłem z lekką obawą. Jarek nie lubił, kiedy podważało się jego teorie. – Może rzeczywiście wyjechała?

– Nie wyjechałaby bez słowa – oburzył się. – Przecież ją znam, nie? Poza tym nie zostawiłaby tego swojego faceta. Miała na jego punkcie obsesję, mówię ci. Wieczorem przed nocą, kiedy zniknęła, stała przy oknie i powtarzała jego imię, zupełnie jakby płyta się jej zacięła. Rafał, Rafał i tak w kółko.

– Ale oni przecież zerwali ze sobą jakoś na początku wakacji?

– Wcale nie, bo potem ciągle jeszcze do nas przyłaził.

– Agnieszka chodziła też do niego – wtrącił niespodziewanie Paweł.

– Kiedy wszyscy myśleli, że jest w szkole.

– Masz na myśli przed wakacjami? – Jarek zmarszczył brwi. – Coś zmyślasz, wtedy Rafał i Agnieszka byli w Rzeszowie.

Agnieszka studiuje tam i mieszka przez większość roku. Musi, jeśli się chce dalej uczyć, bo my mamy tylko podstawówkę. Kiedyś było jeszcze liceum, ale je zamknęli. W naszym miasteczku jest mnóstwo dzieciaków w naszym wieku albo trochę młodszych, ale poza tym same maluchy, no i dorośli, jak nasi rodzice albo Agnieszka. Nikogo, kto miałby piętnaście czy szesnaście lat.

– Musiała wrócić, bo ich razem widziałem – upierał się Paweł. – To było zaraz po tym, jak miałem urodziny.

Czyli na początku czerwca, pomyślałem. Agnieszka zdecydowanie powinna być wtedy w Rzeszowie. Wróciła ukradkiem, żeby spotkać się ze swoim chłopakiem? Ale nie, bez sensu, przecież Rafał też studiuje... Nic z tego nie rozumiałem.

– Śledziłeś Agnieszkę? – zapytał tymczasem Jarek.

– Śledziłem – przyznał z dumą Paweł. – Jestem przecież Młodym Detektywem.

Jarek trzepnął go w tył głowy.

– To znaczy, że masz śledzić przestępców, a nie swoje rodzeństwo, głupi gówniarzu. – Po czym dodał: – Opowiedz wszystko porządnie od początku.

Mały aż się cały nadał z poczucia własnej ważności.

– Przechodziłem koło domu Rafała, no i wszedłem do ogrodu przez płot, bo wiecie...

Wiedzieliśmy – rodzice Rafała hodują najlepsze truskawki w miasteczku.

– I wtedy ją zobaczyłem. To znaczy ich wszystkich, nie? Agnieszkę, Rafała i Ulkę od Szczęsnych, i tego piegowatego, co ma kręcone włosy i śmieje się tak śmiesznie, jakby świnia chrząkała, i jego siostrę...

O rany, mały wymieniał wszystkich, którzy studiują w Rzeszowie. Jakieś masowe wagary czy jak? Ale czemu rodzice Rafała mieliby się zgadzać, żeby całe to towarzystwo siedziało u nich w domu?

Nie, to zdecydowanie nie miało sensu.

Jarek musiał pomyśleć to samo, bo zmarszczył brwi.

– I co oni wszyscy robili?

– Nic. – Mały zakłopotał się.

– Nic? Tak po prostu nic?

– No nic.

– Chcesz powiedzieć, że siedzieli i patrzyli na siebie?

– No. Zupełnie bez ruchu. Ani drgnęli.

Jarek zaśmiał się, ja też. Gdyby Paweł powiedział, że Agnieszka i jej koledzy palili papierosy, pili wino albo coś w tym rodzaju, to może byśmy nawet uwierzyli. Ale żeby siedzieć nieruchomo i gapić się na siebie? Widocznie małemu zabrakło wyobraźni – wymyślił całą tę historyjkę z Agnieszką i jej kolegami wracającymi ukradkiem, ale

już nie miał pomysłu na to, jak pociągnąć ją dalej.

Śmiałyśmy się i śmialiśmy, a Paweł aż poczerwieniał z oburzenia, co tylko rozbawiło nas jeszcze bardziej.

– Ani drgnęli. – Jarek chichotał niczym wariat.

Tak się zagadaliśmy, że żaden z nas nie zauważył, jak obok ławki pojawiły się dziewczyny.

– Czy wy nie mieliście przypadkiem śledzić Nowaka? – zapytała Karolina z tym swoim uśmiechem, który zawsze sprawia, że zaczynam czuć się nieswojo. Wiecie, jak ktoś, kto ma wrażenie, że zapomniał o czymś cholernie ważnym – na przykład, że rodzice dziś wcześniej wracają do domu, a wy akurat jesteście w połowie przerabiania stołu w salonie na czołg dla czterech pancernych.

Rzuciłem pośpieszne spojrzenie w stronę Nowaka, Jarek zrobił to samo.

O cholera!

Nasz obiekt zniknął właśnie u wylotu ulicy prowadzącej w stronę szkoły.

– Widzisz, co narobiłeś? – Biedny Paweł raz jeszcze oberwał po głowie.

Tym razem rozryczał się na dobre, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Popędziliśmy za Nowakiem, a ja już w biegu włączyłem krótkofalówkę.

– Widzisz go? Odbiór.

– Widzę, idzie w stronę szkoły. Trzymamy się z tyłu. Pamiętaj, nie może nas zauważyć. Bez odbioru.

– Idzicie dwa kroki od siebie, naprawdę moglibyście porozmawiać normalnie – odezwała się Justyna.

Nie odpowiedziałem, rzuciłem jej tylko spojrzenie, które jak sądziłem, mówiło wszystko. Po prostu była zazdrosna, że sama nie ma krótkofalówki. Z dziewczynami to tak zawsze.

Tymczasem nasz obiekt minął szkołę i szedł dalej. Śledziliśmy go, przez cały czas utrzymując odpowiedni dystans jak prawdziwi detektywi. Chyba nas nie zauważył, choć ludzie czasem odwracali się za nami ze zdziwieniem. O mało nie wpadliśmy przy cukierni, kiedy



Nowak zatrzymał się niespodziewanie i zagapił na wystawę, gdzie królowały kolorowe torty.

Stłoczyliśmy się za rogiem.

– I co?

– Nie wbijaj mi łokcia w bok, idioto!

– Czekaście, wyjrzę...

– I jak? Dalej tam stoi?

– O cholera...

– Co?

– Chyba mnie widział!

– E tam, jest za bardzo zalany, żeby zwracać na nas uwagę. – Justyna wzruszyła ramionami.

Po chwili Nowak ruszył dalej. Szedł dość prosto, trzeba przyznać, ale wolno, powłócząc nogami i kiwając się od czasu do czasu. Justyna miała rację: te wszystkie piwa chyba już nieźle zaszkodziły mu na głowę i nie musieliśmy się za bardzo bać, że nas zauważy.

– Dokąd on idzie? – zapytał Jarek, zapominając chwilowo, że mamy krótkofalówkę.

– Do lasu. – Justyna domyśliła się pierwsza.

Faktycznie, Nowak minął zakład stolarski pana Brydy i skręcił w boczną drogę, na której szybko skończył się asfalt. Ludzi też nie było, tylko wznoszące się po jednej i drugiej strony stare domy z zabitymi deskami oknami. Musieliśmy zwolnić, bo ulica biegła prosto jak strzełił i nie było się gdzie ukryć.

– Po co on tam idzie? – Mimo że byliśmy naprawdę daleko, Karolina zniżyła głos. – Myślicie, że w lesie trzyma dziewczyny, które porywa?

Ta myśl wszystkim nam się spodobała (z wyjątkiem Justyny, która chyba chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie nie powiedziała). Bo w końcu czy jest lepsze miejsce dla ofiary porwania niż las?

– Szybciej, zaraz go zgubimy! – pogoniła nas Karolina, gdy Nowak zniknął między drzewami.

Zaczęliśmy biec.

– Rozdzielamy się! – wrzasnął Jarek, kiedy wpadliśmy do lasu. – Ja i Karolina idziemy w lewo, a Adam i reszta w prawo. Jak ktoś

zobaczy Nowaka, ma natychmiast meldować.

Czemu ja mam iść z Justyną i Pawłem, a Jarek z Karoliną? – pomyślałem buntowniczo, ale jakoś zabrakło mi odwagi, żeby coś powiedzieć. Jarek to szef naszego klubu i dlatego wszyscy go słuchamy. Nawet Karolina rzadko mu się sprzeciwia.

– Widzicie go?

Podniosłem krótkofalówkę do ust.

– Nie, a wy?

– Też nie. Cholera, gdzie ten facet mógł poleżeć?

Kręciliśmy się po lesie jeszcze przez jakiś czas, ale z coraz mniejszym entuzjazmem. Wreszcie Paweł przysiadł na pniu ściętego drzewa, a Justyna zaczęła objadać się jagodami.

Wyglądało na to, że zgubiliśmy Nowaka na dobre.

Wtedy usłyszałem dobiegający gdzieś z przodu szelest. Serce na moment zabiło mi nadzieją. Nowak? Ale nie, to nie mógł być on – Nowak chodził wolno, szurając nogami, a ten, kto zbliżał się do nas, szedł znacznie szybszym i lżejszym krokiem i chyba nawet... podskakiwał?

Wkrótce spomiędzy drzew wynurzyła się dziesięcioletnia dziewczynka z jasnymi włosami splecionymi w warkocze. Poznałem ją – to była wnuczka pani Bresiovej, u której Nowak wynajmował pokój. Zapomniałem, jak miała na imię... Kasia? W ręku niosła koszyk, którym wymachiwała, nucąc przy tym cicho.

Minęła nas bez słowa i zniknęła, jakby las ją połknął.

\*\*\*

– Chodźmy do kina – zaproponował Jarek, kiedy pełni poczucia klęski staliśmy znowu na rynku. Wcześniej obserwowaliśmy jeszcze dom Nowaka, a potem po prostu siedzieliśmy na skwerku przed kościołem i gadaliśmy. Tak minęły dwie godziny, teraz była prawie siódma. – Grają *Mgłę*.

Widzieliśmy to już kilka razy, ale ciągle nie mieliśmy dość. To był nasz ulubiony film.

– Czemu nie – zgodziła się niedbale Karolina.

– Moglibyśmy wrócić pod dom Nowaka, w końcu prędzej czy później tam przyjdzie – zaproponowałem, ale Karolina wzruszyła tylko ramionami, a Jarek się skrzywił.

Czułem się okropnie, kiedy patrzyłem na jego minę, ale co miałem zrobić?

Poszliśmy więc do kina.

Nasza Jutrzenka jest fajna, bo nikt tu nie patrzy na wiek – wpuściliby pewnie nawet Pawła, ale Jarek nie chciał się na to zgodzić. Odesłał chłopaka do domu, a my kupiliśmy po paczce słonecznika do łuskania i usiedliśmy w prawie pustej sali.

Zaczął się film, ale ja jakoś nie mogłem śledzić akcji, tylko ciągle myślałem o Nowaku. Co by było, gdyby to mnie udało się go przyłapać? Przez chwilę wyobrażałem sobie, jak by to mogło być – wywiady w gazetach, gratulacje od milicji... Może Karolina pozwoliłaby mi następnym razem potrzymać się za rękę w kinie?

Machinalnie jadłem słonecznik i nawet nie zauważyłem, kiedy się skończył, a jeszcze nawet nie było mojej ulubionej sceny, w której trup wstaje spod białego prześcieradła i rusza na Jamie Lee Curtis.

– Zaraz wracam – mruknąłem do siedzącej najbliżej Justyny.

Wyszedłem z sali, machając po drodze biletem panu, który siedział na krzeselku. Skinął głową, a ja skierowałem się w stronę stoiska z kolorowymi napojami i przekąskami. Nagle jednak moje nogi, zupełnie jakby miały własną wolę, poniosły mnie w stronę wyjścia.

– Nie podoba się film? – zawołała za mną pani Dorota od słonecznika, dmuchanego ryżu i oranżady. – Za dużo brutalności, co?

Nie zwracając na nią uwagi, wyjrzałem na zewnątrz. Po cichu liczyłem... Sam właściwie nie wiem na co.

Nowak z piwem w garści znów tkwił na schodkach pod spożywczakiem. Przed nim stała wnuczka pani Bresiowej, którą widzieliśmy w lesie. Kasia, teraz już byłem pewny, że tak właśnie ma na imię. Dziewczynka mówiła coś, podczas gdy Nowak gniewnie potrzasał głową. Wydawało się, że ona próbuje go do czegoś przekonać, a on się opiera. Wreszcie, kiedy chwyciła Nowaka za rękaw, odepchnął ją gwałtownie.

Mała odeszła, pociągając nosem.

O rany!

Gapiałem się na całą tę scenę, czując, jak wypełnia mnie przyjemne podekscytowanie. Tym razem okazałem się lepszym detektywem niż chłopak, który przeczytał chyba wszystkie kryminały, jakie można przeczytać!

Wróciłem na salę, po czym, ignorując Justynę, przechyliłem się do siedzącego fotel dalej Jarka i szeptem streściłem mu całą sytuację.

– No to co, że ze sobą gadali. – Z początku nie wykazywał entuzjazmu, ale kiedy wytłumaczyłem mu, jak ważne było to, co widziałem, wyraźnie się ożywił.

– Szarpał ją? – upewniał się jeszcze, kiedy odprowadzani zatroskanym wzrokiem pani Doroty podążaliśmy w stronę wyjścia.

– Jasne – potwierdziłem gorliwie. – Widziałem na własne oczy.

– Jakby chciał ją gdzieś zabrać, a ona się wyrywała?

– No.

– To mamy już dowód, nie? – wtrąciła Karolina.

– Musimy pogadać z Kasią – zdecydował tymczasem Jarek. – W końcu oni razem mieszkają, a przestępcy zawsze szukają ofiar tam, gdzie najbliżej.

Skinąłem głową. Jasne, że Jarek miał rację. Sam powinienem o tym wcześniej pomyśleć. Jeśli Nowak rzeczywiście dostarczał dziewczyny jakiemuś zboczeńcowi (a byłem już tego pewny), to musiał zacząć właśnie od Kasi. To potwór, myślałem, kiedy szliśmy w stronę ulicy Długiej, gdzie mieszkała pani Bresiowa. Potwór w ludzkiej skórze, ukrywający się wśród nas. Udaje menela, bo tak jest najwygodniej, w końcu na pijaków nikt nie zwraca uwagi.

Zaczynało się już ściemniać i Justyna napomknęła, że zaraz będzie musiała wracać do domu, ale nikt jej nie słuchał – to, co zamierzaliśmy zrobić, było znacznie ważniejsze.

Problemy zaczęły się, kiedy dotarliśmy pod niewielką kamienicę położoną tuż przy placu zabaw. Kręciła się tu jeszcze grupka dzieciaków, ale żadne z nich nie było Kasią. Dziewczyna musiała wrócić do domu. Numer mieszkania znaleźliśmy bez trudu, bo przy dzwoneczkach były wizytówki, ale zabrakło nam pomysłu, co dalej. Zadzwoić tak po prostu? I co powiemy, kiedy otworzy nam pani

Bresiowa?

– Musimy jakoś ją wywabić – szeptał Jarek. – Może Justyna na przykład zacznie wzywać pomocy, babcia wybiegnie, a my wtedy będziemy mogli wśliznąć się do mieszkania i porozmawiać z wnuczką.

– Albo mogę powiedzieć, że Nowak miał wypadek i jest potrzebna, no wiecie, jako najbliższa osoba – zaproponowałem.

– Karolina? – Jarek spojrzał na dziewczynę, która wzruszyła ramionami, po czym... podeszła do drzwi i wcisnęła przycisk dzwonka. W mieszkaniu rozległ się terkotliwy dźwięk, a nam aż dech zaparło. Karolina to jednak ma odwagę!

Po chwili dało się słyszeć ciche szuranie, zamek zgrzytnął i drzwi uchyliły się lekko.

– My do Kasi – powiedziała Karolina ze swobodą, na jaką pewnie żaden z nas nie zdołałby się zdobyć.

Pomarszczona twarz starszej pani rozjaśniła się uśmiechem.

– Kasiu, koledzy do ciebie! – krzyknęła w głąb mieszkania, po czym machnęła w naszą stronę zachęcająco. – Wchodźcie, co tak stoicie? Kaśka, mówiłam, gości masz! Herbaty wam zrobię, chcecie?

Nie czekając na odpowiedź, poczłapała w stronę, jak się domyślałam, kuchni. My tymczasem zdejmowaliśmy buty. Kasia nieśmiało wyjrzała zza drzwi (prowadziły pewnie do jej pokoju) i już-już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, kiedy Karolina energicznie chwyciła ją za ramię i wepchnęła do środka.

– Cicho – powiedziała. – Musimy z tobą pogadać.

– Nie znam was – poskarżyła się Kasia.

– Znasz – przypomniało mi się nagle. – Bawiliśmy się kiedyś razem na festynie pierwszomajowym. – Był to chyba jedyny raz w moim życiu, kiedy skakałem z dziewczynami w gumę. Naprawdę strasznie mi się wtedy nudziło.

– Nie pamiętam...

– Wszystko jedno. – Jarek zamknął drzwi, żeby babcia nie mogła nas słyszeć. – Nie chcemy ci zrobić krzywdy, tylko przeciwnie, łapiesz? Chcemy cię uratować, bo wiemy, co ten facet ci robi.

– Jaki facet? – Jej oczy stały się jeszcze większe.

Właściwie dopiero teraz porządnie się jej przyjrzałem: była chudziutka i dość blada, z piegami na trójkątnej buzi. Nie jakoś szczególnie ładna, ale też nie brzydka. Nijaka trochę, szczerze mówiąc. Tylko te wielkie niebieskie oczy jakoś tak przyciągały uwagę. Nowak pewnie wybierał takie właśnie dziewczyny: nieśmiałe i słabe, bo z naszą Karoliną nie miałby szans.

– Nowak, a kto inny? – parsknął Jarek, a Karolina dodała: – Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówimy.

– Nie musisz się nas bać – dorzuciła jeszcze łagodnie Justyna.

– Ja się nie boję. – Kasia potrząsnęła jasnymi warkoczami. – Tylko nie wiem, o czym wy mówicie. Nowak nie robi mi żadnej krzywdy, on tylko u nas mieszka. Babcia wynajmuje mu pokój. Czasem za dużo wypije, ale wtedy też nie wrzeszczy ani nic, tylko idzie spać.

– Widziałem, jak cię szarpał dziś na rynku.

– Wcale mnie nie szarpał. Babcia kazała mi go zawołać do domu, zanim resztę pieniędzy straci na picie, a on nie chciał wracać, no i trochę się pokłóciliśmy. To nic takiego. – Wzruszyła ramionami. – Idźcie już sobie.

– Ale każe ci chodzić z nim do lasu, nie? – upierał się Jarek. – Widzieliśmy cię dzisiaj!

– Do lasu noszę mu jedzenie – wyjaśniła Kasia. – Czasem długo tam siedzi i dlatego babcia daje mi dla niego kanapki. Przed obiadem je zanoszę, a potem, jak babci się przypomni, zabieram koszyk.

– I co on niby robi w tym lesie? – Karolina była sceptyczna.

– Nie wiem. – Dziewczyna skrzywiła się. – Wcale mnie to nie obchodzi! Zostawiam tylko jedzenie w starej dziupli, i tyle. Nie robię nic złego!

– Wiemy. – Jarek starał się być cierpliwy. – Nikt nie mówi, że zrobiłaś coś złego. To on jest zły. Możesz nam o wszystkim opowiedzieć. Na przykład skąd masz ten siniak?

Faktycznie, na łokciu dziewczyny rozlewał się fioletowy krwiak.

– Znikąd, przywaliłam w ziemię, jak z trzepaka zleciałam. Idźcie sobie, bo zawołam babcię!

– Boisz się, że on coś ci zrobi, jak nam powiesz prawdę, tak? – zapytał bystro Jarek.

- Babciu!
- Nie musisz...
- Baaaabcia!!!
- Spadamy – syknęła Karolina, ciągnąc Jarka za łokieć.

Ja i Justyna poszliśmy w ich ślady, w drzwiach mijając staruszkę, która nadciągała z marsową miną. Słowo daję, w ostatniej chwili udało nam się umknąć, ledwo buty zdążyliśmy złapać.

– Kłamie – powiedział Jarek, kiedy na placu zabaw zakładał trampki. – Ten drań musi jej czymś grozić, dlatego nie chce nic powiedzieć.

– Skąd wiesz, że kłamie? Może rzeczywiście tylko nosi Nowakowi jedzenie do lasu, a ten siniak ma dlatego, że spadła z trzepaka? – powątpiewała Justyna.

– Głupia jesteś. Po co Nowakowi w lesie jedzenie? Pewnie, że mała kłamie. Widzieliście, jak mrugała?

– Mrugała, racja – przyznała Karolina.

– No widzicie? A jak ktoś mruga, to znaczy, że nie mówi prawdy. Też byście o tym wiedzieli, gdybyście trochę poczytali.

Na ten argument Justyna zamilkła, a ja posłałem jej pełne wyższości spojrzenie.

– Musimy jutro znowu śledzić Nowaka. I tym razem nie możemy go zgubić. – Karolina już ustalała plany na następny dzień, a ja, idąc pomiędzy nią a Jarkiem, poczułem, jak wypełnia mnie poczucie szczęścia. Pierwsza poważna sprawa Klubu Młodych Detektywów zapowiadała się naprawdę niesamowicie.

\*\*\*

*Jest ich mnóstwo, tak wiele, że Justyna nie nadąża z liczeniem. Setki, tysiące nagich białych ciał, starych i młodych. Ich nagość nie ma w sobie nic nieprzyzwoitego, bo wszyscy, z zamkniętymi oczami i nieruchomymi kończynami, przypominają bardziej lalki albo krawieckie manekiny niż prawdziwych ludzi. Ułożeni na taśmie, przesuwiają się niczym części samochodowe w fabryce.*

– Tragedie – mówi mężczyzna o białych dłoniach. – Te mniejsze, jak

*narodziny młodszego rodzeństwa, i te większe, jak śmierć ulubionej babci, cioci czy nauczycielki. Każde porządne dzieciństwo powinno zawierać choć jedną. Co pan na to? Możemy zafundować sobie tragedię?*

*– Czemu nie? Ale proszę pamiętać, że oprócz nieszczęść zaplanowanych mogą zdarzyć się też i przypadkowe. A tych nie chcecie, prawda? – Jan Nowak nie czeka na odpowiedź, tylko od razu przechodzi do konkluzji: – Dlatego potrzebujecie ludzi, którzy będą doglądać projektu i naprawiać usterki.*

*– Na przykład takich jak pan? – Mężczyzna o białych dłoniach unosi brew.*

*– Na przykład takich jak ja. Musimy już iść. – Nowak odwraca się w stronę dwóch pozostałych osób, które znajdują się w pomieszczeniu.*

*To chorobliwie szczupła, siwowłosa już kobieta i drobny staruszek. Kobieta patrzy przez chwilę na Nowaka, a potem wraca do rozmowy ze staruszkiem. Szepczą coś cicho, patrząc na przesuwane się ciała.*

\*\*\*

Nie wiem, z jakim samopoczuciem obudziła się Justyna (pewnie nie najlepszym), ale ja wyskoczyłem z łóżka radosny jak szczygieł. Za oknem świeciło słońce, słychać było pogwizdywanie taty i warkot kosiarki, a z zapachem świeżo ściętej trawy mieszała się dolatująca z kuchni woń smażonych przez mamę naleśników. Sobota! Nie ma nic przyjemniejszego niż sobotni ranek. W soboty rodzice zawsze mają dobry humor, na obiad jest coś pysznego, a wieczorem można obejrzeć w telewizji fajny film. Niedziele niby też są OK, ale wtedy trzeba iść do kościoła, czego nigdy jakoś nie mogłem polubić.

Ubrałem się pośpiesznie, a potem stanąłem przy oknie i odetchnąłem pełną piersią. Wymarzony dzień dla Klubu Młodych Detektywów. W taki poranek jak dziś aż chciało się tropić i ścigać przestępców.

Zbiegłem na dół, wpadłem do kuchni, po czym zatrzymałem się jak wryty, bo za stołem siedziała już Justyna.

– Masz gościa. – Moja mama wyglądała na lekko zakłopotaną. Jej chyba też ta wczesna wizyta nie przypadła do gustu. – Właśnie



miałam cię budzić. Chcecie naleśniki?

Pewnie, że chcieliśmy. Mama nałożyła większą porcję mnie, a mniejszą Justynie, na naleśnikach mojej kuzynki znalazło się też znacznie mniej dżemu niż na moich. Justyna zaraz to nadrobiła, sięgając po cukiernicę i posypując swoje śniadanie grubą warstwą cukru. Mama chyba chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Pójdę nastawić pranie, a wy sobie porozmawiajcie.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Justyna między jednym wielkim kęsem a drugim opowiedziała, co jej się dziś w nocy śniło.

Najpierw byłem ciekawy, bo myślałem, że ten sen pomoże nam się dowiedzieć, co Nowak robi w lesie, a może nawet go złapać. Jednak im dłużej moja kuzynka mówiła, tym bardziej wyciągała mi się mina. Przecież to wcale nie pasowało do tego, co już wiedzieliśmy, czyli że Nowak porywa dziewczyny dla jakiegoś zbrojnego (albo zbrojnego). Zacząłem nawet podejrzewać, że Justyna trochę zmyśla, żeby zwrócić na siebie uwagę. Albo coś źle zrozumiała?

To ostatnie powiedziałem na głos.

– Wcale nie! – zaraz się oburzyła. – Mówili o śmierci nauczycielki, czyli pewnie o pani Gruszce! Zaplanowali, że ona umrze! A ta chuda kobieta... To tak jakby byłam ja, rozumiesz?

– Przecież ty jesteś gruba.

Justyna poczerwieniała.

– Wiem, wcale nie wyglądała podobnie, ale we śnie byłam właśnie nią. Może dlatego wiedziałam, że pani Gruszka umrze. Bo słyszałam, jak tamci planowali jej śmierć. Staruszek, z którym rozmawiałam, to byłeś ty...

– Mnie się raz śniło, że jestem psem.

Nie zwracała na mnie uwagi.

– ...a ten mężczyzna, który ma takie białe ręce, przypominał trochę Karolinę.

– Bzdura! – Teraz się już trochę oburzyłem.

– Tak samo skubał wargę, wiesz, jak Karolina, kiedy nad czymś się zastanawia.

No dobra, to był jakiś argument.

– Może to jej ojciec? – Moja wyobraźnia zaczęła galopować niczym

wypuszczony na łąkę koń. – Zaginiony, prawdziwy ojciec, który jej teraz szuka? A rodzice Karoliny nie są tak naprawdę jej rodzicami, tylko porywaczami?

– Karolina jest bardzo podobna do swojego taty. – Justyna była pełna wątpliwości.

Zirytowała mnie. Dziewczyny już tak mają: najpierw same wpadają na jakiś pomysł, a potem nagle zaczynają szukać dziury w całym.

– A te ciała, które widziałas we śnie, to mogły być ciała dziewczyn porwanych przez Nowaka – snułem dalej rozważania.

– Tam nie było dziewczyn w naszym wieku – zaprotestowała Justyna. – Tylko mężczyźni i kobiety, i czasem dzieci, ale tylko malutkie, takie jak twoja siostra. I to byli mieszkańcy naszego miasteczka. Widziałam brata pani Bresiovej i tę rudą kobietę, która sprzedaje w obuwniczym, i naszą woźną...

– Wszyscy martwi?

– Nie wiem, chyba tak. – Zawahała się. – Wyglądali, jakby nigdy nie żyli.

– Zaczynasz gadać jak Paweł – zachichotałem, myśląc, że Justyna mi zawtóruje, ale ona wykrzywiła tylko usta, jakby miała się rozpłakać.

– Mam przeczucie, że stanie się coś złego – oznajmiła. – Coś bardzo, bardzo złego.

O tym czymś złym myślałem, kiedy czatowaliśmy na Nowaka, siedząc na skwerku przed kościołem. Może i Justyna trochę zmyślała (właściwie byłem pewien, że przynajmniej w kilku kwestiach minęła się z prawdą), ale jej przeczucia zazwyczaj się sprawdzały.

Może Nowak miał wreszcie dopaść Karolinę i oddać ją prawdziwemu ojcu? Ona będzie się bronić, a wtedy Nowak zatka jej usta, żeby przestała krzyczeć i... i...

Może Karolina umrze?

Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. Karolina wyglądała dziś strasznie ładnie, w różowej koszulce i krótkiej spódniczce. Zazwyczaj wolała spodnie, dlatego teraz, korzystając z okazji, od czasu do czasu zerkałem na jej nogi. Są naprawdę ekstra, mówię wam.

Nowak tymczasem tkwił jak zawsze na schodkach przed

spożywcakiem. Wypił jedno piwo, potem drugie i trzecie. Justyna marudziła już, że pewnie spędzi tutaj cały dzień, a i ja, przyznaję, zaczynałem myśleć o pójściu na lody. Ale w końcu byliśmy Młodymi Detektywami, trwaliśmy więc dzielnie na posterunku, czekając, aż ten potwór w ludzkiej skórze się ruszy.

Wstał wreszcie gdzieś koło południa i leniwie poczłapał w kierunku szkoły. Ruszyliśmy za nim, oczywiście uzbrojeni w krótkofalówki i w odpowiedniej odległości. Byliśmy pewni, że tym razem nie damy się zgubić w lesie.

Nowak szedł tą samą trasą co wcześniej. Serce zabiło mi w podnieceniu, widziałem, że oczy Jarka i Karoliny też rozbłysły. Nasz obiekt zmierzał do swojej tajemniczej kryjówki.

– Adam – powiedział Jarek szeptem, kiedy już mieliśmy wejść w prostą, pustą ulicę, która prowadziła do lasu – idź z Justyną i Pawłem okrężną drogą, koło warsztatu samochodowego. I biegnijcie!

– Czemu? – Też szeptałem, chociaż idący środkiem jezdni Nowak był za daleko, żeby mnie słyszeć.

– Bo jeśli znowu będziemy iść za nim, to nas zgubi jak wcześniej, a tak wy możecie go wyprzedzić. Czekajcie na nas na skraju lasu i pamiętajcie, żeby was nie zobaczył!

Skinąłem głową i pociągnąłem Justynę za rękaw. Paweł biegł za nami.

– Cały czas próbuję sobie przypomnieć... – sapała moja kuzynka, kiedy z trudem dotrzymywała mi kroku (prawdę powiedziawszy, i tak zwalniałem, żeby nie zostawić jej w tyle) – ...o czym rozmawialiśmy.

– Kiedy?

– Wtedy, w moim śnie.

Prychnąłem. A ta znowu swoje!

Dopadliśmy lasu i schowaliśmy się za krzakiem czarnego bzu. Chwilę potem pojawił się Nowak. Paweł prawie pisnął na jego widok, ale na szczęście Justyna szybko zatkała mu buzię.

Ledwo Nowak przeszedł koło nas, w krótkofalówce rozległ się głos Jarka.

– Macie go? Odbiór?

– Mamy – odpowiedziałem cicho, bo nasz obiekt wciąż był niedaleko. – Idziemy za nim – szepnąłem do Justyny.

Próbowaliście kiedyś tropić kogoś w lesie? Mówię wam, to wcale nie jest tak proste, jak mogłoby się wydawać. Trzeba chodzić bardzo cicho, bo trzask pękającej gałązki albo szelest liści mogą zaalarmować śledzonego, a poza tym – to uświadomiłem sobie dopiero teraz – kolorowe ubrania pośród drzew od razu rzucają się tu w oczy. Trzeba było włożyć coś zielonego albo brązowego zamiast żółtego podkoszulka, myślałem, Justyna też się nie popisała z tą swoją niebieską kiecką. Tylko Paweł w niezbyt czystych tureckich dżinsach i sraczkowatej koszulinie (ja w życiu bym czegoś takiego nie włożył) wtapiał się w tło.

– Widzicie go? – Zatrzeszczał w krótkofalówce głos Jarka.

– Widzimy – odpowiedziałem. – Jest jakieś trzydzieści metrów przed nami. Idzie w stronę strumienia.

– W porządku, nie traćcie go z oczu. Zaraz do was dołączymy.

Jarek i Karolina wyłonili się spomiędzy drzew, kiedy Nowak przeskakiwał właśnie wąski, płynący lasem potok. Kiedyś próbowaliśmy się tu bawić, ale zrezygnowaliśmy, bo woda w nim nawet w najgorętsze dni lata jest strasznie zimna, aż stopy drętwieją.

– Dobra robota. – Jarek klepnął mnie w ramię, Karolina się uśmiechnęła.

Zatonąłem w jej uśmiechu. Wiem, że często tak piszą w książkach, ale czasem to się zdarza naprawdę. Jarek coś mówił, a ja wcale go nie słuchałem. Mogło minąć kilka sekund, na pewno nie więcej.

– Zniknął – powiedziała nagle Justyna.

Wszyscy odruchowo spojrzeliśmy w stronę strumienia. Nikogo tam nie było. Nowak przepadł, jakby nagle wyparował.

Jarek zaklął i poczerwieniał.

– Banda idiotów! Mieliście go pilnować, nie?

– Patrzyliśmy na ciebie – broniła się Justyna. – Poza tym ty też mogłeś uważać.

– Myślałem, że ty go masz na oku – zwrócił się do mnie. Faktycznie, niby przez cały czas spoglądałem w stronę strumienia, ale jakoś, no... Nie myślałem w tamtej chwili o Nowaku. A teraz Jarek

patrzył na mnie i przez moment myślałem, że mi przywali, ale na szczęście wtrąciła się Karolina.

– Nie mógł odejść daleko. Znajdziemy go.

Z Jarka uszło trochę pary. Trzepnął jeszcze tylko Pawła w ucho i odzyskał optymizm.

Podzieliliśmy się jak wcześniej, czyli Karolina i Jarek poszli w jedną stronę, a ja, Justyna i Paweł w drugą. Tym razem byłem gotów zrehabilitować się za wszelką cenę i postanowiłem, że nie wrócę do domu, dopóki nie znajdę kryjówki Nowaka.

Przecież nie zapadł się pod ziemię, prawda?

Przeczesywaliśmy las metr po metrze. Nawet Paweł wykazywał się wyjątkowym entuzjazmem i węszył w krzakach jak pies gończy. Nim minęła druga, wszyscy mieliśmy ręce podrapane od kolców dzikich malin, we włosach pełno igliwia i ubłocone buty. Justyna znalazła przy okazji parę grzybów, a Paweł spadł z drzewa, kiedy próbował sięgnąć do wyjątkowo dorodnej huby.

Nowaka jak nie było, tak nie było.

Pomyślałem, że zaraz będę musiał wracać na obiad, kiedy Justyna podeszła bliżej.

– Wiesz, chyba mi się przypomniało... – zaczęła.

– Co takiego?

– No, o czym mówiliśmy w tym moim śnie. Ja powiedziałam...

– Mamy ją! – Krótkofalówka wypuła podekscytowany szept Jarka.

– Znaleźliśmy kryjówkę Nowaka!

– Gdzie jesteście?

– Jakież pół kilometra na północ od strumienia. Pośpieszcie się, on właśnie wyszedł!

Pół kilometra okazało się, moim skromnym zdaniem, co najmniej kilometrem, a północ wypadła gdzieś bliżej wschodu, dlatego długo trwało, zanim wreszcie znaleźliśmy Jarka i Karolinę. Byliśmy już wtedy jeszcze bardziej spoceni, podrapani od przedzierania się przez krzaki, a przede wszystkim solidnie męczył nas głód, ale nikt nawet nie wspomniał o tym, żeby wrócić do domu na obiad.

– Już myśleliśmy, że wilki was porwały. – Karolina uśmiechnęła się na nasz widok, a Jarek znacząco spojrzał na zegarek.

– Pełzliście tu czy jak? Nowak wyszedł dziesięć minut temu.

– Skąd wyszedł? – Rozejrzałem się, ale nigdzie nie dostrzegłem żadnej chatki, szałasów czy wejścia do jaskini. Otaczały nas tylko wysokie świerki, a pod nogami mieliśmy mech i paprocie. A, i oczywiście była jeszcze kępa jałowca, przy której siedzieli Karolina z Jarkiem. Nic więcej.

Jarek wyszczerzył zęby.

– Z bunkra. Tu jest zamaskowany bunkier, wpadłbyś na to? Patrzcie.

Odwrócił się i ostrożnie rozgarnął kłujące gałęzie. „O cholera”, prawie mi się wyrwało, a Justyna za mną aż sapnęła z wrażenia.

W kępie jałowca widać było okrągłą żelazną klapę z zatartym napisem, którego nie potrafiłem odczytać. Mimo to nie miałem wątpliwości – to musiał być bunkier, pewnie jeszcze z czasów wojny.

– Byliście tam? – zapytałem.

– Nie, czekaliśmy na was. – Jarek raz jeszcze pokazał w uśmiechu zęby. – Doceńcie to. To jak, wchodzimy?

Nie czekając na naszą zgodę (która i tak była oczywista, bo wszyscy aż się paliliśmy, żeby zajrzeć do środka), spróbowałem podnieść klapę. Nie bardzo mu szło, ciężki kawał żelaza ruszył się dopiero, kiedy pomogłem Jarkowi. Ciekawe, jak sobie z nim radził jeden samotny pijak? – przemknęło mi przez myśl, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, bo już schodziliśmy po drabince. Jarek okazał się przezorny, wziął bowiem latarkę i teraz świecił nam pod nogi. Szyb był głęboki, pachniało tu wilgocią starych murów i jeszcze czymś, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Jakby... metalem albo elektrycznością? Nie podobał mi się ten zapach, a idący przede mną Paweł pisnął cicho:

– Boję się.

– To wracaj do mamy, szczyłu – odezwał się Jarek, który szedł pierwszy. – Chcesz wracać? No pytam, chcesz?

– Nie. – Mały smarknął.

– To nie drzyj dzioba.

Znaleźliśmy się wreszcie na dnie. Wąski, niski korytarz prowadził gdzieś dalej, światło latarki wyławiało z mroku stare, nadkruszone

gdzieniegdzie cegły. W nosie wiercił mnie zapach jakby wilgotnej kredy, zupełnie jak w szkole, kiedy ktoś ściera zapisaną tablicę, ale o dziwo, kiedy dotknąłem cegieł, okazały się całkiem suche. Pod naszymi nogami też nie było kałuż, tylko solidna, ubita ziemia.

Ruszyliśmy prosto w ciemność, Jarek z latarką pierwszy, my tuż za nim. Chwilę później usłyszeliśmy buczenie jakby wielkiego owada. Przyznaję, nawet mnie zrobiło się nieswojo, a Paweł znów zaczął jęczeć.

– Boję się – chlipał.

Tym razem, nim Jarek zdążył coś powiedzieć, za małym ujęła się Justyna.

– I tak ktoś powinien zostać na zewnątrz, żeby nas ostrzec, gdyby Nowak przypadkiem wrócił.

– Dobra, spadaj na górę. No już, zabieraj się. Nie, czekaj, weź krótkofalówkę. Jak zobaczysz Nowaka, masz nam zaraz o tym meldować, rozumiesz? I żebyś nie ważył się zasnąć, iść na jagody albo coś w tym rodzaju! Siedź na tyłku i pilnuj wejścia, bo ci uszy oberwę, łapiesz?

Mały chyba łapał, bo przejęty swoją rolą, zniknął po chwili w mroku, a my usłyszeliśmy już tylko, jak wspina się po drabince.

Szliśmy dalej. Korytarz rozszerzył się po chwili w pomieszczenie z wysokim sufitem. Wyglądało jak warsztat. Pełno tu było urządzeń, których nie potrafiłem rozpoznać i które buczały cicho, mrugając czerwonymi i zielonymi lampkami. Widzieliśmy tylko kawałek, bo światło latarki nie sięgało daleko, ale to wystarczyło, żeby zrobić na nas wrażenie.

– O rany – wyrwało się Justynie.

– Lepiej niczego nie dotykajmy – powiedziałem.

Za późno, bo Karolina, jak zawsze najodważniejsza, już majstrowała przy jednej z maszyn. Wystraszyłem się, ale głupio mi było dalej protestować, więc tylko patrzyłem z zapartym tchem, jak dziewczyna, mruczając pod nosem, wciska różne przyciski. Miałem nadzieję, że nic się nie stanie.

A może odwrotnie, może właśnie chciałem, żeby się stało?

Wtedy na ścianie zapłonął prostokąt wyglądający jak pomniejszony

kinowy ekran. Justyna krzyknęła, wszyscy cofnęliśmy się odruchowo. Na ekranie widać było miasto, po którym ludzie biegali jak spanikowane kury, ulice zasłane były odłamkami z wybitych szyb, wzdłuż chodnika stały krzywo zaparkowane, chyba porzucone samochody. To znaczy domyślałem się, że to samochody, bo wszystkie miały dziwne kształty, ludzie też poubierani byli strasznie cudacznie.

– Zamieszki w miastach całego świata – powiedział ktoś, a my prawie podskoczyliśmy. – Wczoraj ujawniono pilnie strzeżoną od lat tajemnicę. W roku 2043 naukowcy po raz pierwszy odkryli, że do Ziemi zbliża się meteoryt. Nieuniknione zderzenie nastąpi za kilka godzin.

– To jakiś film SF – powiedziała Karolina, a Jarek przytaknął.

– No. I to cholernie dobrze zrobiony. Pewnie amerykański.

– Mówili po polsku – bąknęła Justyna, ale my już szliśmy dalej. Warsztat ciągnął się i ciągnął, podczas gdy Jarek omiatał latarką kolejne urządzenia, których przeznaczenia nawet nie potrafiliśmy się domyślić. Na jednym z nich leżała złożona w pół kartka – Justyna podniosła ją, a ja już chciałem zapytać, co to takiego, kiedy Karolina powiedziała:

– Spójrzcie.

Spojrzeliliśmy. W jednej ze ścian był duży prostokątny otwór, zupełnie jak brama. Wiało z niego chłodem, aż się wzdrygnąłem.

– Co to może być? – szepnął Jarek, po czym ostrożnie zrobił krok naprzód. – Tu jest jakiś tunel...

– To droga dla samochodów – powiedziała Justyna. – A właściwie dla jednego samochodu.

– Nie ma samochodów jeżdżących pod ziemią – parsknęła Karolina.

– Ten jeździ.

Czekałem, co powie Jarek, ale on tylko wycofał się z powrotem do warsztatu i skierował strumień światła na sufit.

Wtedy, prawie jednocześnie, zdarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, w krótkofalówce rozległ się głos Pawła wrzeszczącego: „Nowak wraca!”.

Po drugie, blask wyłowił z mroku wiszące pod sufitem ciało



Agnieszki, nagie i rozcięte w pół od szyi aż po... wiecie pewnie sami. W środku coś połyskiwało metalicznie. Dziewczyna obracała się powoli wokół własnej osi, oczy miała zamknięte i wyglądała... na spokojną. Może wszyscy tak wyglądają po śmierci?

Wysoki, wibrujący wrzask Justyny wypełnił mi uszy, Jarek śmiertelnie pobladł (naprawdę, to nie żaden chwyt literacki), ja stałem, nie mogąc się ruszyć. Zupełnie jak we śnie, kiedy człowiek chce biec, ale ciężkie niczym ołów nogi przyrastają mu do podłogi. Znacie pewnie to uczucie.

Nie mogłem uciekać, nie potrafiłem nawet krzyczeć. Dopiero Karolina zdjęła urok, kiedy chwyciła mnie za rękę.

– Zwiewamy, ale już!

– Agnieszka... – wyszeptał Jarek i przez chwilę wyglądało to tak, jakby zamierzał podejść bliżej, choć jego martwa siostra i tak wisiała zbyt wysoko, żeby do niej sięgnąć.

– Nie pomożesz jej! Ona nie żyje, ty idioto. A Nowak zaraz nas wszystkich też pozabija. Ruszajcie się!

Pobiegliśmy za nią. Wciąż czułem się jak we śnie, a Justyna wydawała z siebie dźwięki, które były czymś pomiędzy płaczem a histerycznym pokwikiwaniem. Jarek na drabince zgubił latarkę, ale na szczęście byliśmy już wtedy wystarczająco wysoko, żeby coraz silniejszy blask słońca oświetlał nam drogę. Wypadliśmy wreszcie na zewnątrz i pobiegliśmy w las. Potknąłem się w pewnym momencie, a kiedy wstałem i się odwróciłem, zobaczyłem Nowaka patrzącego ze zdumieniem na otwarty właz, a potem na mnie. W rękę trzymał koszyk, taki sam, jaki wczoraj niosła Kasia.

Kanapki, pomyślałem bez sensu, całkiem pewny, że Nowak zaraz puści koszyk i rzuci się w moją stronę. Odwróciłem się i pobiegłem.

Nowak nie próbował nas ścigać. Może po prostu wiedział, że nie ma szans złapać wszystkich.

Kiedy byliśmy już wystarczająco daleko, żeby czuć się bezpieczni, Jarek padł na trawę. Szlochał: „Zabiję drania, zabiję drania”, wystraszony Paweł dopytywał, co się stało, a Justyna przyciskała rękę do ust, jakby miała się porzygać. Za to Karolina zachowała spokój.

– To sprawa dla milicji – powiedziała.

I to już prawie koniec mojej historii. Powiadomiliśmy milicję, a oni, patrząc nieufnie, kazali nam długo opowiadać o tym, co właściwie widzieliśmy. Poszli wreszcie do lasu i wrócili z informacją, że żadnego bunkra tam nie ma, a my jesteśmy bandą głupich dzieciaków, którym rodzice powinni sprać tyłki. Straszili nas też karą za nieuzasadnione wezwanie (chyba tak to się nazywa), ale wtedy Jarek się uparł i oznajmił, że pójdzie z nimi do lasu i sam znajdzie bunkier.

Zgodzili się, choć bardzo niechętnie, i ostatecznie poszliśmy do lasu wszyscy razem, nawet w towarzystwie naszych rodziców, którzy tymczasem zjawili się na posterunku. Ci podzielili się na dwie grupy – niektórzy nam wierzyli, inni sądzili, że robimy sobie głupie żarty.

Moi niestety byli w tej drugiej grupie.

Tak czy inaczej, bunkra nie znaleźliśmy. Nie wiem czemu – może szukaliśmy w złym miejscu (w lesie wszystkie miejsca wyglądają podobnie), a może Nowak, widząc nas, zamaskował go jeszcze lepiej?

Nowak tymczasem jakby zapadł się pod ziemię, ale na razie nikt poza nami nie traktuje jego zniknięcia poważnie – myślą, że zapił gdzieś i niedługo zjawi się skacowany u pani Bresiowej.

Ostatecznie więc wszyscy uznali, że albo kłamiemy, albo mieliśmy jakieś przywidzenia. Zapuchnięty od płaczu Jarek nawet nie miał już siły się kłócić i wyglądał tak strasznie, że ojciec darował mu karę, a matka zapędziła chłopaka do łóżka, sądząc, że ma gorączkę.

O wszystkim tym wiem dlatego, że odwiedziła mnie Justyna, która przyniosła najnowsze wieści. Ja nie mogę wychodzić – mam szlaban do końca wakacji.

Kuzynka powiedziała mi też, co jej się przypomniało wtedy, w lesie, zanim Jarek znalazł bunkier.

– Rozmawialiśmy przy taśmie pełnej nieruchomych ciał i ja zapytałam: „Czy to naprawdę najlepszy wybór?”. A ty odpowiedziałeś: „A co innego mogą zrobić ludzie, którym zostało sześć lat i którzy mają wystarczająco dużo pieniędzy, żeby spełnić każdą zachciankę? Zawsze przecież marzyliśmy, żeby wrócić do czasów, kiedy jeszcze potrafiliśmy być szczęśliwi”.

A nie mówiłem? Strasznie zmyśla.

Kiedy wychodziła, odwróciła się jeszcze do mnie.

– Rok 2043 jest strasznie daleko, prawda? Wtedy będziemy już bardzo starzy, zupełnie jak ci ludzie w moim śnie.

No owszem, pomyślałem, ale co to ma z czymkolwiek wspólnego?

Chyba była rozczarowana, że nie wykazałem zainteresowania jej rewelacjami. Miała smutną minę, aż żal mi się zrobiło. Ale tylko trochę – jutro Justyna znowu wpadnie do mnie rano, jak gdyby nigdy nic.

Dziewczyny już takie są.

Teraz jest wieczór, za oknem zapadł zmrok. Rodzice poszli z wizytą do sąsiadów, a ja, zamiast oglądać w telewizji western z Brynnerem i McQuinnem, wykorzystuję ten czas, żeby spisać moją historię. Historię czy może raczej jej kawałek, bo przecież to nieprawda, że opowieść urywa się w tym miejscu.

Tak naprawdę (na prawdę?) to dopiero początek.

Wiemy już, że Jan Nowak jest mordercą, nie tylko porywaczem. Zabił Agnieszkę i być może innych ludzi z miasteczka.

Wiemy, że bunkier gdzieś w lesie jest i prędzej czy później go znajdziemy. Wtedy będziemy mieć dowody. Nowaka zacznie szukać milicja, aż w końcu go aresztują, a my zostaniemy bohaterami. Może napiszą o nas w gazetach?

A może będzie inaczej, może najpierw sami dopadniemy ukrywającego się Nowaka? Jarek krzyczał: „Zabiję go” i może naprawdę byłby w stanie to zrobić? Wtedy oczywiście musielibyśmy milczeć, ale ludzie z miasteczka i tak by wiedzieli, że to my uwolniliśmy ich od potwora. Zabić mordercę to w końcu nie grzech, prawda? A my jesteśmy Młodymi Detektywami i mamy swoje obowiązki.

I ciekawe, kim jest mężczyzna z białymi rękami, wiecie, ten z którym rozmawiał Nowak. Jeśli to nie ojciec, to może dziadek Karoliny?

Właśnie zauważyłem leżący na biurku kawałek pożółkłego papieru. To chyba ten, który Justyna zabrała z bunkra. Może to ważny dowód?

E, nie.

Rozłożyłem kartkę, ale okazało się, że to tylko brudna ulotka. „Za-

in-we-stuj (trudne słowo) i zbuduj miasto twojego dzieciństwa” czy coś w tym rodzaju.

Rozczarowany, wrzuciłem ją do kosza.

Tak czy inaczej, wiem, że ta historia rozwinię się w jakiś interesujący sposób.

Kończę na dziś, bo coś dziwnego dzieje się za oknem. Nagle pojaśniało, jakby znowu wstało słońce. Może to pożar albo idzie wyjątkowo silna burza?

\*\*\*

Jestem bardzo ciekaw, jak wracało się Ani do Domenica. Po tylu latach, po tylu zmianach kierunków, przedeptaniu literackich ścieżek, nagle znowu ten antypatyczny, arogancki chudzielec w ponurym świecie pełnym mrocznych, magicznych zagadek. Czy wpadli na siebie tak po prostu, czy też, jak nieco sugeruje dedykacja, Ania po prostu dała się namówić, przyczała gdzieś, by potem, w odpowiednim momencie, rzucić ciche: „Spodziewałam się pana, panie Jordan”.

I jak zareagował Domenic? Ten porzucony dla innych światów bohater, który dziś tak dobrze wpisałby się w rozbudzony na nowo trend detektywów socjopatów typu cumberbatchowskiego? Mógł prychnąć z pogardą, odwrócić się i odejść, ale to drań kuty na cztery nogi, wie doskonale, że jeśli nie Ania, nikt go już więcej nie opowie. Dlatego przystanął i podzielił się jeszcze jedną ze swoich przygód, a koleżanka Kańtoch spisała ją tak jak wtedy przed laty. W tym samym stylu, takim samym językiem, ale jakby jeszcze bardziej kontrolując opowieść.

## Portret rodziny w lustrze

*Agnieszce, która namówiła mnie na napisanie kolejnego opowiadania o Domenicu*

Zmiana pogody wisiała w powietrzu od południa, lecz dopiero po zmroku usłyszeli pierwszy grzmot, brzącający, jakby w głębi gór obudził się i przeciągnął z pomrukiem skalny olbrzym. Burza, która wcześniej tak się ociągała, teraz nagle, jednym skokiem, znalazła się nad zamkiem i chwilę później jaskrawe, rozczapierzone błyskawice rozpały już niebo raz po raz, podświetlając nagie szczyty i pozostawiając pod powiekami powidoki błękitnego blasku.

Wciąż nie padało, choć zerwał się już wiatr – pierwsze, nieśmiałe na razie podmuchy burzące zastygły chłód wiosennego dnia. Był czerwiec, na nizinach od dawna panowało lato, ale w górach na ciepłe dni trzeba będzie poczekać jeszcze tydzień albo dwa. Mimo to Losaneta śmiało wychyliła się przez okno. Z niższego piętra dolatywały strzępy pośpiesznie szeptanych modlitw – pewnie służba zebrała się wokół obrazu Czarnej Berengarii i prosiła świętą o opiekę. Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

– Nie boisz się burzy? – zapytał jasnowłosy chłopiec, podchodząc do okna. Lekko kpiący, a zarazem pełen czułości wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że pyta jedynie dla żartu, bo doskonale zna odpowiedź.

Dziewczyna odwróciła się.

– To śliczne! – powiedziała z zachwytem. – Jak można bać się czegoś tak pięknego!

Johan przyglądał się siostrze z ciekawością. Losaneta w identyczny sposób uśmiechała się zeszłego lata, gdy w teatrze była świadkiem sztucznej burzy, tworzonej za pomocą bębnienia w blaszane arkusze i skomplikowanej maszynerii. Jego siostra, biedactwo, miała problem z odróżnianiem rzeczywistości od fantazji, ale za to właśnie ją kochał.

Oczywiście nie znaczyło to, że zamierzał zrezygnować z podrażnienia dziewczyny.

– Z powodu tego fascynującego spektaklu co roku ginie w górach kilkudziesięciu wędrowców, wiedziałaś?

– Naprawdę? – Otworzyła szeroko błękitne oczy.

– Naprawdę. – Przedrzeźniał ją. Łatwo mu to przyszło, bo był do siostry niezwykle podobny – tak samo złotowłosa i piękny. Ludzie często brali ich za bliźnięta, choć ona skończyła lat siedemnaście, a on miał dopiero piętnaście.

Losaneta posmutniała, jej śliczne oczy zaszklily się łzami, a Johanowi od razu zmiękło serce. Objął siostrę i przytulił ją mocno. Zresztą mówienie o śmierci w ich sytuacji było bardzo niestosowne.

Gdy głaskał uspokajająco dziewczynę, pierwsze ciężkie krople uderzyły o skałę u podnóża zamku. Niebo rozjarzyło się elektrycznym błękitem i niemal natychmiast nad ich głowami przetoczył się grzmot, głęboki, dudniący odgłos brzmiący jak dźwięk pękających murów. Losaneta zacisnęła dłoń na ramieniu brata – jak na wiotką pannę była zaskakująco silna – a on przycisnął ją do siebie mocniej. Do komnaty wpadał wiatr, niosąc ze sobą zimne krople, na zewnątrz deszcz zmienił się w ścianę wody. Johan delikatnie odsunął siostrę i sięgnął do okna, by je zamknąć; dość mieli problemów i bez zapalenia płuc. Zanim jednak to zrobił, spojrział w dół na biegnącą przełęczą drogę, która w pewnym miejscu się rozgałęziała – jedna odnoga biegła do znajdującego się w dolinie miasteczka, druga skręcała w stronę zamku. Z wysokości, na której się znajdowali, chłopiec widział doskonale jadący drogą powóz. Błyskawice oświetlały zakutanego w pelerynę woźnicę na koźle, poganiającego parę gniadych koni.

– Kto to? – zapytała Losaneta, przytulając się do pleców brata. Johan czuł na karku jej ciepły, nerwowy oddech. – Myślisz, że...

Powóz dotarł już do rozwidlenia i chłopiec odruchowo zacisnął pięści. Przełęcz na moment pogrążyła się w ciemności, a kiedy na niebie rozbłysła kolejna błyskawica, oboje ujrzeli skręcające w stronę zamku gniadosze.

– To on – powiedział chłopiec, odwracając się do siostry. – Na pewno. Kto inny jechałby do nas w taką pogodę?

Od wciąż otwartego okna wiało mokrym chłodem, wilgoć osiadała na policzkach panny i skręcała w pierścionki jasne włosy.

– Miał przyjechać w środę...

– Dzisiaj jest środa, głuptasie. – W głosie Johana zabrzmiała pełna czułości pobłażliwość. Wiecznie bujająca w obłokach Losaneta często traciła poczucie czasu.

Dziewczyna zadrżała.

– Czy to znaczy...

– Że teraz już wszystko będzie dobrze, oczywiście.

Skinęła głową, ale w oczach miała powątpiewanie, którego nie zdążyła ukryć. Johan chciał coś powiedzieć, kiedy Losaneta krzyknęła cienko, przenikliwie.

Powóz, jak na tę pogodę, pędził drogą zdecydowanie zbyt szybko. Błyskawice wyławiały z mroku spłoszone konie i wysokie skalne ściany po jednej stronie. Po drugiej rozciągała się przepaść, co prawda niezbyt głęboka, ale jednak niebezpieczna. Przez szum deszczu i słabsze teraz pomruki gromów przebijały się uderzenia kopyt o kamień, trzask bata i pokrzykiwania spanikowanego woźnicy.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.* – Dziewczyna się przeżegnała.

Burza wyraźnie traciła impet, deszcz ustawał. Błyskawice pojawiały się coraz rzadziej, na długie sekundy pogrążając w mroku krętą górską drogę. Konie wciąż gnały przed siebie, niebezpiecznie szybko zbliżając się do zakrętu. Johan wstrzymał oddech, Losaneta powtarzała słowa modlitwy, choć – chłopiec mógłby się założyć – dramatyzm całej tej sceny sprawiał jej w pewnym sensie przyjemność. Nad przełęczą znowu zapadła ciemność. Brat i siostra czekali na błyskawicę jak na wyrok. Jedna sekunda, dwie, trzy... Błysnęło, ale zbyt krótko i daleko, by dało się dostrzec coś więcej niż czarny kształt powozu, niebezpiecznie balansujący na krawędzi przepaści. Dziewczyna zamknęła oczy, chłopiec ścisnął jej dłoń. Patrzył, choć widział jedynie strugi deszczu, połyskujące srebrem w mdłym świetle księżyca, który na chwilę wychynął zza chmur. A potem zamiast gromu usłyszeli rzenie śmiertelnie przerażonych koni i głuchy trzask pękającego drewna, najpierw jeden, a potem kolejne, coraz cichsze, kiedy powóz staczał się w głąb przepaści, uderzając o skały.

Gdy kilkanaście sekund później niebo rozjaśniła kolejna słaba



błyskawica, na drodze nie było już nikogo.

\*\*\*

Czwórka mężczyzn wkładała pośpiesznie płaszcze, tłocząc się w wąskiej sieni. Johan patrzył na nich z rozpaczą.

– Pozwól mi iść z wami – spróbował jeszcze raz, choć wiedział, że to bez sensu. – Nie jestem dzieckiem!

– Jesteś i dlatego właśnie zostajesz. – Barczysty czterdziestolatek o arystokratycznych rysach sprawiał wrażenie kogoś, kto nie znosi sprzeciwu.

Chłopiec nadał się.

– Andreu i Grigori są ode mnie starsi tylko o trzy lata.

– I to w zupełności wystarczy – odparł wyglądający jak młodsza kopia ojca Andreu, który sięgał właśnie po linę. – Zmykaj i nie przeszkadzaj dorosłym.

Johan zgarbił się i zacisnął usta. Trzeci z braci, równie jasnowłosy jak wszystkie dzieci wicehrabiego de Limayrac, lecz najmniej do rodzica podobny, mrugnął do chłopca.

– Następnym razem, kiedy ktoś wpadnie do przepaści, ojciec na pewno pozwoli ci pójść.

Służący zdjął z haka latarnię, zapalił ją, krzesząc ogień, i wkrótce cała czwórka zniknęła w mroku. Johan odprowadził ich spojrzeniem, a potem zamknął drzwi, przetykając złość przez ściśnięte gardło. „Następnym razem, kiedy ktoś wpadnie do przepaści, ojciec na pewno pozwoli ci pójść”. To wcale nie brzmiało jak pocieszenie, prędzej jak kpina.

Gdy się odwrócił, napotkał spojrzenie siostry. Miękki blask stojącej we wnęce okiennej świecy podkreślał delikatność jej rysów i bladą cerę. Losaneta zawahała się na ułamek sekundy, a potem podbiegła i chwyciła brata za rękę.

– Tak się cieszę, że nie pojechałeś z nimi – powiedziała żarliwie. – Nie mogłabym tu zostać sama, po prostu bym nie mogła!

\*\*\*

Burza pomrukiwała już tylko niegroźnie po drugiej stronie gór, lecz deszcz nadal siąpił, a podmuchy porywistego wiatru ciskały w twarze mężczyzn krople wody. Pierwszy szedł skulony pod obszerną peleryną służący z latarnią, za nim wicehrabia i dwaj synowie. Wszyscy urodzili się w tych górach, znali tu każdy kawałek ziemi i każdą skałę. I dobrze wiedzieli, jak bardzo zdradliwe potrafią być śliskie kamienie – dlatego schodzili ostrożnie, starannie wybierając miejsca, w których stawiali stopy. Pośpiech nie leżał w ich naturze. Człowiekowi, który spoczywał w tej chwili na dnie przepaści, na nic nie przydadzą się ratownicy z połamanymi nogami.

Nie musieli szukać miejsca, w którym powóz spadł z drogi. Jeden z koni wciąż rżał rozpaczliwie, a w jego głosie było tyle bólu, że Symeon de Limayrac, twardy człowiek gór, wzdrygnął się odruchowo. Potem wyjął z pasa pistolet i podał go Grigoriemu.

– Dobij zwierzę i zobacz, czy jest kogo wyciągać.

Chłopak skinął głową. Andreu przymocował jeden koniec liny do pnia rosnącej niedaleko limby. Było to niskie, powykręcane od górskich wichrów drzewko. Sprawiało wrażenie rachitycznego, lecz Grigori nie miał oporów, by mu zaufać – wiedział, że aby przetrwać w takim miejscu, limba musiała dobrze wczepić się korzeniami w skaliste zbocze.

Gdy Andreu obserwował, jak młodszy o kilkanaście minut brat znika za krawędzią przepaści, na jego twarzy nie uzewnętrzniło się nic z uczuć szalejących we wnętrzu chłopaka. To on powinien zejść na dół, nie Grigori, jednocześnie wiedział przecież, że decyzja ojca jak zawsze była dobra, bo lżejszy i zwinniejszy bliźniak miał większe szanse bezpiecznie dotrzeć na dół. Wybór był oczywisty i Andreu nie zamierzał go kwestionować – nawet teraz, kiedy chodziło dosłownie o śmierć i życie, nawet w myślach. Patrzył więc tylko, mając nadzieję, że Grigori będzie miał odwagę zrobić to, co konieczne.

Tymczasem młodszy brat, z latarnią przewieszoną przez przegub i pistoletem za pasem, schodził coraz niżej bez większych problemów, bo lina miała rozmieszczone w równych odstępach węzły, w które

powkładano krótkie, ale mocne patyki, tak że całość tworzyła coś w rodzaju prymitywnej drabinki sznurowej. Rżenie konia słabło z każdą chwilą, a kiedy chłopak stanął obiema nogami na pewnym gruncie, zapadła cisza. Grigori uniósł latarnię, licząc na to, że zwierzę wreszcie skonało, ale nie – światło wyłowiło z mroku wielkie mrugające oko i spieniony pysk, który poderwał się w ostatnim rozpaczliwym zrywie. Chłopak wyjął pistolet, odwiódł kurek i strzelił. Huk odbił się echem wśród skał i koń znieruchomiał. Niedaleko leżał woźnica, deszcz padał w szeroko otwarte oczy, a krew z pękniętej czaszki mieszała się z wodą i wsiąkała w ziemię. Grigori nie trudził się sprawdzaniem, czy człowiek żyje – od razu było widać, że w tym przypadku żadna pomoc na nic się nie przyda.

Dwadzieścia stóp, pomyślał, bo taką mniej więcej głębokość miała przepaść w tym miejscu. Wystarczająco dużo, by ktoś, kto ma pecha, rozbił sobie głowę. I wystarczająco mało, by ktoś obdarzony odrobiną szczęścia dotarł na dno żywy, choć pewnie mocno poobijany.

Może pasażer miał więcej fartu niż woźnica.

Grigori postawił latarnię na boku przewróconego powozu, uchylił drzwiczki, które teraz otwierały się do góry niczym kłapa w podłodze, i zajrzał do środka. Światło latarni odbiło się w odłamkach strzaskanej szyby, błysk wyłowił z ciemności bladą twarz podróżnego. Mężczyzna był nieprzytomny, ciemne włosy miał zlepione krwią, lewą rękę wykręconą pod nienaturalnym kątem, ale niewątpliwie żył. Chłopak zmarszczył brwi. Nie na widok piersi rannego unoszącej się w nierównym oddechu, tylko na widok drugiej postaci, leżącej w cieniu. Opuścił lampę niżej, przechylając się w głąb powozu. Drugi mężczyzna był identycznie ubrany, z identycznymi ciemnymi włosami w identyczny sposób związanymi na karku. Grigori poczuł ukłucie niepokoju. Co, u licha?

– Przeżył ktoś? – krzyknął z góry Symeon de Limayrac, ale chłopak postanowił go zignorować. Usprawiedliwił się później tym, że nie usłyszał pytania przez szum deszczu.

Zawahał się, a potem wskoczył do powozu. Szkło zachręściło mu pod stopami, latarnia zakołysała się w rękach, rzucając refleksy światła na obite miękkim pluszem ścianki. Te ściany

najprawdopodobniej uchroniły przed śmiercią pierwszego podróżnego, a być może także i drugiego.

Grigori pochylił się, chwycił za ramię leżącego w cieniu człowieka i niezbyt delikatnie odwrócił go na plecy. Stukot bębniącej o bok powozu ulewy zagłuszył przekleństwo, które wyrwało się z ust chłopaka.

Obaj podróżni nie tylko ubrani byli identycznie. Również ich twarze podobne były do siebie jak dwie krople deszczu.

\*\*\*

Dwaj wyciągnięci z przepaści mężczyźni leżeli w dwóch zamkniętych na klucz komnatach zamku Limayrac. Obu zdążył już obejrzyć wezwany z miasteczka lekarz, który studia kończył przed czterdziestoma laty i wciąż jeszcze wierzył w potęgę astrologii. Tym razem postawienie horoskopu nie wchodziło w grę, staruszek pokiwał więc tylko siwą głową, pomamrotał, po czym orzekł, że obaj pacjenci będą żyć – jednemu wystarczy nastawić zwichniętą rękę, drugi natomiast, zdaniem sędziwego medyka, koniecznie potrzebował na pierś okładu z kozich bobków. Wicehrabia de Limayrac podziękował za radę, do nastawienia ręki zagonił silnego pacholka, zaś recepturę na maść bobkową rozsądnie wrzucił do kominka.

Zbliżała się północ, gdy rodzina de Limayrac zebrała się w kaplicy na tradycyjną wieczorną modlitwę. Wicehrabia odmówił *Ojcze nasz*, a potem poprosił Czarną Berengarię o wsparcie dla leżących bez przytomności gości. Czwórka jasnowłosych dzieci zawtórowała mu cichymi szeptami, jasnowłosa żona patrzyła na tę scenę z łagodnym, dumnym uśmiechem – niezależnie od tego, jakie zło czyhało wokół, jej rodzina była bezpieczna, kochająca się i dobra.

Gdy skończyli, wicehrabia wstał, dwójkę młodszych pociech ucałował po ojcowsku w czoła, a bliźniakom skinął głową. Grigori chciał coś powiedzieć, ale mężczyzna uniósł dłoń.

– Nie ma sensu martwić się na zapas – powiedział. – Miejmy nadzieję, że jutro coś się wyjaśni. Pora się położyć, nie sądzisz, moja droga?

To nie było pytanie i żona świetnie o tym wiedziała. Wstała z klęcznika, by podążyć za mężem. Czwórka młodych de Limayraców została sama. Losaneta podniosła się, z uśmiechem wdzięczności przyjmując pomoc Johana, Grigori patrzył jeszcze przez chwilę na krzyż, a potem przeżegnał się i odwrócił w stronę rodzeństwa.

Trzy pary oczu spoglądały na niego oskarżycielsko. W przypadku Losanety był to łagodny wyrzut, dwojce braci natomiast niewiele brakowało do wściekłości.

– Musiałeś to zrobić? Naprawdę musiałeś? – zapytał Andreu. – Przez ciebie...

Dziewczyna uniosła dłoń gestem zaskakująco podobnym do gestu ojca.

– Proszę, nie kłóćmy się teraz – powiedziała. – Ojciec ma rację, nie ma sensu martwić się na zapas.

– Nie rozumiesz sytuacji, siostrzyczko. – Andreu pokręcił głową. – Musimy podjąć jakąś decyzję.

– Dlaczego? – Losaneta powiodła spojrzeniem po twarzach braci. – Czy któryś z was wie, co się dzieje w zamku?

Andreu zacisnął usta i z ociąganiem zaprzeczył, Grigori parsknął, po czym wzruszył ramionami. Johan tylko potrząsnął głową.

– Sami widzicie. – Panna uśmiechnęła się słodko. – Nie mamy się czym martwić.

\*\*\*

Leżący na łóżku mężczyzna ocknął się kilkanaście sekund wcześniej, ale jeszcze nie otworzył oczu. Nie potrafił przypomnieć sobie swojego imienia ani nazwiska, nie wiedział, gdzie się znajduje. Instynkt jednak podpowiadał mu, że lepiej będzie, jeśli najpierw zorientuje się w miarę możliwości w sytuacji, a potem dopiero zdradzi z odzyskaniem przytomności.

Domenic Jordan – tak właśnie się nazywał. Imię i nazwisko napłynęło do niego z ciemności razem ze wspomnieniem nuzającej podróży i bębniącego o dach powozu deszczu. Dokąd jechał?

Do zamku Limayrac, podpowiedziała ciemność, nadal jednak nie

potrafił sobie przypomnieć, dlaczego właściwie zmierzał w to miejsce. W jego wspomnieniach ziały dziury, głowa bolała, jakby zeszłego wieczoru wypił zbyt wiele mocnego wina. Domenic Jordan pamiętał jednak z całkowitą pewnością, że nie zwykł się upijać. Nawet za niedawnych studenckich czasów rzadko wychylał więcej niż kilka kieliszków. I wiedział o sobie jeszcze jedno – otóż nie znosił uczucia bezradności, bycia zdanym na łaskę innych. Leżał więc teraz w ciepłej pościeli, oddychając płytko, bo każdy ruch klatki piersiowej powodował ból, słuchał trzaskającego niedaleko ognia i z trudem tłumił irytację.

Ktoś obok wstał i szurając nogami, podszedł do kominka, by dorzucić drewna. Płomienie musiały strzelić wysoko, bo Jordan poczuł na policzkach uderzenie gorąca. Ostrożnie uniósł powieki. Przy ogniu kucał siwowłosy mężczyzna – sądząc po stroju, służący. Chwilę później starzec odwrócił się i na wpół ślepe, wodniste oczy napotkały spojrzenie ciemnych oczu leżącego na łóżku człowieka. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym służący wstał i zaskakująco chyżo jak na swój wiek pognał do drzwi. Otworzył je i wyszedł, zamykając z drugiej strony.

Zgrzyt klucza w zamku momentalnie zmienił irytację w coś niebezpiecznie bliskiego strachu. Jordan spróbował usiąść. Udało mu się, choć za cenę mdlącego bólu, który obejmował cały prawy bok. Złamane żebra, potwierdził to, co podejrzewał już wcześniej, i poruszył stopami – dzięki Bogu, wyglądało na to, że przynajmniej nogi ma całe. Mimo to nie zaryzykował wstania, rozejrzał się jedynie wokół. Leżał w niewielkiej komnacie pełnej ciężkich, staroświeckich mebli z górskiej sosny. Przez wąskie okno widać było zaciągnięte chmurami niebo, na stoliku obok łóżka stał gliniany kubek z rozcieńczonym winem. Jordan napił się i czekał. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego.

Chwilę później w zamku znowu zgrzytnął klucz i do komnaty wszedł jasnowłosy mężczyzna. Miał orli nos, wysoko sklepięte czoło i pięknie wykrojone usta – rysy niewątpliwie arystokratyczne, ale nie zniewieściałe, jak często się zdarzało osobom w tym typie. Od przybyścia aż była zdrowa i prosta męska siła, taka, która kształtuje się

w ogniu bitew, na polowaniach albo – w ostateczności – przy stołach biesiadnych, nigdy natomiast wśród ksiąg. Jordan nie musiał się zastanawiać, by odgadnąć, że tym razem ma do czynienia z panem zamku. Nie uszedł jego uwagi także pistolet za pasem wchodzącego oraz ręka, która niebezpiecznie blisko tegoż pistoletu się znajdowała.

– Obudził się pan – powiedział wicehrabia de Limayrac, a Jordan dokładnie w tym momencie przypomniał sobie jego imię: Symeon. – Wie pan, kim pan jest?

– Domenic Jordan.

Wicehrabia lekko, niemal niedostrzegalnie zacisnął usta, a jego ręka powędrowała jeszcze bliżej pistoletu, by po chwili cofnąć się z ociąganiem, jakby mężczyzna uświadomił sobie, że leżący w łóżku ranny człowiek żadnego zagrożenia nie stanowi.

– Jest pan pewien?

Pytanie zabrzmiało absurdalnie i w innych okolicznościach Jordan prawdopodobnie rzuciłby jakąś ironiczną uwagę. Teraz jednak nie miał ochoty na żarty. Coś tu było mocno nie w porządku.

– Oczywiście, że tak.

– Tamten mówi to samo... – mruknął de Limayrac.

– Tamten? – Jordan uniósł brwi.

– Wie pan, co się stało? Pamięta pan burzę i spadający w przepaść powóz?

– Nie – musiał przyznać Jordan. – Pamiętam jedynie, że jechałem do zamku Limayrac. Bo jestem w Limayrac, prawda?

Wicehrabia skinął głową.

– Ocaliliśmy pana oraz pańskiego towarzysza. Obaj mieliście szczęście. Woźnica zginął, niestety. Kiedy pogoda się poprawi, wyciągniemy jego ciało i sprawimy nieszczęśnikowi chrześcijański pogrzeb. Ale pewnie przed Małgorzaty nie przestanie padać. Dziś jest szósty czerwca – dodał dla wyjaśnienia.

Jordan poszukał we wspomnieniach nazwiska woźnicy oraz jego twarzy. Nie znalazł ani jednego, ani drugiego, ale odsunął chwilowo ten problem na bok.

– Kogo pan ma na myśli, mówiąc o moim towarzyszu?

– Człowieka, którego znaleźliśmy z panem w powozie. Wygląda jak

pański brat bliźniak. Identyczne rysy twarzy, identyczne ubranie. Dwie godziny temu odzyskał przytomność.

– I twierdzi, że również nazywa się Domenic Jordan?

Symeon de Limayrac skinął głową. Jego dłoń znowu powędrowała w stronę pistoletu i znowu się cofnęła. Niebieskie oczy pozostały czujne.

– Jest pan pewien, że nie ma bliźniaczego brata?

– Jestem. Poza tym – tym razem Jordan pozwolił sobie na lekki uśmiech, bardziej przypominający skrzywienie warg – nawet gdybym miał, to raczej nie nosilibyśmy tego samego imienia.

– I nie wie pan, skąd... ten drugi wziął się w pańskim powozie?

Jordan jeszcze raz przywołał wspomnienia, tym razem dawniejsze. Do zeszłego tygodnia wszystkie były jasne. Pamiętał, jak świętował zakończenie studiów medycznych, a potem, gdy kolega ze stacji odchorowywał zabawę, siedział przy biurku i rozważał na chłodno, co powinien począć ze swoją przyszłością. Dotąd żył ze stypendium ufundowanego przez biskupa Malartre, teraz miał do wyboru otworzyć praktykę, zostać na uniwersytecie jako asystent profesora Parmenesa albo poszukać sobie innej pracy. O tym, że do leczenia się nie nadaje, wiedział od dawna – brakowało mu cierpliwości i współczucia niezbędnego przy łóżku chorego, nie wspominając o tym, że banalne choroby zupełnie go nie interesowały. Oferta Parmenesa brzmiała intrygująco, tu jednak problemem były niskie uniwersyteckie pensje – bo Domenic Jordan, choć jak dotąd nie miał zbyt wielu okazji, by posmakować wystawnego życia, wiedział już, że lubi rzeczy w najlepszym gatunku, takie, za które trzeba słono płacić. Pochlebiał sobie, że mógłby zerwać z tą słabością, gdyby musiał, ale... wolał nie musieć. Wtedy właśnie niczym prawdziwy dar losu pojawiło się zaproszenie od biskupa, który pokazał Jordanowi list Symeona de Limayrac, a potem zaproponował wyprawę w góry, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że jeśli protegowany się sprawdzi, w przyszłości będzie czekać na niego więcej takich niebezpiecznych, ale hojnie opłacanych zadań. Jordanowi niebezpieczeństwo nie przeszkadzało, zaś perspektywa rozwiązania tajemnicy pociągała jeszcze bardziej niż wizja pękatej sakiewki, dlatego propozycję Jego



Ekscelencji przyjął z młodzieńczym entuzjazmem, którego teraz, kiedy już ochłonał, szczerze mówiąc, trochę się wstydził.

Dalej, niestety, natrafiał we wspomnieniach na coraz więcej czarnych dziur. Podróż z Alestry jawiła się jako szereg niepowiązanych ze sobą obrazów: zadymione wnętrze karczmy, w której zatrzymał się na obiad, czerwony nos woźnicy (jak on się nazywał?) opowiadającego jakąś mało zabawną dykteryjkę czy wreszcie łąki pokryte aż po horyzont fioletowymi kwiatami lawendy. A także słońce, wpadające przez okno powozu i kładące się długimi złotymi pasmami na obitym pluszem siedzeniu naprzeciwko – pustym, bo Domenic Jordan mógłby przysiąc, że większość drogi przebył samotnie. Jeśli ktoś mu towarzyszył, musiał się dosiąść na ostatnim etapie podróży, tym, którego nie pamiętał zupełnie. Od wysilania pamięci tylko jeszcze bardziej rozboleła go głowa. Coś się wtedy wydarzyło, coś ważnego – to jedyne, czego był pewien. Na chwilę ujrzał kolejny obraz: strużki deszczu na szybie i majaczący za oknem powozu ciemny kształt, ale wszystko zniknęło, zanim zdążył uchwycić sens tego wspomnienia.

Spojrzał na Symeona de Limayrac, który z prawdziwie góralską cierpliwością czekał na odpowiedź.

– Niestety, nie. A co mówi mój sobowtór?

Wicehrabia skrzywił się lekko.

– Że nie pamięta. I nie wie też, po co właściwie do nas jechał. Musiałem mu wszystko wytłumaczyć.

– Obawiam się, że jestem w dokładnie tej samej sytuacji – przyznał Jordan. – Gdyby mógł mi pan powtórzyć to, co pan powiedział tamtemu człowiekowi, byłbym bardzo wdzięczny.

De Limayrac westchnął ciężko.

– Niech będzie. Wszystko zaczęło się od śmierci młodego Huca, który pracował w kuchni. Bezczelny chłopak, ale całkiem zdolny cukiernik. Znaleźliśmy go w kącie podwórza, niedaleko latryn, z rozerwanym gardłem. Uznałem wtedy, że to sprawka jednego z psów, które czasem uciekają z kojca i włóczą się po zamku. Jednak parę dni później zginęła Helis, nasza stara służąca. Jej gardło również zostało rozcięte, rozszarpane jakby zwierzęcymi szczękami. Tym

razem do zabójstwa doszło w pokoju na trzecim piętrze, nie było więc mowy o włóczącym się psie. Od razu przeszukaliśmy zamek, ale nikogo obcego nie znaleźliśmy. Za to w jednej z nieużywanych komnat natrafiliśmy na ślady bluźnierczego rytuału. Kreda niestarannie starta z posadzki, plamy po wosku i czarnomagiczna księga, którą ktoś bez powodzenia próbował spalić w kominku – nie było wątpliwości, na co patrzymy. Wtedy postanowiłem napisać do biskupa Malartre, który kiedyś był u nas proboszczem, a on obiecał, że przyśle tutaj pana. Podobno zna się pan na tego typu sprawach.

– A ja zjawilem się w dwóch osobach – dokończył Domenic Jordan, lekko zdumiony żołnierską zwięzłością tego raportu. – Bardzo niezręczna sytuacja, z pewnością.

– Cieszę się, że pan to rozumie – mruknął de Limayrac. – Nie mam pojęcia, kto jest prawdziwym Domenikiem Jordanem ani kim jest ten drugi, ale dopóki to się nie wyjaśni, żaden z was nie wyjdzie ze swojego pokoju. Będziecie mieli do dyspozycji służącego, który zadba o wasze potrzeby, jednak drzwi pozostaną zamknięte na klucz. I posłałem już rano do Alestry gońca z kolejnym listem. Niech biskup zdecyduje, co w takiej sytuacji robić.

Domenic odruchowo skinął głową. Najwyraźniej został właśnie więźniem, ale nie miał o to pretensji – na miejscu wicehrabiego zapewne postąpiłby tak samo. Teraz należało się zastanowić, jak udowodnić, że jest prawdziwym Jordanem, a nie oszustem.

– Czy moje rzeczy zostały w powozie? – zapytał. – Miałem torbę, a w niej między innymi dokumenty i parę pistoletów.

– Zabraliśmy do zamku wszystko, co znaleźliśmy. Rzeczy osobiste... No cóż, obawiam się, że chwilowo musicie się panowie nimi podzielić. Broni nie oddam żadnemu z was. Nawiasem mówiąc, tamten też o nią pytał.

Domenic Jordan skrzywił się lekko. Wyglądało na to, że jego tajemniczy towarzysz ma przewagę. Wcześniej odzyskał przytomność, a niewątpliwie łatwiej zrobić dobre wrażenie, będąc pierwszym niż drugim. Nie wspominając już o tym, że sobowtór miał też więcej czasu, by zorientować się w sytuacji. Dwie godziny, pomyślał Jordan. Niewiele, ale w tym przypadku i taka różnica mogła kosztować życie.

Zwłaszcza jeśli zagadkowy mężczyzna wcale mężczyzną nie był, co wydawało się nader prawdopodobne.

– Rozumiem, że nieswojo pan się czuje, prowadząc drugi raz tę samą rozmowę – zaczął lekko, skrywając lęk. – Ale proszę spojrzeć na to z mojej perspektywy. Przywykłem uważać się trochę za oryginała, taka mała słabostka. A teraz nagle spotykam kopię samego siebie. I mam szczerą nadzieję, że mój sobowtór niczego podobnego nie powiedział.

– Owszem, powiedział. Pytał też, kto mieszka w zamku. Powtórzyć panu?

– Chętnie posłucham.

– Jestem tu ja, moja żona, dōna Ysabeau, oraz czwórka dzieci. Andreu i Grigori to bliźnięta, obaj mają po osiemnaście lat. Potem Losaneta, moja jedyna córka, siedemnastoletnia, oraz dwa lata młodszy Johan. Służby mamy osiem osób, wszyscy to dobrzy, zaufani ludzie, często pracujący dla naszej rodziny od pokoleń.

– Rozumiem więc, że nikogo z nich nie podejrzewa pan o przeprowadzenie magicznego rytuału?

– Z całą pewnością nie.

– W takim razie kto zamordował Huca i Helis? – spytał łagodnie Jordan.

– Nie mam pojęcia. To pan miał się tego dowiedzieć, nie ja. – Wzrok de Limayraca nie pozostawiał wątpliwości, że uważa gościa za zbyt młodego i niedoświadczonego, by powierzać mu tak odpowiedzialne zadanie.

Domenic Jordan zapytał jeszcze o parę rzeczy, ale nie dowiedział się niczego ciekawego. Odnosił irytujące wrażenie, że błądzi po omacku, sięgnął więc po jedyne konkrety, jakie w tej chwili mógł mieć.

– Czy mógłbym obejrzeć zwłoki Huca i Helis?

– Oboje zostali już pochowani.

– Skąd ten pośpiech?

Wicehrabia wzruszył ramionami.

– A po co miałem ich trzymać w piwnicy? Jasnowidza w pobliżu nie ma, a zanim udałoby mi się sprowadzić kogoś z Alestry, zwłoki

zaczęłyby gnić i na nic by się nie przydały.

Jordan przełknął cisnące się na usta wyjaśnienie, że nie tylko jasnowidze potrafią wyczytać prawdę z martwego ciała.

– W takim razie chciałbym obejrzeć tę czarnomagiczną księgę, bo zakładam, że wyjęliście ją z kominka? – Mięsień na twarzy wicehrabiego drgnął lekko. – Zakładam również, że mój sobowtór już o to prosił, prawdopodobnie też zapewnił pana, że sama księga, bez akcesoriów takich jak świece czy święcona kreda, na nic się nie przyda, więc nie musi się pan obawiać, że odprawię jakiś niebezpieczny rytuał.

De Limayrac wolno skinął głową.

– Dokładnie tak właśnie powiedział.

– Zgodził się pan udostępnić księgę?

– Tak – wicehrabia skrzywił się lekko – choć nie ukrywam, że cała ta sytuacja bardzo mi się nie podoba. Ze względu na mocno nietypowe okoliczności staram się traktować każdego z panów bardziej jak gościa niż więźnia, a nie jest to dla mnie łatwe. Cóż, skoro jednak zgodziłem się w przypadku tamtego, wypada, by również i pan miał okazję zapoznać się z księgą.

De Limayrac wstał i kontynuował już przy drzwiach:

– Gdyby pan czegoś potrzebował, służący będzie czekał na korytarzu. Uczyniłem też mojego najstarszego syna osobiście odpowiedzialnym za bezpieczeństwo obu panów. Jeśli pod moim dachem któremuś z was stanie się krzywda, Andreu za to odpowie.

– Dziękuję. – A więc pan zamku doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gościowi – czy raczej w tym przypadku obu gościom – może grozić niebezpieczeństwo. Dobrze i to.

Gdy wicehrabia pożegnał się i wyszedł, Jordan zdecydował się wreszcie wstać. Powoli, bardzo ostrożnie podszedł do okna, po czym przymknął oczy i oddychając ciężko, oparł czoło o zimną szybę. Cieszył się, że nikt go w tej chwili nie widzi. Był słaby jak nowo narodzone jagnię, które z trudem trzyma się na nogach. Dopiero po chwili spojrzął na zewnątrz – tak jak się spodziewał, komnata, w której go umieszczono, znajdowała się wysoko nad wyschniętą fosą. Piętnaście, może nawet dwadzieścia stóp gładkiego muru, po

którym zdołałby zejść chyba jedynie cyrkowy akrobata – a Jordan, nawet w najlepszej formie, akrobatą przecież nie był. Podszedł do drzwi i również bez zdziwienia przekonał się, że to solidny kawał dębowego drewna.

Podróż powozem do Alestry trwała dwanaście godzin, śpieszący się konny posłaniec bez większego trudu przebywał tę drogę w sześć–siedem. Prawdopodobnie więc już dziś przed wieczorem Ipolit Malartre zostanie powiadomiony o całej sytuacji. Jeśli zareaguje szybko, jutro ktoś z biskupiego dworu zjawi się w Limayrac.

Domenic Jordan postanowił, że do tego czasu sam rozwikła sprawę i kiedy posłaniec przybędzie, przedstawi mu gotowe rozwiązanie.

\*\*\*

Minęła trzecia po południu, kiedy zjawił się siwowłosy służący z rzeczami Jordana – a ściślej biorąc, z połową rzeczy, bo wicehrabia dotrzymał słowa i bagaż podzielił sprawiedliwie pomiędzy dwóch nietypowych gości. Pistoletów, rzecz jasna, w przyniesionej stercie nie było. Gdy starzec wyszedł, Domenic ubrał się, posykując z bólu, po czym blady i spocony opadł na fotel. Kwadrans później drzwi znowu się otworzyły i zanim służący wszedł do środka, Jordan zdążył zobaczyć na korytarzu uzbrojonego pachołka.

Starzec postawił na stoliku miskę z zupą i kolejny kubek rozwodnionego wina. Jordan zawahał się, ale doszedł do wniosku, że może jeść bez obaw – trucizny, których nie da się wyczuć smakiem, były na tyle rzadkie, że nikt z rodziny wicehrabiego raczej nie miał jednej z nich pod ręką. Zjadł więc, próbując nawiązać rozmowę, sługa jednak wszystkie pytania zbywał niechętnymi pomrukami. Może był milkliwy z natury, a może pouczono go, by nie wdawał się w pogawędki z więźniem – tak czy inaczej, wyglądało na to, że z tego źródła Domenic niczego się nie dowie.

Staruszek wyszedł, a Jordan usiadł w fotelu i cierpliwie czekał. Był pewien, że prędzej czy później ciekawość przygna tu kogoś, z kim będzie można porozmawiać.

Nie mylił się. Wkrótce drzwi skrzypnęły znowu i do komnaty

wszedł jasnowłosy młodzieniec, tak podobny do wicehrabiego, że Jordan ani przez moment nie miał wątpliwości, że to jeden z jego synów.

– Andreu, Grigori czy Johan? – zapytał.

– Andreu – odparł chłopak, siadając naprzeciwko Jordana. – Nie powinien pan tu przyjeżdżać. Tamten drugi też nie, kimkolwiek jest.

– Przyszedł pan specjalnie po to, żeby mi to powiedzieć?

Andreu zacisnął usta. Podobnie jak ojciec miał broń i podobnie jak ojciec dłoń bezustannie przesuwiał coraz bliżej tkwiącego za pasem pistoletu – tyle że Symeon de Limayrac sprawiał wrażenie po prostu ostrożnego, podczas gdy jego najstarszy syn był raczej wystraszony i pełen niechęci tak wyraźnej, że Jordan odczuwał ją niemal fizycznie.

– Ojciec prosił, żebym zadbał o pana bezpieczeństwo. Gdyby nie to...

– To co? – zapytał uprzejmym tonem Domenic Jordan, zastanawiając się, czy byłby w stanie wytrącić Andreu pistolet z ręki. Za oknem rozpadał się deszcz, w pokoju pociemniało. Jordan wstał z trudem, dorzucił drewno do kominka, a potem odpalił świecę od płonącego polana. Przy okazji przysunął pogrzebacznik nieco bliżej fotela – nie była to najlepsza broń, ale jedyna, jaką w tej chwili miał.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie powinien pan tu przyjeżdżać. – Andreu poruszył się niespokojnie.

– Już pan to mówił – przypomniał Jordan. – Zrozumiałem za pierwszym razem. Problem w tym, że teraz nic nie da się z tym robić. Chyba że umożliwi mi pan ucieczkę. Mogę zniknąć, jeśli zostawi pan otwarte drzwi i powie mi, gdzie znajdę stajnię.

Wcale nie miał zamiaru uciekać, chciał jedynie sprawdzić, jak na taką propozycję zareaguje jego gość. A młodzieniec zawahał się – najwyraźniej pomysł wydawał mu się kuszący – w końcu jednak pokręcił głową i jeszcze mocniej zacisnął usta.

– Obiecałem ojcu, że będę miał na panów oko. Zadbam o wasze bezpieczeństwo, ale też nie pozwolę, żeby któryś z was uciekł albo kogoś skrzywdził. Czy to jest jasne?

– Jak słońce. Zastanawiam się natomiast, czy nie mógłbym się zobaczyć z moim sobowtórem. Może wtedy doszlibyśmy do zgody,

który z nas jest prawdziwy.

– Tamten też coś takiego proponował, ale ojciec się nie zgodził. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne.

– Wszyscy tutaj robicie to, co każe wam ojciec?

– Oczywiście, że tak. – W głosie Andreu zabrzmiało oburzenie.

Domenic Jordan westchnął.

– W porządku, skoro obaj zgadzamy się, że muszę tu zostać, to może wykorzystajmy ten czas, żeby porozmawiać o tym, co dzieje się w zamku.

– Nic się nie dzieje. – Wyraz twarzy młodego dziedzica był odpychający i jednocześnie pełen rozpacz.

– Dwa trupy z rozerwanymi gardłami to dość ekscentryczna definicja słowa „nic”.

– To wina psów. Są na wpół zdiczale, a Ramon prawie każdego wieczoru zapomina porządnie zamknąć kojec, dlatego włóczą się po całym zamku. W zeszłym tygodniu jednego znalazłem przy schodach kuchennych, więc równie dobrze mógłby wejść na trzecie piętro. Ojciec powinien zrobić z tym porządek, ale on kocha te bestie, a Ramon to jego dawny piastun, co z tego, że prawie ślepy...

Zamilkł nagle, najwyraźniej przerażony własnymi słowami.

– A magiczna księga? – pomógł mu Jordan.

Andreu otrząsnął się i wzruszył ramionami.

– Mamy dużą bibliotekę, ale do większości ksiązek nikt nie zaglądał od lat, bo z naszej rodziny tylko Grigori i Losaneta lubią czytać. Co z tego? Założę się, że w każdym starym domu znalazłaby się jakaś magiczna księga, którą ktoś kiedyś kupił na targu dla żartu, a potem całkiem o niej zapomniał. Może któryś ze służących szukał w niej leku na kurzajki albo na nieszczęśliwą miłość?

– Uważa więc pan, że wicehrabia podjął pochopną decyzję, wysyłając list do biskupa?

Młodzieniec zamrugał.

– Co? Oczywiście, że nie. Mój ojciec to mądry człowiek i zawsze wie, co robi.

– Nawet kiedy do dwóch zwykłych wypadków wzywa specjalistę od demonologii? – Tytuł Jordan przyznał sobie trochę na wyrost, ale

nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Potrzebował teraz całego szacunku, jaki mógł zdobyć.

Andreu zacisnął szczęki. Przez moment wyglądał absurdalnie młodo, zakłopotany i wściekły.

– W porządku, zostawmy to – powiedział Domenic. – A więc Grigori i Losaneta lubią książki, tak?

Syn wicehrabiego wstał gwałtownie.

– Nie muszę z panem rozmawiać. Jak pan śmie podejrzewać kogoś z mojej rodziny o coś tak haniebnego?

– To przecież nie ja podejrzewam, tylko pan. Zastanawiam się tylko kogo. Siostrę? Nie, chyba nie. Pozostaje więc Grigori.

– Oczywiście, że nie podejrzewam mojego brata – odparł Andreu, tym razem jednak oburzenie na jego twarzy było zdecydowanie mniej wiarygodne. Chwilę później młody wicehrabia pożegnał się i wyszedł.

Domenic Jordan znowu został sam.

\*\*\*

Nie musiał czekać długo, kwadrans później do komnaty wszedł drugi młodzieniec. Również jasnowłose, ale o łagodnych, trochę jakby dziewczęcych rysach. Z wdziękiem opadł na fotel przed Jordanem i wlepiał w niego spojrzenie niebieskich oczu.

– Naprawdę jesteście identyczni – oznajmił zamiast przywitania. – Znacznie bardziej do siebie podobni niż ja i Andreu.

– Wolałbym, żeby choć raz ktoś przyszedł najpierw do mnie, zamiast do tamtego. – W głosie Jordana zabrzmiała uraza.

Grigori zachichotał.

– Zazdrość, co? Znam to. Mój brat jest starszy o kilkanaście minut. Niewiele, ale wystarczy, żeby to on odziedziczył tytuł i wszystkie ziemie. Nie żeby mi na tym jakoś szczególnie zależało.

– A na czym panu zależy?

– Och, możemy mówić sobie po imieniu. Nie jesteś przecież dużo starszy ode mnie.

Grigori musiał dostrzec zdziwienie Jordana, bo znowu się roześmiał.



– Zaskoczony? Cóż, jestem trochę rodzinnym buntownikiem.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – przypomniał Jordan, rezygnując z formy „pan”. Grigori miał rację, dzieląca ich różnica wieku była niewielka, co w niczym nie zmieniało tego, że drugi syn wicehrabiego de Limayrac nieodparcie przywodził na myśl duże dziecko.

– Co mnie interesuje? Pomyślmy. – Grigori zmarszczył zabawnie brwi. – Wino, kobiety, najlepiej ładne i chętne. Albo przynajmniej niezbyt drogie. Tak, to chyba wyczerpuje zakres moich zainteresowań.

Jordan nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Chyba niewiele tu tego masz?

– Znalazłoby się trochę dobrego towarzystwa. Oczywiście to nie to samo co Alestra, ty pewnie bawisz się znacznie lepiej.

– Myślałeś o tym, żeby pojechać do stolicy?

Chmura przesłoniła twarz chłopaka. Bliźniacy nie byli identyczni, jednak odruchy mieli zaskakująco podobne – Andreu w taki sam sposób zaciskał szczęki. Oczywiście młodszy brat również był wystraszony i również nie pałał do Jordana sympatią, co bez powodzenia starał się ukryć pod uśmiechem.

– Nie. Jesteśmy bardzo tradycyjną rodziną. Matka i ojciec chcą nas mieć blisko siebie.

Domenic mógłby odpowiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z tradycją – zwyczajowo przecież najstarsi synowie dziedziczyli ziemię, a młodszy poświęcali się karierze w wojsku albo Kościele. Wicehrabia dawno już powinien pomyśleć o przyszłości swojego drugiego dziecka. Fakt, że tego nie zrobił, świadczył... o czym właściwie?

Grigori poczęstował Jordana jeszcze jednym nerwowym uśmiechem.

– Nie przeszkadza mi to – dodał. – Jak mówiłem, tu też jest dobre towarzystwo. Ale ty pewnie tęsknisz za Alestrą, zgadza się? Nie chciałbyś tam wrócić?

– A jeśli tak?

– Mogę ci to umożliwić. Człowiek przed drzwiami jest idiotą, oszukamy go bez problemu. Potem zaprowadzę cię do stajni i dam

naszego najlepszego konia. Co ty na to?

– Nie skorzystam, ale dziękuję za propozycję.

W oczach Grigoriego pojawił się i zaraz zniknął błysk złości.

– Proponuję ci ucieczkę z więzienia, a ty wolisz zostać? Dlaczego?

– Ponieważ intryguje mnie odpowiedź na pytanie, dlaczego tak bardzo chcesz się mnie pozbyć.

Chłopak zacisnął usta.

– To ja zszedłem na dół do przepaści i uratowałem wam życie.

– Bardzo chrześcijański uczynek – przyznał Jordan. – Oczywiście żałowanie, że się kogoś nie zabiło, jest już trochę mniej chrześcijańskie.

– Niczego nie żałuję – warknął Grigori, ale zdradziły go ton głosu i mina. – Chociaż mój brat wolałby pewnie, żebym wam wtedy poderżnął gardła.

– Dlaczego?

– Andreu bardzo nie lubi, kiedy obcy wtrącają się w nasze rodzinne sprawy.

– Na przykład takie jak mordowanie służących?

Zamiast odpowiedzi Grigori odwrócił się w stronę okna.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponował po chwili. – Tamten drugi mówi, że ubiera się na czarno, bo dzięki temu demony nie widzą go w ciemności. To prawda?

Jordan zamrugał. Nosił się na czarno, ponieważ ciemne materiały dobrej jakości były tańsze niż modne jasne, ale spodobało mu się wyjaśnienie sobowtóra.

– Prawda.

– O! – Chłopak najwyraźniej był pod wrażeniem. – I rzeczywiście znasz się na demonach?

– Interesuję się magią – odparł dyplomatycznie Jordan.

Grigori przełknął ślinę. Wyglądał teraz na tak nieszczęśliwego, że Domenicowi prawie było go żal.

– One nie zawsze... nie zawsze są złe, prawda?

– Nie zawsze. Ale najczęściej tak.

Chłopak pochylił się w stronę Jordana.

– Jesteś nim? – zapytał z napięciem. – Mnie możesz powiedzieć

prawdę.

– Kim jestem? Demonem? O coś takiego jeszcze nikt mnie nie podejrzewał. – To nie była do końca prawda, jednak Grigori nie musiał o tym wiedzieć. – Być może mam fatalny charakter, ale pochlebiam sobie, że do demona mi daleko.

Młodzieniec przygarbił się, jakby nagle uszło z niego całe powietrze.

– Pójdę już – mruknął, wstając z fotela.

– Andreu sądzi, że to ty jesteś odpowiedzialny za te dwie śmierci – zatrzymał go Jordan.

– Ja? – Grigori wytrzeszczył oczy. – Z powodu książki?

Domenic skinął głową.

– Książka to tylko głupi żart – oznajmił młodszy syn wicehrabiego, stojąc już w progu. – Nie ma nic wspólnego ze śmiercią Huca i Helis.

Obu bliźniakom daleko było do dobrych aktorów i gdyby Jordan miał zgadywać na podstawie zachowania Grigoriego i tonu jego głosu, powiedziałyby, że pierwsza część tego zdania była kłamstwem, druga natomiast prawdą. Ale oczywiście mógł się mylić.

\*\*\*

Po południu Jordan dostał następny talerz zupy – widać w Limayrac bardzo wierzono w leczniczą moc rosółu z kury. Zjadł, a potem przez chwilę stał przy oknie, obserwując zamkowy dziedziniec. Deszcz przestał padać, ale wiał porywisty wiatr, który szarpał płaszczami spacerującej rodziny. Przodem szli wicehrabia z żoną, za nimi czwórka dzieci. Jasnowłosy chłopiec – prawdopodobnie Johan – prowadził pod rękę śliczną dziewczynę, Grigori z ożywieniem mówił coś do Andreu. Zachodzące słońce rzucało długie cienie na kamienne płyty dziedzińca. Cała ta scena wyglądałaby zwyczajnie w parku, ale tutaj sprawiała dziwnie nienaturalne wrażenie. Kto spaceruje po własnym zamku, w dodatku w taką pogodę? Uwagi Jordana nie uszło, że członkowie rodziny trzymają się blisko siebie, jak kurczęta stłoczone w obawie przed lisem. Tylko Grigori wyłamał się odrobinę i szedł teraz dwa kroki z tyłu. Nie trwało to długo – ojciec odwrócił

się, posłał synowi surowe spojrzenie, a ten natychmiast przyspieszył.

Jordan drgnął lekko, gdy klucz zazgrzytał w zamku. Do komnaty wszedł znajomy już służący, tym razem na szczęście nie z zupą, a ze starą książką. Położył ją na stoliku i wyszedł. Domenic usiadł w fotelu i zaczął przeglądać nadpalony tom. Na szczęście większość tekstu ocalała. Z pierwszej strony wyszczerzyła się do Jordana starannie wyrysowana czaszka, dalej było jeszcze gorzej. Każdy rozdział zaczynał się od ozdobionego pajakami i nietoperzami inicjału, każdy rytuał zilustrowany był ryciną, na której widniały rogate bestie, nagie kobiety ze sterczącymi sutkami oraz wyrywane serca. Domenic Jordan przeczytał książkę od deski do deski, bardziej z nudów niż z prawdziwej potrzeby, i akurat kiedy miał odłożyć ją na stolik, doczekał się kolejnych gości, w komnacie bowiem zjawiała się dwójka najmłodszych de Limayraców. Dziewczyna miała włosy wciąż rozwiane wiatrem i zarumienione policzki, chłopiec wniósł na butach błoto z dziedzińca. Jordan pomyślał, że przynajmniej tym razem chyba jego odwiedzili jako pierwszego.

– Przyszedliśmy zobaczyć, czy pan czegoś nie potrzebuje – powiedział Johan, niezbyt umiejętnie ukrywając, że gapi się z ciekawością. Podobnie jak bliźniacy sprawiał wrażenie młodszego, niż był naprawdę, to samo zresztą dotyczyło jego siostry. Była piękna, z niewątpliwie kobiecą już figurą, a jednak coś w niej nakazywało myśleć o jedynej córce wicehrabiego jako o wyjątkowo urodziwym dziecku, nie o pannie na wydaniu.

– Dziękuję, mam wszystko, czego mi potrzeba. – Domenic odłożył na stolik księgę. Johan rzucił na nią niespokojne spojrzenie, a potem wrócił wzrokiem do Jordana.

– Przyjechał pan, żeby zabić demona? – zapytał, szeroko otwierając błękitne oczy. – Tego, który zamordował Huca i Helis?

– Wasz brat twierdzi, że to dwa tragiczne wypadki.

Dziewczyna energicznie potrząsnęła głową.

– Pan nie wie... – urwała nagle i zadrżała, wzrokiem szukając pomocy u Johana.

Chłopak objął ją, a potem spojrzał wyzywająco na Jordana, zupełnie jakby to on chciał skrzywdzić dziewczynę.

– Czego nie wiem?

Losaneta milczała, Johan tulił siostrę i głaskał, chociaż ta wcale już nie drżała. Jordan miał dość całej tej sceny.

– Musi być coś więcej – powiedział. – Znam takich ludzi jak wicehrabia i wiem, że człowiek jego typu nie prosiłby o pomoc biskupa z powodu dwóch tragicznych wypadków i książki z rysunkami czaszek. Co jeszcze się wydarzyło?

Losaneta wreszcie przestała tulić się do brata i spojrzała na Jordana. Oczy tak jak Johan miała wielkie, błękitne i niewinne.

– Służąca widziała w korytarzu Grigoriego – powiedziała, odwracając wzrok.

– Co w tym dziwnego?

Panna pociągnęła nosem.

– Grigori był wtedy z nami w salonie i grał w karty. Nie mógł wyjść tak, żebyśmy tego nie zauważyli.

– To się zdarzyło raz?

Losaneta zaprzeczyła.

– Kilka.

– I za każdym chodziło właśnie o Grigoriego? Który znajdował się w dwóch miejscach jednocześnie?

– Mhm. – Tym razem w odpowiedzi otrzymał niewyraźny pomruk i nieco wyraźniejsze skinienie głową.

– W takim razie gdzie jest teraz drugi Grigori?

Losaneta potrząsnęła jasną czupryną, a Johan znowu spojrzał na Jordana z wyrzutem.

– Czemu pyta pan moją siostrę o takie rzeczy? Czy ona się zna na czarach i demonach?

– W tym przypadku nie trzeba się znać, wystarczy odrobinę pomyśleć.

Dziewczyna rozplakała się, wyrzut w oczach Johana zmienił się w furję.

– Pan jest... pan jest...

Jordan nie dowiedział się, co chłopiec chciał powiedzieć, bo w tym momencie do komnaty weszła d'ona Ysabeau, postawna blondynka, wciąż przystojna, choć nie robiła niczego, by oszukać upływający

czas. Włosy miała związane w zwyczajny węzeł, niebieską suknię więcej niż skromną. Między brwiami kobiety rysowała się zmarszczka.

– Kto wam pozwolił tu przyjść? – zaczęła od progu. – Nie wiecie, że to niebezpieczne? Losaneto, naprawdę się tego po tobie nie spodziewałam. I jeszcze brata wciągasz w swoje eskapady!

Dziewczyna pokornie schyliła głowę.

– Johan się zgodził mi towarzyszyć, bo bałam się przyjść sama. To nie jego wina.

– Oczywiście, że nie jego, tylko twoja. Powinnaś być mądrzejsza. A teraz zmykajcie. Porozmawiamy później o odpowiedniej karze.

Zgarbiony Johan ruszył do drzwi. Dziewczyna dogoniła go, po czym wsunęła mu rękę pod ramię. Matka przepuściła oboje w progu, zamknęła drzwi, a potem spojrzała na Jordana surowo.

– Powinien pan się wstydzić. To jeszcze dzieci.

– Znam dziewczyny młodsze od pani córki, które już są zameżne – zwrócił jej uwagę Jordan. – A ja miałem mniej lat niż Johan, kiedy opuściłem rodzinny dom.

Dòna Ysabeau zacisnęła usta. Była w tej chwili zaskakująco podobna nie tylko do swoich dzieci, ale także do męża. Kuzynostwo? Na prowincji, gdzie trudniej było o dobrą partię, małżeństwa wśród krewnych zdarzały się częściej.

Dopiero po chwili Jordan zorientował się, że grymas na twarzy kobiety nie oznacza złości, tylko litość.

– Mogłam się tego spodziewać – powiedziała. – Człowiek, który zajmuje się takimi wstrętnymi rzeczami, musiał mieć bardzo nieszczęśliwe dzieciństwo. Żal mi pana. Żyjemy tutaj zupełnie inaczej niż w wielkim świecie, do którego pan jest przyzwyczajony: prościej, bardziej po chrześcijańsku, tak blisko siebie, że czujemy i myślimy jak jedna istota. Nie sądzę, że potrafiłby pan zrozumieć taką miłość.

Mógł odpowiedzieć, że wcale nie urodził się w Alestrze, tylko w górach podobnych do tych, w których teraz się znajdowali. Że tam ludzie również żyli „prościej i bardziej po chrześcijańsku”, przynajmniej we własnym mniemaniu. Nie powiedział nic, bo w jednym dòna Ysabeau miała rację – Jordan rzeczywiście nie

rozumiał takiej miłości. I prawdę powiedziawszy, wcale nie chciał zrozumieć.

\*\*\*

Po ósmej dostał kolejną porcję zupy, co powoli zaczynało zakrawać na znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem. Mimo to zjadł, a potem przez jakiś czas ze znużeniem kartkował czarnomagiczną księgę, zastanawiając się, czy tego wieczoru może spodziewać się jeszcze jakichś gości.

Uznał, że tak, i nie pomylił się, bo przed dziewiątą do komnaty wsunął się mocno zarumieniony Johan.

– Nie powinien pan tak mówić do mojej siostry – oznajmił od progu, zupełnie jakby nikt nie przerwał im wcześniejszej rozmowy. – Ona nie jest taka jak inne dziewczęta.

– Tylko jaka? – Zainteresował się Jordan.

– Losaneta jest bardzo delikatna. Ona... ona żyje w swoim świecie, rozumie pan? Nie bardzo odróżnia prawdziwą rzeczywistość od rzeczywistości z ksiązek i sztuk teatralnych.

– I dlatego nie wolno jej pytać o demony? Bo w książkach i sztukach ich nie ma?

Chłopiec poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Dlatego wszyscy próbujemy ją chronić. Wiedziabymy pan o tym, gdyby... gdyby...

– Gdyby co?

– Gdyby miał pan odrobinę serca! – Johan okręcił się gwałtownie na pięcie i wyszedł.

Jordan potrząsnął głową. Rodzina de Limayrac zdecydowanie była dziwaczna.

Pytanie, jak bardzo niebezpiecznie dziwaczna.

\*\*\*

Domenic Jordan oparł czoło o zimną szybę. Na zewnątrz szemrał

drobny deszcz, padające z okien zamku światło odbijało się drżącą łuną w głębokich kałużach. Pogoda jak w październiku, pomyślał. Trudno było uwierzyć, że wczoraj jechał w pełnym słońcu przez łąki, na których bujnie kwitły pachnące już latem kwiaty.

Przymknął oczy. Monotonne bębnienie budziło w nim wspomnienia. Błotnista droga, parskanie koni, pierwsze krople deszczu uderzające w ziemię. A potem błysk światła rozcinający mrok i słowa:

*Dlaczego tu stoisz, chłopcze?*

– Panie Jordan? – Dziewczęcy głos za plecami wyrwał go z zamyślenia. Mężczyzna drgnął i odwrócił się. Losaneta musiała poruszać się cicho jak kot, bo nie słyszał, kiedy weszła. Tym razem była sama, bez brata, który ochroniłby ją przed okropnym charakterem Domenica Jordana. Nie wyglądała na wystraszoną.

– Przyniosłam panu to. – Położyła na stoliku srebrny klucz. – Pasuje do drzwi, może pan je otworzyć w każdej chwili.

– Na korytarzu stoi strażnik.

Uśmiechnęła się tak lekko, że niemal niedostrzegalnie.

– Już nie. Nie próbował pan uciekać, więc strażnik uznał, że nie ma sensu sterczeć tam przez całą noc, i poszedł do czeladnej napić się piwa.

Uznał albo ktoś go o tym przekonał, pomyślał Jordan.

– Dlaczego pani to robi? – zapytał.

– Ponieważ mi pana żal. Jest pan w poważnym niebezpieczeństwie, musi pan uciekać jak najszybciej.

Jordan wziął do ręki chłodny, ciężki klucz.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie – powiedział.

Dziewczyna zamrugła. Jej twarz znów miała dziecięcy, aż do przesady naiwny wyraz.

– Jakie pytanie?

– Gdzie jest teraz sobowtór Grigoriego.

– Nie wiem. Nie interesuje mnie to.

– Oczywiście, panią interesują tylko książki i sztuki teatralne. – W głosie Jordana zabrzmiała ironia, ale Losaneta chyba jej nie dostrzegła. – Nigdy nie czytała pani żadnej historii



o zmiennokształtnych demonach? Takich, które potrafią przejąć nie tylko wygląd, ale i sposób zachowania, a nawet wspomnienia drugiego człowieka?

Dziewczyna zawahała się.

– Pan myśli, że drugi Domenic Jordan to właśnie taki demon? I że wcześniej udawał mojego brata?

– No proszę, wcale nie jest pani tak oderwana od rzeczywistości, jak chciałaby to widzieć pani rodzina. Tak, myślę, że mój sobowtór to lustrzany demon, *bes-anairé*. Ale kłopot w tym, że tylko ja mam pewność, który z nas jest prawdziwy. Pani nie może tego wiedzieć, jeśli tamten istotnie w najmniejszych szczegółach mnie przypomina, miała pani pięćdziesiąt procent szans, by wybrać właściwą osobę. Pytanie więc brzmi: dlaczego dała pani klucz akurat mnie?

Potrząsnęła głową.

– Rozmawiałam z tamtym i on... ma w oczach coś, co próbuje ukryć, ale nie potrafi. Pan wygląda bardziej ludzko.

– Dziękuję, to niewątpliwie najoryginalniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem. – Jordan zastanowił się przelotnie, czy w identycznej sytuacji jego sobowtór powiedziałby to samo. A może już miał okazję? – Nie interesuje pani, skąd demon z zamku wziął się w moim powozie?

– Nie.

Ale Jordana interesowało i – co więcej – chyba potrafił znaleźć na to pytanie odpowiedź.

Ktoś demona posłał, by dowiedział się, jakie są zamiary Domenica Jordana i ile ten wie. Wystarczyło, że przybysz z zaświatów przybrał postać któregoś z młodszych służących, a potem zszedł górską drogą do miasteczka i tam czekał na powóz.

*Dlaczego tu stoisz, chłopcze?*

*Mój pan wysłał mnie, żebym pokazał drogę do zamku. Mogę wsiąść?*

Tak właśnie mogło to wyglądać, choć z całej rozmowy Jordan pamiętał tylko pierwsze zdanie.

Losaneta zadrżała lekko.

– Pójdę już – powiedziała. – Nie lubię przychodzić do tego skrzydła. Wie pan, że pokój, w którym zginęła Helis, jest właśnie

tutaj, prawie dokładnie nad panem?

– Naprawdę?

– Wystarczy pójść schodami w lewo, żeby go znaleźć. Oczywiście ja tam nie chodzę. Za bardzo bym się bała.

– Bez Johana.

Dziewczyna zarumieniała się.

– Bez Johana, tak. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się mną nie opiekował. Do widzenia, panie Jordan. Mam nadzieję, że bezpiecznie dotrze pan do Alestry.

Ukloniła się jeszcze w drzwiach i zniknęła. Mężczyzna wciąż obracał w dłoniach klucz. Nie zapytał, gdzie są stajnie, bo wcale nie miał zamiaru uciekać, ale przecież Losaneta, tak bardzo dbająca o bezpieczeństwo więźnia, sama mogła o tym wspomnieć. Zamiast tego jednak wołała powiedzieć, gdzie Jordan znajdzie komnatę Helis.

Johan stwierdziłby zapewne, że siostra jest zbyt oderwana od rzeczywistości, by pamiętać o takich szczegółach. Było to jakieś wyjaśnienie.

Problem w tym, że nie pasowało ono do niczego innego.

\*\*\*

Domenic Jordan poczekał, aż w zamku ucichną odgłosy krzątania, a potem wziął lichtarz ze świecą i wyszedł na korytarz. Być może powinien zostać, jednak ciekawość okazała się silniejsza. Poza tym wcale nie miał pewności, że w swoim więzieniu będzie bezpieczniejszy.

Na korytarzu panował mrok, rozjaśniany jedynie żółtawym blaskiem świecy odbijającym się w zalanej deszczem szybie. Jordan rozejrzał się, zamknął za sobą drzwi, a potem ruszył w kierunku schodów, mijając po drodze portrety dawnych panów tych ziem. Wszyscy byli jasnowłosi, z marsowymi obliczami, chętnie pozujący konno i w zbrojach albo w towarzystwie psów myśliwskich na tle okrwawionej zwierzyny. To zamiłowanie do wojowniczości sprawiło, że Jordan zaczął się zastanawiać, czy Limayracowie nie trudnili się aby kiedyś rozbojem. Zbudowane nad przełęczami zamki często

należały do rycerzy-rozbójników, którzy wykorzystując dogodne położenie swoich siedzib, grabili przejeżdżające traktem kupieckie karawany. W Tanabrii, gdzie urodził się Domenic, połowa arystokracji miała w swojej historii takie właśnie niechlubne karty i tu prawdopodobnie było tak samo.

Na trzecim piętrze ścian nie zdobiły już portrety, tylko ciężkie od kurzu, zetlałe kobierce, a światło świecy wyławiało zwisające z okiennych wnęk pasma pajęczyn. W tym także nie było nic dziwnego – stare posiadłości podupadały, większość arystokracji przenosiła się do miast, a ci, którzy zostawali, rzadko mogli pozwolić sobie na rzeszę służących potrzebną do utrzymania w porządku kilkudziesięciu pomieszczeń. Stąd „mniej reprezentacyjne” piętra czy komnaty albo całkiem zamykano, by w spokoju porastały kurzem, albo lokowano w takich miejscach ubogich krewnych czy wiernych służących w podeszłym wieku – jak w zamku Limayrac.

Stara, szanowana rodzina, której niechlubne początki zostały dawno zapomniane. Rodzina, w której od pokoleń dominowali mężczyźni – Jordan nie widział ani jednego kobiecego portretu – chełpiący się tężyzną fizyczną, a mniej lub bardziej gardzący pracą umysłową. Rodzina nieco podupadła i nie tak majątna jak niegdyś, ale wystarczająco bogata, żeby z uporem trzymać się rodowej siedziby.

Nic niezwykłego, nic, czego nie widziałby w dziesiątkach innych zamków.

A przecież de Limayracowie z pewnością typowi nie byli i ten kontrast najzupełniejszej zwyczajności z ewidentnym dziwactwem drażnił Jordana.

Tradycyjna rodzina, w której wszyscy „myśleli jak jedna istota”. W której dorośli synowie i dorosła córka wciąż sprawiali wrażenie dzieci. W której domu padły już dwa trupy, a Jordan podejrzewał, że jeśli nie zachowa ostrożności, może zostać trzecim.

Bez trudu znalazł komnatę Helis – była jedyną, w której nie panował mrok. Blask stojącego na dywanie lichtarza podkreślał bladeść mężczyzny, który klęczał tuż obok, najwyraźniej szukając jedną ręką czegoś na podłodze. W żółtawym świetle jego rysy

wydawały się jeszcze bardziej ostre, a oczy niemal czarne. Wydłużony, chudy cień przecinał dębową etażerkę, by na suficie rozłożyć się gęstą plamą ciemności, w której z trudem można było rozpoznać ludzką głowę.

Cień drgnął, gdy jego właściciel podniósł się, odwracając w stronę przybysza.

Domenic Jordan zatrzymał się w progu. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, obaj identycznie uczesani i bardzo podobnie ubrani, z bliźniaczymi rysami twarzy. Różniło ich to, że prawą dłoń mężczyzny w komnacie pokrywały smugi, w świetle świecy czarne, choć Jordan podejrzewał, że tak naprawdę są ciemnoczerwone. Poza tym Losaneta miała rację – w oczach tamtego rzeczywiście było coś nieludzkiego.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział sobowtór, po czym pobiegł wzrokiem w ślad za spojrzeniem Jordana. – To krew, owszem. Na dywanie jest plama, wciąż jeszcze nie całkiem zaschnięta, co oznacza...

– ...że krwi było naprawdę dużo. Losaneta dała ci klucz?

– Tak, a tobie?

– Też.

– Żebyśmy się nawzajem pozabijali i oszczędzili im wszystkim problemów.

– Żebyśmy się nawzajem pozabijali i oszczędzili im wszystkim problemów – powtórzył Jordan z błyskiem w oku.

– Zrobimy to? – Ton tamtego był swobodny, mężczyzna sprawiał wrażenie pewnego siebie. Nie, nie mężczyzna, pomyślał Jordan. Pora nazwać rzeczy po imieniu. To demon, choć zupełnie inny niż te, jakie widywałem dotychczas.

Skrzywił się lekko.

– Żaden z nas nie ma broni – powiedział. – A obaj wiemy, że nie jesteśmy dobrzy w walce wręcz. W dodatku mam połamane żebra i nie uśmiecha mi się tarzanie po podłodze w takim stanie. Ty zresztą też nie wyglądasz najlepiej. – Spojrzał znacząco na lewą rękę demona, która zwisała bezwładnie.

– W takim razie co proponujesz? Porozumienie?

– Na razie. – Jordan skinął głową.

– A potem co? Każdy z nas pójdzie w swoją stronę? – Demon był poważny, ale gdzieś pod jego jasną skórą czaił się uśmiech.

– Dlaczego nie? Ja wiem, kim ty jesteś, ty wiesz, kim jestem ja. Nie stanowimy dla siebie nawzajem zagrożenia, przynajmniej nie w tej chwili. Nad resztą możemy zastanowić się później. – Jordan nie był pewien, czy pozwoli sobowtórowi tak po prostu odejść. Nie z taką twarzą, nie z całą jego wiedzą i wszystkimi wspomnieniami. Z drugiej strony nie był też pewien, czy potrafiłby zabić samego siebie. A nie chciał oszukiwać – demon, jeśli istotnie był idealną kopią Jordana, na co wszystko wskazywało, nie dałby się nabrać na jego kłamstwa.

– Świetnie, w takim razie pokażę ci coś.

Podszedł ostrożnie, bo nadal przecież istniała szansa, że się pomylił, że sobowtór jednak jest niebezpieczny. Demon obserwował go z cieniem uśmiechu i dopiero po chwili przyklęknął obok płamy na dywanie. Jordan poszedł w jego ślady, starając się oszczędzać poobijany bok. Dotknął miękkiego, wilgotnego włosów. Krwi musiało być bardzo dużo i co więcej, znajdowała się ona tylko w jednym miejscu: jedna wielka kałuża.

– Co o tym myślisz? – zapytał demon. – Mógł to zrobić pies?

– Nie sędzę. – Jordan potrząsnął głową, świetnie wiedząc że sobowtór właśnie go sprawdza, i chwilowo przynajmniej postanawiając grać według jego reguł. – Rany po pogryzieniu byłyby bardziej chaotyczne, krew bryzgałaby po całym pomieszczeniu. W tym przypadku stawiałbym raczej na czyste, mocne cięcie. Ktoś poderżnął tej kobiecie gardło, prawdopodobnie na tyle szybko, że nie zdążyła nawet zacząć się bronić, a potem położył ją na podłodze i pozwolił się wykrwawić.

– De Limayrac mówił o gardle przegryzionym, nie poderżniętym – zwrócił uwagę demon. – Bo przecież rozmawiał z tobą o śmierci Helis?

– Owszem, i pamiętam, że dziwnie się wtedy przejęczył. Powiedział: „gardło rozcięte, rozszarpane jakby zwierzęcymi szczękami”.

– Myślisz, że wiedział?

Jordan potrząsnął głową, podchodząc do kominka. Sięgnął po leżące obok wystygłego paleniska szczypcę i przeciągnął po nich palcem. Na skórze została smuga, która w innym oświetleniu prawdopodobnie miałyby kolor brudnej czerwieni.

– Myślę, że wicehrabia zobaczył to, co chciał zobaczyć, ale jednocześnie jakaś część jego świadomości zarejestrowała prawdę, stąd przejęzyczenie. Teraz twoja kolej.

Demon roześmiał się.

– Moja teoria wygląda tak: Huca zagryzł pies, być może istotnie w wyniku wypadku, a może dlatego, że zwierzę ktoś poszczuł – ponoć chłopak był bezczelny, więc mógł się komuś narazić. Tego prawdopodobnie już się nie dowiemy. Za to w przypadku Helis jestem pewien, że mamy do czynienia z morderstwem. Ktoś tej kobiecie poderżnął gardło, a potem wystraszył się i przypominając sobie śmierć Huca, wziął z kominka szczypcę, po czym poszarpał nimi brzegi rany tak, by zatrzeć cięcie od noża i żeby do złudzenia przypominało to ślady po psich szczękach. Mistyfikacja kiepska dla każdego, kto zna się na rzeczy, ale sam powiedziałaś, że ludzie najczęściej widzą to, co chcą zobaczyć. Może zresztą z tego powodu wicehrabia zdecydował się tak szybko pogrzebać oba ciała.

– Dlaczego stara służąca musiała umrzeć?

– Ponieważ była nie tylko służącą, ale także nianią wszystkich młodych de Limayraców. Nie wiedziałaś?

– Nie. – Jordan musiał przyznać z niechęcią, że pod pewnymi względami demonowi naprawdę udało się go wyprzedzić.

– A nianie sporo wiedzą, prawda? Rodzice potrafią być bardzo zaślepieni, ale piastunki, które opiekują się dzieckiem, zawsze wiedzą, co naprawdę w nim tkwi. I być może ta konkretna piastunka zdecydowała, że pora zrobić z tym wreszcie porządek?

– Kto z nich? – zapytał Jordan, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie skrzywienie wąskich warg, które codziennie widywał w lustrze.

– Przecież wiesz. Obaj wiemy.

\*\*\*

Na korytarzu rozległ się dźwięk kroków, wyraźnie zmierzających w stronę komnaty. Domenic Jordan sięgnął po odłożone przed chwilą szczypcy do węgla, demon wziął pogrzebacz i uśmiechnął się lekko, unosząc brwi. Po chwili przez uchylone drzwi wpadł blask świecy, a w plamie światła pojawił się cień – najpierw głowa, potem szerokie ramiona.

– Co tu robicie? – Andreu stanął w progu, przenosząc spojrzenie z jednego Jordana na drugiego. W ręce, zwisającej na razie luźno wzdłuż boku, trzymał pistolet. – I jakim cudem wydostaliście się ze swoich komnat?

– Pana siostra dała nam klucze – powiedział demon, podczas gdy Jordan obserwował twarz chłopaka. Zdumienie na niej wyglądało najzupełniej autentycznie. Dopiero po chwili Andreu wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno – mruknął. – Skoro już i tak się wydostaliście, to może wykorzystacie wolność w lepszym celu niż kręcenie się po zamku? Pokażę wam drogę do stajni, a potem otworzę bramę.

– A jeśli odmówimy? – zapytał Jordan.

Pistolet w ręku chłopaka drgnął, a potem się uniósł. Andreu zacisnął szczęki.

– Przykro mi, ale ta kwestia nie podlega dyskusji. Znikniecie stąd jeszcze tej nocy albo... – Młody wicehrabia zawahał się, a demon wykorzystał okazję, by wtrącić:

– Zamierza nas pan zastrzelić?

– Jeden z was nie jest człowiekiem – odparł Andreu, nadal mierząc gdzieś pomiędzy obu Jordanów. Jego dłoń drżała, groteskowo wyolbrzymiony cień pistoletu podskakiwał na ścianie. – To żaden grzech zabić istotę z tamtego świata, zresztą one tak naprawdę nawet nie umierają, tylko porzucają stare ciało i wracają do siebie, tak mówi nasz ksiądz...

– Ale jeden z nas jest człowiekiem – przypomniał Jordan. – I ten umrze naprawdę. Jest pan pewien, że chce pan zostać mordercą?

Andreu poruszył się niespokojnie, cień pistoletu na ścianie znowu zadrżał. Na czole młodego wicehrabiego perlił się pot, twarz była blada. Jordan mógłby się założyć, że chłopak po raz pierwszy celuje

w człowieka, ale to wcale nie czyniło go mniej niebezpiecznym. Wręcz przeciwnie, roztrzęsieni ludzie często okazywali się groźniejsi niż ci spokojni i w pełni panujący nad sytuacją. Jordan miał świadomość, że jeden nieostrożny ruch może go teraz kosztować życie, ale miał też przewagę – on słyszał ciche, ostrożne kroki na korytarzu, a Andreu, cały skupiony na pistolecie i obu celach, nie.

Sądząc po lekkim drgnięciu mięśni na twarzy demona, on również zrozumiał, że lada moment będą mieć w komnacie kolejnego nocnego gościa.

– Możemy się jakoś porozumieć – powiedział Jordan, a demon zawtórował mu swobodnie:

– Nie ma potrzeby grozić nam bronią. To w końcu pana dom, jeśli nie życzy pan sobie naszej obecności, wystarczy o tym powiedzieć.

Zdezorientowany Andreu opuścił broń. Tylko trochę, może cal albo dwa – ale to wystarczyło, by znajdujący się bliżej demon jednym susem pokonał odległość dzielącą go od chłopaka i pogrzebaczem podbił mu rękę. Huknął strzał. Jordan skoczył w stronę Andreu i niemal w tej samej chwili kolejna kula, tym razem wystrzelona od strony drzwi, świsnęła mu koło ucha. Andreu krzyknął krótko i zaczął osuwać się na posadzkę. Domenic podtrzymał go, a potem, ponieważ ranny przelewał się przez ręce, położył ciało i spojrzał na nowego gościa. W progu stał Grigori z dymiącym pistoletem w rękę i wyrazem oszołomienia na twarzy.

– Przepraszam, ja... myślałem, że chce was pozabijać... – Szeroko otwartymi oczami patrzył na brata. – Żyje?

Jordan pochylił się nad rannym, z drugiej strony ukląkł demon, którego najwyraźniej ominęła wystrzelona przez Andreu kula. Grigori obserwował ich, oparty o framugę i drżący. W oczach wciąż miał pytanie.

– Twojemu bratu nic nie będzie – uspokoił go Jordan, przyjmując od sobowtóra kawałek materiału wydarty z koszuli i przyciskając go do rany na ramieniu Andreu. – Niedługo powinien odzyskać przytomność.

– Ja proponuję zniknąć, zanim zjawi się tu ktoś zwabiony strzałami – wtrącił się demon.



Jordan skinął głową, wstając. Podeszedł do Grigoriego i delikatnie wyjął mu z ręki pistolet.

– Zaprowadzisz nas do stajni? – zapytał.

– Wyjeżdżacie? – Młodszy z bliźniaków nadal wyglądał na mocno oszołomionego.

– Ty wyjeżdżasz – poprawił go demon. – My tylko cię odprowadzimy.

\*\*\*

– Przecież chciałeś to zrobić – powiedział demon, kiedy Grigori siodłał klacz o wdzięcznym imieniu Nasturcja. – Przygotowałeś się do wyjazdu i gdyby nie śmierć Helis, dawno byłbyś w Alestrze.

– Tak, ale myślałem... – Chłopak zawahał się. – Sam nie wiem, to wszystko dzieje się tak nagle... Mogę chociaż spakować trochę rzeczy?

– Nie ma na to czasu. – Jordan oddał mu broń. – Dam ci adres pewnego człowieka w stolicy, on ci pomoże, tak jak kiedyś pomógł mnie.

– Nie poradzę sobie – jęknął Grigori, dopinając popręg. – Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałem tak daleko.

– Miałem niespełna piętnaście lat, kiedy przyjechałem do Alestry bez pieniędzy, a jakoś sobie poradziłem. – Jordan kątem oka uchwycił wzrok demona. Było w nim coś, co zdecydowanie mu się nie podobało, ale nie miał czasu teraz się nad tym zastanawiać. – Wskakuj na siodło – powiedział do chłopaka.

– Dlaczego muszę wyjeżdżać akurat teraz? Andreu nie widział mojej twarzy...

Demon zirytował się.

– Andreu powie, że próbowałeś go zabić, niezależnie od tego, czy cię widział, czy nie. Nie rozumiesz? Twoje rodzeństwo już zdecydowało, że odpowiesz za śmierć Huca i Helis. Potrzebowali kozła ofiarnego, a ty doskonale się nadałeś.

– Moglibyście mi pomóc...

– Właśnie pomagamy – powiedział Domenic Jordan, otwierając wrota stajni.

\*\*\*

Ledwo Grigori zniknął za bramą, gdy przez pusty dziedziniec przeszedł służący z latarnią i zatrzymał się przed dwoma Jordanami.

– Wicehrabia życzy sobie, żeby panowie poszli za mną – powiedział. Pistolet trzymany w drugiej ręce nie pozostawiał wątpliwości, że nie jest to zaproszenie, które można odrzucić. Domenic pomyślał, że ostatnio dużo ludzi grozi mu bronią, ale ani on, ani demon nie zamierzali protestować.

Sługa zaprowadził ich do komnaty, w której na kominku dogasał żar, zapalił świecę, a potem wyszedł, przekręcając w zamku klucz. Jordan i demon podeszli do okna, mężczyzna lekko uniósł brwi na widok biegnącej obok parapetu ozdobnej rynny. Z jakiegoś powodu – być może przez roztargnienie zaaferowanego innymi sprawami służącego – tym razem zostali zamknięci w pomieszczeniu, z którego ktoś sprawny fizycznie bez większego trudu zdołałby się wydostać.

– Masz szansę uciec – powiedział demon zachęcająco. – Być może powinieneś ją wykorzystać, póki mam dobry humor i pozwalam ci odejść.

W oczach wciąż miał coś, co Jordanowi bardzo się nie podobało. Czy to możliwe, że aż tak się pomylił?

W zamku zazgrzytał klucz i do komnaty wszedł wicehrabia de Limayrac. Pozornie nie zmienił się ani na jotę – ta sama dumna wyprostowana postawa, te same niewzruszone rysy człowieka, który przywykł do ukrywania swoich uczuć. Być może jednak postawa była aż nazbyt sztywna, a twarz przesadnie nieruchoma, bo Jordan nie miał wątpliwości, że patrzy na kogoś, kto właśnie otrzymał druzgoczącą wiadomość.

– Andreu odzyskał przytomność, wezwałem już lekarza – oznajmił. – A służący powiedział mi, że nie ma ani Grigoriego, ani jego konia. – Zaciśnął usta w grymasie charakterystycznym dla rodziny de Limayrac. – Może to i lepiej. Bóg mi świadkiem, że nie miałbym sumienia wydać własnego syna katu.

– Co pana zdaniem wydarzyło się w zamku? – zapytał z ciekawością demon.

Wicehrabia przeniósł wzrok z jednego Jordana na drugiego, rozsądnie trzymając się od obu w bezpiecznej odległości. Tym razem jego dłoń nie sięgała już odruchowo do pasa, choć broń oczywiście miał.

– To chyba oczywiste. Mój drugi syn splamił nazwisko swojego rodu, odprawił magiczny rytuał i wezwał demona, który na jego polecenie zabił Huca i Helis. Nie chcę nawet wiedzieć dlaczego. Od tej chwili jego imienia nie będzie się w tej rodzinie wymawiać. Co do panów, to liczę, że jutro przybędzie wysłannik biskupa i rozwiąże problem. Prawdziwy Domenic Jordan odjedzie wolno, drugi natomiast zostanie odesłany tam, skąd przybył. – Skrzywił się lekko. – Przyznaję, zdumiało mnie, że ten z panów, który jest człowiekiem, nie ma nic przeciwko przebywaniu w towarzystwie demona, skoro jednak tak świetnie się rozumiecie, myślę, że możecie także spędzić resztę nocy w jednym pomieszczeniu. To wszystko, dziękuję.

Uklonił się sztywno w przestrzeń między jednym Jordanem a drugim, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Nie zastanowiło pana, dlaczego Grigori, chcąc zabić dwie osoby, wezwał akurat *bes-anair*, a nie zwyczajnego demona? – zapytał Domenic. – Po co komuś, kto potrzebuje mordercy, istota zdolna skopiować człowieka w najdrobniejszym szczególe, włącznie z jego charakterem i wspomnieniami?

Wicehrabia zawahał się.

– Nie zastanowiło.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Jordan usiadł naprzeciwko demona, nie spuszczając go z oka. Czy w razie potrzeby mógłby pokonać samego siebie? Teoretycznie powinni mieć równe szanse, jednak sobowtór wyglądał na nieco bardziej poobijanego – lewą rękę nadal miał niemal bezwładną i widać było, że każdy ruch sprawia mu ból. Z drugiej strony demon oczywiście mógł się zmienić. Nie w każdej chwili, to nie było tak proste, jak opisywały to groszowe powieści, ale i z taką niespodzianką Jordan musiał się liczyć.

– Powinieneś uciec, kiedy jeszcze miałeś szansę – oznajmił sobowtór. – Teraz jest za późno, pół zamku już się obudziło.

Istotnie, z dołu dobiegały odgłosy krzątania, a dziedzińiec

rozbrzmiał dźwiękiem uderzających o bruk podków. Jordan nie wstał, żeby zobaczyć, kto przyjechał – prawdopodobnie zresztą był to zapowiedziany przez wicehrabiego lekarz.

– Daruj sobie te żarty – powiedział do demona. – Obaj wiemy, że *bes-anaire* nie jest w stanie skrzywdzić człowieka.

Sobowtór uśmiechnął się lekko z odrobiną czegoś, co mogło być smutkiem.

– Ty naprawdę nie rozumiesz, co? – Pochylił się w stronę Jordana, białka jego oczu lśniły niepokojąco w półmroku. – Przypomnij sobie. Była burza...

Nie zdążył dokończyć – w zamku znowu zgrzytnął klucz i do komnaty weszła Losaneta. Stojący na zewnątrz sługa próbował protestować, ale dziewczyna, jak przystało na córkę arystokraty, jednym gestem zamknęła mu usta. Mężczyzna wycofał się z wyjątkowo nieszczęśliwą miną.

– Będę czekał za drzwiami, gdyby panienka potrzebowała pomocy – wymamrotał.

Losaneta nie zwracała już na niego uwagi. Patrzyła na obu Jordanów, a oni spoglądali na nią z identyczną ciekawością na identycznych twarzach.

– Chciałam zapytać o mojego brata – powiedziała. – Grigoriego. Jest bezpieczny?

– Tak – odparł demon. – Ale nie z jego powodu tu pani przyszła.

Milczała przez chwilę, skupiona, bardzo młoda i niewinna. Maskę tak bardzo zrosła się z jej twarzą, że Losaneta nawet teraz nie potrafiła się jej pozbyć.

– W takim razie może któryś z panów powie mi, jaki miałam cel? – odezwała się wreszcie.

– Chciała pani się dowiedzieć, czy pani plan się powiódł, czy nie domyślamy się za dużo, a jeśli tak, to czy zamierzamy zdradzić pani tajemnicę. – Tym razem Jordan ubiegł demona.

– Ja nie mam tajemnic.

– Naprawdę? Panna, którą brat uważa za oderwaną od rzeczywistości artystkę, a która jednocześnie była na tyle inteligentna, żeby przynieść nam po prostu klucze, zamiast grozić czy namawiać do

ucieczki. Wszyscy, cała czwórka, chcieliście się nas pozbyć w obawie, że wasze sekrety wyjdą na jaw, ale tylko pani była wystarczająco bystra, by znaleźć właściwy sposób...

– ...który zadziałałby bezbłędnie, gdyby nie to, że przywołany przez Grigoriego demon nie jest zwyczajnym demonem – wtrącił się Jordan.  
– Od początku odniosłem wrażenie, że o ile wicehrabia faktycznie nie wie, co się dzieje w zamku – w przeciwnym wypadku nie wysłałby listu do biskupa – o tyle czwórka jego dzieci znakomicie się we wszystkim orientuje. Przy czym trójka z was postanowiła złożyć winę na barki czwartego, czarnej owcy, która miała zamiar wyłamać się i opuścić rodzinę.

– Ma pan na myśli Grigoriego? – Losaneta uniosła brwi. – Ależ on jest winny.

– Tylko tego, że chciał pójść swoją drogą, a jednocześnie nie potrafił zadać wam bólu. Dlatego wezwał *bes-anaire*, który miał go zastąpić tak, żeby nikt się nie zorientował. Ale wy oczywiście wiedzieliście. Dòna Ysabeau ma rację: od lat żyjecie tak blisko ze sobą związani, że w pewnym sensie naprawdę zaczęliście myśleć jak jedna istota, co jest fenomenem tym większym, że jednocześnie niewiele ze sobą rozmawiacie, zbyt jesteście konwencjonalni, zbyt przywiązani do wizji waszej kochającej się chrześcijańskiej rodziny, by omawiać plany zrzucenia winy na waszego brata albo rozważać poszczucie demona na niewinnego przybysza. W przeciwnym wypadku Andreu wiedziałby, że dała nam pani klucze i że w nocy możemy swobodnie wyjść z naszych komnat.

– Grigori odprawił rytuał. – Losaneta bez trudu wytrzymała wzrok obu Jordanów. – Temu chyba panowie nie zaprzeczą. To zła, czarna magia...

– Czarna magia to magia nieakceptowana przez Kościół – odpowiedział sobowtór. – Niekoniecznie zła. Mogę panią zapewnić, że wszystkie rytuały w tej książce są całkiem niewinne. Tak, wiem – machnął niecierpliwie ręką, gdy dziewczyna chciała coś powiedzieć – te wszystkie rysunki niewątpliwie robią na dyletantach wrażenie. Ale to tylko zasłona dymna, prawdziwie niebezpieczne księgi nie mają na ilustracjach diabłów ani nagich kobiet.

– W takim razie kto jest mordercą? – Pytanie zadane zostało spokojnym tonem, twarz Losanety ani drgnęła, choć w oczach widać było napięcie. Dziewczyna miała stalowe nerwy.

Demon spojrział na Jordana, przekazując mu pałeczkę.

– Johan, oczywiście – odparł Domenic.

Odwróciła się, w oknie odbiła się jej blada, piękna twarz. Przez krótką chwilę Losaneta nie wyglądała już jak dziecko i po raz pierwszy Jordan potrafił docenić jej kobiecy urok.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak desperacko udaje pani, że to brat opiekuje się panią, podczas gdy jest dokładnie odwrotnie. Zgaduję, że Johan nie znosi, kiedy traktuje się go jak dziecko, że pragnie czuć się dorosłym, odpowiedzialnym i potrzebnym. W przeciwnym wypadku, zlekceważony, potrafi zabić. Być może już wcześniej zdarzały się w zamku różne drobne... wypadki, bo tego typu skłonności nie pojawiają się z dnia na dzień. Pani rodzice uważają Johana za niewinnego chłopca, Andreu i Grigori znają prawdę, ale nie wiedzą, co tak naprawdę ich młodszym bratem kieruje. Tylko pani rozumie to doskonale i dlatego odgrywa rolę potrzebującej opieki siostry. Nie wiem, od kiedy to pani robi, może zrosła się pani z tą rolą tak bardzo, że sama już tego nie pamięta. Nie wiem także, dlaczego Johan jest, jaki jest: czy to wasza rodzina uczyniła go moralnym kaleką i mordercą, czy wręcz przeciwnie, zwarliście w tak dziwaczny sposób szyki, kiedy dotarło do was, kim jest Johan. Wiem natomiast, że to, co pani robi, nie ma najmniejszego sensu – niezależnie od tego, jak bardzo gorliwie będzie pani odgrywać swoją rolę, Johan prędzej czy później znowu zabije.

Losaneta przygryzła lekko wargę. Inteligentna dziewczyna, prawdopodobnie najbystrzejsza z rodzeństwa, która dobrowolnie skazała się na udawanie naiwnej gąski – w dzień i w nocy, bez chwili przerwy. I miało to trwać jeszcze długo, być może całe lata, bo mało prawdopodobne, by Limayracowie szybko pozwolili jej odejść. Jordan nie potrafił zdecydować, czy bardziej ją podziwia, czy może nią gardzi. A może zwyczajnie dziewczyny żałował?

– Nie macie dowodów, prawda? – zapytała.

– Nie – odparł uczciwie.  
– A bez dowodów mój ojciec nie zechce was wysłuchać.  
– Mniejsza z tym – zirytował się demon. – Chodzi o pani bezpieczeństwo...  
– Dziękuję za troskę. – Losaneta dygnęła jak przystało na dobrze wychowaną panienkę. – Poradzę sobie. A poza tym w jednym mieli panowie rację: nie chciałam tylko zapytać o Grigoriego. Przyszłam także powiedzieć, że do Limayrac przyjechał biskup, który pragnie się z oboma panami widzieć. Służący zaprowadzi was do niego. Ja i tak już zmarnowałam panom wystarczająco dużo czasu.

\*\*\*

Domenic Jordan był pod wrażeniem – żeby zjawić się tak szybko, biskup Malartre musiał wyruszyć od razu po otrzymaniu wiadomości. Co więcej, przyjechał sam, zamiast wysłać kogoś z licznych podwładnych. Być może świadczyło to o tym, że Jego Ekscelencji zależało na protegowanym bardziej, niż byłoby to skłonny przyznać.

– I co ja mam z wami zrobić? – zapytał biskup, wodząc spojrzeniem od mężczyzny w czerni, który siedział w fotelu, do tego, który stał przy oknie. – Rozumiem, że każdy z was upiera się, jakoby był prawdziwym Domenikiem Jordanem?

Westchnął, gdy w odpowiedzi otrzymał dwa skinienia głową, po czym odłożył na stolik czarnomagiczną księgę otwartą na stronie z rytuałem przywołania. Tkwiący za plecami biskupa uzbrojony pacholek leniwie uniósł jedną powiekę, obrzucił spojrzeniem komnatę, po czym, uznawszy najwyraźniej, że nie ma niebezpieczeństwa, wrócił do drzemania na stojąco. Jordan niespecjalnie mu się dziwił: pora była późna, podróż z Alestry męcząca, a bębniący o szyby deszcz działał wyjątkowo usypiająco.

Spojrzał przez okno. Po drugiej stronie dziedzińca, dokładnie naprzeciwko, była komnata, w której nie zaciągnięto zasłon. Domenic dostrzegł w niej Andreu z obandażowanym ramieniem, mówiącego coś do Johana, i Losanetę, która usadowiła się niedaleko łóżka z książką na kolanach, prawdopodobnie gotowa poczytać cierpiącemu

bratu, gdyby ten sobie tego zażyczył. Jordana uderzyło, jak bardzo zwyczajnie wszyscy wyglądali – typowa rodzinna scena, jaką można zobaczyć w wielu domach. Młodzi de Limayracowie wydawali się konwencjonalni, zamknięci w swoim bezpiecznym życiu niczym owady w słoju. Nie, nie wydawali się, teraz, kiedy zagrożenie minęło, chyba po prostu tacy byli. Rodzeństwo, nieco zbyt dziecinne jak na swój wiek, ale poza tym niewiele różniące się od rówieśników, sprzeczące się i pocieszające nawzajem. Jordan założyłby się, że nie mówią o niczym ważnym, że z ich ust padają same banalne słowa i frazesy, jakich można by się spodziewać w takiej sytuacji po każdej rodzinie. Łączący ich mroczny sekret zepchnęli tak głęboko, że sami ledwo o nim pamiętali. Na co dzień, dopóki nic nie zagrażało tajemnicy, dzieci wicehrabiego de Limayrac były po prostu nieciekawe.

Odwrócił się od okna, gdy Jego Ekscelencja zadał kolejne pytanie.

– Odpowiedzialny za morderstwa w zamku Limayrac jest Johan, najmłodszy syn wicehrabiego, tak? Na co żaden z was nie ma dowodu?

– Przyznaję, w tym przypadku po prostu zgadywaliśmy – powiedział Domenic, siadając w fotelu obok sobowtóra. – Ale możemy udowodnić, że mordercą nie jest Grigori. *Bes-anaire* nie wzywa się, żeby kogoś zabił. To jedna z nielicznych istot z zaświatów, która nie potrafi skrzywdzić człowieka. Wiedzą o tym wszyscy, którzy mają jakieś pojęcie o demonach.

– Tak, tylko ile takich osób jest? Ja to wiem i ty to wiesz... wy to wiecie... – Biskup poprawił się. – Ale dla wicehrabiego demon to demon, podobnie z pewnością będzie myślał każdy sędzia, któremu przedstawilibyśmy tę sprawę.

– A więc ojciec nie zamierza zrobić nic?

Jego Ekscelencja westchnął.

– Sporo się jeszcze musisz nauczyć, Domenicu. Jeśli wicehrabia uznał winę swojego drugiego syna i nie dopuszcza innej możliwości, to obawiam się, że mam związane ręce. W tych stronach słowo szlachcica, zwłaszcza głowy rodziny, jest prawem.

– Co będzie z nami? – zainteresował się demon.



– Wyśle was do Romady, jest tam pewna dziewczyna, która niedawno zyskała łaskę świętego Donata i potrafi rozpoznawać demony. Mam nadzieję, że obaj się zgadzacie?

Jordan skinął głową. Wyprawa do Romady oznaczała prawie dwutygodniową podróż – długo, ale przynajmniej będzie miał czas, żeby porządnie przemyśleć błędy, które popełnił. Było ich kilka, jednak najbardziej zawiodła go w tej sprawie jego własna pamięć. Nadal nie potrafił sobie przypomnieć, co wydarzyło się w czasie burzy i nadal miał wrażenie, że to ważne, może nawet najważniejsze.

– Zgadzasz się? – Biskup spojrział na sobowtóra, który niecierpliwie bębnił sprawną ręką w oparcie fotela.

– To nie będzie konieczne – powiedział demon, wstając nagle. Przyskoczył do kiwającego się za plecami biskupa sługi i zanim mężczyzna zdążył zareagować, wyrwał mu zza pasa broń.

Domenic Jordan po raz trzeci w ciągu kilku godzin spojrział w lufę pistoletu. Prawdziwy pech.

– Dałem ci szansę na ucieczkę – powiedział sobowtór. – Szkoda, że z niej nie skorzystałeś.

Ulewa wciąż bębniła o szyby, przywołując wspomnienia.

Najpierw nie było nic, tylko rozjaśniana błyskawicami ciemność, błoto i cierpliwe czekanie. A potem, akurat gdy spadły pierwsze krople deszczu, nadjechał powóz, zmęczone konie parskwały, z brązowych boków unosiła się para. Woźnica ściągnął lejce i gniadosze stanęły. Drzwi powozu otworzyły się, oświetlając samotną postać na drodze. Oświetlając jego.

*Dlaczego tu stoisz, chłopcze?*

– Teraz już rozumiesz?

Chciał skinąć głową, ale Domenic Jordan nie czekał na odpowiedź.

## Posłowie

I to już koniec. Szkoda, bo tyle jeszcze anegdot, do których tylko szukałem pretekstu. Nie ma w tym zbiorze opowiadania *Czwarta nad ranem*, które pozwoliłoby opowiedzieć Wam o Sługach Metatrona i naszym pierwszym przedstawieniu, do którego wraz z Anią napisaliśmy opowiadania, nazwijmy to – promocyjne. Pamiętam do dziś gorączkę, gdy wpadliśmy potem na szalony pomysł, by zrobić z nich wersję audio, bo nie stać nas było na wydanie tego w formie książeczek – płyty CD były tańsze, a i sam proces szykowania trwał znacząco krócej. Ostatecznie nie zdążyliśmy, a oba teksty powędrowały później do „Esensji” i chyba są tam do dzisiaj.

Nie ma *Angeviny*, którą Ania wzbudziła mą zawodową zazdrość, ale też wielką radość, bo oto jej opowiadanie ukazało się w „Nowej Fantastyce”, co – umówmy się – dla polskiego fantasty jednak, zważywszy na historię i tradycję pisma, bardzo wiele. Pamiętam zdziwienie Ani, bo nie sądziła, że akurat to opowiadanie może się spodobać Maćkowi Parowskiemu, który wówczas piastował stanowisko naczelnego i szefa działu prozy polskiej. W ogóle o zbyt małej wierze, jaką koleżanka Kańtoch pokładała i pokłada w swojej – znakomitej przecież – twórczości, można by naskrobać co najmniej solidną nowelę.

Nie ma tu starych opowiadań z cyklu o Domenicu Jordanie (jest jedno zupełnie nowe, napisane na potrzeby tego zbioru), z którym przygód, a więc i anegdot, było naprawdę multum. Ot chociażby... wiecie, że pierwsze opowiadanie było napisane na konkurs Fantastyki i British Council? Albo że zasłużyłem sobie na dedykację w opowiadaniu ciekawostką z bodaj „Focusa” o pewnym dziwnym motyłu? Wreszcie, że tytuł *Ciemność płonie* – mojej chyba najważniejszej książki – wymyśliła właśnie Ania, i to... do swojego opowiadania, do którego zresztą wybitnie nie pasował?

Tak bardzo chciałbym dostać teraz tekstową okazję, by przy którymś ze wstępów przywołać Anię w przebraniu hobbita

reklamującą Tricon 2010 (z zaplanowanych kilkunastu spotów ukazał się jeszcze tylko jeden, z Witem Szostakiem jako Indianą Jonesem) albo wcześniej jako jedną z wiedźm w scenicznej adaptacji Pratchetta. Koleżanka Kańtoch bowiem, choć nigdy nie zdecydowała się na naprawdę dużą rolę, była jednym z filarów Sług Metatrona i zawsze można było na niej polegać. Mam nadzieję, że teraz, przy okazji reaktywacji grupy, uda się Anię namówić i do nas wróci.

Nie dały mi wybrane opowiadania okazji do opowieści o wieczornych spacerach po Katowicach, kiedy to nagle się orientowałem, że jesteśmy pod jej domem na odludziu, jest środek nocy i teraz czeka mnie przeszło dziesięciokilometrowy spacer z powrotem, podczas którego miałem czas przemyśleć należycie naszą rozmowę. O sekcji filmowej, filmowych dyskusjach i o tym, jak to parę razy pokłóciliśmy się o Tarantino, za to byliśmy całkiem zgodni co do Eastwooda...

Żebyśmy się, Drodzy, dobrze zrozumieli: uważam, że to dobry zbiór i wybrano do niego świetne opowiadania. Chodzi o to, że spośród utworów Ani nie trzeba wybierać, bo nawet najsłabsze – co nie znaczy, że słabe, po prostu słabsze niż te najlepsze – mają w sobie coś niezwykłego, satysfakcjonują czytelniczko i bardzo często inspirują czy to do przemyśleń, czy wręcz do napisania własnych tekstów.

No ale nic to, będzie jeszcze okazja, by nadrobić, nie? Może kiedyś, przy okazji jakiegoś konwentu pogadamy o twórczości koleżanki Kańtoch, a może uda Wam się spotkać samą Anię gdzieś w przelocie i zapytać o to i owo? Ostrzegam jednak, że może to być naprawdę trudne, bo jak już wspomniałem wcześniej, a teraz przypomnę: jak na tak wielką pisarkę, Ania jest naprawdę malutka.

Koncepcja antologii: Piotr Kucharski  
Redakcja: Dorota Pacyńska  
Korekta: Artur Kaniewski, Małgorzata Lach

Ilustracja na I stronie okładki oraz ilustracje wewnątrz książki: Waław Wysocki  
Projekt typografii na okładce: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-2294-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

Wstęp

Światy Dantego

Duchy w maszynach

Część 1

Część 2

Cmentarzysko potworów

Szczęcia i wszelkiej pomyślności

1.

2.

3.

4.

Za siedmioma stopniami

Okno Myszogrodu

Człowiek nieciągly

Miasteczko

Portret rodziny w lustrze

Posłowie